

David Zeman

Syndrom Pinokia  
(The Pinocchio Syndrom)

Przełożył Jan Kabat

- Ty masz bardzo brzydką gorączkę.
- Co to za gorączka?
- To ośła gorączka.
- Nie rozumiem – powiedział Pinokio, który zrozumiał aż za dobrze.
- Więc ja ci zaraz wytłumaczę – rzekła panna Świstaczek. – Dowiedz się przede wszystkim, że za dwie, najpóźniej za trzy godziny nie będziesz już ani pajacem, ani chłopcem.
- A czym będę?
- Za dwie, a najdłużej trzy godziny będziesz już w pełni zwyczajnym osłem...

## PROLOG

15 maja

Na pokładzie statku wycieczkowego  
Crescent Queen  
gdzieś na zachód od Krety

Najpierw jest książę z bajki i pełne morze...

- Patrz, jak się rusza.
- Jest seksowny.
- Zobacz tylko, jak mu chodzi tyłek, kiedy podskakuje.
- Zawsze wam w głowie tylko jedno?

Crescent Queen, wycarterowany statek amerykański z angielską załogą, żeglował po spokojnej toni, skąpany w promieniach słońca.

Trzy dziewczyny, z których każda miała trzynaście lat, stały na pokładzie spacerowym, śledząc z uwagą mecz siatkówki rozgrywany przez ośmiu rówieśników. Chłopcy pocili się z wysiłku i zagrzewali nawzajem do walki, kiedy trzeba było zmienić pozycje albo odbić piłkę. Intensywny błękit fal stanowił olśniewające tło dla tej sportowej rywalizacji.

Najładniejsza z dziewcząt, Gaye, była jednocześnie najbardziej nieśmiała. Podkochiwała się w ciemnowłosym chłopcu, który właśnie serwował. Brakło jej pewności siebie, by podejść do niego czy chociażby się uśmiechnąć, kiedy napotykała jego wzrok, nie kryła jednak swych uczuć przed dwiema przyjaciółkami.

Jedna miała na imię Alexis, druga Shanda. Alexis była wysoką zgrabną dziewczyną, o niesfornych kasztanowych włosach, która malowała się wyjątkowo wyzywająco. Jej matka, przebywająca w domu w Connecticut, spędziła już kilka bezsennych nocy z powodu córki, uważała bowiem, że Alexis wkrótce zacznie pić, palić i uprawiać seks.

Rejs został sfinansowany przez Narodowe Stowarzyszenie Utalentowanej Młodzieży, w skrócie NSUM. Celem stowarzyszenia było zachęcanie uczniów szkół średnich w całym kraju do wybitnych osiągnięć przez sponsorowanie przedsięwzięć będących nagrodą za dobre stopnie i stanowiących wyzwanie intelektualne.

Na pokładzie znajdowało się osmiuset uczniów pod opieką sześćdziesięciu pięciu nauczycieli i sześćdziesięciu członków załogi. Rejs miał trwać sześć tygodni i obejmował dłuższe postoje w Australii, Nowej Zelandii i na Hawajach. W jego trakcie uczniowie przechodzili intensywny kurs języka, nauk ścisłych i historii. W drodze powrotnej do Nowego Jorku planowano egzamin konkursowy, a jego zwycięzcy mieli otrzymać stypendium i gwarancję ponownego rejsu w przyszłym roku.

Nie wszyscy sobie uświadamiają, że dzieci o nieprzeciętnym intelekcie są zazwyczaj ponad wiek rozwinięte seksualnie. Dotyczyło to zwłaszcza Shandy, która w swej karierze szkolnej miała już kilka przygód miłosnych, utrzymywanych jak dotąd z wielkim trudem w tajemnicy. Shanda zaprzyjaźniła się z Alexis już pierwszego dnia, gdy tylko statek wypłynął z nowojorskiego portu. Obie wciągnęły do swej paczki Gaye, ponieważ zazdrościły jej urody i ujmowała jej miłą, łagodną osobowość dziewczyny.

Gaye, jedynaczka, była żywym, niesfornym dzieckiem, lecz proces dojrzewania obudził w niej nieśmiałość. Przez jakiś czas była tak zamknięta w sobie, że matka posłała ją do psychiatry. Wówczas się okazało, że iloraz jej inteligencji wynosi 164. Zmienność nastrojów przypisano poziomowi intelektualnemu i typowemu kryzysowi tożsamości, jaki przechodzą utalentowane dzieci. Fakt, że była jedyną córką Kempera Symingtona, sekretarza obrony USA, powszechnie znanego architekta aktualnej polityki zagranicznej administracji, specjalnie jej nie pomógł.

Podobnie jak wszyscy na pokładzie, trójka dziewcząt szybko zwróciła uwagę na przystojnego Jeremy'ego Asnera, wysokiego, atletycznie zbudowanego chłopca z Riverside w Kalifornii, jedynego przedstawiciela swego okręgu szkolnego podczas rejsu. Jeremy znalazł się w piłkarskiej reprezentacji szkoły i marzył o karierze politycznej.

Jeremy, wysławiający się starannie, greczny chłopiec o szarych oczach, miał senne i jakby nieobecne spojrzenie i szybko zyskał na pokładzie Crescent Queen niebywałą popularność. Shanda i Alexis od paru tygodni wodziły za nim tęsknym wzrokiem, ale na tym poprzestały. Teraz postanowiły, że najlepiej będzie skojarzyć Jeremy'ego z Gaye, która przewyższała je urodą i wydawała się bardziej w jego typie. Gdyby udało jej się z Jeremym, zwycięstwem podzieliłyby się wszystkie.

Jedyny problem stanowiła sama Gaye. Była zbyt nieśmiała, by zbliżyć się do Jeremy'ego. Nie pomogły pochlebstwa i namowy ze strony świadomych swego celu przyjaciółek. Rejs miał się ku końcowi i trzeba było się spieszyć.

Tego wieczoru w sali balowej zorganizowano potańcówkę. Zgodnie z zasadami ustalonymi przez komitet organizacyjny można było zaprosić każdego. Dziewczyny miały swobodę w doborze chłopców. Shanda i Alexis po raz ostatni starały się przekonać Gaye.

– Musisz go zaprosić – powiedziała Shanda. – Rozmawiałam z chłopakiem z jego kajuty. Nie umówił się z nikim. Zastanawia się nawet, czy w ogóle pójść na tańce. Czeka na ciebie, Gaye!

– Nie wiem – starała się grać na zwłokę Gaye, spoglądając na chłopców, którzy zamieniali się właśnie stronami na boisku. W promieniach jasnego słońca, z włosami potarganymi przez wiatr, Jeremy prezentował się jak książę z bajki. Obawiała się, że jest dla niego za mało atrakcyjna.

Gdybym tylko wiedziała, że mu się podobam... Jakby odgadując jej myśli, Shanda powiedziała:

– Posłuchaj, on uważa, że jesteś milutka. Powiedział mi jego kumpel z kajuty. Ale podejrzewa, że jesteś sztywna. Boi się do ciebie odezwać.

Gaye przyjęła te informacje podejrzliwie.

– Kiedy z nim rozmawiałaś?

– Wczoraj po kolacji – odparła Shanda. – O rany, Gaye, nie widzisz, że to twoja szansa? Zaprosz go na tańce. Wybawisz go z kłopotu. Nie ma ryzyka. To pewne!

Gaye знаła Shandę dopiero od kilku tygodni, ale była już na tyle zorientowana w jej zagrywkach, by wiedzieć, kiedy kłamie. Ta historyjka nie brzmiała zbyt prawdopodobnie.

– Jeśli mu się podobam, to mnie zaprosi – odparła.

– Nie może, kretynko! – wybuchnęła Shanda. – Boi się ciebie. Głucha jesteś?

Gaye wciąż się wahała.

Wtedy stało się coś, co wybawiło dziewczęta z kłopotu. Jeremy opuścił kolegów i ruszył w stronę śródkręcia. Gra toczyła się dalej bez niego.

– Nie mogę – wyznała lękliwie Gaye.

Jak ty nie możesz, to ja to zrobię – oświadczyła Shanda. Wciąż dysząc z wysiłku, Jeremy zawołał coś przez ramię do jednego z kolegów. Nie było wątpliwości, że idzie w ich stronę. Gaye wiedziała, że nie ma wyjścia. Shanda, najbardziej przebojowa z ich trójki, nie zawahałaby się, żeby zagadać do niego w jej imieniu. Jeremy znajdował się w odległości niespełna czterech metrów; nie patrzył na nią, ale zmierzał w jej stronę.

– No dalej, kretynko – syknęła jej do ucha Shanda, jednocześnie popychając koleżankę do przodu.

Szturchaniec był mocny. Młode, szczupłe ciało Gaye znalazło się na drodze nadchodzącego chłopca. Próbowwała odzyskać równowagę, ale było za późno. Dostrzegła ruch ramienia Jeremy'ego, który spojrzał w jej stronę. Pomyślała w ułamku sekundy: Shanda kłamała. Wcale mu się nie podobam. Nie może...

Jej myśl nigdy nie dobiegła końca. Nim Gaye Symington zdążyła odwrócić głowę, by rzucić przyjaciółce pełne pretensji spojrzenie, przestała istnieć.

Shanda i Alexis wykrzywiły twarz w uśmiechu tajemnego porozumienia, kiedy ich ciała zamieniły się w parę.

Nikt nie usłyszał huku ani nie ujrzał błysku. Deuter i tryt, które łączą się w bombie wodorowej, zostają w ciągu kilku mikrosekund podgrzane do temperatury dziesięciu milionów stopni Celsjusza. Energia uzyskana w wyniku tej reakcji podgrzewa otaczające powietrze do temperatury trzystu tysięcy stopni Celsjusza po upływie jednej setnej milisekundy.

Ekipy ratownicze nie miały czego szukać. Jedynym śladem po statku i eksplozji nuklearnej miał pozostać cyfrowy błysk na ekranach monitorów stacji radarowych całego świata.

Jeremy Asner, nim śmierć zabiła mu mózg, zdążył pomyśleć: Z bliska jest ładniejsza.

## KSIĘGA PIERWSZA

### Grajek z Hameln

Grajek się rozgniewał, kiedy mieszkańcy miasta odmówili mu zapłaty za wyprowadzenie szczurów. Z zemsty postanowił zabić wszystkie dzieci. Zwabił je nad rzekę melodią swej fujarki. Dzieci nie mogły się oprzeć dźwiękom pieśni, tak samo jak wcześniej gryzonie. Pospieszyły ku wodzie i rzucały się w jej nurt, jedno za drugim.

Wszystkie się utopiły.

Ocalało tylko jedno dziecko; był to głuchy chłopiec, który nie słyszał melodii wygrywanej na fujarce. Pozostał w domu, a potem się dowiedział, że wszyscy jego przyjaciele odeszli.

## Rozdział 1

Sześć miesięcy później

Liberty, Iowa

15 listopada

Śnieg padał cicho, niczym sen spowijał ziemię.

Listonosz wyłonił się zza rogu, ciągnąc swój wózek z torbą pocztową. Koła zostawiały wilgotne czarne ślady na świeżym śniegu zalegającym chodnik. Przygarbiony bałwan, którego ulepiono poprzedniego dnia, obserwował żalonym wzrokiem przechodzącego listonosza; nos z kaczana kukurydzy smutno zwisał.

Nie pamiętano takich opadów o tej porze roku. Dzień wcześniej odwołano zajęcia szkolne. Była sobota, dlatego dzieci z miasta mogły cieszyć się tym, co pozostało jeszcze z nagromadzonego śniegu, jeżdżąc na sankach i plastikowych deskach.

Listonosz, przechodząc przez ulicę, zachowywał konieczną w tym dniu czujność. Soboty były dla niego o wiele niebezpieczniejsze niż pozostałe dni tygodnia i znacznie ciekawsze. Dzieci cieszyły się wolnością. A to oznaczało śnieżki i psikusy, czasem też pojawiał się jakiś niesforny pies. Trzeba było zachować ostrożność.

Coś go jednak zatrzymało na środku ulicy. Stał jak wryty, trzymając rączkę wózka, ze wzrokiem wlepionym w dal rozciągającą się poza domami, drzewami i zaśnieżonymi trawnikami. Jedną dłoń uniósł ku brodzie, jakby zamierzał pogłodzić ją z namysłem. Drugą przyciskał do boku. Zamrugał, kiedy gnane wiatrem płatki zaczęły osiadać mu na rzesach. Usta miał zamknięte, mocno zaciskał szczęki.

Miał tak stać przez dziesięć minut. Dziwnym zrządzeniem losu wszystkie dzieci siedziały w domach – bawiły się w swoich pokojach, oglądały poranne programy w telewizji albo szykowały się do lunchu. Matki, które nie chodziły do pracy, spodziewały się poczty dopiero po południu, nikt więc nie wyszedł na ulicę, żeby zajrzeć do skrzynki na listy.

Przez te dziesięć minut listonoszowi nie drgnął nawet mięsień na twarzy. Był równie sztywny jak konający bałwan, który zapadał się pod ciężarem świeżego śniegu.

Matka stała w kuchni i oglądała wiadomości, rozmawiając jednocześnie przez telefon z siostrą.

– Nie – powiedział. – Właśnie szykuję dzieciakom jedzenie.

Przerwała, słuchając czegoś, co mówi siostra.

– Nie – odparła z nutą gniewu w głosie. – Mam dosyć mężów, nie zamierzam nawet kiwnąć palcem. Poradzaj sobie beze mnie. Dość tego.

Wykręciła szyję, by zerknąć w stronę pokoju dziecięcego. Instykt podpowiedział jej, że maluchy coś knują.

– Poczekaj chwilę – zwróciła się do siostry. Potem przycisnęła słuchawkę do piersi i krzyknęła do chłopca: – Zostaw ją!

Zapadła cisza. Matka podeszła do drzwi pokoju i popatrzyła surowo na dzieci.

– Lunch za pięć minut – oświadczyła. – Nie wyjdziecie stąd, dopóki nie posprzątaacie tego bałaganu.

Jedno miało pięć lat, drugie siedem. Dziewczynka, pozostawiona sama sobie, zachowywała się dość spokojnie, ale chłopiec, Chase, był diabłem wcielonym. Jeśli akurat nie dręczył siostry, to namawiał ją do psot. Pozostawienie ich samych w pokoju choćby na pół godziny groziło wybuchem poważnego kryzysu.

Matka wróciła do kuchni z bezprzewodową słuchawką telefonicznie w dłoni. Na ekranie telewizora widniała twarz Colina Gossa, kontrowersyjnego pravicowego polityka, którego wysoka pozycja w sondażach budziła niepokój wielu obserwatorów sceny politycznej.

– Boże – powiedziała. – W wiadomościach jest ten maniak Goss.

– Zgaś telewizor – doradziła siostra.

– Najchętniej bym jego zgasła – odparła matka.

Obie siostry nienawidziły Colina Gossa, wiecznego niezależnego kandydata na prezydenta, który przegrał trzykrotnie w wyborach powszechnych. Uważały go za zwykłego demagoga, zagrożenie dla wolności i potencjalnego naśladowcę Hitlera. Jednak mężowie obu kobiet dali się porwać fali poparcia dla Gossa. Wieczory bez kłótni o tego człowieka należały do rzadkości.

– Gary ogląda wszystkie wystąpienia Gossa na C-Span – powiedziała matka. – Naprawdę uważa, że facet ma rację.

– Tak jak Rich. Słyszałam z tysiąc razy, jak to powtarzał: Colin Goss jest silny, Colin Goss to jedyny człowiek, który ma dość ikry, żeby zrobić porządek. Dla mnie to szaleniec. W dodatku antypatyczny.

– Nieprzyjemny gość, to fakt.

Wielu mężczyzn podziwiała Gossa za powodzenie w interesach, siłę i twardość. Widzieli w nim dynamicznego przywódcę, który mógł „ocalić kraj”. Lecz kiedy na twarz Gossa patrzyły kobiety, dostrzegały w nim rozpustnika, nieprzyzwoitego starca. Miał w sobie coś okrutnie zmysłowego, co budziło ich niechęć.

Głównym hasłem kampanii Gossa był, jak zawsze, antyterroryzm. Goss, laureat Nagrody Nobla, biochemik, który zbudował swe imperium farmaceutyczne od zera, stał się jednym z najbogatszych biznesmenów na świecie. Mówiono, że jego wpływy sięgają każdego zakątka sfer rządowych i sektora prywatnego. Przez lata miał wielokrotnie na pieńku z terrorystami, których działania szkodziły jego zamorskim interesom. W latach dziewięćdziesiątych objawił się jako najbardziej elokwentny, a z pewnością najgłośniejszy zwolennik antyterroryzmu w polityce amerykańskiej.

Poglądy Gossa nigdy nie zyskały szerokiego poparcia, głównie dlatego, że terroryzm nie dotknął jeszcze Amerykanów na ich ziemi, a także dlatego, że jego mowy pełne były ledwie skrywanego rasizmu, zwłaszcza wobec Arabów i kolorowych. Kiedy Goss mówił o „wyczyszczeniu” Trzeciego Świata i amerykańskich klas niższych, wielu obserwatorów sceny politycznej wzdragało się na te słowa. Nie słyszano takiej retoryki od czasu ruchów faszystowskich w latach trzydziestych.

– Gdyby nie Crescent Queen – oświadczyła matka – nikt nawet nie zwróciłby uwagi na Gossa. Ale ludzie są nie na żarty wystraszeni.

– Nic dziwnego – zauważyła jej siostra. – Pomyśl o tych biednych dzieciakach, które wyparowały na środku morza. To niewiarygodne.

Wojskowi i naukowcy doszli do wniosku, że Crescent Queen został zniszczony przez taktyczną broń jądrową, przenoszoną za pomocą pocisków balistycznych. Żadna z grup terrorystycznych nie przyznała się do ataku. Prezydent obiecał, że odpowiedzialni za tę tragedię szybko staną przed obliczem sprawiedliwości. „Tragedia Crescent Queen musi być nie tylko wyjaśniona – oświadczył. – Musi zostać pomszczona”.

Minęło jednak sześć miesięcy, a wysiłki federalnych służb wywiadowczych nie zdołały ujawnić sprawców. Ostatni raz Amerykanie tak się bali w czasie kryzysu kubańskiego.

W tydzień po ataku główne stacje telewizyjne i kablowe otrzymały z niewiadomego źródła przerażające nagranie wideo. Ukazywało Crescent Queen, unoszący się spokojnie na falach Morza Śródziemnego, w takim przybliżeniu, że na dziobie wyraźnie było widać nazwę statku. Po chwili eksplozja nuklearna zamieniała statek w parę, a kamera przeszła na plan ogólny, by pokazać chmurę w kształcie grzyba, unoszącą się majestatycznie nad błękitnym morzem. Film nakręcono bez wątplenia z pokładu jednostki nawodnej, znajdującej się w bezpiecznej odległości od wybuchu.

– Człowiekowi chodzą ciarki po plecach – wyznała siostra. – Czekasz tylko, gdzie uderzy następna bomba. Nie mogę w nocy zmrużyć oka.

– Gary uważa, że za tym wszystkim stoją muzułmanie – powiedziała matka. – Mówi, że technologię jądrową dostarcza Irak albo Libia, czy jeszcze ktoś inny, a terroryści muzułmańscy naciskają tylko guzik.

– Może ma rację. Ale to bez różnicy, skoro nie mamy pojęcia, co z tym zrobić. Czuję się jak na strzelnicy. Umieram ze strachu o dzieciaki.

– Wiesz, co jeszcze mówi Gary? Że trzeba zabić wszystkich muzułmanów, a reszta spraw jakoś się ułoży.

– Rich jest taki sam. Mówi, żeby rzucić bombę atomową na Arabów, a zasoby ropy podzielić między kraje rozwinięte, i będzie po kłopotach.

Wielu Amerykanów wyrażało podobne opinie. Trudno było im powstrzymać ślepy gniew, kiedy widzieli w wiadomościach muzułmanów maszerujących ulicami stolic Bliskiego Wschodu i świętujących tragedię Crescent Queen. Wznosząc ku górze zaciśnięte pięści i transparenty z napisem „Śmierć Ameryce”, uważali atak za zwycięstwo nad Stanami Zjednoczonymi.

Terroryzm muzułmański narastał i rozprzestrzeniał się w krajach Trzeciego Świata niczym rak. Rządy bliskowschodnie, południowoazjatyckie i północnoafrykańskie, zastraszone presją muzułmanów, nie śmiały odmawiać schronienia terrorystom, nawet jeśli narażało je to na sankcje gospodarcze ze strony Ameryki.

Jednocześnie przedłużający się kryzys paliwowy, wywołany przez wrogie państwa arabskie, pogłębił recesję, która zaczęła się tuż przed wyborami prezydenckimi. Bezrobocie osiągnęło najwyższy poziom w tym pokoleniu.

Nieliczni Amerykanie wspominali czasy zaledwie sprzed kilku lat, kiedy to największym problemem narodu było zagospodarowanie nadwyżek. Stary świat oszedł. Jego miejsce zajął nowy, w którym człowiek wstrzymywał oddech i czekał na kolejną tragedię.

– Wiesz – ciągnęła matka – Gary chyba naprawdę uważa, że Goss to robi, kiedy zostanie prezydentem.

– Zabije muzułmanów?

– Tak. Czy coś w tym rodzaju... choć to nienormalne.

– Nie wiem... Rzeczywiście wydaje się nienormalne, ale wcale nie jestem pewna, czy Goss nie jest przypadkiem do tego zdolny. Ma coś takiego w oczach... Rozumiesz, Hitler też nigdy nie powiedział, że zamierza zabijać ludzi.

– Nie mogę uwierzyć, że mówimy o jego prezydenturze – powiedziała matka. – Dziesięć lat temu nikomu by to nie przyszło do głowy.

– Tak, ale to było przed Crescent Queen. Ludzie chcą odwetu. Zwłaszcza mężczyźni.

– Recesja też robi swoje. Jak się nie ma przez dwa lata pracy, to człowiekowi zaczyna odbijać. Wiem, że tak właśnie jest z Garym. Nigdy tak się nie zachowywał.

Popularność prezydenta spadła do najniższego poziomu w tej kadencji. W Kongresie mówiło się nawet o jego rezygnacji i poprawce do konstytucji zezwalającej na wybory nadzwyczajne, w których Amerykanie głosowaliby na nowego przywódcę. Colin Goss był najgorętszym rzecznikiem tych zmian. W nowym klimacie strachu i gniewu uchodził za prawdopodobnego kandydata na najwyższy urząd. Piął się stopniowo w sondażach, w miarę jak zaufanie do administracji malało.

– Rich mówi, że jeśli Goss będzie się ubiegał o prezydenturę, to pierwszy pobiegnie do urny. Tak bardzo chce na niego głosować.

– Modłę się, by nigdy do tego nie doszło.

Matka odwróciła wzrok od ekranu telewizora i w tym samym momencie dostrzegła listonosza stojącego na środku ulicy. Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że mężczyzna w ogóle się nie rusza. Jego ramiona i czapkę przykrywała już cienka warstwa śniegu.

– Posłuchaj – zwróciła się do siostry – muszę kończyć. Coś chyba się stało panu Kenndy’emu. Oddzwonię później, dobrze?

Odwiesiła słuchawkę, spojrzała, co robią dzieci, i narzuciła płaszcz. O butach przypomniała sobie przy drzwiach wejściowych. Ruszyła przez zaśnieżony trawnik w stronę chodnika, potem weszła na ulicę.

Kiedy zbliżała się do nieruchomego listonosza, okolica była pogrążona w dziwnej martwocie. Nigdzie nie dostrzegła samochodu, jak ulica długa i szeroka nie było śladu po oponach. Płatki śniegu spadały z szarego nieba niczym małe poduszki.

Stanąła dostatecznie blisko, by dostrzec śnieżynki na nosie i rzęsach mężczyzny. Twarz miał całkowicie pozbawioną wyrazu, niczym Blaszyński Człowiek z Czarnoksiężnika z Oz, który po prostu zastygł bez ruchu, rdzewiejąc z powodu deszczu.

– Panie Kennedy? – spytała. – Dobrze się pan czuje?

Oczy listonosza były bladobłękitne. Zorientowała się po ich wyrazie, że jej nie usłyszał. Malowało się w nich coś dziwnego, ale dopiero później, kiedy opisywała wszystko pracownikom służby zdrowia, wyraziła się, że miał oczy, jakby go zahipnotyzowano.

Zawołała do niego kilka razy, ośmieliła się nawet dotknąć jego rękawa. Lecz mężczyzna przypominał posąg, całkowicie nieświadomy jej obecności.

Zauważyła zbliżającą się dwójkę dzieci z sąsiedztwa.

– Nie podchodźcie! – zawołała. – Pan Kennedy może być chory.

Dzieci oddaliły się niechętnie. Matka pobiegła z powrotem do domu, nakazała Chase'owi i Annie pozostać w pokoju, a potem wykręciła 911. Dyżurny pomylił ulicę i dopiero mniej więcej po dwudziestu pięciu minutach obok nieruchomego listonosza zatrzymał się radiowóz policyjny. Z pobliskich domów zdążyły już się wyłonić inne dzieci, które przypatrywały się ciekawie, stojąc na zaśnieżonych trawnikach.

Jeden z policjantów podszedł do listonosza. Zauważył mokrą plamę na policzku mężczyzny. Spuścił wzrok i zobaczył resztki kuli śnieżnej u jego stóp.

– Dzieci, uciekać do domów – nakazał, dając znak partnerowi, który zaczął je odganiać.

Policjant próbował wsadzić listonosza do radiowozu, ale wydawało się, że mężczyzna stawia opór, jakby przywarł do swego miejsca. Szczęki miał mocno zaciśnięte, a na twarzy malował mu się wyraz pustej, bezsensownej nieustępliwości.

Po kolejnych kilku bezowocnych próbach wezwano karetkę.

– W porządku, dzieci – powiedziała jedna z matek, która odważyła się wyjść na ganek. – Wracajmy do domu, zanim odmrozimy sobie nosy.

Dzieci, które po odjeździe karetki i radiowozu straciły zainteresowanie dla całej sprawy, pochowały się w domach.

Lekarz dyżurny, który badał tego popołudnia Wayne'a Kennedy'ego, skontrolował oznaki życiowe pacjenta. Tętno, ciśnienie krwi, nawet odruchy mieściły się w normie. Mężczyzna jednak nie mógł mówić ani wykonać prostych poleceń. („Wayne, możesz podnieść mały palec?”). Zauważono, że jego oczy reagują na promień latarki, ale kiedy poproszono go, by wodził za nim wzrokiem, nie mógł czy też nie chciał tego robić.

Przed wieczorem Kennedy'ego przeniesiono do separatu obok oddziału intensywnej opieki medycznej. Lekarze zupełnie się nie orientowali, co mu dolega, nie wiedzieli więc, czego się spodziewać. Nie wykluczali użycia sprzętu podtrzymującego funkcje życiowe, jeśli przyczyną stanu pacjenta był jakiś nieznany czynnik o charakterze toksycznym albo zakaźnym. Z drugiej strony milczenie i bezruch mężczyzny wskazywałaby raczej na zaburzenia umysłowe, co także wymagało obserwacji.

Przed dziewiątą wieczorem pacjenta zdążyli obejrzeć prawie wszyscy lekarze i stażyści, a mimo to nikt nie potrafił postawić sensownej diagnozy.

Pielęgniarkom polecono obserwować Kennedy'ego, a potem położono go na noc do łóżka.

Przez cały ten czas Wayne Kennedy, weteran służby pocztowej z piętnastoletnim stażem, nie odezwał się nawet słowem.

## Rozdział 2

Alexandria, Wirginia

16 października

7 rano

Karen Embry śniła.

Niespokojny sen, rezultat opróżnionej do połowy butelki bourbona, był intensywny i pełen lęku.

Ubiegała się o pracę w jakimś wysokim budynku. Winda ruszyła w górę z taką siłą, że Karen zabrakło tchu w piersiach. Przyszło jej do głowy, że za chwilę zmoczy majtki.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, na powitanie wyszedł szef kadr. Spojrzawszy po sobie, Karen zauważyła z przerażeniem, że od pasa w dół jest goła. Miała tylko żakiet i apaszkę, włożone na tę okazję, dużą torebkę i czerwone skórzane buty.

Otworzyła torebkę, która wydawała się nienaturalnie wielka, by poszukać w niej spódniczki i bielizny, ale była pusta.

Muszę iść do damskiej toalety, pomyślała. Dostrzegła drzwi z napisem „Panie” i pchnęła je. Szef kadr uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby chciał powiedzieć: „Śmiało, zaczekam tutaj”, lecz w ostatniej chwili wtargnął za nią do toalety.

Było w tym coś magicznego, ponieważ gdy tylko znaleźli się razem w środku, nie był już mężczyzną, tylko małą dziewczynką. Karen popatrzyła na swe odbicie w lustrze i zauważyła, że ona także cofnęła się w czasie i stała się znowu mała, jak w rodzinnym domu w Bostonie. Wciąż była naga od pasa w dół. Tak jak druga dziewczynka.

„Dotykajmy się”, zaproponowała tamta. Karen przyszło do głowy, że rozpoznaje w niej przyjaciółkę z dzieciństwa, być może Elise. Obie wyciągnęły dłonie, by się pieścić.

Wszystko zadrżało. Trzęsienie ziemi. Budynek przechylił się nagle w jedną stronę. Drzwi od ubikacji pootwierały się z głośnym hukiem.

Karen próbowała uciec, ale dziewczynka trzymała ją za obie ręce. Budynek przewracał się z ogłuszającym grzmotem. Karen leciała bezwładnie w przestrzeni, wiedząc, że za chwilę zostanie pogrzebana pod tonami betonu i stali.

Na pomoc! Pomocy!

Karen obudziła się z krzykiem w gardle.

Dzwonił budzik. Wyciągnęła sennie rękę, by go wyłączyć, i uświadomiła sobie, że walący się budynek z jej koszmaru sennego był w rzeczywistości dźwiękiem zegara.

Gdy szukała po omacku budzika, powrócił gwałtownie ból głowy. Pusta szklanka obok łóżka przypominała jej, ile trzeba wypić, by doprowadzić się do takiego stanu. Odezwało się bolesne pulsowanie w pęcherzu. Nic dziwnego, że śniła jej się łazienka.

Z jękiem zwlokła się z łóżka i stanęła wyprostowana.

– Jezu – powiedziała. Ból głowy przybrał na sile. Ruszyła niepewnym krokiem do łazienki, otworzyła szafkę z lekami i znalazła butelkę z ibuprofenem. Wytrząsnęła trzy tabletki na drżącą dłoń i napełniła brudną szklankę wodą z kranu. Przeniosła się do kuchni. Ekspres do kawy czekał litościwie, napełniony i gotowy do pracy. Pomimo upojenia alkoholowego pamiętała poprzedniego wieczoru, by go naszykować.

Włączyła urządzenie i poczłapała z powrotem do sypialni. Bulgotanie ekspresu przypominało dłoń zaciskającą się raz po raz na jej krtani.

– Jezu Chryste – wymamrotała. – Szybciej.

Minęło siedem długich minut, zanim ekspres zaczął perkotać. Ibuprofen jeszcze nie zadziałał, kiedy przyniosła do łóżka pierwszą filiżankę. Z na wpół przymkniętymi oczami włączyła mały telewizor.



Leciał właśnie Washington Today, polityczny talk-show, jeden z najpopularniejszych. Dan Everhardt, wiceprezydent, znajdował się pod ostrzałem dwóch prawicowych senatorów, przed którymi był zmuszony bronić polityki rządu w kwestii terroryzmu.

– Proszę mi powiedzieć, jak może bronić pan polityki, która się po prostu nie sprawdza? – spytał jeden z nich.

Jest faktem, że nasza polityka dotycząca terroryzmu działa – powiedział z naciskiem Everhardt. – Dzięki współpracy z rządami na całym świecie zapobiegliśmy niezliczonym atakom terrorystycznym przez ostatnie lata...

– Ale nie tylu, ilu mogliście zapobiec.

– To niesprawiedliwe...

– Nie zapobiegliście atakowi na World Trade Centre. Ani Crescent Queen.

Karen się uśmiechnęła. Dan Everhardt nie był dobrym dyskutantem. Spokojny, rodzinny człowiek, były obrońca futbolowej drużyny uniwersyteckiej, odznaczał się uczciwością i spokojem, nie elokwencją. Prezydent wybrał go na swego zastępcę z tych właśnie powodów.

Everhardt był bardzo popularny. Miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i odznaczał się pewnym czerstwym, zdrowym urokiem. Niestety, kiepski refleks stawiał go na straconej pozycji w starciu z dwoma bezlitosnymi zwolennikami Gossa.

– To były straszne tragedie – przyznał. – Ale i bezcenne dla nas lekcje. Ja...

– Nie takie, jakich potrzebowaliśmy – przerwał mu jeden z senatorów. – Atak na World Trade Centre powinien nas nauczyć, jak niszczyć tych fanatyków, nim zaatakują pierwi. Tragedia Crescent Queen wydarzyła się właśnie dlatego, że nie wyciągnęliśmy wniosków z tej lekcji. Zamordowano dziewięćuset niewinnych ludzi, w większości dzieci. I wciąż nie wiemy, kto za tym stał. Siedzimy tu jak barany czekające na rzeź. Kolejna bomba wodorowa może uderzyć w Nowy Jork albo Waszyngton. Czy wy, ludzie z Białego Domu, wiecie w ogóle, z czym mamy do czynienia?

Na nieszczęście dla wiceprezydenta gospodarz programu skorzystał z okazji, by na studyjnym monitorze pokazać obraz grzyba unoszącego się nad błękitnymi wodami Morza Śródziemnego w miejscu, gdzie niegdyś płynął Crescent Queen.

Co gorsza, przerwał dyskusję, by mógł w niej wziąć udział za pośrednictwem łączny satelitarnych sam Goss, który przebywał w siedzibie swej firmy w Atlancie.

– Panie Goss, może pan skomentować jakoś naszą dyskusję?

Mam nadzieję, że tak. – Goss pochylił się do przodu, wlepiając ostre spojrzenie szarych oczu w obiektyw kamery. – Szanuję moich znakomitych kolegów i uważam, że w tych niebezpiecznych czasach przemawia przez nich szczerą troską o nasz naród. Nie zgadzam się jednakże z logiką prezentowaną przez wiceprezydenta Everhardta. Nie sądzę, by nasza polityka wobec terroryzmu przynosiła pożądany skutek. Niech mi wolno będzie odwołać się do pewnej analogii. Przypuśćmy, że jakiś ranczer hoduje owce, a wilki przedzierają się przez ogrodzenie i zabijają zwierzęta. Zasięgał rady najlepszych ekspertów od ogrodzeń i dowiedział się, że nie da się zbudować takiego, które zapewni owcom stuprocentową ochronę. Stoi więc przed dwojakim wyborem. Może albo zlikwidować hodowlę, sprzedać zwierzęta i poddać się – albo zastrzelić wilki, które zabijają owce. Złączył dłonie w geście świadczącym o pewności siebie.

– Wydaje się, że naród amerykański podziela moje zdanie: nadszedł czas, by zaatakować wściekłe psy, które masakrują nasze dzieci.

Karen się uśmiechnęła. Czas zaatakować. Był to jeden z ulubionych sloganów wyborczych Gossa. Wściekłe psy oznaczały w jego języku terrorystów. „Nie można negocjować z wściekłymi psami”, zwykł mawiać.

Goss odchylił się do tyłu, lecz wydawało się, że wciąż patrzy gniewnie w kamerę. To dzięki swym oczom stał się postacią szerszej znanej społeczństwu, gdyż ich spojrzenie świadczyło o żelaznej woli i nieprzećniętej inteligencji Gossa. Niektórzy obserwatorzy twierdzili jednak,

że właśnie jego oczy przyczyniły się do porażki w trzech kampaniach prezydenckich, w jakich brał udział. W spojrzeniu Gossa było coś niebezpiecznego. Jedni brali to za siłę, inni za bezwzględność. Miał spojrzenie przywódcy, ale być może i złego człowieka.

Dan Everhardt był wyraźnie zbity z tropu porównaniem Gossa.

– Po pierwsze zaatakowaliśmy – oświadczył. – Zrobiliśmy to z wielkim powodzeniem w Afganistanie.

– Nasza kampania w Afganistanie tylko sprowokowała terrorystów – odparł gniewnie Goss. – I czy zapobiegła tragedii Crescent Queen? Przez lata wiedzieliśmy, że terroryści pracują nad bronią masowego rażenia. Widać to było gołym okiem. A jednak nic nie zrobiliśmy. Wiemy, czym się to skończyło. – Uśmiechnął się protekcjonalnie. – W sporcie jest takie powiedzenie – najlepszą obroną jest atak. Zastanawiam się, czy wiceprezydent i jego administracja kiedykolwiek to rozumieli.

– W pańskiej analogii jest coś, co mi się nie podoba – powiedział z wahaniem Everhardt. – Przede wszystkim w cywilizowanym świecie nie rozwiązuje się problemów, wyciągając broń i strzelając do ludzi.

– Wprost przeciwnie – zauważył Goss. – Posługujemy się siłą, by się bronić, kiedy przeciwnik nie wykazuje rozsądku. Być może pan nie pamięta, jak pokonaliśmy Hitlera i Husajna.

Wychylił się do przodu, oczy mu pociemniały.

– Teraz sytuacja jest jeszcze prostsza. Tu nie chodzi o walkę o terytoria, jak w przypadku Hitlera i Husajna. Terroryści mają jeden cel. Chcą zabić Amerykanów. Powtarzają to od dawna, nie owijając w bawełnę. Zabić Amerykanów. A nasza odpowiedź sprowadza się do tego, że siedzimy tu, czekając na atak. To gorsze niż tchórzostwo. To obłęd.

W tym momencie Dan Everhardt popełnił zasadniczy błąd.

– Ale skąd mamy wiedzieć, kogo zaatakować? – spytał. – Nie mamy pojęcia, kto stał za tragedią Crescent Queen.

Wśród zgromadzonej w studiu publiczności rozległo się głośne westchnienie. Everhardt ujawnił słabość swego rządu zarówno w działaniach wywiadowczych, jak i zdolności do kontrataku.

Colin Goss wyduł pogardliwie wargi.

– Gdybyśmy mieli odpowiedniego przywódcę w Waszyngtonie – oświadczył – wiedzielibyśmy, kogo zaatakować.

Cisza, która zapadła po tej uwadze, była niezwykle kłopotliwa dla Everhardta i tych wszystkich, którzy popierali obecny rząd.

– No cóż... – zająknął się Everhardt.

Pospieszył mu z pomocą gospodarz programu.

– Mam kolejnego gościa na łączach satelitarnych. Senator z Marylandu, Michael Campbell, przyjął nasze zaproszenie do debaty. Senatorze Campbell, jak skomentowałby pan analogię przytoczoną przez pana Gossa?

Karen, popijając kawę, znów się uśmiechnęła. Zwolennicy Gossa musieli być wkurzeni, widząc Campbella spieszącego z pomocą Everhardtowi. Campbell był dobrym mówcą i dyskutantem.

– Zgadzam się z Danem Everhardtem – oświadczył Campbell. – Analogia pana Gossa jest chyba błędna.

Kontrast między przystojną twarzą Campbella i nieco obwisłym, podstarzałym obliczem Gossa narzucał się nieodparcie.

Podobnie jak kontrast między gniewnym spojrzeniem starszego mężczyzny i uważnymi, niemal łagodnymi oczami młodszego senatora.

– Zgadzam się – ciągnął – że istnieją na świecie wściekłe psy, ale uważam, że nasz system praw i konwencji międzynarodowych to odpowiedni instrument służący do zwalczania tych

wrogów. Wyrażę to w ten sposób: kiedy własność hodowcy jest zagrożona przez wilki, siada do stołu z innymi hodowcami i zastanawiają się, co należy zrobić, by kontrolować populację drapieżników i chronić swą własność. Działając wspólnie, rozwiązują problem. Żaden hodowca, który po prostu rusza w prerię z karabinem, nie może rozwiązać całkowicie problemu.

Siła tego argumentu była niemal odczuwalna. Campbell, pomimo swego młodego wieku, potrafił wyrazić dojrzały, ogólniejszy pogląd, konieczny do zwalczania krwiożerczej metafory Colina Gossa.

Goss popatrzył na Michaela Campbella ze starannie skrywaną niechęcią.

– A co się stanie – spytał – jeśli hodowca i jego przyjaciele nie zdołają się porozumieć co do konkretnych metod, jakich należy użyć, by pokonać wilki? Jeśli więksi hodowcy i mniejsi nie zgadzają się w tej kwestii? Jeśli negocjacje ciągną się miesiącami czy latami?

Ile owiec trzeba stracić, nim zrobi się coś, co powstrzyma wilki?

Była to nieskrywana aluzja do porozumienia bilateralnego z poprzedniego roku, które stanowiło owoc konferencji na szczycie z udziałem Izraela, Stanów Zjednoczonych i przywódców większych państw arabskich. Porozumienie zakładało utworzenie wspólnego frontu walki z terroryzmem. Lecz jego warunki były tak mętne, że w swej końcowej formie było ono zupełnie pozbawione konkretów.

Dziewięciuset uczniów i nauczycieli na pokładzie Crescent Queen zmieniło się w parę dokładnie sześć miesięcy po podpisaniu porozumienia bilateralnego.

Dan Everhardt nie umiał udzielić żadnej odpowiedzi. Michael Campbell jednak zdawał się tylko czekać na to pytanie.

– Ponownie nie wydaje mi się, by analogia była trafna – oświadczył. – Celem współpracy hodowców jest zastosowanie każdej odpowiedniej metody, w tym także brutalnej siły, by powstrzymać wilki, które zabijają owce. Pan Goss nie może zapominać, że to dzięki wspólnemu wysiłkowi koalicji państw zmuszono Husajna do wycofania się z Kuwejtu. Kampania w Afganistanie, która doprowadziła do klęski talibów, także miała charakter międzynarodowej operacji.

– Zgadzam się z senatorem Campbellem – wtrącił Dan Everhardt. – Nie możemy stosować nieformalnych taktyk w walce z terroryzmem. Świat, który staramy się chronić, jest światem cywilizowanym. Musimy działać w sposób cywilizowany.

– Chcę powiedzieć jeszcze jedno – doda! Michael Campbell. – Wielu moich przodków to Irlandczycy. Co się stanie, jeśli zostanie pan zaatakowany przez jakąś grupę terrorystyczną i odpowie pan terrorem na terror, wysadzając jedną z ich szkół za każdą wysadzoną szkołę u siebie? Zabijając jednego z ich przywódców za każdego zabitego przywódcę po własnej stronie? Będzie to przypominało Irlandię Północną. Czy tego chcemy dla naszych dzieci i wnuków? Trzeba pomyśleć o innym rozwiązaniu.

– Mądrze – zauważyła głośno Karen. Campbell był skromny, często ustępował starszym i bardziej doświadczonym politykom, ale potrafił ujmować sprawę w taki sposób, by mogli ją pojąć przeciętni ludzie.

W ciągu kilku minionych miesięcy sfery rządzące odkryły Campbella jako potężną broń przeciwko populistycznym siłom Gossa. Campbell był za młody, by identyfikować go z polityką końca dwudziestego wieku, która nie zdołała opanować terroryzmu. Był przystojny, elokwentny i – co najważniejsze – stanowił uosobienie wielkiej fizycznej odwagi. Jako nastolatek doznał poważnego skrzywienia kręgosłupa, które wymagało długiego leczenia i pobytu w szpitalu. W czasie rehabilitacji zaczął uprawiać pływanie wyczynowe i został reprezentantem Harvardu. Na trzecim roku musiał przejść drugą operację, po której zdobył dwa złote medale na olimpiadzie już jako student pierwszego roku prawa Uniwersytetu Columbia.

Kariera polityczna Campbella nabrała rozpędu dzięki triumfom olimpijskim i przeżyciom, które stały się jego udziałem. Bez trudu zdobył miejsce w Senacie jako przedstawiciel stanu Maryland. Był podziwiany przez mężczyzn za odwagę i pożądany przez kobiety doceniające jego fizyczną atrakcyjność. Wyborcy płci obojga podziwiali jego piękną żonę, której twarz ukazywała się co miesiąc na okładce „Vogue’a”, „Cosmopolitan” albo „Redbook”.

Karen ziewnęła i łyknęła kwaskowatej kawy. Musiała przyznać, że Campbell był przystojnym mężczyzną. Ciało, które przysporzyło mu sławy olimpijskiej, wciąż wydawało się mocne i pociągające. Miał czystą, młodzieńczą karnację, która dobrze współgrała z ciemnymi, kędzierzawymi włosami. Połączenie młodości i argumentacji na rzecz umiarkowania przemawiało do wyobraźni.

Widoczny na ekranie monitora studyjnego Colin Goss chyba był tego świadomy. Patrzył na Michaela Campbella z protekcyjnym uśmiechem. Jego osobista niechęć do młodego senatora była powszechnie znana. Uważał go za ambitnego żółtodzioba, nieznałającego się na poważniejszych zagadnieniach, gwiazdora filmowego starającego się zrobić karierę dzięki fizycznej atrakcyjności i urokowi. Mimo to zdawał sobie sprawę, że Campbell jest na płaszczyźnie politycznej groźnym przeciwnikiem.

Karen poczuła, że trzy tabletki zaczęły już działać. Podniosła się, nalała sobie jeszcze kawy i poszła wziąć prysznic. Zostawiła kubek na pokrywie sedesu, gdzie łatwo mogła go dosięgnąć, a potem stała długą chwilę pod strugami parującej wody. W końcu namydliła się, umyła włosy i wreszcie odkręciła zimniejszą wodę, by spłukać się do końca.

Odwiesiła ręcznik i weszła nago do sypialni. Kiedy wysuwała szufladę z bielizną, jej uwagę przykuł ekran telewizora.

Washington Today został przerwany przez specjalny komunikat. Na ekranie pojawiła się relacja na żywo z blokady na jakiejś drodze, gdzieś pośród pól uprawnych Iowy. Reporter rozmawiał akurat z zatroskanym przedstawicielem władz medycznych kraju.

– Wciąż staramy się ocenić sytuację – mówił pracownik służby zdrowia. – Wiemy, że są ofiary w kilku społecznościach tej części stanu, ale jeszcze nie znamy dokładnej liczby. Ewakuujemy je w miarę lokalizowania.

– Może pan skomentować pogłoski, że w wyniku tajemniczej choroby ludzie kamienieją jak posągi? – spytał reporter.

– Nie wiem, czy jest to „tajemnicza choroba” – odparł tamten. – Wciąż to analizujemy, jak wspominałem. To prawda, że atakuje dość niespodziewanie, ale w tej chwili trudno mi powiedzieć cokolwiek więcej.

Przedstawiciel władz medycznych został zasypany głośnymi pytaniami innych reporterów, a na ekranie pojawiły się prawdopodobnie ofiary choroby. Pokazano jakiegoś mężczyznę leżącego bezwładnie za kierownicą wielkiej ciężarówki na zaśnieżonej drodze międzystanowej, a także autobus szkolny, ustawiony pod dziwnym kątem na skrzyżowaniu wiejskich dróg; za szybami można było dostrzec pozbawione wyrazu twarze dzieci. Ujęcie z helikoptera ukazywało lodowisko przy szkole średniej czy podstawowej. Łyżwiarze leżeli w dziwacznych pozach na lodzie, niektórzy twarzami do ziemi, inni zwinęci w kłębek.

Karen gapiła się na ekran, ściskając w rękę majtki. Poczowała dreszcz na ramionach. Zmarszczyła brwi.

– Tajemnicza choroba – powiedziała głośno.

## Rozdział 3

Waszyngton  
16 października

Nie upłynęła godzina od występu w telewizji, a wiceprezydent Dan Everhardt siedział w swoim biurze przywalony robotą.

Za oknem był piękny dzień. Pomnik Waszyngtona mierzył nieustraszenie w słoneczne niebo, podczas gdy jesień muskała swymi kolorami drzewa porastające aleję. Idealny dzień w Waszyngtonie, rześki i chłodny. Taki, o którym mieszkańcy miasta marzyli podczas parnego i upalnego lata.

Pogoda w sam raz na futbol. Powróciły wspomnienia meczów rozgrywanych podczas studiów, kiedy to Dan poddawał brutalnej próbie własną wytrzymałość w starciu z najtwardszymi napastnikami, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi.

Gdyby wyrzął przez okno, dostrzegłby może hondę Karen Embry, jadącą ulicą Siedemnastą. Karen była właśnie w drodze do Biblioteki Kongresu. Chciała zajrzeć do kilku podręczników medycyny, a nie miała na to wiele czasu. Lecz Dan Everhardt wpatrywał się akurat w listę spotkań wyświetloną na ekranie komputera. Lista była długa. Zapowiadał się męczący dzień.

Zadzwoił telefon na biurku. Sekretarka poinformowała go, że na linii jest prezydent. Dan usiadł pospiesznie i wcisnął odpowiedni guzik.

– Panie prezydencie. Cieszę się, że pana słyszę.

– Jak się masz, Danny?

– Doskonale, panie prezydencie.

– Dzwonię, żeby ci pogratulować występu w Washington Today. Podobało nam się to, co usłyszeliśmy.

Głos prezydenta miał swój zwykły, niejednoznaczny ton, czuły i wymagający zarazem. Szef Białego Domu wiedział, jak uzyskać od ludzi polityki wszystko, czego chciał, nie onieśmielając ich jednocześnie.

– Dziękuję, panie prezydencie. Cieszę się, że był tam Mike Campbell – odparł Dan. – Szczerze mówiąc, nie za dobrze sobie radzę w takich sytuacjach. Ten kawałek Gossa o hodowcach owiec trochę zbił mnie z tropu. Ale włączył się Mike i jakoś mnie wyciągnął.

– Michael to dobry chłopak – przyznał prezydent. – Jest bystry i ma właściwy instykt. Powiedziałem mu, jak bardzo doceniamy jego pomoc. Twierdzi, że zrobi dla nas wszystko.

– Cieszę się – odparł Dan Everhardt. – Niewykluczone, że będziemy go potrzebować. Widział pan dzisiejsze notowania, panie prezydencie?

– Pozwól, że sam będę się tym martwił, Danny. Zapewnienie ze strony prezydenta było szczerze, ale faktem pozostawało, że w ostatnich sondażach poparcie dla rządu było najniższe od początku kadencji. Niemal pięćdziesiąt procent uprawnionych do głosowania wyznało ankieterom, że gdyby wybory odbywały się w tym momencie, opowiedzieliby się za Colinem Gossem.

– Jeśli mam być szczerzy, panie prezydencie, to raczej kiepsko wypadłem – wyznał Dan. – Gdyby nie Mike, wyszedłbym na idiotę.

– Świetnie sobie poradziłeś, Danny. Ludzie mają prosty wybór. W tej chwili wyrażają obawy o przyszłość, flirtując z Gossem, ale nigdy nie przeniosą tego na karty do głosowania. Musimy tylko trzymać się twardo i robić swoje.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli, panie prezydencie. Pożegnali się i Dan Everhardt wydał westchnienie ulgi. Czyżby dosłyszał nutę zniecierpliwienia w uspokajających słowach prezydenta? Pod wpływem tej myśli zwilgotniała mu dłoń, kiedy odkładał słuchawkę. Bez względu na serdeczność tonu prezydent pozostawał prezydentem. Nie tolerował symulantów i nieudaczników. Wszyscy o tym wiedzieli.

Dan przez chwilę rozmyślał o Colinie Gossie. Żaden skrajny prawicowiec od czasu McCarthy'ego nie prezentował takiej wrogości. Dan Everhardt napisał na uniwersytecie pracę dyplomową na temat Hitlera. Dostrzegał oczywiste podobieństwa między antysemityzmem zawartym w Mein Kampf a mowami Gossa o terroryzmie. Ta sama megalomania, ta sama

paranoja. Karykatura przeciwnika jako podludzkiej komórki rakowej zżerającej serce cywilizowanego świata.

Nie ulegało wątpliwości, że trafiało to jakoś do umysłów ludzi. Od czasu tragedii Crescent Queen Amerykanie ustawiali się w kolejce, by posłuchać przemówień Gossa, i pisali do wydawcy swej lokalnej gazety, że jest to człowiek, który „uratuje ojczyznę”.

By tym bardziej rozniecić płomień opinii publicznej, Goss zaczął od pewnego czasu zamieszczać w większych gazetach i magazynach reklamy, w których podkreślał, jak ważny jest „Czas na atak” czy „Czas na zmiany”. Krytykowany przez dziennikarzy, a nawet doradców, za grę przedwyborczą w tak trudnym i bolesnym dla wielu momencie, Goss odpowiedział zamieszczeniem w telewizji spotów ze swoim udziałem. Na kanałach różnych stacji widywało się w tych dniach Gossa, na którego twarzy malowała się ojcowska troska, gdy mówił o „kryzysie”, jaki groził Ameryce, i o potrzebie „dokonania trudnego wyboru” przez Amerykanów w tym krytycznym momencie. Kilkakrotnie Goss ukazał się na tle eksplozji Crescent Queen.

Ci, którzy próbowali nie dopuszczać do nadawania tych programów, byli atakowani przez adwokatów Gossa, powołujących się na wolność słowa swego klienta. Szefowie reklam stacji telewizyjnych nie mieli nic przeciwko pieniądзом Gossa, zwłaszcza że ludzie, jak się wydawało, reagowali pozytywnie na jego widok.

Zapowiada się twarda walka, uświadomił sobie Dan Everhardt. Goss rzucał na szalę wszystko, by pozbawić prezydenta urzędu. Sytuacja polityczna była atutem Gossa. Strach ludzi przed kolejnym atakiem jądrowym, prawdopodobnie na amerykańskiej ziemi, rósł z każdym dniem. Coraz więcej wyborców pragnęło zmiany za jakąkolwiek cenę.

Dan cieszył się, że Michael Campbell jest po ich stronie. Mike był niezwykle popularny, co zawdzięczał wyłącznie sobie, a media wsłuchiwały się z uwagą w każde jego słowo.

Michael prawdopodobnie sam by w końcu kandydował na prezydenta. Jego wrodzone zdolności, w połączeniu z atrakcyjnym wyglądem i niezwykle popularnością zrodzoną z olimpijskich zwycięstw, czyniły z niego mocnego kandydata do Białego Domu. Uroda jego żony też była atutem. Jedyna skazę na tym obrazie stanowił brak dziecka. Nie ulegało jednak wątpliwości, że problem ten w ciągu najbliższych lat zostałby rozwiązany.

Tymczasem Dan Everhardt był wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie miał takich ambicji, by zasiąść w Białym Domu. Był lojalny wobec prezydenta i zdecydowany dopomóc mu w zachowaniu urzędu. W tym burzliwym czasie kraj bardziej niż kiedykolwiek potrzebował rozsądnego, mądrego przywódcy Dan Everhardt spojrzął na zegarek. Pozostało dwadzieścia minut do konferencji z liderem większości w Kongresie.

Wstał i przeciągnął się. Poczuł ostry ból w plecach, pozostałość po sportowej pasji. Miał też kontuzjowane kolano, pamiątkę po operacji więzadła. Ale przede wszystkim czuł się zmęczony. Napięcie, w jakim ostatnio żył, dawało znać o sobie.

Sięgnął do interkomu.

– Janice?

– Tak, sir?

– Wezmę szybki prysznic. Odbieraj przez kwadrans telefony, dobrze?

– Oczywiście, sir. Zechce pan teraz oddzwonić do senatora Burstina?

– Potem.

– Tak, sir.

Dan Everhardt spostrzegł swoje odbicie w lustrze, kiedy szedł do łazienki. Zauważył z pewnym niezadowoleniem, że zaczyna mu obwisać brzuch. Niegdysiejsza twarda tarcza napastnika przybierała z wolna postać sadła typowego dla mężczyzny w średnim wieku. Żałował, że brakuje mu czasu na ćwiczenia, ale tyle miał na głowie w ostatnich dniach. Jedno martini mniej wieczorem też by mu pomogło, ale to nie wchodziło w rachubę. Miał zbyt

napięte nerwy. Z żoną również nie układało mu się zbyt dobrze. Od dawna już nie rozmawiali ze sobą tak naprawdę, od serca. O seksie lepiej nie wspominać.

Wszedł do łazienki i zdjął ubranie. Zamierzał jak zwykle włożyć świeżą koszulę po kąpieli. Cholernie się poccił.

Powiesił marynarkę na wieszaku, a koszulę wrzucił do małego kosza na brudną bieliznę, potem zdjął spodnie i złożył je starannie. Przekręcił kran, zaczekał, aż woda się nagrzej, i wszedł do kabiny. Ogarnęła go nagła słabość. Pomyślał przez chwilę z troską o swoim sercu. Był po pięćdziesiątce i w nie najlepszej formie.

Poczuł się wydrążony. Przypomnił sobie Pam, jak leżała w łóżku, kiedy powiedział jej zeszłej nocy dobranoc. Sprawiała wrażenie takiej samotnej. Chciał ją przytulić, ale tyle już wody upłynęło w rzece. Spływała teraz bez końca ściekiem, choć wcześniej spadała z góry wspaniałą kaskadą. Całe życie przecieka nam przez palce, pomyślał. Nic nie trwa wiecznie.

Przypomnił sobie mowę, jaką wygłosił minionego roku podczas promocji absolwentów na uniwersytecie. Naszała go wtedy ta myśl – „nic nie trwa wiecznie” – nie miał jednak serca, by wyrazić ją w obecności tych wszystkich absolwentów o młodzieńczych, nieskażonych twarzach. Sami się z czasem dowiedzą. Po co psuć im szczęśliwy czas przypomnianiem tego faktu już teraz? Lepiej udawać serdeczność.

Przygnębiające myśli rzadko nawiedzały Dana, optymistę z natury. W tej chwili jednak były natrętne. Cały świat przypominał domek z kart, gotów runąć przy najlżejszym dotknięciu.

Domek z kart... Powtarzał w myślach te słowa, kiedy ogarnęła go jeszcze większa słabość. Mydło upadło na podłogę kabiny z głośnym plaśnięciem. Chciał się schylić, ale ramię nawet mu nie drgnęło.

Coś było nie tak. Wyczuł to przed chwilą, może nawet wcześniej. Zignorował jednak ten sygnał, dochodząc do wniosku, że nie ma się czym przejmować. I przez tę szczelinę wniknęła... bezradność.

Ciało mu znieruchomiało niczym silnik przestawiony przy pełnych obrotach na wsteczny bieg. Pomieszczenie przybrało żółtą barwę, potem czerwoną. Miał wrażenie, że słyszy jakby piskliwy dźwięk trąbek. Nie próbował nawet dotknąć ścian. Pragnął tylko krzyknąć, by ktoś mu pomógł. Ale gardło miał ściśnięte jak w imadle; nie mógł się z niego wydostać nawet najślabszy szept.

Pam. Było to ostatnie słowo, jakie przyszło mu do głowy, ale nigdy nie pojawiło się na wargach.

Osunął się na ścianę kabiny. Pozostałby w tym miejscu, gdyby nie śliskie mydło pod jego nogami. Runął z łomotem na terakotę, wyważając drzwi kabiny. Głowę miał na zewnątrz, z włosów na podłogę skapywała woda. Kostka mydła spoczywała niewinnie na spływie.

Dłonie trzymał zaciśnięte przy bokach. Oczy miał szeroko otwarte. Sprawiał wrażenie zaabsorbowanego czymś, co znajdowało się poza ścianami tego zawilgoconego pomieszczenia, czymś niezwykle pilnym i ważnym.

Starał się zmusić do ruchu. Ale nic z tego. Leżał wpatrzony przed siebie... i tak go potem znaleziono.

## Rozdział 4

Hamilton, Wirginia,  
nad zatoką Chesapeake  
16 listopada,  
18.00

Judd Campbell, który zdążył już obejrzeć kasetę wideo z nagraniem programu Washington Today, przewinął taśmę i zaczął oglądać wszystko od początku.

– Przynieś mi guinnessa, Ingrid! – zawołał do córki.

– Jeszcze jednego? – Ingrid, która jak jastrząb pilnowała ojcowskiego palenia i picia, wyraziła protest w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Na litość boską, córko, tylko bez kazań. Po prostu go przynieś!

Judd przewinął początkową wymianę zdań między Danem Everhardtem i jego adwersarzami. Zatrzymał taśmę, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Michaela. Oczy Judda, zadziwiające niebiesko-zielonym kolorem z odcieniem głębokiego złota w tęczęwkach, skupiły na młodszym synu spojrzenie, w którym wielka czułość mieszała się z surowym osądem. Na Michaelu spoczywała ogromna odpowiedzialność.

Za oknem majaczyły zarysy zatoki, szarej i pomarszczonej pod zmiennym baldachimem chmur. Widać było jakiegoś śmiałka w żagłowie. Judd nawet na niego nie spojrział.

Za jego plecami rozciągało się wnętrze domu, szesnaście wysoko sklepionych pokoi; z okien sypialni na górze rozciągał się niezwykle widok na zatokę. Judd kupił go jako „dom letniskowy”, kiedy jeszcze mieszkał w Baltimore, zakochał się w tym miejscu i w końcu przeprowadził tu na stałe. Jego dzieci kochały plażę, a sam Judd był zapalonym żeglarzem i wędkarzem. Tu umarła mu żona. Niczego w sypialni nie zmienił od dnia jej śmierci.

Kardiolog nie pozwalał mu już żeglować samotnie na małej łodzi, ale Judd często wypływał na swoim jachcie, Margery, żeby popływać i powędkować. Lubił załatwiać interesy na pokładzie i nie zważał na to, że koledzy, którzy mu akurat towarzyszyli, dostawali choroby morskiej. Czuł się na wodzie wolny od ograniczeń suchego lądu.

Judd Campbell był człowiekiem, który zawdzięczał wszystko sobie i lubił, kiedy ludzie o tym wiedzieli. Pochodził ze zubożałej szkocko-irlandzkiej rodziny i odniósł sukces w interesach jako producent i importer tekstyliów. Nie miał wtedy jeszcze trzydziestki. Jego rozrzucone po całym kraju imperium rozrosło się w konglomerat obejmujący dosłownie wszystko, począwszy od hoteli, a skończywszy na przedsiębiorstwach telekomunikacyjnych. Choć nie był z natury człowiekiem nowoczesnym, dostrzegł początki rewolucji komputerowej na początku lat osiemdziesiątych i zainwestował miliony w rynek pecetów i oprogramowania. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat był kimś w amerykańskim biznesie.

Nie uchodził jednak za powszechnie znaną osobistość. I teraz, kiedy lata i bezustanne kłopoty z sercem zmusiły go do wycofania się z interesów, wiedział, że nigdy to się już nie zmieni.

To Susan przyniosła mu szklankę ciemnego piwa. Zaprosił syna i synową tego wieczoru na kolację. Susan zjawiała się przed godziną i pomagała Ingrid w kuchni. Michael miał przyjść przed samym posiłkiem.

– Och, jak miło cię widzieć – powitał ją Judd. – Dzięki, kochanie.

– Ingrid wciąż narzeka, że przekraczasz dopuszczalną dawkę. – Susan się uśmiechnęła.

– Niech sobie narzeka. Siadaj i popatrz na męża. – Judd wskazał ekran telewizora, gdzie widniała przystojna twarz Michaela.

– Już to widziałam. – Susan poklepała teścia po ramieniu. – Muszę wracać do roboty. Ile razy to oglądałeś?

– Nieważne – mruknął Judd, powracając do nagrania, a Susan wyszła z pokoju.

Senior rodu nie starał się nawet ukryć szczególnych uczuć, jakie żywił wobec młodszego syna. Już w dzieciństwie Michael zdradzał energię i siłę, jakich brakowało dwojgu starszego rodzeństwa. Judd poświęcił najwięcej troski i uwagi właśnie jemu, wpajając mu doskonałość we wszystkim, co się robi. Kiedy Michael uczył się pływać, jeździć na rowerze, rzucać piłką i machać kijem bejsbolowym, Judd powtarzał mu do ucha tradycyjną litanię: „Doskonałość bez zwycięstwa jest jak lukier bez ciasta”, „Człowiek, który zajmuje drugie miejsce, nie jest człowiekiem. Jest po prostu przypisem”. I oczywiście legendarną maksymę Vince’a Lombardiego: „Zwycięstwo nie jest najważniejsze ze wszystkiego, zwycięstwo jest



wszystkim”. Judd uważał to za niepodważalny nakaz i pamiętał, by syn słyszał go jak najczęściej.

Kiedy chłopak był jeszcze mały, zdawał się nie pojmować tych zaklęć. Ale gdy zaczął dorastać, ich wpływ stał się widoczny gołym okiem. Osiągał sukces we wszystkim, co robił. Choć szczupłej budowy ciała, był urodzonym i zwinnym lekkoatletą; dobre oceny przychodziły mu bez wysiłku, a jako młody, przystojny chłopiec zdobywał popularność, nie zabiegając o nią.

Kiedy Michael został bohaterem narodowym w wieku dwudziestu trzech lat dzięki wspaniałemu występowi na olimpiadzie, Judd wiedział, że przed Campbellami pojawiła się ogromna szansa. Michael miał wszelkie predyspozycje, by pozostawić trwałe ślady w historii, co nie udało się jego ojcu. Miał inteligencję, ambicję, siłę i coś, czego brakowało Juddowi – urok osobisty.

Przez dwanaście lat Judd wspierał swego syna w karierze politycznej pieniędzmi, koneksjami i radą. Tworzyło to silną i skuteczną kombinację. Michael pisał się na szczyty w błyskawicznym tempie. W przeciwieństwie do ojca nie musiał z walki o sukces czynić morderczej krucjaty. Nie dźwigał urazów, jak chociażby ojcowskie wspomnienie dzieciństwa ubożego imigranta. Przejawiał za to talent do dyplomacji, który przysporzył mu wielu przyjaciół wśród ludzi polityki, nie wyłączając przeciwników jego partii i poglądów.

Właśnie dzięki temu talentowi mógł przyjmować surowe wymagania ojca bez urazy. Zdawał się pojmować tę bezinteresowną troskę Judda – człowieka głęboko niezadowolonego – o swoją karierę. Wspinał się na kolejne szczyty bez trudu, niemal z wdziękiem, jakby chciał przekazać ojcu dar, którego Judd pragnął z całego serca.

Michael jako jedyny z rodzeństwa miał instynktowną umiejętność postępowania z Juddem. Stewart, jego starszy brat, ułożył sobie życie za cenę opuszczenia rodziny i zerwania wszelkich kontaktów z ojcem. Niedostosowany charakterem do świata ambicji, który stanowił żywioł Judda, jako nastolatek często ścierał się z ojcem. Po śmierci matki ich konflikt przerodził się w otwartą wojnę. Stewart nie wrócił do domu po college’u, sam opłacił studia podyplomowe i zrobił doktorat z historii. Teraz był wykładowcą na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Choć mieszkał zaledwie sto kilometrów od Judda, nie odwiedził go od piętnastu lat.

Ingrid, mniej uparta, pozostała w domu, wyrzekając się męża i dzieci, by zapewnić ojcu opiekę w jesieni jego życia. Była emocjonalną niewolnicą Judda, choć grała rolę surowej opiekunki, wydzielając mu alkohol i walcząc z jego nałogiem palenia cygar. Poświęcała się także Michaelowi i Susan, którą traktowała jak uwielbianą młodszą siostrę.

Judd był bezwzględny jako biznesmen, deptał tych, którzy stali mu na drodze, i zastraszał nawet najbardziej lojalnych współpracowników. Jego wielką wadą była skłonność do identycznego postępowania wobec własnej rodziny. Stracił przez to miłość Stewarta i sprowadził Ingrid do podrzędnej roli – była cieniem kogoś, kim mogła naprawdę się stać. Michael jednak zdołał jakoś przetrwać i nawet rozwinął się pod surową ojcowską ręką.

Jedynym niepomysłnym incydentem w normalnym dzieciństwie Michaela było skrzywienie kręgosłupa, które zaczęło mu dokuczać mniej więcej w wieku piętnastu lat, poważna wada, która zagroziła w znacznym stopniu jego sportowej karierze i możliwości prowadzenia normalnego życia.

Lecz właśnie to wyzwanie obudziło w Michaelu instynkt walki, dzięki któremu został w szkole średniej członkiem reprezentacji pływackiej, a potem mistrzem olimpijskim. Podczas rekonwalescencji po drugiej operacji, jakby dodatkowym i jednocześnie szczęśliwym zrzędzeniem losu, poznał i zaczął adorować Susan Bellinger, oszałamiająco piękną studentkę pierwszego roku Uniwersytetu Smitha, która pochodziła z rozbitej rodziny i zdobywała pieniądze na naukę, pracując jako modelka.

Susan pomogła mu dojść do siebie po operacji, a potem obserwowała z podziwem, jak wraca do sportu i powoli, niezmordowanie zdobywa olimpijską formę. Zakochała się w Michaelu – słabym, cierpiącym, nieznanym młodym człowieku, o którym prawie nic nie wiedziała. Trzy lata później była żoną sławy. Jako jego młoda, atrakcyjna żona, także stała się powszechnie znaną osobistością.

Michael, znakomity student prawa, został wydawcą „Law Review” i po dyplomie wstąpił do prestiżowej firmy prawniczej w Baltimore. Cztery lata później wystartował w wyborach do Izby Reprezentantów, a przed trzydziestką znalazł się w Senacie. Przywódcy jego partii szybko dostrzegli w nim wschodzącą gwiazdę, a nawet późniejszego lidera. Przyszłość Michaela przedstawiała się równie olśniewająco jak jego przeszłość.

Judd Campbell podniósł się z fotela i stanął przed telewizorem, trzymając pilota w dłoni. Był wysoki, miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Włosy już mu się przerzedzały, a ich popielatą barwę tylko gdzieś tam znaczyły rude pasemka. Jego wydatne czoło, wysokie i mocne, znamionowało siłę i zdecydowanie. Wielu przyjaciół i współpracowników często wskazywało na jego podobieństwo do Clinta Estwooda. Był przystojnym mężczyzną. Przewlekła choroba serca tego nie zmieniła.

Zatrzymał na ekranie obraz Michaela, by zawołać w stronę kuchni:

– Susan, przyniesiesz mi miseczkę orzeszków? Susan pojawiła się w drzwiach pokoju.

– Słucham?

– Orzeszki – powtórzył Judd. – Niesolone, dla starszego człowieka.

– Za moment – odparła i ruszyła w stronę holu. Judd nie przestał się uśmiechać, gdy słyszał jej lekki krok.

Judd kochał Susan bardziej niż jakąkolwiek kobietę z wyjątkiem zmarłej żony. Kiedy Michael przyprowadził ją po raz pierwszy do domu – wciąż poruszał się o kulach, a ona była bardziej jego powiernicą niż kochanką – Judd z miejsca się do niej przekonał. Swą delikatnością przypominała mu Margery. Pod delikatną urodą blondynki kryta się refleksyjna, nieco smutna osobowość. Judd poczuł, że powinien się Susan zaopiekować. Dziewczyna odznaczała się też miłym, matczynym charakterem, co czyniło z niej idealną pielęgniarkę dla Michaela w najbardziej trudnym i bolesnym okresie.

I ta jej niezwykła uroda, którą taki gorący mężczyzna jak Judd musiał dostrzec. Podziwiał jej piękno i zauważył przytomnie, że byłaby wymarzoną towarzyszką dla Michaela w jego karierze politycznej.

Największą tragedią, jaka dotknęła rodzinę Campbellów, było samobójstwo żony Judda, Margery, z którą dzielił życie przez dwadzieścia sześć lat. Nikt się tego nie spodziewał. Michael miał wówczas siedemnaście lat, Stewart dwadzieścia cztery, a Ingrid dwadzieścia dwa.

Strata poraziła wszystkich. Stanowiła prawdopodobnie rzeczywistą przyczynę konfliktu między Stewartem a ojcem, choć pretekstem była decyzja Stewarta o kontynuowaniu kariery naukowej. Doprowadziła także do pierwszego poważnego ataku serca u Judda. I z pewnością przyczyniła się do staropanieństwa Ingrid, gdyż córka zaczęła całkowicie poświęcać się owdowiałemu ojcu.

Judd nigdy nie pogodził się ze stratą Margery. Dopiero kiedy pojawiła się Susan, zaczął jakby żyć na nowo – życiem synowej i syna, jego karierą. Zdawał sobie z tego sprawę, ale skrywał to za zasłoną ambitnych planów wobec Micheala i czułości w stosunku do Susan.

Susan weszła do kuchni. Ingrid przerwała właśnie, by wysłuchać wiadomości – na szafce stał przenośny telewizor.

– Ing? – zwróciła się do niej Susan. – Gdzie są orzeszki taty?

Ingrid nie odpowiedziała. Susan stanęła obok niej i spojrzała na mały ekran. Jakiś reporter drżał z zimna na tle zamrożonego pola, a u dołu obrazu pojawił się napis „Tajemnicza choroba”.

„Przedstawiciele służby zdrowia starają się opanować sytuację, jak sami mówią – relacjonował reporter. – Oznacza to hospitalizację wszystkich ofiar, prawdopodobnie w warunkach kwarantanny, i odizolowanie miejsc dotkniętych kryzysem. Nikt jak dotąd nie chce wypowiadać się na temat charakteru choroby. Uzyskaliśmy informacje, że pozostaje całkowitą zagadką”.

– Co się dzieje? – spytała Susan.

– Jakaś epidemia – odparła Ingrid, odwracając się do Susan. – Prawdopodobnie grypa. Media jak zwykle to rozdmuchują. Gdzie tata?

– Ogląda kasetę z Michaeliem. Chce orzeszków.

– Nie ma mowy. Zajmę się tym.

Kiedy Ingrid ruszyła w stronę salonu, Susan usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe. Wyszła Michaelowi na spotkanie. Obejmował ją długo, potem ucałował.

– Gdzie tata?

– Ogląda cię w telewizji.

– Znowu? Nie ma jeszcze dosyć?

Patrzyła, jak wieszka płaszcz w garderobie. Przebrał się w biurze i teraz miał na sobie zwykłe spodnie i lekki sweter. Wraz z z nim do domu wtargnął powiew świeżego powietrza; poczuła chłód jego policzków na wargach.

– Rozmawiałem dziś ze Stewartem – oznajmił.

– Co u niego? – spytała.

Doskonale – odparł Michael. – Przesyła ci pozdrowienia. Ociągał się wyraźnie przed wejściem do pokoju. Nie chciał, by Judd usłyszał, jak wymawia w tym domu imię swego starszego brata.

– Widział cię w telewizji? – zainteresowała się Susan. Michael przytaknął.

– Był pod wrażeniem? – spytała.

Gdyby nie był, pewnie by mi tego nie powiedział. Stewart, jako najstarszy z rodzeństwa Campbellów, budził szacunek Michaela. Pod względem przekonań politycznych stanowił przeciwieństwo ojca. Jeśli Judd był surowym nadzorcą ambicji Michaela, Stewart był strażnikiem jego prawości. Nienawidził polityków, ale czynił wyjątek dla Michaela, którego uważał za chlubny wyjątek, przewyższający pozostałych charakterem i rozumem.

Susan i Michael szybko wymienili spojrzenie. Obojgu było smutno, że Stewart nie może być z nimi tego wieczoru. Choć kariera Michaela stanowiła pewne ogniwo łączące Judda i Stewarta, przepaść między ojcem i synem była zbyt głęboka, by Michael zdołał przetrząść nad nią most porozumienia.

– Cześć, Ing – przywitał Michael siostrę, obejmując jej szerokie ramiona.

– Cześć, ważniaku. – Ingrid się uśmiechnęła. – Nieźle ci dzisiaj poszło.

Susan obserwowała, jak Michael zbliża się do drzwi gabinetu i zagląda do ojca. Judd nie słyszał, kiedy jego syn się zjawił, wciąż oglądał film wideo. Michael wszedł do pokoju, z zaskakującą łagodnością objął ojca i pocałował w policzek.

– A, jesteś wreszcie.

Ulga w głosie Judda zmieszała się z niemal bolesnym oddaniem, kiedy ujął rękę Michaela. Co dziwne, nie oderwał wzroku od ekranu telewizora. Wpatrywał się dalej w utrwalony wizerunek syna, nie puszczając jego dłoni. Susan przyszło do głowy, że ta chorobliwa potrzeba bliskości stanowi nieodłączną część ojcowskiego uczucia do syna.

Michael zerknął na Susan z pełnym zrozumienia uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Wiesz, jaki jest tata”. Przytakując, Susan się odwróciła.

W kuchni Ingrid ugniatała ziemniaki. Relacja o sytuacji w Iowie dobiegła już końca, wyparta przez wiadomości o wydarzeniach na Bliskim Wschodzie.

– Zajmiesz się tym, kochanie? – zwróciła się Ingrid do Susan. – Wyjmę pieczeń.

Zadzwoił telefon. Obie kobiety były zajęte, odebrał więc Michael. Jego twarz zasepiła się, kiedy słuchał rozmowy.

– Kiedy to się stało?

Susan odwróciła się w jego stronę. Znała ten ton. Oznaczał coś poważnego.

– Gdzie teraz jest? – spytał Michael.

Susan widziała w głębi domu Judda, który wciąż oglądał film. Michael odwiesił słuchawkę.

– O co chodzi? – spytała.

– Danny Everhardt – odparł Michael. – Zachorował dziś rano. Zabrali go do szpitala Waltera Reeda.

– Co mu jest?

– Coś dziwnego – powiedział Michael. – Nie rusza się, nie mówi. Sekretarka znalazła go na podłodze łazienki, tkwił do połowy w kabinie prysznica. Nie wypowiedział od tej pory ani słowa.

Susan popatrzyła na Michaela. Telewizor w kuchni wciąż mamrotał. Gdzieś za oknem krzyknęła przeraźliwie mewa, jeden raz, a potem zniknęła zasłonięta przez fale.

## Rozdział 5

Szpital Waltera Reeda  
Gaithersburg, Maryland  
20.00

Dana Everhardta znalazła jego sekretarka po dziesięciu minutach, jakie upłynęły od ataku choroby. Zaniepokojona faktem, że długo nie wychodził spod prysznica, choć lała się woda, otworzyła drzwi łazienki i ujrzała go leżącego pod bryzgającymi strugami; oczy miał otwarte.

W ciągu godziny wiceprezydent został odwieziony do szpitala Waltera Reeda, gdzie umieszczono go na oddziale intensywnej opieki medycznej i poddano obserwacji. Oznaki życia były w normie, zdradzał jednak niezmiennie objawy poważnego zakłócenia funkcji życiowych, których charakter był trudny do określenia.

Tej samej nocy, kiedy przyjęto go do szpitala, lekarza prowadzącego odwiedził agent Secret Service, Joseph Kraig.

– Doktorze Isaacson – zwrócił się do lekarza Kraig, ściskając mu dłoń. – Dziękuję, że znalazł pan czas dla mnie.

– Dzwonili do nas z Białego Domu i prosili o możliwie wszechstronną współpracę – oświadczył doktor; nie wyglądał na zadowolonego z powodu obecności Kraiga. – To oczywiście, że nie mogliśmy odmówić.

Lekarz przyglądał się Kraigowi, który w ciemnym garniturze sprawiał zwodnicze wrażenie przeciętnego człowieka. Pod czterdziestkę, przedwcześnie posiwiaty na skroniach, w dobrej kondycji fizycznej, o której świadczyły jego barki i ręce. Miał spokojne popielate oczy, których nic niemówiące spojrzenie sugerowało starannie maskowaną wewnętrzną siłę. Miał w sobie coś groźnego i jednocześnie budzącego zaufanie.

– Jaka jest pana opinia na temat wiceprezydenta? – spytał Kraig.

– No cóż – odparł lekarz. – Trudno powiedzieć. Z początku podejrzewaliśmy wylew. Występuje dość znaczne osłabienie funkcji umysłowych. Ale badania, jakie dotychczas przeprowadziliśmy – EKG i tak dalej – nie wykazują jakichkolwiek zaburzeń krążenia. Skłaniam się ku problemom czynnościowym, ale daleki jestem od pewności.

– Czynnościowym? – upewnił się Kraig.

– Rozumiem przez to zaburzenia umysłowe albo emocjonalne, niemające przyczyny fizycznej – wyjaśnił doktor. – Oczywiście, za wcześniej jeszcze, by stwierdzić...

– Mogę go zobaczyć? – spytał Kraig.

- Raczej nie – odparł lekarz. – Byłoby niewskazane, gdyby ktoś spoza rodziny...
- Rodzina go widziała?
- Tylko żona. Uważała, że dzieci nie powinny go...

Agent Kraig zbliżył się do doktora i oświadczył przyciszonym głosem:

- Rozumiem pańską troskę, doktorze. Muszę jednak jak najszybciej zorientować się w sytuacji. Chce pan, żebym skontaktował pana z szefem Secret Service?

Lekarz westchnął.

- Nie, załatwmy to od razu. Sprawdzę tylko, czy jest przytomny. Lekarz zostawił Kraiga na korytarzu i zniknął w pokoju szpitalnym. Pojawił się po dwóch minutach.

- Może pan wejść.

Kraig wszedł do pokoju za doktorem. Wiceprezydent Everhardt siedział wsparty o poduszki na szpitalnym łóżku i patrzył w ekran telewizora zawieszzonego pod sufitem. Nie po raz pierwszy Kraig dostrzegł jego masywną budowę ciała. Everhardt wyglądał jak futbolista.

- Panie prezydencie, chciałbym, żeby się pan z kimś zobaczył – powiedział doktor Isaacson.
- To agent Kraig. Z Secret Service.

Everhardt spojrzał na Kraiga. Wyraz jego oczu był jakby nienormalny. Kraig nie umiał tego określić słowami, ale to spojrzenie nie wydawało się klarowne. Jakby oczy spoglądały gdzie indziej.

- Kraig pisany prze K, panie prezydencie – powiedział agent, przysuwając się bliżej z wyciągniętą ręką.

Everhardt zignorował dłoń. Patrzył jeszcze na Kraiga przez kilka sekund, a potem skupił wzrok na ekranie telewizora, gdzie leciał jakiś stary film z Arnoldem Schwarzeneggerem.

- Może mi pan mówić Joe, jeśli pan chce – zaproponował Kraig. – Każdy mnie tak nazywa.

Everhardt nie zdradził niczym, że zrozumiał tę uwagę.

- Panie prezydencie – zwrócił się do niego doktor. – Chciałbym pokazać agentowi Kraigowi to wszystko, czego już wcześniej próbowaliśmy. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Everhardt oglądał w milczeniu telewizję.

- Żeby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę – ciągnął lekarz. – Czy nazywa się pan Daniel Everhardt?

Brak odpowiedzi.

Doktor ujął Everhardta za rękę. Ten popatrzył na swoją dłoń.

- Czy może mnie pan ścisnąć? – spytał doktor. Everhardt wpatrywał się w splecione dłonie, ale nie usłuchał polecenia. W końcu powrócił wzrokiem do telewizora, nie cofając dłoni. – W porządku, panie prezydencie. Czy może pan oderwać wzrok od ekranu i popatrzeć na agenta Kraiga, a potem z powrotem na telewizor?

Brak reakcji.

Doktor posłał Kraigowi wymowne spojrzenie. Następnie wcisnął guzik przy łóżku pacjenta. W chwilę później pojawiła się pielęgniarka.

- Tak, doktorze? – spytała.

Everhardt popatrzył na nią. Jego dłoń pozostała w ręku lekarza.

- Nic, siostrze. Pomyłka – wyjaśnił doktor.

Pielęgniarka wyszła z pokoju.

- Panie prezydencie, może pan na mnie popatrzeć? – zwrócił się lekarz do wiceprezydenta.

Everhardt, który ponownie skupił wzrok na ekranie telewizora, nie zareagował na prośbę.

Doktor wyprowadził agenta z pokoju.

- Zorientował się pan z grubsza – wyjaśnił.

- Wydaje się, że jest świadomy otoczenia – zauważył Kraig.

Owszem. Odruchy w normie. Reaguje na nowe obrazy i dźwięki. Nie potrafi jednak zrobić niczego na polecenie – powiedział lekarz. – Absolutnie niczego. Umie spojrzeć na pielęgniarkę, kiedy wchodzi do jego pokoju, ale nie umie tego zrobić, kiedy mu każe.

– Czy wszedł tu o własnych siłach? – spytał Kraig.

Lekarz potrząsnął głową.

– Kiedy go znaleziono, był nieruchomy. Sztywny. Jakby opierał się każdej próbie ruszenia go z miejsca.

– A co z mową? – dopytywał się agent.

– Nie powiedział słowa od chwili, kiedy go tu przywieźli. Nie potrafi niczego powtórzyć, najprostszego dźwięku. Jęknął kilka razy, ale się nie odezwał. Nie wiemy, czy potrafi mówić.

Kraig był poruszony.

– Nie jestem lekarzem, ale to wygląda bardzo dziwnie – zauważył.

– To jest bardzo dziwne – przyznał doktor. – Doznać tak rozległego paraliżu funkcji umysłowych, podczas gdy wszelkie inne objawy pozostają w normie, i gdy w dodatku pacjent bez wątpienia widzi, słyszy i reaguje... z czymś takim się jeszcze nie spotkałem.

– Co zamierzacie zrobić?

– Obserwować go. Przeprowadzić dodatkowe testy. Zbadać krew pod kątem wystąpienia infekcji czy jakiegoś zaburzenia metabolizmu. Wykonać bardziej skomplikowane badania neurologiczne. EEG i rentgen czaszki, by wykluczyć nietypowe zaburzenia albo guza mózgu. Może zrobić obrazowanie rezonansem magnetycznym. – Lekarz popatrzył na Kraiga. – I sędzę, że całościowe badania psychiatryczne z dokładną analizą jego przeszłości.

– Dlaczego psychiatryczne?

– No cóż, zdradza pewne objawy schizofrenii katatonicznej czy też niektórych postaci zaburzeń konwersji. Musimy też wykluczyć symulację.

– Co to takiego?

– Laik określiłby to jako „udawanie” – wyjaśnił lekarz. – Ja bym to raczej nazwał pewnego rodzaju dysfunkcją wywołaną stresem. Jak pan wie, wiceprezydent w chwili obecnej żyje w dużym napięciu. Podobnie jak prezydent.

– Ma pan na myśli przedterminowe wybory? – spytał Kraig.

– Wiąże się z tym mnóstwo niepewności – zauważył doktor. – Zwłaszcza w tych trudnych czasach.

– Rozumiem, o co panu chodzi.

Kraig wiedział, że Dan Everhardt to zawodowy legislator, który nigdy nie mógłby marzyć o wysokim stanowisku, gdyby prezydent nie wybrał go na swego zastępcę przed pięcioma laty. Teraz, gdy prezydent znalazł się pod ostrzałem, Dan Everhardt musiał przyjmować ciosy ze strony mediów i wrogich sił w Kongresie.

– A więc według pana wiceprezydent ma poważny powód, by zachorować – wysunął przypuszczenie Kraig. – Usunął się dzięki temu z linii ognia.

– Zgadza się – przytaknął lekarz. – Co nie znaczy, że to świadomy wybór z jego strony.

Objawy nie byłyby w przeciwnym razie tak przekonujące.

Zapadło milczenie. Lekarz chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Tak, doktorze? – wyczuł jego wahanie Kraig.

– Słyszał pan o dziwnej epidemii w Iowie? – spytał lekarz.

– Chodzi panu o tych ludzi, którzy nie potrafią mówić?

– Tak. To tylko przypuszczenie z mojej strony, ale objawy, jakie zdradza wiceprezydent, przypominają tamte. Wydaje mi się, że warto by to sprawdzić.

– Zajmę się tym – obiecał Kraig, zapisując coś w notatniku.

Doktor sprawiał wrażenie zatroskanego.

– Gdyby ta epidemia nie miała ograniczonego zasięgu... gdyby okazało się, że to jakaś zakaźna choroba...

- Tak? – Kraig uniósł brwi.
  - Nie wiedzielibyśmy, jak z tym walczyć – wyznał doktor.
- Kraig popatrzył na niego w milczeniu.
- Naturalnie, to raczej mało prawdopodobne – powiedział Isaacson. – Chodzi tu przypuszczalnie o rodzaj jakiejś zbiorowej hysterii.
  - Przypuszczalnie? – spytał Kraig.
  - Przypuszczalnie – potwierdził lekarz. – W każdym razie zrobimy, co w naszej mocy.
  - Dziękuję za pomoc, doktorze.
  - Dyrektor szpitala powiedział mi, że media czekają na oświadczenie – poinformował lekarz. – Chodziło mi o pańską opinię. To znaczy władz.
  - Cieszę się. Coś razem wymyślimy – obiecał Kraig.
- Godzinę później Joseph Kraig stał obok rzecznika szpitala, doktora Cobba, naprzeciwko dużej grupy reporterów, którzy zgromadzili się przed głównym wejściem do budynku. Kamery były włączone, jasne światło reflektorów raziło Kraiga w oczy.
- Doktorze Cobb, jak się czuje wiceprezydent?
- Pytanie padło z kilku miejsc jednocześnie.
- Wiceprezydent czuje się dobrze – odparł Cobb. – Przeprowadziliśmy dzisiaj liczne testy, dlatego pacjent, co rozumiałe, jest zmęczony. Badania będziemy kontynuować jutro.
  - Jak brzmi obecna diagnoza, doktorze? – zawołano z kilku miejsc w tłumie.
  - Nie możemy postawić pełnej diagnozy, dopóki nie przeprowadzimy wszystkich wymaganych testów.
- Kraigowi przyszło do głowy, że jak dotąd każde słowo było zgodne z linią prezentowaną przez Biały Dom. To nie był czas na improwizację. Agent przebiegał uważnie wzrokiem po tłumie reporterów i kamerzystów. Wyglądali jak stado szakali czające się do ataku na ofiarę. Mikrofony na długich tyczkach przypominały czułki monstrualnych owadów żywiących się ludzkim bólem.
- Doktorze, krążą pogłoski, że stan wiceprezydenta Everhardta jest zagadką dla pańskich lekarzy. Czy to prawda?
- Pytanie to zadała młoda reporterka o ciemnych włosach; Kraig nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział tę kobietę.
- Nie, to nieprawda – wyjaśnił Cobb.
  - Doktorze, czy to prawda, że wiceprezydent jest niepełnosprawny umysłowo?
  - Nieprawda – odparł Cobb z pewnym poirytowaniem.
  - Doktorze, czy można zakładać, że choroba wiceprezydenta ma jakiś związek z epidemią w Iowie?
- Wszystkie pytania zadała ta sama reporterka, która szybkością ataku przewyższała nawet swych waszyngtońskich kolegów.
- Absolutnie nie – odparł Cobb.
- Ku zaskoczeniu Kraiga następne pytanie było skierowane do niego.
- Agencje Kraig, czy zajmuje się pan ochroną zdrowia także innych pracowników federalnych?
- Kraig popatrzył na reporterkę spod zmrużonych powiek. Kim była ta charcica?
- Ochrona prezydenta i jego współpracowników należy do naszych obowiązków – wyjaśnił.
  - Nie rozumiem, jaki ma to związek z obecnym stanem wiceprezydenta.
  - Czy niezdolność wiceprezydenta do funkcjonowania napawa pana troską o bezpieczeństwo innych przedstawicieli rządu?
  - Nie nazwałbym tego niezdolnością – sprostował Kraig.
  - Czy rozmawiał pan osobiście z wiceprezydentem, agencje Kraig?
  - Tak, rozmawiałem.
  - I co pan stwierdził?

- Nie mam nic do powiedzenia prócz tego, co przekazał już państwu doktor Cobb.
- Agencie Kraig, czy jest prawdą, że wiceprezydent Everhardt nie wypowiedział słowa od początku choroby?

Spojrzenie ciemnych oczu reporterki zdawało się przewiercać Kraiga na wylot. Agent zmarszczył brwi. Miał już tego dosyć.

- Powtarzam, nie mam do dodania nic ponadto, co powiedział już doktor Cobb.

Karen Embry skinęła głową, grzecznie, ale z nieukrywaną podejrzliwością. Wyglądała młodzieńczo i profesjonalnie w ciemnym kostiumie. Włosy miała starannie uczesane, a makijaż podkreślał umiejętnie delikatne rysy. W tłumie było wiele reporterek – z rozgłośni radiowych, kablówek i stacji lokalnych – żadna jednak nie była równie atrakcyjna jak Karen. Postronny obserwator nigdy by nie przypuszczał, że ta młoda kobieta zwlokła się o szóstej rano z łóżka ze straszliwym kacem. Ale Karen była o to spokojna; pilnowała, by nikt niepożądany nie oglądał jej bez zawodowego rynsztunku. A uroda stanowiła jego nieodłączną część.

Konferencja prasowa trwała jeszcze dwadzieścia minut, z których każdą wypełniało napięcie, i doktor Cobb musiał bezustannie odpowiadać na pytania zgromadzonych reporterów. Wreszcie, powołując się na późną godzinę, ogłosił koniec spotkania.

Odczuwając ulgę z powodu tej ucieczki, Kraig opuścił szpital i odjechał do swego biura.

Od czasu ataku na Pentagon 11 września 2001 roku liczne agencje federalne krążyły w tajemnicy po mieście. Secret Service przeniosła się do zwykłego budynku, przecznicę za siedzibą wydziału budownictwa, w cieniu autostrady międzystanowej 395. Nikt, kto stanąłby na porośniętym chwastami i pełnym nieoznakowanych wozów parkingu, nie domyśliłby się, że mieści się tu jakaś agencja rządowa. Tylko identyfikatory agentów i sekretarek, które zakładali w chwili wejścia, zdradzały prawdziwy charakter tego miejsca.

Większość agentów była nieobecna, ale szef Kraiga, Ross Agnew, siedział na miejscu. To właśnie on przydzielił Kraigowi to zadanie. Poznali się jako kandydaci do służby przed piętnastu laty. Agnew, absolwent Uniwersytetu Wirginii i były agent FBI, był urodzonym administratorem i utalentowanym politykiem. Pod względem temperamentu stanowił przeciwieństwo Kraiga, który lubił samotność i nie ufał zwierzchnikom. Ale dobrze im się ze sobą pracowało.

- Co z Everhardtem? – spytał Agnew.

– Wyglądał niezbyt dobrze – odparł Kraig. – Ale nie jestem lekarzem.

- Co to znaczy „niezbyt dobrze”?

Kraig potrząsnął głową.

– Rodzaj paraliżu – wyjaśnił. – Nie może mówić i nie potrafi wykonać prostych poleceń. Jak dotąd nie stwierdzili schorzenia fizycznego. Jeśli to sprawa psychiczna, to bardzo poważna.

- Rozumiem, że nie ma mowy o jego powrocie do pracy – domyślił się Agnew.

– Wykluczone. – Kraig potrząsnął głową.

Agnew zastanawiał się przez chwilę.

– No cóż – powiedział w końcu. – Poinformuję Biały Dom. Nie spodoba im się to. Głęboka troska na najwyższym szczeblu. Wiesz, co mam na myśli.

Kraig przytaknął. Nie przejmował się polityką. Gdyby nie chodziło o tego maniaka Colina Gossa, który chciał dostać się do Białego Domu, Kraiga w najmniejszym stopniu nie obchodziłoby, kto tam siedzi.

- Myślisz, że prezydent będzie musiał mianować kogoś nowego? – spytał Agnew.

– Jeśli Everhardtowi się nie polepszy, to chyba tak – odparł Kraig. – Nic nie może zrobić.

- Jak myślisz, kto to będzie? Kraig usiadł.

– Nie mam zielonego pojęcia. Zastanawiał się przez chwilę.

- Lekarz Everhardta wspominał o tej epidemii w Iowie. Część objawów jest podobna...



– Naprawdę? – zdziwił się Agnew. – Które?  
– Nie jestem pewien. – Kraig zmarszczył brwi. – Niewiele wiem o tej sprawie.  
Milczeli przez chwilę.

– Doktor uważa, że to może być coś zaraźliwego? – spytał Agnew.  
– Chyba nie. Ale brał to pod uwagę.

Kraig siedział, nasłuchując cichego szumu samochodów na autostradzie. Popatrzył na obrazy, które Agnew powiesił u siebie. Przedstawiały na ogół żaglówki albo łodzie wędkarskie w zatoce Chesapeake. Agnew odchylił się w fotelu i skrzyżował nogi. Kolana wystawały mu ponad krawędź biurka. Był niebywale wysoki, miał około stu dziewięćdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu i to nieszczęście, że przez trzy kwarty pilnował samego Chrisa Webera w półfinałach koszykówki podczas rozgrywek uniwersyteckich.

– Jak myślisz, zmieni się coś, jeśli chodzi o pilnowanie prezydenta albo tych z góry?  
Agnew uniósł brwi.

– Dlaczego miałyby się zmienić?

– Jedna reporterka zadała mi to pytanie w szpitalu – wyjaśnił Kraig. – Było dziwne, ale zastanawiałem się nad tym, jadąc tutaj. Gdyby dało się obezwładnić w ten sposób kogoś z rządu? Rozumiesz, forma terroru.

– Hm – mruknął w zamyśleniu Agnew. – Coś jak w Towarzystwie prania mózgu Deightona. O to ci chodzi?

– Owszem. Jeśli nie możesz zabić gościa albo wysadzić go z siodła za sprawą jakiegoś skandalu, namieszaj mu w głowie.

– Science fiction. – Agnew machnął ręką. – Ale wszystko jest możliwe.  
Siedzieli chwilę w milczeniu.

– A może polecisz tam i rozejrzysz się na miejscu? – zaproponował Agnew.

– Do Iowy?

– Tak.

Kraig skinął głową.

– Okej.

– Ale najpierw jedź do domu i wypij się porządnie – poradził Agnew. – Odnoszę wrażenie, że czeka nas przez kilka najbliższych tygodni dużo roboty.

Kraig popatrzył na Agnew.

– Masz rację – powiedział.

Potem wstał i wyszedł z biura.

## Rozdział 6

Kraigowi nie udało się wrócić do domu przed dwudziestą trzecią. Marzył o prysznicu, chciał też poczytać i posłuchać muzyki.

Z racji zawodu musiał przeglądać gazety i być na bieżąco w różnych sprawach. Po całym dniu pracy miał tak serdecznie dość rzeczywistego świata, że nie chciał oglądać telewizji. Słuchał za to chętnie muzyki – Coltrane’a i Milesa Davisa w młodszych latach, ale teraz coraz częściej Mozarta i Beethovena – i czytał powieści. Szukał historii jak najbardziej odległych od swego własnego czasu i miejsca. Do jego ulubionych autorów należał Mark Twain. A także Balzac i Dumas. Lubił zanurzać się w dłuższe powieści Dostojewskiego, czasem nawet sięgał po Szekspira.

Miał sztangę w piwnicy i zawsze znajdował czas, żeby poćwiczyć. Biegał też rano. Od czasu rozwodu nie miał problemów z koncentracją i pracą, ale kiepsko sypiał. Pod pewnymi względami odpowiadała mu samotność towarzysząca jego profesji. Często jednak czuł się pusty i pozbawiony korzeni, jakby rzucony w życie, które tak naprawdę nie należało do niego.

Codziennie wysyłał e-mail do córki na Florydzie i raz na tydzień rozmawiał z nią przez telefon. Miała teraz dziesięć lat i była bardzo zajęta swoim życiem. Z byłą żoną kontaktował się, gdy naprawdę musiał.

Z mroku wyłonił się budynek, w którym mieszkał; otaczała go jednocześnie aura swojskości i wyobcowania. Wszędzie paliły się światła, tylko nie u niego. Westchnął i wyłączył silnik.

Na schodach siedziała dziewczyna. Kiedy podszedł bliżej, ściskając w dłoni teczkę, rozpoznał w niej agresywną reporterkę ze szpitala.

– Nie udzielam komentarzy – uprzedził. – Jestem po służbie.

– Nazywam się Karen Embry – oznajmiła, wstając i wyciągając dłoń. – Nie chcę od pana żadnej opowieści.

Kraig przyglądał jej się bacznie, ale nie podał ręki. Była średniego wzrostu, ale wydawała się niższa z powodu wyraźnej niedowagi. Emanowała typową dziennikarską zachłannością, ale było w niej coś jeszcze, jakiś nieskrywany głód i chyba smutek. Miała długie ciemne włosy, które stanowiły bez wątpienia jej atut, cerę jasną, ale oczy czarne i duże. Była bardzo ładna czy też byłaby taka, gdyby zajmowała się czymkolwiek z wyjątkiem dziennikarstwa.

Wrażenia, jakie odniósł, nie pozwoliły mu ominąć jej i wejść do domu bez słowa.

– To o co pani chodzi? – spytał.

– O kilka minut rozmowy – odparła. Popatrzył na zegarek.

– Miałem długi dzień – wyznał.

– A ja pracuję do późna – oświadczyła. – Moje źródła donoszą, że Everhardt jest naprawdę chory. Że nie ma mowy o jego powrocie.

Kraig wzruszył ramionami.

– Trudno mi powiedzieć. Nie jestem lekarzem, panno...?

– Embry. Proszę mówić mi Karen.

Teraz, kiedy przyzwyczał wzrok do przyćmionego światła, dostrzegł coś niezwyklego w jej rysach. Być może coś europejskiego, choć w jej głosie nie było śladu obcego akcentu.

– Jak to się stało, że nie spotkaliśmy się wcześniej? – spytał.

– Niedawno przeprowadziłam się z Bostonu – wyjaśniła. – Pracuję na własną rękę. Specjalizuję się w sprawach związanych ze służbą zdrowia.

– To miłe – zauważył Kraig.

Zapadło milczenie. Reporterka wiedziała, że Kraig nie zamierza dać jej niczego, co mogłaby wykorzystać, ale jak każdy dobry dziennikarz pragnęła nawiązać z nim kontakt.

– Słyszałam, że chodzi o coś, co ma związek z podejmowaniem decyzji – powiedziała.

– To znaczy?

– Coś w tym stylu, że Everhardt rozumie, co się do niego mówi – w każdym razie niektóre rzeczy – ale nie może podejmować decyzji, a tym samym działać. Jest sparaliżowany.

Kraig odwrócił się w stronę parkingu. Zobaczył smutną panoramę domów mieszkalnych i jednopiętrowych biurowców, które zasłaniały horyzont.

– Bez komentarza – powiedział.

– Słyszałam, że Biały Dom jest poważnie zaniepokojony – drażyła dalej. – Bez Everhardta wypadają kiepsko w sondażach. Nie są pewni, czy prezydent da radę odeprzeć atak Colina Gossa.

– Nie zajmuję się sondażami – odparł Kraig.

Skinęła głową.

– Wielu ludzi martwi się o funkcjonowanie administracji. Wyborcy są przerażeni perspektywą kolejnego ataku jądrowego, takiego jak na Crescent Queen. Goss pociąga za sznurki w Kongresie. Jeśli wydarzy się coś, co jeszcze bardziej osłabi pozycję prezydenta, to mogą wezwać go do ustąpienia. Ta historia z Everhardtem nie wzmacnia jego pozycji.

Kraig nic nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że Colin Goss wywiera nacisk na sfery rządowe. Szczerze powiedziawszy, uważał, że byłoby lepiej dla kraju, gdyby na łóżku szpitalnym zamiast Everhardta leżał Goss, który stanowił prawdziwe zagrożenie. Pod tym względem Kraig odznaczał się instynktem politycznym.

– To nie moja działka – oświadczył.

Zapadło na chwilę milczenie.

– Słyszałam, że według niektórych lekarzy problemy Everhardta mogą mieć podłoże czynnościowe – zauważyła.

– Co pani przez to rozumie?

– Mentalne. Emocjonalne. Everhardt żył ostatnio w dużym napięciu. Może nie wytrzymał.

Kraig przyglądał się teraz jej twarzy. W oczach kobiety dostrzegł dziwną, niemal zwierzęcą koncentrację. Zastanawiał się przez ułamek sekundy, czy zażyła coś, jakiś narkotyk. Ale zaraz odrzucił tę myśl. Była po prostu reporterką na łowach, gotową pokonać każdą przeszkodę, która stanęłaby między nią a upragnioną historią. Tacy jak ona nie potrzebowali prochów. Praca była dla nich narkotykiem.

– Everhardt jest dobrym człowiekiem – powiedziała. – Ale nie nadaje się do tych prezydenckich potyczek. Niech pan sobie przypomni, jak Colin Goss zaszarżował na niego w Washington Today. Może napięcie stało się dla niego za wielkie...

Kraig przerwał jej.

– Nie mam nic dla pani.

– Mówiłam, że nie oczekuję od pana żadnej informacji – zapewniła. – Chcę tylko...

Kraig popatrzył na nią z pozbawionym radości uśmiechem.

– Czego pani chce, panno Embry?

– Proszę mówić mi Karen. Kraig pozostał niewzruszony.

– Czego pani chce?

– Nie lubię działać na ślepo. Chodzi mi o kontakt, który pomógłby mi utrzymać się na właściwym tropie. Nie mam zamiaru drukować rzeczy, które nie są prawdziwe – wyznała, a po chwili wahania dodała: – Powiedzmy, że potrzebuję przyjaciela. Sama też mogę nim być.

Kraig przypatrywał jej się dłuższą chwilę. Twarda reporterka, świadoma każdego podstępu ze strony niechętniej władzy, szukająca sensacyjnego materiału i gotowa dobić targu. Jaka walutą?

Coś mu mówiło, żeby jej do końca nie skreślać.

– Niech więc pani przestanie wyciągać pochopne wnioski i zacznie szukać lepszych źródeł informacji – poradził.

– Po to tu jestem – odrzekła. Wciąż tak przenikliwie spoglądała.

– Mam robotę – powiedział Kraig, wyjmując klucze. – Do zobaczenia.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Lampa w przedpokoju rzucała przyćmiony blask w głąb pustego mieszkania. Poczuł neodpartą potrzebę, by pozapalać wszystkie światła i wypełnić to miejsce muzyką. Jak najszybciej.

Zanim jednak powiesił płaszcz, wyjrzał przez okno, chcąc sprawdzić, czy dziewczyna już poszła.

Stała na schodach i patrzyła na zamknięte drzwi. Miała ładne ramiona pod długimi włosami. Musiało być jej zimno.

Poczuł nagły impuls, wynikający po trosze z pożądania, po trosze z samotności, by ją wpuścić i poczęstować drinkiem. Wahał się przez długą chwilę. Gdy sięgnął do klamki, Karen zeszła już po schodach i ruszyła w stronę parkingu. Szła szybko, trzymając w dłoni kluczyki – uosobienie profesjonalizmu. Kiedy otwierała drzwi samochodu, wydawała się młodsza, niemal dziewczęca.

Kraig odwrócił się i westchnął.

## Rozdział 7

17 listopada

Osiemnaście godzin później Karen Embry stała na oddziale szpitala w Des Moines w Iowie i patrzyła na małą dziewczynkę.

Dziecko obejmowało poszarpanego pluszowego misia. Palce spoczywały nieruchomo na jego futerku. Fałdy na szpitalnej koszuli nie zmieniły się ani odrobinę od chwili, kiedy ubrali w nią dziewczynkę – mała nie drgnęła ani razu. Jej oczy były wlepione w sufit pomieszczenia, jakby miało się tam ukazać rozwiązanie jakiejś fascynującej zagadki.

Na oddziale panował tłok. Brakowało ośrodków medycznych w objętej epidemią części stanu. Większość ofiar przywieziono ambulansami albo środkami transportu Gwardii Narodowej do szpitali w Sioux City czy Des Moines.

Zdawało się, że wygasła epidemia, która objęła swym zasięgiem tuzin miast w pięciu okręgach. Od chwili jej wybuchu nie znajdowano już nowych ofiar. Przedstawiciele publicznej służby zdrowia przyjęli ten fakt z ulgą, nie pomógł on jednak zatroskanym lekarzom, którzy starali się za wszelką cenę pomóc tysiącu pięciuset poważnie chorym dorosłym i dzieciom.

Przez środkowozachodnie i równinne stany przebiegał zimny front, niosąc chłodny wiatr i powodując spadek temperatury poniżej zera. Mieszkańcy wkładali kurtki i futrzaki z kapturami, które zwykle wisały jeszcze przez miesiąc w szafach. Przyjezdni, tacy jak Karen, nie byli przygotowani na taką pogodę.

Centrum Kontroli Chorób w Atlancie przysłało zespół specjalistów, którzy mieli zbadać epidemię. Niestety, nie było kogo przesłuchiwać. Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w rejonie dotkniętym kryzysem ulegli tajemniczej chorobie.

Karen dowiedziała się tego wszystkiego po przyjeździe do szpitala uniwersyteckiego w Des Moines od przedstawiciela Centrum Kontroli Chorób, Marka Hernandeza. Choć nie był uszczęśliwiony tym spotkaniem, jego przełożeni podkreślali, że dobre kontakty z prasą są bardzo ważne w tym krytycznym momencie.

Pomógł jej włożyć kombinezon ochronny.

– W tej chwili to właściwie niepotrzebne – wyjaśnił. – Ale wciąż zachowujemy ostrożność.

Zabrał ją do sali, gdzie po obu stronach stały łóżka z nieruchomymi, spoglądającymi pustym wzrokiem pacjentami w każdym wieku. Przepracowane pielęgniarki karmiły ich i doglądały.

Był to niepokojący widok. Mężczyźni, kobiety i dzieci, sprawiający wrażenie zdrowych i dobrze odżywionych, leżeli nieruchomo w łóżkach. Przypominali statystów grających chorych.

Karen uderzyło przede wszystkim ich spojrzenie. Jakby pacjentów zahipnotyzowano. Wzrok był nieporuszony, ale nie wskazywał na demencję. Wyglądało to, jak gdyby pacjent doznawał jakiejś wizji.

Kiedy wspomniała o tym doktorowi Hernandezowi, ten tylko wzruszył ramionami.

– To dziwne. Ale jak dotąd nie udało nam się tego wyjaśnić.

– Zastanawiają mnie objawy – przyznała Karen. – Czy nie powinna występować gorączka, dreszcze albo nudności, coś, co wskazywałoby na zaburzenia wewnętrzne?

– Pyta pani prywatnie?

– Oczywiście.

– Sam jestem zaskoczony. – Potrząsnął głową. – Objawy trudno wyjaśnić. Wszystkie funkcje życiowe pozostają w normie. Pacjenci wydają się świadomi, ale ich wola jest sparaliżowana, podobnie jak możliwość działania, a nawet odżywiania się.

– Czy któryś z nich chodził? – spytała Karen.

Doktor potrząsnął przecząco głową.

– Sądząc po tym, gdzie ich znajdowaliśmy, choroba zaatakowała ich gwałtownie. Jeśli siedzieli, to pozostali w takiej pozycji. Jeśli stali, to trwali tak dalej, dopóki wyczerpanie nie zwaliło ich z nóg. Jakby piorun w nich uderzył. Po prostu znieruchomieli.

Karen pomyślała o wiceprezydencie Everhardcie, leżącym bezwładnie na łóżku w szpitalu Waltera Reeda. Wykazywał wszelkie normalne funkcje życiowe i nawet odrobinę się koncentrował, był jednak niezdolny do jakiegokolwiek niewymuszonego działania.

– Co o tym sądzą pańscy ludzie? – spytała Karen.

Hernandez wzruszył bezradnie ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiemy, co o tym myśleć. Skupiamy się w tej chwili na podtrzymywaniu funkcji życiowych, karmieniu i tak dalej. Odseparowaliśmy tereny objęte epidemią. Badamy próbki wody i gleby, nawet powietrza. Niewykluczone, że coś się tam przedostało i dotknęło całą populację. Cokolwiek to było, nikt inny nie ucierpiał. Każdy obszar infekcji jest wydzielony. Ludność sąsiednich obszarów nie wykazuje żadnych objawów chorobowych. – Popatrzył na Karen. – Ale nawet jeśli znajdziemy odpowiedzialny czynnik, nie wyjaśni to objawów. Nie przypominają nic zakaźnego, w każdym razie nic, co bym kiedykolwiek widział. Ciało funkcjonuje normalnie, ale pacjent jest niezdolny do działania.

– Słyszał pan o chorobie wiceprezydenta? – zainteresowała się Karen.

– Tak, słyszałem. Dlaczego pani pyta?

– Jego stan wykazuje intrygujące podobieństwa z tym tutaj. – Wskazała głową na chorych.

– Brak nieprzymuszonej zdolności motorycznej, niemożność wykonywania poleceń, ale jednocześnie normalna, jak się wydaje, percepcja i oznaki życiowe.

– Rzeczywiście – przyznał doktor. – Jak się pani o tym dowiedziała?

– Nigdy nie ujawniam swoich źródeł – odparła z uśmiechem Karen. – Dowiedziałam się nieoficjalnie w Waszyngtonie. Pewnie zechce pan pomówić ze swoimi ludźmi, tam na miejscu, choć Walter Reed jest praktycznie niedostępny.

– Pomyślę o tym. – Lekarz potrząsnął z wolna głową, przesuwając wzrokiem po szeregach bezradnych ludzi. – Jeśli mamy do czynienia z tym samym schorzeniem, to może być to zły znak.

– Dla Everhardta? – spytała Karen.

– Dla nas wszystkich – zauważył ze smutkiem. – Gdyby coś takiego zaczęło się kiedykolwiek rozprzestrzeniać... zważywszy na fakt, że nie mamy pojęcia, jak sobie z tym radzić...

Wychodząc z sali, przeszli obok łóżka, w którym leżała mała dziewczynka z pluszowym misiem.

– Jak ta zabawka tu trafiła? – zainteresowała się Karen.

– Chyba znaleźli tę małą w domu – wyjaśnił Hernandez. – Była w swoim pokoju.

Przypuszczam, że jeden z sanitariuszy wziął misia ze sobą, żeby miała go tutaj.

Karen przyjrzała się bliżej oczom dziewczynki. Wiedziała, gdzie jest? Trudno było się zorientować po jej szklanym wzroku.

Po raz pierwszy ta rozgrywająca się wokół tragedia poruszyła Karen. A jeśli dziewczynka nigdy więcej się nie poruszy, nigdy nie powie ani słowa?

Karen zostawiła doktora Hernandeza i zeszła na dół do stołówki szpitalnej. Ścisnęła ją w żołądku, ponieważ od rana nic nie miała w ustach. Niestety, palenie było tu zabronione. Wiedziała, że musi poczekać z papierosem, aż znajdzie się na zewnątrz.

Zamówiła kanapkę z tuńczykiem, baton z muesli, jogurt, paczkę chipsów ziemniaczanych, a do picia czarną kawę w plastikowym kubku.

Kiedy szła z tacą w stronę stolika pod oknem, usłyszała znajomy głos:

– Panna Embry. Udało się tu pani dotrzeć, jak widzę.

Był to Joseph Kraig, agent Secret Service, z którym rozmawiała zeszłego wieczoru. Siedział samotnie przy stoliku dla czterech osób. Wyglądał na niezadowolonego i bardziej zmęczonego niż ostatnim razem.

- Panu też – zauważyła Karen. – Mogę się przysiąść?
- Czemu nie?

Odsunął dla niej krzesło. Przerzuciła płaszcz przez oparcie i usiadła.

- Nie za gruby ten pani płaszcz.
- Nie siedziałam długo na dworze – wyjaśniła. – A pan?
- Też nie.

Przyglądał się, jak odrywa wieczko z pojemniczka z jogurtem.

- Nie wygląda pani na kogoś, kto się dobrze odżywia – zauważył.

Zbyła tę uwagę wzruszeniem ramion, popijając z wyraźnym niesmakiem kawę.

– Nienawidzę szpitali – wyznała. – Moja babka zmieniała je jak rękawiczki, kiedy umierała. Moja noga nieprędko postanie w takiej stołówce.

Kraig przytaknął. Miał własne wspomnienia ze szpitali. Też nie lubił ich odwiedzać.

Karen zjadła kilka łyżeczek jogurtu, potem oparła się wygodnie, by popatrzeć badawczo Kraigowi w twarz.

- Mam ochotę na papierosa. – Westchnęła. – W szpitalach traktują palenie zbyt surowo.

Kraig przytaknął.

- Świat nie ma obecnie zrozumienia dla palaczy.
- Palił pan kiedykolwiek? – spytała.
- W szkole średniej – odparł. – Rzuciłem, kiedy poszedłem na studia.

Karen skinęła głową, zerkając na jego grube nadgarstki wysuwające się spod mankietów marynarki. Palce miał kwadratowe, niemal grubo ciosane, wierzch dłoni szeroki. Domyśliła się, że ćwiczy, być może nawet za dużo.

– Jak załapał się pan do tego federalnego interesu? – spytała. Uśmiechnął się, zdając sobie jednocześnie sprawę, że faktycznie jest to interes jak każdy inny.

– Byłem młody, właśnie się ożeniłem. Nie bardzo wiedziałem, co mam dalej robić z życiem, poza tym potrzebowaliśmy pieniędzy – odparł. – Jeden z moich przyjaciół był agentem FBI, opowiedział mi o zarobkach i różnych korzyściach. I tak to się zaczęło.

- Wciąż jest pan żonaty? – zainteresowała się.

Potrząsnął głową. Dostrzegła lekkie skrzywienie warg, zewnętrzną zasłonę bólu, o którym nie chciał mówić. Widziała to samo na własnej twarzy, kiedy patrzyła w lustro.

Wydał jej się prostolinijny, ale nie płytki. Sprawiał wrażenie kogoś, kto sporo przeżył i odpokutował już za swoje błędy. Podobało jej się to w tym mężczyźnie.

- A pani? – spytał. – Jak dostała się pani do interesu dziennikarskiego?

– Zawsze chciałam być reporterem – wyjaśniła. – Już w szkole średniej. Człowiek jest cały czas zajęty. Spotyka się mnóstwo ludzi.

- Ludzi, którzy niekoniecznie są z tego powodu zadowoleni – dorzucił Kraig.

– Zgadza się – przytaknęła. – Ale przynajmniej nie trzeba siedzieć w domu. Aż tak bardzo nie przepadam za własnym towarzystwem.

Ugryzła kanapkę z tuńczykiem, skrzywiła się i popiła kawą.

- Jezu – mruknęła. Już dawno jedzenie nie smakowało tak paskudnie, nawet w samolocie.

Kraig uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Karen zabrała się do batona i zjadła połowę, nim spytała:

- To to samo, prawda?
- Co?

- Choroba – wyjaśniła. – Ta sama co u Everhardta. Kraig popatrzył na nią z uwagą.

- Nie lubi pani słuchać, co? – zauważył. – Bez komentarza.

- A nieoficjalnie? – Uśmiechnęła się. – Poza protokołem? Potrząsnął głową.

Przyglądała mu się badawczo.

– Wszystkie funkcje życiowe w normie – oświadczyła. – Ale pacjent nie jest w stanie działać. Nie słucha prostych poleceń, nie może mówić, chodzić ani jeść samemu. Paraliż działania albo decyzji.

Kraig milczał.

– Szukają właściwego kierunku leczenia – ciągnęła Karen. – Ale tak naprawdę nie wiedzą, co to za choroba, więc niewiele im to da. Żadna znana choroba nie objawia się w ten sposób.

– Skąd pani wie? – zainteresował się Kraig.

– Nigdy nie ujawniam źródeł. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym tak się składa, że wiem co nieco o tych sprawach. Robiłam podwójną specjalizację na studiach, z biochemii i dziennikarstwa. Mam na koncie sporo reportaży o chorobach. To jest zdecydowanie coś nowego.

– Skoro pani tak mówi – rzekł obojętnie. – Nie jestem lekarzem. Pochyliła się w jego stronę; Kraig poczuł woń jej wody toaletowej i uśmiechnął się nieznacznie.

– Są tu setki ofiar – powiedziała. – Każdy obszar został dotknięty w stu procentach. Ale w Waszyngtonie jest tylko jedna ofiara. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych.

Kraig wciąż zachowywał niewzruszony wyraz twarzy. Wiedział jednak, że Karen ma rację. Gdyby Everhardt cierpiał na tę samą chorobę, dziesiątki innych ludzi też powinny już zdradzać jej objawy. Coś tu się nie zgadzało.

– Everhardt stanowi klucz do popularności prezydenta. Jest rozsądny, cieszy się uznaniem mężczyzn oraz kobiet. Partia włożyła wiele wysiłku w wypromowanie go jako wiceprezydenta. Gdy tylko zniknie, rząd straci w oczach wyborców. Trudno będzie go zastąpić.

Kraig słuchał w milczeniu.

– A co z wrogami politycznymi prezydenta? – ciągnęła. – Co z Colinem Gossem? Jak on to wszystko widzi?

Kraig wzruszył ramionami.

– Oczekuje pani ode mnie opinii na ten temat? – spytał. Zgniotła opakowanie po batonie i rzuciła na tacę.

– Jest coś nie tak – powiedziała. – Z Everhardtem. Z tym tutaj. Rozejrzała się po pustej stołówce.

Kraig milczał.

– Dowiem się – oświadczyła. – Z panem czy bez pana. Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, być może pan będzie zadawał pytania.

– Niewykluczone.

– Stawiam dwanaście lat w dziennikarstwie, że nie spodobają się panu odpowiedzi – uprzedziła.

Wzięła płaszcz i wyszła. Jej ramiona pod swetrem sprawiały wrażenie drobnych i małych. Zmęczona młoda kobieta, bez wątplenia nieuleczalna pracoholiczka, która nie zamierza kryć rozgoryczenia.

Podobała się Kraigowi. Miała w sobie jakąś cichą bezradność, która poruszała w nim czułą strunę. Zrezygnowała z czegoś dawno temu – z miłości? oddania? – a pustka, która pozostała, zaczęła kształtować jej osobowość. Reporterzy, których znał, wydawali mu się ludźmi płytkimi, niewolnikami własnej ambicji. Karen Embry była istotą ludzką, choć naznaczoną jakąś skazą.

Kraig zastanawiał się, jak wygląda bez ubrania. Jak pachnie ta woda toaletowa z bliska, kiedy dotyka się wargami skóry Karen.

Miał nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy tej kobiety.

Waszyngton  
22 listopada

Susan Campbell była jedynym dzieckiem kapryśnej i nieobliczalnej królowej piękności z New Hampshire i bostońskiego kobieciarza błękitnej krwi, Lee Bellingera. Ich małżeństwo trwało siedem lat. Susan miała sześć, kiedy ojciec porzucił matkę. Potem był wianuszek mężczyzn i brak pieniędzy, który zaprowadził „Dede” Bellinger na krótko do telewizji, radia, reklamy i public relations, nim zamięłowanie do alkoholu i nieumiejętność prowadzenia samochodu spowodowały jej tragiczną śmierć na autostradzie w New Jersey.

Susan wychowywała się u dwóch pruderyjnych ciotek z rodziny Beilingerów, które posyłały ją do renomowanych szkół i starały się jej wpoić – w charakterze drogowskazu życiowego – mądrość zawartą w Biblii, konserwatywnych magazynach i dziełach Ralpha Waldo Emersona. W wieku czternastu lat zaczęła uczęszczać do Rosemary Hall jako zagubiona dziewczyna o patykowatych nogach, strapionym wyrazie twarzy i z aparatem na zębach.

Cztery lata prywatnej szkoły w towarzystwie uprzywilejowanych dziewcząt z najlepszych rodzin w kraju nie pomogły jej zyskać pewności siebie. Była nieśmiałą studentką pierwszego roku na Uniwersytecie Smitha, kiedy przyjaciółka przedstawiła ją Michaelowi Campbellowi, studentowi trzeciego roku z Harvardu, który miał się właśnie poddać drugiej operacji kręgosłupa po pierwszym nieudanym zabiegu. Michael był przerażony; Susan postanowiła dodać mu odwagi. Ten gest poświęcenia stanowił dla niej początek kobiecości.

Nim Susan się obejrzała, Michael zdobył dwa medale olimpijskie i stał się narodową sławą. Ukończył wydział prawa w dwa lata po olimpiadzie, a po dwóch kolejnych wystartował z powodzeniem w wyborach do legislatury stanu Maryland. Susan była już jego żoną i pomagała mu w kampanii. Jako wyjątkowej urody blondynka była idealną partnerką w walce o głosy wyborców. Zarabiała na studia jako modelka pozująca do zdjęć w pismach, specjalizujących się w ubiorach sportowych i bieliźnie; przez kilka lat jej skąpo odziany wizerunek widniał na każdym opakowaniu rajstop sprzedawanych pod ekskluzywnym szyldem S/Z i nadal ją prześladował, gdyż często towarzyszył wielu artykułom na jej temat, zamieszczanym w pismach kobiecych.

Susan była zbyt piękna jak na żonę polityka i zbyt nieśmiała. Doradcy Michaela do spraw kampanii nie bardzo wiedzieli, co z nią zrobić.

Wtedy wydarzyło się coś, dzięki czemu Susan stała się znaczącym składnikiem politycznego arsenału Michaela. Została zaproszona do Oprah Winfrey Show. Na prośbę gospodyni programu Susan przyniosła ze sobą album fotograficzny, który dokumentował jej wczesne lata u boku Michaela.

Kiedy kamera pokazała w zbliżeniu album, wyniknęła mała komedia omyłek.

- Co to za zdjęcie? – dopytywała się Oprah.
- To Michael z kwiatami, które mi przyniósł po pierwszej kłótni – wyjaśniła Susan.
- Kłótni? – Oprah popatrzyła w obiektyw. – O co poszło?
- O seks – wypaliła Susan, nim zdążyła ugryźć się w język.
- Seks? – zdziwiła się Oprah, która od razu zwietrzyła okazję.
- Tak. Uważał, że jestem zbyt pruderyjna w tej kwestii. – Susan uniosła dłoń do ust. – Och. Chyba nie powinnam tego mówić.
- Ależ skąd – zapewniła Oprah. – Pod jakim względem pruderyjna?
- Pieszczoty w miejscach publicznych i tym podobne – wyjaśniła Susan.
- Aha, chcesz powiedzieć, że jesteś bardziej wstrzemięzliwa niż on? – spytała Oprah.
- Tak, jestem raczej nieśmiała – wyznała Susan. – To chyba skutek mojego nowoangielskiego pochodzenia.



– A Michael taki nie jest? – dopytywała się Oprah. Susan wybuchnęła śmiechem.  
– Nie. Michael nie jest nieśmiały.  
– O jakich miejscach mówimy? – spytała Oprah.  
– Jeśli chodzi o pieszczoty?  
– Owszem. Pieszczoty – przytaknęła Oprah, zerkając na publiczność w studiu.  
– Na plaży przy blasku księżycy – wyjaśniła Susan. – I w podobnych miejscach.  
– Lubi więc ryzykować? – sondowała Oprah.  
– Ryzykować? No cóż, jest na ogół bardzo romantyczny, ale owszem, chyba można powiedzieć, że lubi ryzykować.  
– Jak sądzisz, daleko by się posunął?  
– To znaczy, gdyby wiedział, że nikt nie patrzy? – upewniła się Susan.  
– No... tak – przytaknęła Oprah.  
– Och, pewnie na sam środek największego boiska futbolowego w kraju – odparła Susan. Jej dłoń powędrowała natychmiast do ust, ale było za późno. Widownia oszalała.  
– O cholera – rzuciła jeszcze, oblewając się rumieńcem.

Wszystko przypieczętował ten niezwykle akord, pełne zakłopotania przekleństwo. Śmiech publiczności mieszał się z aplauzem. Widzowie nigdy jeszcze nie widzieli, by żona polityka mówiła z tak spontaniczną szczerością.

O programie zrobiło się głośno. Nie tylko ujawnił zaskakującą osobowość Susan i jej urok, ale także zahaczał o jej życie intymne, które dzieliła z jednym z najbardziej pożądanym mężczyzną Ameryki, człowiekiem, którego atrakcyjne ciało było znane kobietom na całym świecie.

Z początku doradcy Michaela byli przerażeni. Widok Susan w programie telewizyjnym, wypowiadającej nieprzyzwoity komentarz, zagłuszony elektronicznym sygnałem przez realizatora, wydawał się klęską o niebywałych rozmiarach. Ale w ciągu kilku następnym tygodni poparcie dla Michaela poszło zdecydowanie w górę, a Susan stała się sławna, co zawdzięczała tylko sobie. W ciągu jednego wieczora zyskała ogromne uznanie.

W wieku trzydziestu dwóch lat Susan była nie tylko żoną amerykańskiego senatora i ulubienicą prasy; weszła także do nowej, znanej rodziny. Judd Campbell, którego upór wyrządził trwałą szkodę rodzeństwu Michaela, pokochał Susan i zaakceptował ją jako namiastkę córki. Susan pod wieloma względami czuła się odstonięta i niepewna. Nie miała jednak wyboru. Złączyła swój los z Michaeliem i nie mogła oglądać się za siebie.

Susan i Michael byli w ostatnich tygodniach zbyt zajęci, by znaleźć czas na seks. Okazja nadarzyła się w pierwszy weekend po nagłej chorobie Dana Everhardta.

Spotkali się w sypialni po obiedzie. Oboje odczuwali pożądanie. Szybko zdjęli ubrania. Michael westchnął, kiedy poczuł na sobie dotyk nagiego ciała żony.

– Boże, jak cię pragnę – wyznał.

Wydawało się, że wstępne pieszczoty dobiegły końca w okamgnieniu i Michael szybko wszedł w Susan. Był delikatny, choć pożądanie, które coraz silniej odczuwał w lędźwiach, spowodowało, że wyrwał mu się jęk. Trzymała mu dłonie na ramionach i oplatała nogami.

Susan miała zamknięte oczy, Michael otwarte. Patrzył na jej twarz, która mogła zdradzać w takim samym stopniu ból jak rozkosz. Pomyślał, że jest bardzo piękna. Jej piersi, wciąż mocne jak u młodej dziewczyny, napierały mu na tors, biodra poruszały się pod nim, łono obejmowało go po kobiecemu, delikatnie, wzbudzając w nim jeszcze większą żądzę.

Włosy Susan rozsypały się po poduszce – wyglądały jak plama złotego płynu. Poruszył się szybciej. Przesunęła dłońmi po jego żebrach i objęła plecy. Jej palce dotknęły blizny biegnącej wzdłuż kręgosłupa.

Był w niej twardy i długi. Jego pchnięcia stały się wolniejsze, uważniejsze. Czuła, jak bada jej wnętrze, chcąc ją rozpaść jeszcze bardziej. Jego świeża, ziemista woń nabrała intensywności. Z gardła Susan dobywały się ciche jęki.

Całował ją, jego język wsuwał się w jej usta, podczas gdy dłonie przyciągały ją coraz mocniej. Wygięła się w łuk.

– Och, Michael...

Ostatnią świadomą myśl zachował dla jej zamkniętych oczu, jej młodzieńczych policzków. Była taka piękna, taka niewinna...

Paroksyzm przyszedł nagle, wrywając mu z gardła głośne westchnienie. Strumień nasienia był długi i rytmiczny. Michael czuł drżenie własnych łądźwi. Oddychał spazmatycznie. Miał wrażenie, że się roztopia.

Pozostał w niej długą chwilę. Jego rozkosz odpływała z wolna i kiedy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, ucałował jej policzki i czoło. Nieodgadnione oczy patrzyły na niego. Uśmiechała się.

Przyciągnęła go do piersi i przytrzymała. Nasłuchiwał bicia serca Susan.

Po chwili przesunął palcem przez gęstwinę jej włosów.

– Jesteś piękna – powiedział.

Uśmiechnęła się tylko.

Zapadła cisza. Leżeli i patrzyli na siebie.

– Przepraszam – wyszeptala.

– Nie masz za co przepraszać – odparł. Znow cisza.

– Kocham cię – powiedział.

– Ja też cię kocham.

Susan ułożyła się na poduszce i wlepiła wzrok w sufit.

– Nie jestem sobą, Michael.

Skinął głową.

– Wszystko przez ten okropny rok – mówiła dalej. – Choroba Danny'ego Everhardta i te historie w mediach... trochę się zagubiłam.

– Pewnie. Rozumiem. – Michael leżał na boku, patrząc na nią. – Nie przejmuj się tym.

– Postaram się.

Zapadło milczenie. Michael patrzył na żonę i myślał o tym, że ilekroć się kochali, towarzyszyły temu usprawiedliwienia.

Susan nigdy nie przeżywała z nim orgazmów. Już nie. Myślał, że to prawdopodobnie z powodu tej presji, by mieć dzieci. Sprawiało to, że nie byli pewni swej seksualności, a nawet swego związku. Uprawianie miłości stało się bezustannie ponawianą próbą osiągnięcia czegoś, a nie zwyczajnym dzieleniem się czułością i przyjemnością.

Trudno było sobie z tym poradzić. Kochał Susan bardziej niż kiedykolwiek. Uwielbiał w niej wszystko. Jej słodycz, zaskakujące poczucie humoru, nawet niepewność. Wiedział jeszcze przed ślubem, że jest odrobinę neurotyczna. Nie przejmował się zbytnio. Na tym polegał między innymi jej urok, nawet jeśli była z tego powodu od niego jakoś zależna.

Ale wraz z upływem czasu, gdy stawali się coraz bardziej znani, brak dzieci zaczął stanowić problem. Ambitny polityk potrzebował żony i dzieci. Rodziny.

Konsultacje u specjalistów nic nie dały. Żadne z nich nie miało fizycznych usterek.

W każdym razie nie takich, z jakimi nie poradziłyby sobie medycyna.

Michael był jednak świadomy, że problem istniał, jeszcze nim kwestia w ogóle się pojawiła. Im bardziej Susan poświęcała własną niezależność w imię bycia żoną znanego polityka, tym bardziej malała jej zdolność do odczuwania przyjemności seksualnej.

Ale być może problem zaczął się jeszcze wcześniej...

Michael często wracał myślą do tych wczesnych dni, kiedy to był dosłownie inwalidą pielęgowanym przez Susan i swoją siostrę Ingrid. Nie spał z Susan, nim stało się jasne, że

będzie musiał się poddać drugiej operacji kręgosłupa. Intymność między nimi zrodziła się właśnie w trakcie tej długiej i wyczerpującej rekonwalescencji. Kiedy w końcu po zdjęciu gipsu doszło do zbliżenia, seks stał się nie tylko wzajemnym odkrywaniem siebie, ale także sprawdzianem jego powrotu do zdrowia. Pragnęła, by czuł się silny i sprawny. Oboje byli tamtej nocy podenerwowani.

Usadowiła się na nim. Jej nagie kolana ocierały się o jego biodra, dłonie spoczywały na klatce piersiowej. Czuli narastające podniecenie, jej włosy opadały mu na twarz, powtarzała jego imię – Michael, Michael – głosem rozpalonym przez żądzę. Miękkosć Susan była zdumiewająca. Biorąc ją, wyczuwał, jak bardzo pragnie go mieć w sobie. Orgazm kazał mu zapomnieć o bólu pleców.

Czyżby udawała nawet wtedy? Być może. W końcu chciała mu ponad wszystko pomóc, okazać się przydatna. Niewykluczone, że samo poczucie lojalności ją zatruło, uniemożliwiło odczuwanie prawdziwie zmysłowej przyjemności.

Należało też pamiętać o jej bolesnym dzieciństwie. Ojciec był niepoprawnym kobieciarzem i porzucił rodzinę. Matka nigdy nie otrząsnęła się po tej stracie. Oddanie się nieskrępowanemu seksowi z mężczyzną mogło okazać się dla Susan zbyt trudne.

Teraz, po zbliżeniu, wydawała się jeszcze bardziej spięta. Oczywiście starała się to ukryć, postępując się jak tarczą miłosnymi uściskami i czułością. Ale znał ją zbyt dobrze, by dać się nabrać.

Michael dopuścił do siebie te bolesne myśli, kołyszając delikatne ciało Susan w ramionach.

– Rozmawiałam z Pam Everhardt – wyznała. Uniósł się na łokciach.

– Jak sobie radzi?

– Fatalnie – odparła Susan. – Nie dociera do niej to, co się stało. Leżała przez chwilę, patrząc na Michaela.

– Jest tak bardzo zależna od Danny’ego. Trójka dzieci na głowie... i nie mają za dużo pieniędzy.

– Nigdy nie mieli – zauważył Michael. – Danny się tym nie interesował. Zależało mu tylko na stałej pensji. Lubił żartować na ten temat.

Susan skinęła głową.

– Pam szaleje. Chyba nie zdawała sobie z początku sprawy, jakie to poważne.

Przypuszczam, że lekarze nie powiedzieli jej nic pocieszającego, co by ją podtrzymało na duchu. Zastanawia się nad konsultacjami u innych specjalistów.

– Wątpię, czy to konieczne. – Michael potrząsnął głową. – U Waltera Reeda zrobią wszystko, co potrzeba. Danny to osoba publiczna.

– Biedna Pam... Dotknął ramienia Susan.

– Och. Znowu się identyfikujesz z poszkodowaną?

– Obawiam się, że tak.

Był to jeden z odwiecznych nawyków jego żony. Zawsze silnie się identyfikowała z ludźmi, którym przytrafiło się jakieś nieszczęście. Kiedy któryś z wyborców Michaela z Marylandu donosił mu o czyjejs tragedii, można było oczekiwać, że Susan napisze do poszkodowanego, może nawet odwiedzi go osobiście. Dostawała mnóstwo serdecznych listów od ludzi, których w ten sposób ujęła.

Everhardtwie wielokrotnie gościli w tym domu. Dan i Michael pracowali razem w komisjach, kiedy Dan był jeszcze senatorem, i oczywiście uczestniczyli w strategicznych posiedzeniach partii. W ciągu tych lat zawiązała się między nimi przyjaźń. Susan traktowała Pam jak starszą siostrę. Pam występowała na arenie publicznej dłużej niż Susan, choć jako kobieta z nadwagą, o raczej rodzinnym usposobieniu, nigdy nie odczuwała ciężaru popularności, towarzyszącej Susan.

– Gdyby tylko wiedzieli, co mu jest – powiedziała. – Najgorsze jest to, że nie mają pojęcia. Michael przytaknął.

- Sam dzisiaj z nią rozmawiałem.
- Naprawdę? – zdziwiła się.
- Dzwonię od niej codziennie, żeby się zorientować, jak wyglądają sprawy.

Susan się uśmiechnęła. To było typowe dla Michaela, ta troska o kolegę z pracy, który miał kłopoty. Kilka lat wcześniej Dick Friedman, senator z Kolorado, który zaczął kadencję jednocześnie z Michaeliem, został niemal śmiertelnie ranny w wypadku samochodowym. Sprawca zbiegł. Michael osobiście zajął się projektem ustawy, nad którą Friedman pracował, i poświęcił mnóstwo godzin na grzebanie w materiałach i wydzwanianie do potencjalnych zwolenników projektu; nie oczekiwał żadnych podziękowań, nawet nic nikomu nie mówił. Michael był lojalny – cecha ta przysporzyła mu wielu przyjaciół w Kongresie.

– Danny w tej chwili sobie nawet nie uświadamia, kto to jest Pam – zauważyła Susan. – To ją naprawdę dobija.

Michael objął żonę.

– Wiem – przyznał. – To niedobrze.

Po chwili się uśmiechnął.

– Może wyjdzie z tego równie szybko, jak zachorował. Słyszysz się przecież o ludziach, którzy wyszli ze śpiączki po długim czasie.

Susan nie odpowiedziała. Leżała na boku, kryjąc twarz na jego piersi.

– Michael – powiedziała.

– Co?

Zagryzła nerwowo wargę. Wahala się, czy podzielić się z nim swoimi lękami. Mogło to tylko zwiększyć jego własne obawy.

– Czujesz się bezpiecznie, Michael?

– Bezpiecznie? – Uśmiechnął się. – Oczywiście, że tak.

– Chodzi o to, że... wszystko wydaje się dziwne – wyznała. – Ci chorzy ludzie w Iowie. A teraz Dan Everhardt... to naprawdę niepokojące.

Poklepał ją delikatnie.

– Na świecie zdarzają się różne rzeczy – powiedział. – Ale to wcale nie znaczy, że niebo wali się nam na głowę. Trzeba zacisnąć zęby, kochanie. To jedyne, co możemy zrobić.

Wszystko będzie dobrze.

– Tak myślisz? – spytała.

– Wiem to.

Uśmiechał się tak pewnie, a nawet figlarnie, jak gdyby znał jakiś sekret i drażnił się z nią, nie chcąc go zdradzić.

– Wybaczasz mi? – spytała w końcu.

– Nie mam ci czego wybaczać. – Pocałował ją w usta. – Wszystko będzie dobrze. Z tobą też.

Skinęła głową.

– Dziękuję, Michael.

Nie czuła się tak naprawdę uspokojona. Ale było jej teraz znacznie lepiej. Michael zawsze potrafił podnieść ją na duchu.

Kiedy stał pod prysznicem, zadzwonił telefon. Susan, naga, pobiegła do holu i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Susan.

Głos był kobiecy, niski i nieco gardłowy.

– Tak?

– Chciałam tylko, Susan, żebyś się czegoś dowiedziała.

– Kto mówi? To chyba pomyłka...

– Dan Everhardt nie wyzdrowieje, Susan.

– Słucham? Co pani powiedziała?  
– Słyszałaś. Everhardt nie wyzdrowieje. Prezydent zamierza mianować nowego zastępcę.  
Susan zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Włosy miała w nieładzie, piersi wciąż wilgotne po zbliżeniu z Michaeliem.  
– Naprawdę nie rozumiem... Kto mówi? – spytała.  
– Prezydent wybierze twojego męża, Susan.  
– Mojego męża? O czym pani mówi?  
– Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Niedługo znów się z tobą skontaktuję.  
– Ja... z kim rozmawiam? O czym pani mówi? W słuchawce rozległ się stłumiony śmiech.  
– Wszystko zrozumiesz, Susan. Z czasem. Kobieta się rozłączyła.  
Susan odłożyła słuchawkę. Stała przez chwilę, patrząc na swe nagie odbicie w lustrze. Skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała je ukryć. Potem poczuła nagły chłód i wróciła biegiem do łóżka, żeby poczekać w nim na Michaela.

## Rozdział 9

Manchester, New Hampshire  
24 listopada  
11.30

Nazywał się Errol, jak pianista.

Wołali na niego „Radiowiec”, bo zawsze gadał o falach radiowych. O tym, że je wyczuwa, słyszy, a nawet widzi.

Był bezdomny już od jedenastu lat, to znaczy od chwili, gdy zamknęli szpital stanowy. Spał w opuszczonych budynkach, jadał w przytułkach i pił wszystko, począwszy od denaturatu, a skończywszy na płynie do zapalniczek.

Nosił ze sobą starego walkmana, którego znalazł przed laty na śmietniku. Rzadko go widywano bez małych słuchawek na uszach. Zazwyczaj był zaabsorbowany grzebaniem w kontenerach, gdzie przygarbiony szukał skrawków gazet; równie często stał przed sklepami ze sprzętem elektronicznym i oglądał z zainteresowaniem wiadomości na ekranach telewizorów umieszczonych na wystawie.

Niektórzy zastanawiali się, czy przez słynne słuchawki dociera jakikolwiek dźwięk. „Nie potrzebuje żadnego dźwięku – mówili inni. – Ma w głowie mnóstwo głosów”.

Tego dnia jednak do mózgu Errola docierały wiadomości, ponieważ dwa tygodnie wcześniej założył do walkmana nowe baterie, które wciąż działały. Przytakiwał ze zrozumieniem, słuchając informacji.

Dwaj policjanci objeżdżający radiowozem swój rejon prawie go wyczuli, nim się jeszcze pokazał. Roztaczał wokół siebie odór zastarzałego potu, alkoholu i próchnicy. Nigdy nie cieszyli się na jego widok, gdyż zawsze miał na podorędziu mnóstwo zmyślonych historii o kosmitach, którzy bombardowali go falami radiowymi. „Wcale nie mieli mnie napromieniować – zwykł mawiać. – Ale coś tam poplątali. Dorwali niewłaściwego faceta. A teraz te promienie mnie zabijają, a ja nie mogę ich powstrzymać”.

Zazwyczaj policjanci zawozili Errola do przytułku, skąd personel transportował go do przychodni, gdzie dostawał lekarstwa. Na ogół jednak ich nie zażywał. Mówił, że się przez nie ślini.

Tego dnia powlókł się w stronę radiowozu z nieco większą stanowczością niż zwykle. Kiedy stanął obok samochodu, zdjął słuchawki.

– Cześć, Errol – rzucił kierowca. – O co chodzi?  
– Znalazłem zwłoki – odparł.  
– Ty znalazłeś zwłoki? – spytał z niedowierzaniem policjant.

– Martwego człowieka – wyjaśnił. – Już cuchnie. Leży pewnie parę dni. Poczekajcie, aż zobaczycie dłonie i stopy.

– Dłonie i stopy? O czym ty gadasz, Errol?

Włóczęga był wyraźnie podniecony.

– Mówię wam, chłopaki. Ci goście na gorze dokonują zmian. Nie tylko ze mną. Poczekajcie, aż zobaczycie dłonie i stopy.

– Gdzie ten trup, Errol?

– W kontenerze na tyłach Chestnut Street. Leży tam cały ranek. Policjanci spojrzeli po sobie. Dawno już się nauczyli, że nie należy przywiązywać specjalnej wagi do słów Errola. Ale zwłoki w kontenerze to było coś, co wymagało sprawdzenia.

– Jesteś pewien, że tam leży, Errol?

– Jak Boga kocham. Mówiłem wam, że będą zmiany. Nie jestem jedyny. Poczekajcie, aż zobaczycie.

Kierowca westchnął.

– Okej, Errol. Wsiadaj, pokażesz, gdzie to jest.

Obaj policjanci zmarszczyli nosy, kiedy włóczęga usadowił się na tylnym siedzeniu. Poinstruował ich, jak jechać. Bardzo dobrze znali tę alejkę na tyłach ulicy. Ruch był niewielki, mogli więc tam dojechać w pięć minut.

Młodszy z policjantów był w dobrym nastroju i postanowił wdać się tymczasem w pogawędkę z Errolem.

– Co słysząc, Errol?

– Nie najlepiej w tym tygodniu. Ten ból w stawach... To artretyzm. Ale fale tylko go pogarszają.

– Jakie fale?

– Radiowe – wyjaśnił Errol i dodał w zamyśleniu: – Nie da się nimi bombardować zdrowych tkanek. Ale szkodzą jak diabli na artretyzm. Mówiłem im, że to może zniszczyć tkanki. Ale nikt mnie nie chciał słyszeć.

– Komu mówiłeś, Errol?

– Temu nowemu doktorowi w przychodni. Chcę wysłać też okólniki do stanowych władz medycznych, ale najpierw muszę dostać znaczek.

– Jaki znaczek, Errol?

– Znaczek ze wskaźnikiem. Pokazuje, jaki masz wskaźnik, żeby mogli posortować odpowiednio korespondencję.

Policjant odwrócił się na swoim siedzeniu.

– Wskaźnik? Jaki wskaźnik?

– Wskaźnik twojego miejsca w organizacji – wyjaśnił Errol. – Ja mam 513, ale tylko dlatego, że nie poszedłem na ostatnie przesłuchanie. Mówię wam, chłopaki, załatwcie to sobie. Będziecie ustawieni na całe życie. Gliniarz dostanie 915 albo nawet lepiej. Co to ja mógłbym robić, mając 915?

Popatrzył w zamyśleniu na budynki za oknem wozu.

– Hm – mruknął policjant, zerkając znacząco na partnera.

– Ale przywrócą mi mój wskaźnik i dadzą jeszcze więcej po dzisiejszym dniu – zauważył Errol. – Zaczekajcie tylko, aż zobaczycie. Mówiłem wam, że będą zmiany.

– Jakiego rodzaju zmiany? – zainteresował się kierowca.

– Wszelkie – odparł tajemniczo Errol. – Mówiłem wam, że nie jestem jedyny. Wszystko się zmieni.

– Radiowóz skręcił w alejkę biegnącą między dwoma szeregami starych biurowców. Kontener stał mniej więcej w połowie, To tu, Errol? – upewnił się młodszy policjant.

– Tak. Jedźmy, szybciej.

Stanęli za kontenerem. Wzdychając ciężko, policjanci wysiedli z samochodu. Jeden z nich odwrócił się w stronę Errola, kiedy woń uderzyła go w nozdrza.

– Wygląda na to, że trafiłeś w dziesiątkę, Errol – zauważył. – Niech mnie diabli, jeśli nie wyczuwam zdechłego ćpuna.

Jego partner wyraźnie miał mdłości. Zbliżyli się do kontenera. Jeden z policjantów podciągnął się na jego krawędzi, żeby zajrzeć do wnętrza, a drugi przesuwiał uważnie wzrokiem po oknach wychodzących na alejkę.

– Widziałeś kogoś jeszcze? – zawołał do Errola siedzącego w samochodzie.

– Nikogo. Żywego ducha.

Policjant zaczął odrzucać śmiecie, oddychając przez usta. Skinął partnerowi głową.

– Zgadza się, mamy sztywniaka.

Drugi funkcjonariusz stanął obok kontenera, podczas gdy pierwszy dalej odrzucał na bok odpadki. Errol słyszał, jak wzdycha i łapie ustami powietrze. Coś przyczepiło mu się do munduru, odrzucił to z przekleństwem.

Nagle znieruchomiał. Przyjrzał się bliżej zwłokom.

– Jezu Chryste.

– Co jest? – spytał drugi.

– Coś nie tak jest z jego dłońmi. Czekaj...

Zajrzał głębiej, sapiąc z obrzydzenia. Odrzucił więcej śmieci. Zwłoki, odsłonięte, wypełniły alejkę odorem rozkładu.

Obaj policjanci wyglądali niewyraźnie, ale Errol wdychał powietrze bez zmrużenia powiek.

– Popatrzcie na jego stopy – doradził. – No dalej. Policjant w kontenerze pochylił się jeszcze bardziej i sapnął ponownie. Wyprostował się po chwili i popatrzył szeroko otwartymi oczami na swego partnera.

– Zobacz tylko – powiedział.

Drugi wspiął się na palce, żeby spojrzeć poza krawędź kontenera. Długo wpatrywał się w zwłoki, potem skierował wzrok na Errola.

– Widziałeś to? – spytał.

– Pewnie – odparł Errol. – Od razu to zobaczyłem. Dlatego zacząłem was szukać.

Mówiłem, że będą zmiany. Prawda? Przewidziałem to? Widzicie, że się zmienił. Tylko popatrzcie.

Obaj policjanci przyjrżeli się bliżej zwłokom.

– Rany boskie – wymamrotał jeden.

Potem młodszy odszedł od kontenera i wrócił do radiowozu, żeby wezwać przez radio ambulans.

– Widzisz? – zwrócił się Errol do drugiego. – Nie mówiłem?

Lekarzom też o tym gadałem, ale nie chcieli mi wierzyć, uśmiechali się tylko. Ale widzicie na własne oczy, że to prawda, no nie? Dalej. Przyznaj to.

Errol niemal podskakiwał z podniecenia.

Policjant skończył rozmawiać przez radio. Z dała dobiegło wycie syreny.

– Kiedy go znalazłeś, Errol? – spytał starszy.

– Z samego rana. Szósta, w pół do siódmej.

– I nikogo w pobliżu nie widziałeś?

– Nikogo.

Powrócił drugi policjant. Obaj stanęli przy kontenerze, spoglądając na siebie i Errola.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zwrócił się młodszy do starszego.

– Nigdy – odparł tamten. Był równie zaszokowany jak jego młodszy kolega.

Errol rozmawiał z policjantami do chwili przyjazdu karetki. Wsiadł z niej sanitariusz i podszedł do nich.

– Co macie? – spytał.

– Zwłoki – wyjaśnił młodszy. – Odkrył je ten człowiek dziś rano.

– Coś niezwykłego? – zainteresował się sanitariusz.

– Popatrz na jego dłonie i stopy – doradził starszy i odsunął się. Sanitariusz wspiął się na palce, tak jak wcześniej zrobili to policjanci. Przyglądał się długo, potem odwrócił się do funkcjonariuszy.

– Jezu Chryste – powiedział tylko.

– Mówiłem wam – przypomniał radośnie Errol.

Policjanci i sanitariusz popatrzyli na niego. Potem ten drugi połączył się z izbą przyjęć w szpitalu.

– Mamy tu dziwnie zdeformowane zwłoki – poinformował. – Jadę do biura naczelnego patologa. Może przyślecie tam kogoś od siebie.

Spytali go o coś.

– Dłonie i stopy nie wyglądają normalnie – odparł. – Są powiększone i zdeformowane. Trzeba ich dotknąć, żeby stwierdzić różnicę. Powiedziałbym nawet, że nie wyglądają na ludzkie.

Errol przytaknął, chichocząc.

– Mówiłem, że będą zmiany – powtórzył, zakładając słuchawki.

## Rozdział 10

Gary, Indiana

24 listopada

W 1984 Colin Goss – już wówczas gigant w przemyśle farmaceutycznym – dowiedział się, że lewaccy terroryści zamknęli jego najnowszą fabrykę w Kostaryce. Wysadzili jeden z budynków, zabijając dwudziestu pracowników z nocnej zmiany. Zagrozili także lokalnym robotnikom, których najął do pracy.

Goss polecił dyrektorowi zakładów złożyć skargę do władz. Jej przedstawiciele przyrzekli, że zajmą się pilnowaniem obiektu. Obietnice te okazały się bez pokrycia. Nastąpiły kolejne ataki terrorystyczne. Sam dyrektor fabryki został porwany dla okupu. Lewaccy partyzanci zażądali, by Goss zapłacił i przeniósł produkcję gdzie indziej.

Goss wziął sprawę w swoje ręce.

Dwa tygodnie po porwaniu dyrektora fabryki grupa komandosów dowodzona przez zawodowych żołnierzy, którym Goss zapłacił podwójną stawkę, zgładziła przywódców lokalnego ruchu partyzanckiego – wszystkich z wyjątkiem jednego. Ostatniego porwano z małej wiejskiej hacjendy, którą uważał za swoją kryjówkę. Nazywał się Gabriel Cabrera. Jako legenda okolicznych lewaków, Cabrera był siłą napędową ich ruchu.

Tydzień później został wymieniony na dyrektora fabryki należącej do Gossa.

Od tej pory jego zakłady mogły funkcjonować bez przeszkód. Niewielka armia ochroniarzy, którą stanowili wyłącznie byli komandos, pozostała na miejscu, by zapewnić ochronę przedsiębiorstwu i samym pracownikom.

Dokładnie rok po ataku na fabrykę Gabriel Cabrera został przejechany przez ciężarówkę w San Isidro. Kierowca zniknął, nim na miejscu zdarzenia pojawiła się policja.

Partyzanci nie znaleźli przywódcy dla swego ruchu, który wraz ze śmiercią Cabrery cofnął się o całe pokolenie.

Epizod kostarykański stał się znany jako „Propozycja nie do odrzucenia Colina Gossa”. Nigdy nie wspominał o nim publicznie i zaprzeczał, kiedy dziennikarze pytali go, czy zabił



terrorystów celowo. Utrwaliło to jednak raz na zawsze jego publiczny wizerunek. Goss mógł oskarżyć każdego o zbyt liberalny stosunek do terroryzmu i wiedział, że nikt nie wniesie przeciwko niemu oskarżenia. Zapłacił już swój haracz.

Nadal krążyły plotki, że po ataku na World Trade Centre Goss zaproponował wysłanie własnych komandosów do Afganistanu w celu zlokalizowania i schwytania Osamy bin Ladena. Prezydent odrzucił ofertę, gdyż nie wierzył, by Goss w razie powodzenia akcji milczał o jego udziale. Lękał się także konsekwencji politycznych, gdyby Goss został w oczach opinii publicznej bohaterem. Nawet życie bin Ladena nie wydawało się warte tego, by wywindować któregoś dnia na fotel prezydencki Colina Gossa.

Tego wieczoru Goss przybył na zgromadzenie zwołane na jego cześć w Gary w Indianie. Niezdyscyplinowany tłum składał się głównie z hutników, wielu bezrobotnych z powodu pogłębiającej się recesji.

Współpracownicy Gossa nie starali się uciszyć zebranych. Wręcz przeciwnie, jego ludzie pokazywali na wielkich ekranach obrazy chaosu, przemocy i głodu. Nim zapowiedziano wystąpienie Gossa, trudno już było zapanować nad tłumem.

Był to zupełnie inny Goss niż ta łagodna, ojcowska postać, która pojawiała się jesienią w telewizyjnych reklamówkach. Jedynym wspólnym elementem był ciemny garnitur. Goss zbliżył się szybkim krokiem do mikrofonu.

– Goss! Goss! Goss! – skandował tłum. Rytmiczny okrzyk przypominał huk potężnego silnika i syk ulatującej pary.

Goss musiał uspokajać zebranych przez kilka minut, nim udało mu się przemówić.

– Wiemy wszyscy, dlaczego tu dziś razem jesteśmy – zaczął. – Mamy nowe tysiąclecie, ale wartości, które cenimy, nie zmieniły się. Zjawiliśmy się tu, by przypomnieć sobie, kim naprawdę jesteśmy i jakiego życia pragniemy dla nas i naszych dzieci. To czasem trudne, prawda? Trudno sobie przypomnieć.

Tłum milczał, słuchając z uwagą.

– Trudno przypomnieć sobie czas, kiedy sąsiedzi żyli w pokoju i pomagali sobie wzajemnie, gdy zaszła taka potrzeba – mówił dalej Goss. – Czas, kiedy mogliśmy bezpiecznie chodzić po ulicach i cieszyć się bogactwem największego narodu na ziemi. Czas, kiedy miłość do bliźniego była nagradzana pokojem i pomyślnością. Wydaje się, że było to dawno temu, prawda?

Tłum potwierdził te słowa głośnym pomrukiem.

– Był to wspaniały świat – mówił dalej Goss. – Zbudowali go ludzie, którzy kochali wolność i pragnęli szczęścia dla siebie samych oraz dla swych dzieci, a także spełnienia marzeń. Ci ludzie byli budowniczymi. Wciąż istnieją, w każdym miejscu tego wielkiego kraju. Ale dzisiaj są otoczeni i prześladowani przez inny rodzaj ludzi. Rodzaj, który nie jest zainteresowany budowaniem, lecz niszczeniem. Wiecie, o kim mówię?

– TAK! – odpowiedział tłum zgodnie.

– Ci ludzie nie są mądrzy – dowodził Goss. – Nie są dzielni. Nie są dobrzy. Nie wiedzą, jak budować albo tworzyć. Ale wiedzą, jak nienawidzić. Wiecie, o kim mówię?

– TAK! – odpowiedź tłumowi była jeszcze głośniejsza.

– Znacie ich twarze – ciągnął. – I słyszeliście ich głosy. Chełpią się tym, że zamordowali za pomocą bomb tysiące niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Nawet dzisiaj możecie zobaczyć na ekranach telewizorów, jak tańczą na ulicach i odnoszą się z transparentami dla uczczenia rzezi ośmiuset niewinnych dzieci, które zginęły podczas rejsu szkolnego.

Jak gdyby na zawołanie wielki ekran za plecami Gossa rozbłysnął słynną chmurą w kształcie grzyba, wznoszącą się po eksplozji Crescent Queen ponad migotliwymi wodami Morza Śródziemnego. W chwilę potem pojawiła się dobrze już znana postać ładnej Gaye

Symington, najszlachetniejszej z ofiar. Pływała w basenie szkolnym, a krągłości rozkwitającego nastoletniego ciała podkreślała woda, nadając dziewczynie dziwnie bezbronny wygląd.

Goss przerwał na chwilę, by słuchacze mieli czas przypomnieć sobie tragedię Crescent Queen.

– Ludzie ci w swoim życiu niczego nie zbudowali. Nigdy niczego nie stworzyli, a jednak czerpią dumę z mordowania niewinnych ludzi. Mają na rękach krew niewinnych dzieci, ale nie wstydzą się tego. Są z tego dumni. Uważają, że od swego Boga dostaną za to nagrodę. Wiecie, kto to jest?

– TAK!

– Są okrutni, brutalni i bezlitośni, kiedy zabijają kobiety i dzieci – oświadczył. – Ale są tchórzami. Co się dzieje, kiedy stają na polu walki naprzeciwko mężczyznom, nie zaś kobiet i dzieci? Kulą się, podnoszą ręce i uciekają!

Po tłumie przebiegł pomruk gniewu. Wspomnienie poddających się żołnierzy irackich w Kuwejcie było na tyle świeże, by towarzyszyć teraz obrazowi fanatyków muzułmańskich, nawołujących do mordowania cywilów w zamachach terrorystycznych.

– A co się dzieje, kiedy łapiemy ich i wlecziemy przed oblicze naszych sądów? – spytał Goss. – Domagają się sprawiedliwości i litości w imię naszej konstytucji i naszych praw. Tej samej sprawiedliwości i praw, których odmówili swym bezbronnym ofiarom...

Goss przerwał i popatrzył na tłum.

– Pod tym względem przypominają naszych terrorystów – oświadczył. – Tych, których spotykacie w ciemnych uliczkach, tych, którzy żądają od was ciężko zarobionych pieniędzy, grożąc rewolwerem albo nożem. Tych, których spotykacie na skrzyżowaniach, którzy są zbyt leniwi, by zarabiać na utrzymanie, którzy czekają tylko, by zdeprawować wasze dzieci. Tych, których widzicie w ich krzykliwych samochodach, jak zasypują wymyślanego wroga gradem kul i zabijają niewinnych. Co się dzieje, kiedy ci ludzie zostają aresztowani i stają przed sądem? Żądają sprawiedliwości, żądają litości.

Wargi Gossa wykrzywił cierpki uśmiech.

– Zastanawiam się, czy słowo „ludzie” jest odpowiednie dla tych osobników – kontynuował. – Po pierwsze, są zbyt okrutni, by zasługiwać na to miano. Po drugie, są zbyt tchórzliwi, by zasługiwać na to miano. I z pewnością są zbyt brudni, by zasługiwać na to miano. Czy są w ogóle istotami ludzkimi?

– NIE! – zagrział tłum jednym głosem.

– Czyż nie jest to w tragiczny sposób zabawne, że sami pozwoliliśmy, by te zwierzęta nas sterroryzowały? Tylko dlatego, że jesteśmy cywilizowani? Przemieniliśmy się w owce czekające na rzeź tylko dlatego, że jesteśmy zbyt cywilizowani, by uderzyć na wroga, który chce nas zniszczyć. Współczucie zaślepiło nas, przysłoniło prawdziwą naturę tych tchórzy. Swoją odwagę i pewność czerpią z naszej słabości. Gdy tylko ujrzą, że jesteśmy silni, chowają się, krzycząc przerażenia. Już za długo jesteśmy zbyt cywilizowani. Musimy zająć wobec nich stanowczą postawę.

Tłum milczał, ogarnięty jakimś niewidzialnym napięciem.

– Ale to już się skończyło, prawda? – dokończył Goss. – Era lęku dobiegła końca. Już nigdy nie będziemy traktować sprawy wolności z pozycji ofiar. Już nigdy nie będziemy czekać jak owce w zagrodzie na kolejny atak wilka. Tym razem to my zaatakujemy. A kiedy rzeźnik ruszy do kryjówki, my ruszymy szybciej. Złapiemy go i zniszczymy. A kiedy upadnie na kolana i zacznie się modlić o litość w ostatniej chwili, to co z nim zrobimy?

– ZABIJEMY! ZABIJEMY! ZABIJEMY! GOSS! GOSS! GOSS!

Tłum falował, kontrolowany z najwyższym trudem przez lokalną policję i ochroniarzy Gossa. Ludzie machali pięściami w stronę operatorów stacji telewizyjnych i reporterów, którzy stali na obrzeżach ciżby. Dziesięciolecia ograniczeń w gospodarce amerykańskiej

i niedawna recesja podsycali ich gniew. Podobnie jak niezliczone doniesienia o atakach terrorystycznych, walki gangów, przestępczość uliczna, oszustwa finansowe, strzelaniny w szkołach, narkotyki i swoboda seksualna. Nie mówiąc już o sześciu miesiącach terronu atomowego, w skali nieznanej od najczarniejszych dni zimnej wojny.

Tłum nie musiał szukać źródeł swego gniewu. Wskazywał je Colin Goss. Z wprawą nabytą przez lata kierował wściekłość tłuszczy na anonimową masę brudnych, leniwych, samolubnych, okrutnych i nieludzkich istot, które ponosiły winę za wszelkie zło trapiące społeczeństwo w nowym tysiącleciu.

– GOSS! GOSS! GOSS! – rozległo się skandowanie, głośniejsze niż kiedykolwiek.

W końcu chaos przybrał takie rozmiary, że Gossa musieli eskortować do limuzyny jego ochroniarze. Tłum rozchodził się XI czterdzieści pięć minut. Donoszono później o przypadkach przemocy, do jakich w ciągu nocy doszło na terenie sąsiedniej dzielnicy. Ich ofiarami padli tylko przedstawiciele mniejszości narodowych.

Colin Goss już odjechał; poleciał swym odrzutowcem na kolejny więc w innym mieście. Ale pozostało po nim przesłanie, o czym doskonale wiedział. Na ogromnych ekranach wciąż widniało legendarne hasło: CZAS NA ZMIANĘ.

W kabinie pikapa jadącego boczną drogą gdzieś wśród pól uprawnych Tennessee siedzieli trzej mężczyźni i słuchali w radiu przemówienia Gossa.

– Święta prawda – skomentował jego wystąpienie kierowca.

– Bez jaj. Niech tylko ten skurwiel zasiądzie w Białym Domu, a koniec naszych kłopotów.

Powiedział to Rafę, który zajmował fotel pasażera.

– Skurwiel wie, o co chodzi – przyznał siedzący pośrodku Donny, szczupły bezrobotny mechanik samochodowy.

Żaden z nich nie miał pracy, choć Donny dopiero od miesiąca. Dick, kierowca, był budowlańcem, który od ponad roku nie zarobił ani centa. Rafę zajmował się naprawianiem klimatyzacji i stracił zatrudnienie pod koniec lata.

– Patrzcie. Tam – odezwał się Dick.

Poboczem drogi szedł młody czarnoskóry chłopak. Miał na oko czternaście, piętnaście lat. Ubrany był w kombinezon roboczy i przyduże adidas. Kiedy półciężarówka podjechała bliżej, obejrzał się bez zainteresowania.

Dick zatrzymał się gwałtownie na poboczu, zasypując chwasty lawiną żwiru spod kół wozu.

– Skurwiel – rzucił.

Skurwiel! – powtórzyli jak echo jego przyjaciele. Wszyscy byli zalani. Całą noc pili w miejscowej knajpie wódkę i piwo. Nie udało im się znaleźć dziewcząt i odjechali pikapem, zaopatrzeni w butelkę taniej wódki i colę; kiedy tak krążyli po polnych drogach, w radiu akurat nadawali wystąpienie Gossa.

Nie musieli omawiać tego, co chcieli zrobić. Rafę wyskoczył z wozu i chwycił chłopaka za ramiona, a Donny kopnął go w krocze, wrzeszcząc z podniecenia. Zaatakowany dzieciak krzyknął z bólu.

– Co wam zrobiłem? – Płakał. – Zostawcie mnie.

Pięść Donny'ego zmiażdżyła mu nos, nim zdołał powiedzieć cokolwiek więcej.

Chłopak runął na żwir pobocza. Donny i Rafę przykucnęli przy nim, wymachując pięściami, a Dick wymierzał mu kopniaki w krocze, jeden za drugim, metodycznie.

– Czarnuch.

– Skurwiel.

Nie zrobiliby tego na trzeźwo. Nawet po pijanemu nie odważyliby się na takie ryzyko, gdyby nie przemówienie Gossa i frustracja, jaka ich ogarnęła w knajpie. Stracili wszelką kontrolę nad sobą, gdy tłukli chłopaka ze wszystkich sił. Wił się i zastaniał przed ciosami, ale jego opór słabł.

– Zabić skurwiela – rzucił Dick.

Oczy chłopaka zaczęły tracić blask. Rafę wymierzył mu potężnego kopniaka w odsłoniętą skroń. Dick przyklęknął, żeby rozpiąć mu rozporek.

W tym momencie coś się stało.

Ręka Dicka zastygła w powietrzu. Jego twarz, wykrzywiona grymasem nienawiści, nagle straciła wszelki wyraz. Pozbawiony równowagi, osunął się na ziemię. Ciało mu zwiotczało.

– Dick? Wszystko w porządku?

Rafę i Donny przerwali masakrę i spojrzeli na niego. Rafę, który doszedł do wniosku, że to czarny chłopak uszkodził w jakiś sposób Dicka, wymierzył mu silny cios w brzuch.

Napadnięty wrzasnął.

Donny pochylił się nad Dickiem.

– Skurwiel się zachłnął i wysiadł.

Rafę odepchnął Donny'ego na bok, żeby lepiej się przyjrzeć Dickowi, który miał oczy szeroko otwarte. Nie były to szkliste oczy pijanego człowieka.

– Bzdura – ocenił Rafę. – Nie ma mowy. Nie wysiadł.

Obaj mężczyźni stali chwiejnie nad przyjacielem i przeklinali odruchowo, zastanawiając się, co to może być. Nie zauważyli, jak czarnoskóry chłopak odczołgał się w gęste zarośla.

– Nie myślisz chyba... – zaczął Rafę, drapiąc się w głowę.

– No gadaj, nie wkurwiał mnie.

– No wiesz... ta epidemia... ta choroba... Donny zajrzał Dickowie w oczy.

– Jezu...

– Zawieźmy go do szpitala.

Rafę odskoczył jak oparzony. Wydawało się, że nieruchome ciało przyjaciela budzi w nim strach. Potrząsnął rękami, jakby chciał pozbyć się zakażenia.

– Pieprzyć to. Zabierajmy się stąd. Wezwiemy karetkę.

Wskoczyli do wozu, nagle otrzeźwieli. Rafę uruchomił silnik.

Pikap zabuksował kołami na żwirze, wyjechał na szosę i w ciągu kilku sekund osiągnął setkę.

Warkot silnika cichł w oddali. Słysząc było tylko szum wiatru w zaroślach. Czarny chłopak zniknął. Nieruchomy biały mężczyzna leżał na poboczu, gdzie przed świtem znalazł go przejeżdżający tamtędy farmer.

Rafę, nim nastał dzień, zapadł w pijacki sen. Kiedy nie obudził się do południa, jego brat, zaniepokojony, zadzwonił po pogotowie.

Donny był już wtedy w szpitalu, ofiara tajemniczej choroby, podobnie jak dwaj jego przyjaciele.

## Rozdział 11

Waszyngton

25 listopada

Karen Embry czekała na konferencję prasową dyrektora CIA.

Dyrektor był człowiekiem z politycznego awansu. Pomógł w ogromnym stopniu zgromadzić fundusze podczas zwycięskiej kampanii prezydenckiej. Miał doświadczenie w biznesie i reklamie. Nie spodziewał się ataków na tym nowym stanowisku, choć zdawał sobie sprawę z kłopotów przesładujących służby wywiadowcze w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Ale tragedia Crescent Queen diametralnie zmieniła sytuację. Opinia publiczna obarczała CIA winą za to, że nie dostrzegła w porę zagrożenia terrorystycznego i nie podjęła kroków

zaradczych. Nieudolność agencji była głównym argumentem tych wszystkich, którzy domagali się zmiany administracji w Waszyngtonie.

Dyrektor jak zwykle zajął stanowisko obronne.

Karen zjawiała się w siedzibie CIA pół godziny wcześniej i przeglądała notatki, kiedy inni dziennikarze ustawiali kamery i żartowali między sobą. Ubierała się starannie na konferencje prasowe. Wiedziała, że dyrektor lubi kobiety. Włożyła obcisły blezer i krótką spódniczkę. Jej największym atutem były nogi i oczy; wiedziała, jak to wykorzystać.

Dyrektor zaczął konferencję prasową od podania szczegółów o liczbie terrorystów w europejskich więzieniach. Mówił tak cicho, że ledwie było go słychać, miał też jak zwykle problemy ze składnią. Uniki stały się jego drugą naturą; przypominał jednego z bohaterów Prousta, który stawał się głuchy, kiedy mówiono mu nieprzyjemne rzeczy.

Długo przemawiał monotonnym głosem, wreszcie poprosił o pytania. Karen pierwsza podniosła rękę.

– Jak pan wie, służby wywiadowcze niczego nie odkryły w sprawie tragedii Crescent Queen – zaczęła.

Słowa te nie były niczym zaskakującym, trafiły jednak w czuły punkt dyrektora.

– Na ten temat mogę powiedzieć jedynie tyle, że prowadzimy cały czas śledztwo – oparł. – Odpowiedzialni za ten atak staną przed sądem.

– Wszystkie większe organizacje terrorystyczne zaprzeczyły, jakoby brały udział w zamachu – przypomniała Karen. – Czy to prawda?

– Tak, ale podejrzewamy, że nie były szczere – odpowiedział dyrektor.

– Służby wywiadowcze nie potrafią udowodnić, że jakakolwiek grupa terrorystyczna dysponuje bronią jądrową albo pociskami zdolnymi ją przenosić. Czy to prawda? – pytała dalej Karen.

– To prawda.

– Czy rozważał pan możliwość, że za tym atakiem kryje się ktoś inny?

Dyrektor uniósł brwi.

– Co pani ma na myśli?

– Jeśli założymy, teoretycznie, że nie dokonała tego zamachu żadna ze znanych grup terrorystycznych – ciągnęła Karen – to czy nie można wykluczyć, że ktoś inny skonstruował i dostarczył bombę, wiedząc, że podejrzania padłyby na istniejące ugrupowania terrorystyczne?

Dyrektor nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Nie dysponujemy dowodami potwierdzającymi taki scenariusz – oświadczył.

– Ale gdyby istniały, to jakie działania byście podjęli? – nie ustępowała Karen.

Dyrektor był zakłopotany. Jego rola polegała na przesiewaniu danych i znajdowaniu oczywistych odpowiedzi. Nie miał czasu na fantastyczne hipotezy, zresztą nigdy nie wiedział, jak do nich podchodzić.

– Mogę tylko powiedzieć, że badamy wszelkie możliwości – odparł. – Już sam fakt, że jakaś organizacja przestępcza weszła w posiadanie technologii pozwalającej użyć broni nuklearnej – zabrzmiało to w jego ustach jak „nuklearnej” – przeciwko niewinnym cywilom, jest rzeczą potworną, absolutnie nie do zaakceptowania. Gwarantuję, że dowiecie się prawdy, która kryje się za tragedią Crescent Queen, a odpowiedzialni zostaną ukarani z całą surowością prawa.

Karen zaczęła, aż odpowie na jakieś niegroźne pytanie innego dziennikarza. Potem znów podniosła rękę.

– Stacje radiowe donoszą o wybuchu epidemii w południowym Tennessee; są pewne podobieństwa do wydarzeń z zeszłego tygodnia w Iowie – powiedziała. – Wie pan coś o tym?

– Tak, wiem.

Dyrektor został w normalnym, rutynowym trybie poinformowany o sprawie w Iowie i Tennessee, ale nie zaprzętał sobie nią głowy, gdyż wykraczała poza zakres jego obowiązków.

– Uważa pan epidemię za problem publicznej służby zdrowia? – pytała dalej Karen.

– Z pewnością. Zajmują się nią specjaliści.

– Ale nie jest to sprawa związana z terroryzmem?

– Nie mamy powodów do wysuwania takich przypuszczeń. Karen odsunęła sprędy oczu niesforny kosmyk ciemnych włosów.

– Pozwoli pan, że spytam: założmy, że terroryści dysponują bronią chemiczną albo biologiczną, zdolną unieszkodliwić w krótkim czasie znaczną liczbę ludzi. Sądzi pan, że radykalna grupa terrorystyczna zawałaby się przed użyciem takiej broni na skalę masową?

– Trudno mi odpowiedzieć z całą pewnością – odparł dyrektor. – Ale wolałbym tego nie sprawdzać. Chcę być pewien, że żadna z grup terrorystycznych nigdy nie będzie dysponowała taką bronią.

– Czy epidemie w Iowie i Tennessee nie sprowokowały pana do takich przypuszczeń?

Dyrektor zastanawiał się przez chwilę.

– Sprowokowałyby, gdyby te historie można było połączyć z jakąkolwiek znaną toksyną czy czynnikiem chorobotwórczym.

– A nie można?

– Nie, nie można.

– Twierdzi pan, że w obu wypadkach jest to ta sama choroba?

– Nie, nie twierdę – odparł z pewną irytacją dyrektor. – Relacjonuję tylko to, co przekazały mi władze publicznej służby zdrowia.

– Twierdzi więc pan, że żadna z tych chorób nie wykazuje objawów charakterystycznych dla znanego czynnika patogenego albo toksyny?

– O ile wiem, żadna. Zgadza się.

– A jeśli jednak użyto jakiegoś czynnika toksycznego czy chorobotwórczego, jak dotąd nieznanego władzom?

Dyrektor zbył te słowa wzruszeniem ramion.

– Stawia pani hipotezę, która nie znajduje potwierdzenia w faktach. Trudno mi komentować te sprawy.

Przez następne kilka minut starał się odpowiadać na pytania innych dziennikarzy. Karen się nie odzywała, przekonana, że prędzej czy później spojrzy w jej stronę. Jej uroda nie uszła jego uwagi.

Kiedy zerknął na nią, od razu to wykorzystała.

– Jest pan świadomy, panie dyrektorze, że choroba wiceprezydenta Everhardta stanowi zagadkę dla lekarzy ze szpitala Waltera Reeda – powiedziała. – Nie niepokoi pana fakt, że tak ważny człowiek jest chory, a nikt nie wie dlaczego?

Dyrektor był wyraźnie zbity z tropu.

– Nie wiem, czy to prawda – oświadczył. – Lekarze badają wiceprezydenta i zapewniają mu możliwie najlepszą opiekę. Nie wiem, czy jest to dla nich zagadka, jak się pani wyraziła.

– Ale nikt ze szpitala ani z Białego Domu nie chce komentować tej sytuacji – zauważyła Karen. – Nie sądzi pan, że opinia publiczna ma prawo wiedzieć, co dolega wiceprezydentowi?

Dyrektor zmarszczył brwi.

– Naprawdę trudno mi odpowiadać na takie pytania. Nie jestem lekarzem i nie zajmuję się bezpośrednio tą sprawą. Proponuję, by pomówiła pani ze specjalistami.

– Nie chcę rozmawiać.

Indagacje Karen doprowadzały dyrektora do szału. Już dawno nie maglował go tak bezlitośnie żaden dziennikarz. Czuł się tym bardziej zdenerwowany, że nie potrafił na jej pytania wyczerpująco odpowiedzieć.

– Wiem z pewnych źródeł, że choroba wiceprezydenta jest trochę podobna do epidemii w Iowie i Tennessee – nie dawała za wygraną. – Czy to prawda?

– Nie, o ile mi wiadomo – odparł dyrektor. – Nie chcę pani obrazić, panno Embry, ale powinniśmy chyba skupić się na właściwym temacie tej konferencji.

– Tematem, jak rozumiem, jest terroryzm – zareplikowała Karen. – Wydaje się jasne, że terroryzm i publiczna służba zdrowia to dwa zagadnienia, których nie da się łatwo rozdzielić.

– Ani też ze sobą połączyć – zauważył dyrektor. – Chyba że ma się niepodważalne dowody. Nie prosił już Karen o żadne pytania. Konferencja dobiegała powoli końca, poruszano takie tematy jak powstanie czeczeńskie w Rosji czy konflikt między Indiami i Pakistanem.

Kiedy dziennikarze pakowali swój sprzęt, u boku Karen pojawił się sekretarz prasowy dyrektora. Wysoki, przystojny mężczyzna, który wyglądał jak model, ale nie rzucał się w oczy podczas konferencji.

– Jestem Mitch Fallon – przedstawił się, wyciągając dłoń. – Dlaczego się wcześniej nie spotkaliśmy?

– Przeprowadziłam się tu zeszłej wiosny z Bostonu – wyjaśniła. – Pracuję nad serią artykułów o polityce i zagadnieniach publicznej służby zdrowia.

– No cóż, dobrze, że mamy tu panią. – Uśmiechnął się. – Muszę jednakże zauważyć, że wykazuje pani pewne skłonności do wysuwania hipotez.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Kto w latach osiemdziesiątych przypuszczałby, że pieniądze dla kontras w Nikaragui pochodziły od Ronalda Reagana i były przekazywane za pośrednictwem ajatollaha Chomeiniego? Czasem najbardziej szalona hipoteza jest mniej dziwna od prawdy.

– Tu muszę się z panią zgodzić.

Przyglądał się badawczo młodej reporterce. Wydawało się, że wyraz sceptycyzmu na jej twarzy może w sprzyjających okolicznościach ujawnić coś zupełnie innego. Coś miękkiego i nawet dziewczęcego, czego już dawno temu się wyrzekła.

– Ma pani jakieś dowody na poparcie swej teorii na temat Crescent Queen? – spytał. – To znaczy, jeśli chodzi o terrorystów dysponujących możliwością wyprodukowania i dostarczenia broni nuklearnej?

Znów ta wymowa – „nuklarny”. Karen stłumiła uśmiech. Czy Fallon zrobił to kierowany lojalnością wobec szefa? Nie potrafiła powiedzieć.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – To tylko teoria, nad którą się zastanawiałam. Pomyślałam, że to dość dziwne – żadna znana organizacja terrorystyczna nie przyznała się do zamachu. Coś w tym jest. To bezwzględni ludzie. Nie przejmują się opinią publiczną. Nie kłamałoby w takiej sprawie.

– A co z chorobą w Iowie i tym kryzysem w Tennessee? – spytał. – Dlaczego się pani tym interesuje?

– Staram się śledzić informacje różnych organizacji podległych służbie zdrowia – wyjaśniła.

– Przyszło mi do głowy, że te historie brzmią dość dziwnie. Pisałam artykuły na temat groźniejszych wirusów, takich jak HIV, Ebola, Marburg. A tak przy okazji, poleciałam do Iowy kilka dni temu.

– Dowiedziała się pani czegoś?

– Trochę, tu i tam.

Przyglądał się Karen, nie ukrywając podziwu dla jej urody, choć wyczuwała u niego głębsze zainteresowanie.

– Jakie ma pani dowody, że coś takiego jest wynikiem celowego działania? – spytał.

– Żadnych – odparła, nie odwracając wzroku.

– Dlaczego pani uważa, że to w ogóle możliwe? – spytał.

– Wydaje mi się, że to tylko kwestia czasu – powiedziała. – Jeśli przyjrzy się pan aktywności terrorystycznej w ciągu ostatnich dwudziestu lat – Lockerbie, World Trade Centre, Oklahoma City i oczywiście Crescent Queen – to stanie się jasne, że terroryści dysponują coraz lepszą technologią. To już nie są faceci z bombą w walizeczce. To ludzie dwudziestego pierwszego wieku. A biorąc pod uwagę kraje takie jak Irak czy Libia, które gromadzą broń chemiczną i biologiczną... wydaje się rzeczą nieuniknioną, że prędzej czy później będziemy świadkami ataku terrorystycznego przy użyciu takiej broni.

– Przerazająca myśl – zauważył.

– Ale całkiem realna – odparła. – Terroryści nie przejmują się zbytnio ludzkim życiem. Robią to, co uważają za stosowne, żeby osiągnąć swoje cele. Jak wspomniałam, to tylko kwestia czasu.

– Ale nie ma pani żadnych dowodów, że ten czas już nadszedł? – sondował.

– Nie. – Potrząsnęła głową.

Zapadło milczenie. Fallon skinął głową jakiejś dziennikarce, która minęła ich szybkim krokiem w towarzystwie kamerzysty. Ten gest był nieco zbyt przyjacielski jak na sekretarza prasowego tak wysokiego szczebla. Karen podejrzewała, że Fallon to wielbiciel kobiet. Zachowała tę myśl na późniejszy użytek.

– No cóż – powiedział. – Miło się z panią rozmawiało.

– Gdyby było możliwie doprowadzenie kogoś do choroby ze względów politycznych – rzekła – to wiceprezydent Everhardt świetnie by się do tego nadawał, biorąc pod uwagę obecne okoliczności. Nie sądzi pan?

Fallon się uśmiechnął.

– Bez wątplenia zdradza pani skłonności do stawiania hipotez – zauważył.

– Niech pan pomyśli przez chwilę – ciągnęła niezrażona. – Everhardt był idealnym współpracownikiem prezydenta przez pięć lat. Został wybrany spośród wielu innych kandydatów, a proces selekcji trwał bardzo długo. A teraz ni stąd, ni zowąd znika z pola widzenia.

– To prawda.

– Administracja wypada słabo w sondażach, no i te apele o rezygnację prezydenta – mówiła Karen. – Teraz, kiedy Everhardta nie ma, naciski prawdopodobnie się nasilą. Rząd sprawia wrażenie słabszego niż kiedykolwiek.

– Może. – Fallon skinął głową.

– Założmy teoretycznie, że Everhardt został wyeliminowany celowo – zasugerowała Karen.

– To daleko wysunięte przypuszczenie – zauważył Fallon.

– Niekoniecznie – odparła dziennikarka. – Przypuśćmy, że to prawda. Na świecie czasem dzieją się rzeczy nie do pomyślenia. Proszę sobie przypomnieć zabójstwo Kennedy’ego. Nikt się go nie spodziewał. A skutki były kolosalne. Cały bieg naszej historii...

Fallon, jako człowiek CIA, od razu zjeżył się na wzmiankę o zabójstwie Kennedy’ego.

– Obawiam się, że czas na mnie, panno Embry. Życzę powodzenia, jeśli chodzi o pani teorie...

– Proszę mówić mi Karen. – Wyciągnęła do niego rękę. Mitch Fallon należał do ludzi, dla których musiała być miła.

– A więc Karen. Mów mi Mitch. Będziemy w kontakcie. Miło było cię poznać.

– Mnie też. – Uśmiechnęła się. – Odezwę się.

Patrzył, jak się oddala. Poruszała się zdecydowanym krokiem, ciało miała gibkie i wysportowane. Młode zwierzę płci żeńskiej u szczytu sprawności i atrakcyjności, pomyślał. Jeśli była tak aktywna w robocie, to jaka musiała być w łóżku?

Wracając do siebie, zajął do gabinetu dyrektora.



- Rozmawiałeś z nią? – spytał szef.
  - Tak.
  - Ma coś?
  - Nic z wyjątkiem wybujałej wyobraźni, jeśli mogłem się zorientować.
  - Miej ją na oku.
  - Tak jest.
- Dyrektor odwrócił się do niego plecami.

Karen wróciła do domu godzinę po konferencji. Nim włączyła komputer, by zapisać na dysku notatki, przewinęła taśmę w magnetowidzie i obejrzała wiadomości z ostatniej godziny. Jedna informacja od razu zwróciła jej uwagę.

„Australijskie władze medyczne są zaniepokojone sytuacją małej wioski aborygenkiej w głębi kontynentu, gdzie doszło do wybuchu dziwnej choroby. Ponad stu mieszkańców utraciło zdolność mówienia i ruchu. Inni, według lekarzy przebywających na miejscu, zmarli z powodu choroby, o której nie poinformowano od razu ze względu na odległe położenie wioski”.

Za komentatorem pojawił się obraz jednej z ofiar. Było to zaskakująco wymowne zbliżenie młodej aborygenki, mniej więcej siedemnastoletniej, której oczy spoglądały niewidzącym wzrokiem w kamerę. Były makabryczne. Sprawiały wrażenie, że ich właściciela zahipnotyzowano.

Karen opuściła notatki i wpatrywała się długo i intensywnie w ekran telewizora. Widziała już to spojrzenie. U sześciolatniej dziewczynki w Iowie.

## Rozdział 12

Dziewczyna jest przywiązana do urządzenia, które przypomina leżankę albo stół lekarski, nachylony pod kątem ostrym do podłogi. Jej skóra lśni na tle czarnego skaju, co dodatkowo podkreśla światło padające z góry. Oczy ma otwarte, ale wydaje się spać niczym księżniczka z bajki. Jej włosy koloru blond – rozsypują się i opadają na lewy policzek, zasłaniając praktycznie całą twarz.

Dłonie tkwią w obręczach przytwierdzonych do spodu siedziska. Nogi nie są unieruchomione, ale z powodu kształtu urządzenia dziewczyna w naturalny sposób przyjmuje pozycję kuczną. Ma zgięte kolana, uda niemal pionowo, łydki nachylone ku podłodze. Można dostrzec, że ma pomalowane paznokcie u nóg, choć trudno z tego miejsca określić kolor.

Lewa pierś jest dobrze widoczna. Pod skórą na boku można dostrzec zarys żeber. Dziewczyna ma szczupłe i długie ręce.

Jest coś żalosego w tej pozycji zniewolenia, ale także coś prowokującego. Punkt centralny stanowi jej miednica. Jej pośladki są maksymalnie krągłe i napięte. Wygląda jak księżniczka, ale niespowita w jedwabie i brokat. Jej oznaką władzy jest nagość.

Nagle widać jakiś ruch, słysząc dźwięk. Z prawej strony nadchodzi cień, posuwa się wolno. Dziewczyna nic nie widzi. Kiedy cień jest już blisko, z dali dobiegają wołania i śmiech. Nie słyszy albo nic nie daje po sobie poznać.

Cień jest teraz obok niej, widać wyciągniętą dłoń. Muzyka narasta nieubłaganie ku crescendo. Głosy stają się niecierpliwe.

Widać teraz sznur, który zwisa z drugiej dłoni. Cienki, zakończony ostrym czubkiem, przesuwa się wzdłuż ściany, lekko rozkołysany, coraz bliżej dziewczyny. Głosy wołają zachęcająco. Niepewny, pełen wahania, cień drga niespokojnie. Potem opada na nagie pośladki. Puste oczy dziewczyny niczym nie zdradzają, czy ona zdaje sobie sprawę z jego bliskości. Nieświadomość, a może przerażenie każą jej trwać w bezruchu?

Cień kołysze się na boki. Głosy wołają. Kobięce ciało biernie czeka.

Nagle wszystko się zatrzymuje. Cień ani drgnie. Dziewczyna to kamienny posąg. Głosy milkną. Zwisający ogon dzieli od jej krocza tylko centymetr. Lecz nic się nie porusza. Wszystko jest jakby zastygłe.

Słysząc jakiś dźwięk. Westchnienie, być może krzyk udręki.

Zapada ciemność. Dziewczyna, cień, ściana znikają jak zaczarowane.

Scena się kończy, kolejny akt nastąpi.

## Rozdział 13

Sidney, Australia

27 listopada

Samolot Karen Embry wylądował o wpół do piątej rano czasu australijskiego, po dwudziestu trzech godzinach w powietrzu.

Musiała długo przekonywać redaktora naczelnego, żeby zgodził się na tę podróż. Opowiedziała mu o tajemniczej chorobie. Wyczuwając w powietrzu sensację, ustąpił w końcu.

Karen nie umiała spać w samolotach. Kiedy wylądowała, miała za sobą półtora dnia bez snu. Trzymała w torebce silne prochy, które dostała od kolegi po fachu, nałogowego konsumenta amfetaminy. Nie wzięła jednak ani odrobiny. Jak dotąd sama historia utrzymywała ją na wysokich obrotach.

Poleciała lokalnymi liniami do Perth, a potem w głąb kraju wyczarterowaną cessną, która wylądowała na pasie startowym tysiące kilometrów – zdawałoby się – od każdego cywilizowanego miejsca.

Według doniesień, jakie czytała, tajemnicza choroba zbierała po cichu straszliwe żniwo co najmniej od dwóch miesięcy. Nie rozprzestrzeniła się poza mały szczerp aborygenów, część z nich zabiła, resztę unieruchomiła. Przeżyło tylko piętnaście osób, których większość umieszczono na zamkniętym oddziale szpitala publicznego.

Doniesienia o chorobie były niejasne, co bez wątpienia wynikało z odległej lokalizacji i podejrzliwego stosunku ofiar do władz. Lecz w pewnym, dość tajemniczym raporcie przytoczono słowa aborygena z sąsiedniej wioski: „Kiedy ludzie byli już bliscy śmierci, ich stopy i dłonie stawały się twarde i duże, jak kopyta zwierząt”. To zdanie sprawiło, że Karen zapragnęła zobaczyć choroby na własne oczy.

Doszła do wniosku, że byłby z tego wspaniały artykuł. Mogłaby go opracować z myślą o magazynach medycznych, a jednocześnie udramatyzować lekko, w sam raz dla bardziej popularnej prasy. Jeśli było prawdą, że choroba wywoływała dziwaczne zniekształcenia, to może opłacało się tym zająć.

Jadąc land-roverem, Karen wpatrywała się jakiś czas w niezmierny obszar skąpo porośniętej ziemi, urozmaicony gdzieś eukaliptusem czy akacją. Potem otworzyła raport zawierający zeznanie mieszkańca sąsiedniej wioski.

„Ludzie zamilkli nagle i zeszywnieli. Ci, którzy akurat stali, pozostali w tej pozycji, aż upadli. Ci, którzy siedzieli, nie poruszyli się, aż zmęczenie i słabość powaliły ich na bok. Nic nie mówili. Wyglądali na upartych i w ogóle się nie poruszali. Potem opanowała ich choroba”.

Karen zmarszczyła w skupieniu brwi, okręcając wokół palca kosmyk ciemnych włosów. Przestała dostrzegać wokół siebie egzotyczną scenerię i wyczuwać podskakiwanie land-rovera na wertepach.

Kierowca podwiózł ją do małego szpitala, gdzie leżeli chorzy aborygeni. Był to stary odrapany budynek, który przykucnął pod nędznymi drzewami gumowymi. Emu patrolowały zarośla w poszukiwaniu małych zwierząt. Było niewiarygodnie gorąco.

Lekarz dyżurny, człowiek w średnim wieku, sprawiający wrażenie zmęczonego, nazywał się Roper.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – powiedziała na powitanie Karen. – Mam nadzieję, że nie zjawiam się w niestosownej chwili.

– Dobrze, że dotarła tu pani tak szybko – odparł lekarz. – Obawiam się, że nie pozostało już dużo czasu. Z tych piętnastu mieszkańców wioski, których przyjęliśmy, dwunastu zmarło.

Trzej pozostali są w stanie krytycznym.

– Mogę ich zobaczyć? – spytała Karen.

– Oczywiście. Musi pani tylko włożyć kombinezon ochronny. Wciąż nie wiemy, czy choroba jest zakaźna, i wolimy nie ryzykować.

Odesłał ją do pielęgniarki, która pomogła jej się przebrać. Potem poszła z lekarzem na oddział zamknięty, gdzie trzymano trzech pozostałych przy życiu pacjentów. Wszyscy byli podłączeni do respiratorów; rurki biegły do elektronicznych urządzeń, zaskakująco nowoczesnych jak na ten odległy region.

– Są w stanie śpiączki i nie reagują na bodźce – wyjaśnił lekarz. – Tak wyglądali, kiedy ich przywieziono. Oznaki życia słabły stopniowo. Zajęliśmy się głównie podtrzymaniem u nich oddychania i pracy serca, nic więcej nie możemy zrobić. Umierają.

Twarze trzech aborygenów, kobiety i dwóch mężczyzn, były niemal obumarłe. Wydawało się, że ich ciemną skórę w chwili nadejścia śmierci pokrywa szarość.

– Wygląda na to – ciągnął lekarz – że rozwój choroby przebiegał o wiele szybciej u dzieci niż u dorosłych i nieco szybciej u kobiet niż mężczyzn. Ale trudno powiedzieć cokolwiek konkretnego. Nikt nie zgłosił wybuchu epidemii do chwili, kiedy niemal wszyscy byli już martwi.

Karen patrzyła na pościel zakrywającą dłonie i stopy umierających aborygenów. Wydawały się podejrzanie zdeformowane.

– Mogę zobaczyć? – spytała.

– Niech się pani przygotuje na szok – uprzedził lekarz. – To nie jest przyjemny widok.

Odsunęła pościel przykrywającą pacjentkę. Dłonie były w znacznym stopniu zniekształcone i poskręcane. Wyglądały, jakby palce stopiły się razem w galaretowatą masę. Lecz kiedy Karen za namową lekarza dotknęła lewej ręki kobiety, kończyzna okazała się twarda. Miała wygląd bursztynu, tyle że ciemniejszego, bardziej mętnego.

– Zrobiliśmy biopsję – powiedział doktor. – Nie przypomina to niczego, z czym się dotychczas zetknąłem. Struktura komórki wygląda na ludzką, ale tkanka to morfologiczne monstrum.

Odciągnął pościel, żeby Karen mogła zobaczyć stopę. Wydawała się jeszcze bardziej zniekształcona niż dłoń. Palce były stopione ze sobą, a przednia część kończyny skrzyta ku pięcie, przez co wyglądała jak kopyto.

– Najwidoczniej do zniekształcenia dochodzi niedługo przed śmiercią – oświadczył lekarz.

– Ci, którzy zmarli szybko, wykazywali mniejsze deformacje niż żyjący dłużej. Jakikolwiek są przyczyny i mechanizmy, nie znamy ich. Moi koledzy po fachu łączą to z chorobą Recklinghausena, akromegalią i podobnymi schorzeniami.

Karen przyjrzała się bliżej wykręconej stopie.

– Czy też sklerodermią – powiedziała. – Albo zapaleniem skórno-mięśniowym czy nawet liszajem rumieniowatym...

Lekarz uniósł brwi, zaskoczony wiedzą Karen.

– Jest pani lekarzem?

– Nie.

Zaprowadził ją do prowizorycznego laboratorium patologicznego w sąsiednim budynku. Leżało tam kilka zwłok – kobiet, dzieci oraz mężczyzn. U wszystkich rzucała się w oczy

makabryczna, przywodząca na myśl kopyta, deformacja dłoni i stóp. Zwłaszcza u dwojga dzieci wyglądało to szczególnie wstrząsająco.

– Czy wystąpiły także inne zmiany fizyczne? – spytała Karen. – To znaczy wewnętrzne.

Dostatecznie dobrze znała fizjologię, by wiedzieć, że tak dziwacznej deformacji muszą towarzyszyć jakieś znaczne anomalie na poziomie komórkowym.

– Nie mamy odpowiedniego sprzętu, by to sprawdzić – odparł lekarz. –

Anatomopatologowie w Adelajdzie badają właśnie dwa ciała, które im posłaliśmy. Podam pani ich dane. Przeprowadzają szczegółowe autopsje, łącznie z analizą komórek. Może coś będą mogli pani powiedzieć.

Po powrocie do biura lekarz pokazał Karen dziwny przedmiot, bez wątplenia wykonany z gliny. Była to lalka albo talizman o ludzkim kształcie z powiększonymi dłońmi i stopami.

– Zrobił to znachor, a znalazł jeden z pracowników służby zdrowia w wiosce – wyjaśnił. – Uważamy, że przedstawia chorobę. Pewnie ten znachor posługiwał się tym, by przebłagać bogów.

Karen wzięła przedmiot do ręki. Choć topornie zrobiony, emanował jakąś siłą, zrodzoną z głębokiej wiary znachora. Mityczna postać wyciągała powiększone ręce jakby w geście jakiegoś wyznania czy modlitwy.

– Widział pan już kiedyś coś takiego? – spytała. Lekarz potrząsnął głową.

– Nigdy.

Napisał na kartce nazwiska patologów z Adelajdy, którzy badali zwłoki. Karen podziękowała mu i poszła do niewielkiego budynku służącego za schronienie dla myśliwych, autostopowiczów i nielicznych turystów, którzy pojawiali się na tym odludziu. Po drodze kierowca pokazał jej wombata, którego Karen nie zdążyła dostrzec, gdyż szybko skrył się w zaroślach. Wszędzie można było napotkać walabie, niektóre z małymi w torbach.

Zmęczenie i różnica czasu zaczęły robić swoje. Karen miała problemy z wpisaniem danych do formularza. Nim dotarła do małej chaty, gdzie miała spać, ledwo się ruszała, a powieki same jej opadały.

Zostawiła na podłodze torbę i teczkę i położyła się na łóżku. Narzuta śmierdziała naftaliną i stęchlizną, ale Karen wydała się wspaniała. Gdy tylko zamknęła oczy, pojawiły się senne obrazy. Oddychała głęboko, dryfując wśród wrażeń ostatnich dziesięciu dni. Był to pracowity czas, pełen sensacyjnych wiadomości, niepewnych pogłosek i dobrze strzeżonych sekretów.

Gdzieś w dali zakaszła silnik, zaszczekał jakiś pies, odezwały się głosy dziwnych ptaków. Senne marzenia przeniosły Karen do jej dzieciennego łóżeczka z kolorowym afganem i pluszowymi zwierzętami. Sięgnęła odruchowo po swojego niebieskiego misia, który już nie istniał.

Zapadała szybko w głęboki sen, oddalając się coraz bardziej od tego miejsca i czasu, jakby unoszona na latającym dywanie. Nagle się ocknęła. Tarła przez chwilę piekące oczy i rozglądała po obcym pomieszczeniu. Co ją zbudziło?

Dłonie i stopy.

Wstała z westchnieniem z łóżka i podeszła do teczki. Wyjęła notebook i włączyła. Przeglądała różne foldery, szukając czegoś, czego nie mogła sobie do końca przypomnieć. Przeklinała siebie w myślach, że nie znalazła lepszych nazw dla swoich ikon. Otwieranie ich po kolei w poszukiwaniu jakiegoś śladu czy wskazówki było czasochłonne.

Wreszcie, pokonując senność, przypomniała sobie. Zamknęła folder, otworzyła kolejny i znalazła ikonę, której szukała.

– Jezu – wyjęczała.

Zadzwoiła do linii lotniczych, zarezerwowała lot na następny wieczór i zapisała to w komputerze. Zamierzała pojechać z rana do Adelajdy i sprawdzić, czego można się dowiedzieć od tamtejszych patologów. Potem chciała lecieć do New Hampshire.

Sprawdziła godzinę i wsunęła się pod narzutę, zamykając oczy. Nadeszła pora na kilka godzin snu.

Dłonie i stopy, myślała. Dłonie i stopy.

Zmęczenie wzięło górę, nim myśli kłębiące się w głowie zdążyły zrodzić bezsenność. Ale sny, które wypełniły noc, były okrutne i przerażające.

## Rozdział 14

Atlanta, Georgia  
27 listopada

Damian Lightfoot sprzątał śmieci.

Rzecz jasna, nie te zwyczajne. Damian był technikiem komputerowym zatrudnionym przez korporację w celu analizy i kasowania ogromnej liczby niepotrzebnych i nieaktualnych danych, które gromadziły się w komputerach firmy. Należało to robić ostrożnie i z uwagą. Dziewięćdziesiąt pięć procent plików i dokumentów przeznaczonych przez różne działy badawcze do likwidacji było bezużytecznych. Ale od czasu do czasu do śmietnika trafiał przez przypadek jakiś plik czy grupa plików, których wymazanie trzeba było skonsultować z odpowiednim działem. Nieraz ocalono w ten sposób ważne materiały. Firma zawdzięczała to Damianowi albo któremuś z jego poprzedników.

Robota nie była dobrze płatna i z pewnością nie dawała satysfakcji. Stanowiła typowy kierat. Analizowało się ogromną liczbę danych, szukając ustalonych na konkretny kwartał oznaczeń, które pozwalały zidentyfikować nieaktualne pliki, przeznaczone do wyrzucenia. Kiedy znajdowało się plik, który nie był wyraźnie oznaczony, należało zachować go w specjalnym kwadrancie i skierować pytanie do odpowiedniego działu. Zazwyczaj miało wiele dni, zanim odpowiedzieli, gdyż naukowcy uważali komputery za swych niewolników, a techników komputerowych za idiotów. Czasem trzeba było wysłać z tuzin ponagleń, zanim w ogóle zechcieli zwrócić na człowieka uwagę.

Oczywiście każdą ważniejszą decyzję trzeba było ustalać z wydziałem ochrony. Korporacji bezustannie zagrażała konkurencja firm krajowych i zagranicznych. Materiały badawcze zawsze stanowiły główny cel zainteresowania, a włamywanie się do komputerów było ulubioną formą ataku. Firma zajmująca się zabezpieczaniem danych przeinstalowywała cały system co trzy miesiące, a jej pracownicy zawsze byli pod ręką, jeśli chodziło o radę czy wyjaśnienia.

Damian popijał dziewiątą colę tego dnia i słuchał Metalliki przez słuchawki, kiedy natknął się na plik o dziwnej nazwie PROJEKT 4. Nigdy przedtem się z nim nie zetknął.

Zatrzymał go i zaczął przeglądać różne bazy danych w poszukiwaniu nazwy. Jakiś lek? Związek chemiczny? Nic z tego. Ani śladu.

Nie wyrzucił go do śmietnika. Płacono mu za to, że zawsze się wstrzymywał do chwili, gdy otrzymywał potwierdzenie.

Kierowany ciekawością próbował otworzyć plik. Na ekranie ukazał się komunikat: „Otworzenie tego pliku wymaga zgody wydziału ochrony. Wpisz swoje nazwisko i oznaczenie”.

Wzruszając ramionami, Damian postąpił zgodnie z poleceniem.

„Czekaj na potwierdzenie wydziału ochrony” – pojawił się następny komunikat.

Damian słuchał muzyki i czekał, popijając colę. Nadeszła pora lunchu, a on był głodny. Umówił się z jedną dziewczyną z głównego biura, która pracowała zbyt krótko, by wiedzieć o nim coś więcej. Jeszcze jeden tydzień, a ostrzegliby ją, ale zdążył się z nią zapoznać, kiedy była jeszcze świeża.

Osobiście nie uważał, by był aż tak dziwny. Niektóre z jego upodobań kulinarnych i muzycznych budziły w ludziach niepokój. Prowadził jednak względnie normalne życie i nie miał zachcianek seksualnych, które odbiegałyby drastycznie od normy. Wciąż nie rozumiał, dlaczego ta dziewczyna z księgowości, Cynthia, tak się do niego uprzedziła podczas ich pierwszej i zarazem ostatniej randki. Nagadała na niego każdemu, kto tylko chciał słuchać. W firmie tej wielkości mogło to naprawdę zaszkodzić.

Czekał wpatrzony w ekran, wzdychając i nasłuchując burczenia w brzuchu. Uznał, że to błąd z tym plikiem. Prawdopodobnie nadali mu niewłaściwą nazwę.

Postanowił w końcu iść do sąsiedniego pomieszczenia i kupić chipsy ziemniaczane w automacie. Komputer mógł poczekać. Zająłoby to minutę albo nawet mniej.

Wstał, wciąż mając słuchawki na uszach, i podszedł do drzwi. Otworzyły się, zanim dotknął klamki. Na progu stanął jakiś mężczyzna po cywilnemu – ciemny garnitur, brązowe buty.

Mężczyzna coś powiedział, ale Damian nie słyszał go z powodu słuchawek.

– Co? – spytał, ściągając jedną z ucha.

– Ty jesteś Damian? – spytał tamten. Damian zauważył, że mężczyzna nie nosi identyfikatora.

– Tak. Co mogę dla pana zrobić?

– Znalazłeś plik?

– Owszem. – Damian wskazał monitor. – Nie mogę go otworzyć. Nigdy przedtem nie widziałem tej nazwy. Pan jest z ochrony?

– Tak.

Mężczyzna zamknął drzwi, zerkając przy tym na korytarz.

– Pokaż mi – powiedział.

– Tutaj. – Damian nachylił się nad ekranem. – Niech pan sam zobaczy. Nie ma go w żadnym katalogu.

Mężczyzna nachylił się nad ramieniem Damiana. Czuć go było lekko płynem po goleniu i papierosami. Na środku ekranu widniała nazwa PROJEKT 4.

– Jesteś pewien? – spytał mężczyzna. – Próbowałeś QPC? Damian wybuchnął śmiechem.

– Co to jest QPC?

Ramię mężczyzny otoczyło szyję Damiana, kiedy odwracał się, gdy zadawał to pytanie. Chwył wycisnął mu oddech z płuc. Poczul, jak tężeją mu mięśnie, i zaczął wymachiwać rękami i wierzcąc nogami. Po chwili rozległ się głośny trzask, kiedy mężczyzna złamał mu kark, a rozlewająca się szybko czerwona fala zasnęła mu wzrok, oślepiając go całkowicie.

Był martwy, nim zdążył upaść na podłogę.

## Rozdział 15

28 listopada

Człowiek leżał na typowym szpitalnym łóżku ustawionym w specjalnym pokoju pełnym monitorów, nieróżniącym się właściwie od pomieszczenia na oddziale intensywnej opieki medycznej. Monitory rejestrujące oznaki życia – ciśnienie krwi, oddech, tętno i tak dalej – zainstalowano na ścianach; biegły do nich przewody podłączone do leżącego. Znajdowały się tu jednak także bardziej wyrafinowane urządzenia, które rejestrowały mniej oczywiste procesy fizyczne. Można też było dostrzec kamery wideo obserwujące bezustannie wygląd pacjenta.

Obok łóżka stali dwaj mężczyźni w białych kitlach. Obaj mieli na szyjach stetoskopy, a młodszy włożył lateksowe rękawiczki.

– Jak to przebiega? – spytał starszy.

– Objawy życia z wolna zanikają – odparł ten drugi. – Jest obecnie w śpiączce. Oddech płytki, tętno nierówne. Podejrzewam, że niewydolność serca może być w tym wypadku prawdopodobną przyczyną zejścia.

– Inne oznaki?

– Funkcjonowanie wątroby i nerek znacznie poniżej normy. Krew krytyczna w związku ze zmianami komórkowymi i innymi.

– A jak EEG?

Młodszy pokazał wydruk.

– Fale mózgowe to nasz najlepszy wyznacznik – powiedział. – Szczyty i doliny tworzą określony wzór, który nie ulega, jak się wydaje, żadnym zmianom. Nie jest to z pewnością obraz pracy mózgu zdrowego człowieka, prezentuje jednak pewną prawidłowość.

Starszy obejrzał wykres.

– Interesujące – zauważył. – Ciekawi mnie, co dzieje się tam w środku. Jaki proces myślowy tam zachodzi, jeśli w ogóle jakiś zachodzi.

– Nie ma żadnych oznak percepcji zmysłowej – odparł młodszy. – Brak reakcji na dźwięk, dotyk czy cokolwiek innego.

– Występowała jednakże we wczesnej fazie.

– O tak. – Młodszy skinął głową. – Percepcja była w tym momencie całkowicie normalna. Co się tyczy procesu myślowego, trudno ocenić, gdyż osobnik jest sparaliżowany.

– Jak się plasuje w ramach czasowych?

– Od chwili przyjęcia środka? Przypadek podręcznikowy – wyjaśnił młodszy. – Początek wystąpienia pierwszych objawów w ciągu dwunastu, piętnastu godzin. Potem praktycznie niezmienny przebieg pierwszej fazy syndromu w czasie od dwóch do trzech tygodni. Następnie gwałtowne załamanie funkcji mózgowych, prowadzące po kolejnych siedmiu dniach do śpiączki. Pierwsze zmiany fizyczne wystąpiły już w jej trakcie.

– Uważam, że to fascynujące – oświadczył starszy. – Jak to wytłumaczyć?

– Nie mam pojęcia – przyznał młodszy. – Nawet nasze badania nie wyjaśniają pewnych rzeczy. Szczegółowy charakter paraliżu, zmiany na poziomie komórkowym i ich następstwa – obiektywna analiza tego wszystkiego będzie wymagała długich badań.

– No cóż, tak to czasem przebiega – zauważył refleksyjnie starszy. – Na dobrą sprawę niemal zawsze. Psychiatrzy nigdy właściwie nie zrozumieli, dlaczego terapia szokowa działa tak, a nie inaczej. To samo dotyczy większości leków – osiąga się pożądaný rezultat, obserwuje działanie uboczne, a czasem nie zna się rzeczywistego mechanizmu.

Młodszy skinął głową.

– Tak czy inaczej obserwujemy pewną prawidłowość, jeśli chodzi o moment wystąpienia pierwszych objawów i proces rozwoju syndromu. Niemal jak w zegarku. Szybciej u dzieci i nieco szybciej u kobiet.

– Rzućmy okiem na mapę.

Młodszy włączył monitor podłączony do głównego komputera. Stworzono specjalny program analizujący różne skupiska tkanek, zawsze w odniesieniu do konkretnego czynnika komórkowego. W tej chwili na ekranie ukazał się szpik kostny.

– Jak pan widzi, nasza zmiana jest na swoim miejscu – powiedział młodszy lekarz, wskazując na monitor.

– Wspaniale – odparł starszy.

– Modyfikacje są wyraźnie odzwierciedlone na poziomie komórkowym. Z tego powodu trudno z całą pewnością prowadzić ekstrapolację – nasza wiedza nie sięga tak daleko – ale rzut oka na liczby dowodzi tego w sposób oczywisty. Ciało daje sobie przeróżne instrukcje. Komórki starają się za nimi nadążyć, ale oczywiście nie ma takiej możliwości. Występują więc masowe dysfunkcje, zaczynające się na poziomie kognitywnym i rozprzestrzeniające się na wszystkie układy.

– Rozumiem. – Starszy mężczyzna przeniósł wzrok z ekranu monitora na człowieka spoczywającego w łóżku. – Układ kostny podlegał zmianom od samego początku, ale nie uwidaczniały się one do chwili obecnej.

– Zgadza się. Przeprowadzone biopsje ujawniły to bardzo wyraźnie.

– Fascynujące – oświadczył starszy. – Tajemnica życia.

– Tak. Życie próbuje dostosować się do zmian.

– Co w pewnym sensie każe postawić pytanie o istnienie Boga – zauważył starszy. – Tylko transcendentna siła mogła stworzyć coś równie subtelnego.

Młodszy skinął głową. Starszy wskazał na pościel.

– Rzućmy na to okiem z bliska.

Młodszy odsunął pościel z jednej strony. Ukazała się lewa ręka, w dużym stopniu opuchnięta i już znacznie zniekształcona. Skóra była pociemniała i twardsza od zdrowej tkanki.

Starszy mężczyzna uniósł rękę leżącego, by przyjrzeć się lepiej. Palce wciąż były rozpoznawalne, choć traciły już wyraźny kształt. Zdawało się, że paznokcie stopiły się ze stwardniałą tkanką skórą.

– Zdumiewające. – Starszy pokręcił głową. – Jak chityna, prawda?

– W dotyku, owszem – potwierdził młodszy. – Ale struktura komórkowa jest bliższa temu, co obserwujemy w kościach czy chrząstkach ludzkich.

– Zdumiewający efekt – nie krył podziwu starszy. – Obejrzyjmy nogę.

Pochylił się, by przyjrzeć się lewej stopie, której opuchlizna i deformacja przewyższały zmiany w budowie dłoni. Palce były powiększone, stwardniałe i już zaczynały tracić rozpoznawalny kształt. Ściągały się wraz z piętą w wyniku stopniowej deformacji, zlewając się nieubłaganie w pojedynczą twardą podeszwę.

– Całkiem wyraźna różnica morfologiczna w stosunku do ręki – zauważył.

– Zdecydowanie – przyznał jego towarzysz. – Tak jak w przypadku kończyn przednich i tylnych u zwierząt kopytnych.

Starszy mężczyzna postukał w podeszwę stopy kciukiem. Rozległ się suchy, głuchy dźwięk.

– Fascynujące – powiedział. – I na dodatek występuje dosłownie u każdego osobnika.

– O tak. Nigdy nie podlega zmianom. To naczelną cechą syndromu – oświadczył młodszy.

– Zdumiewające.

Starszy się uśmiechnął.

– Zastanawiam się, jak to nazwą – wyznał. – Kiedy już będą gotowi.

Młodszy wzruszył ramionami.

– To nie należy do mnie.

– Mam nadzieję, że zdecydują się na coś, co ma w sobie odrobinę poezji – oświadczył z uśmiechem starszy. – Coś, co ludzie dobrze zapamiętają.

– Tak – przytaknął młodszy bez większego przekonania.

– A tak na marginesie – przypomniał coś sobie starszy. – Słyszałem, że mieliśmy wczoraj mały wypadek.

– Zgadza się – odparł młodszy. – Błąd komputerowy. Jeden ze specjalnych plików dostał się do systemu.

– Jak to się nazywał ten młody człowiek?

– Lightfoot. Damian Lightfoot.

– Nie był z ochrony, prawda?

– Nie. To technik komputerowy. Zajmował się likwidacją nieaktualnych danych. Zgłosił ten plik, bo nigdy nie zetknął się z tą nazwą.

– Nie było problemów z usunięciem? – spytał starszy. – Rodzina? Koledzy z pracy?

– Ochrona zajęta się wszystkim. Nie znajdują ciała. Po prostu zniknął.



– To dobrze. – Starszy potrząsnął głową. – Nie możemy jednak pozwolić sobie na przecieki, nawet te drobne. Chcę, by natychmiast przeinstalowano system. Tylko wąski krąg wtajemniczonych może o czymkolwiek wiedzieć. Ludzie w firmie stanowią takie samo zagrożenie jak ludzie z zewnątrz. – Spojrzał ostro na młodszego mężczyznę. – Niech pańscy pracownicy zajmą się tym dziś po południu.

– Jak pan każe.

Starszy mężczyzna stał i przyglądał się człowiekowi leżącemu na łóżku. Grymas niezadowolenia na jego twarzy zniknął, przyćmiony entuzjazmem dla przedsięwzięcia.

– Coś poetyckiego – powtórzył. – Jak chociażby Czarna Śmierć...

## Rozdział 16

Biały Dom

28 listopada

W poniedziałek wieczorem zwołano w Gabinetcie Owalnym zebranie. Uczestniczyli w nim prezydent i jego najważniejsi doradcy wraz z szefem sztabu, Dickiem Livermore'em, który prowadził kampanię wyborczą przed dwoma laty. Byli także obecni przewodniczący partii i przywódca większości w Kongresie.

Prezydent powitał przybyłych z nietypową dla siebie powagą.

– Wiem, że najbardziej martwicie się o Danny'ego – zaczął. – Widziałem go dziś po południu w szpitalu i rozmawiałem dłuższą chwilę z doktorem Isaacsonem. Nie mam dobrych wiadomości. Stan Danny'ego nie uległ poprawie. Narządy wewnętrzne są w porządku, ale psychika nie funkcjonuje.

Prezydent zdjął marynarkę i wsparł się muskularnymi rękami o stół. Nie lubił marynarek i koszul z długimi rękawami, czuł się w nich skrzepowany. Przez niemal dwadzieścia lat widniał na plakatach wyborczych w krótkich rękawach i z poluzowanym krawatem. Choć niektórzy uważali, że to tylko chwyt na użytek wyborców, który miał prezydentowi nadawać cechy pracowitości, pozostawało faktem, że tak chodził na co dzień.

Na dyskretne i ciche pytania obecnych prezydent potrząsnął głową.

– Myślę, że trzeba patrzeć na sprawę pesymistycznie – ocenił. – Być może z medycznego punktu widzenia jest jakaś nadzieja dla Danny'ego, ale jeśli nawet mu się polepszy, cała ta historia będzie miała dla nas zbyt negatywny wydźwięk, biorąc pod uwagę sondaże i inne problemy.

Główny konsultant public relations podniósł dłoń.

– Obawiam się, że ma pan rację – powiedział. – Media już wiedzą, że Danny jest w katatonii. Nie pomoże nam to w walce z Gossem.

Prezydent przytaknął.

– A zatem sytuacja wymaga, bym wybrał jak najszybciej kogoś innego. Kiedy Goss zyskuje w sondażach, nie wolno nam zasypiać gruszek w popiele.

Było powszechnie wiadomo, że prezydent nienawidzi Colina Gossa i zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie wpuścić go do Białego Domu. Prezydent nie mógł publicznie powiedzieć niczego złego o Gossie, gdyż czas temu nie sprzyjał, ale nie krył przed współpracownikami, że osobiście uważa Gossa za potencjalnego Hitlera. „Jeśli kiedykolwiek zasiądzie w Gabinetcie Owalnym – mawiał – to Nixon będzie wyglądał przy nim jak król mądrości”.

Poświęcono trochę czasu na omawianie kwestii, kiedy i jak ogłosić zdjęcie z urzędu Dana Everhardta i wybór kandydata na jego miejsce. Następnie wyłonił się prawdziwy problem – kto mógłby zastąpić Everhardta.

Prezydent udzielił głosu Bobowi Corriganowi, przewodniczącemu partii.

– Mam tu listę – poinformował Bob. – Przejrzeliśmy ją już z prezydentem, ale chcę, żebyście wszyscy wypowiedzieli się na jej temat. Podam nazwiska bez jakiejś szczególnej kolejności. – Odchrząknął nerwowo. – Pierwszy jest Kirk Stillman.

– Nie jest za stary? – spytał ktoś.

Zapadło milczenie. Kirk Stillman był jednym z najbardziej szanowanych i uznanych mężów stanu. Członek gabinetu za kadencji trzech kolejnych prezydentów i obecnie ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ Stillman uchodził za Averilla Harrimana swych czasów. Specjalista od polityki zagranicznej, mający dobre kontakty w wielu rządach europejskich, był prawie niezastąpiony w partii.

Ale Stillman miał sześćdziesiąt cztery lata i na tyle wyglądał. Ze swymi srebrnymi włosami i sposobem bycia starszego męża stanu wydawał się bardziej symbolem przeszłości niż przywódcą na nadchodzące czasy.

– Jest szanowany – rzekł ktoś bez entuzjazmu.

– Ale trochę za stary – zauważył Bob Corrigan. – Byłoby to niewłaściwe przesłanie.

Zebrani zgodnie przytakiwali. Stillman kojarzył się opinii publicznej z dotychczasową polityką. Polityką, która nie zdołała zapobiec obecnemu kryzysowi.

Po kilku minutach wykluczono Stillmana. Choć byłby doskonałym wiceprezydentem i mógłby, gdyby zaszła konieczność, objąć tymczasowo urząd prezydenta, jego wizerunek publiczny nie był odpowiedni. Prezydent potrzebował kandydata o bardziej agresywnym wizerunku. Kogoś młodszego, silniejszego.

– Następne nazwisko – powiedział Corrigan. – Cary Hunsecker.

Nastąpiła chwila ciszy.

– To dobry człowiek – ktoś się odezwał.

– Solidny – zawtórował inny głos.

Obecni byli w kropce. Mieli po temu powody. Cary Hunsecker, pełniący po raz czwarty funkcję gubernatora Rhode Island, odznaczał się w powszechnym przekonaniu siłą i werwą, których brakowało człowiekowi takiemu jak Kirk Stillman. Zapalony żeglarz, który uczestniczył w Americas Cup i prawie wygrał. Hunsecker był opalony i przystojny.

Ale prowadził dosyć rozwiązłe życie. Jego małżeństwo z córką bogatego przemysłowca z Rhode Island było uczuciowo wypalone. Hunsecker miewał romanse w ciągu ostatnich lat i przejawiał upodobanie do młodych kobiet. Była członkini sztabu wyborczego, zatrudniona podczas kampanii, zagroziła mu dziesięć lat wcześniej wniesieniem sprawy o ojcostwo, ale wyperswadowali jej to wpływowi przyjaciele Hunseckera.

Jak dotąd opinia publiczna nie miała pojęcia o tej stronie jego życia. Byłoby jednak naiwnością przypuszczać, że gdyby Hunsecker stanął w bezlitosnym świetle reflektorów jako potencjalny wiceprezydent, jego przeszłość nie zostałaby ujawniona. Prasą nie dało się już tak łatwo manipulować jak kiedyś. Historie Billa Clintona, Boba Livingstona i innych nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

– Zbyt niebezpieczne – zauważył ktoś w końcu. Wszyscy przytaknęli zgodnie. Hunsecker odpadł.

– Okej – powiedział Corrigan. – Nim przejdę do następnego nazwiska, chciałbym wiedzieć, czy ktoś ma jakieś propozycje.

– A Mike Campbell? – rzucił jeden ze sztabowców prezydenta.

– Nie wcześniej niż za osiem lat – odparł ktoś natychmiast.

– Niekoniecznie – rzekł zgłaszający kandydaturę. – Ma niezłe notowania u opinii publicznej i sporo cech pozytywnych...

– Chodzi ci o olimpiadę? – spytał ktoś. Heroizm Michaela Campbella, który pomimo poważnych kłopotów z kręgosłupem zdobył dwa złote medale, był powszechnie znany.

– No i żona – dorzucił ktoś inny. Susan Campbell była ulubienicą amerykańskich kobiet. Jej twarz uśmiechała się niemal każdego tygodnia z okładki „Redbook”, „Cosmopolitan”,

„Glamour” czy „Vogue”. Żaden inny polityk nie miał żony, której popularność mogła tak bardzo pomóc w zdobyciu potencjalnych wyborców.

– To, że jest tak bardzo popularna, może odnieść wręcz odwrotny skutek – zauważył jeden z obecnych. – I nie zapominajcie, że nie mają dzieci. Na tym szczeblu może to być odczytane negatywnie.

– Owszem, ale zachowała figurę.

– Zawsze uważam to za minus. Uwagę tę powitano ogólnym śmiechem. Prezydent kręcił głową.

– Goss uznałby go za żółtodzioba – powiedział. – To pewne.

Komentarz ten spotkał się z powszechną zgodą. Michael Campbell był po prostu za młody, by objąć funkcję wiceprezydenta. Jego młodość została uznana za słabość i tak właśnie była przedstawiana przez ludzi Gossa. Kandydat musiał odznaczać się siłą, doświadczeniem i mądrością.

– Lubię Mike’a – wyznał prezydent. – Ale windowanie go zbyt wcześnie może zaszkodzić i jemu, i nam. To zbyt ryzykowne.

Znów wszyscy skinęli ze zrozumieniem. Campbell odpadł.

– Został już tylko jeden – oświadczył zmęczonym głosem Corrigan. – Tom Palleschi.

Pozostali wyraźnie się rozpromienili. Tom Palleschi, były gubernator Pensylwanii, pełnił obecnie funkcję sekretarza spraw wewnętrznych. Wchodził w skład gabinetu za kadencji dwóch prezydentów, i to z ramienia obu partii. Fakt, że przeciwne obozy wykorzystwały z powodzeniem Palleschiego, stanowił jego atut. Potrafił dogadać się z każdym, umiał ciężko pracować i cieszył się w społeczeństwie ogromną popularnością.

Na jego korzyść przemawiało też to, że był multimilionerem, który zawdzięczał sukces wyłącznie sobie. Rozwinął jednoosobową firmę ojca w imperium produkujące narzędzia precyzyjne, by potem sprzedać je niemieckiemu konsorcjum, gdy po raz pierwszy zajął się polityką. Mógł równać się pod względem doświadczenia z Colinem Gossem. Nikt nie ośmieliłby się oskarżać Palleschiego o brak doświadczenia i słabość.

Palleschi był silnym pięćdziesięciolatkiem o bujnych włosach koloru soli z pieprzem, krępy ciele zapaśnika i uwodzicielskim uśmiechu. Widywano go, jak każdego ranka między szóstą a siódmą biega po Waszyngtonie, czasem z jakimś przyjacielem czy kolegą, ale najczęściej samotnie. Kilka lat wcześniej zachwalał ortopedyczne obuwie do biegania w serii reklamówek telewizyjnych, przeznaczając honorarium na szpital dziecięcy w swym rodzinnym Scranton.

Gdyby nie ogromna popularność Dana Everhardta, to właśnie Tom Palleschi byłby przed pięciu laty kandydatem na wiceprezydenta. Tyle że Palleschi był z pochodzenia Włochem. Katolik, ojciec sześciorga dzieci, poświęcający dużo czasu sprawom włosko-amerykańskim. W zasadzie nie było to negatywne, ale ograniczało jego pozycję w sondażach. Był nieco popularniejszy wśród mniejszości narodowych niż białych Amerykanów. Wiedział niewiele o terroryzmie i nie był uważany za politycznego twardziela. Uchodził za zdolnego mediatora, ale nie tak przebojowego, jak zyczyliby sobie demokraci.

Palleschi byłby doskonałym kandydatem na miejsce Everhardta. Odznaczał się nie tylko mądrością i doświadczeniem, ale również siłą fizyczną – warunek nieodzowny w chwili, gdy naród ogarnął lęk przed epidemią.

– Podoba mi się ta kandydatura – oświadczył Corrigan.

– Mnie również – zgodził się prezydent. – Pracowałem z Tomem w przeszłości, poza tym jest pewny jak skała.

Ta uwaga wywołała powszechną aprobatę. Tom Palleschi był jak drugi Dan Everhardt, ale o nieco odmiennym profilu. Sprawiał wrażenie dobrego wiceprezydenta, i byłby dobrym prezydentem Stanów Zjednoczonych, gdyby poddać jego wizerunek drobnemu retuszowi.

Co najważniejsze, nie otarł się nawet o najmniejszy skandal. Jego kariera zawodowa wyglądała nieskazitelnie, tak jak i życie intymne. Był wierny żonie i oddany rodzinie.

Przez następne pół godziny obecni analizowali wszelkie zalety i wady Palleschiego. Lecz niemal wyczuwalna atmosfera ulgi dowodziła, że taki będzie bez wątpienia wybór prezydenta. Dobry wybór.

– Puśćmy informację w obieg – podsumował prezydent. – Tymczasem zadzwonię do Toma i go sprowadzę.

Na tym zebranie się zakończyło. Stratedzy z Białego Domu odetchnęli z ulgą. Można było zakwalifikować chorobę Dana Everhardta jako przypadek medyczny i osobistą tragedię, lecz jego strata wcale nie musiała osłabić administracji. Palleschi nadawał się na jego miejsce.

Pod warunkiem, że przyjmie stanowisko.

## Rozdział 17

Manchester, New Hampshire  
28 listopada

Władze medyczne w Adelajdzie nie chciały rozmawiać z Karen, pomimo rekomendacji doktora Ropera, przebywającego w głębi kraju. Ich przedstawiciele sprawiali wrażenie chłodnych i byli wyraźnie niezadowoleni, kiedy się do nich zgłosiła.

Tym większą wagę przywiązywała do swej następnej misji. Karen wracała tą samą trasą, która zawiadła ją w ciągu jednego dnia do Australii, z jedną zasadniczą różnicą. Zamiast polecieć prosto do Waszyngtonu, wylądowała w Bostonie i przesiadła się na lokalne linie do Manchesteru w New Hampshire.

Powiązanie, które starała się ustalić, było bardzo ulotne. Miała nadzieję, że władze amerykańskie nie zdołały go jeszcze dostrzec. Dotarła do niego dzięki pewnemu płatnemu serwisowi on-line, który sobie zainstalowała, dostarczającemu informacji policyjnych o samobójstwach, morderstwach i niewyjaśnionych zgonach na całym obszarze Stanów Zjednoczonych. Zgony widniały pod różnymi hasłami, były tam też wyszczególnione części ciała. Historia z „dłoni i stopami” ofiar tajemniczej choroby przypomniła jej jakiś wypadek z New Hampshire.

Nie myliła się. Kiedy zapukała do drzwi gabinetu naczelnego anatomopatologa, który urzędował w ratuszu, lekarz wykazał chęć do rozmowy na temat ciała, które znaleziono kilka dni wcześniej; zgodził się nawet je pokazać.

Antropolog nazywał się Waterman i był zaskakująco młody i przystojny. Zauważyła na półce za biurkiem zdjęcia atrakcyjnej żony i dwóch córek. Zaproponował kawę, ale odmówiła.

– Ostatnie dni spędziłam praktycznie w samolotach – wyjaśniła. – Wypiłam dość kawy, starczy mi na cały rok.

– Wydawało mi się, że jest pani zmęczona. – Uśmiechnął się. – Pomyślałem sobie, że wy, dziennikarze, niewiele sypiacie.

– Zależy od dziennikarza – powiedziała Karen. – Jeśli o mnie chodzi, rzeczywiście niewiele sypiam. W tym wypadku ma pan rację.

– Ja przesypiam prawie osiem godzin – przyznał. – Żaden patolog nie spieszy się specjalnie rano do biura, jak zapewne się pani domyśla.

– Proszę mi opowiedzieć o zwłokach, o których rozmawialiśmy przez telefon – poprosiła Karen.

– To przysłowiowy nikt – wyjaśnił. – Brak dowodu tożsamości. Kilka znaków szczególnych, pieprzyki i tym podobne, nic więcej. Wzięliśmy odcisk zębów i przekazaliśmy do komputera, ale do nikogo nie pasowały.

– Kto znalazł ciało?

– Miejscowy bezdomny, niejaki Errol. Pacjent z zaburzeniami umysłowymi, którego wyrzucono na ulicę, kiedy obcięli dotacje dla szpitala stanowego. Znalazł ciało w kontenerze na śmieci. Z początku policjanci nie bardzo chcieli mu uwierzyć. Cierpi na poważne urojenia, ma bujną wyobraźnię. Uważa, że Marsjanie przesyłają mu przez skórę wiadomości i tak dalej. Ale ciało znajdowało się dokładnie tam, gdzie wskazał. Kiedy policjanci zobaczyli deformacje, od razu mnie zawiadomili.

Wstał.

– Chce pani je zobaczyć?

– Oczywiście – odparła Karen, podnosząc się z miejsca.

– Zwłoki nie robią na pani wrażenia?

– Nie ma problemu.

Zaprowadził ją do jednego z pomieszczeń prosektoryjnych. Zostawił ją na chwilę samą i poszedł odszukać ciało. Wrócił w towarzystwie asystenta, który pchał metalowe łóżko na kółkach.

Asystent rozpiął zamek błyskawiczny plastikowego worka. Na szczęście zapach dobywający się z ciała pochodził głównie od formaldehydu, co przypominało jej ćwiczenia laboratoryjne na studiach.

Twarz wyglądała jak zwykle oblicze trupa, była szara i pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, rysy miała niewyraźne.

– Mężczyzna rasy białej, około czterdziestki – wyjaśnił doktor Waterman.

Kiedy odciągnął na bok brzeg worka, Karen zobaczyła zniekształcone ręce.

– Stwardniałe, zrosnięte – oceniła.

– Zgadza się. Bardziej przypominają zmodyfikowaną chrząstkę niż skórę. – Lekarz uniósł jedną dłoń trupa. – Nigdy nie widziałem nic, co by choć w przybliżeniu tak wyglądało.

A ja widziałam, pomyślała Karen. Przyszło jej do głowy, że ręce denata są niemal identyczne z kończynami ofiar w Australii. Nie wyjawiała tego jednak.

– Przeprowadził pan badania tkanki? – spytała.

– Nieoficjalnie, owszem. Pewnie nie powinienem tego robić – ważniaki w Atlantycie domagają się całkowitej kontroli – ale nie mogłem się oprzeć. To nie jest normalna tkanka. Nie mam dostatecznej wiedzy z zakresu biologii komórkowej, by to zrozumieć, ale wiem jedno – wykonałem mnóstwo biopsji tkanek, ale nigdy nie spotkałem się z takimi zmianami.

Pokazał jej stopy denata. Tak jak u aborygenów, palce były zniekształcone i częściowo zrosnięte, a pięta i podeszwa ściągnięte razem na kształt kopyta. Śmierć w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęła na charakterystyczny, dziwaczny wygląd kończyny.

– Sprawdziłem w swoich podręcznikach medycznych – powiedział. – I nic. Nie znalazłem choroby, nawet bardzo rzadkiej, która wywoływałaby taką deformację.

Podczas oglądania ciała Karen poczuła podejrzanę drganie zwiastujące zawrót głowy. Uświadomiła sobie mgliście, że niewiele jadła w ciągu ostatnich trzech dni.

Nim przemknęła ta myśl, oczy Karen zaczęły uciekać w tył głowy. Poczuła mrowienie na wargach i w koniuszkach palców. Próbowała przytrzymać się wózka ze zwłokami, ale bez skutku.

Lekarz zdążył ją chwycić, nim runęła na podłogę.

Doszła do siebie w jego gabinecie; leżała na dużej sofie. Lekarz stał nad nią ze szklanką wody w dłoni. Czowała się okropnie. Bardzo bolała ją głowa, ścisnęło w żołądku i była zbyt słaba, by usiąść o własnych siłach.

– Głupio mi – odezwała się.

– Niepotrzebnie. – Tutaj co chwila ktoś mdleje.

– Nie chodzi o zwłoki – powiedziała niepewnym głosem. – Ostatnie trzy czy cztery dni spędziłam w samolocie. Wciąż nie mogę się dostosować.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– To też pani zaszkodziło.

Dał jej wody, a potem kawy. Nalegał, by nie wstawała. Nie mógł się nadziwić, że idzie tropem tej swojej historii, będąc w tak kiepskiej formie.

– Zgłaszał pan to władzom medycznym? – spytała.

Przytaknął.

– Wysłałem e-mail do Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Nikt mi nie odpowiedział. Albo są zawaleni robotą, albo to kwestia biurokracji. Zator.

– Chcę pana prosić o przysługę – powiedziała. – Może pan nie ujawniać tego przez następne dwadzieścia cztery godziny? Sprawdzę w tym czasie kilka rzeczy.

– No, nie wiem. – Lekarz się wahał. – Mamy obowiązek zgłaszać każdy podejrzany przypadek.

– Już pan to zgłosił – zauważyła Karen. – Proszę tylko, żeby nic pan z tym nie robił przez jeden dzień. Powinni się o tym dowiedzieć pewni ludzie z władz federalnych.

– Jacy ludzie?

Karen myślała o Josephie Kraigu. Nie chciała jednak wymieniać żadnych nazwisk. Wiedziała, że cała historia może dosłownie w ciągu najbliższych godzin zostać utajniona. Musiała dostatecznie szybko dotrzeć do jej sedna.

– Lepiej nikogo nie będę wymieniała – odparła. – Ale obiecuję, że zgłoszę się do pana jutro o tej porze.

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Mogę poczekać.

– I niech pan umieści te zwłoki w jakimś bezpiecznym miejscu – poradziła. – Proszę zrobić wszystko, żeby nie zniknęły.

– Nie przesadza pani trochę?

Karen się uśmiechnęła.

– Proszę nie odmawiać. Podejrzewam, że pewne aspekty tej sprawy mogą być kłopotliwe dla niektórych ludzi. Nigdy nie wiadomo.

– No dobrze – zgodził się. – Dopilnuję tego.

– Zadzwoń jutro – oświadczyła Karen. – Obiecuję. Teraz muszę lecieć do Waszyngtonu.

– Na pewno czuje się pani dostatecznie dobrze? – spytał. – Chyba przydałby się pani porządny sen.

– Prześpię się w samolocie.

– Zamówię pani coś do jedzenia. Szczerze mówiąc, niezbyt dobrze pani wygląda. Tuż obok jest restauracja.

Karen uświadomiła sobie, że podoba się lekarzowi. Był w końcu młodym mężczyzną. Nie ulegało wątpliwości, że jej omdlenie zbliżyło ich w jakiś sposób do siebie. Przy swojej specjalizacji nie miał zbyt często okazji zajmować się żywymi ludźmi, nie mówiąc już o młodych i atrakcyjnych kobietach.

Gdyby przystała na jego propozycję, jej wyjazd do Waszyngtonu opóźniłby się o godzinę. Z drugiej jednak strony zacieśniłaby więź z młodym, przystojnym doktorem, co dawało pewność, że dotrzyma słowa i nic nie powie o zwłokach.

– W porządku. To miło z pana strony – powiedziała w końcu. Nie po raz pierwszy wykorzystwała urodę do celów zawodowych.

Kiedy się podniosła, poczuła lekki zawrót głowy.

– Ostrożnie – uprzedził, biorąc ją pod ramię. – Pomogę pani.

28 listopada

12.40

Zbiornik retencyjny wciąż wywoływał spory. Koszty jego utrzymania pokrywano z podatków stanowych i lokalnych opłat, ale miejscowi uważali, że trudno oczekiwać od władz stanowych właściwej opieki nad obiektem. Od czasu ostatnich wyborów w jego ścianach odkryto przecieki, a nikt nie spieszył się z naprawą. Eksperci zatrudnieni przez władze okręgu stwierdzili, że urządzenia oczyszczające są przestarzałe. Władze stanowe przysłały własnych specjalistów, którzy utrzymywali, że urządzenia spełniają wszelkie wymogi określone przez władze federalne i że wytrzymają bez naprawy następne dwadzieścia lat.

Zbiornik odgrywał ogromną rolę w życiu mieszkańców, gdyż opady były w tym rejonie nieregularne, a susza mogła nadejść niespodziewanie. Farmerzy i mieszkańcy wywierali nacisk na okręg i stan, by władze powiększyły i zmodernizowały zbiornik.

Tego dnia trzech chłopcy z piątej klasy sforsowali ogrodzenie, a potem puszczali łódki na lekko pomarszczonej powierzchni wody. Najpierw długo obserwowali budynek obsługi, by się upewnić, że pracownicy poszli na lunch.

Łódki podskakiwały na małych falach, pchane na wszystkie strony podmuchami wiatru.

– Założę się, że nie wejdziecie do wody – rzucił wyzywająco najwyższy. Miał na imię Ethan.

– Zwariowałaś – oświadczyli dwaj pozostali. – Jest zimno.

– Jeśli wejdę pierwszy, wy też będziecie musieli to zrobić – powiedział Ethan.

– Bzdura – odparł chłopiec o imieniu George. – Wcale nie.

– A właśnie że tak.

– A właśnie że nie.

Najmniejszy z chłopców był poruszony wyzwaniem, ale nie miał ochoty skakać do lodowatej wody.

– Tam, patrzcie. – Ethan wskazywał na swoją łódkę, która odpływała ku środkowi zbiornika, gdzie było najgłębiej. – Jak się wykupię, też będziecie musieli.

Ściągnął kurtkę, zsunął adidas i wskoczył do wody.

– Jezu! – krzyknął, kiedy ze wszystkich stron otoczył go przejmujący ziąb. Zaczął jednak płynąć ku dryfującej łódce, wymachując ramionami.

– Wyłaź! – krzyczeli dwaj pozostali. – Odbiło ci!

– Cioty! – zawołał Ethan. – Mięczaki! Zatopię wasze łódki. Dopłynął już niemal do swojej żaglówki, kiedy dostrzegł ten przedmiot.

Był przezroczysty i miał kształt kuli o średnicy około dwudziestu centymetrów. Unosił się na wodzie w odległości kilku kroków od niego. W ogóle by go nie zauważył, gdyby nie znalazł się tuż obok. W górnej powierzchni kuli odbijało się błękitne niebo.

– Hej! – zawołał zdumiony, bardziej do siebie niż do kolegów. Płynął pieskiem, zbliżając się do unoszonej falami kuli. Chłopcy na brzegu nie mogli jej widzieć. Odwrócił się do swoich przyjaciół i zawołał: – Hej, to jest super! Znalazłem coś.

– Co?! – odkrzyknęli jednocześnie George i Andrew.

– Nie wiem, jakąś kulę...

Ethan wyciągnął ku niej prawą dłoń, wciąż przebierając pod wodą nogami. Jego palec, już zimny od kąpieli, zetknął się z powierzchnią kuli. Przypominała w dotyku plastik.

– Hej, chłopaki! – zawołał. – Poczekajcie, aż zobaczycie. Jakbyście mieli jaja...

Płynął w stronę brzegu, pchając przed sobą ten przedmiot. Zauważył ze zdziwieniem, że powierzchnia kuli jest krucha i chyba mu pęka pod dłonią.

– Hej...

Pchnął przedmiot ponownie, pchając go w stronę brzegu. Zewnętrzna powierzchnia załamała się jak warstwa lodu. Dostrzegł coś wewnątrz i sięgnął ręką, by tego dotknąć. Była to kleista, bezbarwna masa. Gdy tylko poczuł ją na dłoni, zniknęła. Nigdzie nie widać było kawałków kuli. One także się rozplynęły.

– Do diabła! – zaklął. – Kurwa.

– Co jest?! – zawołał George. – Co się stało?

Ethan przypomniał sobie teraz o swej misji i zaczął udawać, że zatapia łódki przyjaciół. Zapewniając, że już przywykł do chłodnej wody, pływał na oczach chłopców pięć minut; popychał ich żaglówki i szydził głośno z tchórzostwa kolegów, którzy stali na brzegu.

Potem zimno zaczęło mu coraz bardziej dokuczać i musiał wyjść na brzeg.

– Nie masz się czym wytrzeć – zauważył George. – Zachorujesz.

– Pieprz się – rzucił Ethan. – Nie zachoruję.

Kilka chwil później chłopcy poszli sobie, a ich wołania niesły się po wodzie.

Cuernavaca, Meksyk 18.00

Wszędzie włóczyły się bezpańskie psy.

Zbierały się watahami wokół autobusów z turystami, żebrząc o jedzenie. Przyjezdni, bez wyjątku anglos, patrzyli z dezaprobatą, jak obdarte dzieci rozpędzają je kopniakami, by dostać się do okien autokarów.

– Señor, señora, money, money, money!

– Amigos, bienvenidos!

– Layee, daj trochę pieniędzy!

Kontrast między rześkim górskim powietrzem miasta a wonią brudnych dzieci, sparszywiałych psów i gotowanego jedzenia był nienaturalny. W dali wznosił się przykryty śnieżną czapą szczyt Popocatepetl, którego zbocza porastał las sosnowy. Drugi wulkan, Ixtaccihuatl, krył się wśród chmur.

Nie ulegało wątpliwości, że agencja turystyczna zorganizowała postoje na trasie wycieczki w najbardziej obskórnych rejonach kraju. Jakaś zadowolona z siebie kobieta filmowała kamerą wideo dzieci, które śmiały się zadowolone i podskakiwały przed obiektywem. Inni turyści, zmęczeni po podróży, siedzieli ospale z przymkniętymi powiekami.

Przewodnik próbował najpierw bez przekonania odpędzić psy i dzieci, a potem zaczął wyciągać podróżnych z autobusu, by zaprowadzić ich do restauracji o kontrastującej z otoczeniem nazwie „Le Cafe Americain”.

Jej właściciel wyszedł na zewnątrz powitać turystów. Niski, gruby mężczyzna w białym fartuchu pierwszy dostrzegł samolot.

Była to mała, jednosilnikowa maszyna, służąca przypuszczalnie do obsiewania pól. Latała tam i z powrotem nad doliną, a jazgot dzieci i szczenie psów niemal zagłuszały warkot jej silnika.

Kilku turystów, podążając za spojrzeniem właściciela restauracji, skierowało wzrok na samolot. Po chwili jednak skupili się na tym, by wejść do lokalu bez asysty dzieciaków.

Kierowca, wąsaty Meksykanin ubrany w spłowiałą drelichową kurtkę pomimo upału, odganiał leniwie maluchy. Stał przy drzwiach autobusu, pomagając kobietom zejść ze stopni wozu na zakurzoną ulicę. Kopnął brutalnie jakiegoś bezdomnego psa, który zaskowyczał i oddalił się, kulejąc.

– Proszę uważać...

Dostrzegł samolot, który krążąc zygzakiem nad doliną, pozostawiał teraz za sobą smugę pyłu, który opadał leniwie na pola. Sięgnął odruchowo do kieszeni po papierosa, ale przypomniał sobie o pasażerach i zaczął, aż autokar się opróżni.



Razem z właścicielem restauracji odpędzał psy i dzieci, dopóki ostatni z turystów nie wszedł do lokalu. Dopiero wtedy kierowca poczęstował drugiego mężczyznę papierosem. Palili ten sam gatunek. Potem przez chwilę stali obok siebie w milczeniu, spoglądając w kierunku doliny.

– Chingar – odezwał się kierowca. – Co z tym samolotem?

– Rządowa robota – odparł właściciel restauracji. – Chcą pewnie zrobić wrażenie na gringos.

– Rozrzuca nawóz. – Kierowca potrząsnął głową. – Tylko że tam nic nie rośnie prócz kaktusów.

– Jest strumień...

– Mała strużka, si. Ledwie ciurka o tej porze roku.

Znów marnują nasze pieniądze – skomentował restaurator, zaciągnął się mocno papierosem i wrzucił niedopałek z niechęcią do rynsztoka. – Hasta luego, amigo. Muszę nakarmić zwierzęta – wyjaśnił, mając na myśli turystów.

Kierowca przyglądał się chwilę dzieciom, które skupiły się hałaśliwie nad dymiącym petem, potem wgramolił się do przegrzanego autobusu, by schronić się przed słońcem.

Samolot zdążył już skierować się ku miastu i krążył teraz nad wąskimi ulicami w suchym, upalnym mroku, pozostawiając czasem za sobą pasma mgiełki.

## Rozdział 19

Arlington, Wirginia

28 listopada

Karen dotarła do domu późnym wieczorem. Przed podróżą zostawiła samochód na całodobowym parkingu przy lotnisku.

Była jakby wewnętrznie wypalona. Zbyt szybko przekraczała strefy czasowe, odczuwała też ogromne wyczerpanie psychiczne.

Zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko jest realne. Być może znów goniła za jakimś urojeniem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wiele osób zapadło na dziwną chorobę, w tym także wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Inni nie żyli. Możliwe, by wszyscy ci ludzie padli ofiarą tej samej epidemii?

Objawy choroby były dziwne, także sposób, w jaki się rozprzestrzeniała. Trudno było w tym dostrzec jakąś prawidłowość. Czy sugerowało to jednak jakiś spisek? Być może dało się to wszystko logicznie wyjaśnić.

Karen nałała sobie drinka – był to pierwszy mocniejszy trunek od chwili, gdy wyjechała z domu – i wypila, dopiero potem zrzuciła z siebie ubranie. Zostawiła szklankę na blacie szafki kuchennej i rozpakowała walizkę. Opróżniła kosz na bieliznę, wrzuciła brudne rzeczy do pralki i nastawiła program. Weszła nago do sypialni i zajrzała do szuflady, gdzie trzymała bieliznę. Nie znalazła majtek – wszystkie były brudne.

– Cholera – zaklęła.

Uchwyciła w lustrze garderoby własne odbicie. Była za chuda. Spod bladej skóry wyłaniały się żebra, łopatki za bardzo sterczały. Przyszło jej do głowy, że ma zgrabne ramiona. I niezłe piersi. Małe, ale kształtne i jędrne. Lecz największym jej atutem były nogi. Zawdzięczała im niejedną poufną informację ze źródeł, które pragnęły zachować anonimowość. Miała dużą kolekcję minispódniczek, w tym kilka skórzanych.

Czekając, aż skończy się pranie, nałała wody do wanny. Potem napełniła szklankę po brzegi lodem i zabrała ze sobą do łazienki butelkę bourbona. W miarę jak sobie dolewała, góra lodu się kurczyła, a drinki nabierały mocy.

Była zbyt zmęczona, by myśleć. Wsłuchiwała się tępo w szum i postukiwanie pralki, a powieki ciążyły jej coraz bardziej. Wpatrywała się w trunek wypełniający szklanekę. Pomyślała, że ma prawie kolor herbaty. Herbaty z lodem. Zdaje się, że stosowali ją w filmach, by odgrywała rolę alkoholu.

W każdym razie nigdy nie było go dość. Na tym polegał problem z nałogiem. Szklanka nie mogła pomieścić alkoholu, którego człowiek potrzebował. Tak więc każda – nie tylko te małe szklaneczki, jakie podaje się w barach, ale nawet większe naczynia w domu, wypełnione po brzegi czystą wódką, bez kropli wody – każda była za mała. Kiedy podnosiło się ją do ust, ulga mieszała się ze swoistym niezadowoleniem.

Ale to właśnie stanowiło istotę problemu, czyż nie? Frustracja. Ludzie piją, żeby załatać dziury w swym życiu. Pijąc, tylko je pogłębiają. Jakie dziury? Gdyby znali odpowiedź na to pytanie, nie musieliby pić.

Karen zaliczała się do tych nałogowców, którzy nigdy nie brali alkoholu do ust w ciągu dnia. Wstawała wcześniej, wykonywała swoją pracę starannie i fachowo, a potem upewniała się, że będzie mieć wolny wieczór, nim zaczynała pić. Przed pójściem do łóżka opróżniała pół butelki. Litrowej, czasem nieco mniejszej, zależy, co akurat było w sklepie i jak kiepsko się czuła. Budziła się nieodmiennie każdego ranka z bólem głowy, tłumiała go ibuprofenem i koktajlem mlecznym z domieszką surowego jajka i ziół, i szła do pracy.

Nie piła w towarzystwie. Na przyjęciach i w restauracji zamawiała wodę mineralną. Kiedy nie mogła w żaden sposób odmówić, godziła się na kieliszek białego wina, które wypijała tylko do połowy. Nie chciała widzieć przed sobą mocnego alkoholu, było to zbyt frustrujące.

Ukrywała starannie swój sekret. Nawet zaprzyjaźnieni z nią dziennikarze nie mieli o niczym pojęcia. Sądziła, że umie pić i że robi to umiarkowanie.

Oczywiście Troy o tym wiedział. Mieszkał z nią dwa lata, trudno więc jej było ukryć przed nim nałóg. Ale Troy nigdy by nikomu nie powiedział. Był pod wieloma względami pomyłką, ale nie plotkarzem. Rozstali się w przyjaźni, z ulgą uciekając od tego nieszczęścia, jakim było wspólne życie.

Pranie dobiegło końca. Jakim cudem skończyło się tak szybko? Nie po raz pierwszy alkohol pozbawił ją poczucia czasu.

Nie wstała, żeby przełożyć mokrą bieliznę do suszarki, tylko włączyła przenośny sprzęt stereo, który trzymała w łazience. Była w nim stara płyta kompaktowa z sonatami fortepianowymi Mozarta, nagranie Claudia Arraua z początku lat osiemdziesiątych. Wybrała powolny fragment, rozparła się wygodnie w wannie i zamknęła oczy.

Nic na świecie nie mogło się równać z powolną częścią mozartowskich sonat. Kiedy przychodzili do niej goście i słyszeli dźwięki fortepianu, mówili: „Jak tu cicho!”, choć jej mieszkanie wcale do cichych nie należało. To andanta niosły ze sobą ten spokój.

Nim opróżniła szklanekę, ledwie trzymała się na nogach. Wstała niepewnie i wytarła się ręcznikiem. Mokre rzeczy leżały w pralce zapomniane.

Ruszyła chwiejnym krokiem do sypialni. Po drodze zauważyła gazety, walające się pod drzwiami wejściowymi. Zebrało się ich trochę pod jej nieobecność, a ona rzuciła je bezceremonialnie na podłogę w przedpokoju. Rzecz jasna mogły poczekać do jutra, ale dziennikarski głód wiadomości przeoczonych z powodu wyjazdu nie pozwoliłby jej zmrużyć oka. Jeśli wydarzyło się coś nowego pod jej nieobecność, powinna o tym wiedzieć.

Osunęła się niepewnie na dywan, owinięta ręcznikiem frotte i otworzyła gazety. Pod pierwszą stroną czwartkowego „USA Today” zobaczyła coś przyklejonego. Była to karteczka z jakąś odręcną wiadomością.

Starła się przeczytać nabazgrane pospiesznie słowa; zmęczenie w połączeniu z nadmiarem alkoholu sprawiało, że widziała podwójnie.

„Daj sobie z tym spokój – informowała kartka, przytwierdzona do zdjęcia wiceprezydenta Everhardta na drugiej stronie gazety. – Albo skończysz jak on”.

Bez podpisu.

Karen natychmiast wytrzeźwiała. Oderwała karteczkę od gazety i zaniósła do kuchni, gdzie światło było lepsze.

Daj sobie z tym spokój. Słowa były napisane flamastrem, każde podkreślono.

– A więc jesteście tak zaniepokojeni, że mi grozicie – powiedziała głośno.

Zostawiła kartkę na szafce i poszła do łazienki po trzy tabletki ibuprofenu, by zawnoc zapobiec porannemu kacowi. Potem leżała na łóżku i analizowała w myślach niedawne podróże. Iowa, New Hampshire, Australia. Nie miała wątpliwości, że coś się działo. A ci, którzy o tym wiedzieli, starali się za wszelką cenę sprawę zatuzować.

Nie bała się. Co w końcu mogli jej zrobić? Zdążyła już stracić w życiu wszystko, co miało dla niej znaczenie. Była na świecie sama, na niczym jej szczególnie nie zależało, prócz możliwości poznawania prawdy. Niech robią, co chcą, pomyślała.

Postanowiła, że nazajutrz się zastanowi, jak dolać oliwy do ognia.

Otrzeźwiona nagle wyzwaniem, jakie się przed nią pojawiło, przypomniała sobie o praniu. Wrzuciła mokre rzeczy do suszarki i ją włączyła.

Pięć minut później spała jak kamień. Słychać było tylko jednostajny pomruk suszarki.

## Rozdział 20

Manchester, New Hampshire

29 listopada

Doktor Jay Waterman siedział w swoim gabinecie w ratuszu, palił papierosa i rozmyślał. Zerknął na zegar, który stał na biurku. Siódma piętnaście. Czas kończyć.

Zaciągnął się camelem i patrzył, jak dym zwija się spiralnie w świetle lampy. Żona nie pozwalała mu palić w domu. Próbował rzucić, ograniczył więc palenie do jednego papierosa rano, w drodze do pracy, i czasem drugiego w barze, przed powrotem do domu. Rzadko palił w biurze.

Ta reporterka, Karen, paliła jak komin, kiedy zabrał ją na lunch, jak już doszła do siebie. Nie mógł się powstrzymać i wysepił od niej newporta. Chłodny, cierpki smak mentolu na wargach był niczym łączące ich ogniwo.

Była bardzo atrakcyjna. Miała w sobie coś z przyczapionego zwierzęcia, czemu nie mógł się oprzeć. I była taka szczupła. Jego żona utyla po dwóch ciążach i zrobiła się obwisła. Już dawno nie miał do czynienia z tak ładną dziewczyną jak Karen Embry.

Zamknął oczy i zaczął rozbierać ją w myślach, czując pulsowanie nikotyny w żyłach. Małe piersi, bez wątplenia jędrne. Żebra widoczne pod skórą, płaski brzuch. Niezłe biodra, kształtne pomimo drobnej budowy i – nie omieszkał zauważyć – ładna pupa. Bardzo ładna. Karen musiała wyglądać olśniewająco w kostiumie kąpielowym.

Poczuł na palcach żar popiołu. Otworzył oczy i zgasił papierosa. Zanotował sobie w pamięci, by nazajutrz kupić paczkę newportów.

Westchnął, zgasił światło i zamknął biuro. Nie rozstawał się z ciepłą kurtką – było już dość zimno. Z teczką w rękę wsiadł do windy, żeby zjechać do podziemnego parkingu.

Odruchowo wcisnął inny guzik i zjechał do piwnicy. Wsadził ciało osobnika o nieustalonej tożsamości do drugiej chłodni, tej rzadziej używanej. Pomyślał, że warto jeszcze raz rzucić na nie okiem.

To był naprawdę dziwny syndrom. Dzięki swej specjalizacji Waterman miał do czynienia z różnymi zaskakującymi anomaliami na poziomie tkanki, nie mówiąc już o komórkach. Ale przyczyny wielu chorób wywołujących poważne deformacje, na przykład choroby Recklinghausena, nadal pozostały niewyjaśnione i nie wiadomo było jak je leczyć.

Ale to tutaj było jeszcze dziwniejsze. Wydawało się, że w jakiś sposób ta zdeformowana tkanka musi mieć sensowne wytłumaczenie.

Zupełnie jak Centrum Kontroli Chorób, które zapomniało gdzieś jego e-mail i nie raczyło odpowiedzieć. Miał właśnie zmyć im za to głowę, zamierzał nawet powiadomić prasę, żeby ich zawstydzić. Ale wtedy pojawiła się ta dziewczyna, Karen. Wydawało się, że jest tak samo zainteresowana tym zdeformowanym ciałem jak on. Jakby rozumiała.

Zjechał do piwnicy i zapalił światło. Grzebał przez chwilę wśród kluczy, żeby znaleźć ten rzadko używany, którym otwierał drzwi chłodni. Nie musiał szukać odpowiedniej szuflady; w piwnicy znajdowało się tylko jedno ciało.

Wysunął szufladę. Od razu zorientował się po jej ciężarze, że coś jest nie w porządku.

Szuflada była pusta.

– Jezu Chryste – powiedział głośno.

## Rozdział 21

Waszyngton

1 grudnia

Michael Campbell patrzył na twarz swej żony.

W telewizji nadawano jej ostatni wywiad dla ABC. Susan śmiała się z czegoś, co mówił gospodarz programu. Michael nie słyszał słów.

Przymknął oczy, kiedy podniecenie zaczęło się nasilać. Pochylając się nad nim dziewczyna dobrze go знаła i wiedziała, co lubi. Wargami obejmowała jego penisa, którego dotykała językiem szybko i delikatnie, co wywołało westchnienie Michaela.

Przerwała pieszczoty, kiedy poczuła, że partner zaraz będzie miał orgazm. Chcąc go jeszcze bardziej podniecić, odchyliła się, by mógł na nią popatrzeć. W pokoju panował mrok, rozświetlony jedynie fosforyzującym niebiesko ekranem telewizora. Popatrzył z podziwem na jej proste ramiona, szczupłą klatkę piersiową. Była giętka, przywodziła na myśl węża.

– Jeszcze? – spytała.

Mruknął tylko w odpowiedzi. Nachyliła się, by ponownie wziąć członek w usta. Czuł na sobie jej długie palce, delikatne i badawcze. Gdzieś w samym środku wzbierało w nim nieznośne napięcie.

– Czekaj – wyszeptwała.

Odchyliła się, by mógł popatrzeć ostatni raz na okalające jej twarz długie włosy, mocne uda, małe piersi. Uśmiechnęła się, ale w mroku raczej nie mógł tego widzieć.

Miała penisa w swych dłoniach i wyczuwała rytmiczne pulsowanie. Dawkowała podniecenie.

– Teraz – powiedziała.

Wspięła się na niego i nakierowała w siebie. Dotyk jej wnętrza był prawie nie do zniesienia. Michael naprężył się, kiedy jej dłonie spoczęły mu na piersi.

– No dalej – wyszeptwała. – Dalej...

Czubki jej palców odnalazły jego sutki i ścisnęły je lekko. Poruszała z wprawą biodrami, by doprowadzić go niemal do szczytu. Usłyszał niski, cudowny dźwięk dobywający się z jej gardła, jakby koci pomruk.

– No dalej – powtórzyła. – Do końca... Jęknął, wbijając się w nią mocno.

– Do końca, Michael. No dalej...

Doszedł, wybuchając potężnie i dysząc. Przyjmowała spazmy, rozkoszując się jego mocą. Spojrzała na sufit. Mocno ścisnęła go kolanami. Wydawało się, że pasja miłosna przeniosła go na chwilę w inny czas i miejsce. Jakby się znalazł poza własnym ciałem. Spojrzała na niego zadowolona ze swego dzieła.

Wracał do siebie długą chwilę. Położyła się obok i głaskała go po policzku, całując w klatkę piersiową. Jego oddech stał się wolniejszy. Ujął jej dłoń i trzymał ufnie niczym dziecko.

Zerknęła na otaczający ich pokój. Jej kostium wisiał w szafie, obok jego ubrań. Rzeczy zostały starannie poukładane, nim cokolwiek zaczęli. Na podłodze leżała poduszka, tam gdzie spadła kilka minut wcześniej. Obok, teraz zapomniany, spoczywał kawałek jedwabiu wielkości szalika, związany na dwóch końcach.

Robili to w ten sposób wielokrotnie. Znali nawzajem swój rytm i wrażliwość. Czasem działali szybko i gwałtownie, niekiedy powoli i leniwie. Lecz nigdy nie omieszkała dać mu przyjemności, jakiej pragnął.

Spojrzał na ekran telewizora. Susan przytakiwała czemuś, co powiedział jej rozmówca, odgarniała przy tym kosmyk włosów. Wyraz twarzy miała obojętny, niewinny. Czasem, z tymi swoimi blond włosami i dużymi oczami, przypominała małą dziewczynkę. Rzeczywiście, pod pewnymi względami nigdy do końca nie dorosła. Była bardziej miękka niż inne kobiety, bardziej bezbronna. Miało to dla Michaela nieodparty urok, ale też powodowało, że oddalili się od siebie.

Leslie teraz patrzyła na niego. Wsparła się na ramieniu, krągłość jej piersi rysowała się w mroku.

– No więc – zwróciła się do niego. – Tęskniłeś za mną?

Michael się uśmiechnął.

– Ani trochę.

Nos ci się wydłużyła – zauważyła. – Okłamujesz mnie? Strasznie za nią tęsknił. Wydarzenia ostatnich dni zwróciły na niego powszechną uwagę, nie tylko opinii publicznej, ale także Białego Domu i przywódców partii. Wygłosił trzy przemówienia i udzielił niezliczonych wywiadów. Cztery razy spotkał się z prezydentem, raz nawet sam na sam. Tyle odpowiedzialności, tyle napięcia... Rozmyślał o Leslie od wielu dni i starał się za wszelką cenę znaleźć czas, by się z nią zobaczyć. To narastające pragnienie stawało się nie do zniesienia...

– Wydłużyła mi się nos? – powtórzył.

– Wydłużał się przed chwilą – drażniła się z nim, palcami muskając jego krocze.

Leżeli razem, rozkoszując się ciszą. Nie wiedział, czy dostrzegła Susan na ekranie.

Przesunęła delikatnie dłonią po jego brzuchu.

– Nie pozwalają ci odetchnąć, co? – spytała. Przytaknął.

– Ani na moment. Słabe poparcie, Danny Everhardt w szpitalu...

– Co z nim? – zainteresowała się.

– Niezbyt dobrze. Bez zmian.

– Myślisz, że to szkodzi prezydentowi?

– Z pewnością nie pomaga – odparł. – Ale Tom Palleschi to równy gość. Da sobie radę.

Popatrzył na nią.

– A ty? Co u ciebie? Potrząsnęła głową.

– Po staremu.

Uwielbiał jej gładkie ciało. Nogi miała mocne, brzuch płaski.

– Nadal jesteś w doskonałej formie – pochwalił. – Jak ty to robisz?

Roześmiała się.

– Mężczyźni – zauważyła z przekąsem. – Wydaje wam się, że istnieje tylko to, co widzicie. Nie macie pojęcia, przez co musimy dla was przechodzić.

Rzadko mówiła o swoim życiu. Uważała je za bezwartościowy kierat. Pomyślał o niej, zanurzonej w samotności. Dieta, ćwiczenia – spotkania z innymi mężczyznami? Czy można być z kimś tak blisko i jednocześnie nic o tej osobie nie wiedzieć?

Tak, to prawdopodobne. Potęgowało nawet podniecenie, jakie odczuwał, kiedy się spotkali. Ten cień niewiadomego kryjący się za jej uśmiechem.

Pozwalał, by obejmowała go długo. Jej dłoń spoczywała mu na piersi. Czuła jego oddech. Po chwili pocałowała go w policzek.

– Czas na ciebie – powiedziała.

– Już? – poskarżył się leniwym głosem.

– Musisz mił wiele przejść, nim zaśniesz – zacytowała z uśmiechem Frosta.

– I przeżyć muszę życie własne – odpowiedział wersem z tego samego wiersza.

Wstał. Przyglądała się, jak jego długie nogi znikają w ciemnych nogawkach spodni. Twarde uda, uda pływaka... Kiedy zdejmował koszulę z wieszaka, spojrzała na długą bliznę na jego plecach. Biegła od środkowego kręgu aż po niższy odcinek kręgosłupa. Znała ją bardzo dobrze, ponieważ wielokrotnie ją pieściła, tak jak i resztę ciała. Polubiła z czasem tę bliznę. Była dziwnie jedwabista w dotyku, sprawiała, że wyglądał bezbrinnie. I taki też był pod wieloma względami.

– Nie chciałbym następnym razem czekać tak długo – oświadczył, zapinając koszulę.

W jego głosie pobrzmiwała młodość i pragnienie.

Skinęła na niego, by usiadł obok.

– Jesteś coraz bardziej zapracowanym facetem – powiedziała. – A na dodatek wystawionym na widok publiczny. To nie będzie łatwe.

– Tęsknię za tobą – rzekł, opierając dłoń na jej biodrze. – Kiedy cię nie widzę, kiepsko się czuję.

– To miłe – odparła. – Chyba będziesz musiał wykombinować dla mnie trochę miejsca w swoim życiu.

– Co będziesz robić? – spytał.

– Kiedy? Dziś wieczorem?

– Tak.

Znów ten szczery, pełen ufności ton w jego głosie.

– Pojadę do domu – odparła. – Mam robotę. Potem obejrzę telewizję albo poczytam. Jak poczuje się samotna, może zadzwonię do przyjaciela.

Skrzywił się.

– Próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość? Roześmiała się.

Odrobina zazdrości może ci dobrze zrobić, mój drogi. Wstał. Przyglądała się z łóżka, jak czesze włosy i sprawdza swój wygląd w lustrze. Prysznic zamierzał wziąć później, w swoim biurze. Mówił, że lubi jak najdłużej nosić na sobie jej zapach. Powiedziała, że to niebezpieczne – sekretarki miały nosa do takich rzeczy – ale lubił ryzykować.

Wiedziała jednak, że nim dotrze do domu, nie pozostanie na nim nawet drobny ślad jej osoby. W jego zawodzie dyskrecja była nieodzowna. Opinia publiczna znała tylko jedną twarz Michaela. Ta druga musiała pozostać niewidoczna, i to na zawsze.

Pocałował ją ostatni raz i wyszedł z pokoju. Leżała spokojnie przez chwilę, rozkoszując się pulsowaniem zmysłów. Potem wstała i poszła do łazienki.

Widok własnego ciała jak zwykle sprawił jej przyjemność. Skórę miała śniadą, włosy koloru piasku, oczy złote. Barki proste, ramiona i nogi długie. Tak jak i palce. Kiedy chodziła na siłownię, przyciągała wzrok kobiet niemal częściej niż mężczyźn. Większość przedstawicielek jej płci gotowa byłaby zabić dla takiego ciała, szczupłego i zgrabnego. Chód miała prosty i swobodny, ale zwinny. Niejeden kochanek wyznał jej, że ma w sobie coś androgynicznego, odrobinę kobiecości i męskości. Czasem to wykorzystywała. Jeśli chodzi o seks, doskonale wiedziała, jak zrobić z niego najlepszy użytek.

Weszła pod prysznic, odwijając z papierka małe hotelowe mydło. Natarła nim ciało. Naprężyły jej się sutki, kiedy przesunęła po nich ręką. Wzięła małą butelkę szamponu, żeby umyć włosy. Uśmiechnęła się, gdy wsunęła palce między nogi. Poczowała jego nasienie. Lubiała to.

Byli kochankami od sześciu lat. Nie żywiła złudzeń co do przyszłości. Wiedziała, że pozostanie z żoną ze względu na swoją karierę polityczną. Wedle powszechnej opinii Susan Campbell była wspaniałą osobą, wrażliwą i interesującą. Michael nigdy nie powiedział o niej złego słowa. Jego stosunek do żony był nacechowany bezwzględną lojalnością i szacunkiem.

Wyznał kiedyś Leslie, że Susan była oziębła w łóżku. Czuł się przez to wyjątkowo niedowartościowany i seksualnie niezaspokojony. To jednak nie umniejszało jego miłości do niej.

Leslie współczuła Susan. Michael Campbell nie dawał się łatwo poznać. W samym akcie fizycznego oddania skrywał głęboko jakiś sekret. I w rozmowach, które z biegiem lat stawały się coraz intymniejsze, pozostawiał coś niedopowiedzianego. Coś, co z początku wydawało się tylko czarną plamką, ale teraz przypominało bardziej cały niewidzialny świat, podziemną krainę na dnie króliczej nory rodem z Alicji w Krainie Czarów.

Zycie u jego boku mogło być trudne. Tacy mężczyźni nie nadawali się właściwie do małżeństwa. Prześlizgiwali się między palcami jak żywe srebro. Nawet w najintymniejszych chwilach pozostawała daleko. Trudna rzecz dla żony. Wystarczająco trudna, by przyprawić kobietę o oziębłość, jeśli się głębiej zastanowić.

Z kochanką było jednak inaczej. Leslie wiedziała, co go podnieca. Wiedziała, że daje mu rozkosz. Czerpała dumę z własnej atrakcyjności, umiejętności prowadzenia gry miłosnej. Kiedy to sobie uświadamiała, łatwiej było przymknąć na resztę oko. Musiała tylko uważać, by się w nim nie zakochać.

I nigdy się nie zakochała. Nie do końca.

Wiele kobiet przystałoby na to, by ich pragnienie skupiło się na jego ukrytym wnętrzu, zaczęłyby odczuwać nienasycenie. Ale Leslie była na to za silna. Cierpliwie znosiła samotność przypuszczalnie dlatego, że była do niej przyzwyczajona.

Pochodziła z małego miasta w Kentucky, gdzie dawno temu bawiła się w letnie gorące poranki z innymi dziećmi z sąsiedztwa i marzyła o tym, by stać się matką, taką samą jak jej własna matka. Zycie zaprowadziło ją daleko od zakurzonej ulicy, ale nie od marzenia, które symbolizowała.

Któregoś dnia zamierzała zaryzykować i opuścić to miasto. W rzeczywistym świecie znajdzie wspaniałe miejsce dla siebie i mężczyznę, który by jej pragnął. Urodzi dziecko.

Ale jakoś nie mogła się na to zdecydować. Jeszcze nie teraz.

Może dlatego, że nie chciała jak dotąd utracić Michaela.

Włożyła kostium, który miała wcześniej na sobie. Rozejrzała się po raz ostatni po pokoju i dostrzegła zasupłany kawałek jedwabiu na podłodze. Schowała go do aktówki – zjawiała się tutaj ubrana jak bizneswoman w drodze na ważne spotkanie – i jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie w lustrze.

Kiedy wychodziła z pokoju, na ekranie telewizora wciąż widniała twarz Susan Campbell, uśmiechała się do gospodarza programu z tym cieniem niezamierzonej troski, który był jej znakiem rozpoznawczym. Publiczność przywykła do tego spojrzenia i je uwielbiała.

Susan była kochana za słabość, która podkreślała jej człowieczeństwo.

Leslie nigdy miała nie zaznać tego uczucia.

## Rozdział 22

Waszyngton  
2 grudnia

Szef Karen wściekł się, kiedy zobaczył artykuł, który zaproponowała do druku.

– Zwariowałaś? – spytał. – Tysiące ludzi zapada na chorobę w wyniku jakiegoś złowieszczonego spisku? Kandydaci na prezydenta celowo zneutralizowani? Jesteś nienormalna, Karen.

– A czy przeświadczenie, że zabójstwo Kennedy’ego nie było dziełem jednego człowieka, też świadczyło o wariactwie? – odparła Karen. – Skojarzenie włamania do Watergate z kampanią Nixona? A Iran-contras?

– Mieszasz dwie różne sprawy – zauważył szef. – Donosić o sensacyjnej sprawie, kiedy dysponuje się odpowiednimi faktami, to jedno. Ale podsycać powszechną paranoję, kiedy nie można niczego udowodnić, to coś zupełnie innego.

– Dysponuję faktami – sprostowała Karen. – Może nie wystarczą, żeby posłać ludzi do więzienia, ale na pewno obudzą podejrzenia każdego rozsądnego człowieka. Ten syndrom to nie jest jakieś typowe schorzenie. Choroba Everhardta, odosobniony przypadek w samym środku wielkiego miasta, też jest co najmniej dziwny. Przypomnij sobie tylko okoliczności, w jakich wybuchła epidemia.

Chorobę stwierdzono w jedenastu stanach i zapadło już nią kilka tysięcy osób. Wszyscy wiedzieli, że nie ustalono jej przyczyny i nie opracowano jak dotąd skutecznego leku. A jednak w Waszyngtonie zanotowano tylko jedną ofiarę, Dana Everhardta.

– Może to i fakty – zgodził się szef. – Ale nie usprawiedliwiają twojej teorii spisku.

– Pasują do niej – upierała się Karen. – Tylko to staram się udowodnić. Nie twierdę, że spisek to coś realnego, chcę tylko otworzyć czytelnikom oczy.

– Postępuj, Karen, tu nie chodzi o treść twojego tekstu, tylko ogólny klimat. Ludzie nie chcą słuchać czegoś takiego. Nie teraz. Wśród ofiar tej choroby są ich przyjaciele i bliscy. Boją się panicznie o siebie i swoje dzieci. To najgorszy możliwy moment, by mówić o jakiejś konspiracji.

– Co byłoby gorsze? Tajemnicza choroba, z którą nic się nie da zrobić, czy spisek, który uda nam się powstrzymać, gdy tylko wpadniemy na jego trop? – spytała.

Dyskusja trwała niemal przez godzinę. Wreszcie szef zgodził się przekazać tekst redakcjom gazet, ale tylko do publikacji na stronach dyskusyjnych. Postanowił też wyrazić zgodę na sprostowania ze strony wydawców, gdyby chcieli dać swym czytelnikom do zrozumienia, że teoria przedstawiona w artykule nie odzwierciedla w żadnym wypadku poglądów wyrażanych przez ich gazety.

Karen na to przystała. Wiedziała, że jej artykuł ma charakter hipotezy i nie chciała, by ludzie potraktowali go jako sprawdzoną wiadomość.

Nie wspomniała szefowi, że ktoś jej groził. Zachowała to dla siebie.

Zrobiła bez jego wiedzy coś jeszcze. Na własną rękę przekazała artykuł kilku liczącym się właścicielom portali internetowych, które specjalizowały się w dziennikarstwie alternatywnym. Mogła być pewna, że tekst przeczyta mnóstwo ludzi. Jej teoria będzie szeroko komentowana. Władze, postawione pod ścianą, prędzej czy później będą musiały zająć stanowisko.

Karen była przekonana, że postępuje słusznie. Tajemnicza choroba kryła się za zasłoną niepowodzeń, milczenia i być może dezinformacji. A prawda, by ujrzeć światło dzienne, potrzebowała czasem odrobiny pomocy.

Karen zamierzała kuć żelazo póki gorące.

## Rozdział 23

Georgetown

2 grudnia

Susan szykowała się do ćwiczeń.



Związała włosy w koński ogon; kiedy uniosła ramiona, jej piersi naprężyły się pod stanikiem. Elastyczne szorty opinały biodra i uda, ukazując szczupłe kobiece ciało, które stanowiło przedmiot marzeń milionów mężczyzn.

Michael miał wrócić późno. Włączyła telewizję z myślą o wiadomościach, ale po chwili zmieniła zdanie. Serwisy pełne były komentarzy na temat wyboru Toma Palleschiego, który miał zastąpić Dana Everhardta na stanowisku wiceprezydenta. Zwolennicy prezydenta mówili, że wybór jest genialnym posunięciem. Stronnicy Colina Gossa utrzymywali, że dowodzi on bezradności i świadczy o słabości i bankructwie intelektualnym obecnej administracji. Według ich oświadczeń Palleschi uosabiał „partię, która żyje w przeszłości”, a wybór, przed jakim stał teraz naród amerykański, był oczywisty.

Media poświęcały także sporo miejsca tajemniczej chorobie, która pochłonęła dostatecznie dużo ofiar, by zajmować każdego dnia pierwsze strony gazet. W niektórych miejscach chorowały setki ludzi, w innych, co trudno było wytłumaczyć, kilkadziesiąt. Krążyły pogłoski o jeszcze bardziej dramatycznej sytuacji za granicą i o dziwacznych, przerażających objawach, które występowały w końcowej fazie choroby. Większość obywateli kraju była przerażona doniesieniami – nigdy niepotwierdzonymi oficjalnie przez jakiegokolwiek władze medyczne – że choroba jest nieuleczalna i prawdopodobnie zawsze śmiertelna.

Susan nie mogła przestać myśleć o Danie Everhardcie. W Waszyngtonie było tajemnicą poliszynela, że Dan padł ofiarą tajemniczej choroby. Susan zadzwoniła wcześniej do siostry Michaela, Ingrid, i rozmawiała z nią pół godziny, dzieląc się obawami o Dana Everhardta i troską o bezpieczeństwo Michaela. Ingrid, choć okazywała współczucie, nie wydawała się jakoś szczególnie zmartwiona. Jako zawodowa pielęgniarka uważała, że widziała już niemal każdą chorobę.

„To prawdopodobnie wylew albo jakieś załamanie nerwowe – oświadczyła. – Nie martw się o Mike’a, jest silny jak wół. Pomijając problemy z kręgosłupem, nigdy nie chorował”.

Ingrid była zadowolona, że ma okazję pocieszyć Susan. Matkowała jej z pasją i miała dla niej tyle serca co dla brata. Często razem robiły zakupy. Ingrid uwielbiała pomagać Susan w doborze ciuchów i zawsze chciała decydować o jej odzieżowych modyfikacjach. Znała figurę Susan w najdrobniejszych szczegółach i czerpała jakąś radość z faktu, że wybrane przez nią rzeczy podkreślają doskonale kształty szwagierki. Nieco krucha i wrażliwa osobowość Susan stanowiła podatny grunt dla matczynych instynktów Ingrid. Były wielkimi przyjaciółkami.

Ta rozmowa trochę uspokoiła Susan, ale jej zbawienny skutek zmalął po chwili; trudno było znaleźć pocieszenie w tych niepewnych dniach.

Susan włożyła adidasy i ustawiła ruchomą bieżnię na czterdzieści pięć minut. W ciągu ostatnich kilku lat coraz częściej traktowała ćwiczenia jako środek na uspokojenie nerwów. Kiedy wchodziła na bieżnię czy siadała na rowerze ze słuchawkami na uszach, podczas gdy z magnetowidu leciał jakiś stary film – nigdy talk-show – czuła się jakby odseparowana od rzeczywistego świata. Długie ćwiczenia fizyczne tłumiły chęć zażywania środków uspokajających.

Tego dnia oglądała Siłę zła z Johnem Garfieldem. Był to przegadany, rozwlekły film, ale kochała Garfielda. Kiedy oglądała filmy z nim albo z Bogartem czy młodym Rayem Millandem, miała chęć wejść do kapsuły czasu i przenieść się do tamtego świata. Bohaterowie w garniturach i fedorach, sypiący powiedzonkami jak z rękawa, piękne kobiety o lśniących włosach i pomalowanych ciemno wargach, przeciągające zmysłowo głoski, budzący lęk źli faceci z cygarami w ustach, posługujący się slangiem...

Zło w tych filmach było o wiele prostsze od zła w realnym świecie. Zło w realnym świecie było skomplikowane, trudne do uchwycenia. Współcześni złoczyńcy pojawiali się z przyjacielskim uśmiechem, kojącym słowem i życiorysem, który świadczył o kompetencji

i doświadczeniu. Minęły dni, kiedy George Raft i Edward G. Robinson zdradzali złe zamiary budzącym lęk grymasem twarzy.

Susan nieraz słyszała od innych, że jej piękno przypomina urodę wielkich gwiazd filmowych przeszłości. Była przyrównywana między innymi do Grace Kelly i Catherine Deneuve. „Vogue” wykorzystał to w specjalnej rozkładówce, gdzie Susan sfotografowano w obcisłych, zmysłowych sukienkach i wyrazistych uczesaniach. Jedno z tych zdjęć wisiało na górze. Michael uparł się, żeby je oprawić, ponieważ oddawało w pełni ten aspekt czaru Susan, który zwykle krył się gdzieś w tle.

Telewizor był włączony, na ekranie królował John Garfield, a Susan poprawiała właśnie słuchawki, kiedy zadzwonił telefon. Pobiegła go odebrać, sądząc, że to Michael.

– Halo?

– Witaj, Susan.

Znów ten głos. Susan pobladła.

– Czego chcesz?

– Tylko ciebie.

W głosie pobrzmiwała dziwna nuta zażyłości. I pewności siebie, niemal zadufania. Teraz wyraźniej słyszała jego modulację. Domyśliła się, że jej rozmówczyni jest kobietą starszą od niej. Być może po czterdziestce.

– Proszę – powiedziała niemal błagalnie Susan.

– Nie bój się, Susan. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Jestem po twojej stronie.

Susan rozmyślała przez chwilę. Widziała swe odbicie w dużym lustrze na ścianie garderoby, gdzie trzymała bieżnię. W tym obcisłym kostiumie wyglądała niemal jak naga. Dziecięco bezbronna, o oczach wystraszonych i pełnych winy.

– Proszę – usłyszała własny głos. Słuchawka telefonu bezprzewodowego drżała jej w dłoni.

– Wiesz oczywiście o Palleschim – powiedziała rozmówczyni.

– O Tomie Palleschim? Tak.

Susan nie chciała zachęcać kobiety do kontynuowania rozmowy, ale nie mogła się powstrzymać, by nie odpowiadać.

– On nie będzie wiceprezydentem, Susan.

O Boże.

– O czym ty mówisz? – spytała Susan. – Oczywiście, że będzie. Ogłosili to.

– Prezydent wybierze Michaela. Nie Palleschiego.

W bezbarwnym głosie wyczuwało się ton bezlitosnej pewności, ale i cień pewnego współczucia.

– Oszalałaś – oświadczyła Susan.

– Rozumiem, jak się czujesz – wyznał kobiecie głos. – Prawda może być bardzo bolesna.

– Ale to nie jest prawda.

Susan skrzywiła się, dyskutując z tą wariatką, ale nie mogła słuchać bez protestu.

– Poczekaj trochę. – Głos kobiety był spokojny. – Osobliwość prawdy polega między innymi na tym, że wychodzi na jaw powoli. Sugeruje. Nie można przygotować się na nią z góry. Ale kiedy już się pojawi, jest jak zakazany owoc, którego skosztowałaś. Robi się za późno, by ją powstrzymać.

Rozmówczyni odczekała chwilę, by sens jej słów dotarł do słuchaczki, a potem dodała:

– W każdym razie kiedy Michael zostanie wybrany, stanę przy tobie. Zrozumiesz, że miałam rację; przyda ci się wtedy przyjaciółka, Susan. Ja nią będę.

Susan westchnęła.

– Dlaczego to robisz?

– W pewnym momencie naszego życia, Susan, zostajemy wezwani, by stanąć do walki o to, kim jesteśmy – odparła kobieta. – Twój moment właśnie nadciąga. A kiedy już nadejdzie, nie będziesz sama. Pojawię się, by ci towarzyszyć i dodawać sił.

– Sił do czego? – spytała Susan.  
– Do tego, co musisz zrobić.  
Odejdź. Zniknij z mojego życia.  
– A jeśli nie podniosę słuchawki, kiedy następnym razem zadzwonisz? – zainteresowała się Susan.  
– Podniesiesz – zapewnił głos. – Już to zrobiłaś. Prawda jest w tobie, Susan. Nie możesz jej nie słyszeć.  
Susan zacisnęła zęby, starając się za wszelką cenę odzyskać kontrolę nad sytuacją.  
– Mylisz się – powiedziała. – Całkowicie się mylisz.  
– Kiedy Palleschi zostanie usunięty, zrozumiesz, że miałam rację. A tymczasem możesz coś zrobić. Przyda ci się.  
– Ja? Co masz na myśli?  
– Zadaj swojemu mężowi niewinne pytanie, Susan. Spytaj go, co wydarzyło się na Harvardzie.  
– Na Harvardzie? O czym ty mówisz?  
– Kiedy będzie ci odpowiadał, patrz mu uważnie w oczy.  
Przerwano połączenie.

## Rozdział 24

3 grudnia

Być może jedyną osobą, która nie pochwałała wyboru Toma Palleschiego na miejsce Dana Everhardta, był Judd Campbell.

Judd uważał Palleschiego za znakomitego urzędnika państwowego, ale nie polityka. Palleschi był urodzonym szeregowcem, nie przywódcą. W walce z Colinem Gossem prezydent potrzebował znacznie silniejszego człowieka. Kogoś z talentem i charakterem, kto robi na ludziach duże wrażenie i jest zdolny objąć w razie konieczności urząd prezydencki.

Kogoś w rodzaju Michaela Campbella.

Tego wieczoru Judd siedział w fotelu na osłoniętym ganku swego domu nad zatoką. Ingrid przyniosła mu butelkę guinnessa i szklankę.

– Wiesz, nie dziwię się, że z prezydentem jest tak kiepsko – oznajmił, kiedy się nachyliła, żeby postawić na stole piwo. – Ma złych doradców, brakuje mu poza tym odwagi, żeby zrobić, co trzeba.

Ingrid się uśmiechnęła.

– Znów się zaczyna.

– Wybierają takie zero jak Palleschi na miejsce Everhardta akurat wtedy, kiedy sprawy wyglądają naprawdę kiepsko. A człowiek, który może uratować sytuację, jest tuż obok.

– Tato, dajesz się ponieść ambicji.

Ingrid spoglądała na ojca, którego tak bardzo kochała. Judd był silnym człowiekiem, ale miał jedną ogromną wadę – nie wiedział co to ustępstwo. Kiedy już uczepił się jakiejś myśli, nie dopuszczał żadnej dyskusji czy sprzeciwu. A żadna myśl nie była równie zakorzeniona jak pragnienie, by Michael został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Gdy tylko jego syn wkroczył w świat polityki, Judd zawsze mu zalecał najbardziej ambitny kurs. „Po co marnować jeszcze jedną kadencję w Izbie Reprezentantów, skoro możesz już teraz ubiegać się o miejsce w Senacie? – doradzał. – Po co siedzieć w słabych komisjach, kiedy możesz namówić lidera większości, żeby powierzył ci fundusze?”. Albo: „Po co siedzieć w komisjach, skoro możesz przewodniczyć własnej?”.

Judd pragnął, by Michael obrał bezpośredni kurs na urząd prezydencki. „Masz wszystko, czego potrzeba, by kierować krajem – powiadał. – Tyle samo, ile ludzie pokroju

Kennedy'ego, Johnsona czy Nixona i o wiele więcej niż Carter, Bush czy Clinton. Po co siedzieć beczynnym i czekać dwadzieścia lat na to, co możesz mieć od razu? Wystarczy tylko po to sięgnąć”.

Michael znosił spokojnie ojcowskie tyrady, ponieważ wiedział, że zawierają ziarno prawdy. Ambicja była ważna. Nikt by nie zaprzeczył, że Judd przez te wszystkie lata wywierał pozytywny wpływ na Michaela. Jak inaczej można by wyjaśnić jego olimpijskie zwycięstwa? Żaden człowiek nie mógł liczyć na to, że zrobi na tym świecie coś wielkiego, jeśli nie kieruje nim chęć osiągnięcia doskonałości.

Judd jednak naciskał zbyt mocno. Michael musiał nauczyć się trudnej i elastycznej sztuki przytakiwania ojcu, a jednocześnie podążać po cichu własną drogą. Nie było to łatwe zadanie, a w miarę jak wyrastał ponad swych politycznych towarzyszy, stawało się coraz trudniejsze.

– Palleschi to dobry człowiek, tato – zauważyła Ingrid. Miała o nim jak najlepsze zdanie, podobnie jak Michael i Susan. – Jest oddany sprawie i uczciwy.

– Dobrzy ludzie są wszędzie – odrzekł Judd. – Potrzebujemy kogoś więcej niż tylko dobrego człowieka. Potrzebujemy właściwego człowieka.

Ingrid westchnęła.

– No dobra. Przewróć płytę na drugą stronę i daj posłuchać.

– Goss plasuje się wysoko w sondażach z powodu Crescent Queen i tej historii z Everhardtem – oświadczył Judd. – Próbuje zajechać na ludzkim strachu prosto do Białego Domu. A jak się tam dostanie, nie sposób będzie go stamtąd wyciągnąć. Tego właśnie nie rozumieją wyborcy. Flirtują z dyktaturą.

Ojciec i córka milczeli przez chwilę, podczas gdy o piaszczysty brzeg w dole rozbijały się fale. Za plecami mieli pusty dom, bolesne wspomnienie szczęśliwszych dni, kiedy to gwarny klan Campbellów wypełniał to miejsce. To tutaj zmarła żona Judda, Jej sypialnia nadal wyglądała tak jak za jej życia. Wchodził tam co tydzień, by posiedzieć w bujanym fotelu przy oknie i wyszeptać do niej kilka słów pełnych miłości. Fotel był za mały – zrobiono go specjalnie dla niej – ale dzięki temu czuł się bliżej żony.

Judd patrzył na chłostaną wiatrem zatokę za plecami Ingrid. Przyszło mu do głowy, że ma osobiste powody nienawidzić Colina Gossa.

Niemal trzydzieści lat wcześniej firma Judda zwała się w walce z rosnącym imperium Gossa, który chciał przejąć państwową sieć aptek, mającą powiązania finansowe z przedsiębiorstwami Judda. Przez jakiś czas mówiło się o przyjaznej współpracy między tymi ludźmi. Obaj mężczyźni spotkali się kilka razy na obiedzie, by omówić interesy. Pewnego dnia wzięli ze sobą żony. Judd był zaszokowany, widząc, jak Colin patrzy na Margery, wówczas rudowłosą irlandzką piękność, ledwie po dwudziestce. Goss nie starał się nawet ukryć swego pożądania. Flirtował bezwstydnym z Margery, wyraźnie zakłopotaną jego zalotami.

Judd wściekł się, był zazdrosny, chociaż nie należał do najwierniejszych mężów. Wykorzystał swe finansowe znajomości na wyższym szczeblu, by podciąć Gossowi skrzydła i sam przejął apteki. Interes ten opóźnił co najmniej o rok marsz Gossa ku supremacji wśród gigantów farmaceutycznych. Obaj mężczyźni nigdy więcej nie zamienili słowa.

W późniejszych latach Judd obserwował z pogardą, jak Goss wkracza w świat polityki i staje się osobą publiczną. Już sama myśl o tym, że w Białym Domu miałby zasiąść taki drań jak Goss, była nie do przyjęcia. Ten człowiek był nie tylko bezwstydnym rasistą, skrywał też ponure tajemnice, o których opinia publiczna nic nie wiedziała. Jego prezydentura spowodowałaby klęskę narodową. Ale uchodził za typ wojownika, i to cierpliwego. Zniósł trzy porażki wyborcze, gdyż wiedział, że jeszcze jego czas nadejdzie i wówczas sięgnie po władzę.

I teraz, za sprawą zrzędzenia losu, pojawiła się szansa. A Michael był jednym z tych, którzy zagradzali Gossowi drogę do celu. A więc znów Campbell stawał naprzeciwko Gossa.

Ingrid wpatrywała się przez odsłonięte żaluzje w pofalowane wody zatoki. Miała na sobie swój typowy strój starej panny – ciemną spódnicę, najzwyczajniejszy sweter i ciężkie buty na niskim obcasie. Wydawała się jeszcze bardziej masywna niż zazwyczaj. Jej oczy, kiedy wypoczywała, miały niewypowiedzianie zmęczone i smutne spojrzenie. Była kobietą, która już dawno wyrzekła się własnej indywidualności. Nigdy nie miała chłopaka. Judd podejrzewał, że wciąż jest dziewicą.

– No? – sondował. – Mam rację?

– To i tak bez znaczenia – odparła Ingrid. – Palleschi został już wybrany. A nawet gdyby było inaczej, prezydent i tak nie poprosiłby Michaela. Jest za młody, a to wyklucza jego kandydaturę. Ma tylko trzydzieści cztery lata.

– JFK miał tylko trzydzieści osiem, kiedy kandydował na wiceprezydenta – odparł Judd. – Nixon miał trzydzieści osiem w 1951. Dan Quale trzydzieści trzy, kiedy go Bush wybierał. – Najwidoczniej Judd odrobił lekcje, jeśli chodzi o wiek wiceprezydentów. – A kiedy kadencja prezydenta dobiegnie końca, Michael będzie miał trzydzieści siedem; to odpowiedni wiek, by zająć jego miejsce.

Ingrid się uśmiechnęła. Judd nieźle się przygotował.

– Wiesz, co się stanie, jeśli prezydent wybierze Michaela – powiedziała. – Goss powie, że jest żółtodziobem i że administracja nie wie, co robi. Sytuacja, i tak już kiepska, tylko się pogorszy.

– Albo polepszy – zauważył Judd. – Twój brat to bohater narodowy, nie zapominaj, Ing. I pamiętaj, taka szansa trafia się tylko raz. Nie wiadomo, co może się zdarzyć w ciągu następnych ośmiu czy dwunastu lat. Kiedy nadejdzie dzień Michaela, w Białym Domu może siedzieć ktoś, kogo nie da się pokonać. Może nawet nie być Białego Domu. Nigdy nie słyszałem, by ktoś mówił, że aby zdobyć coś upragnionego, trzeba na to czekać. Trzeba to brać.

Ingrid westchnęła.

– Nie wiem, o co się spieramy. Tom Palleschi dostał stanowisko. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko życzyć mu wszystkiego najlepszego.

Judd Campbell nie odpowiedział. Podniósł do ust szklanekę ciemnego piwa, patrząc w zadumie na fale.

Ingrid odeszła bezgłośnie do swoich zajęć. Poruszała się zwinnie jak na tak dużą kobietę.

## Rozdział 25

Tajemniczy syndrom, który wyeliminował Dana Everhardta, zdążył przed nowym rokiem rozprzestrzenić się po całym świecie.

Epidemia wybuchła w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach, ale najsilniej w północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie. Światowa Organizacja Zdrowia oceniała liczbę ofiar na ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy. W samych Stanach Zjednoczonych chorobą zostało dotkniętych około sześciu i pół tysiąca ludzi.

Władze medyczne kraju pracowały bez wytchnienia, by zidentyfikować czynnik patogenny odpowiedzialny za chorobę. Media pełne były uspokajających zapewnień ze strony ekspertów i przedstawicieli rządu, którzy obiecywali rychłe zwalczenie epidemii.

Miało to zapobiec panice. W rzeczywistości władze nie znały nawet w przybliżeniu przyczyny choroby i skutecznej terapii.

Pewien sanitariusz w Australii ukuł makabryczny termin „Syndrom Pinokia”, który nawiązywał do początkowej, jakby ośle upartości ofiar i przerażającej metamorfozy ich dłoni i stóp, przybierających w ostatnim, przedśmiertnym stadium choroby kształt kopyt. Media podchwyciły to określenie. Syndrom opanował zbiorową wyobraźnię jak żadna inna choroba.

Prezydent na każdej konferencji prasowej słyszał liczne pytania dotyczące epidemii. Powoływał się niezmiennie na lekarzy i specjalistów ze służby zdrowia zajmujących się sprawą. Wyrażał głęboki smutek z powodu losu tysięcy rodzin dotkniętych nieszczęściem i doradzał rodakom, by nie wpadali w panikę. „Stracimy o wiele więcej, jeśli ulegniemy strachowi, zamiast prowadzić dalej normalne, owocne życie, pozostawmy ekspertom znalezienie leku na tę chorobę”, powtarzał.

Jednak zbierająca coraz większe żniwo choroba zapoczątkowała epidemię lęku. Rodzice nie pozwalali dzieciom chodzić do szkoły i miejsc publicznych jak centra handlowe i kina. Rodziny piły wodę mineralną i unikały świeżej żywności z supermarketów. Właściciele restauracji zamykali lokale, gdyż klienci bali się skażonego jedzenia i kontaktu z innymi gośćmi.

Ludzie nakładali maski chirurgiczne, idąc do pracy czy na zakupy. Bardziej przewrażliwieni w ogóle nie wychodzili z domów. Zamożniejsi studiowali mapę świata i przenosili swe rodziny w miejsca nietknięte jeszcze przez epidemię, takie jak Hawaje, południowy kraniec Ameryki Łacińskiej czy Grenlandia.

Ludzie wiedzieli, że nie znaleziono jeszcze skutecznego leku, który spowolniłby nieubłagany postęp śmiertelnej choroby. Od momentu zdiagnozowania choroby do zgonu miało od siedmiu do dziewięciu tygodni, przy czym śpiączka pojawiała się po pierwszym miesiącu, natomiast odrażające zmiany fizyczne występowały w ostatnich tygodniach życia.

Epidemia AIDS zaszczerpała w ludzkich umysłach lęk przed „chorobą ostateczną”, nieuleczalną i zawsze śmiertelną, która przenosiłaby się w sposób uniwersalny, nie tylko przez krew i kontakty intymne; taką, która dopadałaby człowieka bez względu na to, gdzie i kim był, która starłaby z powierzchni ziemi całą ludzkość. Lęk ten, przyczajony od pokolenia w podświadomości, eksplodował teraz w sposób niekontrolowany.

Pojawiwszy się tuż po niewyjaśnionej tragedii Crescent Queen, której sprawców nie ukarano, epidemia miała w sobie coś z apokalipsy. Wspomnienie tego strasznego grzyba unoszącego się nad wodami Morza Śródziemnego łączyło się w zbiorowym umyśle z obrazem ofiar syndromu Pinokia o sztywnych ciałach i niewzruszonym spojrzeniu. Nie potrzeba było w tych dniach szczególnej fantazji, by narodził się strach przed rychłym końcem świata.

Prezydent szybko odczuł polityczne skutki tej paniki. Jako człowiek sprawujący aktualnie najwyższy urząd w państwie był uważany za tego, który dopuścił do chaosu. To samo dotyczyło jego partii, której notowania w całym kraju utrzymywały się na wyjątkowo niskim poziomie.

Zapewnienia ze strony sfer rządowych, że Dan Everhardt nie cierpi na tę straszną chorobę, nie pokrywały się z pogłóskami. Panowało powszechne przekonanie – nie wyrażone głośno w mediach, ale obecne na niezliczonych stronach internetowych – że wiceprezydent padł ofiarą syndromu.

Colin Goss obwieszczał w spotach radiowych i telewizyjnych, nadawanych w porze największej oglądalności, że nadszedł „czas na zmianę”, że obecna administracja działa zgodnie z „polityką klęski”, że już dawno Amerykanie powinni przestać żyć pod jarzmem „polityki strachu”. Te jego medialne wystąpienia wykorzystywały epidemię, nie nawiązując do niej bezpośrednio. Taktyka okazała się skuteczna.

Twarz Gossa, odarta z dawnego, nienawistnego wyrazu i starannie przybrana w ojcowską maskę znamionującą skuteczność i siłę, patrzyła w całym kraju z billboardów. Twarz, która niegdyś wielu przerażała, teraz budziła zaufanie ludzi, a ci wyrażali swe uczucia w sondażach, w których Goss pod względem popularności plasował się daleko przed prezydentem.

Ta sama fala rozpacz, która w czasach wielkiego kryzysu rzuciła do Białego Domu Franklina D. Roosevelta i zapewniła prezydenturę Ronaldowi Reaganowi po krachu

paliwowym i dramacie zakładników irańskich pod koniec lat siedemdziesiątych, teraz niosła ze sobą Colina Gossa i niewykluczone, że nic go nie będzie mogło powstrzymać na drodze do najwyższego urzędu w państwie.

„Czas na zmianę”, głosiły jego telewizyjne spoty. Ich ukryte przesłanie było aż nadto oczywiste. Zmiana już się dokonała. Pytanie brzmiało tylko, ile czasu jeszcze pozostało.

W tym klimacie dojmującego lęku artykuł Karen Embry o chorobie wywołał burzę potępienia.

Choć był zatytułowany „A jeśli...?” i ukazał się tylko na stronach redakcyjnych, jego efektem były niezliczone i pełne oburzenia listy do wydawców. Czytelnicy uważali, że sytuacja jest dostatecznie niekorzystna i bez nieodpowiedzialnych reporterów, którzy produkują paranoidalne teksty o spiskach. Oburzenie opinii publicznej było tak gwałtowne, że wydawcy, którzy opublikowali tekst, musieli zamieścić na swych łamach przeprosiny.

„Naszym celem jako dziennikarzy – napisał jeden z nich w komentarzu wyjaśniającym – powinno być informowanie o różnych sprawach, i to w sposób konstruktywny. Przywoływanie fantastycznych scenariuszy w chwili, kiedy mogą one wywołać tylko ogromne zaniepokojenie, nie jest przykładem odpowiedzialnego dziennikarstwa”.

Oburzenie przybrało takie rozmiary, że nawet sekretarz prasowy prezydenta czuł się zobowiązany wypowiedzieć publicznie.

„Znajdujemy się w trudnym momencie naszej historii – rzekł. – Prezydent uważa za rzecz niezwyklej wagi, by wszyscy Amerykanie zjednoczyli się w obliczu tego groźnego wyzwania. Musimy wierzyć w siebie i sobie nawzajem bardziej niż kiedykolwiek. Prezydent pogardza nieodpowiedzialnymi głosicielami plotek, którzy dla własnych korzyści, nie okazując jakiegokolwiek wrażliwości na ból i smutek ofiar i ich rodzin, pogarszają tylko już i tak złą sytuację”.

W mediach nie wspomniano już potem ani razu o artykule Karen. Wszyscy wydawcy w kraju dopilnowali, by spuścić zasłonę milczenia na ten kłopotliwy dla siebie epizod.

Internet jednak był wolny od takich skrupułów. Czaty na całym świecie huczały od gorących dyskusji na temat teorii spiskowej. Surferzy, którzy z natury węszyli wszędzie sensację, rzucili się na hipotezę jak stado wygłodniałych wilków. Winili za rozprzestrzeniającą się epidemię Rosjan, Chińczyków, CIA, Marsjan i mieszkańców Wenus. W swym zamiarze dotarcia do prawdy Karen Embry niechcący odwołała się do ludzkiego lęku na jego najbardziej prymitywnym poziomie. Jej artykuł stał się pożywką dla wszelkiej maści wariatów i fantastów.

Karen stała się teraz w Waszyngtonie osobą niepożądaną. Żaden przedstawiciel władzy nie chciał z nią rozmawiać. Nawet ci z rządu, którzy prywatnie sympatyzowali z reporterką, byli zbyt wystraszeni, by otwierać przed nią drzwi. Jej źródła informacji w stolicy kraju wyschły.

Szef doradzał usilnie, by się przeprowadziła, być może na zachodnie wybrzeże, i zaczęła publikować pod pseudonimem. W głębi ducha uważał, że nadszedł dla niej czas na porzucenie dziennikarstwa i znalezienie sobie innego zajęcia.

Dyrektor CIA wezwał do siebie Mitcha Fallona, swego sekretarza prasowego. Był wściekły.

– Chyba ci mówiłem, że nie chcę więcej słyszeć o tej dziwce – rzucił.

– To wolny kraj. – Fallon wrzucił ramionami. – Zrobiłem, co mogłem. Nikt na szczeblu federalnym z nią nie współpracował, to mogę panu zagwarantować. Ale nie możemy zakazać gazetom drukowania tego, co uznają za stosowne. A Internet to... no cóż, to Internet. Robią, co chcą.

Fallon nigdy nie widział szefa w takim stanie. Oczy mu wyłaziły na wierzch, twarz miał czerwoną.

– Pożałuje, już ja tego dopilnuję – odgrażał się. – Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

– Proszę się nie martwić – odezwał się Fallon. – Nikt nie wydrukował tego jako prawdziwej wiadomości. Artykuł ukazał się wyłącznie na stronach dyskusyjnych i w kilku gazetach.

– Nie o to chodzi – odparł dyrektor. – Wiedziałem, że z tą suką będą kłopoty, jak tylko ją zobaczyłem.

– Co możemy zrobić? – spytał Fallon.

– Łazić za nią – wyjaśnił dyrektor. – Założyć jej podsłuch w mieszkaniu.

– Naprawdę chce pan sobie tym zawracać głowę? – dziwił się Fallon. – I tak już ją obsmarowano.

– I chcę być pewien, że to się nie zmieni.

– To przesładowanie – starał się przekonać szefa Fallon.

– Nie – złościł się dyrektor. – To ochrona bezpieczeństwa narodowego. Płatny agent obcego mocarstwa nie mógłby być bardziej niebezpieczny od niej. Nie potrzebujemy teraz w kraju paniki. Ta reporterka stanowi zagrożenie.

– Okej – zgodził się w końcu Fallon i wyszedł bez słowa.

Dyrektor spojrział na małe zdjęcie ładnej twarzy Karen, zamieszczone obok jej artykułu w „Post”. Patrzył przez chwilę na delikatne rysy kobiety, a potem zmiął stronę z artykułem i przeklinając, cisnął do kosza na śmieci.

Ze szpitala Waltera Reeda dotarła wiadomość, że Dan Everhardt jest bliski śmierci z powodu syndromu Pinokia. Dan miał być pierwszą znaną osobistością, która padła ofiarą choroby w Stanach Zjednoczonych. Jego koniec stałby się symbolicznym ciosem w zapewnienia władz, że sytuacja jest „w znacznym stopniu pod kontrolą”. Teraz wszyscy mieli się dowiedzieć, że nawet sławni i potężni nie są nietykalni. Była to dla wielu otrzeźwiająca myśl. Tom Palleschi znalazł się w niezręcznej sytuacji głównie ze względu na żonę. Od samego początku Theresa Palleschi była przeciwna temu, by jej mąż zastępował Dana Everhardta. Martwiła się o jego bezpieczeństwo.

– Coś mi się tu nie podoba – powiedziała Tomowi. – Colin Goss, ta epidemia, Dan Everhardt i jego choroba... coś jest nie w porządku. Nie chcę, żebyś się w to angażował.

Theresa zawsze miała podejście filozoficzne do swej roli jako żony polityka. Rozumiała, że Tom jest oddany służbie publicznej. Przez te wszystkie lata znosiła jego późne powroty do domu, tymczasową obojętność, niekiedy wyczerpanie psychiczne, ponieważ wiedziała, że kocha swą pracę. Słuchała uważnie, jak opowiadał z pasją o sprawach bieżących i dzieliła z nim dumę, kiedy udawało mu się wraz z innymi rozwiązać jakiś poważny problem. Tom Palleschi był urodzonym urzędnikiem państwowym, i to utalentowanym. Theresa godziła się z tym.

Ale choroba Everhardta i zataczająca coraz szersze kręgi epidemia zmieniły jej nastawienie.

– Twoje dzieci potrzebują ojca – przekonywała. – Są ważniejsze od każdej pracy.

– Terry, prezydent mnie potrzebuje. Nie widzisz tego?

– Potrzebowali też Everhardta – odparła. – I czym to się skończyło?

– Terry...

– Nie warto – upierała się. – Byłam gotowa dzielić się tobą z rządem federalnym, kiedy chodziło tylko o twoją nieobecność w domu i przepracowanie. Ale nie pozwolę ci się zabić, żeby ułatwić sytuację kręgom rządowym. Niech znajdą kogoś innego.

– Terry, mam zobowiązania – zaprotestował.

– Masz zobowiązania wobec swoich dzieci – nie ustępowała. – I wobec mnie.

– A mój kraj? – spytał. – Czy to nic nie znaczy?

Ku jego zdumieniu Theresa była niewzruszona.

– Twoje dzieci znaczą więcej – odparta. – Niech prezydent znajdzie sobie innego partnera, a administracja pokona Gossa, jeśli tylko zdoła. Wtedy mogą zaproponować ci robotę, wszystko jedno jaką, a nie powiem złego słowa. Ale nie chcę widzieć cię na tym gorącym stołku, kiedy wkoło dzieje się to wszystko. Wyczuwam coś złego.



Nie chciała słuchać jego argumentów. Bała się o niego i o szóstkę ich dorastających dzieci. Nie byli biedni – udane interesy Toma zapewniły im finansową niezależność – ale dzieci potrzebowały ojca. Theresa była przekonana, że Tom znalazłby się w prawdziwym niebezpieczeństwie, gdyby został wiceprezydentem.

W końcu Tom musiał jej odmówić. Przyjął propozycję prezydenta i czekał teraz tylko, aż Senat zaaprobuje jego kandydaturę.

W noc poprzedzającą powrót do pracy po urlopie Tom chciał się kochać z Theresą. Nie zgodziła się.

– Nie mogę traktować cię jak zawsze, skoro za tydzień może już cię tu nie być – oświadczyła. – Nie pozwolę ci się dotykać w takiej sytuacji.

– Terry, przesadzasz. Na litość boską, każdego z rządu pilnują agenci Secret Service.

– Pomogli Danowi Everhardtowi? – spytała.

Tom westchnął.

– Przyznaję, że zdarzyło się nieszczęście. Ale nie możesz na tej podstawie budować teorii o spisku, nie masz dowodów.

– Dla mnie jest ich aż nadto – oświadczyła.

Odwróciła się do niego plecami i zamknęła oczy.

Tom leżał obok niej, czekając daremnie na sen, aż zegar przy jego łóżku wskazał 4.30. Podał się wówczas i postanowił pobiegać wcześniej niż zwykle. Najlepiej mu się wtedy myślało. Może teraz, przed śniadaniem, też warto zaliczyć z dziewięć kilometrów.

Umył szybko zęby, potem włożył dres i adidas. Zużywał parę dobrych butów w dwa albo trzy miesiące. Theresa martwiła się, że dostanie ataku serca. Żeby ją uspokoić, Tom poddawał się regularnym badaniom kardiologicznym. Był oczywiście w doskonałej formie. To, że pokonał tyle kilometrów przez te wszystkie lata, robiło swoje.

Minął lustro w holu i spojrzał na swoją twarz. Była teraz bardziej poznaczona zmarszczkami, w jakiś sposób cięższa. W oczach malowała się troska. Ale można też było w nich dostrzec ledwie skrywany błysk podniecenia. Czy mogła to być twarz następnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych?

Nałożył psu trochę jedzenia i spojrzał przez okno. Pod domem stał zaparkowany samochód Secret Service. Rozpoznał agentów i skinął im głową, przebiegając obok wozu.

Sprawdził stoper i ruszył zwykłą trasą uliczkami przedmieścia, planując zakończyć bieg pod sklepem na rogu Waldron Avenue, gdzie wypijał zwykle filiżankę kawy. Lubił pogadać z właścicielem, zapalczywym włoskim imigrantem, który uważał go za swego rodaka. Facet miał dużą rodzinę, podobnie jak Tom, i lubił dyskutować o bieżących zagadnieniach. Niestety, był zajadłym zwolennikiem Colina Gossa i wierzył, że tylko on może „uratować kraj” w tych trudnych czasach.

Agenci podążający z wolna za Tomem w swym nieoznakowanym sedanie rozmawiali o polityce. Obaj lubili Palleschiego i gdy po raz pierwszy otrzymali zadanie pilnowania jego osoby, Tom zaprosił ich na drinka. Bardziej liberalny z tej dwójki uważał, że to Palleschi powinien być prezydentem. Drugi agent, choć nie mógł powiedzieć tego głośno, zamierzał głosować na Colina Gossa, gdyby doszło do wyborów nadzwyczajnych. Kraj potrzebował w tej chwili silnego przywódcy. Goss był najsilniejszy ze wszystkich.

Rozpoczynając dziewiąty kilometr, Tom poczuł ukłucie słabości, ledwie wyczuwalne, gdzieś w okolicy pasa. Rozprzestrzeniło się pomału na klatkę piersiową. Dzwoniło mu w uszach.

Postanowił zrezygnować z dalszego biegu, mimo że trasa prowadziła by jego ulubionymi uliczkami. Być może stres robił swoje. Nie czuł się tak silny jak zazwyczaj.

Spojrzał na sklep w głębi ulicy, do której się zbliżał. Przez chwilę miał wrażenie, że budynek cofa się przed nim, jakby kurcząc się w sobie. Dziwne, pomyślał. Po chwili wydało

mu się, że światła nad sklepem, odbijające się w mokrym asfalcie, pełzną po nim i wchodzą mu do ust. Zakrztusił się, odkaszlnął, potrząsnął głową, by uwolnić płuca, ale na próżno. Nawet niebo waliło się na niego, wdzierając mu się w usta i blokując dopływ powietrza.

Przystanął, wspierając się ramieniem o ceglana ścianę budynku sąsiadującego ze sklepem. Chciał zawołać agentów podążających w ślad za nim samochodem, ale nie mógł wymówić ani słowa. Nie mógł też poruszyć ramieniem.

– Hej, popatrz, chyba się zmęczył – odezwał się młodszy z agentów.

– Myślałem, że jest w lepszej formie – odparł jego towarzysz. – Skrócił dystans. Może ma kaca.

– Żartujesz? Po jednym kieliszku wina?

Palleschi się nie poruszył. Jego poza nie wyglądała już tak naturalnie. Agenci podjechali bliżej i wysiedli z wozu. Właściciel sklepu ukazał się właśnie w drzwiach lokalu, żeby przywitać Toma.

– Hej, kawa ci stygnie.

Agenci spotkali się z właścicielem przy ścianie, pod którą stał Palleschi. Byli już poważnie zaniepokojeni. Ich niepokój wzrósł jeszcze bardziej, kiedy spojrzeli mu w oczy.

– Panie sekretarzu? – zwrócił się do niego starszy z agentów. Palleschi nie odpowiedział. Agent starał się ująć go za ramię, ale Tom był zeszywniały. Sprawiał wrażenie, jakby mimo całkowitego bezruchu stawiał opór.

– Jezu – wyszeptał młodszy z agentów.

– Idź do radia – warknął jego kolega. – Potrzebujemy karetki.

## Rozdział 26

Georgetown

15 stycznia

Media zareagowały na wiadomość o chorobie Toma Palleschiego niczym rekiny, które wyczuły krew.

Biały Dom był oblegany przez reporterów, którzy chcieli się za wszelką cenę dowiedzieć, czy Palleschi padł ofiarą syndromu Pinokia, tak jak wcześniej Dan Everhardt.

Rzecznik Białego Domu, świadomy powagi politycznych konsekwencji tej historii, stanowczo zaprzeczył, by Palleschi uległ syndromowi. Jego choroba, utrzymywał, miała związek z nadciśnieniem i została już opanowana. Spodziewano się szybkiego powrotu do zdrowia.

Notowania prezydenta od razu polecały na łeb, na szyję. Nic nie mogło bardziej zaszkodzić wizerunkowi jego administracji niż groźba choroby. Rozważania nad kandydaturą Palleschiego dobiegły w Senacie końca. Pojawiły się natomiast gorące debaty nad pytaniem, czy należy przeprowadzić wybory nadzwyczajne i mianować nowego prezydenta.

Niedyspozycja Palleschiego wywołała w kołach rządowych tak wielkie przygnębienie, że rozważano nawet nagranie kasety wideo – tak jak to niegdyś uczynił Jelcyn – na dowód, że Palleschi nie jest poważnie chory. Ale będąc w takim stanie, przywodzącym na myśl paraliż, Palleschi nie mógł w żaden sposób odgrywać zdrowego człowieka. Trzeba byłoby się posłużyć jakimś dawnym nagraniem, a media z pewnością przejrzałyby podstęp. W końcu zarzucono ten pomysł i postanowiono nic nie robić, tylko czekać i liczyć na zmianę sytuacji.

Podczas tego pełnego napięcia okresu Joseph Kraig znalazł wolną chwilę, by odwiedzić Susan Campbell w jej domu w Georgetown.

Poprosiła go, by przyszedł w środku dnia, kiedy Michaela nie będzie w domu. Nie chciała powiedzieć przez telefon, o co chodzi. Kraig zgodził się; był ciekawy, o czym chce z nim rozmawiać.

Nie cieszyło go, że spotka się z nią sam na sam. Od czasu rozwodu unikał w miarę możliwości spotkań z Campbellami. Przebywanie w towarzystwie Susan było dla niego bolesne.

Kraig przyjaźnił się z Michaelem na studiach, mieszkali na pierwszym roku w jednym pokoju. Kraig przypatrywał się z boku, jak Michael walczy o względy Susan. Poznał ją w szpitalu, kiedy Michael przechodził drugą operację, i wielokrotnie rozmawiał z nią od serca o Michaelu i o niej samej.

Nawet w tamtych dniach Kraig nie okłamywał się co do swych uczuć wobec Karen. Jej miękkość, kruchość, pasja skrywana pod zasłoną przezorności – wszystko to wywoływało w nim głęboką tęsknotę, kiedy znajdowała się obok niego. Pragnął wspólnych chwil bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Kiedy jej nie było, myślał o niej. Jego lojalność wobec Michaela pogłębiła się w tych dniach nie tylko za sprawą bolesnej operacji i rekonwalescencji przyjaciela, ale i dlatego, że Michael był teraz kochankiem Susan. To sprawiało, że Michael, jako przyjaciel, wydawał mu się jeszcze bliższy.

Kraig nie przewyciężył swej miłości do Susan. Wyczuwał, że nigdy nie zdołałby rozbudzić w sobie takich uczuć do innej kobiety. Po latach, kiedy poznał i ożenił się z Cathy, jego uczucie, choć szczere, było tylko bladym odbiciem tamtej namiętności. Próbował sobie wmówić, że jest inaczej, i włożył w swe małżeństwo mnóstwo wysiłku. Ale kiedy się załamało i skończyło rozwodem, Kraig nie mógł uwolnić się od myśli, że jego wybór Cathy jako towarzyszk życia był podjęty w złej wierze, a zatem skazany na klęskę od samego początku.

Rzeczywiście, w ostatnich, bolesnych chwilach ich małżeństwa Cathy często go oskarżała, że tak naprawdę jej nie kochał. „Wybrałeś mnie, bo uważałeś, że nadszedł dla ciebie odpowiedni moment – mówiła. – Nie dlatego, że wierzyłeś, że jestem tą właściwą dziewczyną”. Kraig zaprzeczał gorąco, ale z czasem zaczął się zastanawiać, czy jego zapewnienia noszą choć pozory prawdy.

Tak czy inaczej w trakcie swego małżeństwa ani na chwilę nie przestał myśleć o Susan. Przechowywał w sobie jej wizerunek niczym sekret wywołujący poczucie winy. A kiedy się rozstał z Cathy, okazało się, że przebywanie z Susan jest dla niego niezwykle trudne. Dawna namiętność powróciła z siłą spotęgowaną przez prosty fakt, że był nieszczęśliwy.

Susan czekała już na niego, kiedy wysiadł z samochodu. Miała na sobie miękką wełnianą sukienkę, może zbyt konserwatywną, ale wyglądała w niej wspaniale. Długie włosy opadały na ramiona. Jej delikatne palce spoczęły w jego dłoni, gdy podała mu rękę.

– Witaj, nieznajomy.

– Dobrze cię widzieć, Susan.

Wzięła jego płaszcz i przyglądała mu się, jak wchodzi przed nią do domu. Nie widziała go od roku, może nawet dłużej. Nie zmienił się tak bardzo. Odrobinę cięższy i sprawiający wrażenie silniejszego, trochę posiwiały na skroniach. Skóra na twarzy, zawsze ogorzała, była nieco bardziej pobrużdżona. Roztaczał przemożną aurę męskiej siły, połączonej ze skrywanym smutkiem, co przydawało mu atrakcyjności.

Susan wiedziała, że Kraig nie jest szczęśliwym człowiekiem. Jego rozwód pozostawił blizny, prawdopodobnie bardzo głębokie. Nie miał od chwili rozstania z Cathy poważniejszego romansu. Żył pracą, choć nie wydawało się, by ją kochał.

– Jak twoja córka? – spytała Karen.

– Świetnie. Chodzi do szóstej klasy. Jestem obecnie w jej oczach człowiekiem niepożądanym. Nie znosi, kiedy koleżanki widzą ją w moim towarzystwie.

– Och, nie jest chyba tak źle – pocieszała go Susan.

– Przypuszczam, że nie – przyznał Kraig. – Czas działa na moją korzyść. Wyrośnie z tego.

Susan przytaknęła, mając nadzieję, że Kraig nie dostrzeże zazdrości w jej oczach. Oddałaby prawą rękę, by mieć tak młodą córkę.

– No a co u ciebie? – zwróciła się do niego tonem gościnnej pani domu. – Co słyhać?

Spojrzenie Kraiga było przyjacielskie, ale nic nie mówiło.

– Och, bez zmian – odparł. – Za dużo pracy, niewiele rezultatów. Wycofam się pewnie któregoś dnia. Praktyka prawnicza czy coś w tym rodzaju. Daleko stąd.

– Rozumiem cię – powiedziała, zapraszając gestem, by usiadł. – Są dni, kiedy myślę tylko o tym, żeby zacząć wszystko od nowa gdzieś daleko stąd. Nie mam niestety takiego wyboru.

Kraig skinął głową, świadomy jej dylematu. Wiedział, że Susan nienawidzi polityki i że nigdy do niej nie przywykła. Odczuwała boleśnie jej fałszywość, a także to, że cały czas była na świeczniku. Tkwiła jednak w pułapce. Michael wspinał się uparcie coraz wyżej. Być może pewnego dnia Susan musiałaby przyjąć stanowisko Pierwszej Damy. Stanowiłoby to dla niej koszmar.

– Widziałem cię w zeszłym tygodniu w Good Morning America – powiedział.

Zaczerwieniła się na myśl o nieszczęsnym wywiadzie, jakiego udzieliła.

– Po co oglądasz coś takiego? Wzruszył ramionami.

– Pewnie z obowiązku. Często się ostatnio pokazujesz.

Nie zamierzał mówić, że zawsze nastawiał magnetowid, żeby nagrywać każdy program z jej udziałem, albo że oglądał każdy jej występ ze dwanaście razy. Nigdy nie zmusił się do tego, by skasować choć jedną taśmę.

– O wiele częściej, niżbym sobie tego życzyła – powiedziała. – Napijesz się czegoś?

– Czegokolwiek.

– Kawy?

– Chętnie.

– Jak zawsze mlekiem? Uśmiechnął się.

– Masz dobrą pamięć.

Był wyraźnie poruszony tym, że nie zapomniła. Dawno temu wypili razem mnóstwo filiżanek kawy. Czasem aż szumiało mu w uszach od kofeiny, gdyż nie potrafił oderwać się od Susan.

Kiedy weszła z powrotem do pokoju, dostrzegł powagę malującą się na jej twarzy.

– Powiedz teraz, o co chodzi – poprosił.

– Dostaję od pewnego czasu dziwne telefony – wyjaśniła. – Pomyłone, tak byś je chyba nazwał.

– Po co je odbierasz? – spytał. – Nie macie automatycznej sekretarki?

– Mamy, do rozmów służbowych. Mam też sekretarkę do rozmów prywatnych. Czasem odbieram, zamiast nagrywać, kiedy na przykład spodziewam się telefonu od Michaela. Tak właśnie było wtedy.

– Co powiedział rozmówca?

– To kobieta – wyjaśniła Susan. – Powiedziała, że Michael zostanie wybrany w tym roku na wiceprezydenta.

– W tym roku? – Kraig uniósł brwi. – To bzdura.

– Powiedziałam jej, że to niemożliwe – zapewniła Susan. – Ale wydawała się absolutnie pewna. Dodała, że nie jestem jeszcze gotowa czy zdolna do tego, by dostrzec prawdę, ale niebawem się przekonam. Wydawała się... było tak, jakby wiedziała o czymś, o czym ja nie wiem.

– Kobieta – zastanawiał się Kraig. – Jaki miała głos?

– Ochrypty. Dziwny. Brzmiał jakoś tak odległe, a mimo to było w nim coś intymnego, bliskiego. Jakby mnie znała. Jakby zawniczyła, o czym pomyśle. Wyprzedzała mnie o krok, można tak rzec. – Zastanawiała się przez chwilę. – I było w tym głosie coś jeszcze. Swego rodzaju współczucie. Jakby była moją przyjaciółką i chciała mi pomóc.

– Pomóc ci?  
– Powiedziała, że kiedy to się stanie – kiedy wybiorą Michaela – wszystko będzie zależeć ode mnie. A wtedy przyda mi się przyjaciel. Powiedziała, że to ona nim jest.  
– Co ma od ciebie zależeć? – spytał Kraig.  
– Przekonanie go, żeby nie przyjmował stanowiska – odparła. – Chyba o to jej chodziło.  
– Groziła ci w jakiś sposób?  
– I tak, i nie. Bałam się, ale właściwie mi nie groziła. Zapewniła mnie po prostu, że Michael będzie wybrany przez prezydenta i że kiedy nadejdzie czas, tylko ja dam radę go powstrzymać.

– Kiedy dzwoniła? – spytał.  
Pierwszy raz przed świętami, zeszłej jesieni. Zadzwoiła zaraz po tym, jak Danny Everhardt zachorował. Powiedziała, że mu się nie polepszy i że Michael będzie nominowany na jego stanowisko. Potem, kiedy prezydent wybrał Toma Palleschiego, zadzwoniła znowu. Zapewniła mnie, że Tom nie zostanie wiceprezydentem w tym roku.

Kraig zaniepokoił się odrobinę. Rozmówczyni Susan miała rację co do Palleschiego, który był teraz poważnie chory, miał prawdopodobnie syndrom Pinokia i z pewnością nie mógł zostać wiceprezydentem. Mimo wszystko był do całej sprawy nastawiony sceptycznie.

– Wygląda to na telefony zwykłego szaleńca – oświadczył. Susan milczała zamyślona.  
– Dlaczego? – spytała po chwili.  
– Zapewniam cię, Susan, że są wariaci, którzy spędzają cały dzień przy telefonie. Taki osobnik dzwoni do kilkunastu znanych osób albo ich krewnych i grozi im w jakiś niejasny sposób. Zazwyczaj wspomina o spisku. Firmy telekomunikacyjne mają z nimi do czynienia bezustannie. To zazwyczaj schizofrenicy paranoidalni. Są całkowicie nieszkodliwi, choć się naprzykrzają.

Susan słuchała z uwagą, jakby złaźniona zapewnieniami ze strony Kraiga.  
– Dlaczego Michael? – spytała.  
– Mike to idealny wybór dla takiego wariata – wyjaśnił Kraig. – Przede wszystkim jest ogólnie znany od czasu olimpiady. Poza tym wszyscy go uważają za potencjalnego kandydata na prezydenta. Jest przystojny, charyzmatyczny – ma wszystko, czego trzeba. To wymarzony obiekt dla takiego pomyślnika. – Zastanawiał się przez chwilę. – Jest coś jeszcze. Mike był nie tylko jednym z olimpijskich mistrzów. Te dwie operacje kręgosłupa sprawiły, że zyskał ludzkie cechy. Jego wizerunek publiczny to połączenie typowo ludzkiej wrażliwości i heroizmu. Tak jak Kennedy i ten jego wojenny epizod ze służby w marynarce wojennej. Taki obraz prowokuje wariata do różnych fantazji.

Susan skinęła głową.  
– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.  
– Nie zapominaj też o sobie – ciągnął Kraig. – Jesteś piękna. Twoja twarz ciągle pojawia się w mediach. Jesteś gwiazdą magazynów stworzoną na indywidualne zamówienie, i to nie bez powodu.

Kraig poczuł znajome ukłucie bólu, kiedy wspomniiał o urodzie Susan. Starał się jednak zachować doskonale obojętny ton.  
– Jesteś znana jako osoba wrażliwa, wszyscy pamiętają, co mówiłaś przez te wszystkie lata. Pozostaje jeszcze kwestia bezdzietności. Wariat podnieci się czymś takim. Będzie przekonany, że nie macie dzieci z powodu jakiegoś spisku, komunistów, Marsjan, Wenusjan, kogo tylko chcesz. Zapłodnienie i ciąża to jeden z ich koników.

– Rozumiem – przytaknęła Susan w zamyśleniu. – Miałaś chyba do czynienia z takimi ludźmi.  
– Z dziesiątkami. Setkami. Współpracowałem kilkakrotnie przy takich sprawach z firmą telekomunikacyjną i FBI. Schemat działania tych wariatów jest zawsze taki sam, człowiek się na nich uodparnia.

Susan przytaknęła bez przekonania.

– Rozumiem – powiedziała. – Ale ta kobieta wydawała się taka pewna siebie... To było groźne.

Kraig się uśmiechnął. Znów dała o sobie znać neurotyczna osobowość Susan. Miała za cienką skórę, żeby wyśmiać jakiegoś pomyłeńca. Pod tym względem nie nadawała się na żonę polityka.

– Czego się boisz, Susan? – spytał Kraig.

– Tej choroby – odparła, unikając jego wzroku. – Kiedy zachorował Danny Everhardt, już czułam się kiepsko. A teraz i Tom Palleschi...

Kraig przyglądał jej się długą chwilę. Dotknęła czułego miejsca. Nie mógł potwierdzić, że Palleschi cierpiał na to samo co Dan Everhardt. Z drugiej strony nie chciał jej okłamywać tak otwarcie. Poprosiła go tutaj, bo pragnęła mu się zwierzyć. Nie chciał niszczyć tej niespodziewanej bliskości.

– Cały czas myślę o tym, jak ściśle współpracował Michael z Dannym i Tomem – wyznała. – Chodzi mi o to, że jeśli istnieje możliwość zarażenia, to groziłoby to Michaelowi.

– Rozmawiałem z ludźmi ze służby zdrowia – powiedział Kraig. – Nie ma dowodów, że choroba jest zakaźna. Gdyby Michael mógł się nią zarazić od Everhardta, to zachorowałby dawno temu.

Susan starała się czerpać pociechę z jego słów. Ale głos tamtej kobiety powracał do niej, przepełniony pewnością siebie. Palleschi nie będzie wiceprezydentem. Michael zostanie wybrany.

Popatrzyła na opaloną twarz i spokojne oczy Joego Kraiga. Ufała mu bardziej niż komukolwiek z wyjątkiem Michaela. Znała go od piętnastu lat i nigdy nie usłyszała od niego słowa nieprawdy. Mimo to jego zapewnienia nie uspokoiły jej obaw.

– A jeśli Tomowi się nie poprawi? – spytała. – Jeśli prezydent poprosi Michaela, żeby został jego zastępcą?

Kraig się uśmiechnął.

– Nie zostanie. Jest za młody. Nie liczy się w tym biegu, Susan.

– Ale... – nie dokończyła.

– Powiedz mi, co cię dręczy, Susan – zwrócił się do niej łagodnie Kraig.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Posłuchaj, Joe, a gdyby ktoś potrafił doprowadzić do zarażenia ludzi? To znaczy celowo.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Kraig. – Że ktoś specjalnie wyeliminował Everhardta? Susan zastanawiała się chwilę, zagryzając nerwowo wargę.

– Kiedy ta kobieta zadzwoniła drugi raz, powiedziała: „Kiedy Palleschi zostanie usunięty”. Tak brzmiały jej słowa. Kiedy Palleschi zostanie usunięty. – Patrzyła uważnie na Kraiga. – A teraz... teraz Tom jest chory.

Kraig nie dał się przekonać.

– Powiedziałaś, że zadzwoniła pierwszy raz, jak już Everhardt był chory. Tak?

Susan przytaknęła.

– Zgadza się.

– Chciała wypróbować na tobie całą tę teorię – oświadczył Kraig. – Jest paranoiczką i stara się zrobić ją także z ciebie. Nikogo się tak nie usuwa, Karen. To po prostu nie zdarza się w polityce.

– Ale miała rację – odparła Susan.

Kraig zachował obojętną minę. Susan dotknęła bolesnej prawdy. Agencje wywiadowcze bez przerwy pracowały z władzami medycznymi, by ustalić, jak Everhardt i Palleschi – dwie całkowicie wyizolowane osoby – zarazili się chorobą, która zawsze pociągała za sobą liczne ofiary.

– To był strzał na ślepo – powiedział. – Próbowala cię nastraszyć.

Susan przytaknęła bez przekonania. Kraig widział, że chce mu wierzyć, ale lęk był silniejszy od niej.

Obstawał jednak przy swoim.

– Chcę, żebyś zrobiła dla mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, przestań odbierać te telefony. Masz od tego sekretarkę. Po drugie, przestań się tym martwić. Nie pozwól, żeby jakaś wariatka przyprawiała cię o bezsenność. O to jej właśnie chodzi, rozumiesz. Tym się podnieca.

Susan oceniała spojrzenie Kraiga – poważne, niewzruszone – i porównywała z tonem tamtego głosu w telefonie. Podobieństwo było uderzające. Przekonanie w głosie kobiety było równie silne jak twierdzenie Kraiga, że to wszystko nonsens.

Kraig miał jednak pewną przewagę. Cieszył się zaufaniem Susan, i to od wielu lat. Nikt inny nie mógł tego o sobie powiedzieć. Ale tamta kobieta także miała przewagę. Jej przepowiednie się sprawdzały. Tom Palleschi był chory i na pewno nie mógł zastąpić Dana Everhardta.

Susan roześmiała się cicho.

– Uważasz pewnie, że mi kompletnie odbija, co?

Kraig potrząsnął głową.

– To bardzo trudny rok. Prezydent jest pod ostrzałem, tak jak każdy z jego otoczenia. Historia z Crescent Queen przyprawia wszystkich o strach przed bombą atomową. W sytuacji, kiedy Goss ma takie poparcie, mnóstwo poglądów, które wydawały się przedtem oczywiste, trzeba teraz zrewidować. A Michael jest na pierwszej linii. Nie, Susan, w ogóle nie dziwię się, że tak się czujesz. A ta kobieta wiedziała o tym, i to wykorzystała.

Wstał.

– Musisz już iść? – spytała Susan.

– Obawiam się, że tak. Obowiązki wzywają.

Kraig kłamał. Mógł z nią zostać następną godzinę, gdyby chciał. Nie potrafił jednak znieść bólu, jaki mu sprawiało przebywanie w jej towarzystwie.

– Dziękuję, że wpadłeś – powiedziała i też wstała. Widok jej szczupłych nóg i delikatnych ramion przyprawiał go o słabość.

– Nie ma sprawy – zapewnił. – Zadzwoń, jeśli będziesz miała jakiegokolwiek problemy. A tak przy okazji, mówiłaś o tym Mike'owi?

Potrząsnęła głową.

– Ma dość własnych kłopotów.

– Powinnaś mu powiedzieć – zauważył Kraig. – Na pewno by cię uspokoił.

– Już dostatecznie często to robił. – Machnęła ręką. – Wolę, żeby skupił się na pracy. Nie chcę, żeby zawracał sobie głowę neurotyczną żoną.

Kraig nie odpowiedział. Odprowadziła go do przedpokoju.

– Za rzadko cię widzimy, Joe – wyznała.

– No wiesz, jak to jest – odparł. – Praca i jeszcze raz praca.

Zdawała sobie sprawę, że celowo utrzymuje między nimi dystans od czasu rozwodu. Nie była pewna powodu, ale znała Kraiga wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że najlepiej pozostawić mu dużo przestrzeni. Był samotnikiem.

Stanęli przed drzwiami wyjściowymi i Susan pomogła mu włożyć płaszcz. Dostrzegła siwiznę na jego włosach. Dodawało mu to atrakcyjności, ale napawało ją także smutkiem, bo wiedziała, że Kraig mieszka teraz sam, bez kobiety, z którą dzieliliby życie. Szybciej się starzał bez żony.

Wyszła z nim na ganek. Niebo było szare, wiał orzeźwiający wiatr. Odwrócił się do niej, by się pożegnać.

– Jeszcze jedno, Joe – odezwała się z wahaniem.

– O co chodzi?  
– Ta kobieta... powiedziała mi, żebym spytała Michaela o to, co wydarzyło się na Harvardzie. Domyślasz się, o co mogło jej chodzić?  
– Co wydarzyło się na Harvardzie? – powtórzył Kraig. – Nic się nie wydarzyło. Susan przyglądała mu się w milczeniu.  
– Studiowałaś tam. Byłaś jego dziewczyną. Ja byłem jego przyjacielem. Chyba przynajmniej jedno z nas powinno coś o tym wiedzieć. Nie sądzisz?  
Susan się uśmiechnęła.  
– Chyba tak.  
– Zdradzę ci pewien sekret – powiedział Kraig. – Mike prowadził bardzo nudne życie, nim się pojawiłaś. Wiem o tym. Mieszkałem z nim w jednym pokoju.  
Susan się uśmiechnęła.  
– No cóż. – Wzruszyła ramionami. – Chybabyś coś wiedział.  
Poznał po jej oczach, że nie jest wcale taka przekonana, że tylko udaje. Pokusa, by ją chronić, pocieszać, była niezwykle silna.  
– Zadzwoń, jeśli cokolwiek cię zaniepokoi – powiedział. – Po to tu jestem.  
– Zadzwonię – obiecała. – Dzięki. I staraj się od dzisiaj nie unikać nas tak bardzo.  
Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Wnętrze zdążyło się już wyziębić, gdyż było chłodno i nie świeciło słońce. Odjeżdżając, zobaczył Susan w lusterku wstecznym; uśmiechała się i machała mu na pożegnanie. Wyglądała bardzo naturalnie na tle czerwonych cegieł domu Michaela. Zmniejszała się coraz bardziej. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie patrzeć, i nim dojechał do przecznicy, zobaczył, jak Susan odwraca się i znika w drzwiach.

## Rozdział 27

15 stycznia

Alkohol towarzyszył Karen Embry przez całe życie. Nienawidziła słodkawego zapachu, jakim wionął oddech matki, przychodzącej do niej, żeby powiedzieć dobranoc. Ta dusząca woń symbolizowała jej nałóg i brak zainteresowania córką. Przerывała zazwyczaj kłótnię z mężem, by pocałować Karen, ale gdy tylko drzwi się za nią zamykały, podejmowała spór głosem bełkotliwym z przepicia.

Kiedy ojciec Karen odszedł, kłótnie raptownie się skończyły. Z drugiego pokoju dobiegał tylko dźwięk telewizora i brzęk lodu w szklance. Karen doszła w końcu do wniosku, że brakuje jej tych paskudnych awantur, które oznaczały przynajmniej, że ma ojca.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Zginął w wypadku dwa lata później. Zjechał o ósmej rano ze spokojnej podmiejskiej drogi i uderzył prosto w wielki dąb. Stężenie alkoholu we krwi pięciokrotnie przekraczało dopuszczalną normę. „Ma za swoje”, skomentowała matka.

Potem zaczął się korowód facetów, bez wyjątku alkoholików. Jeden z nich molestował Karen regularnie, dopóki matka nie wyrzuciła go za „wydanie wszystkich jej pieniędzy”. Karen nie powiedziała nikomu, co się stało. Nie ufała światu dorosłych.

Od kiedy zaczęła uczęszczać do szkoły średniej w Waltham w Massachusetts, wszystkie wysiłki skupiła na tym, by wydostać się z domu. Już wtedy zajmowała się dziennikarstwem, pracując dla gazetki szkolnej. Potem znalazła zatrudnienie w prowincjonalnym tygodniku i pracowała jako reporter dla „Globe”. Już w trzeciej klasie liceum złożyła podanie do Uniwersytetu Northwestern i została przyjęta na prestiżowy wydział dziennikarstwa.

Nigdy nie siedziała w domu. Czas wypełniały jej wizyty w klubach, praca, hokej na trawie (dopóki nie doznała kontuzji kolana), a kiedy to wszystko nie wystarczało – chłopcy.



Spała z wieloma, rówieśnikami i starszymi. Była atrakcyjną, szczupłą i dojrzałą nastolatką o ciemnych lśniących włosach i jasnych oczach. Mogła mieć każdego chłopaka, którego zapragnęła.

Nie angażowała się uczuciowo w te związki. Gdzieś w głębi serca wiedziała, że nie jest gotowa na miłość, że być może nigdy nie będzie gotowa. Uczyła się jednak sztuki manipulacji, sztuki, która przydaje się każdej dziennikarce, o czym doskonale wiedziała.

Na uniwersytecie harowała, by zdobyć specjalizację z biochemii i dziennikarstwa. Przespała się z profesorem, który był jednocześnie felietonistą w „St. Louis Post-Despatch”. Miał wiele kontaktów zawodowych i pomógł jej uzyskać w lecie zlecenia reporterskie w chicagowskiej „Tribune”.

Pewnego zimowego wieczoru, kiedy Karen wychodziła z akademika przy Sheridan Road, żeby w porywach wściekłego wiatru wiejącego znad jeziora Michigan dostać się do biblioteki, natknęła się na pewnego przyjaciela, który miał dla niej smutną wiadomość. Jej matka została znaleziona martwa w swoim domu w Bostonie; padła prawdopodobnie ofiarą ataku serca, wywołanego długotrwałym nałogiem alkoholowym.

Karen poleciała do rodzinnego miasta, by zająć się niewielkim majątkiem matki. W domu było tyle pustych butelek po wódce, że jej ciotka i wuj musieli wywozić je kartonami na wózku.

Kiedy prawnik zrobił swoje i dom został opróżniony, Karen stanęła o północy sama w salonie. Napełniła szklankę czystym bourbonem i wypła za swą przeszłość.

„Na koszt domu” – powiedziała, wylewając resztki drinka na poznaczoną rysami i dziurami drewnianą podłogę.

Jej pierwszą poważną pracą była funkcja reportera politycznego dla „Tribune”. Po dwóch latach, mając dość wiatrów znad jeziora i chicagowskiej polityki, zatrudniła się w nowojorskim „Post”. Zostałaby tam, ale „Globe” zaproponował jej posadę reportera śledczego. Specjalizacja z biochemii przydała się, kiedy zaczęła zajmować się sprawami służby zdrowia. Seria jej artykułów na temat odpadów toksycznych zakończyła się sprawami o wielomilionowe odszkodowania, wniesionymi przeciwko właścicielom czterech zakładów produkcyjnych z Nowej Anglii. Pisała także o zaniedbaniach w HMO. Zyskała dużą poczytność w dodatku niedzielnym, ponieważ zagadnienia zdrowia zawsze cieszyły się zainteresowaniem społeczeństwa.

W miarę upływu lat coraz cyniczniej patrzyła na władzę i wszelkie jej przejawy. Ludzie na wysokich stanowiskach mówili prawdę tak rzadko, jak to tylko możliwe. Starali się chronić wyłącznie własne tyłki i powiększać wpływy. Bez względu na to, czy pracowali w rządzie, czy w sektorze prywatnym, nie przejmowali się zbyt wiele losem rodzaju ludzkiego. Karen uwielbiała sprowadzać ich na ziemię.

Jej paranoiczne, oparte na przeczuciach teorie dotyczące nadużyć na wysokich szczeblach stały się szeroko znane w środowisku dziennikarskim. „Embry dostrzega spiski w wynikach sportowych i warunkach pogodowych”, żartował jeden z redaktorów. Czasem przeczucia ją myliły, ale kiedy instynkt jej nie zawodził, wyprzedzała innych reporterów o tydzień czy nawet miesiąc, a jej historie trafiały na pierwsze strony.

Wraz z upływem czasu jej chęć poszukiwania prawdy przybrała postać jawnej krucjaty przeciwko pozbawionemu twarzy adwersarzowi. Nagrody, jakie zdobywała, były niczym tarcze zakrywające jej własną pustkę. Alkohol stanowił dla niej eliksir, który pozwalał wierzyć, że jest szczęśliwa.

Odnosiła wrażenie, że będzie tak żyła zawsze. Zajęta pracą, utraciła instynkt poznawania samej siebie. Mieszkała z Troyem, który był takim samym pracoholikiem jak ona i który miał własne problemy z miękkimi narkotykami.

Potem ten cienki лёd, po którym stapała, załamał się pod nią.

Najpierw rzucił ją Troy. Powiedział, że nie potrafi dłużej znieść ciężaru jej depresji, potęgującej jego własną. „Stanowimy złe połączenie”, oświadczył. Karen bez żalu pozwoliła mu odejść, ale zostawił po sobie pewną pustkę. Podważył także jej wiarę we własne możliwości.

W miesiąc po ich rozstaniu dzięki pewnym sygnałom Karen nabrała przekonania, że duża firma zajmująca się zaopatrzeniem szpitali w Bostonie jest przykrywką dla nielegalnego handlu narkotykami. Choć było to tylko przeczucie, wymusiła na swoim szefie przydzielenie jej dodatkowej pomocy. Szef wysłał dwóch reporterów, mieli w nocy obserwować siedzibę firmy. Nie odbyła się żadna transakcja. Jednak pechowym zrzędzeniem losu jeden z reporterów został zabity o drugiej nad ranem, kiedy dosięgły go strzały oddane z pędzącego samochodu. Okazało się, że magazyn firmy znajdował się na terenie pewnego gangu.

Kiedy szef udał się do mieszkania Karen ze złymi nowinami, znalazł ją pijaną do nieprzytomności na podłodze salonu.

Prieczucie zawiodło Karen. Firma nie dokonywała żadnych nadużyć. Reporter zginął bez powodu.

Karen z miejsca złożyła rezygnację, która została przyjęta. Przeprowadziła się do Waszyngtonu i została wolnym strzelcem.

Postanowiła od tej pory pracować sama. Czuła się odpowiedzialna za tragedię w Bostonie. Zresztą i tak miała dość szefów i redaktorów. Założenia klasycznego dziennikarstwa były dla niej zbyt niejasne, a zarobki za niskie. Pragnęła pisać artykuły, z których dałoby się stworzyć książki.

Karen zaczynała pod wieloma względami od nowa. Jej pierwsze miesiące w Waszyngtonie były bardzo owocne. Wydawało się, że miasto zamieszkują wyłącznie dobrze zorientowani informatorzy, gotowi podzielić się swoją wiedzą. Szybko nawiązała przyjaźnie, oddając przysługi tym, których kokietowała, i otrzymując to samo w zamian.

Potem pojawił się syndrom Pinokia. Idealny temat dla niej. O ogólnoświatowym kryzysie napisano by dziesiątki książek, może nawet setki. Chciała być autorką tej pierwszej.

Ale jej artykuł wywołał tak piorunujący efekt, że w ciągu jednej nocy stała się kimś wyklętym wśród waszyngtońskich dziennikarzy. Otrząsając się z tej porażki, nie bardzo wiedziała, co ma dalej robić. Gdyby zrezygnowała z historii Pinokia, zaprzepaściłaby miesiące harówki. Gdyby dalej ją drażyła, waliłaby głową w mur. Sfrustrowana, piła więcej niż zwykle. Miała potworne kace. Lecz strumienie taniego alkoholu, który przepływał przez jej żyły, nie dostarczyły odpowiedzi.

I wówczas coś się wydarzyło.

W zimny wtorkowy wieczór, po bezowocnej rozmowie przy koktajlu z pracownikiem Biura Lekarza Krajowego, dawniejszym przyjacielem, Karen wróciła do domu o ósmej. Zmęczona, zajrzała do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazła potrawkę z tuńczyka, którą wsadziła do piekarnika.

Zrzuciła ubranie i skierowała się do łazienki. Po drodze nalała sobie czystego bourbona i usiadła na chwilę przy komputerze w majtkach i staniku. Włączyła Internet i sprawdziła e-mail. Zwykle wiadomości od znajomych, wydawców i innych reporterów.

Jej uwagę zwrócił dziwny nagłówek.

Nos Pinokia.

Kliknęła wiadomość i ujrzała na ekranie krótki e-mail. Adres zwrotny nic jej nie mówił.

Tekst sprawił, że usiadła wyprostowana.

Czytałem twój artykuł. Masz dobry wzrok. Dostatecznie dobry, by dostrzec, że nos Pinokia wydłuża się coraz bardziej. Jeśli czujesz się samotna, napisz do GRIMMA, dział ogłoszeń drobnych, Post.

Karen wpatrywała się w wiadomość na ekranie. Napiła się bourbona i odstawiła szklanekę. Potem przeczytała wiadomość jeszcze raz.

Nos Pinokia.  
Grimm.

Karen nie czuła nocnego powietrza, które chłodziło jej niemal nagie ciało. Zapomniała o prysznicu. Siedziała ze szklanką w dłoni, wpatrzona w ekran.

## Rozdział 28

Gaithersburg, Maryland  
18 stycznia

W szpitalu Waltera Reeda nadal obowiązywały zaostrzone środki bezpieczeństwa. Teraz, gdy także Tom Palleschi był chory, zainteresowanie opinii publicznej syndromem Pinokia wymknęło się spod kontroli. Miejsce pobytu Palleschiego zostało objęte tajemnicą, którą znało tylko kilku ludzi z waszyngtońskich sfer rządowych. Jeśli chodzi o Dana Everhardta, znajdował się pod całodobową ochroną.

Karen wiedziała, że nie zdoła dotrzeć do Palleschiego. Ale z Everhardtem sprawa wyglądała inaczej. Nadszedł czas, by podjąć ryzyko.

Zjawiła się pod szpitalem o trzeciej nad ranem, ubrana w fartuch chirurgiczny, ze stetoskopem na szyi i plakietką, która identyfikowała ją jako lekarza. Kosztowała ją mnóstwo pieniędzy. Miała oznaczenia i kody armii, co było wymogiem w przypadku wszystkich lekarzy szpitala, a widniejące na niej zdjęcie wykonano wedle wymogów szpitalnego studia fotograficznego.

Wyłoniła się z parkingu, nie spiesząc się pomimo chłodu nocy, i szybko przeszła hol, kierując się w stronę wind. Wjechała na czwarte piętro, gdzie przy wejściu na oddział intensywnej opieki medycznej zatrzymał ją umundurowany żołnierz.

– Spocznij, szeregowy – powiedziała. – Doktor Dase do wiceprezydenta Everhardta.

Żołnierz przesunął zmęczonym wzrokiem po liście osób mających dostęp do wiceprezydenta i znalazł doktor Dase. Obecność tego nazwiska na liście kosztowała Karen trzy razy tyle, ile zdobycie identyfikatora.

– Zgadza się, proszę pani. Pokój jest...

– Znam drogę.

Karen skinęła żołnierzowi i ruszyła bez pośpiechu korytarzem. Wyglądała jak każdy lekarz wezwany o trzeciej nad ranem do chorego. Czysty profesjonalizm, ani cienia radości z powodu wezwania o tak wczesnej porze.

Pokój Everhardta znajdował się na końcu korytarza; chodziło o zachowanie pewnej prywatności oraz wygodę. Karen zbliżyła się do drzwi ostrożnie, zaskoczona brakiem przy nich wartownika.

Typowa skuteczność wojskowa, pomyślała z przekąsem.

Pchnęła drzwi bez pukania. Everhardt leżał z zamkniętymi oczami na specjalnie przystosowanym łóżku z przedłużonym materacem. Trzeba było uwzględnić jego niezwykle wzrost.

Przy oknie stała wersalka. Pam Everhardt, żona chorego, spała z otwartymi ustami, pochrapując cicho. Jej twarz pod wpływem wyczerpania stała się ziemista i zapadnięta.

W postaci Everhardta najbardziej uderzająca była utrata masy ciała. Wyglądał na wyczerpanego, wychudzonego. Media ukazywały go jako człowieka potężnego, atletycznie zbudowanego. Najwidoczniej choroba zniszczyła jego normalny metabolizm.

Karen nie musiała posługiwać się stetoskopem, żeby zbadać mu serce. Monitor na ścianie pokazywał powolny, nieregularny rytm. Inny monitor informował o niebezpiecznie niskim ciśnieniu krwi – tętno rozkurczowe było znacznie poniżej sześćdziesięciu.

Wygląda na to, że udało mi się w ostatniej chwili, powiedziała do siebie w duchu.

Podeszła na palcach do wersalki, na której spała pani Everhardt. Podejrzewała, że kobieta dostała środek nasenny i nie obudzi się z powodu byle hałasu. Musiała już przywyknąć do bezustannej obecności lekarzy w tym pokoju.

Karen przysunęła się do łóżka wiceprezydenta. Wsłuchiwała się w jego płytki oddech, wyczulona jednocześnie na wszelkie podejrzanе odgłosy dobiegające z korytarza, które mogłyby świadczyć o tym, że ktoś się zbliża. Cisza.

Znów popatrzyła na monitory. Jeden z nich rejestrował EEG, które według Karen znacznie odbiegało od normy. Inny był podłączony do kroplówki prowadzącej do ramienia wiceprezydenta. Karen nigdy takiej nie widziała.

Ostrożnie odsunęła kołdrę z jego lewego ramienia. Do poduszeczki przymocowanej do spodu dłoni biegł tajemniczy przewód. Monitorowanie krążenia skórnoгo, domyśliła się.

Dłoń była wyraźnie zdeformowana: dwukrotnie większa od dłoni zdrowego człowieka, skóra przyciemniona i nienaturalnie lśniąca. Karen dotknęła jej ostrożnie i cofnęła się, wyczuwając pod palcami chitynowatą twardość.

Biedny facet. Poczwała nagły przypływ litości, tłumiącej przerażenie wywołane groteskowymi objawami choroby. Widziała Everhardta dziesiątki razy podczas wywiadów. Był miłym, rzeczowym, prostolinijnym człowiekiem. Nie zasługiwał na taki los.

Rysujące się pod kołdrą wybrzuszenie na końcu prawej ręki nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do wyglądu dłoni, ale mimo wszystko rzuciła na nią okiem. Potem odsunęła dolne rogi pościeli i popatrzyła na stopy. Skrzywienie było znaczne, ale jeszcze większe wydawało się wygięcie palców w stronę pięty, przywodzące na myśl kopyto.

Karen zmusiła się, by dotknąć stwardniałej skóry. Przy świetle latarki kieszonkowej przyjrzała się bliżej częściowo złączonym palcom dłoni i stóp. Deformacja była taka sama jak u ofiar z Australii i osobnika z New Hampshire. Był to bez wątpienia ten sam syndrom.

Zerknąwszy w pierw uważnie na panią Everhardt, Karen wyjęła z kieszeni fartucha maleńki aparat fotograficzny. Był to Pentax 749, przeznaczony specjalnie do zdjęć nocnych bez użycia flesza. Oświetlał fotografowany obiekt promieniami podczerwonymi i dawał obraz, który po obróbce komputerowej stwarzał pozory normalnego oświetlenia. Opracowany z myślą o służbach wywiadowczych, został przed dziesięciu laty odkryty przez dziennikarzy.

Zrobiła zdjęcia dłoni i stóp Everhardta, w zbliżeniu i z odległości około pięćdziesięciu centymetrów. Migawka pracowała prawie bezdźwięcznie, ale Karen mimo wszystko się spieszyła. Na koniec utrwaliła postać Everhardta w planie ogólnym, z widoczną twarzą, dłońmi i stopami. Potem odłożyła aparat i przykryła chorego z powrotem pościelą.

Kiedy nachylała się nad leżącym, ten unióś powieki.

Karen cofnęła się wystraszona. Po chwili, pokonując wewnętrzny opór, przysunęła się bliżej.

– Panie wiceprezydencie? – wyszeptała.

Nie odpowiedział. Jego oczy były skierowane na nią, ale wydawały się patrzeć gdzieś obok albo przenikać ją wzrokiem. Widziała to spojrzenie w Iowie, zahipnotyzowany wzrok ofiar syndromu Pinokia.

– Słyszysz mnie pan? – spytała. Brak odpowiedzi.

Oparła dłoń na jego ramieniu, licząc na jakąś namiastkę kontaktu. Ale wzrok chorego nie skupił się na niej i nic nie wskazywało, by zdawał sobie sprawę z jej obecności.

– Panie Everhardt, kto panu to zrobił? – spytała Karen. Brak odpowiedzi.

Zerknęła na jego żonę. Śpiąca kobieta niczego nie słyszała.

Nadszedł czas, by się zbierać. Karen wyjrzała na korytarz. Był pusty, tylko dwie pielęgniarki rozmawiały cicho w swojej dyżurce.

Karen opuściła pokój i ruszyła korytarzem, kierując się w stronę schodów. Pokonała cztery kondygnacje w dół i dotarła na parter. Notując coś swoim bloczku, jak zajęty lekarz, wyszła bez pośpiechu ze szpitala i czując rześkie nocne powietrze, skierowała się do samochodu.

Dan Everhardt był umierający. Zabijał go syndrom Pinokia. Pierwszy ważny człowiek w Ameryce, który padł ofiarą choroby, ale na pewno nie ostatni.

Potrząsając głową, Karen przekreśliła kluczyk w stacyjce. Honda zakrzuszyła się i zapaliła. Wóz potrzebował przeglądu, wiedziała o tym.

Ale nie tak bardzo jak ona drinka.

Wyjechała z parkingu i ruszyła pustymi ulicami w stronę domu.

## Rozdział 29

Dan Everhardt leżał na łóżku ze wzrokiem wbitym w dźwiękoszczelne płytki na suficie.

Słyszał, jak jego żona pochrapuje cichutko na krześle. Żałował, że nie może do niej zawołać, dać jej w jakiś sposób do zrozumienia, by podeszła bliżej. Czuł się samotny. Tym bardziej teraz, kiedy nadchodziła śmierć.

Choroba potrafiła płatać figle, wywoływać niejedno dziwne zjawisko. Kolory stawały się zapachami, dźwięki zwijały się wokół ludzkiego wnętrza niczym węże, wspomnienia nadlatywały nagle jak ptaki i znikwały. Dwa ostatnie miesiące Everhardta nie były pozbawione wydarzeń, nawet pewnych przygód.

Lecz istotą choroby było oderwanie od tych, których kochał. Słyszeć głos Pam i nie móc odpowiedzieć, potem patrzeć, jak odchodzi, zdruzgotana jego milczeniem. I dzieci, pochylające się nad swym ojcem, by nieść mu pociechę i zaznawać jej z jego strony – a potem oddalające się z rozczarowaniem.

Czuł się jak Scrooge nawiedzający wczesne lata swego życia w towarzystwie Ducha Bożonarodzeniowej Przeszłości. Oto blisko niego byli ludzie, których kochał, pragnęli rozpaczliwie kontaktu. I to on się przed nimi zamknął.

Albo raczej uczyniła to choroba, ten potwór.

Zastanawiał się, kim była dziewczyna, ta, która odwiedziła go przed chwilą. Pochylała się nad nim jak inni, pytając, czy go słyszy. Jak inni spoglądała mu prosto w oczy, dając szansę odpowiedzi. Szansę, której nie mógł wykorzystać.

W przeciwieństwie do pozostałych była piękna. Czyste oczy pod młodzieńczymi, ciemnymi włosami, kształtne usta, mleczna cera. W jakiś sposób przypomniawszy mu własną młodość. W pewnym momencie swego życia wielbił bałwochwalczo dziewczęta, stawiał je na piedestale, jakby były księżniczkami, a nie zwykłymi istotami ludzkimi.

Obserwował, jak szły korytarzem jego szkoły średniej w New Jersey. Torebki, podłużne worki na książki, swetry i bluzki – wszystko to przypominało święte przedmioty. Seksualne pożądanie, które wówczas odczuwał, było równie silne jak uwielbienie dla tych dziewcząt. Jeśli były księżniczkami, to on był żabą, która nie jest godna dotknąć skrawka ich szat.

Choć należał do szkolnej drużyny futbolowej i miał mnóstwo przyjaciół, był zbyt nieśmiały, by czerpać rozkosz z seksu. Nie stracił nawet dziewictwa przed pójściem na studia. Kiedy poznał Pam, nieco tęgą, ale czarującą dziewczynę z żeńskiego kółka zainteresowań, był zakłopotany i niezdarły, musiał wpięć zadzwonić z sześć razy i prowadzić kulawą rozmowę o niczym, nim wreszcie odważył się zaprosić ją na randkę.

Nigdy do końca nie wyzbył się tej chłopięcej postawy wobec kobiet. Jako polityk miał mnóstwo okazji do zdrady, ale nigdy się jej nie dopuścił. Za bardzo szanował kobiety, by traktować ich uprzejmość tak lekko.

Dziewczyna, która pojawiła się tego wieczoru, wyglądała jak anioł. Anioł śmierci? Dlaczego nie? Czyż śmierć nie mogła przybrać postaci pięknej kobiety? Jej widok napełnił go niemal nabożną tęsknotą.

Będąc człowiekiem religijnym, Dan Everhardt zastanawiał się teraz, czy Bóg w swej tajemniczości jest do niej podobny. Być może Bóg pochylał się nad rodzajem ludzkim, łagodny i zainteresowany, czekając na modlitwę, którą mógłby zrozumieć i z pewnością

nagrodzić. Ale istota ludzka była więźniem własnej duszy i nie umiała wyrazić swych błagań i prośb w języku dla Boga zrozumiałym. Dlatego Bóg mógł tylko spoglądać z góry, pełen chęci, by zyskać odkupienie i ratunek, i patrzeć ze smutnym zdumieniem, jak człowiek niszczy sam siebie.

Dziewczyna spytała: „Panie wiceprezydencie, kto to panu zrobił?”. Dan Everhardt, prosty człowiek, rozważał to pytanie swym zamierającym umysłem, czując jednocześnie, jak opadają mu powieki. Kto to zrobił?

Z pewnością nie Bóg. Nie istota, która troszczyła się o odkupienie człowieka i pragnęła go oczyścić.

Może diabeł? Dan nie wiedział. Ale jeśli tak, to diabeł był aniołem ciszy. Śmierć, zbliżająca się z każdym jego niepewnym oddechem, przypominała ostateczną ciszę, która nadchodzi, by zabrać go na zawsze od Pam, od jego dzieci i od niego samego.

## Rozdział 30

Atlanta

19 stycznia

„Z Waszyngtonu nadeszła smutna i niepokojąca wiadomość. Wiceprezydent Dan Everhardt zmarł dzisiaj wczesnym rankiem w szpitalu imienia Waltera Reeda. Wiceprezydent chorował od dwóch miesięcy. Biały Dom zaprzeczał, jakoby jego stan był poważny, ale wszędzie krążyły uporczywe plotki o jego zdrowiu”.

Lekarz siedział przed monitorem swego komputera, obserwując szereg następujących po sobie wykresów i tabel, które ukazywały ostatnie dane liczbowe analiz chemicznych, aktualizowane każdego dnia.

W górnej części ekranu widniała nazwa, Pole Nukleotydów 3AB, QPC, a w lewym górnym rogu inna: Projekt 4.2 System 6. Dostęp tylko dla upoważnionych.

Dłoń lekarza zadrżała, kiedy przesunął kursor w górę. Przeskoczył dwie linie, cofnął się, znowu chybił, wreszcie zrezygnował i ujął mysz.

Zauważył, że zadrżała z wolna, jej ruch przypominał raczej ruch gąbki ścierającej tekst na tablicy.

– Cholera – mruknął.

Miał na uszach bezprzewodowe słuchawki, dzięki czemu był na bieżąco, jeśli chodzi o aktualne wiadomości. Obrazy na monitorze były mu doskonale znane, nie musiał się na nich koncentrować, mógł jednocześnie robić coś innego. W końcu stworzył system, na którym opierały się widoczne teraz na ekranie dane i wykresy.

Na jego białym fartuchu laboratoryjnym widniał taki sam identyfikator jak na marynarce od garnituru. Zdjęcie jego twarzy było okolone grubą czerwoną ramką oznaczająca czwarty poziom wtajemniczenia. Doktor Easter wydrukowano dużymi literami. Na imię miał Richard. Ludzie nazywali go Dick. W szkole średniej koledzy robili sobie z niego żarty, nazywając go Dick Keester.

Drżenie dłoni nie było nową przypadłością, nasiliło się jednak pod wpływem zasłyszanych wiadomości.

„Wiceprezydent Everhardt skończyłby w październiku 54 lata – donosiła spikerka. – W ostatnich chwilach towarzyszyła mu żona Pam, a także dzieci, brat i siostra. O godzinie jedenastej prezydent osobiście przekazał wiadomość reporterom Białego Domu”.

Lekarz zwiększył natężenie głosu w słuchawkach i zamknął oczy.

„Dan Everhardt był jednym z najwspanialszych, najbardziej oddanych urzędników państwowych, jakich miałem zaszczyt poznać – powiedział prezydent. – Co więcej, Danny, jak go nazywaliśmy, był człowiekiem. Ciepłym, uroczym, niedoskonałym człowiekiem,

którego poświęcenie dla rodziny znacznie przewyższało ambicje polityczne. Będzie go bardzo brakowało licznym przyjaciółom i wyborcom. Odczuwam tę stratę osobiście, ponieważ Danny był dla mnie kimś więcej niż tylko współpracownikiem i podporą. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi...”.

Doktor otworzył oczy i obrócił się na kręconym krześle, żeby widzieć ekran telewizora po drugiej stronie pokoju. Ukazało się zdjęcie rodzinne Everhardta z żoną i dziećmi. Lekarz zatrzymał przez chwilę na nim wzrok, potem spojrzął w inną stronę.

„Pogrzeb odbędzie się w kościele pod wezwaniem Świętego Łukasza w Nowym Brunzwicku, w miasteczku, gdzie wiceprezydent przyszedł na świat. Zostanie pochowany z honorami wojskowymi, gdyż był wielokrotnie odznaczonym weteranem o bohaterskiej przeszłości. Głos podczas uroczystości żałobnych zabierze między innymi sam prezydent”.

Rozległ się chór okrzyków, kiedy prezydent skończył mówić – pytania dziennikarzy zgromadzonych na trawniku przed Białym Domem.

„Nie umiem na to odpowiedzieć – odparł. – Trzeba o to spytać przedstawicieli władz medycznych”.

Doktor przerwał pracę. Pytali pewnie, czy Everhardt zmarł z powodu syndromu. Zaczął słuchać uważniej.

„Zapewniono mnie, że sytuacja jest pod kontrolą – oświadczył wymijająco prezydent. – Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. To dzień żałoby, a nie pora na dyskusje o epidemiologii”.

Nie, pomyślał doktor. Nadal nie chcieli tego przyznać. Nigdy by tego nie zrobili. Jak Kennedy... Wstrzymywaliby się z odpowiedzią, aż ludzie przestaliby na nią czekać.

Znowu ujął mysz. Drzenie dłoni się nasiliło. Przeklinając własną słabość, wstał od komputera i skierował się do garderoby, gdzie trzymał ubranie. Poszukał w kieszeni marynarki małej buteleczki. Była nieprzezroczysta, jak kaseeta z filmem, bez etykiety czy jakiegokolwiek oznaczenia. Wyjął tabletkę, wsunął do ust i połknął bez popijania.

Był to silny lek antydepresyjny, odpowiednio przetestowany, choć niedostępny dla ludności z powodu biurokratycznych wybryków Urzędu ds. Leków. Podczas badań klinicznych przewyższył skutecznością każdy inny lek tego rodzaju. Działanie uboczne, takie jak drzenie dłoni, występowało tylko w razie przedawkowania.

Główną jego wadą było wywoływanie uzależnienia. Gorszego niż morfina czy heroina. Dlatego właśnie ludzie z Urzędu ds. Leków ociągali się z wydaniem zezwolenia. Zbyt wiele farmaceutyków podzieliło los quaalude, pentobarbitolu, PCP i innych, stając się przedmiotem pożądania dla narkomanów w kraju i za granicą. Spożycie narkotyków w nowym wieku było wyższe niż pod koniec ubiegłego. Tempo życia, budzące lęk zmiany przekraczały możliwości ludzkie. Wszędzie pojawiały się nowe formy zaburzeń emocjonalnych, a psychiatrzy nie nadążali z wymyślaniem nazw na potrzeby klasyfikacji.

Lek ten znany był pod roboczym oznaczeniem, 246FT. Dział handlowy wciąż zastanawiał się nad nazwą.

Zaciskając zęby, doktor powrócił do komputera. Przywołał na ekran mapę świata. I oto miał je przed sobą – lokalizacje na wszystkich kontynentach wraz z szacunkowymi liczbami zarażonych. Kliknął ZOOM i najechał na obszar Waszyngtonu. Dwa punkciki symbolizowały pojedyncze przypadki syndromu. Jeden z nich miał już kolor czerwony. A więc uwzględnili w programie śmierć Everhardta, pomyślał.

Zamknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w szum komputera, który odznaczał się jakimś szczególnym pulsowaniem, przypominającym odgłos dzwonu – bezustanny gong zniszczenia. Jak to się stało, że on, Easter, znalazł się w tym punkcie? Jak to się stało, że zwyczajne życie – plany, ambicje, ciężka praca, małżeństwo i dzieci – zmieniło się w ten horror?

No cóż, fakty mówiły same za siebie. Szaleństwo ubezpieczeń od błędu w sztuce lekarskiej. Niewdzięczna praca medyka w dobie prywatnej służby zdrowia. Rozwód. Potem okres

dryfowania, kilka nieudanych związków, walka z nałogiem narkotykowym. Wreszcie niespodziewana oferta tej pracy. Zaskakująco lukratywnej, absolutnie bezpiecznej, stanowiącej wyzwanie.

Uważał, że ten stopniowy postęp w karierze ma sens. Ale sens szczególnego rodzaju, wiodący przez niewidzialną granicę od normalności do obłądzenia. Kiedyś był lekarzem, teraz stał się mordercą.

Jako dziecko uczył się, że naziści wykorzystywali lekarzy do przeprowadzania odrażających eksperymentów na Żydach i przedstawicielach innych nacji – zanurzali ich w lodowatej wodzie, głodzili, dokonywali operacji chirurgicznych. Gdzie wyszukiwali chętnych do takiej roboty? Powołaniem lekarza było ratowanie życia, niesienie ulgi chorym. Hipokrates nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości: przede wszystkim nie szkodzić.

Jak do tego doszło? Teraz już znał odpowiedź.

Zaczął odczuwać lekki chłód w żołądku. Pierwsze objawy działania leku. Wiedział, że za kilka minut to uczucie zimna rozejdzie się po klatce piersiowej, a niepokój stępi swe ostrze. Wieczorem być może będzie musiał zażyć następną dawkę, żeby zasnąć. Rzeczywiście było to uzależnienie; potrzebował teraz trzech tabletek, żeby przebrnąć jakoś dzień. Dwa miesiące wcześniej jedna wystarczała mu na całą dobę.

Zdawał sobie sprawę, że gdy tego wieczoru wyjdzie z pracy, świat przybierze postać podwodnej krainy, przypominającej morze miodu, przez które popłynie niepewnie w stronę swego samochodu. Koło kierownicy będzie przypominać w dotyku wilgotną glinę. Jazdę po autostradzie odczuje jak zanurzanie się w warstwach galarety. Świat był rozmiękłym talerzem podsuniętym niewidzialnemu gigantowi, który niebawem wsunie jego zawartość w swe wygłodniałe usta. Ale jedzenie nie było świeże. Psuło się dosłownie w oczach, wydając makabryczne opary, jednak temu niewidzialnemu gigantowi to w ogóle nie przeszkadzało. Wszak żywił się słodyczą rozkładu.

„Wiceprezydent Dan Everhardt – oświadczył na koniec reporter – powszechnie lubiany urzędnik państwowy i człowiek, który pewnego dnia mógł zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, gdyby jego przyszłość nie została pogrzebana przez chorobę, wciąż stanowiącą tajemnicę...”

Lekarz aż podskoczył, słysząc pukanie do drzwi. Odwrócił się i zobaczył Colina Gossa, który uśmiechał się do niego.

– Gotowy, Dick?

Doktor ściągnął szybko słuchawki z uszu i wstał.

– Gotowy.

## Rozdział 31

Szli obok siebie cichym korytarzem. Goss sprawiał wrażenie podnieconego, pełnego energii. Zatrzymali się przy pokoju obserwacji, gdzie monitorowano innego eksperymentalnego osobnika – kobietę. Goss posłuchał jej serca i płuc, potem ruszył przodem do sali konferencyjnej, gdzie wysoko na ścianach zainstalowano ekrany.

Usiadł przy długim stole i wskazał lekarzowi krzesło.

– Jak się mają sprawy? – spytał.

– Bardzo dobrze. Zgodnie z planem.

– Są jakieś problemy z ochroną?

– Nie. Poczyniłem zmiany, jakie pan zasugerował. Sieć została całkowicie przeinstalowana. Przeciek, do jakiego doszło, już się nie powtórzy.

– Dobra robota. Przeanalizujemy teraz sytuację – zaproponował Goss. – Niech pan zacznie od Everhardta.



– Zgon o jedenastej rano przedwczoraj z powodu niewydolności serca – zaczął lekarz, spoglądając w notatki. – Zgodnie z planem, osiem tygodni i dwa dni po przyjęciu środka.

– A Palleschi?

– Przypadek podręcznikowy, jak sędzę. Trzy i pół tygodnia, oznaki życia wciąż wyraźne, ale EEG i inne badania sugerują początek śpiączki.

– Jaki jest pogląd lekarzy w szpitalu Waltera Reeda? – spytał Goss. – Łączą to z Everhardtem?

– Muszą, siłą rzeczy – odparł doktor. – Objawy są z punktu widzenia medycznego wyjątkowe, a stan Palleschiego w pierwszej fazie jest taki sam jak Everhardta.

– Co z innymi ofiarami, tu i za granicą?

– Dopatrują się epidemii, zewnętrznego czynnika chorobotwórczego – wyjaśnił młodszy mężczyzna. – Naciskają Centrum Kontroli Chorób, żeby jak najszybciej znalazło ten organizm. Ale nasz człowiek w Centrum donosi, że nie posunęli się do przodu.

– A specjaliści za granicą?

– To samo. Podejrzewają niezidentyfikowany czynnik patogenny, który przenosi się w jakiś nieznanym nam sposób. Ich główną troską jest odpowiednia kwarantanna.

– A genetycy? – spytał Goss.

– Są zdania, że chorobę wywołuje jakaś mutacja, głównie z powodu dziwacznej postaci zmian i nieregularności w rozprzestrzenianiu się syndromu. Zwłaszcza w Anglii i Australii. Ale nie mają poparcia ze strony władz medycznych, ponieważ koncepcja jest zbyt złowroga. Władze chcą słyszeć tylko o jakimś czynniku patogennym i kwarantannie.

– Dobrze. O to nam właśnie chodzi. – Goss wyglądał na zamyślonego. – Niby-epidemia, która wybuchła w różnych miejscach. Przyczyna i metody leczenia nieznanne. Przenosiciel nieznanym. Dwaj ważni ludzie dotknięci chorobą oraz wielu zwykłych obywateli.

Popatrzył na lekarza.

– Jak postępy z antidotum?

Lekarz potrząsnął głową.

– Prace posuwają się wolno, mogą potrwać nawet miesiące. Nie potrafię powiedzieć nic konkretnego.

Goss zmarszczył brwi.

– Dlaczego trwa to tak długo? Pojmujecie mechanizm, prawda?

– Owszem, rozumiemy – odparł lekarz. – Ale przy tego rodzaju interwencji zachodzi zbyt wielka zmiana, by dało się ją po prostu odwrócić. Klasyczny mikroorganizm nie narusza struktury komórkowej, podobnie jak zwykła toksyna. Tu jest inaczej. Po zarażeniu budowa na poziomie elementarnym ulega radykalnej metamorfozie. Ciało podąża za całkowicie nowym ciągiem poleceń. To trudne do skorygowania.

– No cóż, mniejsza z tym. – Goss machnął ręką. – Jeśli zachowamy ostrożność, nie będzie to konieczne.

Lekarz przytaknął w milczeniu.

– W porządku – ciągnął Goss. – Czas na następną fazę.

Po raz pierwszy lekarz ośmielił się przeciwstawić.

– Jest pan pewien? – spytał. – Nie możemy zadowolić się tym, co już osiągnęliśmy?

Goss potrząsnął głową.

– Nie. Jeśli się odpowiednio nie zabezpieczymy, naukowcy w końcu coś zwęszą. Dopatrują się w tym epidemii i o to nam właśnie chodzi. Musimy dostarczyć im materiał, który potwierdzi taki punkt widzenia.

Doktor westchnął.

– Jest pan pewien? Mówimy o ogromnej liczbie ludzi. Istot ludzkich.

Goss zmrużył oczy.

– Słucham?

– Chodziło mi o to... – zaczął lekarz, ale szybko zaczął tracić pewność siebie pod spojrzeniem Gossa. – To wielka skala zniszczenia.

Goss potrząsnął głową.

– Nie pańskie zmartwienie.

– Jestem lekarzem – zaproponował doktor. Goss obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Przyświeca nam wyższy cel – oświadczył. – Sądziłem, że wie pan doskonale, na co się decyduje. Mogę znaleźć kogoś innego, jeśli to panu nie odpowiada.

Wyraz oczu młodszego mężczyzny dowodził aż nadto dobitnie, że zdaje sobie sprawę, co w gruncie rzeczy oznaczają słowa Gossa.

– Przepraszam. Nie ma problemu. Mogę kontynuować.

Goss przyglądał mu się z uwagą.

– W porządku – powiedział w końcu. – Zaczniemy w uzgodnionym terminie. Proszę mnie informować na bieżąco.

Wstał i ruszył do drzwi. Odwrócił się z dłonią na klamce i popatrzył na doktora, który wydawał się wypalony i przygnębiony.

– Głowa do góry, Dick. – Uśmiechnął się. – Zbawiasz świat. Lekarz przytaknął.

– Tak.

Goss bez słowa opuścił salę.

Lekarz stał wpatrzony w mapę świata, podczas gdy kroki Gossa odbijały się echem w korytarzu. Zaczekał, aż usłyszy, jak otworzą się drzwi windy. Potem wyjął z kieszeni kolejną tabletkę i wsunął do ust.

– Jezu Chryste – powiedział. Słowa miały odcień przekleństwa, ale i modlitwy.

Wychowano go w wierze katolickiej. Był świadomy ognia piekielnego.

Piekło było w odległym szumie windy, która wiozła Colina Gossa na górę, do jego biurowego apartamentu. Piekło było w ekranie, który miał przed sobą, wypełnionym liczbami, aktualizowanymi bezustannie, by w pełni oddać rozmiary masowej zbrodni. Piekło było w drzeniu jego dłoni, które sprawiało, że miał trudności z umieszczeniem tabletki na języku.

Dwie dawki w ciągu pół godziny. To koniec.

Poczuł kwaśny smak chemicznego specyfiku. Lek był silny. Wystarczająco silny, by zabić – w odpowiednich ilościach.

A ostatni będą pierwszymi, pomyślał obserwując liczby, które tańczyły bezustannie przed jego oczami.

## Rozdział 32

Biały Dom

22 stycznia

W 1968, trzy miesiące przed podjęciem decyzji o nieubieganiu się o drugą kadencję, Lyndon Johnson wpadł we wściekłość na widok tysiąca demonstrantów przed Białym Domem i wyrzucił swój fotel przez południowe okno Gabinetu Ovalnego.

Agentów Secret Service ogarnął popłoch, kiedy zobaczyli, jak głowa państwa rozbija okno uważane dotąd za kuloodporne. We wszystkich oknach Białego Domu zainstalowano nowe szyby, wykonane z nietłukącego się, kuloodpornego szkła najnowszej generacji. Podczas remontu uszkodzono dwa parapety, które zastąpiono drewnem orzecha z lasów Marylandu.

O jeden z tych parapetów wspierał się właśnie prezydent. Oczy miał zamknięte, a szef sztabu i przewodniczący partii czekali za jego plecami, pogrążeni w pełnym szacunku milczeniu. Lider większości Kongresu stał na drugim końcu gabinetu, odwrócony tyłem.

– Biedny Danny – powiedział prezydent. Pozostali powtórzyli jego słowa z westchnieniem.

– Jak się czuje Pam? – spytał.

– Zdruzgotana – odparł Dick Livermore. – Wiedziała, że mąż jest w stanie krytycznym, ale chyba nie przypuszczała, że to się skończy tak szybko, ot tak, po prostu. Dan to był taki twardy facet...

– A co z Tomem? Są pewni, że to ta sama choroba – pytał dalej prezydent.

– Objawy są identyczne – wyjaśnił Dick. – Lekarze niczego nie potwierdzą, ale chyba to zrozumiało.

– I wciąż nie wiedzą, jak to leczyć?

– Nie mają pojęcia. Monitorują wszystkie funkcje jego organizmu. Są w normie – na razie.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Przedwczoraj.

– Rozmawiałaś z Theresą?

– Robię to prawie codziennie.

– Jak się czuje?

– Nie za dobrze. Przepętnia ją ogromny gniew. Nie chciała, żeby się angażował...

– Nie dziwię jej się. – Prezydent potrząsnął głową. – Niech diabli wezmą to draństwo. Też miotał nim gniew.

Zapadło milczenie. Wydawało się, że czterej mężczyźni w gabinecie są nieświadomi swej obecności. Każdy zmagał się z własnymi myślami.

– No dobrze – przerwał ciszę prezydent. – Nie możemy już dłużej zwlekać. Musimy wybrać innego człowieka. Nie można tak tego pozostawić. Ludzie odwrócą się od nas plecami.

Obecni przytaknęli. Prezydent cudem utrzymywał się na stanowisku. Ruch na rzecz wprowadzenia konstytucyjnej poprawki pozwalającej na nadzwyczajne wybory zyskiwał w Kongresie z każdym dniem coraz szersze poparcie. Colin Goss udzielał dziennikarzom wywiadów w stylu męża stanu, już niemal jako przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie było czasu do stracenia.

– Kogo wybierzemy? – spytał prezydent.

– Kirka Stillmana – odparł lider większości. – Najlepszy, jaki nam pozostał.

Nie był to najszcześniejszy dobór słów. Ale lider miał rację. Kirk Stillman był jedynym człowiekiem w partii, który mógł pomóc prezydentowi pokonać Colina Gossa.

– Zgadzam się – oświadczył Dick Livermore.

– Dzwoniliście do niego? – spytał prezydent.

– Rozmawiałem z nim w zeszłym tygodniu i ponownie wczoraj – odparł Dick. – Rozumie sytuację.

– No i? – dopytywał się prezydent.

– Zrobi wszystko, o co się go poprosi – wyjaśnił Dick. – W każdym razie wszystko, o co pan go poprosi.

Sens słów Dicka był jasny. Kirk Stillman się starzał. Perspektywa walki politycznej z Colinem Gossem – walki, która mogła być skazana z góry na porażkę i zagrażać jego życiu – nie przypadła mu do gustu. Ale Stillman wierzył w prezydenta. Poświęciłby się, gdyby wymagała tego sytuacja.

– Gdzie jest teraz? – spytał prezydent.

– Spędza gdzieś wieczór – odparł Dick. – Rozmawiałem z jego żoną. Spodziewa się go w domu przed jedenastą.

Prezydent powiódł wzrokiem po obecnych.

– Dowiedz się, gdzie jest – nakazał Dickowi. – Nie możemy czekać do jedenastej.

Kiedy prezydent odprowadzał swych gości, Kirk Stillman z niechęcią opuszczał mieszkanie swej długoletniej kochanki w Alexandria Była lobbystką przemysłu tytoniowego i kochanką Kirka Stillmana niemal od dwudziestu lat. Nazywała się Gabrielle Arendt i była zadbaną kobietą po czterdziestce. Dobrze znała Kirka Stillmana i wiedziała, jak zadowolić jego

starzejące się ciało, a także chroniczną potrzebę miłości, typową dla wszystkich ludzi zajmujących się polityką.

Kirk Stillman domyślał się, o co chodzi. Czekał na telefon od Dicka Livermore'a, gdy tylko usłyszał okropną wiadomość o Danie Everhardcie. Nie miał żadnych wątpliwości, że Tom Palleschi cierpi na tę samą chorobę co tamten, a więc nie odzyska przytomności. Fakt ten czynił ze Stillmana pewnego kandydata na newralgiczne stanowisko wiceprezydenta.

Kirk Stillman bał się. Nie tyle o siebie – miał w końcu sześćdziesiąt cztery lata, zakosztował niemal wszystkich przyjemności dostępnych każdemu cywilizowanemu człowiekowi – ile o kraj.

Ludzie wiedzieli, że Goss był potencjalnym dyktatorem. Ale strach oślepiał ludzi, w ich oczach Goss jawił się jako zbawca, a nie zagrożenie. Wyborcy byli gotowi podążyć za nim wszędzie, jak dzieci za szcurołapem z Hameln.

Stillman widział już coś takiego. Był w 1968 w Kongresie, kiedy Richard Nixon, którego prawdziwe oblicze znał już każdy Amerykanin, i tak zdołał wejść do Białego Domu. Trzeba było Wietnamu i wycofania się Lyndona Johnsona, by Nixon dostał do ręki odpowiednie karty. Dwa lata wcześniej wybór Nixona wydawałby się nie do pomyślenia. A jednak do niego doszło.

Teraz tragedia Crescent Queen i syndrom Pinokia budziły powszechny strach, a Colin Goss wydawał się zbawcą. W przeszłości taka ślepotą doprowadzała do wojen światowych. W dzisiejszym świecie mogła wywołać coś gorszego.

Gabrielle czule żegnała się ze Stillmanem, kiedy już wstali z łóżka. Masowała mu plecy i popijała z nim brandy. Była dla niego teraz jak druga żona.

– Zadzwoń do mnie – poprosiła w drzwiach.

– Jutro – obiecał Stillman. Dotknął opaloną dłońią jej policzka, uśmiechnął się i ruszył korytarzem.

Jego mercedes stał na parkingu po drugiej stronie ulicy. Zszedł tylnymi schodami, krzywiąc się lekko, kiedy własne kroki przypomniały mu o zreumatyzowanym biodrze. Nie obawiał się jakichś napastników; okolica była spokojna.

Wybrał boczne wyjście i skierował się na wschód. Noc była cicha i zimna. Wdychał z wdzięcznością rześkie powietrze. Jako człowiek polityki, który spędzał większość życia w zamkniętych pomieszczeniach i gabinetach, nie zażywał tyle świeżego powietrza, ile by pragnął.

Przechodził właśnie na skos ulicę, zmierzając w stronę parku, kiedy usłyszał warkot silnika, który pracował na tak wysokich obrotach, że swym dźwiękiem przypominał bardziej małą ciężarówkę niż wóz osobowy.

Nim zdążył odwrócić się i spojrzeć na światła, przedni zderzak już miażdżył mu nogi i biodra. Upadł na jezdnię, a podwozie wozu wcisnęło go w asfalt.

Wóz cofnął się i przejechał po nim drugi raz, potem trzeci. Uderzenia przywodziły na myśl ćwiartowanie kurczaka ręką wprawnego rzeźnika. Z wozu wysiadł jakiś mężczyzna, by sprawdzić puls na szyi Kirka Stillmana. Nie wyczuł tętna. Samochód odjechał po chwili, przekraczając dopuszczalną w tym miejscu prędkość. Nieliczni świadkowie wypadku zapamiętali go jako duży ciemny wóz produkcji amerykańskiej.

Nikt nie widział numeru rejestracyjnego.

## Rozdział 33

Waszyngton

22 stycznia

Śmierć Kirka Stillmana wstrząsnęła ludźmi w rządzie.

Prezydent, który spodziewał się w każdej chwili telefonu od Stillmana, przebywał akurat w prywatnym gabinecie, kiedy nadeszła wiadomość. W ciągu godziny spotkał się z ludźmi z Secret Service i przedstawicielami FBI, a także osobno z liderem większości, przewodniczącym partii i kilkoma najważniejszymi senatorami.

Przed dziewiątą rano była gotowa oficjalna wersja. Kirk Stillman został potrącony przez samochód na podmiejskiej ulicy w Alexandria Odwiedzał znajomych w okolicy. Zginął na miejscu.

Wiadomość o śmierci miał przekazać rzecznik policji waszyngtońskiej. Biały Dom nie przewidywał wydania oświadczenia, zamierzano wyrazić tylko pochwałę za nieocenione zasługi dla partii i narodu.

Na szczęście nie podano do publicznej wiadomości informacji, że Stillmana wybrano przed wypadkiem na wiceprezydenta. Systematyczność, z jaką śmierć prześladowała obecną administrację, nabrała już cech skandalu narodowego. Zgon trzeciego kandydata byłby gwoździem do jej trumny.

Pierwsza Dama towarzyszyła żonie Stillmana w jej domu w Marylandzie, czekając na dzieci Stillmanów, które mieszkaly w innych miastach. Wszystkie były dorosłe i dały Kirkowi i jego żonie siedmioro wnuków.

W południe prezydent spotkał się w Gabcinecie Owalnym z Dickiem Livermore'em. Twarze obu mężczyzn wyrażaly głęboką powagę.

– Jesteś pewien, że został celowo przejechany? – spytał prezydent.

– Nie ma wątpliwości. Samochód musiał na niego czekać, kiedy wychodził z apartamentowca. – Dick zerknął na notes w swej dłoni. – Ktokolwiek to był, doskonale się orientował, kiedy Kirk odwiedzał przyjaciółkę i kiedy od niej wychodził. Wydaje się, że zamazali tablice rejestracyjne błotem. Świadcownie zapamiętali tylko, że wóz był ciemny.

– Co ze śladami na ciele Kirka? – spytał prezydent.

Dick wzruszył ramionami.

– Szef policji waszyngtońskiej powiedział, że spece od medycyny sądowej pracują nad tym. Znajdą pewnie ślady farby i coś tam jeszcze. Ale jeśli wóz był trefny, policja nigdy nie namierzy sprawców. – Popatrzył na prezydenta. – Podejrzewam, że był trefny. To nie wypadek. Przejechali go trzy razy, żeby się upewnić.

Dick westchnął głęboko, powieki miał przymknięte. Potem podniósł wzrok, by ujrzeć wyraz porażki na twarzy prezydenta.

– Zaczynam wątpić, czy mimo wszystko wytrwamy – powiedział prezydent. – Te wszystkie nieszczęścia mają zbyt negatywną wymowę.

Wstał, podszedł do okna i spojrział na poranne niebo. Po chwili zaczął mówić jakby do siebie:

– Nigdy nie myślałem, że to możliwe, ale zaczynam widzieć Colina Gossa w tym gabinecie, za tym biurkiem.

– Mam nadzieję, że pan się myli – wtrącił Dick.

– Ja też – przytaknął prezydent. – Ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Może jest za późno, żeby je zatrzymać. – Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Szekspir miał rację. Czasem bogowie bawią się z nami okrutnie. Zabijają nas dla przyjemności.

Dick wydawał się zamyślony. Dostrzegając jego zatroskane spojrzenie, prezydent spytał:

– Coś cię martwi, Dick?

Dick spojrział przez okno w stronę Pennsylvania Avenue.

– Czy nie przyszło panu do głowy, że w całej tej gadaninie o spisku może tkwić ziarno prawdy?

Prezydent uniósł brwi.

– Chodzi ci o tę reporterkę i wrzawę w Internecie?

Dick przytaknął.

– Nic bym nie mówił, gdyby nie historia z Kirkiem. Ale śmierć Kirka to za dużo. Mamy do czynienia z morderstwem. Ktoś chciał usunąć go z drogi. Ktoś, kto wie, że nasza partia była zdecydowana wybrać po Palleschim Kirka.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś specjalnie doprowadził Dana i Toma do choroby? – spytał prezydent. – To właśnie masz na myśli?

Dick przysiadł na poręczu ciężkiej sofy.

– Niczego nie twierdzą z całą pewnością. Ale coś tu nie gra. W Waszyngtonie są tylko dwie ofiary syndromu Pinokia. Jedną był pański wiceprezydent, drugą pierwszy kandydat na jego miejsce. A teraz ostatni możliwy kandydat...

Wzdrygnął się na myśl o tylu zgonach w swoim bezpośrednim otoczeniu.

– Nie mamy dowodów, że syndrom można wywołać celowo – zauważył prezydent.

– Brak też dowodów, że tego nie można zrobić – odparł Dick. – O to mi właśnie chodzi. Tak jakby ktoś podsunał nam Danny'ego i Toma, żeby nas sprowokować i sprawdzić. Wiedzieli, że poruszymy niebo i ziemię, by stwierdzić, co im jest. I zrobiliśmy to. Bez powodzenia. Po prostu nie rozumiemy tego syndromu.

– Sprawdzić nas – powtórzył prezydent. – Ale także zranić. Zmusić do opuszczenia urzędu...

Dick przytaknął, zatroskany.

– Wiem. To brzmi nieprawdopodobnie. To obłąkane. Kto miałby takie możliwości? I dlaczego chciałby...? – Urwał i westchnął. – Być może powinniśmy zrobić coś drastycznego. Ogłosić stan wojenny... dopóki nie zbadamy tej sprawy.

Prezydent potrząsnął głową.

– Wykluczone. Nie możemy pozwolić, by cały kraj stał się zakładnikiem naszych problemów. Życie musi toczyć się dalej. To jest demokracja, a ja przysięgałem jej bronić.

Obaj mężczyźni umilkli. Pomyśleli o wyczerpującej kampanii, która pięć lat wcześniej zawiodła prezydenta do Białego Domu. Wielce szanowany przywódca, który pochodził ze starej rodziny o politycznych tradycjach, nie był wówczas faworytem. Trzeba było czegoś więcej niż tylko ciężkiej pracy, by został wybrany. Nieodzowna okazała się kombinacja sprzyjających okoliczności – jak w przypadku każdego człowieka, który zostaje prezydentem.

A teraz pewna kombinacja okoliczności, zdumiewających w swym okrucieństwie, zagrażała jego prezydenturze.

Prezydent popatrzył na starego przyjaciela.

– Kocham ten kraj, Dick – powiedział. – Dużo mu zawdzięczam i sam w zamian zrobiłem dla niego tyle, ile mogłem. Wierzę, że to najwspanialszy kraj na świecie. Mój instynkt mi podpowiada, że ma kłopoty. Być może najpoważniejsze od stu lat, być może najpoważniejsze w całej swej historii.

Dick Livermore skinął głową. Prezydent spojrzał mu w oczy.

– Boisz się?

Dick milczał. Nigdy w życiu tak się nie bał jak teraz.

– No cóż... – Prezydent wzruszył ramionami. – Wydaje im się, że podkulimy ogony i będziemy udawać nieżywych. Nic z tego. Odpowiemy atakiem.

– Tak, panie prezydencie.

Prezydent usiadł. Na biurku przed nim leżała lista nazwisk. Dick nie mógł odczytać poszczególnych pozycji, ale widział, że wszystkie są wykreślone. Z wyjątkiem jednej.

– Tak jak ja to rozumiem – oświadczył prezydent – pozostał nam tylko jeden człowiek.

Spojrzał na Dicka.

– Wiesz, o kim mówię?

Dick skinął głową. Potem obaj wymówili jednocześnie to samo nazwisko.

Michael Campbell odwołał pozostałą część swej kalifornijskiej trasy, kiedy tylko otrzymał telefon od Dicka Livermore'a, który powiadomił go o śmierci Kirka Stillmana. Wezwany przez Dicka i prezydenta, Michael zjawił się w Białym Domu tuż po świcie. Spotkanie odbywało się w pustym gabinecie Dana Everhardta.

Michael był już tu wcześniej. Rozpoznał zdjęcia, które dokumentowały sportową karierę Dana na studiach, jego małżeństwo z Pam i dorastanie trójki dzieci. Były tam także fotografie Dana w towarzystwie znakomitości z partii i przywódców państw, a także kilka oprawionych dyplomów.

Dick Livermore podszedł osobiście do drzwi, by poprosić Michaela do środka. Prezydent stał przy oknie.

– Jak się masz, Mike? – spytał, zbliżając się z wyciągniętą dłonią. – Co u Susan?

– U nas wszystko w porządku – odparł Michael. – Martwimy się tylko, jak każdy. Jak się czuje Johanna Stillman?

– Wiadomość była dla niej wstrząsem, ale zniosła to nieźle – wtrącił Dick.

– To straszne – zauważył Michael. – Kirk Stillman był dla mnie bohaterem.

Prezydent potrząsnął głową.

– To trudny czas. Nie przypominam sobie bardziej bolesnego momentu... od śmierci Kennedy'ego.

Michael nie myślał o tym w ten sposób, ale dostrzegł, że prezydent ma rację. Zabójstwo Kennedy'ego zaowocowało niezliczonymi klęskami. Najpierw objęcie urzędu przez Lyndona Johnsona, legislatora, który nie miał doświadczenia w rządzeniu. Następnie eskalacja wojny wietnamskiej, która w rzeczywistości nastąpiła dlatego, że Johnson nie wiedział, jak powiedzieć „nie” jajogłowym Kennedy'ego, którzy pozostali w jego gabinecie. Potem odmowa kandydowania w 1968 i wybór Nixona. Watergate. Wreszcie kryzys paliwowy i inflacja. I tak bez końca.

Większość demokratów wierzyła, że gdyby Kennedy odsłużył całe osiem lat, nic takiego by się nie wydarzyło. Kennedy mógł przez jakiś czas dokonywać eskalacji działań w Indochinach, ale przekonałby się bardzo szybko, że Wietkong robi z jego amerykańskimi chłopcami to samo co Viet Minh z Francuzami dziesięć lat wcześniej. Kennedy był historykiem. Zobaczyłby na własne oczy, jak historia się powtarza. Wycofałby się z wojny.

Ale Johnson nigdy nie był studentem, tylko politykiem drugiego szeregu, który wiedział, jak zdobywać głosy, ale niewiele więcej. Dlatego właśnie Wietnam zniszczył Johnsona.

Oczywiście niewykluczone, że zdarzyłyby się także klęski, gdyby prezydentem był Kennedy. Rosjanie, na przykład, zdenerwowani amerykańską przewagą w wyścigu zbrojeń, mogliby stracić głowę i nacisnąć atomowy guzik.

Ale taki już jest los. Zawsze pojawia się pytanie, czy nasze tragedie były jedynymi, jakie mogły się wydarzyć?

– Michael – zwrócił się do niego prezydent. – Dick i ja poprosiliśmy cię tutaj, ponieważ Kirk Stillman pozostawił po sobie wielką pustkę w naszych planach, a czas ucieka. Musimy zacząć działać, i to natychmiast. Jeśli tego nie zrobimy, Colin Goss może zdołać przeforsować pomysł wyborów nadzwyczajnych. Jeśli do tego dojdzie, cały kraj pograży się w chaosie.

– Rozumiem. – Michael skinął głową.

– Michael, chcę, żebyś objął urząd wiceprezydenta – wyjaśnił bez ogródek szef Białego Domu.

Patrzył niewzruszenie na Michaela, który wydawał się osłupiały.

– Ja? – spytał zdumiony Michael. – Ja... co skłoniło pana do tej decyzji?

Prezydent usiadł na brzegu biurka, nie sięgając stopami podłogi. Była to dziwnie dziecięca poza dla tak poważnego człowieka.

– Uważamy, Mike, że jesteś najodpowiedniejszym kandydatem na to stanowisko – oświadczył prezydent.

– Nie rozumiem, jak pan do tego doszedł – odparł Michael. – Jestem za młody, panie prezydencie. Nie mam odpowiedniego... no, odpowiedniego wizerunku.

Nie wspomnieli o Stillmanie, wybitnym człowieku, idealnym kandydacie na szanowanego wiceprezydenta, który był teraz martwy, być może właśnie z tego powodu.

– Mamy specjalistów, którzy się tym zajmą – wtrącił Dick. – Mike, prezydent i ja dużo o tym myśleliśmy. Jesteś młody, to prawda. Ale możesz wykonywać tę robotę. Rozumiesz zagadnienia. Masz niezwykle poparcie swoich wyborców. Ale być może najważniejsze jest to, że wiesz, jak pokonać Colina Gossa.

Michael kręcił w zamyśleniu głową.

– Nie jestem przeciwnikiem dla Gossa. Powie, że nie mam doświadczenia, że jestem żółtodziobem... i w pewnym sensie będzie miał rację. – Spojrzał na prezydenta. – Bardziej zaszkodzę, niż pomogę.

– Pozwól, że będę szczery co do twojego wizerunku – oświadczył Dick. – Prawda, jesteś młody. Ale dla wielu ludzi jesteś bohaterem. Nikt nie zapomniał olimpiady. Twoje nazwisko i twarz są powszechnie znane. Jesteś uważany za człowieka kompetentnego i odważnego. Potrzebujemy teraz kogoś takiego.

Dzięki temu twój wiek nie będzie miał znaczenia – dodał prezydent. – Poza tym Susan jest bardzo popularna i lubiana. Ludzie zaakceptują cię jako wiceprezydenta. Nadajesz się. I nie zapominaj, że nie jestem starym człowiekiem. Nie umrę na atak serca w ciągu dwóch najbliższych lat. Ludzie nie będą snuli takich przypuszczeń.

– Będą, jeśli Colin Goss im to podpowie – przypomniał Michael.

Zapadło na chwilę milczenie, kiedy trzej mężczyźni pomyśleli o syndromie Pinokia. Dwaj wysoko postawieni ludzie padli już ofiarą budzącej lęk choroby. Dlaczego nie prezydent? Choć wydawało się to nie do pomyślenia, było jednak możliwe.

Dick Livermore przerwał ciszę, zmieniając temat.

– Mike, jesteś idealnym partnerem dla prezydenta. Jesteś kompetentny, cieszysz się popularnością zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn. I masz ikrę. A to się liczy najbardziej.

Michael przygryzał nerwowo wargę.

– Doceniam wasze zaufanie – powiedział. – Ale nie wiem, czy mogę to zrobić.

– Możesz to zrobić.

Słowa te wypowiedział prezydent. Michael, marszcząc brwi, zauważył:

– Susan będzie się sprzeciwiać.

Dick przytaknął.

– Z początku się zezłości, to naturalne. Ale uspokoi się. Wie, jaka jest stawka.

Michael nie wyglądał na przekonanego.

– Może będziesz musiał porozmawiać z nią osobiście – powiedział. – Boję się, że ode mnie tego nie przyjmie.

– Nie doceniasz jej, Mike. Zniesie to. Tak jak i ty. Michael patrzył to na prezydenta, to na Dicka.

– Naprawdę uważacie, że to ważne? – zwrócił się do obu. Prezydent nieco zniecierpliwiony odpowiedział chrapliwie:

– Bieg historii zmienia się pod wpływem tego, co robimy. Musimy poświęcić temu nasze wszystkie siły.

Prezydent i Dick Livermore obserwowali uważnie Michaela. Obaj dostrzegli, że na jego obliczu pojawił się jakiś rys twardości. Przyjacielski zwykle wyraz twarzy przyćmiła lodowata determinacja, która była niemal przerażająca.

– W porządku – oświadczył w końcu. – Zrobię to.



– Brawo, Mike! – zawołał Dick, ruszając do przodu, jakby chciał poklepać Michaela po ramieniu.

– Jeszcze jedno – powiedział Mike.

– Co? – spytał prezydent.

– A jeśli nie dożyję chwili objęcia urzędu? Przypomnijcie sobie, co stało się z Dannym i Tomem Palleschim. Dlaczego uważacie, że jestem bardziej odporny niż oni?

Prezydent był pod wrażeniem tych słów. Michael bał się nie tyle o siebie, ile raczej tego, że zawiedzie prezydenta, umierając przed czasem.

– Michael, zapewnimy ci najściślejszą ochronę w całej historii polityki prezydenckiej – obiecał Dick. – Nie zrobisz nawet kroku bez nadzoru Secret Service. I żadne z was nie zachoruje. Gwarantuję to.

Pewność we własnym głosie zaskoczyła go. Michael skinął głową. Przez chwilę wyglądał na przynębionego. Potem przewyciężył to wysiłkiem woli.

– No dobrze – oznajmił. – W takim razie postanowione. Twarz Dicka pojaśniała. Spojrzał na prezydenta, który już podchodził do Michaela, by uścisnąć mu dłoń.

– Równy facet z ciebie – powiedział. – Wiedziałem, że możemy na ciebie liczyć.

Michael odwzajemnił mocny uścisk dłoni.

– Co teraz?

– Jutro razem złożymy oświadczenie – odparł prezydent. – Chcę być przy tym jako przywódca naszej partii. Potem prześlemy twoją nominację do Senatu i poczekamy na zatwierdzenie. Może to trochę potrwać, ale nie mam wątpliwości, że dostaniesz aprobatę.

Dick uniósł palec, żeby coś wtrącić.

– A mając to na uwadze, Mike, musimy cię w tej chwili spytać, czy jest coś, co może być wykorzystane przeciwko tobie przez ludzi niechętnych twojej nominacji. Mam na myśli twoją przeszłość.

Michael zastanawiał się przez chwilę.

– Na przykład oszukiwanie podczas egzaminów na studiach?

– Coś w tym rodzaju – przytaknął Dick, patrząc uważnie na Michaela. – Albo... jakaś przygoda erotyczna.

– Nie ma nic takiego – odparł Michael. – Susan i ja uprawialiśmy seks przedmałżeński, ale chyba powiedziała już o tym całemu światu.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Ujęła ich szczerłość Michaela.

– Dobrze – ocenił prezydent.

Michael wiedział, że chcą teraz pomówić sami, toteż wstał.

– Lepiej pojedę do domu – oświadczył. – Powinienem powiedzieć Susan.

– Zrób to – przytaknął Dick. – I wytłumacz jej, że wszystko będzie dobrze.

– Nie wiem, czy uda mi się ją o tym przekonać. To może być najtrudniejsze ze wszystkiego. – Michael się uśmiechnął.

Prezydent odprowadził go do drzwi.

– Nie martw się o Susan – pocieszał. – Ona też jest silna. Mając w drużynie kogoś takiego, już jesteś jedną nogą w Białym Domu.

– Przekażę jej pańskie słowa.

Michael oddalał się korytarzem niespiesznym, zdecydowanym krokiem. Prezydent patrzył w ślad za nim. Z większą niż kiedykolwiek mocą uświadamiał sobie wagę swej decyzji i decyzji Michaela. Podczas wyborów ludzie zwykli traktować kandydata na wiceprezydenta w kategoriach oczywistych. Lecz historia dowodziła, że los narodu często zależał od tych ludzi. Takich jak Harry Truman, Richard Nixon, Lyndon Johnson, George Bush. W dobrym i złym znaczeniu.

Michael zniknął w windzie. U boku prezydenta stanął Dick Livermore, gotów towarzyszyć mu w drodze do Gabinetu Ovalnego. Obu czekało mnóstwo rozmów telefonicznych.

Dick dostrzegł sprężystość w krokach prezydenta, której brakowało w ciągu ostatnich tygodni. Prezydent był bojownikiem w takim samym stopniu jak mężem stanu. Czerpał energię z nadchodzącej walki.

Karen Embry leżała w wannie, z opróżnioną do połowy szklanką early times w dłoni. Przenośne radio, które trzymała w łazience, nastawione było na stację nadającą wyłącznie wiadomości. Spiker mówił o Kirku Stillmanie. W przerwach krótkich wywiadów z weteranami politycznymi, którzy opisywali z uznaniem wspaniałą karierę zmarłego, podawano najświeższe szczegóły dziwnego wypadku, który pozbawił go życia.

Karen wiedziała, że to nie był wypadek.

Kiedy tylko usłyszała tego ranka nowinę, od razu pojechała na miejsce tragedii. Policja ustawiła potężne blokady, po pięć radiowozów. Kordon kilkudziesięciu umundurowanych funkcjonariuszy odgradzał pobliskie domy od ulicy.

Przekonana, że za dużo tego wszystkiego jak na zwykły wypadek, Karen zadzwoniła do swego informatora w komendzie, detektywa z wydziału zabójstw, który był jej winien przysługę. Uzyskując najpierw obietnicę milczenia, powiedział jej o śladach na skórze denata, świadczących o tym, że po pierwszym uderzeniu Stillman został wielokrotnie przejechany. „Ktokolwiek to zrobił, chciał mieć pewność – powiedział. – To zabójstwo i ucieczka z miejsca wypadku, bez dwóch zdań. Nie ma mowy o wypadku”.

Karen przez resztę dnia próbowała ze źródeł rządowych dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci Stillmana. Bez powodzenia. Nikt nie chciał z nią rozmawiać. Już nie.

Przed nastaniem wieczoru Karen postanowiła dać sobie spokój i czekać. Prezydent miał ogłosić nazwisko nowego kandydata na urząd wiceprezydenta. Teraz, gdy Stillman został wykluczony, nie miała pojęcia, kto byłby następnym.

Karen nie była niczego pewna, ale wiedziała jedno. Wybór dokonany przez prezydenta mógł wyjaśnić w dużym stopniu, kto zyskałby na wydarzeniach ostatnich dwóch miesięcy. Najpierw Everhardt, potem Palleschi, teraz Stillman... Kostki domina upadały jedna za drugą, a kierunek, w jakim się przewracały, musiał wskazać punkt, gdzie zostały pchnięte.

Karen wyjęła stopę z wanny, bez szczególnego powodu, i popatrzyła na bąbelki przylegające do palców. Poziom wody obniżył się nieznacznie i poczuła, jak naprężają jej się sutki, kiedy zetknęły się z pękającymi kuleczkami piany. Zauważyła, że popiół z papierosa za chwilę spadnie do wody. Przesunęła ramię i zgasiła papierosa w popielniczce, która stała na podłodze.

Nos Pinokia wydłuża się coraz bardziej...

– Teraz ty zaczniesz grę – powiedziała w przestrzeń.

## Rozdział 34

Czterdzieści minut po spotkaniu Michaela z prezydentem i Dickiem Livermore'em, Colin Goss siedział na kręconym fotelu w swoim waszyngtońskim gabinecie, ze szklanką ulubionej włoskiej wody mineralnej w ręku. Na popielniczce spoczywało żarzące się cygaro. Na kolanach trzymał kota, który mruczał cicho, kiedy palce głąskały miękkie grzbiet.

Goss był tak głęboko zamyślony, że nie usłyszał nawet, jak otwierają się drzwi. Kroki na dywanie stapały ostrożnie, a słuch Gossa nie odznaczał się już taką ostrością jak dawniej. Nie miał pojęcia, że ktoś jeszcze jest w pokoju, dopóki na jego ramionach nie spoczęły dłonie.

– Kto to? – spytał, odchylając się.

– Niespodzianka – wyszeptał gość.

– Ach. To ty. – Oblicze Gossa złagodniało w ojcowskim uśmiechu. – Podkradasz się, co?

– Podkradam się.

Głos był łagodny, pełen miłości.

– Tęskniłem za tobą – wymruczał Goss.  
– Ja za tobą też.  
Goss ujął nadgarstek Michaela i przyciągnął mężczyznę do siebie. Michael pozwolił się objąć. Goss otoczył go ramieniem i uściśnął łagodnie.  
– Dobrze nowiny? – spytał.  
– Wszystko postanowione – odparł Michael. – Właśnie widziałem się z Dickiem Livermore’em i prezydentem. Chcą, żebym zajął miejsce Dana Everhardta.  
– Och, dobrze. Dobrze. – Goss ujął dłoń Michaela i trzymał ją w czułym uścisku. Po chwili spytał: – Co powiedzieli? Jak ci to zaproponowali?  
– Oświadczyli, że mam właściwy wizerunek na to stanowisko. Twierdzą, że ja i prezydent jesteśmy jedyną przeszkodą na twojej drodze do Białego Domu.  
Goss uśmiechnął się, potakując.  
– No cóż, mają rację, nieprawdaż?  
– Tak. Mają rację – przyznał z uśmiechem Michael. Zapadło milczenie. Obaj mężczyźni uświadamiali sobie wagę tej chwili.  
– To była długa droga? – zauważył Goss.  
– Długa droga. Owszem. – Michael znowu się uśmiechnął.  
– Droga, która jest rzadko uczęszczana – ciągnął Goss. – Niezbyt tradycyjny szlak do Gabinetu Ovalnego.  
– Można tak powiedzieć.  
Znów zapadło milczenie. Goss ścisnął dłoń Michaela.  
– Jestem z ciebie dumny, synu.  
– Cieszę się.  
– Nic nas teraz nie powstrzyma, prawda? – upewnił się Goss, dotykając policzka Michaela.  
– Nic.  
Kot zeskoczył z kolan Gossa i zwinął się wokół nóg Michaela Campbella. Jego ogon połączył na moment obu mężczyzn, potem zwierzę cofnęło go szybko.

## KSIĘGA DRUGA

### Żabi król

Ale znalazłszy się na krześle żaba kazała się podnieść na stół, a gdy już tam siedziała, rzekła:

– Teraz podsuń mi swój złoty talerzyk, abym mogła jeść z tobą.

Królowna spełniła jej życzenie, choć bardzo niechętnie. Żaba zajadała z apetytem, ale królownie ani kąsek nie chciał przejść przez gardło. Wreszcie żaba najadła się i rzekła:

– A teraz zanieś mnie do swego pokoiku, pościel swoje łóżeczko i połóż się ze mną spać: zmęczona jestem bardzo [...]

Ujęła więc królowna żabę w dwa palce, zaniósła do swego pokoiku i położyła w kącie. Ale gdy już leżała w kącie, żaba przylazła wnet i rzekła:

– Weź mnie do swego łóżeczka [...]

Jacob i Wilhelm Grimm Żabi król (przet. Emilia Bielicka i Marcei Tarnowski)

## Rozdział 35

25 lutego

Obsceniczne obrazy kultu niewiernych zostały zniszczone przez lojalnych żołnierzy Allaha. Wzywa się muzułmanów na całym świecie, by świętowali powstanie owego oczyszczającego ognia i rozniecali własny, gdziekolwiek niewierni czczą swe nieczyste wizerunki.

O Allahu! Obiecujemy ci, że każde serce muzułmańskie poświęci się w bitwie przeciwko ekspansji żydowskiej i wysłannikowi szatana, bezbożnym Stanom Zjednoczonym. Każdy muzułmanin powinien uznać za obowiązek poświęcenie się dla sprawy walki z państwem niewiernych, Izraelem, a zwłaszcza z jego z nieczystym sprzymierzeńcem i współnikiem, Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

O Allahu! Dziękujemy ci za to, że pobłogosławiłeś uświęcony atak, który zniszczył bezbożne obrazy niewiernych. Niechaj muzułmanie w każdym zakątku świata przygotowują się na podobne czyny, do chwili gdy ostatni niewierny zostanie wygnany na zawsze z Twoich świętych ziem.

Jaskinia była strzeżona przez mudżahedinów uzbrojonych w broń automatyczną i granaty, a także wyrzutnie rakiet i broń przeciwlotniczą. Przygotowano ją pod koniec lat osiemdziesiątych z myślą o celu, jakiemu właśnie służyła. Nikt z zewnątrz nie wiedział o jej istnieniu, w tym także rząd państwa, na którego terenie się znajdowała. Tylko ludzie ze ścisłego kręgu, utworzonego ze strażników, wysokich dowódców i członków rodziny, mieli do niej dostęp.

Na zewnątrz rozciągała się niezmierna pustynia, pozbawiona jakichkolwiek traktów. Wzdłuż najbliższego piaszczystego grzbietu wiodł szlak karawan, wykorzystywany przez Beduinów, którzy wiedzieli, że należy się zajmować wyłącznie swoimi sprawami. Strumień helikopterów i ciężarówek, który niegdyś zakłócał ciszę, już dawno zmarł. Pozostał tylko gorący wiatr i przesuwający się piasek.

W najbardziej wewnętrznym z wewnętrznych pomieszczeń stał Ajman az-Zawahiri i spoglądał w stronę łóżka, na którym spoczywała nieruchoma postać. W powietrzu panowała śmiertelna martwota. Było chłodno – do groty nie docierał palący żar Sahary. W narożnikach szumiały piece elektryczne, napędzane z generatora umiejscowionego w głównej jaskini.

– Szajchu – przemówił Az-Zawahiri. – Przynoszę dobre wieści. Nie było odpowiedzi. Oczy, których spojrzenie zdradzało głęboką zadumę, wpatrywały się w kamienne sklepienie.

– Szajchu – ponownie zwrócił się do leżącego Az-Zawahiri. – Plan zostanie niebawem wcielony w życie. Wszystko jest już gotowe. Tekst zostanie odczytany w Al-Dżazirze, pojawi się też twoje zdjęcie. Powiemy, że nie można ryzykować nagrania na wideo, kiedy ścigają cię niewierni. Pozwól, że ci to odczytam.

Przeczytał tekst głośno, rozciągając pomimo lęku usta w uśmiechu. To będzie największy atak na niewiernych od czasu World Trade Centre. Tym razem cel miał charakter duchowy i estetyczny, nie zaś finansowy.

– Luwr, szajchu – powiedział na koniec. – Największy skarbiec sztuki niewiernych pójdzie z dymem. Wszyscy ich bohaterowie, szajchu – Michał Anioł, Rembrandt, Vermeer, Picasso – wszyscy oni zamienią się w popiół. I dokona się to w twym imieniu, szajchu, z błogosławieństwem Allaha.

Postać na łóżku milczała. Oczy Az-Zawahiriego były pełne łez, kiedy spoglądał na niewidzące źrenice.

Jest mym synem, pomyślał. Moim życiem.

To właśnie Az-Zawahiri wprowadził Osamę w dżihad i uformował jego intelekt. Az-Zawahiri uważał Osamę za swe dzieło, swe najwspanialsze dokonanie muzułmanina. Sam Az-Zawahiri był dobrym organizatorem, zelotą, który nie lękał się nikogo z wyjątkiem Allaha. Lecz każdy ruch potrzebuje bohatera. Był nim Osama. Tysiące, miliony podążą za nim ku męczeństwu.

Nawet setka takich ludzi jak Az-Zawahiri nie zdołałaby tego nigdy dokonać, bez względu na głębię swej wiary.

Popatrzył na Osamę z głębokim westchnieniem. Tylu bohaterów już umarło. Abd al-Madżid, Az-Zandani, Al-Masri. At-Turabi w Sudanie, Kadafi w Libii, Chamenej w Iranie. Także Arafat. I Husajn...

Dlaczego Allah sprowadził tę plagę na swych najlepszych ludzi, swych najwierniejszych wyznawców? Dlaczego Allah zapragnął niszczyć swych wojowników?

Istniała tylko jedna odpowiedź – by poświęcić ich jako męczenników. Uczynić nieśmiertelnymi w oczach muzułmanów w każdym zakątku świata, muzułmanów jeszcze nienarodzonych. Przygotować na dzień, kiedy dżihad zakończy się zwycięstwem.

Dzień ten jednak nie miał szybko nadejść. Umierali najodważniejsi i najsilniejsi. To pokolenie wojowników musiało zaakceptować męczeństwo jako swój los. Az-Zawahiri, który poświęcił trzydzieści lat życia walce z niewiernymi, wiedział, że nie ujrzy triumfu za swych dni.

Dotknął dłoni milczącego człowieka, który leżał na łóżku. Jej twardość, deformacja były wyczuwalne. Popatrzył na ukochaną twarz, na brodę, zupełnie białą jak u świętego. Odwołując się do swego wykształcenia, ośmielił się przytoczyć słowa niewiernego Szekspira:  
– Dobranoc, książę. A chóry aniołów niech do wiecznego snu cię ukołyszą. [Hamlet, akt V, scena 2]

Zamknął oczy i ukląkł przy łóżku. Potem przemówił do samego Allaha:

– Dlaczego? Dlaczego nas mordujesz?

Nie było odpowiedzi.

Trzymał dłoń bin Ladena i płakał.

## Rozdział 36

Dziewczyna jest przywiązana do urządzenia, nagie lędźwie widać w całej okazałości. W oczach ma pustkę. Czas już nadszedł, akt się zaraz dokona.

Pada na nią cień. Powolna sylwetka, kołyszący się ogon, coraz bliżej, coraz bliżej. W jej wzroku zachodzi zmiana. Czy jest świadoma? Czy okrzyki obudziły ją, by ujrzała wydarzenie?

Kamera najeżdża nieubłaganie, aż naga miednica dziewczyny wypełnia cały obraz. Pada na nią cień, kołysząc się niepewnie. Po chwili sam ogon muska jej pośladki, a cień zastyga. Poczul dotyk jej nagiej skóry. Sięga drugą dłonią. Palce znajdują miednicę, ich opuszki głaszczą jasnówłose złącze, gdzie uda zbiegają się z pośladkami.

Sięga dłonią w dół i przymocowuje do jej kości ogonowej swój ogon, który po chwili zwisa między jej nogami. Słysząc głośny aplauz. Kamera się cofa. On też jest nagi. Jego członek, naprężony i pulsujący, to jedyna twarda rzecz w tym obwisłym ciele w średnim wieku. Jest niemal zupełnie łysy. Wałki tłuszczu mają groteskowo zmysłowy wygląd, kiedy osuwa się obok niej na kolana. Kontrast między bulwiastym cielskiem i młodym, zwartym ciałem dziewczyny jest uderzający.

Zdjął z oczu opaskę i widzi teraz swą nagrodę. Uśmiecha się. Zaczyna ją pieścić. Jeszcze raz, przez krótką chwilę, oczy dziewczyny jakby zdradzają, że wie, co się z nią dzieje. Po chwili jednak powraca mętne, trupie spojrzenie.

To monstrialne – żabi stwór dosiadający książniczki – gdy mokry od potu osobnik dosiada dziewczyny od tyłu. Krzyki obecnych przybierają na sile, aplauz odbija się echem od ścian pomieszczenia.

Mija dużo czasu, nim udaje mu się skończyć. Potem oddala się wzdłuż sceny. Książniczka zostaje sama. Oczy zebranych chłoną widok dziewczęcych pleców, kremowych ud i wdzięku

młodości. Okrzyki już zamilkły, śmiech przygasi. W pomruku głosów wyczuwa się uwielbienie dla jej niewinności i gwałtu, który ją zbrukał.

Jest teraz sama, nieruchoma.

Księżniczka z ogonem.

## Rozdział 37

Przed upływem lutego syndrom Pinokia pochłoniął miliony ofiar. Żadna choroba od czasu grypy w 1918 roku nie rozprzestrzeniła się tak szybko i nie atakowała ludzi tak masowo.

Światową Organizację Zdrowia najbardziej zajmował fakt, że największe skupiska epidemii, jak się zdawało, zlokalizowane były w północnej Afryce, Libii, Maroku i Sudanie, a także w Syrii, Iraku i Jordanii. Iran i Afganistan także w znacznym stopniu ucierpiały, podobnie jak Pakistan. Eksperti medyczni nie wiedzieli, czym tłumaczyć to skupienie choroby na jednym obszarze.

Kraje rozwijające się nie dysponowały dostateczną liczbą szpitali, by poradzić sobie z kryzysem. Ofiary syndromu, sparaliżowane i milczące, znajdowano na ulicach, chodnikach i w miejscach publicznych; umierały powoli z głodu, omijane szerokim łukiem przez wystraszonych przechodniów i kierowców. Pracownicy służby zdrowia ograniczyli swą rolę do usuwania chorych z miejsc powszechnie uczęszczanych i przenoszenia ich na tereny prowizorycznej kwarantanny, takich jak stadiony, opuszczone magazyny i szkoły.

W krajach tych narodził się nowy, ponury obyczaj. Kiedy ktoś – mężczyzna, kobieta albo dziecko – zatrzymywał się nagle na ulicy, nieruchomy i milczący, nikt nie podchodził, by spytać, co się stało, jak uczyniłby jeszcze kilka miesięcy wcześniej. „Ekipa sprzątająca” w strojach sanitariuszy pojawiała się w ciągu kilku minut albo godzin i zabierała ofiary.

Zasady kwarantanny zaprowadzonej na terenach dotkniętych epidemią nie były już tak surowe jak na początku. Władze medyczne zaczęły sobie uświadamiać, że jej wybuchy są krótkotrwałe i ograniczone; trwają co najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Choroba pojawiała się na danym obszarze, ale nie rozprzestrzeniła się dalej.

Nie znaleziono dowodu, że jest przenoszona przez ludzi. Omijanie ofiar z daleka było reakcją emocjonalną, nieopartą na racjonalnych przesłankach. Dotykanie chorych niczym nie groziło, nawet kontakt z ich krwią i śliną był całkowicie bezpieczny.

Nie ulegało już wątpliwości, że działa tu jakiś zewnętrzny czynnik chorobotwórczy. Zostało to potwierdzone przez fakt, że pacjenci z białaczką, przebywający w sterylnych komorach unikali zarażenia. Lecz naukowcy podejrzewający istnienie czynnika genetycznego nie zamierzali porzucać swej teorii ze względu na ten fakt. Niewykluczone, dowodzili, że kontakt z jakimś czynnikiem środowiskowym wywołuje dziwną mutację budowy ludzkiego ciała; mutację, która czekała na ten moment być może przez tysiące lat.

Lecz pomimo wszelkich wysiłków władz medycznych i specjalistów od środowiska naturalnego nie udało się wyodrębnić jakiegoś składnika powietrza, wody, gleby czy żywności na obszarach dotkniętych epidemią, którego nie można by znaleźć w każdym innym miejscu kuli ziemskiej. „Teoria czynnika wyzwalającego” – genetyczna reakcja na środowiskową toksynę – pozostała tylko teorią.

Tymczasem syndrom Pinokia uderzał niczym błyskawica, wrywając swe ofiary z życia jakby niewidzialną dłonią. Fakt ten przyczynił się do powstania pewnej mitologii związanej z chorobą. Wierzono, że ofiary zostają „wybrane” z powodu jakiejś duchowej czy innej skazy, która czyniła je bezbronnymi wobec syndromu. Być może, sądzono, były czymś w rodzaju słabych członków stada, tępionymi przez bezzwzględnego drapieżnika, co zapewniało długie życie populacji zdrowych osobników.

Pobożni wyznawcy różnych religii nie wahali się interpretować faktu rozprzestrzeniania się choroby jako znaku od Boga. Nieruchome spojrzenie oczu ofiar, ich obojętność na innych

ludzi, wszystko to dowodziło, że ich wzrok skupiony jest na Bogu, że nie są już „z tego świata”. Przygotowywali się do wstąpienia w wyższe sfery.

Makabryczna metamorfoza, jakiej ulegały ich kończyny w chwili zbliżania się śmierci, była także tłumaczona w kategoriach boskiego zamiaru. Uczni muzułmańscy wyszukali w Koranie niejasne fragmenty, które odnosiły się do jakiejś przemiany pewnych ludzi w kopytne bestie w czasach starożytnych. Żeby nie dać się prześcignąć, znawcy Biblii wskazywali na Stary Testament, gdzie mówi się o tym, że dłonie i stopy w kształcie kopyt są karą za grzech pierworodny. Talmudyści nie pozostawali w tyle. Hindusi dokopali się pewnych ustępów w Wedach, które wskazywały pośrednio na osły będące awatarami ludzkiego ducha. Podobne aluzje można było znaleźć w wypowiedziach przypisywanych Buddzie.

Cały ten religijny aspekt nabrał niezamierzenie komicznego charakteru, kiedy przedstawiciele różnych wyznań zaczęli utrzymywać, że nadejście choroby zostało przepowiedziane w ich pismach. Czy stanowiła ona plagę chrześcijańską czy muzułmańską? Pytanie to rozważano bez końca.

Niektóre odłamy religijne wprowadziły chorobę do swoich obrzędów, tworząc obrazy przedstawiające przemianę człowieka w kopytną bestię i odziewając swych kapłanów tak, by mieli powiększone dłonie i stopy. Ten nieco wodewilowy aspekt obrzędów nie umknął uwadze postronnych obserwatorów, ale praktyki te dalej się rozprzestrzeniały.

Wielu chrześcijan i muzułmanów w krajach arabskich przestało uciekać z dotkniętych chorobą terenów. Zaczęli za to się modlić i godzić z sytuacją. Zresztą ucieczka i tak nic nie dawała, bo nie było dokąd pójść. Kraje sąsiednie odmówiły wpuszczenia na swój obszar uchodźców szukających schronienia przed syndromem. Przepisy imigracyjne na całym świecie zostały zaostrzone z obawy przed konsekwencjami epidemii.

O dziwo, w Ameryce choroba jakby przestała się rozprzestrzeniać. Władze medyczne nie potrafiły tego wytłumaczyć, ale przynajmniej panika, która utrzymywała się jesienią, zaczęła przygasać. Być może, jak wielu sądziło, choroba miała ograniczony zasięg. Niewykluczone, że pustoszyła pewne okolice przez tygodnie czy miesiące, a potem przesuwała się dalej albo całkowicie zniknęła. W minionych wiekach zdarzały się takie historie.

Zaufanie ludzi do instytucji rządowych powoli powracało. Świat nie różnił się aż tak bardzo od dawniejszego. To prawda, niewygasły strach przed terroryzmem, zrodzony za sprawą tragedii Crescent Queen, utrudniał życie. Istniała jednak nadzieja, że władze znajdą w końcu sprawców tego czynu i zapobiegną jego powtórzeniu.

Ta zmiana nastroju działała na korzyść prezydenta i jego administracji. Wybór Michaela Campbella na wiceprezydenta wydawał się szczęśliwym zaklęciem. Poparcie dla głowy państwa rosło stopniowo, podczas gdy Colin Goss, po raz pierwszy od roku, zaczął tracić oparcie społeczeństwa. Amerykanie, mniej lękający się świata i przyszłości, odwrócili się od przesłania nienawiści głoszonego przez Gossa i zaczęli pokładać nadzieję w zdrowym rozsądku prezydenta, a Michaela Campbella powitali jak bohatera.

W Senacie toczyła się debata nad nominacją Michaela, przy symbolicznym oporze zwolenników Gossa. Sesje miały charakter oficjalny i zaakceptowanie kandydatury Michaela wydawało się przesądzone.

Wybór Michaela zakończył pewien etap, którego początek wyznaczały lata spędzone w Senacie. Był teraz postrzegany przez wyborców i komentatorów politycznych jako drugi John F. Kennedy, charyzmatyczny przywódca pewnie zmierzający ku prezydenturze. Jego wystąpienia gromadziły tysiące podekscytowanych zwolenników, a programy telewizyjne z jego udziałem cieszyły się oglądalnością, o której tylko mógł marzyć jakikolwiek inny polityk tego pokolenia.

Prezydent nie przejmował się rosnącą popularnością przyszłego wiceprezydenta, gdyż działało to na szkodę Colina Gossa, a wpływało na notowania obecnej administracji.

Prezydent cieszył się, mogąc stać obok Michaela w blasku jupiterów, które Colina Gossa ukazywały w bardzo niekorzystnym świetle.

Judd Campbell był w stanie euforii z powodu kandydatury Michaela. Ogarnęło go takie podniecenie, że zdawało się, jakby na nowo odzyskał życie i młodość. Artretyzm dokuczał mu już mniej, serce było jakby mocniejsze, umysł wydawał się bystrzejszy niż kiedykolwiek w ciągu minionych lat.

Jego cotygodniowe obiady z Michaelem i Susan nabrały prawdziwie uroczystego charakteru. Problem w tym, że Michael na ogół nie mógł w nich uczestniczyć. Był zbyt zajęty, ponieważ ciągle spotykał się z ludźmi z Białego Domu i Departamentu Stanu, z którymi omawiał przyszłe obowiązki wiceprezydenta. Judd oczywiście akceptował bez sprzeciwu wymuszoną przez sytuację nieobecność syna, gdyż była to cena za spełnienie marzeń.

W pewien wietrzny i zaskakująco ciepły wieczór zjawiła się na kolacji sama Susan. Rozmowa dotyczyła wyłącznie jej męża. Susan zauważyła, że Judd i Ingrid są prawie nienaturalnie podnieceni. Szwagierka wyglądała o dziesięć lat młodziej i wydawało się, że straciła na wadze. Judd z trudem mógł usiedzieć w miejscu. Cały czas zrywał się z krzesła, by spoglądać w telewizor nastawiony na CNN, gdzie twarz Michaela pojawiała się co kilka minut; takie przynajmniej odnosiło się wrażenie.

Po kolacji Judd przeprosił i poszedł do swojego gabinetu, a obie kobiety zajęły się zmywaniem naczyń. Siedział przez kilka minut, patrząc przez okno na fale zatoki, wznoszące się wysoko pod wpływem porywistego wiatru. Potem wstał, wyjął z małego sejfu kasetę wideo i wsunął do magnetowidu. Usiadł w swoim fotelu i zgasił lampę na biurku, by lepiej widzieć obraz na ekranie telewizora.

Było to nagranie sprzed czternastu lat.

„Campbell płynie; ostatnie okrążenie dla Amerykanów. Zmiana nie przebiegała zbyt gładko, Campbell jest drugi lub trzeci za Niemcami. Płynie, mocno pracując rękoma...”

Judd znał każde słowo komentarza na pamięć. Nie zmieniało to jednak faktu, że siedział wyprostowany, czując krążenie adrenaliny.

„Michael Campbell zadziwił w tym tygodniu świat – ciągnął komentator. – Po drugiej poważnej operacji, która niemal go unieruchomiła, zjawił się tutaj jako czarny koń, nietraktowany serio przez większość obserwatorów, i zaszokował świat, wygrywając sto metrów w stylu dowolnym mężczyzn w rekordowym czasie. Teraz, dwadzieścia cztery godziny później, płynie po drugi złoty medal. Ale wygląda na to, że nie będzie to takie proste”.

Judd wychylił się do przodu. Jego syn jawił się teraz jako niewyraźna plama gniewnych uderzeń i pracujących niczym tłoki ramion, twarz pozostawała niewidoczna. Można było jednak dostrzec długą bliznę na jego plecach, kiedy przebijał się wściekle przez wodę, wciąż pół długości za pływakiem niemieckim. Judd zatrzymał szybko taśmę i przewinął o kilka sekund. To był ten moment, moment, który oglądał setki razy.

„Chyba się pospieszyłem – mówił komentator. – Wydaje się, że Campbell nadrabia straty... nie, czekajcie, zrównał się z Schullerem. Nie mogę uwierzyć własnym oczom.

W zdumiewającym tempie Campbell dogonił reprezentanta Niemiec Zachodnich. Została jeszcze jedna długość basenu, a oni idą łeb w łeb. Zapowiada się niesamowita walka...”

W ciągu dwóch sekund Michael rzucił na szalę wszystkie siły i zrównał się z Niemcem, młodym człowiekiem uważanym za najszybszego pływaka na świecie. Nastąpiło to w momencie, gdy komentator powiedział, że Michael zostaje w tyle.

Judd nigdy nie miał dość oglądania tego fragmentu. Symbolizował dla niego istotę współzawodnictwa, tę krótką jak mgnienie oka chwilę absolutnej furii i poświęcenia, kiedy to sportowiec przewycięża własne ograniczenia, by pokonać przeciwnika.



„Zaczęli ostatnią długość basenu. Schuller i Campbell wciąż płyną ramię w ramię... Nie, zaraz, wydaje się, że Campbell nieznacznie prowadzi. Tak, dopływają, dopływają... Michael Campbell wygrywa! Amerykanie zdobyli złoty medal!”

Rozpętało się istne pandemonium, kiedy podano czas zwycięzcy. Zespół sztafety amerykańskiej wraz z trenerem uniósł ręce w geście triumfu i ruszył, by otoczyć Michaela, swego bohatera. Głosy komentatorów, obwieszczających niewiarygodne zwycięstwo Amerykanów, beładnie się z sobą mieszały.

A teraz nadszedł drugi moment, który Judd kochał jeszcze bardziej niż ten pierwszy. Michael pozostał w wodzie na linii mety. Jego trener pochylał się, by z nim porozmawiać. Potem skinął na pomocnika, który szybko podbiegł.

„Wydaje się, że Michael Campbell ma jakieś problemy. Nie wychodzi z basenu. Trener amerykański podszedł właśnie do sędziego. Campbell ma chyba tak silny skurcz pleców, że nie może o własnych siłach wyjść z basenu”.

Pływacy amerykańscy i trenerzy skupili się wokół Michaela; po krótkich naradach koledzy z zespołu, wspierani przez Jurgena Schullera, niemieckiego mistrza, pokonanego właśnie przez Michaela, wyciągnęli go z basenu. Obraz czterech pływaków starających się pomóc złotemu medalistce miał stać się jednym z najświetniejszych w historii olimpiad, na zawsze utrwalił w zbiorowej wyobraźni postać Michaela jako człowieka o niewiarygodnym harcie.

Obraz ten został utrwalony na fotografii, która wisiała na ścianie gabinetu Judda. Każdego dnia patrzył na nią i chłonał jej wymowny charakter, połączenie patosu i triumfu. Jego syn sprawiał wrażenie tak słabego i bezbronnego, kiedy koledzy z zespołu wyciągali go z wody. A jednak Michael był ich liderem, ich bohaterem. Absolutnym zwycięzcą.

Judd spojrział przez okno. Nad smaganymi wiatrem falami oceanu zapadał zmierzch. Księżyc jasno świecił. Pod wpływem nagłego impulsu Judd postanowił pospacerować po plaży. Obejrzana przed chwilą taśma z olimpijskim triumfem Michaela sprawiła, że zapragnął porozmyślać w samotności.

U podnóża schodów usłyszał dobiegający z kuchni śmiech Susan i Ingrid. Wyjął z szafy w holu kurtkę skórzaną i wymknął się z domu, nie mówiąc im, że wychodzi.

Plaża tuż przy domu była dość wąska, jednak jakieś sto metrów dalej znacznie się poszerzała. Fale w tym rejonie oceanu były większe niż gdzie indziej ze względu na stosunkowo głębokie dno. Judd szedł powoli, czując, jak ich rytm przenika jego wnętrze.

Wybrał to miejsce przed trzydziestu laty. Jego cena nawet wówczas była wysoka, choć według obecnych standardów nabył tę ziemię za darmo. Chciał, by dom stanowił coś w rodzaju schronienia dla niego i dzieci. Michael był wówczas jeszcze brzdącem. Ingrid miała dziesięć lat, a Stewart już zaczynał karierę zbuntowanego dwunastolatka.

Michael od razu przekonał się do tego miejsca; biegał po plaży w kąpielówkach, budował zamki z piasku, gonił kraby i zbierał z matką małże. Judd pomyślał, spacerując, że to właśnie tutaj, na tej plaży, upłynęły pierwsze szczęśliwe dni ich wspólnego życia. Siadywał tu z Michaeliem i kazał mu liczyć nadpływające fale. „Powiedz, ile ich jest”, mawiał. „Raz, dwa, trzy...”, potem mały chłopiec uśmiechał się i uderzał ojca w ramię, uświadomiwszy sobie, że fale przybijały do brzegu bez końca.

Judd został tego dnia sam z Michaeliem. Margery zabrała starsze dzieci na zakupy do miasta. Siedział na piasku z cygarem w ustach (och, dobre, stare czasy włoskich cygar!) i patrzył, mrużąc oczy przed słońcem, jak Michael biega tam i z powrotem po plaży.

Po chwili zmęczony osłepiającym blaskiem, wsparł się na łokciach i przymknął powieki. Odgłos uderzających o piasek fal, mieszający się z tupotem małych stóp Michaela, przysparzał go o senność.

Z odrętwienia wyrwał go cichy krzyk przerażenia. To, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Dziwna fala zalała piach, wyprzedzając inne co najmniej o pięćdziesiąt metrów, i niczym drapieżnik porwała ze sobą Michaela. Było to tak zdumiewające, że Judd siedział

przez chwilę jak sparaliżowany. Nim zdążył zareagować, chłopca wciągnął ocean. Michael musiał już się opić słonej wody, bo więcej nie krzyczał. Wokół zapanowała niesamowita, złowieszcza cisza. Słysząc było jedynie rytmiczne uderzenia fal.

Judd zerwał się na równe nogi, odrzucając cygaro, i popędził do wody; nie zadał sobie nawet trudu, by zdjąć buty. Wściekle walczył z oporem morza. Michael znajdował się gdzieś przed nim, niewidoczny w głębokim rowie między spienionymi grzbietami fal.

Judd był zbyt przerażony, by zawołać syna po imieniu. Rzucił się do przodu, wbijając ramiona w fale, które jakby cofały się przed nim rozmyślnie, odpychając go po chwili i pozbawiając sił. Rozwścieczony ich uporem, walczył z furją, jakiej nie doświadczył nigdy wcześniej ani później (Był przekonany, że to wtedy zaczęły się jego kłopoty z sercem. Nigdy już nie czuł się po tej desperackiej walce tak jak dawniej).

Wreszcie, w najbliższym zagłębieniu, ujrzał Michaela, bezwładne małe ciało, do którego jak szmaty przyłgnęły mokre szorty i koszulka. Judd pokonał grzbiet fali i chwycił syna pod pachy. Popłynął z powrotem do brzegu, ciągnąc chłopca. Zdawało się, że prąd morski chce go za wszelką cenę przytrzymać. Kiedy Judd dotarł w końcu do piaszczystego dna, niezwykle silna fala rąbnęła go od tyłu, podcinając nogi, jakby chciała przeszkodzić mu w ucieczce. Ocean przewrócił go dwukrotnie, wciskając w mokry piach, ale on trzymał syna wysoko w górze.

Wreszcie dotarł w bezpieczne miejsce i zaczął robić chłopcu sztuczne oddychanie. Nie było to łatwe, ponieważ sam oddychał spazmatycznie i prawie nie mógł napełnić powietrzem płuc syna. Michael wyglądał dziwnie spokojnie. Łkając z niepokoju, Judd siłą wciskał swój oddech w małe ciało. Poruszał ramionami Michaela, odginał mu głowę do tyłu, klepał go po twarzyczce.

„Proszę – błagał nie wiadomo kogo. – Nie pozwól mu umrzeć. Nigdy więcej o nic cię już nie poproszę”.

Łzy Judda spadały chłopcu na twarz i w końcu Michael zaczął oddychać, potem skarżyć się i popłakiwać. „Dzięki Bogu – powiedział głośno Judd, z trudem łapiąc oddech. – Dzięki Bogu”.

Zadzwoił do miejscowego szpitala i zawiózł Michaela na izbę przyjęć, nim Margery zdążyła z dwojgiem starszych dzieci wrócić z zakupów. Nie znalazła żadnej wiadomości od Judda i zaczęła się już martwić, kiedy ujrzała w drzwiach męża i syna. Michael trzymał w ręku lody, a obaj wyglądali zadziwiająco normalnie poza tym, że mieli zapiaszczone ubrania.

Judd nigdy nie zapomniał tego dnia, jasnego słońca, atmosfery dziwnego spokoju, przerwanej nagłym pojawieniem się zagubionej fali, która porwała syna. Nie zapomniał szaleńczej walki z oceanem, który jawił się w jego umyśle jako złośliwa bestia.

Judd wierzył, że los postanowił tego słonecznego dnia zakończyć życie Michaela i że on, kierowany bezgraniczną miłością do najukochańszego syna, pokrzyżował mu zamiary. Ceną, jaką zapłacił, była choroba serca, którą odkryto u niego wkrótce potem i która prześladowała go do tej chwili. Zapłacił ją z radością.

Wierzył także, że przedwczesne spotkanie Michaela ze śmiercią nadało życiu jego syna szczególne znaczenie i predestynowało go do wielkich rzeczy. Judd robił wszystko, by przygotować Michaela na spotkanie z tym niezwykłym przeznaczeniem. Chciał, by osiągał jak najlepsze rezultaty, by zawsze wygrywał. W ciągu następnych lat, kiedy dokonania Michaela były coraz bardziej olśniewające, Judd zyskał potwierdzenie swego zabobonnego przekonania. Jego własnym, wielkim osiągnięciem jako człowieka było ofiarowanie synowi drugiej szansy.

– Dlaczego pomyślałem o tym właśnie teraz? – zastanawiał się głośno, spacerując wzdłuż brzegu, podczas gdy nad falami wznosił się księżyc. Nagle zrozumiał. Szaleńcze uderzenia ramion Michaela na ostatnim odcinku sztafety olimpijskiej były echem tamtej wścieklej walki

Judda z falami, którą stoczył tak dawno temu. Michael pokonał ten dystans tak, jakby go śmierć goniła. Poniekąd tak właśnie było.

Pod wpływem tego wspomnienia i nocnego powietrza poczuł, że marzną mu stopy i dłonie, zawrócił więc w stronę domu.

Zobaczył Susan, która szła w jego stronę brzegiem morza. Miała na sobie dzinsy i sweter. Jasne włosy rozwiewał wiatr. Uśmiechnął się zadowolony z widoku tej słodkiej nimfy zmierzającej ku niemu pod burzowym niebem.

– Tu jesteś! – zawołała. – Ingrid martwiła się o ciebie. Ujęła go pod ramię i ruszyli razem w stronę domu.

– Co tu robiłeś? Nie zimno ci? – spytała.

– Nie jestem jeszcze taki zramolały, żeby po kolacji nie móc wybrać się na spacer brzegiem morza – odburknął, ale w jego wzroku była czułość, kiedy spojrzał na Susan.

– Chodź, napijesz się guinnessa – zaproponowała.

– Jeśli myślisz, że Ingrid nie robi mi o to awantury, to się mylisz. – Westchnął. – Nic dziwnego, że nie mogę wytrzymać we własnym domu.

Wiatr targał im włosy, kiedy szli obok siebie. Jakby ogrzany przez dotyk synowej, Judd otrząsnął się już z bolesnego wspomnienia.

– Michael dzwonił – poinformowała go Susan. – Było mu przykro, że cię nie zastał.

Judd poczuł ukłucie zawodu. Jego miłość do syna była tak wielka, że przeżywał nawet straconą szansę porozmawiania z nim przez telefon.

– Jak się czuje? – spytał Judd.

– Wspaniale. Tak właśnie powiedział. – Susan się uśmiechnęła. – Wierzę mu. Nigdy jeszcze nie widziałam, by był tak podekscytowany.

– No cóż, czas jest ekscytujący – zauważył Judd, klepiąc ją po dłoni. – Kazał mi coś przekazać?

– Tyle tylko, że cię kocha.

Judd uśmiechnął się z wdzięcznością. Kiedy ujrzał wyłaniający się z mroku dom, miał wrażenie, że słowa Michaela zawierają się w przepelnionym ciepłem dotyku tej pięknej dziewczyny u jego boku. Po długim oczekiwaniu wreszcie wszystko było na swoim miejscu. Los uśmiechał się do Campbellów. Dzięki Michaelowi.

## Rozdział 38

Georgetown  
5 marca

Kiedy wrzawa wokół nominacji Michaela osiągnęła szczyt, Susan zgodziła się udzielić wywiadu Karen Embry.

Nigdy wcześniej nie spotkała się z tą reporterką. Karen wyjaśniła, że pracuje jako niezależny dziennikarz nad serią artykułów o syndromie Pinokia. Odpowiadając na pytanie Susan, dodała, że szczególnie interesuje się problemami służby zdrowia. Artykuły miały tylko pośrednio nawiązywać do polityki. Ich tematem była głównie epidemia i jej wpływ na życie ludzi. „Teraz, kiedy najgorsze jest chyba za nami, przynajmniej w Ameryce, chcę ukazać jakiś ogólny obraz, uchwycić piętno, jakie choroba odcisnęła na ludziach – wyjaśniła. – A ponieważ cała ta sprawa nie pozostała bez wpływu i na pani życie, z powodu Everhardta i Palleschiego, pani opinia będzie miała ogromne znaczenie dla czytelników”.

Susan z początku się wahała. Udzieliła ostatnio tylu wywiadów, że miała w głowie prawdziwy mętlik. Ale reporterka nalegała. „Jest pani jedną z najbardziej elokwentnych żon polityków, w dodatku szczerze wyraża pani wątpliwości co do własnej roli, a także roli męża.

Chciałabym poznać pani poglądy na obecną sytuację, tym bardziej że zajmuje pani teraz wyjątkową pozycję”.

Właśnie dlatego, że dziennikarka okazała zrozumienie dla jej osobowości, Susan ustąpiła. Oczekiwała, że wywiad będzie krótki, i zgodziła się na spotkanie w swoim domu w Georgetown. Czuła się tam bezpieczniejsza, bardziej pewna siebie.

O umówionej godzinie rozległ się dzwonek do drzwi. Kiedy Susan otworzyła, ujrzała młodą kobietę; była mniej więcej takiego samego wzrostu jak ona i w zbliżonym wieku. Uśmiechała się przy tym. Karen Embry była bardzo ładna – miała mleczną karnację i duże oczy o przenikliwym spojrzeniu. Kiedy podały sobie ręce, Susan wyczuła jej energię.

– Dziękuję za spotkanie. Wiem, jak pani musi być zajęta.

– Nie ma problemu. Proszę wejść.

Susan zaprowadziła gościa do salonu, gdzie czekała już kawa. Kiedy Karen Embry szła przez pokój, Susan dostrzegła, że ma dobrą figurę, choć była za chuda. Jej zachowanie odznaczało się lekkim napięciem, sugerującym przepracowanie i brak snu. Susan doskonale to rozumiała.

Delikatny makijaż Karen wymagał drobnych poprawek. Jej czarne włosy, naturalnie lśniące i bujne, zostały uczesane w pośpiechu. Roztaczała wokół siebie atmosferę dziewczęcej świeżości i pewnej niedbałości. Susan instynktownie ją polubiła.

– Napije się pani kawy? – spytała.

– No cóż – uśmiechnęła się reporterka. – Przekroczyłam już dzisiaj swój limit, ale czemu nie? Poproszę.

Susan przyniosła kawę w fajansowych kubkach. Karen wyjęła mały magnetofon z teczki i właśnie instalowała mikrofon.

– Możemy zaczynać? – spytała.

– Oczywiście.

– Pozwoli pani, że na początek spytam, jak pani życie się zmieniło w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Karen Embry podniosła do ust kubek z kawą, obrzucając Susan uważnym spojrzeniem.

– No cóż – odparła Susan. – Moje życie chyba się niewiele zmieniło, może jest tylko bardziej intensywne.

– Reporterzy? Wywiady? Uwaga opinii publicznej skupiona na pani mężu?

– Właśnie. W pewnym stopniu jestem do tego przyzwyczajona. Michael zawsze cieszył się zainteresowaniem prasy, ja także. Oczywiście stawka jest obecnie znacznie wyższa, toteż czujemy się bardziej odpowiedzialni.

– A sytuacja zdrowotna w kraju? – spytała Karen. – Zmieniła się znacznie od czasu, gdy pani mąż został kandydatem na wiceprezydenta.

– To prawda – przytaknęła Susan. – Ludzie odetchnęli. Do tego dochodzi podniecenie związane z pracą Michaela. Czuję się znacznie lepiej niż przed miesiącem.

Susan nie była do końca szczerą. W rzeczywistości nie otrząsnęła się jeszcze po śmierci Dana Everhardta i Kirka Stillmana. Stan Toma Palleschiego, który pogorszył się od stycznia, też spędzał jej sen z powiek. Susan żyła w ciągłym lęku o zdrowie Michaela.

– Jakie są pani odczucia wobec faktu, że pani mężowi zaproponowano stanowisko wiceprezydenta w tak młodym wieku i w klimacie napięcia politycznego?

– Nie jestem do końca z tego zadowolona. Ale prezydent poprosił Michaela o przyjęcie tej funkcji, a ja wierzę, że Michael da sobie radę.

– Co na to inni członkowie rodziny?

– Och, są pod wrażeniem – zapewniła Susan. – Nie mają żadnych wątpliwości. Nie tak jak ja.

Susan uśmiechnęła się na myśl o Ingrid, która już teraz przeglądała garderobę i gromadziła wszystko, czego brat mógłby potrzebować jako wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Judd,

oczywiście, nie myślał o niczym innym jak tylko o kandydaturze syna. Nawet Stewart Campbell, cyniczny historyk, który nienawidził polityków, uległ atmosferze powszechnej ekscytacji.

„To najwspanialsza rzecz – wciąż powtarzał. – Najwspanialsza, jaka mogła się zdarzyć. Mike zostanie pewnego dnia prezydentem. Wiem to”.

Susan uświadomiła sobie teraz istnienie pewnego elementu w psychice Campbellów, którego wcześniej nie dostrzegała. Campbellowie pragnęli sukcesu i uznania, których rodzina była pozbawiona nie tylko podczas ambitnej kariery Judda, ale w ciągu wielu minionych pokoleń, jeszcze w Szkocji. Czuli się oszukani przez świat. Michael zmienił to diametralnie. Niósł teraz rodzinny sztandar, był ich oficjalnym reprezentantem na arenie doczesnego sukcesu. Jego triumfy olimpijskie dowiodły rodzinie, że jest predestynowany do wspaniałej kariery. Lata w Senacie jeszcze bardziej rozbudziły te nadzieje. Lecz tylko Biały Dom mógł wymazać raz na zawsze towarzyszące pokoleniom Campbellów rozczarowanie.

Dobierając starannie słowa, Karen powiedziała:

– Śmierć wiceprezydenta Everhardta i choroba sekretarza Palleschiego musiały chyba panią głęboko zaniepokoić.

Karen nie mogła powiedzieć wprost, że Everhardt czy Palleschi byli ofiarami syndromu Pinokia, gdyż władze nigdy tego otwarcie nie przyznały.

– To było straszne, nadal tak uważam – odparła Susan. – Dobrze znałam Dana Everhardta, od lat spotykaliśmy się z nim i jego żoną, Pam. Danny był uroczym, rozsądnym człowiekiem, jakiego rzadko spotyka się wśród polityków. Przypominał mi bardziej dyrektora szkoły albo trenera niż przywódcę politycznego. Bardzo go lubiłam. – Oczy zaszyły jej łzami. – Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, co go spotkało.

– Mam wrażenie, że identyfikowała się pani z wiceprezydentem Everhardtem, ponieważ sama nie czuje się pani najlepiej jako żona polityka.

– To prawda – przyznała Susan. – Kiedy Michael i ja spotykaliśmy się z Dannym i Pam, nigdy nie rozmawialiśmy o polityce. Chyba udawałam, że jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy cieszą się z niedzielnego grilla. Dzięki Danny’emu. Odpowiadało mi to...

Karen popatrzyła na nią w zamyśleniu. Susan Campbell była ciepłą, czarującą kobietą, ale jednocześnie bystrą, miała też doświadczenie w udzielaniu wywiadów. Umiała stworzyć pewien określony nastrój. Trudno było go zburzyć.

Lecz Karen płacono za to, by naciskała. Postanowiła dotknąć słabego punktu.

– Pani Campbell – zwróciła się do Susan. – Można z łatwością dostrzec pewną prawidłowość, jeśli chodzi o ludzi, którzy mieli zastąpić wiceprezydenta Everhardta. Ta prawidłowość prowadzi w prostej linii do pani męża. Nie martwi to pani?

– Nie rozumiem – odparła Susan. Wydawała się zaskoczona.

– Prawidłowość, której rezultatem jest najmniej oczywisty wybór – ciągnęła Karen. – Sekretarz Palleschi miał wiele wspólnego z wiceprezydentem Everhardtem, jeśli chodzi o osobowość i kwalifikacje. Był niemal idealnym kandydatem. Pan Stillman, choć nieco różniący się od wiceprezydenta, był człowiekiem o niepodważalnej kompetencji i doświadczeniu. Wreszcie dochodzimy do pani męża. Jeszcze niedawno nikt by nie uważał, że Michael Campbell ma dostatecznie dużo doświadczenia i lat, by zostać wiceprezydentem.

– To prawda – przytaknęła Susan. – Michael jest dość miody jak na to stanowisko. Ale jest doświadczony i kompetentny. Zna się na zagadnieniach...

– Tak, wiem o tym – nie dawała za wygraną Karen. – Ale pozostaje faktem, że kandydatura pani męża nigdy nie byłaby brana pod uwagę, gdyby nie te niesprzyjające okoliczności.

– Przypuszczam, że ma pani rację – przyznała Susan.

– Nie dostrzega pani w tym czegoś dziwnego? – drążyła reporterka.

– Wszystko, co dotyczy minionego roku, jest dziwne – odparła Susan. – Tragedia Crescent Queen, epidemia... Jeśli pyta mnie pani, czy żałuję, że to wszystko się stało, to odpowiedź

brzmi „tak”. Wolałabym żyć tak jak przedtem. Pomagałabym Michaelowi wspierać prezydenta i wierzyłabym, że Danny Everhardt dotrwa na stanowisku do końca kadencji. Żyłabym dalej jako żona senatora i nie żądała niczego więcej.

Susan dostrzegła defensywny ton w swoim głosie, ale nic nie mogła na to poradzić. Karen Embry była bardziej niż bezpośrednia. Była natarczywa.

– Czy mimo tych wszystkich okoliczności nadal jest pani taka przekonana o możliwościach Michaela? – dopytywała się Karen.

– Oczywiście – zapewniła Susan. – Wierzę w Michaela. Nigdy w niego nie wątpiłam. Ale niepokoi mnie nasza sytuacja polityczna. Martwię się o przyszłość świata.

– Niepokoi panią nasza sytuacja polityczna? – Karen uniosła brwi. – Co pani ma na myśli?

Susan postanowiła starannie dobierać słowa. Naciskana przez dziennikarkę wkroczyła na niebezpieczne terytorium. Nie przywykła wypowiadać opinii politycznych.

– No cóż, jeśli mam być szczerą, martwi mnie pan Goss. To, co mówi, jest pełne nienawiści, a swych przeciwników politycznych traktuje jak wrogów narodu. Sytuacja na świecie jest tak napięta, że tego typu retorykę uważam za niebezpieczną.

Wyprostowała się, bardzo zadowolona z siebie, że zajęła stanowisko, z którym zgodziłby się każdy rozsądny przywódca.

– Pan Goss ma co do pani męża i prezydenta identyczne zdanie – przypomniała Karen. – Uważa, że sytuacja światowa jest tak poważna, iż prezentowana przez nich postawa umiarkowania ma niemal wydźwięk kryminalny.

Susan przytaknęła.

– Myślę, że wolno mu wyrażać taką opinię. Ale nie przepadam za politykami, którzy posługują się językiem nienawiści i odwetu. Uważam, że trzeba porozumienia i odpowiedzialnej współpracy w budowaniu przyszłości.

Reporterka przyglądała się niewzruszenie swej rozmówczyni.

– Ale wydawało mi się, że nie będziemy mówić o polityce – zauważyła Susan. – Sądziłam, że tematem rozmowy będzie epidemia i jej wpływ na ludzi.

– No cóż, w pani przypadku obie te sprawy łączą się ze sobą – nie ustępowała Karen. – Jest pani kobietą, której przyjaciół dotknęła ta choroba, i żoną polityka, której życie uległo z tego powodu zmianie.

– Owszem, chyba ma pani rację – przyznała Susan.

– Rozprzestrzenianie się syndromu Pinokia zdawało się działać na korzyść Colina Gossa, przynajmniej w sondażach opinii publicznej – ciągnęła Karen. – Przypuszczalne wygaśnięcie epidemii w Ameryce ma od pewnego czasu dość znaczący i pozytywny wpływ na powszechną ocenę skuteczności prezydenta. Co ciekawe, zbiega się akurat z wyborem pani męża na miejsce Everhardta. Czy to pani nie niepokoi?

– Co pani ma na myśli? – spytała Susan.

– Czy nie niepokoi pani wpływ choroby na wyniki sondaży?

Susan zastanawiała się przez chwilę.

– Owszem – odparła. – Podobnie niepokoiła mnie rola, jaką odegrała tragedia Crescent Queen. To dość makabryczne, kiedy poparcie polityków zależy od liczby ofiar.

Karen była pod wrażeniem tej szczerości. Susan Campbell nie przypominała innych żon polityków. Była wrażliwsza, bardziej komunikatywna. A mimo to coś ukrywała. Nikt tego jednak nie dostrzegał; na tym właśnie polegał urok Susan, dlatego wszyscy ją lubili.

Instynkt podpowiedział Karen, że nieprzyjemna prawda spoczywa gdzieś płytko, tuż pod powierzchnią. Postanowiła zaryzykować i dotrzeć do niej.

Wyłączyła magnetofon.

– Mogę panią spytać o coś prywatnie? – spytała.

– Jasne. Oczywiście.

Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani nad faktem, że usunięcie Everhardta, Palleschiego i Stillmana nie było przypadkowe, ale zamierzone, że chodziło o to, by pani mąż znalazł się tam, gdzie jest dzisiaj?

– Co pani ma na myśli? – spytała Susan.

– To, że ktoś inny usunął trzech pozostałych z drogi, tak aby Michael Campbell mógł zostać wiceprezydentem jakieś dziesięć lat za wcześniej?

Susan pobladała.

– Nie, nie przyszło mi to do głowy – wyznała. – Ani razu. Nie rozumiem, dlaczego pani uważa, że powinnam o czymś takim w ogóle pomyśleć.

Trzy zaprzeczenia, pomyślała Karen, uśmiechając się w duchu. Trzy zaprzeczenia były równoznaczne potwierdzeniu. Susan zdradzała oznaki niepokoju.

Karen włączyła magnetofon, potem znów wyłączyła.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziała. – Ale czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym zapaliła?

– Ależ skąd – odparła z uśmiechem Susan. – Trzeba było spytać wcześniej. Strasznie mi przykro, że się pani tak męczyła.

Wstała i poszła po popielniczkę, która stała na komodzie pod ścianą.

Karen, zapalając papierosa, uśmiechnęła się w duchu, ujęta gościnnością gospodyni. Zdawało się, że możliwość ułatwiania innym życia sprawia Susan Campbell niekłamaną przyjemność. Była kobietą, która przez całe życie poświęcała się dla ludzi. W kategoriach psychicznych była to postawa autodestrukcyjna. Miała za mało szacunku dla siebie, by stawiać się na pierwszym miejscu, przed innymi.

Karen zastanawiała się nad jakimś łagodniejszym pytaniem, które stanowiłoby wstęp do bardziej stonowanego dialogu. Nim zdążyła cokolwiek wymyślić, zadzwonił telefon.

– Zechce pani wybaczyć? – spytała Susan z przepraszającym uśmiechem. – Zapomniałam włączyć sekretarkę. Pozwoli pani, że odbiorę.

Zostawiła Karen palącą papierosa w salonie i pospieszyła do kuchni. Zdjęła z bezprzewodowego telefonu na ścianie słuchawkę.

– Halo?

– Witaj, Susan.

Był to głos, który znała już aż nadto dobrze. Jej dłoń trzymająca słuchawkę zadrżała. Czym prędzej schowała się do spiżarni, żeby nie słycać jej było w salonie.

– Czy... mogę oddzwonić? – spytała. – Udzielam właśnie wywiadu...

– Sprawiasz wrażenie przestraszonej, Susan.

Susan milczała. Usłyszała po drugiej stronie cichy śmiech, dziwnie życzliwy.

– Jesteś wystraszona, bo sprawdziło się to, co przepowiadałam. Inni zostali wyeliminowani, żeby zrobić miejsce dla Michaela. Wiesz, że dzieje się coś złego. Wiesz także, że on jest w to wmieszany.

Susan przyszło nagle do głowy, że te okropne słowa to echo pytania, które zaledwie przed chwilą zadała jej dziennikarka.

– A teraz, kiedy Michael został wybrany na wiceprezydenta, epidemia się skończyła. Przynajmniej tutaj.

Głos brzmiał pewnie, kobieta była przekonana o słuszności tego, co mówi.

– Nie rozumiem – powiedziała Susan.

– Zrozumiesz.

– Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać – przekonywała niepewnie.

– To jeszcze nie koniec, Susan. Nic się nie skończyło. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Co masz na myśli?

– Czy nie uderzyło cię, że epidemia zaczęła nagle oszczędzać Stany Zjednoczone? I oczywiście dostrzegłaś, jak to wpłynęło na notowania twojego męża i prezydenta. Śmierć Everhardta i innych to dopiero początek.

– Oszalałaś.

– Susan, Susan. Czyż nie wiesz, że prawda najpierw pali, by potem uzdrawiać? Jest jak środek dezynfekcyjny, który wylewa się na ranę. W pierwszej chwili sprawia okropny ból. Ale zabija zakażenie, które w przeciwnym razie rozprzestrzeniałoby się bez końca, aż wszystko by obumarło.

Susan westchnęła głęboko. Zamknęła oczy, niezdolna do mówienia, niezdolna do odłożenia słuchawki. Z salonu dobiegała woń dymu z papierosa.

– Susan – powiedział znowu głos. – Czy spytałaś go o Harvard?

Spytałaś go, co tam się stało?

Susan westchnęła.

– Nie. Nie spytałam. Jest teraz taki...

– Nieważne. Nic nie straciłaś, zwlekając. Spytaj go teraz. Spójrz mu w oczy, jak będzie odpowiadał. Dojrzysz w nich prawdę.

– Proszę, daj spokój... jaką prawdę?

Jej opór przemawiał jednym głosem, rozpacзлиwa ciekawość – drugim.

– Spytaj go teraz. Kiedy odpowie, zechcesz ze mną pomówić.

– Byłam tam – przekonywała Susan. – Cały czas. Nic się nie wydarzyło. Wiem o tym. Towarzyszyłam mu w każdej minucie.

– Niezupełnie. Czasem wyjeżdżał na weekendy. Pamiętasz?

Susan milczała. Oczy miała zamknięte. Dłoń drżała jej teraz mocniej.

– Tłumaczył się – powiedział głos. – A ty mu wierzyłaś. W rzeczywistości nie miałaś pojęcia, gdzie był, prawda? Całe weekendy poza zasięgiem twojego wzroku.

– Wiem, gdzie był.

– Wiesz to, co ci mówił. Tylko tyle.

– Czego ty chcesz? – dopytywała się błagalnie Susan. – Wysłuchałam cię. Pozwoliłam ci mówić...

– Dlatego jestem z ciebie dumna, Susan. Byłaś na tyle odważna, by słuchać, choć wiedziałaś, że prawda będzie boleć. Jesteś silną kobietą, bez względu na to, co sama o sobie myślisz.

– Czy grozi mu niebezpieczeństwo? – spytała Susan. – Dlatego do mnie zadzwoniłaś? Proszę, powiedz mi, jak mogę mu pomóc.

– Biedna Susan. Wciąż nie rozumiesz, prawda? Nic mu nie grozi. Nie zachoruje jak inni. Nie przejedzie go żaden samochód.

Susan chwyciła się tych słów jak kółka ratunkowego. Ale już wyczuła kryjące się za nimi zło.

– Jesteś tam, Susan? – upewnił się głos.

Jedyną odpowiedzią było pełne zmęczenia westchnienie Susan.

– Posłuchaj, Susan, dam ci lekarstwo, które zabije zarazki raz na zawsze. Lekarstwo, które cię wyleczy.

Nastąpiła chwila ciszy. Susan oparła głowę o półkę w spiżarni, wyczuwając dziwną intymność tamtego głosu.

– Lekarstwem jest to pytanie – wyjaśnił głos. – Spytaj go, co wydarzyło się na Harvardzie. Spytaj go o grę osła. Obserwuj jego oczy, kiedy będzie ci odpowiadał Ja... – zaczęła Susan. Była zbyt wyczerpana, by sformułować odpowiedź.

Po drugiej stronie rozległ się trzask. Rozmówczyni odłożyła słuchawkę.

Susan potrzebowała ogromnego wysiłku, by się pozbierać. Wyszła ze spiżarni i odwiesiła słuchawkę. Zatrzymała się na chwilę przed lustrem w holu, by sprawdzić, czy na jej twarzy



wciąż widać przejęcie wywołane rozmową. Zaskakujące, ale wyglądała zupełnie normalnie. Wróciła do salonu z pozbawionym radości uśmiechem.

– Bardzo przepraszam – usprawiedliwiła się. – Nie wiem, kiedy się wreszcie nauczę włączać sekretarkę.

– Powinna pani robić tak jak ja. – Karen się uśmiechnęła. – Nigdy nie odbieram telefonów. Nigdy. Mam w domu sekretarkę i pocztę głosową. Sprawdzam je, kiedy mam ochotę. Każdy, kto ma konkretny powód, żeby dzwonić, zawsze pozostawi wiadomość i numer. Wariaci i akwizytorzy nigdy tego nie robią.

Słowo „wariaci” zaniepokoiło Susan. Lecz Karen nieświadomie wyświadczyła jej przysługę, mówiąc o sobie. Dzięki temu Susan zyskała minutę, by odzyskać równowagę. Po chwili znów czuła się pewnie.

– Przepraszam, ale zapomniałam, o co pani pytała – powiedziała.

– Nie zadałam kolejnego pytania – wyjaśniła Karen.

– Och.

– Ale zrobię to teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Bardzo proszę.

Susan z obawą czekała na pytanie. Reporterka znów włączyła magnetofon.

– Zastanawiałam się, co według pani jest w tym szczególnym momencie najgorsze dla żony wiceprezydenta, a co najlepsze?

Susan westchnęła z ulgą. Pytanie było niegroźne.

– Jeśli chodzi o najgorsze, odpowiedź jest prosta – odparła Susan. – Przebywanie na świeczniku. Jestem bardzo nieśmiałą osobą. Każde publiczne wystąpienie to dla mnie walka.

– A najlepsze?

Susan zastanawiała się przez chwilę.

– Praca u boku prezydenta i Pierwszej Damy. Oboje są bardzo dobrymi ludźmi. Pracują ciężko, ale to ogromna przyjemność przebywać z nimi. Oboje ogromnie szanuję.

Susan nie powiedziała, że najlepsze, co wiąże się z Białym Domem, to bycie żoną Michaela Campbella. Nie wypowiadała się na temat męża. Karen to dostrzegła.

Wywiad zakończył się serią niegroźnych, niemal czułych pytań dotyczących losów kraju i przyszłości Susan. Po wyłączeniu magnetofonu obie kobiety wymieniły uprzejme uwagi na temat życia w Waszyngtonie. Kiedy Karen zbierała się do wyjścia, Susan przypomniała sobie, że ma do czynienia z ekspertem w sprawach medycznych.

– Sądzi pani, że choroba naprawdę stąd zniknęła? – spytała.

– Syndrom Pinokia? Nikt tego nie wie – odparła Karen. – Nie jest w wystarczającym stopniu rozpoznany. Ale to możliwe. Pamięta pani, jak długo epidemia AIDS koncentrowała się w Afryce? Nawet wyjątkowo zakaźne choroby nie wychodzą czasem poza ograniczone obszary. I proszę nie zapominać o jednym – jak dotąd nie udowodniono, że syndrom może przechodzić z człowieka na człowieka.

– Mam nadzieję, że to już koniec – powiedziała Susan.

– Ja także – zapewniła Karen i wstała z miejsca. – Cieszę się, że znalazła pani dla mnie czas. Musi pani być strasznie zajęta.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Susan kłamała, ale poznanie tej młodej reporterki stanowiło ciekawe doświadczenie. Susan była łagodna, Karen agresywna. Susan była uporządkowana, Karen niezorganizowana. Mimo to miały coś wspólnego, coś, czego Susan nie umiała określić.

– Czy mogę do pani zadzwonić, kiedy będę potrzebowała wyjaśnień dotyczących jakichś szczegółów? – spytała Karen.

– Oczywiście. – Susan uśmiechnęła się, odprowadzając reporterkę do drzwi. – Będzie mi bardzo miło.

– To coś nowego – wyznała Karen. – Większość ludzi nie jest zadowolona, kiedy się do nich ponownie odzywam.

Susan sama się zastanawiała, dlaczego tak powiedziała. Może dlatego, że Karen wydawała się zbyt otwarta, zbyt bezwzględna, by uznać ją za niegodną zaufania. Susan odczuwała potrzebę zawierzenia komuś.

Potem stała w drzwiach i patrzyła, jak Karen idzie szybkim krokiem w stronę swojego wozu, przybrudzonej hondy. Samochód jednak nie ruszył z miejsca od razu. Dziennikarka sprawdzała pewnie notatki albo rozkład zajęć na resztę dnia.

Susan zamknęła drzwi i zniknęła w głębi domu.

Wewnątrz wozu Karen bazgrała pośpiesznie w notatniku, starając się przypomnieć sobie wszystko, co usłyszała przez telefon.

Trzech ludzi wyeliminowanych, by zrobić miejsce dla Michaela.

Prawda jak lekarstwo... zabija zarazki...

Michael nie zachoruje. Żaden samochód nie przejedzie Michaela.

Dziwne, że epidemia oszczędza teraz USA.

To nie koniec...

Karen rozmyślała przez chwilę, mocno zaciskając powieki.

– Cholera – zaklęła głośno. – No dalej. Dalej.

Spytaj go, co się stało na Harvardzie.

Spytaj go o grę osła.

Zapisała ostatnie słowa z westchnieniem ulgi.

Gdy tylko zadzwonił telefon w kuchni Susan Campbell, Karen rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu drugiego aparatu. Stał na stoliku obok niej. Słyszała całą rozmowę między Susan a tamtą kobietą.

– Okej – powiedziała teraz do siebie. – Okej, dzieciaku. Masz od czego zacząć.

Przeprowadziła z Susan Campbell wywiad, by usłyszeć, jak tamta kłamie. Miała nadzieję, że dzięki analizie jej kłamstw dostrzeże skryty w cieniu zarys prawdy. Takie było powołanie każdego reportera, który rozmawiał ze sławnymi ludźmi – zwłaszcza waszyngtońskiego reportera. Uchwycić wszelkie podteksty i połączyć elementy.

Ale dzięki temu telefonowi Karen dowiedziała się znacznie więcej, niż się spodziewała.

Zamknęła notatnik i schowała do torebki. Zauważyła przy okazji złożony kawałek papieru, który spoczywał w jej zakamarkach od dwóch tygodni.

Rozłożyła kartkę i rzuciła na nią okiem. Wiadomość była krótka.

Po wyborze Campbella epidemia oszczędzi Stany Zjednoczone.

Podpisano GRIMM.

Rzeczywiście, epidemia przestała atakować, kiedy Michael Campbell został wybrany przez prezydenta. Słowa na kartce głosiły prawdę.

Ale Karen otrzymała ten e-mail na tydzień przed nominacją Michaela. Sześć dni przed niespodziewaną śmiercią Kirka Stillmana, która doprowadziła do tej nominacji. A więc Grimm dwukrotnie przewidział przyszłość. Cokolwiek się działo w Waszyngtonie, Grimm znał ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni.

Od tej pory zamieszczała codziennie w „Post” osobiste wiadomości dla Grimma. Ale on nie odpowiedział.

Spojrzała na tajemnicze słowa podsłuchanej rozmowy. Pomyślała o głosie, który usłyszała w słuchawce telefonu Susan.

Czy mogła to być ta sama osoba?

Karen złożyła kartkę i schowała z powrotem do torebki. Zapaliła papierosa i patrzyła, jak dym unosi się na tle brudnej szyby.

Harvard.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył od razu. Z wylotów nawiewu dmuchnęło kurzem.

Wrzuciła niecierpliwie bieg. Zbyt mocno wcisnęła pedał gazu i przednie koła wpadły w poślizg, kiedy włączyła się gwałtownie do ruchu.

Spytaj go o grę osła.

## Rozdział 39

Atlanta

8 marca

„Pomimo zapewnień ze strony władz medycznych, że po początkowym wybuchu epidemii nie ma już niebezpieczeństwa, dotknięte nią obszary wydają się zapowietrzane. Przypominają wymarłe miasta. Domy świecą pustkami, na ulicach panuje cisza. To niepokojący widok. Grabieże pozostawionego mienia przybrały poważne rozmiary...”

Colin Goss siedział przy biurku w swoim apartamencie, oglądając taśmę z relacją CNN dotyczącą skutków epidemii syndromu Pinokia na świecie. Goss wychylił się do przodu, kiedy ekran telewizora wypełnił obraz opuszczonej dzielnicy na przedmieściach Londynu.

„Pozbawieni skrupułów przedsiębiorcy wciskają łatwowiernej ludności cudowne leki i preparaty na chorobę – donosił reporter. – Egzotyczne zioła, produkty ekologiczne i preparaty witaminowe nabywane są po zawyżonych cenach w sklepach ze zdrową żywnością albo za pośrednictwem sprzedaży wysyłkowej. Niekiedy skład tych produktów nie odpowiada prawdzie, jak w przypadku prasowanych kości wołowych, sprzedawanych jako kości ogonowe rzadkiego gatunku małą brazylijskich. Władze medyczne próbują ostrzegać ludność przed tymi oszukańczymi preparatami, ale plotki i Internet robią swoje”.

Colin Goss się uśmiechnął. Chciał, by syndrom Pinokia przemawiał do zbiorowej wyobraźni. Nie był rozczarowany. Przerazenie wywołane chorobą, nieznaną od czasu epidemii ospy i Czarnej Śmierci, sprawiało, że cywilizowani ludzie zaczęli zdradzać objawy prymitywnego myślenia, na podobieństwo niewykształconych mas Trzeciego Świata.

„Notuje się znaczny wzrost liczby samobójstw, przestępczości ulicznej i przemocy domowej. Ale najgorsza jest prawdopodobnie nienawiść etniczna wywołana syndromem. Nie tylko dochodzi do walk między grupami skazanymi na sąsiedztwo za sprawą historii i geografii, takimi jak Hindusi i Pakistańczycy. Dostrzega się także oznaki wielkich, krwawych migracji, na podobieństwo aryjskiej inwazji na Bliski Wschód w drugim tysiącleciu przed naszą erą czy inwazji Imperium Rzymskiego na Germanię po narodzinach Chrystusa. Wydaje się, że ludzkość cofnęła się o tysiąc lat...”

Było już ponad jedenaście milionów ofiar syndromu w sześćdziesięciu krajach. Około sześciu milionów zmarło. Władze medyczne już dawno przestały ukrywać przed rodzinami ofiar ich makabryczne deformacje kończyn. Obraz umierających ludzi z poskręcanyimi, zdeformowanymi dłońmi i stopami stał się koszmarnym symbolem wieku, tak jak w dawniejszych czasach rozdęte węzły chłonne ofiar dżumy, dziobata skóra ofiar ospy, wyłysiałe głowy i wyniszczenie ofiar raka i AIDS.

Goss nalał sobie szklanek ulubionej wody mineralnej. Miała leciutki smak jagód jałowca, które rosły w pobliżu jej tokańskich źródeł. Był w doskonałym humorze. Kiedy zadzwonił telefon i odezwał się zatroskany głos konsultanta od public relations, Goss nie przejął się w najmniejszym stopniu złymi wiadomościami.

– Obawiam się, że w ubiegłym tygodniu znowu straciliśmy dwa punkty – poinformował tamten. – Nie rozumiem tego. Na pańskie wystąpienia w Detroit i Scranton przyszło wielu ludzi, poza tym miał pan przez cały tydzień dobrą prasę.

– Nie martw się tym – uspokoił go Goss. – Róbmy dalej swoje.

– Tak, proszę pana. – Mężczyzna nie wydawał się specjalnie pocieszony. – Można by się zastanowić nad zmianą taktyki. Od czasu gdy epidemia wygasła w Ameryce, nastroje ludności uległy zmianie...

– Nie będzie to konieczne – zapewnił Goss. – Kontrolujemy sytuację.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przesłanie nienawiści, propagowane przez Gossa, przestało oddziaływać na ludność, której strach przed epidemią w znacznym stopniu zmalał od stycznia. Im niżej Goss plasował się w sondażach, tym bardziej wzrastało poparcie dla prezydenta – a wraz z nim dla Michaela Campbella.

– Nie martw się o to – powiedział Goss. – Wszystko pójdzie jak trzeba. Zobaczysz. Śpij spokojnie, Ron.

Odłożył słuchawkę i łyknął cierpkiej wody. Spojrzał na ekran telewizora, gdzie pojawiła się relacja o przerażonych Europejczykach i Arabach. Za oknem widać było amerykańską ziemię, ogrzaną promieniami ulgi, jaką przyniosło uwolnienie się od straszliwej choroby. Wraz z ulgą znów pojawił się optymizm i nadzieja na przyszłość.

Dokładnie tak, jak zaplanował to Goss.

Lękliwe pukanie do drzwi gabinetu wyrwało go z zamyślenia. Kiedy otworzył, do środka weszła dziewczyna. Nie wyglądała na swoje osiemnaście lat. Ubrana była w bluzkę i spódniczkę, na nogach miała buty na niskim obcasie. Szyję zdobił jej delikatny złoty łańcuszek. Nie założyła poza tym bransoletki ani pierścionków. Sprawiała wrażenie nieśmiałej i trochę podenerwowanej.

– Nie bój się. – Goss się uśmiechnął. – Podejdź bliżej, żebym mógł ci się przyjrzeć.

Zbliżyła się do biurka niczym wystraszony malec. Miała lekką nadwagę jak na swój wzrost, jakieś pięć czy sześć kilo. Dziecięcy tłuszczyk, pomyślał Goss, z zadowoleniem dostrzegając pod bluzką pączkujące piersi.

– Cieszę się, że mogłaś przyjść – powiedział. – Usiądź, proszę. Podać ci coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Wskazał wielki skórzany fotel. Dziewczyna przysiadła niepewnie na ogromnej poduszce. Goss napił się wody i usiadł naprzeciwko niej.

– A więc zjawiałaś się tu w misji ratunkowej. – Uśmiechnął się. Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że nikomu pan nie powiedział.

– Oczywiście, że nie. Wszystko pozostanie między nami. Goss przyglądał jej się przez chwilę. Miała blond włosy i mleczną karnację, która podkreślała jej niewinność.

– Błado wyglądasz – zauważył. – Powinnaś częściej przebywać na słońcu. Ale przypuszczam, że z powodu szkoły nie masz na to dość czasu.

Nie odpowiedziała. Zagryzła nerwowo wargę.

– Nie denerwuj się – powiedział. – Nie ma czym. Wszystko będzie dobrze.

Spojrzała na niego błagalnie.

– Muszę być pewna, że nic więcej się nie wydarzy – oświadczyła.

– Masz moje słowo – zapewnił. – Nasza dzisiejsza mała transakcja raz na zawsze zakończy całą sprawę. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Grzechy twego ojca zostaną zmasane i od tej pory będzie jak zawsze tylko biznes.

Ojciec dziewczyny był właścicielem dużej firmy software'owej, którą Goss starał się przed rokiem przejąć dla jednej ze swoich filii. Mężczyzna, zawdzięczający wszystko sobie, nie zgodził się na to, by go wykupiono. Rutynowy wywiad ujawnił pewne przestępstwo w jego życiorysie, które mogło zaprowadzić dumnego przedsiębiorcę na dwanaście lata za kratki i zrujnować mu raz na zawsze reputację. Goss przedyskutował sprawę ze swoimi ludźmi i dowiedział się o jego córce. Była jego jedynym dzieckiem, dumą i radością życia.

Ludzie Gossa pracowali nad takimi sprawami cały czas. Ich działania jednak nie zawsze przynosiły rezultaty tak przyjemne jak to piękne maleństwo.

Przytaknęła niespokojnie.

– Nigdy się nie dowie, prawda? – spytała. – To by go zabiło.  
– Nigdy się nie dowie.  
W tej jednej sprawie Goss kłamał. Poza tym mówił prawdę. Zapadło milczenie. Goss patrzył na jej łydki, które zwięzały się ku delikatnym kostkom.  
– Gdyby się jednak dowiedział – uśmiechnął się Goss – byłby dumny. Poświęcasz się, by ocalić dobre imię ojca. Nie mówiąc już o jego firmie.  
Przytaknęła.  
– Jesteś pewna, że nie chcesz się napić? – spytał Goss. – Może odrobinę wina dla ukojenia nerwów?  
Wzięła głęboki, niepewny oddech. Potrząsnęła przecząco głową.  
– Świetnie. A więc zaczynamy. Zdejmij bluzkę.  
Wahała się długą chwilę, odwracając wzrok. Goss przyglądał się uważnie, jakby chciał ocenić jej niepokój.  
W końcu zrobiła to, co kazał; drżały jej palce, kiedy rozpięła guziki.  
– Grzeczna dziewczynka. Teraz stanik.  
Mały stanik zsunął się z ciała, ukazując piersi, które wydawały się nie w pełni rozwinięte. Wyglądała jak uczennica. Zachwyciło to Gossa.  
– Nie zdejmuj spódniczki. Ściągnij majtki.  
Musiała wstać, żeby je zsunąć. Goss przyglądał się z zainteresowaniem.  
– Przynieś mi je.  
Podeszła do niego i podała mu majtki. Goss wziął je i przysunął do ust. Potem powąchał z zadowoleniem.  
– Twój ojciec popełnił błąd – zauważył. – Czyż nie? Zasłaniała piersi skrzyżowanymi rękami. Przytaknęła.  
– Opuść ramiona – nakazał. Zrobiła to zgodnie z poleceniem.  
– Twój ojciec popełnił błąd, za który mogła go spotkać surowa kara w sądzie – ciągnął Goss. – Dzięki tobie i mnie błąd ten zostanie wymazany. Zgadza się?  
Skinęła głową; na jej twarzy malował się cień nadziei.  
– Nigdy się nie dowie, ale ty będziesz wiedzieć – oświadczył Goss. – Zapamiętasz to na zawsze. Będzie to wspomnienie, które napełni cię dumą.  
Patrzyła na niego ze strachem. Goss przyglądał jej się przez chwilę.  
– Zdejmij buty.  
Zsunęła buty, drogie i modne. Dlaczego nie? Miała bogatego ojca, stać go było na dobre rzeczy dla córki.  
– Zdejmij spódniczkę i połóż się na kanapie – polecił.  
Na prawo od biurka stała niska kanapa. Nie miała oparcia, jak szezlong. Dziewczyna popatrzyła na nią niepewnie.  
– Na brzuszku – nakazał Goss.  
Dziewczyna zdjęła spódniczkę i położyła się trochę niezgrabnie. Goss podziwiał jej pośladki i świeżą skórę.  
– Bardzo dobrze – pochwalił. – Jesteś naprawdę urocza. Podeszedł do niej i zaczął głaskać podstawę jej pleców. Zadrżała.  
– Nie bój się – powiedział uspokajającym tonem. – Nie ma czego.  
Przysunął twarz do jej pośladków, czując na wargach jedwabistą skórę. Zaczęła się trząść.  
– Przestań – rozkazał.  
– Nie mogę – odparła płacząco.  
Wstał i zdjął marynarkę i spodnie. Dziewczyna, słysząc szelest ubrania, zaczęła drzeć jeszcze silniej.  
– Przestań! – powiedział ostro.  
– Nie mogę – zatkęła. – To silniejsze ode mnie. Goss położył dłonie na jej udach.

– Jeden mój telefon i jest zrujnowany. Przepadnie wszystko, na co pracowałem. Tego chcesz?  
Potrząsnęła głową. Goss dostrzegł z rozkoszą łzę, która spłynęła z jej twarzy wprost na skórę kanapy. W pozie dziewczyny było coś z zagubienia, coś z samotności, kiedy przygotowywała się na czekającą ją próbę. Goss skinął z zadowoleniem głową.  
– W porządku.  
Poczuła, że dotyka ją w miejscu, gdzie, jak sądziła, nikt nigdy jej nie dotknie.  
– Nie! – krzyknęła.  
– Ty albo on – przypomniał Goss. – Co wybierasz?  
Łkanie wstrząsało ramionami dziewczyny. Dłonie miała zaciśnięte. Goss poczuł w nozdrzach woń młodości i strachu. Wciągnął ją pełen wdzięczności do płuc.  
– Ty albo on. Decyduj się! – warknął.  
– Ja.  
– Dobrze. Dobrze.  
Z uśmiechem na ustach Goss położył się na swojej ofierze.

## Rozdział 40

O ósmej wieczorem, w wietrzny marcowy wieczór, Karen siedziała jak zwykle przy komputerze z podwiniętymi nogami, ubrana w obcięte džinsy i T-shirt, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Obok monitora, na popielniczce, spoczywał zapalony papieros. Nieco dalej stała nieduża szklanka napełniona do połowy czystym bourbonem. Karen postawiła ją tak, by zawartość nie wylała się na klawiaturę, gdyby po pijanemu trąciła niechcący naczynie lewą ręką.

Zgasiła papierosa, podreptała do drzwi z ołówkiem w zębach i otworzyła; ujrzała na progu Joego Kraiga.

– Agent Kraig – oznajmiła. – Co mogę dla pana zrobić?

– Nie przeszkadzam? – spytał.

– Oczywiście, że nie.

Odsunęła się, żeby go przepuścić. Wszedł do przedpokoju, nie zdejmując płaszcza, na którym osiadła wilgoć mgły.

– Przepraszam – zwróciła się do niego Karen. – Powieszę pana płaszcz w łazience.

Pozwolił jej zabrać nakrycie. Mieszkanie cuchnęło dymem papierosowym. Miał wrażenie, że nikt tu nie sprzątał od pół roku. Było jeszcze gorzej niż u niego.

Kiedy wróciła z łazienki, Kraig zauważył, że jest jeszcze chudsza, niż mu się wydawało. Pod T-shirtem sterczały łopatki. Podejrzał, że gdyby go zdjęła, zobaczyłby żebra.

– Nigdy pani nie je? – spytał. – Wygląda pani gorzej niż ostatnim razem.

– Nie mam czasu na jedzenie – wyjaśniła, wskazując kanapę. – Chce pan piwo? Drinka? Bourbona? Wódki?

– Nie, dziękuję.

Siedział sztywno na kanapie, jakby zamierzał lada chwila wstać i wyjść.

– Co pana trapi? – spytała. – Nie wygląda pan na zadowolonego.

Kraig się skrzywił.

– Przeprowadziła pani w zeszłym tygodniu wywiad z Susan Campbell.

Karen przytaknęła.

– Owszem. I co z tego?

– O czym rozmawialiście?

– A jak pan sądzi? O wyborze jej męża na wiceprezydenta. O syndromie Pinokia. Jej obawach. Troskach. I tym podobnych. – Wzruszyła ramionami. – To było zwykłe ludzkie zainteresowanie.

– Wolałbym, żeby zostawiła ją pani w spokoju – powiedział stanowczo Kraig.

– Dlaczego? Nie odniosłam wrażenia, że jest niezadowolona z naszego spotkania.  
Karen zapaliła kolejnego papierosa i opadła na zniszczony fotel naprzeciwko Kraiga, wyciągając przed siebie szczupłe nogi.

– Była poirytowana pani pytaniami – odparł Kraig.  
– Skąd pan wie?  
– Utrzymuję kontakty z nią i jej mężem – wyjaśnił Kraig, obserwując dym krążący nad głową reporterki. – Nie sądzę, by musiała pani z nią koniecznie rozmawiać.

Karen była wyraźnie zaskoczona i zaintrygowana. Po co tak zajęty człowiek jak Kraig miałby zadawać sobie trud, żeby zjawiać się u niej w domu i strofować ją za to, że wykonuje swój zawód? Co starał się ukryć?

– Była wyrozumiała i uprzejma – tłumaczyła Karen. – Rozstałyśmy się w zgodzie. Poprosiła mnie nawet o kontakt. Wydaje mi się, że mnie polubiła.

Kraig patrzył poirytowany, jak Karen zdejmuje z koszulki jakiś strzępek. Jej pełna swobody bez troska w takiej sytuacji wyraźnie go denerwowała.

– Proszę posłuchać – zaczął i machnął ręką. – Do diabła. Niech mi pani naleje.  
– Bourbona? – spytała.  
– To, czego ma pani najwięcej.  
– Z lodem?  
– I wodą.

Wstała i nalała mu bourbona z lodem i odrobiną wody. Poczłapała z powrotem do salonu na bosaka i postawiła przed nim szklankę.

Sączył trunek ostrożnie. Nie lubił już alkoholu. Przyprawiał go o ból głowy. Poprosił o drinka tylko po to, żeby nawiązać z Karen nic porozumienia.

– Pozwoli pani, że coś wyjaśnię – zaproponował.  
– Nie mam nic przeciwko temu – odparła, przyglądając mu się spokojnie znad złączonych kolan.  
– Znam Susan i Michaela od czasu studiów – wyznał. – A samego Mike’a znam jeszcze dłużej.  
– Koledzy z podstawówki – zauważyła Karen z nieznacznym uśmiechem.  
– Susan tak naprawdę nigdy nie przekonała się do życia politycznego – ciągnął Kraig. – Mówiąc szczerze, nienawidzi go. Są dobrym małżeństwem, jak mi się wydaje, ale publiczna, oficjalna strona ich związku dużo ją kosztuje. Nie sypia dobrze. Jest...  
– Nieszczęśliwa? – podsunęła Karen.  
– To trochę za mocno powiedziane.

Kraig kłamał. Przypuszczał, że Susan jest naprawdę nieszczęśliwa. Ale takie życie, sama wybrała. I nigdy by się go nie wyrzekła.

– Jest krucha – mówił dalej. – Pod każdym względem. Tak przynajmniej sądzę. Mocno przeżywała kilka ostatnich miesięcy. Byłoby dobrze, gdyby nikt jej nie niepokoił bardziej, niż jest to absolutnie konieczne.  
– Żona człowieka, który ma zostać wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, nigdy nie będzie mieć spokoju – zauważyła Karen.

Kraig przytaknął ponuro. Łyknął bourbona, którego zapach przypominał mu odrobinę woń polityki.

– Szanuję pani pracę – oświadczył. – Rozumiem, że chciała pani poznać jej zdanie na temat różnych spraw. Zastanawiam się tylko...  
– Nad czym? – spytała Karen, zaciągając się papierosem.  
– Czy powiedziała pani albo spytała o coś, co mogło ją zdenerwować?  
Karen uśmiechnęła się.  
– A pan kim jest, jej stróżem?

– Nie. Ale jestem odpowiedzialny za ludzi, którzy pilnują jej męża – odparł Kraig. – Stan jej umysłu ma w tym wypadku znaczenie. Była wyraźnie podenerwowana, kiedy rozmawiałem z nią o pani wywiadzie.

Karen popatrzyła na Kraiga.

– Owszem, spytałam o coś, co mogło panią Campbell wytrącić z równowagi.

– O co?

– Spytałam ją, czy kiedykolwiek przyszło jej do głowy, że Everhardt, Palleschi i Stillman zostali usunięci, by Michael Campbell mógł zostać wiceprezydentem.

W oczach Kraiga pojawiła się złość.

– Chryste! – zawołał. – Jak można było ją o coś takiego spytać?

– Nie uzyskałam odpowiedzi. Zadzwoił akurat telefon. Poszła go odebrać. Kiedy wróciła, wycofałam się i przez resztę wywiadu pytałam o rzeczy obojętne.

– Dlaczego? – zainteresował się Kraig.

– Co dlaczego?

– Dlaczego sobie pani odpuściła?

– Wyglądała na poruszoną – odparła Karen. – Zorientowałam się, że nie wie nic, co mogłoby mi się przydać, nie widziałam więc powodu, by dalej ją denerwować. Polubiłam ją. Wypuściła kącikiem ust chmurę dymu.

Dziennikarze, podobnie jak politycy, muszą być zawołanymi kłamcami. Obojętne spojrzenie Karen niczym nie zdradzało, że podsłuchiwała rozmowę w domu Susan Campbell. Pytania zadane podczas wywiadu nigdy nie wyprowadziłyby Susan z równowagi tak bardzo jak ta rozmowa telefoniczna.

Kraig wyglądał na niezadowolonego.

– Pytanie jej o to nie było zbyt mądre. Karen potrząsnęła głową.

– Wcale nie, agencie Kraig. To było doskonałe pytanie.

– Skierowane do kobiety jej pokroju? – Kraig potrząsnął głową. – Chryste. Czy musi pani narzucać swe teorie spiskowe ludziom, którzy mają dość własnych zmartwień?

Karen paliła w milczeniu, patrząc na niego.

– No? – Niecierpliwiał się.

– Muszę naciskać pewne guziki. – Wzruszyła ramionami. – To moja praca. Chciałam zobaczyć jej reakcję.

– Ale wycofała się pani.

– Tak. Wycofałam się. Kraig myślał przez chwilę.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem. Odebrała w kuchni.

– Była poirytowana pani pytaniami czy tą rozmową? – spytał Kraig.

– Trudno ocenić. Pewnie moimi pytaniami.

Kraig znowu łyknął mikroskopijną ilość alkoholu. Potem wstał.

– Dzięki za drinka.

– Nie dokończył pan.

– Nie piję dużo. Nigdy nie piłem, szczerze mówiąc.

– Wybaczam panu. – Uśmiechnęła się. Jej twarz, w oprawie wiotkich, ciemnych włosów, nagle odmłodziła.

– Wyświadczy mi pani przysługę? – spytał Kraig. – Proszę ze swoimi teoriami przychodzić do mnie. To ja będę pani udzielał odpowiedzi. Niech pani nie niepokoi Susan Campbell.

– Przychodzić do pana? Coś nowego – zdziwiła się Karen. – Nie mogę zamienić choć słowa z jakimkolwiek pracownikiem rządowym od czasu tego artykułu, który opublikowałam.

– Sam decyduję o wywiadach – oświadczył Kraig.

– W porządku, w takim razie chciałabym usłyszeć pańską odpowiedź na pytanie, które zadałam pani Campbell – oświadczyła zdecydowanie Karen. – Teraz.



Kraig rozejrzał się za płaszczem. Nie dostrzegł go.

– Nie ma żadnych dowodów, że to, co wydarzyło się tej zimy, było celowe – oznajmił. – Żadnych dowodów świadczących o tym, że ktokolwiek stoi za tą epidemią albo że ktoś spowodował chorobę Everhardta czy Palleschiego.

– A ten wypadek Stillmana i ucieczka kierowcy? – Karen nie ustępowała.

– Użyła pani trafnego określenia – odparł gniewnie Kraig. – Zwykły wypadek spowodowany przez pijanego kierowcę, który zbiegł.

– Wierzy pan w to? – spytała Karen.

– Tak! – warknął podniesionym głosem Kraig, chcąc zatuszować własne kłamstwo.

Karen patrzyła na niego nieustępliwie.

– Czy cieszy się pan, że epidemia w Ameryce ustala?

– Oczywiście.

– Nie widzi pan nic niezwykłego w tym, że wygasła zaraz po wyborze Michaela Campbella na miejsce wiceprezydenta Everhardta?

– Jezu! – zawołał Kraig. – Nic pani nie powstrzyma.

Nuta zniecierpliwienia w jego głosie zirytowała Karen.

– Na pana miejscu, agencie Kraig, nie oddychałabym jeszcze z ulgą.

Wstała i poszła do łazienki po jego płaszcz. Jej szczupłe uda poruszały się kusząco pod zmiętymi nogawkami spodenek. Zauważył, że ma ładne stopy. Tak jak dłonie.

Pomogła mu włożyć płaszcz. Popatrzył na nią.

– Jest pani bystrą dziewczyną – zauważył. – Kiedy da pani sobie spokój?

– Kiedy otrzymam sensowne i zrozumiałe odpowiedzi – odparła. – Jak dotąd trudno wytłumaczyć pewne fakty. Zadanie reportera polega na tym, by je wyjaśnić.

Westchnął.

– Umówiliśmy się co do pani Campbell?

Zagryzła w zamyśleniu wargę, studiując z uwagą jego twarz.

– Nie mogę panu tego obiecać – oświadczyła w końcu.

– Jeśli przyłapię panią w jej pobliżu bez zaproszenia, to zatrzymam panią za nagabywanie – uprzedził.

– Nie zjawię się niezaproszona. To mogę panu obiecać.

– Dość uczciwie – przyznał i zabrał się do wyjścia.

– Agencie Kraig.

Jej głos zatrzymał go.

– Co?

– Tak naprawdę sam pan w to nie wierzy, prawda? Everhardt, Stillman, Palleschi... To nie jest zbieg okoliczności.

– Jest, dopóki nie udowodnimy czegoś innego.

– Co chcecie udowodnić? – spytała. – Że jest to zbieg okoliczności czy że nie jest?

Kraig pokręcił głową.

– Dobranoc, panno Embry.

Wyszedł i ruszył szybkim krokiem w stronę parkingu. Wsiadł do nieoznakowanego wozu służbowego. Karen usłyszała, że silnik zawył. Kraig musiał wdepnąć wściekle pedał gazu, kiedy przekreślał kluczyk w stacyjce.

Patrzyła, jak odjeżdża, zastanawiając się, po co w ogóle ją odwiedził. Jego misja rycerza Susan Campbell nie była przekonująca. Miał jakiś inny powód, o którym nie chciał mówić.

Karen zamknęła drzwi i wróciła do komputera. Na jej wargach błąkał się nieznacznym uśmiech, kiedy patrzyła na ekran monitora.

Kraig jechał w stronę domu, przeklinając ruch, który nasilał się pod burzowym niebem.

Dowiedział się tego, po co przyszedł. Karen Embry nie orientowała się, kto zadzwonił do Susan Campbell podczas wywiadu.

Kraig wiedział. Ta wariatka, która tak niepokoiła Susan. Sama Susan mu o tym powiedziała.

Nie wspomniała jednak, że reporterka odważyła się przedstawić jej swoją teorię spiskową. Nic dziwnego, że Susan była zdenerwowana, pomyślał.

Nie zamierzał jej mówić o swojej rozmowie z Karen. Nie było sensu.

Jeśli chodzi o tę reporterkę, Kraig nie mógł powstrzymać jej przed poszukiwaniem prawdy. Ostatecznie konstytucja, której przysięgał strzec, gwarantowała wolność prasy. Ale mógł dziennikarkę ukarać, gdyby nadużyła swych praw. Były sposoby. Wolna prasa to jedno, nieodpowiedzialna prasa to coś zupełnie innego.

Już wiedziała bardzo dużo. Była inteligentna, w porządku. Ale nie znała treści tej rozmowy.

– Dzięki Bogu i za to – powiedział w zadumie, włączając się w strumień wozów.

## Rozdział 41

Waszyngton

10 marca

Michael Campbell był w siłowni.

Kończył wyciskanie sztangi na leżąco. Sto czterdzieści kilogramów, osiem razy. Zaczął od dziewięćdziesięciu, potem zwiększył do stu dziesięciu. Potem sto dwadzieścia pięć, wreszcie sto czterdzieści. Zauważył kilka lat wcześniej, że ma za mało masy mięśniowej, by podnieść więcej niż sto czterdzieści.

Ramiona paliły go po ostatniej próbie. Siedział przez długą chwilę i czekał, aż uspokoi mu się oddech. Potem rozłożył się na macie, żeby ponapinać mięśnie. Jego terapeuta nauczył go dawno temu, że przy takich problemach z kręgosłupem częste ćwiczenia to konieczność. Nie mógł dopuścić, by mięśnie pleców mu zeszywniały.

Położył się na plecach i skrzyżował obie nogi w lewo, napinając podstawę kręgosłupa. Potem obie nogi w prawo, wreszcie zrobił mostek i koci grzbiet, by rozciągnąć kręgosłup do przodu i tyłu. Miał na sobie wełniane spodnie, pas chroniący przed przepukliną i podkoszulek, który zdążył już przesiąknąć potem.

Leżąc na plecach, pomyślał o Susan. Kiedy kochali się po operacji, na samym początku ich pożycia, też tak leżał. Rozebrała się na jego oczach i usiadła na nim okrakiem, jej piękne piersi zawisły nad nim, ciepłe kolana dotykały żeber. Kiedy zniżyła łono, by nakierować go w siebie, doznał wbrew swej woli orgazmu i strzelił nasieniem na jej palce. Był ogromnie zakłopotany. Susan jednak uśmiechnęła się i powiedziała: „Pochlebia mi, że tak bardzo mnie pragniesz”. Jej wyrozumiałość go wzruszyła.

Później, kiedy w pełni wyzdrowiał, kochali się w klasycznej pozycji, ona leżała na plecach. Lubiła głębszą penetrację, jaką mógł osiągnąć, gdy wysoko zadzierała nogi i oplatała go nimi. Chciała czuć się otwarta, pragnęła, by brał ją całkowicie.

Teraz kiedy kochał się z Leslie, zazwyczaj leżał na plecach. Jeśli chodzi o Susan, wolał być na górze. W jakimś sensie różnica pozycji symbolizowała odmienne relacje łączące go z obiema kobietami. Susan pragnęła być pasywna, chciała, by to on przejmował inicjatywę. Leslie lubiła nad nim dominować, wykorzystywała swoje sztuczki, by zmusić go do szczytowania, kiedy chciała.

Michael podniósł się z westchnieniem, by dalej wyciskać. Kucając pod sztangą, zaczął od osiemdziesięciu pięciu, by z wolna zwiększać ciężar do stu dwudziestu pięciu. Była to główna część jego ćwiczeń. Ciężar oddziaływał bezpośrednio na plecy. Tam gdzie były osłabione przez skoliozę i dwie operacje.

Osiem razy. Potem odpoczynek i znowu osiem. Musiał zachować ostrożność. Trzeba było pamiętać o właściwym rozłożeniu nacisku. Gdyby pozwolił, by pewne określone mięśnie przyjęły na siebie zbyt duży ciężar, dolna część kręgosłupa nie wytrzymałaby i wyładowałby w łóżku na całe tygodnie.

Michael miał niemal idealne ciało jak na mężczyznę w swoim wieku. Ramiona i bicepsy były teraz nieco szersze niż wówczas, gdy uprawiał pływanie wyczynowe. Poza tym jednak wyglądał jak dwudziestoletni lekkoatleta. Kobiety śniły o jego klatce piersiowej, płaskim brzuchu, długich nogach. Przed dwoma laty jakiś fotograf zrobił mu zdjęcie, jak porywa Susan w ramiona na hawajskiej plaży; trafiło do wszystkich serwisów. Zabawy pięknej pary, jak powiedziano. Michaelowi nie przeszkadzało, że słynie z fizycznej atrakcyjności. W polityce człowiek się uczy, jak wykorzystywać to, czym jest obdarzony. Nawet teraz specjaliści zatrudnieni przez Biały Dom przedstawiali go jako okaz zdrowia i siły.

Ale Michael nie ćwiczył tylko po to, by dobrze wyglądać. Dawało mu to poczucie siły. Życie polityka sprawiło, że był bardziej odsłonięty na ciosy niż inni ludzie. Nawet zagrożony.

Pomyślał o Danie Everhardcie. Dan był dobrym przyjacielem i oddanym kolegą. Teraz leżał martwy. Tom Palleschi, jeden z najbardziej atletycznych ludzi w Waszyngtonie, też miał niebawem umrzeć. Kirk Stillman, legenda wśród dyplomatów, został właśnie pochowany w swym mieście rodzinnym Glenview w Illinois.

Świat nie był bezpiecznym miejscem. Bezpieczeństwa nikt nie mógł zagwarantować raz na zawsze. Było wałem obronnym, który wznosiło się siłą swych rąk i mocą swej woli. A siła czasem znaczyła przemoc.

Przemoc, jak wierzył Michael, nie stanowiła jakiegось szczególnej aberracji, bez względu na to, co mówili politolodzy i historycy. Jedno spojrzenie na dzieje stosunków międzynarodowych nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że fale przemocy, które zalewały w regularnych odstępach świat, wynikały z czegoś, co tkwiło głęboko w naturze człowieka, który musiał to wyrażać co kilka lat, chociażby po to, by pokazać, że jest istotą ludzką. Afryka, Bliski Wschód, Bałkany – prędzej czy później dotykało to wszystkich. Cywilizacja była środkiem pozwalającym zahamować przemoc, wojna zaś środkiem pozwalającym wypuścić nagromadzoną parę, pozbyć się złej krwi. Wojna i ludobójstwo.

Przemocy nie dało się zatrzymać. Co wcale nie oznaczało, że nic się nie da zrobić. Można było walczyć, by chronić przed nią własną rodzinę i własny kraj. Można było podejmować środki, być przebiegłym, przewidywać. Jeśli ktoś się dobrze spisał, przemoc mogła zabrać tym razem kogoś innego. Nie swoją żonę, nie swoje dziecko, nie swoich bliskich.

Michael pomyślał o Susan. Była taka delikatna, taka wrażliwa. Odczuwał przemożną potrzebę chronienia jej przed krzywdą. Ponieważ nie mieli dzieci, ta potrzeba skupiła się całkowicie na Susan. Świat był okrutny, a on musiał strzec jej przed jego okrucieństwem.

Nie mógł tego jednak dokonać, chowając głowę w piasek. Musiał stanąć na pierwszej linii i dokonywać trudnych i bolesnych wyborów, koniecznych do obrony kraju. Gdyż w ostatecznym rozrachunku kraj ten był naczyniem skrywającym osobę Susan, murem obronnym strzegącym jej życia.

Trudne i bolesne wybory. Czasem odrażające. Świat nie był miłym miejscem.

Trzydzieści pięć lat życia – z tego niemal dwanaście w służbie publicznej – nauczyło Michaela, że Stany Zjednoczone Ameryki nie mogłyby przeżyć, gdyby kontynuowały obecny kurs. Bezsensowny mord trzech tysięcy ludzi w World Trade Center ukazał to aż nadto dobitnie. Tak jak zbombardowanie Crescent Queen. Cywilizowane kraje nie mogły czekać biernie i przyglądać się, jak terroryści i kraje terrorystyczne niszczą ich instytucje.

Nadszedł czas na zmianę. Michael miał być częścią tej zmiany. Tak samo Colin Goss.

Ameryka stała na progu złotego wieku. Ale wpieryw kraj musiał przetrwać. Właśnie przetrwanie było najważniejsze. A Judd Campbell określił to najlepiej, kiedy Michael był jeszcze chłopcem. „Czasem jedynym sposobem, by przeżyć, jest zwycięstwo”.

Nic nie może zakłócić planu. Jeszcze kilka miesięcy, kilka trudnych bitew i walka będzie wygrana. Tymczasem, jak często powtarzał Michaelowi Colin Goss, trzeba nosić zbroję, nie spuszczać oka z celu i nie pozwalać sobie na jakiegokolwiek uczucia.

Erotyczne myśli, które naszły Michaela podczas ćwiczeń, nie opuściły go przez całe popołudnie. Bez przerwy marzył o gładkim ciele Leslie i zmysłowej miękkości Susan. Wiedział, że nie zdoła się wymknąć, by zobaczyć się tego dnia z Leslie. Nawet w tym tygodniu mu się nie uda. Po prostu nie było czasu.

Wrócił do domu przed siódmą pomimo godzin szczytu. Na kolację zjawili się Judd i Ingrid. Michael szykował drinki, podczas gdy Susan razem ze szwagierką podgrzewały przekąskę, małże według specjalnego przepisu matki Michaela. Potem zasiedli wszyscy do pieczonych żeberek przygotowanych przez Susan. Było miło, ale Michael chciał jak najszybciej znaleźć się sam na sam z żoną. Z radością usłyszał, jak Ingrid zaczęła nalegać, by Judd wrócił do domu i położył się wcześniej spać.

Wyszli o dziewiątej, gdyż czekała ich jeszcze długa jazda. Ingrid usiadła za kierownicą cadillaca Judda; sprawiała wrażenie szefa, kiedy jej ojciec oparł się sennie o boczną szybę.

Michael objął Susan w tali, kiedy tylko drzwi się zamknęły.

– Kochajmy się – wyszeptał jej do ucha.

Pociągnął zamek błyskawiczny przy jej sukni, gdy opuszczała żaluzje, i ściągnął jej sukienkę do pasa, nim zdążyli dotrzeć do szczytu schodów. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, ignorując uwagi o jego przeciążonym kręgosłupie.

– Tak bardzo cię pragnę – wyznał, całując żonę. Poczuł, jak nabrzmiewają mu pod dłońmi jej piersi.

Ich miłość była szybka i gwałtowna. Ledwie Susan zdjęła majtki, kiedy Michael był już w niej, poruszał gwałtownie biodrami i chował twarz w jej włosach. Zarażona jego podnieceniem, oplotła go nogami i zacisnęła je mocno.

– Och, Michael – wyszeptwała.

– Jesteś taka piękna...

Trzymał dłonie pod nią, głaszcząc jedwabistą skórą na krzyżu. Jej język był w jego ustach, pieszczotliwy, ruchliwy. Z krtani dobył mu się pomruk.

Poruszał się mocniej, czując, jak wzbiera w nim ostatnia fala. Susan była taka słodka i czysta; jasnowłosa księżniczka...

Kiedy trysnął w nią nasieniem, usłyszał, jak szepcze jego imię.

Leżeli potem długą chwilę, ich rozpalone oddechy uspokajały się z wolna. Wciąż tkwił w niej, niezmiennie twardy, całował jej policzki i włosy. Kochał jej zapach, ten złożony aromat, łączący niewinność dziecka z subtelną wonią kobiecej zwierzęcości.

Leżeli jakiś czas w milczeniu. Potem Michael wstał i poszedł wziąć prysznic. Susan jak zwykle zamierzała zrobić to znacznie później. Dokuczała jej bezsenność, podczas gdy Michael kładł się spać przed jedenastą.

Wrócił do sypialni i dostrzegł, że Susan leży przykryta prześcieradłem, wciąż naga; pod materiałem można było dostrzec zarys jej sutków. Położył się obok.

– Moja dziewczyna – powiedział. Zanurzył twarz w jej piersiach.

– Michael – odparła.

Zrozumiał, że omdlenie wywołane seksem już minęło. Wyczuł w niej napięcie.

– Tak? – spojrzał jej w oczy.

– Czy na Harvardzie coś się wydarzyło? – spytała.

– Co? – sprawiał wrażenie rozbawionego. – Nie rozumiem, co się miało wydarzyć?

– Czy była jakaś gra? – spytała Susan.

– Gra? Jaka gra?

– Coś z osłem. – Głos miała pewny, ręce trzymała wzdłuż boków. – Gra osła.

Michael usiadł.  
– Co? Co powiedziałaś?  
– Gra osła – powtórzyła.  
– Kochanie, nie wiem, o czym mówisz. To jakaś zagadka? Leżała z głową na poduszce, patrząc mu w oczy.  
– Nie wiesz, o czym mówię? – upewniła się.  
– Nie.  
Michael był wyraźnie zaskoczony. Nic nie rozumiał.  
– Jesteś pewien?  
– Oczywiście, że jestem.  
W jego piwnych oczach malowała się niewinność.  
– Mniejsza z tym – powiedziała w końcu Susan.  
Nachylił się, by ją pocałować. Jej oczy, szeroko otwarte w ciemności, przymknęły się, kiedy poczuła jego dotyk.

## Rozdział 42

„Biały Dom przypuścił dziś kontratak po płomiennej przemowie Colina Gossa, którą wygłosił ostatniego wieczoru w Chicago do weteranów wojen. Sekretarz prasowy Anspach oświadczył, że prezydent będzie nadal zajmował stanowisko przeciwnika terroryzmu, i wzywa Colina Gossa, by zrobił to samo. Sekretarz wspomniał także o niejasnych interesach, jakie przeprowadza się w ogromnym imperium Gossa, nie podał jednak żadnych szczegółów”.

Kobieta przerwała sprzątanie, by posłuchać wiadomości. Spojrzała na ekran telewizora w nadziei, że zobaczy postać Michaela Campbella, ale program został przerwany przez reklamę.

Włączyła odkurzacz i dokończyła czyszczenia podłogi w salonie. Potem odkurzyła zasłony, które były trochę brudne. Wreszcie wyłączyła urządzenie i rozejrzała się po pokoju.

Na półkach stały tanie wydania książek ulubionych autorów jej gościa, między innymi Ann Tyler, Sue Miller i Agathy Christie. Był wśród nich także zbiór opowiadań Somerset Maughama i wydanie dzieł wszystkich Jane Austen w miękkiej oprawie.

„Vanity Fair”, „Cosmopolitan”, „New Yorker”. Kilka egzemplarzy każdego z tych pism czekało już w stojaku na prasę. Każdego ranka miało pojawiać się świeże wydanie „New York Timesa”.

Obok małego telewizora, na którego ekranie pomrukiwała jakaś reklama, stało kilkanaście kaset wideo i płyt DVD, zakupionych za znaczną sumę pieniędzy. Filmy Bogarta takie jak Mroczne przejście, Wielki sen i Afrykańska królowa, a także filmy Raya Millanda z lat czterdziestych, w tym Wielki zegar i Stracony weekend. Również kilka obrazów z Johnem Garfieldem, między innymi Siła zła i Umowa dżentelmeńska, i parę nagranych z telewizji, z Charlesem Boyerem, Gary Cooperem, Jamesem Stewartem i innymi gwiazdami lat trzydziestych i czterdziestych.

W kuchni można było znaleźć jedzenie niskokaloryczne, takie jak muesli, warzywa, mleko odtłuszczone czy płatki. W lodówce stała cola dietetyczna, w spiżarni – woda mineralna. W łazience poukładano kosmetyki hipoalergeniczne – jej gość cierpiał na alergię – i zapas perfum od Alfreda Sunga. Mydło Camay na wannie. Szampon Pantene.

Nie zapomniano o piżamie, strojach gimnastycznych i odzieży na co dzień w odpowiednim rozmiarze. Ani też o rowerze do ćwiczeń, nie było jednak bieżni.

Reklamy się skończyły. Kobieta stanęła przed telewizorem, nasłuchując. Gdzieś nisko przelatował samolot, musiała więc zwiększyć siłę głosu, żeby dobrze słyszeć.

Komentatorzy rozmawiali o senackiej debacie w sprawie nominacji Michaela Campbella na stanowisko wiceprezydenta. Większość opowiadała się za kandydaturą, ale senatorowie lojalni wobec Colina Gossa opóźniali podjęcie decyzji, przeciągając wystąpienia i stosując parlamentarne sztuczki.

Odtworzono fragmenty przemowy Michaela Campbella wygłoszonej poprzedniego wieczoru na Uniwersytecie Illinois.

„Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebujemy w Białym Domu człowieka, któremu moglibyśmy zawierzyć – mówił. – Człowieka, który zasłużył na nasze zaufanie w ciągu dwudziestu pięciu lat służby publicznej. Człowieka, w którego przenikliwość nie wątpimy i nigdy nie będziemy wątpić. Z dumą oświadczam, że człowiekiem tym jest prezydent. Jestem dumny, że wybrał właśnie mnie, bym współpracował z nim jako jego zastępca, i pragnę nadal z nim współpracować, kiedy jego kadencja dobiegnie końca”.

Usiadła na dywanie, przyglądając się młodzieńczo przystojnej twarzy Michaela, która rozpromieniła się w uśmiechu, gdy publiczność wyraziła głośnym aplauzem poparcie dla jego słów. Szczera twarz, niewinna, zbyt świeża jak na ten wiek. Twarz skojarzona z ciałem, o którym fantazjowały miliony kobiet, ciałem, którego blizny zaświadczały o heroicznym czynach.

Przytaknęła z wolna. Kołysała się leciutko tam i z powrotem. Z jej gardła dobył się niski dźwięk, pomruk czy raczej jęk. Za oknem znów rozległ się huk, tym razem startował większy odrzutowiec. Nie słyszała go.

Nagle usiadła wyprostowana. Na ekranie pojawiła się Susan Campbell, która udzielała jakiegoś wywiadu. Miała na sobie jasnyniebieską sukienkę, a w uszach złote kolczyki w kształcie kół. Lekko się uśmiechała, słuchając uważnie pytań swego rozmówcy. „Jest pani gotowa przeprowadzić się do Białego Domu?”. – „Och, nie sięgam tak daleko myślą w przyszłość. Jeśli kandydatura Michaela zostanie zaaprobowana, zrobię wszystko, o co mnie poprosi”. – „Czy widzi pani siebie jako Pierwszą Damę Stanów Zjednoczonych po następnych wyborach?”. Susan się zaczerwieniła. „Och nie. Nie myślę o tym”.

Jak można było przewidzieć, media uzupełniały wszelkie relacje o Campbellach nagraniami wypowiedzi Susan. Była oczywiście osobą numer jeden jako żona przyszłego wiceprezydenta. Ale była też towarem medialnym. Symbolem seksu. Ilekroć jej twarz pojawiała się na ekranie telewizyjnym albo okładce magazynu, kobiety to dostrzegały.

Tym samym media stały się nieświadomym narzędziem Białego Domu, podsuwając twarz i głos Susan niczym kuszącą zakąskę, gdy tylko pojawiała się kwestia wiceprezydentury. Dosłownie sprzedawały Susan jako ewentualną Pierwszą Damę. Tak wyglądał obiektywizm środków masowego przekazu.

Po chwili znów pojawiła się twarz sekretarza prasowego, który kończył już konferencję prasową. Kobieta ponownie ściszyła fonię. Wstała i przeszła się wolno po mieszkaniu. Jedzenie, muzyka, rozrywki. Ubrania. Telewizor. Wygodne podwójne łóżko. Czyste, proste otoczenie. W sam raz na dłuższy pobyt, jeśli zajdzie taka konieczność.

Usiadła na kanapie, świadoma stłumionych odgłosów ruchu ulicznego za oknem. Wystartował kolejny samolot, wprawiając szyby w leciutkie drżenie.

– W porządku, Susan – powiedziała głośno. – Jestem gotowa na twoje przyjście.

## Rozdział 43

Georgetown  
28 marca

Był piątek. Michael spędzał weekend w Kalifornii, uczestnicząc w konferencji poświęconej sprawom środowiska naturalnego. Susan miała zostać sama do wtorku.

Była umówiona tego ranka z Gaiłem Osborne'em, waszyngtońskim nestorem wywiadów towarzyskich. Teraz, jako żona przypuszczalnego wiceprezydenta, wszyscy o nią zabiegali.

Jednak Gail zachorował na grypę i spotkanie trzeba było odwołać. Producent programu zadzwonił z przeprosinami i spytał, czy można ponownie ustalić datę wywiadu. Susan się zgodziła.

Odkładając słuchawkę, zajrzała do swego kalendarza. Stwierdziła ze zdziwieniem, że nie jest z nikim tego dnia umówiona. Obiad z kierownictwem Ligi Kobiet został odwołany, a wystąpienie w Izbie Handlowej w Baltimore było zaplanowane dopiero na poniedziałek.

Oczywiście dzwoniли dziennikarze z prośbą o wywiad albo politycy z ważną wiadomością w takiej czy innej sprawie i zostawiali informacje na sekretarce. Susan jednak nie musiała odpowiadać, jeśli nie chciała.

Nadarzała się wspaniała okazja, by zaaplikować sobie dawkę prawdziwej samotności i relaksu. Wystarczyło tylko wyjechać z domu. Zniknąć na jeden dzień. Albo nawet na cały weekend.

Susan zastanawiała się nad tym przez kilka minut. Potem zadzwoniła do swojej sekretarki, Deborah, i powiedziała, że ma migrenę. Postanowiła spędzić popołudnie w łóżku.

Odłożyła słuchawkę, poszła do sypialnianej garderoby i otworzyła pudło na górnej półce. Chowiała w nim perukę, którą wkładała przed wizytami u swego psychiatry w Baltimore.

Usiadła przy toalecie i włożyła perukę, uzyskując jak zawsze niezwykle efekt. Peruka odciągała uwagę od twarzy Susan.

Susan uzupełniła przebranie parą wąskich dżinsów, obcisłym podkoszulkiem, króciutką skórzaną kurtką i ciemnymi okularami.

Spakowała torbę podróżną i nie pozostawiając żadnej wiadomości, wyszła z domu.

Celem jej wyprawy był mały domek w Pensylwanii, który Michael kupił tuż po ślubie. Chata stała nad niewielkim jeziorkiem, w głębi zalesionego terenu w południowej części stanu. Łatwo było tam dotrzeć z Waszyngtonu, miejsce jednak było odludne. Nad jeziorem wybudowano jeszcze tylko kilkanaście podobnych domków, toteż zawsze panowała tam cisza.

Susan nie była w tym miejscu prawie od dwóch lat. Jej program zajęć, tak jak i Michaela, był zbyt napięty, by mogli pozwolić sobie na wolny weekend. Często tęskniła do małego, wiejskiego domku z jego ogrzewaniem na butlę gazową i źródlaną wodą. Tego dnia zamierzała pojechać sama.

Wsiadła w małe MG, z którego praktycznie nie korzystała, i wydostała się z miasta. Ruszyła trasą szybkiego ruchu w stronę drogi 270 i jechała bez zatrzymywania się przez godzinę. Kupiła lunch w okienku dla kierowców w McDonalddie, na zatłoczonej bocznej drodze. Potem ruszyła dalej.

Nagle postanowiła zatrzymać się w Hagerstown, żeby obejrzeć na przedpołudniowym seansie komedię romantyczną *Right of Way*, na którą chciała się wybrać z Michałem, tyle że na to były niewielkie szanse. Kupiła w kinie popcorn i colę. Nikt jej nie rozpoznał.

Po filmie ruszyła autostradą międzystanową numer 81 w głąb Pensylwanii, następnie zjechała na lokalne drogi prowadzące nad jezioro. Nie słuchała w samochodzie radia, nie zwracała też uwagi na gazety podczas postojów. Miała dosyć spraw tego świata, przynajmniej na ten dzień.

Światło popołudnia zaczęło przygasać, kiedy dotarła do wyboistej drogi wiodącej bezpośrednio do jeziora. Zagłębienia były wypełnione błotnistą wodą, która ochlapywała karoserię małego wozu. Włączyła wycieraczki, ale tylko rozmazywały brud po szybie, ograniczając widoczność. Tłukła się po wybojach sześć czy siedem minut, nim dotarła do chaty.

Miejsce było czyste i zadbane. Stróż pilnował otoczenia domku, obcinając gałęzie zwisające nad dachem, konserwując pomost i tak dalej. Nikt jednak nie sprzątał w środku. W domku nie powstała ludzka stopa od czasu, gdy Susan była tu z Michaeliem po raz ostatni.

Susan zaparkowała samochód na stromym podejździe i ruszyła w stronę chaty. Oba zamki chodziły lekko, toteż bez trudu przekręciła klucz. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Wewnątrz panował przejmujący chłód. Włączyła piec, drząc z zimna pod cienkim ubraniem. Znalazła w szafie w sypialni sweter i włożyła. Potem postawiła czajnik na gazie, żeby zaparzyć herbatę.

Zamierzała spędzić tu noc, siedząc przed kominkiem i popijając grog. W domku był odtwarzacz kompaktowy i kilka starych płyt. Pomyślała, że posłucha muzyki; doszła do wniosku, że lepiej będzie zrobić kolację z puszek w spiżarce. Nie zamierzała ryzykować wizyty w miejscowym sklepie, gdzie ktoś mógłby ją rozpoznać.

Przyświecał jej prosty cel: zrobić sobie wagar. Chciała wziąć urlop od swego życia co najmniej na dwadzieścia cztery godziny. Nazajutrz zamierzała zadzwonić do Ingrid, powiedzieć, gdzie jest, i zdecydować wtedy, czy zamierza spędzić w tym miejscu także niedzielę. Bardzo potrzebowała tego wypoczynku.

Wnętrze domku zaczęło się z wolna nagrzewać. Otworzyła małą szafkę pod telewizorem i rzuciła okiem na niewielką kolekcję kaset. W oko wpadł jej Pokój z widokiem, czarująca komedia romantyczna z lat osiemdziesiątych, na podstawie powieści E. M. Forstera, której Susan nigdy nie czytała. Postanowiła, że obejrzy ten film tego wieczoru.

Spojrzała na kominek. Były w nim świeże polana i podpałka, pozostałość po ich ostatniej wizycie. Michael lubił go oczyścić i przygotować na następny przyjazd.

Susan otworzyła przewód kominowy, spryskała drewno płynem łatwopalnym i wsunęła do kominka zapaloną gazetę, od której zajęła się podpałka. Potem odsunęła się i przyglądała, jak ogień nabiera mocy.

Skaczące płomienie wprawiły ją w zachwyt. Oto w tym odludnym miejscu, z dala od wszelkich trosk świata, sama przygotowała palenisko. Usiadła przed kominkiem ze skrzyżowanymi nogami, zamknęła oczy i zaczęła się rozkoszować ciepłem, które pieściło jej policzki i nogi. Tak bardzo ją ukoilo, że niemal zasnęła na siedząco. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Już od miesiąca nie wyspała się porządnie. Miała nadzieję, że tej nocy będzie inaczej.

Zaczęła zastanawiać się nad kolacją, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zerwała się z miejsca, zerkając w lustro. Wciąż miała na głowie perukę. Przyszło jej do głowy, że wygląda dość dziwnie.

Nie bardzo mogła zignorować natręta. Na zewnątrz stał jej samochód, a dym uchodzący z komina nie pozostawiał wątpliwości, że ktoś jest w domku.

– Kto tam? – zawołała.

– Pani Bender, sąsiadka – dobiegł kobiecy głos. Po chwili powiedział coś jeszcze, czego Susan nie dosłyszała.

– Słucham? – spytała, uchylając odrobinę drzwi. Na zewnątrz stała kobieta, ubrana zbyt lekko, tylko w sweter i dżinsy.

– Witam, jestem nową sąsiadką z naprzeciwka – wyjaśniła. – Myślałam, że nikogo nie ma, ale zobaczyłam dym i przyszłam. Znajdzie się u pani przypadkiem butla z gazem, którą mogłabym pożyczyć? Właśnie mi się skończyła, a męża akurat nie ma.

Susan nie przypominała sobie tej kobiety, ale nie zaglądała tutaj od dwóch lat.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Proszę wejść, sprawdzę.

– Strasznie mi przykro, że zawracam pani głowę.

Kobieta najwyraźniej jej nie rozpoznała, co bardzo ucieszyło Susan.

– Wprowadziliście się państwo niedawno? – spytała, otwierając drzwi spiżarki.

– Tak, tej jesieni. Uciekliśmy tutaj, w każdym razie na jakiś czas. Mój mąż...



– Jestem pewna, że mam gdzieś tu zapasową butlę – zapewniła Susan. – Nie wiem, czy jest pełna...

– Och, nie potrzeba mi wiele. Zapłacę pani jutro. Gdybym tylko miała tę przeklętą komórkę, tobym mu powiedziała, żeby od razu podjął trochę pieniędzy. Nigdy się nie mogę do niej przyzwyczać.

– Doskonale panią rozumiem. – Susan się uśmiechnęła, choć jej niechęć do telefonów miała inne źródło.

Dostrzegła mały pojemnik z gazem, trzymany na wszelki wypadek w spiżarni wraz z zapasowymi bateriami i żarówkami.

– No i jest.

Nachylała się, żeby go wziąć, kiedy zdała sobie sprawę, że w głosie kobiety jest coś znajomego. Nim zdążyła się nad tym zastanowić, poczuła coś wilgotnego na ustach i nosie. Jej zmysły podrażniła przenikliwa woń chloroformu.

Susan była całkowicie zaskoczona. Próbowała się wyprostować, ale trzymały ją zadziwiająco silne ręce.

– Czekaj! – krzyknęła wprost w wilgotny materiał. Ale opary już zaczęły działać. Obracała głową na wszystkie strony, starając się nie oddychać. Na próżno. Nogi się pod nią ugięły i osunęła się wolno, sennie na podłogę. Poczuła na głowie ciepłą pierś kobiety. Miała wrażenie, że kiedy upadła, ktoś wziął ją opiekuńczo w ramiona.

Przed oczyma mignęła jej postać matki sprzed wielu lat. Stała na pomoście w Massachusetts, trzymając ręcznik plażowy, podczas gdy Susan wychodziła z lodowatej wody. Jej czułe ramiona, kojący głos: „Grzeczna dziewczynka...”.

Słowa zlały się, kiedy Susan straciła przytomność.

## Rozdział 44

30 marca

Zniknięcie żony kandydata Do serii niepokojących tegorocznych wydarzeń doszło jeszcze jedno – Susan Campbell, żona kandydata na wiceprezydenta, Michaela Campbella, zaginęła w piątek podczas domniemanego pobytu w domku letniskowym w Green Lake w Pensylwanii. Odpowiednie służby prowadzą śledztwo...

Gdyby chodziło o zwykłą obywatelkę, zniknięcie zwróciłoby jedynie uwagę znudzonej i zniechęconej policji stanowej. Ale Susan nie była zwykłą obywatelką tylko popularną osobą, której twarz znały i podziwiałały miliony na całym świecie. Była też żoną kandydata do Białego Domu w najtrudniejszym, jak się zdawało, okresie politycznym historii współczesnej.

Dlatego śledztwo z miejsca przejęło FBI. Zniknięcie Susan postanowiono traktować jako porwanie, do chwili ustalenia faktów, które pozwoliłyby to wykluczyć. Planowano zakrojone na szeroką skalę poszukiwania.

Secret Service była głęboko poruszona zdarzeniem. Jej agenci pilnowali Susan w ramach rutynowych obowiązków, ale ich uwaga skupiała się przede wszystkim na osobie Michaela. Tak więc Susan w swym przebraniu bez trudu wymknęła się z domu pod samym nosem agentów odpowiedzialnych za jej bezpieczeństwo.

Zniknięcie zostało zauważone przez sekretarkę Susan już w piątek wieczorem. Kiedy Susan nie zgłosiła się tego dnia, kobieta zadzwoniła do Ingrid Campbell, która od razu potraktowała sprawę poważnie. Nie chcąc zbyt wcześnie niepokoić Michaela, jego siostra obdzwoniła wszystkich znajomych Susan oraz współpracowników brata. Nikt nie miał wiadomości od Susan.

To właśnie Ingrid, po sprawdzeniu wszystkich możliwości, zadzwoniła w sobotę rano do dozorczy w Green Lake. Ten wsiadł w swojego dżipa i dotarł błotnistą drogą do chaty, gdzie znalazł na podjeździe małe MG należące do Susan. Silnik od dawna był zimny.

Dozorca otworzył swoim kluczem chatę i znalazł ślady piątkowej bytności Susan. Piec nadal był włączony. Ogień na kominku zdążył już wygasnąć, ale mężczyzna wiedział, że go rozpalano w ciągu kilku ostatnich dni, ponieważ Michael i Susan zawsze pozostawiali świeżo polana i podpałkę w palenisku, by móc rozniecić ogień zaraz po przyjeździe. Rolety na oknach wciąż były spuszczone. Nie znaleziono torby podróźnej Susan.

Ingrid towarzyszyła FBI do domu w Georgetown, gdzie zjawił się też jej brat, i przejrzała uważnie ubrania i kosmetyki szwagierki. Znała je lepiej od Michaela, przeglądała więc garderobę i szafkę w łazience, podczas gdy podenerwowany Michael siedział w salonie z agentami.

Nie potrafiła powiedzieć, w co Susan się ubrała, zauważyła jednak brak kilku kosmetyków i umiała opisać torbę, którą szwagierka prawdopodobnie wzięła ze sobą. „Zabiera ją, kiedy odwiedza nas w domu nad zatoką”, powiedziała agentom FBI.

Ingrid nie miała pojęcia o peruce, którą wkładała Susan, nie mogła więc dostrzec jej braku w garderobie. To Stewart Campbell, wiele dni później, wspomniał jednemu z agentów, że Susan czasem wkładała perukę, kiedy odwiedzała go w Baltimore. Stanowiła element jej kamuflażu.

Stewart nie wiedział jednak, że prawdziwym powodem, dla którego Susan jej używała, były wizyty u psychiatry. Jej odwiedziny zawsze przypadały na dni, kiedy miała wyznaczone spotkanie z lekarką, której dom stał przy North Charles Street, zaledwie kilka przecznic od budynków uniwersyteckich, gdzie Stewart wykładał historię.

Tak więc agenci nie mieli żadnego powodu sądzić, że wygląd Susan w jakikolwiek sposób odbiegał od normy, kiedy wyjeżdżała z domu. Komunikat o zaginięciu podawał rysopis, jaki znały miliony Amerykanów: blondynka o brązowych oczach, sto sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, ciężar ciała sześćdziesiąt kilogramów.

Od samego początku ze śledztwa wykluczono policję stanową Pensylwanii. Technicy kryminalistyczni FBI przeczesałi dokładnie sypialnię Susan w Georgetown. Nie znaleźli nic, co mogłoby się im przydać. Na podłodze chaty w Green Lake zachowały się jednak ślady męskich gumiaków, a to dzięki warunkom pogodowym panującym w piątek wieczorem. Niestety, nie zidentyfikowano wewnątrz żadnych odcisków palców poza odciskami Susan, Michaela i rodziny Campbellów.

Co gorsza, silne opady w piątkową noc starły wszelkie ślady opon na podjeździe. MG znaleziono w wielkiej kałuży wody deszczowej; nie zachowały się nawet ślady jego kół na ziemi.

Władze bez trudu zrekonstruowały piątkowe wydarzenia. Producentka programu z Gailem Osborne'em powiadomiła agentów o swoim telefonie do Susan w sprawie odwołania wywiadu. Sekretarka Susan zrelacjonowała z kolei telefon od Susan, informujący o jej migrenie i zamiarze spędzenia reszty dnia w łóżku.

Susan musiała nagle zdecydować o wyjeździe do Green Lake, gdzie chciała poszukać upragnionej samotności. Czy porywacz czekał na nią w chacie? Czy ktoś zauważył ją po drodze i ruszył w ślad za nią? Czy ktoś mieszkający w pobliżu chaty wpadł na pomysł, żeby uprowadzić Susan? Agenci mogli tylko snuć domysły.

Rozprowadzono jej zdjęcia, choć wydawało się to niepotrzebne, ponieważ cieszyła się ogromną popularnością. Zwracano szczególną uwagę na trasę, którą najprawdopodobniej przejechała z Georgetown do Pensylwanii. Pracownikowi pobierającemu opłaty na autostradzie międzystanowej 81 wydawało się, że przypomina sobie MG z piątkowego wieczoru, ale nie rozpoznał w kierowcy Susan.

Jej przystanki w McDonalddie i kinie w Hagerstown nie zostały przez agentów ustalone. Susan nie zatrzymała się w Green Lake, żeby zrobić zakupy albo zatankować. Nikt na całej trasie z Georgetown do Pensylwanii nie widział, jak przejeżdżała. Trop zniknął.

Agenci przystąpili do śledztwa, świadomi pewnych trudności. Przede wszystkim twarz Susan była powszechnie znana. Wydawało się wysoce nieprawdopodobne, by porywacze pozwolili komukolwiek ją zobaczyć. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa została po uprowadzeniu przewieziona w tylnej części furgonetki albo bagażniku samochodu osobowego. Zakładano, że nikt już jej więcej nie ujrzy – w każdym razie nie jako Susan.

Sam dyrektor FBI, podczas konferencji z szefami wydziałów terenowych, sformułował hipotezę, którą należało się kierować w trakcie śledztwa.

– Posłuchajcie – zwrócił się do podwładnych. – Pani Campbell nie była w chacie przez dwa lata. Nikt nie mógł się spodziewać, że tam pojedzie. Nie wierzę, by ktoś ją cały czas obserwował. W związku z tym pozostają dwa wyjścia. Pierwsze, że ktoś zauważył ją po drodze i zaczął za nią jechać. Drugie, że ktoś podążał za nią od samego domu. Sądzę, że trzeba brać pod uwagę to drugie. Ktoś ją obserwował i czekał na błąd ze strony Secret Service. Kiedy wyszła niespodziewanie z domu, ruszył za nią. Ktokolwiek to był, musiał siedzieć w samochodzie. Jak będziemy mieć namiary na ten wóz, sprawca stanie się znany.

Szansa znalezienia świadka, który widział nie tylko MG Susan, ale i samochód osobowy czy inny pojazd jadący za nim, była jak jeden do tysiąca. Lecz FBI dysponowało ludźmi i środkami pozwalającymi podążać nawet najślabszym tropem. Niewielka armia agentów otrzymała zadanie prześledzenia całej trasy, jaką Susan podążała do chaty.

Poza tym można było właściwie tylko czekać i mieć nadzieję. Wszystkie ślady w domku wskazywały na porwanie. Gdyby Susan uprowadzono dla okupu, jego żądanie pojawiłoby się w którymś momencie. Jeśli porwanie miało podłoże polityczne, stojący za nim ludzie też przedstawiliby jakieś żądania albo Michaelowi, albo administracji, albo komuś innemu.

Istniała oczywiście możliwość, że Susan sama uciekła. Po dotarciu na miejsce zostawiła MG i ruszyła dalej, wykorzystując inny środek transportu.

Nie można też było wykluczyć, że popełniła samobójstwo. Bez względu na to, czy jej wyprawa do Green Lake została podjęta pod wpływem jakiegoś niespodziewanego impulsu, czy nie, Susan być może postanowiła odebrać sobie życie, kiedy już znalazła się w chacie. Wiedzano powszechnie, że jest kobietą nerwową, żyjącą w dużym stresie. FBI sprowadziło specjalistów, którzy przeczesali dno jeziora i pobliskie lasy. Zaangażowano też zespoły z psami tropiącymi. Do szpitali w całej Pensylwanii przydzielono agentów, którzy sprawdzali ofiary zmarłe zaraz po przywiezieniu na izbę przyjęć i pacjentów, którzy dokonali samookaleczeń.

W końcu, oczywiście, pozostawało morderstwo. Ktokolwiek porwał Susan, mógł to zrobić z pobudek seksualnych, a potem ją zabić. Był to jeszcze jeden powód, dla którego sprawdzono dokładnie dno jeziora i nakazano policji w całym kraju, by w razie znalezienia w ciągu najbliższych dni jakiegokolwiek ciała białej kobiety dokonała analizy uzębienia i innych cech charakterystycznych.

Poza tym agentom pozostało niewdzięczne zadanie przeanalizowania nieistotnych wątków i beczynność, a jednocześnie należało zapewniać opinię publiczną, że zostało zrobione wszystko, co tylko możliwe.

Ludzie kierujący śledztwem starali się wyrażać optymizm – na powszechny użytek. Prywatnie jednak myśleli o Kirku Stillmanie, ofierze tak zwanego wypadku. Za zniknięciem Susan kryła się ponura logika, która nie nastrojała agentów optymistycznie, jeśli chodzi o szansę odnalezienia jej żywej.

To Kraigowi, bliskiemu przyjacielowi Michaela, przypadło w udziale trudne zadanie. Musiał odwiedzić Mike'a i zadać mu pytania na temat prywatnego życia Susan, które być może miało związek z jej zniknięciem.

Kiedy Kraig dotarł pod dom w Georgetown, budynek był otoczony wianuszkami wozów służbowych. Władze dawały do zrozumienia, że zrobią absolutnie wszystko, by Michaelowi Campbellowi nic się nie stało.

Kraig przywitał się z kilkoma znajomymi agentami i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu Ingrid, która przyjęła na siebie rolę domowego wartownika.

– Jak się masz, Joe – powitała go. Oczy miała czerwone od płaczu. Kraig domyślił się z wyrazu jej twarzy, że spodziewa się najgorszego.

– Bywało lepiej – odparł, ściskając jej rękę.

Wydawała się tęższa niż ostatnim razem, kiedy ją widział, bardziej zżyta ze swą rolą wiecznej starej panny. Miała na nogach ciężkie buty, a na ramionach nieatrakcyjną, choć praktyczną sukienkę z lnu.

Ingrid z kolei pomyślała, że Kraig wygląda nie tylko starzej, ale i smutniej. Rozwód mu się nie przysłużył, doszła do wniosku. Pod zasłoną profesjonalizmu i skupienia na aktualnym zadaniu można było dostrzec pustkę i przygnębienie.

– Jak Mike? – spytał. – A Judd?

– Tata wychodzi z siebie – odparła Ingrid. – Robi istne piekło wszystkim służbom. Nie panuje nad sobą, Joe. Wiesz, jak zawsze traktował Susan.

Kraig znał Judda Campbella wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę z jego opiekuńczego stosunku do Susan. Czułość wobec synowej graniczyła niemal z kaziurodztwem. Bez wątpienia jakąś rolę odgrywała tu samotność po samobójczej śmierci żony.

Jak można było przewidzieć, Judd był wściekły na agentów federalnych, że dopuścili do porwania Susan. Nie wierzył, by umieli prowadzić poszukiwania szybko i skutecznie. Nigdy nie ufał rządowi i zawsze uważał go za zbiorowisko durnych przedstawicieli służby cywilnej, którzy cały dzień przesuwają papiery na biurkach i nie potrafią zrobić najprostszej rzeczy. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze walczył z urzędem skarbowym o ciężko zarobione pieniądze i patrzył, jak systemowi sprawiedliwości nie udaje się wprowadzić przepisów, które umożliwiłyby mu efektywniejsze prowadzenie interesów. Jeśli o niego chodziło, rząd federalny cechowała inercja, apatia i głupota.

Nie mówiąc o niczym agentom FBI, Judd zatrudnił jedną z największych agencji detektywistycznych w kraju i był gotowy zapłacić każde pieniądze, jakich wymagało znalezienie Susan.

– Jak się czuje Mike? – spytał Kraig.

– Sam zobaczysz.

Michael siedział w swoim gabinecie, kieliszek z nietkniętą brandy stał przed nim na stoliku. Wpatrywał się w ekran telewizora. Spojrzał żalonym wzrokiem, kiedy Kraig wszedł do pokoju.

– Co u ciebie? – spytał. Te zdawkowe słowa kontrastowały dziwnie z pełnym napięciem wyrazem twarzy.

Kraig był zaskoczony wyglądem Michaela. Sprawiał wrażenie kogoś, z kogo uszło całe życie. Wydawało się, że kruszeje od wewnątrz.

– Cześć, Mike.

Kraig podszedł do niego i otoczył go ramieniem. Przez chwilę Michael jakby tulił się do przyjaciela niczym zagubione dziecko. Potem wziął się w garść.

– Są jakieś wiadomości? – spytał.

– Nic. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Kraig z miejsca pożałował tych słów. To samo powiedział chirurg, kiedy jego ojciec umierał w szpitalu.

Michael się nie odezwał. Znów skierował wzrok na ekran telewizyjny. Miał nadzieję, że nagle ukaże się w specjalnym wydaniu wiadomości obraz Susan, całej i zdrowej, i uwolni go to od męki niepewności.

– Widziałem Ingrid – oznajmił Kraig. – Chyba trzyma się nieźle.

– Och, Ingrid jest jak skała – odparł ze słabym uśmiechem Michael. – Nie da po sobie poznać...

Urwał. Niepokój nie pozwolił mu dokończyć myśli.

– Jak twój tata? – spytał z kolei Kraig, mając nadzieję, że troska o innych wyrwie na chwilę Mike'a z apatii.

– Fatalnie – odparł Michael. – Wiesz, jak kochał Susan. Zapadło milczenie. Kraig był człowiekiem bezpośrednim, nie miał doświadczenia w takich rozmowach. Nie pozostało mu nic innego, jak przejść do rzeczy.

– Posłuchaj, Mike, jak Susan dawała sobie ostatnio radę?

Wiesz, twoja nominacja i to wszystko...

Michael podniósł wzrok.

– Co?

– Jak Susan funkcjonowała? Psychicznie? Emocjonalnie? Była przygnębiona czy może zmartwiona?

Michael przytaknął.

– Tak, martwiła się. O mnie. – Roześmiał się gorzko. – Powinna martwić się o siebie.

Nagle obrócił się w stronę Kraiga, w jego oczach malowało się błaganie.

– Joe, kto mógł to zrobić? Dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić Susan? Nigdy nikogo nie skrzywdziła!

Kraig znów dotknął ramienia Michaela.

– Nie wiem, Mike, ale się dowiem.

Przez chwilę we wzroku Michaela pojawiła się dziecięca ufność, którą szybko przyćmił jakiś cień.

– To byłby koniec... wszystkiego – wyznał. Słowa te, wypowiedziane jakby odruchowo, Michael bardziej skierował do siebie niż do Kraiga.

Mike, wiem, jak się czujesz. To trudny czas. Spróbuj mi pomóc. Czy Susan wspominała ostatnio o czymś, co ją zdenerwowało albo zaniepokoiło? Pomijając Dana Everhardta, oczywiście. A także Palleschiego i Stillmana – dodał, uświadamiając sobie rozmiary chaosu, do jakiego już doszło tego roku.

Michael zdawał się nie słyszeć. Patrzył w przestrzeń bezradnie, jakby roztargniony.

– Nie chodzi mi o politykę, Mike, nie bezpośrednio. Mam na myśli coś, co dotyczyło konkretnie Susan. Może miała jakiś osobisty problem?

Michael spojrzał zaskoczony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Kraigowi chodziło o podejrzone telefony, o których mówiła mu Susan. Wydawała się głęboko zaniepokojona. Kraig starał się ją uspokoić i nie traktował tej sprawy poważnie. Teraz, po niewczasie, przyszło mu do głowy, że powinien założyć podsłuch na jej telefonie, kiedy mu powiedziała o tamtych rozmowach. Być może dowiedziałaby się czegoś.

– Coś, co ją wystraszyło – sondował Kraig. – Coś na tyle poważnego, że wpadła w panikę i uciekła.

Opacznie go rozumiejąc, Michael powiedział:

– Nie winiłbym jej... Nie byłem najlepszym mężem. Tyle od niej żądam, a sam nie...

Kraig westchnął. Michael mógł coś ukrywać. Wiele par małżeńskich miało sekrety, których nigdy nie ujawniłoby nikomu, chyba że nie byłoby innego wyjścia. Zdawało się, że pytania Kraiga ocierają się tylko o świadomość Michaela, ale w istocie nie mają żadnego związku z jego obawami.

– Pytała cię o coś szczególnego? O coś, co nie dawało jej spokoju?  
Michael potrząsnął głową.  
– Nie. Tylko o tę cholerną funkcję wiceprezydenta. Bała się. Cholernie.  
– Nie chciała, żebyś godził się na tę robotę, prawda? – domyślił się Kraig.  
Michael potrząsnął w zamyśleniu głową.  
– Nie mówiła o tym, ale wiedziałem, jak się czuje. – Zwrócił się bezradnie do Kraiga. – Powinienem być jej słuchać, Joe. Przynajmniej z nią porozmawiać. Byłem zajęty wyłącznie pracą... wiedziałem, że się denerwuje. Nie zwracałem na to uwagi.  
– Mike, wiem, że nigdy nie lubiła być częścią twojej kariery – powiedział Kraig. – Ale ten ciężar wzięła na siebie dobrowolnie, ze względu na ciebie. Naprawdę nie wierzę, by z tego powodu miała uciec. Chyba że...  
Michael popatrzył bezradnie.  
– Chyba że co?  
Kraig pomyślał, że być może Susan doznała nagłego załamania nerwowego i po prostu nie zniosła napięcia. Jeśli tak, to odszukanie jej okazałoby się łatwiejsze.  
Ale po chwili przypomniał sobie ślady męskich gumowców w chacie. Nie – odszukanie Susan wcale nie będzie łatwe.  
Spojrzał na Michaela, który powoli kręcił głową.  
– Czy mówiła coś, wspominała o czymś niezwykłym, co nie dawało jej ostatnio spokoju? Spróbuj sobie przypomnieć. Mówiła o czymś, co tobie wydało się dziwne?  
Michael patrzył na niego pustym wzrokiem. Kraig postanowił zaryzykować.  
– Pytała o coś związanego z przeszłością? Waszą wspólną przeszłością? O coś dziwnego?  
Michael potrząsnął głową.  
– Może o Harvard? – drążył Kraig.  
Michael milczał przez chwilę, wpatrując się w ekran telewizyjny.  
– Co? – spytał. – O czym mówiłeś?  
– O Harvardzie, Mike. Pytała cię o coś w związku z Harvardem? – powtórzył Kraig, przyglądając się uważnie przyjacielowi.  
Michael podniósł wzrok.  
– Nie – odparł. Miał twarz niewinną jak dziecko.  
Nastąpiła chwila milczenia. Kraig jej nie przerywał.  
Potem zdecydował, że czas dać sobie spokój.  
– Mike, nie zadręczaj się. Znajdę ją. – Ścisnął dłoń przyjaciela. – Ale jak przyjdzie ci coś do głowy – wszystko, co może okazać się pomocne – zadzwoń. O każdej porze dnia i nocy. Obiecujesz?  
Mike skinął głową.  
– W porządku.  
Kraig wyszedł. Michael znów zaczął oglądać telewizję; przypominał pacjenta, który czeka, aż lekarz mu powie, że jego choroba nie jest śmiertelna.

## Rozdział 45

Reakcja opinii publicznej na zniknięcie Susan była wręcz niesamowita. Dom Michaela i jego biuro w Senacie zostały zasypane kartkami pocztowymi, listami, telegramami i e-mailami wyrażającymi współczucie i nadzieję na szybki powrót jego żony. Zaskakujące, wiele tych wiadomości przyszło zza oceanu. Nikt nie uświadamiał sobie w pełni, jak dobrze była Susan znana w Europie i Azji. Dzięki Internetowi świat się skurczył i wielbiciele Susan w obcych krajach mogli skontaktować się z Michaeliem równie łatwo jak Amerykanie.

Jednocześnie FBI było zasypywane telefonami od ludzi, którym się wydawało, że widzieli Susan od chwili jej zniknięcia. W większości wypadków dzwonili oczywiście pomyłki, ale

wydawało się, że nawet normalni obywatele padli ofiarą halucynacji i dostrzegali Susan w miejscach publicznych, zazwyczaj w przebraniu.

Histeria sięgała jeszcze głębiej. Strony internetowe, czaty i biuletyny przekazywały wiadomości od użytkowników Sieci, którzy przedstawiali różne teorie na temat przyczyny zniknięcia Susan. Niektórzy winili Rosjan, Irakijczyków, Izraelczyków. Inni wskazywali na mafię, CIA albo wrogów politycznych Michaela Campbella w łonie jego własnej partii. Wielu uważało, że budzący strach osobnik, kryjący się za syndromem Pinokia, porwał ją w celach okultystycznych. W chwili gdy władze próbowały za wszelką cenę złapać jakiś trop, Susan z wolna stawała się mitem.

Dick Livermore organizował codzienne spotkania ze swymi ludźmi, by omawiać sytuację. Z sondaży wynikało, że zniknięcie Susan nie zaszkodziło prezydentowi politycznie. W każdym razie jak dotąd. Co więcej, wzrost sympatii dla Michaela ze strony opinii publicznej, pamiętającej sprawę małego Lindbergha, doprowadził do zwyczajki notowań obecnej administracji.

Specjaliści od public relations podsuwali pomysły, jak najlepiej wykorzystać sytuację, ale Dick z miejsca je odrzucił. Nie mógł znieść myśli, by wykorzystywać w polityce tragiczne zdarzenie.

Prezydent osobiście odwiedził Michaela w jego domu w Georgetown. Rozmawiał z Juddem i Ingrid niczym zatroskany przyjaciel, dopytywał się, jak Michael znosi to wszystko, i obiecywał, że będzie się modlił za bezpieczny powrót Susan.

Spędził pół godziny sam na sam z Michaelem. Był poruszony głębią jego rozpacz. Michael wyglądał jak człowiek, pod którym zapada się cienki lód, ale który stara się tym nie przejmować. Słowa pociechy ze strony prezydenta niewiele mu pomogły.

Colin Goss, świadomy, że jego publiczna reakcja na wydarzenie będzie obserwowana z uwagą, złożył pełne szacunku oświadczenie dla prasy. „Michael i Susan Campbell są cennymi przyjaciółmi zarówno moimi, jak i narodu – powiedział. – Gdyby coś stało się Susan, byłbym osobiście zdruzgotany. Jest kimś pięknym i bardzo ważnym. Potrzebujemy jej”.

Goss wykorzystał też sprytnie swe wystąpienie, by potępić przemoc, jaka panowała na świecie. „Kiedy już odzyskamy Susan całą i zdrową – oświadczył – musimy, powtarzam, musimy, podjąć zdecydowane kroki i powstrzymać ludzi, którzy byli zdolni do popełnienia tak oburzającego czynu. Musimy, powtarzam, musimy, przywrócić normalność i porządek w naszym świecie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tak się stało i aby podobne zdarzenia nigdy więcej się nie powtórzyły”.

Prywatnie Goss był głęboko zatroskany. Nie poparciem dla Michaela i prezydenta – ostatecznie należało to do planu – ale faktem, że zniknięcie Susan nie było jego częścią i że kompletnie go zaskoczyło, a także jego ludzi.

Zadzwoił do Michaela w niedzielę. Wiedział, że telefon będzie na podsłuchu FBI, którego agenci czekali na wiadomość o okupie, musiał więc utrzymać rozmowę w tonie oficjalnym. Odpowiedzi, jakich mu udzielał Michael, nie pozostawiały wątpliwości, że jest tak samo zaskoczony jak Goss. W ogóle się tego nie spodziewał i nie miał pojęcia, kto może się za tym kryć.

Colin Goss miał pewne wpływy w służbach wywiadowczych, które wykorzystał. Od tej pory miał być informowany na bieżąco o wszelkich postępach w sprawie Susan.

Jednakże, podobnie jak Judd, Goss nie ufał agencjom rządowym i wolał zaangażować własnych ludzi do wykonania tej roboty – ludzi, których doświadczenia był pewien i w których lojalność nie wątpił. Wśród wielu podległych mu firm była agencja detektywistyczna o nazwie Beta. Goss polecił jej dać sobie spokój z nieistotnymi zadaniami i skoncentrować się bezzwłocznie na sprawie Susan Campbell.

Tak więc świat czekał, podczas gdy armia agentów przeczesywała kraj w poszukiwaniu zaginionej kobiety. Wszyscy, którzy się tym zajmowali, byli ekspertami w swych dziedzinach. Prowadzili już wcześniej takie dochodzenia.

Łączyło ich jedno. Nie mieli pojęcia, co stało się z Susan Campbell. Absolutnie żadnego.

Gdzie była Susan? Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie. Po raz pierwszy od czasu, gdy Colin Goss zaczął swą kampanię w celu usunięcia prezydenta z urzędu, w grze pojawił się nowy gracz – gracz, którego twarz i plany pozostawały całkowicie nieznane innym uczestnikom.

Nic więcej nie mogło się wydarzyć, dopóki ów niewidoczny osobnik nie wykona ruchu.

Do Grimma: Wierzę w twoją kryształową kulę. Proszę, powiedz mi jeszcze jedno: czy wiesz, co wydarzyło się na Harvardzie?

Wiadomość ta zaczęła ukazywać się na łamach ogłoszeń drobnych „Washington Post” w dzień po wywiadzie Karen Embry z Susan Campbell.

Tajemniczy informator nie odpowiadał. Karen, podejrzewając, że ma do czynienia z tą samą osobą, która zatelefonowała do Susan podczas ich rozmowy, miała nadzieję, że wzmianka o Harvardzie przełamie milczenie drugiej strony.

Uświadomiła sobie teraz, że jej niewiarygodne przypuszczenie co do syndromu Pinokia może być słuszne. Niewykluczone, że epidemia była aktem terroryzmu na skalę światową.

Ale kto to robił? Dlaczego? I jak?

Karen nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Tymczasem zastanawiała się nad wszystkim, co się wydarzyło, i wykorzystując swe zdolności, próbowała to zrozumieć.

Syndrom Pinokia usunął Dana Everhardta z Białego Domu, potem nie dopuścił Toma Palleschiego do przejęcia po nim stanowiska. Następnie bardzo podejrzany wypadek i śmierć Kirka Stillmana. Wreszcie, kiedy na miejsce Everhardta wybrano Michaela Campbella, epidemia zniknęła ze Stanów Zjednoczonych, by nasilić się w pozostałych częściach świata.

Jeśli założyć, że pojawienie się choroby był aktem celowym, to nasuwała się konkluzja, że jej ustąpienie w Ameryce było także zamierzone i było odpowiedzią na wybór osoby Michaela Campbella.

Karen wiedziała, że nie zdoła przekonać o tym kogokolwiek mającego władzę. Rozgrywające się wydarzenia były po prostu zbyt nieprawdopodobne, zbyt szalone, by można było w nie uwierzyć. A ludzie władzy nie dawali wiary, że prawdziwie fantastyczne wydarzenia czasem przytrafiają się na świecie. Wystarczyło spytać tych, którzy starali się przekonać rząd amerykański w 1938 roku, że jedno z najstarszych i najbardziej cywilizowanych państw europejskich prześladowuje Żydów, Cyganów, homoseksualistów i marksistów, a wkrótce zacznie posyłać ich do komór gazowych. Albo tych, którzy próbowali przekonać komisję Warrena, że najbardziej kochany prezydent od czasu Franklina Delano Roosevelta został zamordowany w wyniku nieudanego spisku, zawiązanego przez Kubańczyków przeciwnych Castro, mafii i CIA.

Ludzie władzy zajmowali się działaniem w świecie, które uważali za normalne miejsce. Co ważniejsze, zajmowali się „sprzedażą” świata opinii publicznej jako miejsca normalnego i uporządkowanego. Kiedy dochodziło do naprawę szalonych rzeczy, ludzie ci w sposób typowy dla siebie nie chcieli słyszeć okropnej prawdy, a tym bardziej nie chcieli jej ujawniać. Był to nawet w najlepszych warunkach dla dziennikarzy krzyż pański.

Trzy dni po zniknięciu Susan Campbell Karen siedziała przy swoim komputerze, wpatrując się w wygaszacz, ukazujący ptaki lecące z prawej do lewej. Kiedy patrzyło się na ten obraz w pewien określony sposób, ptaki zmieniały się w ryby, które płynęły w tym samym kierunku. Był to widok przyprawiający o zawrót głowy.



Karen otworzyła nowy dokument i napisała na pustej stronie pojedyncze zdanie. Choroba związana z wiceprezydentem. Był to wstępny teoremat. Wszystkie pozostałe wydarzenia wynikały właśnie stąd.

Wygaśnięcie epidemii poprawiło pozycję prezydenta w sondażach.

Zatem miało na celu poprawić notowania administracji rządzącej.

Karen zamknęła oczy. Poczowała drażniący dym papierosa i zgasiła go.

– Połącz elementy – powiedziała głośno.

Zniknięcie Susan powiązane z nominacją Michaela.

Głos w telefonie powiedział że nominacja miała związek z chorobą.

Zatem zniknięcie Susan miało związek z chorobą.

Karen potrząsnęła głową, starając się zrzucić z siebie pajęczynę ostatniego kaca.

Zniknięcie Susan powiązane z tym, co wydarzyło się na Harvardzie.

Krok ten był czystą spekulacją. Ale miał tę zaletę, że stanowił logiczne ogniwo między pozostałymi teorematami, należało więc przyjąć takie założenie.

Zastanawiała się przez chwilę, potem napisała:

Zniknięcie Susan powiązane z grą osła.

Karen nie wiedziała, co to za gra ani kto w niej uczestniczył. Ale odgrywała tu jakąś rolę.

Koło się niemal zamknęło. Pozostało tylko zapisać jeszcze jedną zbieżność.

To, co wydarzyło się na Harvardzie – gra osła – powiązane z nominowaniem Michaela na wiceprezydenta.

Czyli powiązane z syndromem Pinokia.

Gra osła – syndrom Pinokia.

I oto była – najbardziej szalona zbieżność ze wszystkich. Pinokio, drewniany pajacyk, który chciał być chłopcem, i osioł, w którego zamieniali się niegrzeczni chłopcy w opowieści o Pinokiu.

Karen kliknęła „zachowaj” i wyprostowała się z westchnieniem. Zapaliła następnego papierosa i nałapała do szklanki bourbona z butelki stojącej na podłodze. Zamknęła oczy i siedziała, paląc przez kilka minut.

Jakaś część jej umysłu podpowiadała, że ponosi ją wyobraźnia. Z kolei inna część szeptała, że jeszcze nigdy nie była tak blisko prawdy.

Kiedy otworzyła oczy, na ekran powróciły ptaki, leciały niewinnie, przekształcając się potem w ryby, choć Karen nie umiała powiedzieć, w którym momencie ta zmiana zachodzi. Po chwili znów ptaki, potem ryby. Obraz ten zdawał się symbolizować poszukiwanie prawdy. Prawda kryła się w oku patrzącego. Zależała jednak od tego, w którą stronę w danej chwili spoglądał. Szukał ryb czy ptaków? Być może nie istniało coś tak prostego jak prawda.

Karen dotknęła z westchnieniem myszy, by usunąć ten obraz z ekranu. Ujrzała pulpit i najechała na swój serwis on-line. Zamierzała tylko sprawdzić e-maile. Niemal natychmiast odezwał się sygnał oznaczający wiadomość. Ukazało się okno.

Czekałem na ciebie, przeczytała. Tu Grimm.

Karen wyprostowała się gwałtownie. Nadeszła chwila, na którą czekała.

Tęskniłam za tobą, napisała. Dlaczego nie odpowiadasz na moje ogłoszenia?

Nie było odpowiedzi.

Mgielka odurzenia alkoholowego zniknęła. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zatrzymać Grimma na linii.

Wierzę w to, co mi powiedziałaś, napisała. Staram się połączyć elementy. Potrzebuję twojej pomocy.

Nie było odpowiedzi.

Karen zgasiła papierosa w wypełnionej po brzegi popielniczce.

Uważam, że choroba jest powiązana z wiceprezydenturą, napisała. Choroba powiązana z Campbellem. Everhardt wyeliminowany. Palleschi wyeliminowany. Stillman zabity. Epidemia zatrzymana w USA, kiedy Campbell wybrany przez prezydenta. Dlaczego?

Pauza.

Coraz cieplej, nadeszła odpowiedź.

Karen zacisnęła zęby.

Teraz znika Susan Campbell, napisała. Dlaczego?

Trwała cisza. Karen spojrzała na szklankę bourbona, ale jej nie tknęła. Wyjęła z paczki następnego papierosa i zapaliła.

Nie wiem, nadeszła odpowiedź.

Niewiele brakowało, by spytała wprost, czy Grimm był tym głosem w telefonie w domu Susan Campbell. Coś jej jednak szepnęło, by nie osaczać go w ten sposób.

Co stało się na Harvardzie?

Nie było mnie tam, odpowiedział Grimm. Sama będziesz musiała się dowiedzieć.

Karen westchnęła. Była rozczarowana. Wpadła w nałóg przypisywania Grimmowi wszechwiedzy, która mogła rozwiązać wszystkie problemy. Być może wiedział mniej, niż przypuszczała.

Niewykluczone też, że nie do końca był prawdomówny.

Dlaczego Susan, spytała. Dlaczego teraz?

Nie było odpowiedzi.

Karen starała się pomyśleć o czymś, co zatrzymałoby Grimma na linii.

Jeśli spróbuję napisać o tym prawdę, wystukała, nikt mi nie uwierzy.

Zgadza się, przyszła odpowiedź.

Karen zagryzła wargę, rozmyślając gorączkowo.

Pomóż mi nakłonić ich do słuchania, napisała. Daj mi taśmy Nixona. Daj mi niebieską sukienkę Moniki Lewinsky. Nóż Simpsona.

Ekran milczał przez długą chwilę.

Prosisz o zbyt wiele, nadeszła odpowiedź. Dymiąca strzelba to wyjątek, nie zasada.

Karen westchnęła.

Pomóż mi, napisała.

Pauza była długa. Kiedy pojawiła się odpowiedź, Karen nie mogła uwierzyć.

Już wcześniej przyprawiał ludzi o chorobę.

Kto? – napisała Karen. Kto przyprawiał ludzi o chorobę?

Znów cisza.

Po chwili: Idź tropem chorych.

Karen zagryzała nerwowo wargę, wpatrując się w ekran.

Gdzie mam zacząć? – spytała.

Sygnal zniknął. Korespondent się wyłączył.

– Cholera – zaklęła głośno. – Cholera!

Zaciągała się papierosem, studiując słowa na ekranie.

Już wcześniej przyprawiał ludzi o chorobę.

Idź tropem chorych.

Łyknęła ciepłego bourbona. Zamknęła oczy, po chwili znów je otworzyła.

Potem wywołała serwis rezerwacji lotniczych i zapoznała się z połączeniami z Bostonem.

## Rozdział 46

Susan obudziła się z rozdzierającym bólem głowy.

Znajdowała się w niewielkiej sypialni, której okna wydawały się przysłonięte jakimś ciemnym papierem. Otaczał je niewyraźny zarys światła, ale w pokoju paliła się tylko mała lampka na komodzie.

Próbowała sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Nie powróciły żadne wspomnienia z wyjątkiem faktu, że była w chacie. Ujrzała samą siebie, jak rozpala ogień, włącza piec, stawia czajnik z wodą na herbatę. I nic więcej. Ból pulsował bezlitośnie w okolicach oczu, wymazując pamięć.

W końcu rozległo się ciche pukanie i do pokoju weszła jakaś kobieta, niosąc tacę na nóżkach.

– Boli cię głowa, co?

Kobieta się uśmiechała, ale miała coś dziwnego w oczach. Susan pomyślała, że jest w średnim wieku. Młoda pięćdziesiątka albo stara czterdziestka. Była ubrana w spodnie i sweter. Kasztanowate włosy wyglądały tak, jakby położono na nich tanią farbę.

Dopiero teraz Susan rozpoznała w niej sąsiadkę, która prosiła o pożyczenie butli z gazem.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

– Tutaj – odparła kobieta. – Weź trzy ibuprofeny, pomoże. Przyniosłam ci też trochę kawy i coś do jedzenia.

Na tacy stał mały termos i dwie bułeczki.

– Lubisz bułeczki z otrębami, prawda? – spytała kobieta. Susan niecierpliwie połknęła trzy tabletki. Zauważyła na tacy małą szklankę soku pomarańczowego i wypiła go łąpczywie.

Od razu sobie uświadomiła, że chce siusiu.

– Muszę iść do toalety – oznajmiła.

– Skorzystaj z łazienki.

Kobieta wskazała drzwi obok łóżka. Susan wstała, trzymając się za pulsującą głowę, i weszła do maleńkiej łazienki z plastikową kabiną na prysznic, umywalką i ubikacją. Nie było w niej okna.

Susan skorzystała z toalety; ból głowy był nieznośny. Słyszała albo wyczuwała jakieś buczenie za ścianą. Czy gdzieś w pobliżu znajdowało się lotnisko? Wibracje przyprawiały ją o jeszcze silniejsze dolegliwości. Wróciła do sypialni. Kobieta wciąż tam była.

– Zjedz coś – poradziła. – Poczujesz się lepiej.

Susan nalała sobie kawy i zmusiła się do zjedzenia jednej bułki. Czuła w ustach suchość. Zauważyła z ulgą, że pulsowanie w głowie jakby się zmniejszyło. Kobieta, czy to kierując się taktem, czy też obojętnością, stała w milczeniu i tylko się przyglądała.

W końcu Susan zjadła trochę i popatrzyła na kobietę.

– Ty jesteś tą sąsiadką znad jeziora – zauważyła.

– Niezupełnie – odparła kobieta z leciutkim uśmiechem.

– Dlaczego się tu znalazłem? – spytała Susan.

– Zostałaś porwana – wyjaśniła tamta. – Władze cię szukają, ale nie znajdują.

Susan westchnęła.

– Dlaczego ja?

Kobieta popatrzyła na Susan z uwagą, ale nic nie odrzekła.

– Chodzi o pieniądze? – dopytywała się Susan. Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

– Więc o co?

– Żądanie zostanie przedstawione – wyjaśniła nieznajoma. – Żądanie polityczne. Kiedy Senat zaaprobuje kandydaturę twojego męża, odzyskasz wolność. Spędzisz tu tydzień, może dwa.

Susan przyłożyła dłonie do obolałych skroni. Terroryzm, pomyślała. Porwanie o podłożu politycznym. Lepsze czy gorsze niż porwanie dla okupu? Nie wiedziała.

– Jakie żądanie? – spytała.

– Dowiesz się we właściwym czasie.

Kobieta stała z opuszczonymi wzdłuż boków rękami. Susan zauważyła jakieś ślady na jej nadgarstkach. Świadoma tego spojrzenia, kobieta obróciła dłonie.

Susan przyjrzała się dokładniej jej twarzy. Nie dostrzegła na niej wrogości, lecz jakiś wewnętrzny błysk widoczny w tęczęwkach budził lęk. Być może, pomyślała, ona nie jest tak stara, jak to się z początku wydawało. To nie wiek zmienił jej twarz.

– Chcesz mnie skrzywdzić?

– Nic ci się nie stanie – zapewniła nieznajoma. – Gdyby cokolwiek ci się stało, twój mąż zostałby męczennikiem. Miałby wówczas zagwarantowaną wspaniałą karierę. Nie możemy do tego dopuścić.

– Kto to „my”? – zainteresowała się Susan.

Tamta zignorowała to pytanie. Wskazała niewielką szafkę i telewizor z wbudowanym magnetowidem.

– Położyłam tam dla ciebie kilka magazynów – wyjaśniła. – Wiem, że lubisz „Vanity Fair”. Mam też „New Yorkera” i „People”. Przyniosłam trochę książek. Zdaje mi się, że lubisz Sue Miller. Kupiłam ci najnowszą. – Pokazała palcem „New York Timesa” na stoliku. – Nie wiedziałam, jaką gazetę czytujesz. Załatwię ci taśmy z ulubionymi programami. Znajdziesz tu także filmy. Jeśli chcesz, żebym jeszcze jakieś pożyczyła, to nie ma sprawy.

Susan nie zdołała odpowiedzieć. Ból i zaskoczenie były zbyt silne.

– Znajdziesz tu szampon i kosmetyki, jakich używaś – dodała kobieta. – Kupiłam perfumy Sunga, wiem, że je lubisz.

Susan zauważyła buty na jej nogach. Zwykłe brązowe pantofle ze skóry, chyba z domu towarowego. Wygląd zewnętrzny kobiety stanowił zagadkę. Sprawiała wrażenie kogoś odznaczającego się pewnym obyciem. Zadbana, choć w jej oczach było coś dziwnego. Ślady nienormalności? Może fanatyzmu politycznego? Susan nie umiała powiedzieć.

– Starłam się stworzyć ci jak najlepsze warunki – wyznała nieznajoma. – Nikt nie lubi być porywany. Gdyby istniał jakiś inny sposób, nie doszłoby do tego.

Susan przyglądała jej się zmrużonymi oczami.

– To ty rozmawiałas ze mną przez telefon, prawda? – spytała. – To ty wtedy dzwoniłaś.

Kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Tak – przyznała. – Mój głos brzmi inaczej w normalnych warunkach?

Susan przypomniała sobie dziwną intymność w tamtym głosie, groźną, ale i w jakimś sensie pieszczotliwą.

– Czego właściwie chcesz? – spytała.

– Chcę się upewnić, że twój mąż nie dostanie się do Białego Domu – odparła kobieta.

Susan zastanawiała się przez chwilę.

– Dlaczego?

– Bo kocham swój kraj. Susan rozważała te słowa.

– Należysz do jakiejś grupy terrorystycznej? – spytała wreszcie. Kobieta parsknęła krótkim, lodowatym śmiechem.

– Nim to się skończy, zrozumiesz, jak zabawne jest twoje pytanie.

– Co takiego strasznego zrobił? – dopytywała się Susan. Kobieta spojrzała na nią.

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie – odparła Susan. – Nie wiem.

– Tak myślałam – powiedziała tamta. – To zdumiewające, że można żyć tak blisko zła i nic nie widzieć.

– Zła? – dziwiła się Susan.

– Dokończ śniadanie. Pomówimy później.

– Chcę pomówić teraz – upierała się Susan. – Muszę wiedzieć, dlaczego tu jestem.

– Jesteś tu po to, by usłyszeć prawdę. Ale to wymaga czasu. Kobieta wstała i wyszła. Susan nie zobaczyła jej przez wiele godzin.

## Rozdział 47

Joe Kraig po raz pierwszy spotkał Michaela Campbella w szkole, gdzie uczęszczali do jednej klasy. Usiedli pewnego dnia przy tym samym stole w stołówce i nawiązali rozmowę. Obaj pasjonowali się tenisem i zaczęli wymieniać uwagi na temat swych ulubionych graczy. Pod koniec posiłku umówili się w najbliższy weekend na korcie. Rozegrali dwa sety, walka była zacięta. W końcu refleks Michaela i jego instynkt zatriumfowały nad szybkością i siłą Kraiga.

Tego dnia zostali przyjaciółmi. Później współzawodniczyli ze sobą na bieżni, dopóki Kraig nie przerzucił się na zapasy. Nim stwierdzono u Michaela problemy z kręgosłupem, Kraig znał go już na tyle dobrze, by odwiedzać go regularnie w szpitalu.

Pasowali do siebie pod względem temperamentu. Byli dobrze wychowani i skryci. Obaj trenowali z zapałem i osiągnęli doskonałe wyniki w nauce. Kraiga pociągał urok Michaela i jego odwaga. Michael lubił Kraiga za uczciwość. Trzymali się razem i zwierzyli się sobie ze spraw typowych dla młodych chłopców. Często uczyli się razem.

Chodzili wspólnie na randki. Michael był świadkiem zerwania Kraiga z sympatią, ładną dziewczyną o imieniu Joy, która chodziła do Rosemary Hall. Kraig był w pobliżu, kiedy Michael stracił dziewictwo na tylnym siedzeniu audi. Nie pamiętał już imienia dziewczyny, ale przypominał sobie wyraz młodzieńczej obawy na twarzy przyjaciela, gdy ten oświadczył później: „Nie wiedziałem, że tak to jest. Mam nadzieję, że nie zaszła w ciążę”.

Kiedyś, w wiosenne ferie, Kraig przyjechał do domu Campbellów nad zatoką i spędził cudowny tydzień z Juddem, Margery i Ingrid. Stewart był akurat w college’u i miał ferie w innym terminie.

Judd traktował Kraiga jak adoptowanego syna, a ten z kolei przekonał się instynktownie do Margery, która była o wiele troskliwsza i miała więcej uczuć macierzyńskich niż jego własna matka.

Potem już Kraig odczuwał szczególną więź z Campbellami. Pisał do Margery i czasem rozmawiał z nią przez telefon, kiedy Michael dzwonił do domu.

Kiedy Margery popełniła samobójstwo, Kraig odczuł to tak, jakby stracił matkę.

Naturalną kolejną rzeczą Kraig i Michael zamieszkali razem na Harvardzie. Kraig w tym momencie miał wrażenie, że zna Michaela całe życie. Potem znów pojawiły się u przyjaciela problemy z kręgosłupem, a wraz z nimi Susan. Kraig zszedł w życiu Michaela na plan dalszy, jak to się zwykle dzieje, gdy na scenę wkracza kobieta.

Kraig widział w telewizji, jak Michael zdobywa dwa medale olimpijskie. Trudno mu było uwierzyć, że jego stary przyjaciel jest zdolny do tak niebywałego wyczynu.

Uświadomił sobie wówczas, że są rzeczy, o których nie wie nawet on, bliski przyjaciel Michaela. Michael nie był kimś zwyczajnym. Był bohaterem.

W kolejnych latach Kraig bardzo rzadko widywał Michaela bez Susan u jego boku. To musiało ograniczyć ich znajomość. Kraiga niepokoiły jego własne uczucia wobec Susan, które nie zmieniły się, kiedy poślubił Cathy. Po rozwodzie coraz rzadziej widywał się z Campbellami.

To właśnie z powodu swej długiej zażyłości z Michaeliem Kraig nie wziął zbyt poważnie słów tej wariatki, która kazała Susan spytać męża o to, „co wydarzyło się na Harvardzie”. Kraig podczas studiów mieszkał z Michaeliem w jednym pokoju. Chodził z nim do barów i na wspólne randki, podrywał dziewczyny w Bostonie, wysłuchiwał narzekań Michaela na wymagającego ojca. Kiedy okazało się, że będzie potrzebna druga operacja, upił się solidarnie

z przyjacielem, a potem dzielił z nim szaleńczą obsesję na punkcie rehabilitacji. Czuł, że zna Michaela jak nikt inny w świecie. Rzecz jasna z wyjątkiem Susan.

Słusznie czy nie, Kraig rozwiął obawy Susan o te telefony i przestał się nad nimi zastanawiać. Teraz jednak żałował, że nie założył na linii podsłuchu. Gdyby ta wariatka miała coś wspólnego ze zniknięciem Susan, Kraig dysponowałby nagraniem głosu, co mogłoby bardzo pomóc w poszukiwaniach.

Jako agent federalny Kraig wiedział, że bez konkretnego powodu nie zakłada się podsłuchu na telefonie domowym senatora Stanów Zjednoczonych. Gdyby Michael dowiedział się o czymś takim i zrozumiał to opacznie, Kraig mógłby mieć poważne kłopoty.

Oczywiście, telefon był w tej chwili na podsłuchu, ponieważ agenci czekali na żądanie okupu. Kraig się jednak obawiał, że ludzie, którzy porwali Susan, są zbyt sprytni, by przekazać informacje tą drogą.

Tak czy inaczej Susan mogła mieć do czynienia z wariatką. Tajemnicza wzmianka o Harvardzie była pewnie typowym dla takiej osoby urojeniem. Fakt, że Michael studiował na tym uniwersytecie, był powszechnie znany.

Nie pozostawało nic innego, jak pozbić dostępne elementy układanki. A to oznaczało, że trzeba pójść tropem wyprawy Susan do chaty nad jeziorem i odszukać kogoś, kto widział, jak była śledzona. Jednocześnie służby policyjne miały przyglądać się z bliska terrorystom, bojówkarzom i radykałom politycznym w nadziei, że coś uda się ustalić. I czekać na żądanie okupu.

Upłynęły cztery dni od zniknięcia Susan. Wysiłki kilku tysięcy agentów nie przyniosły rezultatów. Susan rozplynęła się bez śladu.

Może, rozmyślał Kraig, Susan jednak uciekła. Może doszła do wniosku, że ma już tego dość.

Kraig potrząsnął głową: Susan była zbyt lojalna wobec Michaela. Nigdy by tego nie zrobiła.

Może ktoś ją porwał, nie kierując się jakimkolwiek motywem politycznym. Byłaby to możliwość najgorsza ze wszystkich. Przypadkowi gwałciciele i zabójcy pojawiali się wszędzie. Wielu nie pozostawiało po sobie żadnego śladu w kartotekach policyjnych, w przeciwieństwie do terrorystów politycznych. Taki człowiek mógł trzymać Susan związaną w tylnej części furgonetki, a żaden agent federalny nie wiedziałby, gdzie jej szukać.

Kraig zamknął oczy, starając się uwolnić od tego obrazu. Gdyby Susan umarła, wraz z nią umarłaby większość jego świata. I nigdy nie zdołałby się z nikim podzielić tą stratą.

## Rozdział 48

2 kwietnia

Karen przed wyjazdem do Bostonu przeprowadziła wstępne rozpoznanie.

Wysłała e-maile do znajomych reporterów w tym mieście, prosząc o sprawdzenie dokumentacji dotyczącej przypadków nieznanymi chorobami w okolicy w ciągu ostatnich piętnastu, dwudziestu lat. Otrzymane informacje były bardzo ciekawe. Karen umówiła się na spotkanie z pracownikiem służby zdrowia w Centrum Kontroli Chorób, zasięgnęła także języka na temat wydarzeń na Harvardzie podczas pobytu tam Michaela.

Wyleciała z Waszyngtonu wczesnym rankiem, żeby nie tracić dnia. Wiosna nie zawitała jeszcze do Bostonu, ale na nadbrzeżnych alejkach roiło się od biegaczy, a po zatoce pływały żaglówki. Karen poznawała wszystko. Nic dziwnego, przecież dorastała tutaj, dziedzicząc być może po mieszkańcach Bostonu wrodzony upór i roztropność. Lubiła to miejsce. Wiedziała jednak, że nigdy nie mogłaby tu żyć, tak jak dawniej. Złe wspomnienia.

Wiadomością numer jeden było śledztwo. Trafiły o nim wszystkie gazety i magazyny, a także stacje telewizyjne, o czym świadczyły monitory zainstalowane na lotnisku Logana.

Kiedy Karen wynajmowała pokój w pobliskim hotelu, twarz Susan Campbell spoglądała z ekranu w holu.

– Jak pani myśli, gdzie teraz jest? – spytała młodą kobietę w recepcji.

– Na Bahamach. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Opala się i próbuje zapomnieć o wszystkim, co zostawiła.

– Nie ma mowy – wtrącił jej kolega. – Nie żyje.

– Tak pan uważa? – spytała Karen.

– Pewnie – odparł młody człowiek. – Nie da się nikogo tak długo ukrywać. Ten, kto porwał Susan Campbell, od razu ją zabił i zakopał albo wrzucił do oceanu. Coś w tym rodzaju. Gdziekolwiek jest, nie żyje.

– Jesteś stuknięty, Mark – oświadczyła kobieta. Karen wyczuta, że recepcjonistka stara się dokuczyć koledze. Ale trudno było odrzucić jego logikę.

Karen przez cały dzień analizowała pobyt Michaela Campbella na uniwersytecie. Nie znalazła nic, co odbiegałoby od oficjalnej wersji. Miał świetne wyniki w nauce. Odmówił członkostwa w ekskluzywnym klubie Porcellian, zapisał się do kilku pomniejszych i brał udział w uniwersyteckich zawodach sportowych do czasu drugiej operacji kręgosłupa, którą przeszedł pod koniec trzeciego roku. Poznał Susan w jej przeddzień, a ich romans zaczął się w chwili, kiedy odwiedziła go w szpitalu: potem pomagała mu w rehabilitacji.

Po zabiegu Michael zaczął reprezentować uczelnię w pływaniu, a ponieważ osiągał w stylu dowolnym i klasycznym doskonałe rezultaty, postanowił trenować do olimpiady. Susan nadal pełniła funkcję jego towarzysza i nieformalnego szkoleniowca, pomagając mu w treningach, masując obolałe plecy i prawdopodobnie dzieląc z nim łóżko.

Potem to już oczywiście historia. Michael Campbell przeszedł jak burza okres rehabilitacji i zdobył dwa złote medale na olimpiadzie. Słynna scena, kiedy to Michaela wyciągają z basenu jego koledzy, stała się symbolem tamtej olimpiady.

Ale to było już później, kiedy Michael studiował prawo na Columbi. Pytanie, jakie zadała rozmówczyni Susan, brzmiało: „Co wydarzyło się na Harvardzie?”.

Studencka osobowość Michaela była typowa dla przyszłego polityka. Uczył się wytrwale, dostawał dobre stopnie, działał na niwie uczelnianej polityki i unikał niebezpiecznych rozrywek, typowych dla męskiego grona – narkotyków, panienek i tym podobnych. Pominąwszy operacje kręgosłupa i karierę pływacką, stanowił dość nudny przypadek. Wśród kolegów uchodził za lojalnego, przyjacielskiego, godnego zaufania. Trudno było dostrzec w nim coś więcej niż ambicję, zamiłowanie do ciężkiej pracy i zdolności.

Karen przyjrzała się bliżej także wcześniejszym latom Michaela, które wyglądały niewiele ciekawiej. Był ostatnim i najbardziej ukochanym dzieckiem Judda Campbella, właściciela imperium przemysłowego i biznesmena, który nie dochowywał wierności żonie i był wymagający wobec swych dzieci. Apodyktyczna osobowość Judda doprowadziła do konfliktu ze starszym synem Stewartem, który zerwał stosunki z ojcem. Jedyna córka, Ingrid, była otyłą starą panną, która, jak się zdaje, w ogóle nie miała życia uczuciowego i poświęciła się bez reszty owdowiałemu ojcu i Michaelowi, uważanemu przez nią za namiastkę syna.

Michael był rodzinną „gwiazdą”, ukochanym najmłodszym dzieckiem, które wszyscy otaczali czułą opieką. Zgodnie z powszechną opinią cieszył się też największymi względami matki, nim popełniła samobójstwo.

Ta dość nudna historia wzbudziła podejrzenia Karen. Nikt nie miał tak bezbarwnego życia. Każdy skrywał jakiś wstydlivy sekret. Michael Campbell wydawał się zbyt doskonały, by być prawdziwy.

Spytaj go, co wydarzyło się na Harvardzie. Ten głos w telefonie Susan Campbell nie dawał Karen spokoju. Dobrze udokumentowana kariera studencka Michaela miała w sobie coś ukrytego. Dziennikarski nos Karen jeszcze nigdy nie wyczuwał tak wyraźnie sensacji. Nie mogła jednak znaleźć rozwiązania tej zagadki.

Skupiła się więc na wątku choroby, pamiętając radę Grimma: „Idź tropem chorych”. Dzwoniła do kolegów po fachu, którzy informowali ją o niezwykłych przypadkach czy niewyjaśnionych epidemiach, jakie zdarzały się wówczas w Bostonie i jego okolicach. Nie usłyszała niczego ciekawego: zatrucie pokarmowe w wyniku spożycia skażonych ryb i mięczaków, które wylowiono przy brzegach Maine po wycieku toksycznym; epidemia tyfusu, na szczęście szybko opanowana dzięki zdecydowanym i skutecznym działaniom władz medycznych okręgu; poważne zatrucie fosforanami, wywołane przez producenta nawozów sztucznych, który wypuścił na rynek zbyt silny pestycyd.

Były to wszystko ciekawe historie, warte zainteresowania wielkiego Bertona Rouecheho, gdyby jeszcze żył i mógł na ten temat pisać. Ale nie tego Karen szukała. Te zagadki już rozwiązano.

Kiedy odwiedziła Gavina Doeringa, lekarza zatrudnionego w Departamencie Zdrowia, jej uwagę zwrócił pewien wypadek. Doering pracował w biurze anatomopatologa okręgowego w okresie interesującym Karen. Doering, rodowity bostończyk, był chodzącą encyklopedią faktów i anegdot związanych z większymi i mniejszymi epidemiami w mieście, począwszy od lat pięćdziesiątych. Uśmiechnięty, nieco drobiazgowy mężczyzna po sześćdziesiątce, o białych jak śnieg włosach i jasnych, badawczych oczach, powitał Karen z wyrazem twarzy, który dowodził, że nie interesuje się kobietami. Potem podsunął jej krzesło i poczęstował kawą z ekspresu, który stał w poczekalni jego gabinetu.

– Dziękuję, doktorze, że znalazł pan dla mnie czas – zaczęła Karen.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że jakiś dziennikarz będzie mnie pytał o tę sprawę – wyznał. – To było dawno temu. Stara historia. Ciekawe jest w niej właściwie tylko to, że była dość zagadkowa.

– W jakim sensie?

– No cóż, badaliśmy ją pod każdym kątem, lecz w świetle ówczesnej wiedzy medycznej nie dało jej się absolutnie wyjaśnić. To jedna z moich największych porażek.

Karen przytaknęła z uwagą.

– Przez telefon mówił pan, że wszystkie ofiary były dziewczętami.

Doktor Doering skinął głową.

– Same kobiety, bez wyjątku młode. Mniej więcej osiemnastoletnie, jeśli sobie przypominam. Pochodziły z Bostonu i najbliższych okolic. Nie miały ze sobą wiele wspólnego, pomijając płeć i wiek. No i oczywiście objawy.

– To znaczy? – spytała Karen.

Spojrzał na teczkę z dokumentacją, która leżała na biurku.

– Dysfunkcje poznawcze – wyjaśnił. – Amnezja. Dysfunkcje motoryczne. Trudności z mową, sugerujące afazję. W kilku przypadkach śpiączka. U pozostałych całkowity zanik czynności życiowych. Z czternastu, jakie badaliśmy, osiem już nie żyje. Pozostałe przybywają w domu opieki albo mieszkają z rodzinami. Trochę się nimi interesuję, zaglądam do nich raz czy dwa razy w roku. Nie zaobserwowałem jakichkolwiek zmian, pomijając jedną dziewczynę, która zmarła dwa lata temu, prawdopodobnie w wyniku jakichś problemów natury organicznej, niezwiązanych z zaburzeniami, o których mówimy.

– Jak stwierdzono początkowe objawy? – spytała Karen.

– Dziewczęta znajdowano w różnych punktach miasta – wyjaśnił doktor. – Jedną znaleziono w autobusie, inną na stacji kolejki naziemnej, a jeszcze inną w parku na ziemi. Większość zlokalizowali przypadkowi przechodnie. Wzywano policję albo rodziców. Dziewczęta była zdezorientowane, pobudzone, bełkotały niewyraźnie. Większość zawieziono na ostry dyżur, skąd trafiły do szpitala na obserwację.

– A wyniki badań były... – zaczęła Karen.



– Niejednoznaczne. – Doktor potrząsnął głową. – Objawy wskazywały na wiele przyczyn. Najczęściej wymieniano przedawkowanie narkotyków, nie mogliśmy jednak znaleźć w ich krwi czy tkankach czegoś, co by na to wskazywało. Na drugim miejscu znalazło się zatrucie jakimś organicznym czy nieorganicznym czynnikiem toksycznym, ale i tutaj nic nie mogliśmy stwierdzić. Badania krwi i innych tkanek wykluczyły infekcję. Rozważaliśmy też zadziwiający przypadek masowej hysterii, ale nie było dowodów na poparcie tej teorii, toteż daliśmy sobie spokój. Ostatecznie cała sprawa pozostała całkowicie niewyjaśniona. Przez jakiś czas władze medyczne wykazywały pewne zaniepokojenie, ponieważ w razie wybuchu epidemii – cokolwiek byłoby jej przyczyną – nie mielibyśmy możliwości opanowania sytuacji. Minął jednak rok i nie zanotowano już żadnego przypadku.

– Przeprowadziliście angiografię mózgu dziewczętom w śpiączce? – spytała Karen. – Rezonans magnetyczny?

Doktor uniósł zaskoczony brwi.

– Widzę, że odrobiła pani lekcje. Owszem, zrobiliśmy to. Nie stwierdzono jednak uszkodzenia mózgu czy naczyń. To była prawdziwa zagadka. Wciąż jest.

Karen przytaknęła w zamyśleniu.

– W jakim okresie to się wydarzyło? – spytała.

– Zaraz sprawdzę... – Lekarz zaczął wertować dokumentację. – Wszystko wydarzyło się mniej więcej w ciągu siedmiu miesięcy, od października do kwietnia tamtego roku.

Umilkli. Karen wpatrywała się w twarz lekarza.

– Braliście pod uwagę celowe działanie? – spytała w końcu.

Lekarz przytaknął.

– Oczywiście. Praktycznie od samego początku. Kiedy znaleziono dziewczęta, wyglądały jak po zażyciu narkotyków. Obecność czynnika toksycznego wydawała się oczywista. Baliśmy się, że to może być przypadek terroryzmu. Pamięta pani zabójcę od tylenolu? Coś w tym rodzaju. Ale jak już mówiłem, przeprowadzone przez nas testy niczego nie wykazały.

– Nie przedstawiono żadnego oficjalnego wyjaśnienia?

– Nie. Co mogliśmy powiedzieć? Nie mieliśmy pojęcia o przyczynie choroby.

Karen cały czas robiła notatki. Po chwili uniosła wzrok.

– Proszę mi powiedzieć, czy przeprowadziliście rutynowe testy, jakim poddaje się ofiary przestępstw? Czy na przykład szukaliście dowodów gwałtu? Obecności nasienia?

Doktor potrząsnął głową.

– Nie mieliśmy powodów do takich przypuszczeń. Szczerze mówiąc, nie zdążyliśmy tego sprawdzić. Nim podjęto decyzję, dziewczęta spędziły już w szpitalu kilka dni.

Karen przytaknęła.

– Utrzymuje pan kontakt z ich rodzinami? – spytała.

– Owszem, luźny. – Doktor potrząsnął głową. – To bolesne. Okoliczności były naprawdę tragiczne. Niektóre rodziny nigdy się z tego nie otrząsnęły.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym odwiedziła je osobiście? – spytała Karen.

Doktor zmrużył oczy.

– W jakim celu?

– Żeby poznać ich reakcję – wyjaśniła możliwie obojętnym tonem Karen. – Sprawdzić, jak dają sobie radę z tym wszystkim.

Doktor Doering milczał przez długą chwilę, rozważając jej prośbę.

– Nie próbuje pani dorwać nikogo ze środowiska medycznego, prawda? – upewnił się.

– Ależ skąd. Zajmuję się po prostu historiami związanymi ze służbą zdrowia, interesuje mnie zwłaszcza ich wpływ na rodziny – wyjaśniła. – Nie zamierzam deprecjonować zawodu lekarza. Może pan przeczytać moje artykuły, doktorze. Jestem wielką entuzjastką pańskiej profesji.

Karen nie kłamała. Uważała pracowników służby zdrowia za najuczciwszych i najbardziej bezinteresownych ludzi, jakich kiedykolwiek znała.

– I tak wszystko jest w dokumentach – nalegała. – Ale pomyślałam, że mimo wszystko pana spytam.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby pani ich odwiedzić – oświadczył. – Dam pani adresy z własnej dokumentacji. Ale proszę postępować delikatnie. Ci ludzie bardzo cierpią.

– Rozumiem – odparła Karen.

Tego samego wieczoru Karen stała w odgrodzonym parawanem boksie domu opieki medycznej pod wezwaniem Świętego Serca w Waltham w Massachusetts. Towarzyszyła jej zmęczona kobieta w średnim wieku, która nazywała się Glenda Christensen. Przed nimi, na łóżku, leżała jej córka, Jane Christensen, jedna z czternastu ofiar wymienionych w dokumentach doktora Doeringa.

Dziewczyna odznaczała się sztywnością odmóżdzeniową, typową dla osób pozostających w długotrwałej śpiączce – szyja wydłużona, ręce wygięte w nadgarstkach. Była wychudzona i śmiertelnie blada. Oczy miała otwarte i wpatrzone gdzieś w dal.

– Niech pani tylko na nią popatrzy – zwróciła się kobieta do Karen. – Nie drgnął jej nawet mięsień przez te wszystkie lata. Jeśli nie liczyć kilku spazmów, które podobno są typowe w takiej sytuacji. Rzadko otwiera oczy.

Karen milczała, przyglądając się dziewczynie. Jane oddychała sama, ale do ramienia miała podłączoną kroplówkę, przez którą ją karmiono.

– Leży tu cały czas? – spytała.

Matka potrząsnęła głową.

– Na początku była w szpitalu, ale po jakimś czasie przenieśliśmy ją do domu opieki niedaleko naszego domu, w Lexington. Potem umarł mój mąż. Niewiele mi pozostawił. Nie stać mnie już było na utrzymanie Jane w tym zakładzie, musiałam poszukać czegoś innego. Przyjęli ją do Western Chronic Care, ale mniej więcej po roku musiałam ją stamtąd zabrać. W końcu jedna kobieta z mojej parafii powiedziała mi o Świętym Sercu.

– I ani razu nie rozmawiała pani z córką przez cały ten czas? – spytała Karen.

– Rozmawiała? – zdziwiła się pani Christensen ze smutnym uśmiechem. – Przychodzę tu codziennie. Opowiadam jej nowiny, mówię, jak powodzi się jej bratu, jego żonie i dzieciom. Staram się udawać, że mnie słyszy. Czytam jej nawet gazetę. Ale nigdy nie dała nawet najmniejszego znaku, że mnie słyszy. Ani jednego.

– Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, jak to się stało – poprosiła Karen.

– Wyszła tamtego wieczoru, żeby spotkać się z przyjaciółką i pójść do kina. Chciały obejrzeć Czułe słówka. Nigdy nie wróciła do domu. – Potrząsnęła głową. – Popełniłam błąd i potem poszłam na ten film. Nie wiem, czy tamtego wieczoru udało się jej go obejrzeć. Być może, więc chciałam zobaczyć to, co ona. Byłam zdruzgotana, ponieważ na końcu córka leży, umierając, w łóżku, a matka patrzy na nią, tak jak ja muszę codziennie patrzeć na Jane.

Karen przytaknęła, nie odwracając wzroku od wyniszczonej dziewczyny na łóżku.

– Próbowала pani ustalić, dokąd poszła tamtego wieczoru po kinie? – spytała.

– Tak. Ale policja niczego nie mogła wyjaśnić. Jane była chora, rozumie pani. Niczego innego nie stwierdzono. Policjanci powiedzieli, że skoro nie ma dowodów umyślnego działania, to nie jest to ich problem. Później mój mąż poszedł do kina i zapytał kasjerkę, czy widziała Jane. Dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć. Myślę, że rodzice Justine bardziej zgłębiali całą tę sprawę, ponieważ ich córka została uznana za zaginioną. Ale nawet im policja nie mogła pomóc.

– Justine? – zainteresowała się Karen.

Matka spojrziała na nią.

– Nie mówiłam pani o tym? Justine nigdy więcej nie dała znaku życia. Dlatego byliśmy przekonani, że coś złego stało się z dziewczętami. Ale policja odmówiła wszczęcia śledztwa. Uznali Justine za osobę zaginioną i na tym się skończyło.

– Jak miała na nazwisko? – spytała Karen.

– Justine? Lawrence. Justine Lawrence.

– I mówi pani, że jej rodzice próbowali dowiedzieć się czegoś więcej?

– Przez jakiś czas. Ale niewiele wskórali. Potem pani Lawrence popełniła samobójstwo. Nie zostawiła żadnego listu, ale zawsze czułam, że to z powodu tej historii z córką. A ojciec, pan Lawrence, popadł w alkoholizm. Pił już wtedy, ale mógł jeszcze pracować. Kiedy Justine zniknęła, a żona popełniła samobójstwo, zupełnie się załamał. Nie mieszka już tutaj. Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie jest. Kiedyś utrzymywaliśmy kontakty, ale z czasem stało się to zbyt bolesne.

– Czyli nie wie pani, gdzie mogłabym go znaleźć? – spytała Karen.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Może niech pani spyta jego byłych sąsiadów. Nie wiem. Wyrzucili go z pracy, a potem, pewnego dnia, zniknął. Gadał, że sam pójdzie poszukać Justine, ale za bardzo się już wtedy stoczył. Biedny facet, zapijał się na śmierć.

– I nigdy nie odnaleziono Justine? – upewniła się Karen.

Pani Christensen potrząsnęła głową.

– Myślę, że nie żyje. Wydaje mi się, że ten, kto zrobił to Jane, zabił Justine.

– Skąd ta pewność? – spytała Karen. Kobieta popatrzyła na nią.

– Czuję to w głębi duszy.

Karen zapisała coś szybko w notatniku.

– Tak mi przykro – powiedziała. – To musi być dla pani straszne. Kobieta znów spojrzała na Karen.

– Ile ma pani lat? – zainteresowała się nagle.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Prawie tyle co Jane. Pani matka żyje? Karen potrząsnęła głową.

– Nie.

– Przykro mi. Kiedy widzę taką młodą kobietę jak pani, zazdroszczę tego wszystkiego, czego Jane nie zdążyła przeżyć, czego nie zdążyła już powiedzieć. Mogłabym jej pomóc, gdyby tego potrzebowała. Albo przynajmniej jej wysłuchać. Czasem myślę sobie, że byłoby lepiej, gdyby umarła. Oglądać ją codziennie... w takim stanie.

Karen przytaknęła.

– To musi być tortura.

Dotknęła delikatnie ramienia kobiety. Pani Christensen westchnęła, spoglądając na córkę.

– Czy w ogóle odezwała się od tamtego dnia? – spytała Karen.

– Tylko przez sen – odparła matka. – Przez pierwszy rok, kiedy miała jeszcze otwarte oczy, mamrotała coś, potem przestała. – Westchnęła. – Proszę pielęgniarce, żeby nasłuchiwały, kiedy są w pobliżu Jane. Ale chyba już tego nie robią.

– Wypowiedziała kiedyś jakieś zrozumiałe słowa? – dopytywała się Karen.

– Kilka razy – wyjaśniła matka. – Choć nie miały wielkiego sensu. Zwykłe bredzenie. Jak w gorączce. Coś o jakimś ośle...

Karen za wszelką cenę starała się zachować pozory zwykłej ciekawości.

– Ośle? Jakim ośle?

– Nie wiem. Po prostu o ośle. Nie miało to żadnego sensu. Karen coś zanotowała.

– Powtarza to jeszcze?

– Teraz nic już nie mówi. – Kobieta potrząsnęła głową. – Była taka piękna. Taka mądra. Miała przed sobą całe życie.

– Pani Christensen, spróbuję ustalić, ile mi się tylko uda – obiecała Karen. – I miałabym jeszcze prośbę. Jeśli przypomni pani sobie coś jeszcze, co się wydarzyło, kiedy Jane zachorowała, proszę o telefon. A gdyby córka przypadkiem coś powiedziała albo dała jakiś znak życia, to także proszę o kontakt. To moja wizytówka. Może pani dzwonić na moją sekretarkę o każdej porze dnia i nocy. Na odwrocie napiszę pani mój numer domowy i e-mail.

Wiedziała, że nie pojawi się nic nowego. Chciała jednak dać kobiecie jakiś cień nadziei, powód do czekania.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze.

Pani Christensen popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Nie ma za co – odparła. W jej oczach Karen ujrzała świat, gdzie podziękowania i chęć pomocy nie miały już żadnego znaczenia, gdzie istniał tylko ból.

## Rozdział 49

Hamilton

2 kwietnia

Judd Campbell siedział w gabinecie swego domu nad zatoką i rozmawiał z szefem agencji detektywistycznej, którą zatrudnił do odszukania Susan. Zegar na biurku wskazywał drugą w nocy, ale Judd tego nie dostrzegł. Nie obchodziło go również, że obudził detektywa swoim telefonem.

– Niech pan mi nie wmawia, że nic nie macie – powiedział. – To już sześć dni.

– Nie bardzo jest się na czym oprzeć, panie Campbell – wyjaśnił tamten. – O ile możemy się zorientować, wymknęła się niepostrzeżenie.

FBI przesłuchało sąsiadkę Susan z Georgetown, której się wydawało, że widziała jakąś kobietę z kręconymi, kasztanowymi włosami za kierownicą MG w dniu, kiedy zniknęła Susan. Znała ten mały samochód i chciała nawet pomachać, zauważyła jednak, że osoba w samochodzie nie przypomina Susan.

Na tej podstawie władze wywnioskowały, że Susan była w przebraniu, kiedy wyjeżdżała z domu. Najwidoczniej albo chciała uwolnić się na jakiś czas od swej dobrze znanej roli żony senatora Stanów Zjednoczonych, albo uciec na stałe.

FBI dotarło wreszcie do kina w Hagerstown, gdzie Susan była na przedpołudniowym seansie Right of Way. Agenci poddali dwoje zatrudnionych w kinie nastolatków hipnozie. Chłopiec nic sobie nie przypominał, ale dziewczyna pamiętała atrakcyjną kobietę o kręconych włosach, ubraną w obcisłe dżinsy, podkoszulek i krótką kurtkę skórzaną. Nie rozpoznała w niej Susan Campbell, ale wzrost i budowa ciała z grubsza się zgadzały.

W tym miejscu trop się urywał. Podobnie jak FBI i inne służby detektywów wynajęci przez Judda nie znaleźli żadnych dowodów na to, że ktoś jechał za samochodem Susan na trasie od Waszyngtonu do Green Lake.

– Nie stać was na nic więcej? – spytał gniewnie Judd.

– Rozmawialiśmy z każdym, kto mieszka nad jeziorem – zapewnił detektyw. – Niestety, większość domków stała pusta. Dozorca był u siebie, ale spał. Okazało się, że facet ma problemy alkoholowe. Na ogół jest zalany. Żaden z sąsiadów nie widział MG.

– Płacę wam, żebyście ją znaleźli – przypomniał Judd. – Czym się teraz zajmujecie?

– Rutynową robotę w razie zaginięcia lepiej pozostawić agencjom rządowym – doradził detektyw. – Mają możliwości i ludzi, żeby przeczesać cały kraj. Naszą największą szansą jest podążanie śladami, które ich nie interesują.

– To znaczy? – spyta! Judd.

– Po pierwsze trzeba wziąć pod uwagę ucieczkę – wyjaśnił detektyw. – Założmy, że tak to wszystko zorganizowała, by sfingować porwanie. To by oznaczało, że miała jakiś plan, który

zaczęła realizować w Green Lake. Zamierzała pozostawić na miejscu samochód i zniknąć bez śladu. Jeśli tak się stało, to musiała dysponować drugim samochodem albo innym środkiem transportu. Moi ludzie badają ten trop.

– Czego się dowiedzieli?

– Jeszcze niczego.

– I nie dowiedzą się – zauważył Judd. – To ślepa uliczka. Judd nie wierzył, by Susan zaplanowała własne zniknięcie. Nie porzuciłaby Michaela. Trwałaby na posterunku, bez względu na to, jak bardzo się bała.

– Tak czy inaczej musimy to sprawdzić – przekonywał detektyw. – Może nie znał jej pan tak dobrze, jak się panu zdawało. Wszystko możliwe.

– Wszystko?

– Mogła być w zмовie z politycznymi przeciwnikami pańskiego syna. Może uciekła, by zaszkodzić obecnej administracji. Niech pan tak od razu nie skreśla tej hipotezy. Proszę mi wierzyć, zdarzają się dziwniejsze rzeczy. A obecny rok nie jest zwyczajny. Są naciski...

Judd westchnął.

– Nie wierzę w to. To niepodobne do Susan.

Zapadło milczenie. Detektyw był zmęczony i poirytowany. Już czwarty czy piąty raz Judd budził go w nocy. Trudno się z nim współpracowało. Wtrącał się przy każdej okazji, a w jego pytaniach wyczuwało się nieprzyjemny, oskarżycielski ton, jakby zawodowcy, których wynajął, nie znali się na swojej robocie. Typowy facet z kierowniczego szczebla, odczuwał potrzebę rozkazywania i kopania ludzi w tyłek. Nie wiedział, jak usunąć się na dalszy plan i pozwolić działać fachowcom.

– Istnieje też prawdopodobieństwo, że zdarzyły się jednocześnie dwie niezwiązane ze sobą rzeczy – ciągnął cierpliwie detektyw. – Najpierw uciekła, a potem została porwana. Coś w tym rodzaju.

– Porwana przez kogo? – spytał Judd.

– Przez kogoś, kto nie miał nic wspólnego z jej wyjazdem z miasta w przebraniu. Może nawet kogoś, kto nie wiedział, kogo porywa. Wszystko jest możliwe.

– Ale tak między nami nie bardzo pan w to wierzy? – spytał Judd.

– W nic nie wierzę. O niczym nie jestem przekonany. Chcę po prostu ustalić, co się stało.

Judd odłożył słuchawkę bez pożegnania. Zszedł do kuchni, nalał sobie piwa i usiadł ze szklanką w ciemnym salonie, popatrzył przez okno na skąpane w blasku księżyca fale zatoki.

Był pozbawiony emocjonalnego wsparcia i wiedział o tym. W jakiś ulotny sposób znicznictwa jego zmarłej żony Margery został przekazany Susan. Kiedy pojawiła się w rodzinie, Judd jakby zyskał szansę wynagrodzenia sobie straty. Zrobił wszystko, by poczuła się zaakceptowana przez rodzinę. W końcu potrzebowała nowego domu, przecież jej własny rozpadł się doszczętnie. Ważniejsze było jednak to, że Campbellowie jej potrzebowali. Judd jej potrzebował.

Przez cały ten niepokojący rok Judd nie przejmował się tym, co działo się na arenie politycznej. Śmierć Everhardta i Stillmana była wodą na młyn jego ambicji związanych z Michaeliem. Odczuwał żal, że odeszli, ale nic ponadto. Nie traktował wydarzeń tej zimy jako potencjalnego niebezpieczeństwa. Nie do końca.

Ale to było jeszcze przed zniknięciem Susan. A teraz cały świat Judda Campbella był zagrożony. Musiał sprowadzić Susan z powrotem do domu. Jeśli znajdowała się w niebezpieczeństwie, to trzeba ją ratować. Mogła być równie dobrze jego żoną albo córką. Musiał ją odzyskać. Przestraszył go dźwięk jakiegoś głosu.

– Tato?

W drzwiach stała Ingrid w koszuli nocnej.

Judd skinął jej ponuro głową. Nie mógł nawet posiedzieć sobie późno w nocy, żeby o tym nie wiedziała. Miała słuch czujniejszy nawet niż Margery. Bez przerwy krążyła nad nim, każąc mu spać i nie denerwować się.

Ale tej nocy, kierowana odruchem współczucia, nie strofowała go. Podeszła do ojca i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Mogłam przygotować ci grog – powiedziała.

– Nie, dziękuję, kochanie. – Judd ścisnął ją za rękę. – Niczego mi nie potrzeba.

Usiadła na fotelu naprzeciwko kanapy. Za oknem, w ciemności, uderzały głucho fale. Mrok w pokoju rozpraszało tylko światło małej lampki stojącej na fortepianie. Susan jako jedyna w rodzinie umiała na nim grać. Czasem odtwarzała z uwagą sonaty Mozarta i łatwiejsze utwory Beethovena i Schumanna. Na prośbę Judda nauczyła się aranżacji jego ulubionych piosenek, w tym Yesterday Beatlesów i Love is Here to Stay Gershwina.

Ingrid popatrzyła na ojca. Zdradzał już oznaki starości. Drzemał teraz częściej niż dawniej. Zdarzało mu się zapominać o różnych rzeczach. Kiedy sądził, że nikt nie patrzy, pograżał się w apatii, typowej dla mieszkańca domu opieki. Tylko kiedy miał otwarte oczy albo strofował obecnych, jakby odzyskiwał młodość.

Ingrid poświęciła mu życie. Także Michaelowi, Susan i Stewartowi. Nie żałowała tego. Zrozumiała już jako młoda dziewczyna, że jakiegokolwiek związki natury uczuciowej są w jej przypadku wykluczone. Nie chodziło o to, że nie lubi mężczyzn czy lubi kobiety. Po prostu nie czuła nic w stosunku do kogokolwiek spoza rodziny. Uważała, że to naturalne, pozostać w jej kręgu i poświęcić się wyłącznie ognisku domowemu. Miała w sobie jakby podwójną osobowość, matki i starszej siostry, niepasującą do małżeńskiego łoża.

– Tato – odezwała się.

Judd ocknął się z otępienia i spojrzał na nią. Miał na twarzy wypisaną rozpacz.

– Tato, odzyskamy ją.

– Tak – przytaknął Judd. – Odzyskamy. Milczeli przez chwilę.

– Pamiętasz tę noc po pogrzebie mamy, jak siedzieliśmy tutaj, ty i ja? Nie mogliśmy spać i spotkaliśmy się w tym pokoju, tak jak dzisiaj. A potem przyszedł Michael i Stew. Michael nie wyjechał jeszcze do szkoły, a Stew nie mógł spać.

– Byliśmy tak rozbudzeni, że zaczęliśmy w końcu przyrządzać chowder o czwartej nad ranem – przypomniał sobie Judd. – Według przepisu matki.

– I świetnie się bawiliśmy – dodała Ingrid. – Boże, chyba nam wtedy odbiło.

Judd przytaknął z uśmiechem.

– Ludzie z żalu robią różne rzeczy.

– Wtedy po raz ostatni byliśmy razem jako rodzina – przypomniała Ingrid. – Od tamtej pory nigdy nie już usiedliśmy wszyscy w jednym pokoju. To znaczy nasza czwórka. Ty, ja, Michael i Stew.

Uśmiech na twarzy Judda przygasi. W pierwszych latach po śmierci Margery jego konflikt ze Stewartem przybrał formę bezustannej wojny. Strata żony znieczuliła Judda, sprawiła, że stał się mniej tolerancyjny i być może mniej rozsądny. To on ponosił odpowiedzialność za to, że Stewart odszedł z domu.

– Ale gdy pojawiła się Susan, znów poczuliśmy się jak jedna rodzina – zauważyła Ingrid. – Prawda?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Tak. Susan nam w tym pomogła.

Ich twarze jednak wyrażały smutek, gdyż oboje wiedzieli, że Susan być może więcej nie powróci. Byłaby to już druga katastrofa w rodzinie Campbellów. Na samą myśl o tym Juddowi ścisnęło się serce.

– Ciekawe, czy i Michael czuwa tak samo jak my – zastanawiała się Ingrid, żeby zmienić temat. Michael przebywał w domu w Georgetown.

Judd wzruszył ramionami.

– Nic zdziwiłbym się... w tym tłumie agentów? Ja nie zmrużyłbym nawet oka.

– Ma twardy sen – zauważyła Ingrid. – Najtwardszy w rodzinie.

– Pewnie tak.

Judd zastanawiał się, jakie to myśli nawiedzają tej nocy Michaela. Jego syn kochał Susan ponad wszystko. Musiał go zżerać lęk. Ingrid wstała.

– Zgaś światło, jak pójdziesz do siebie – przypomniała.

– Dobrze.

Judd był wdzięczny, że nie ciosa mu kołków na głowie. Po raz pierwszy od chwili, gdy znaleźli się tej nocy razem, zaczął się zastanawiać, jak jego córka to wszystko przeżywa.

Nie spytał jednak. Czas już dawno określił ich role. Ingrid była skałą, opoką. Nikt jej nie pytał, co czuje.

Patrzył w ślad za nią, kiedy człapała w tych swoich brzydkich kapciach, starzejąca się kobieta, której ciało nigdy nie zaznało dotyku mężczyzny. Była niewolnicą życia, na jakie się zdecydowała. Nic nie można było dla niej zrobić.

Siedział otoczony ciszą, wpatrując się w przestrzeń. To czuwanie wydawało mu się dalszym ciągiem żałoby po Margery. Nie miał ochoty spać. Każda chwila na jawie była jak wyciągnięcie dłoni do Susan, bez względu na to, gdzie się teraz znajdowała. Każda chwila snu była drobną zdradą wobec synowej.

Przeniósł się na podniszczoną, starą kanapę i położył się, nie gasząc światła. To właśnie tutaj, dawno temu, leżał z głową na kolanach Margery.

Po kilku minutach obrócił się na bok i przymknął oczy. Zaczął go z wolna ogarniać dziwny stan, który w tym straszliwym czasie uchodził za sen. Jego oddech pogłębił się, jakby w zgodzie z głuchym rytmem fal.

Czterdzieści pięć kilometrów dalej w swoim senackim biurze leżał Michael Campbell i trzymał głowę na kolanach Colina Gossa.

## Rozdział 50

Oczy Michaela były na wpół przymknięte. Jego dłoń spoczywała w dłoni Gossa. Pokój był pogrążony w ciemności.

Paliło się światło w recepcji. Chodziło o agentów, którzy jeździli za Michaelem. Szanując jego żal i troskę o zaginioną żonę, nie chcieli mu przeszkadzać.

Bezruch panujący w pomieszczeniu zakłócał tylko dym z cygara Gossa, który drugą ręką głaskał Michaela po włosach. Miał palce delikatne jak matka.

– No, no – powiedział uspokajająco. – Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Ani Goss, ani Michael nie mieli pojęcia, gdzie przebywa Susan ani kto ją uprowadził. Jej zniknięcie stanowiło jedyne wydarzenie tej zimy, którego nie przewidzieli. I jako jedyne mogło wszystkiemu zagrozić.

Michael szalał z niepokoju. Goss, choć głęboko zatroskany, zachowywał spokój. Przetrwiał już wiele trudnych sytuacji i wierzył z całego serca, że pokona także i tę przeszkodę. Tym bardziej że Susan Campbell nie odgrywała głównej roli w całym planie. Żywa mogła się przydać, była pozytywnym dodatkiem. Martwa nie powinna zaszkodzić. Goss przemyślał to dokładnie.

Michael westchnął, chłonąc czułość starszego mężczyzny, przywodzącą mu na myśl matczyzny dotyk. Michael uważał, że to właśnie jest najważniejsze. Goss pełnił funkcję nie tyle ojca, ile matki.

Colin Goss pojawił się w życiu Michaela na podobieństwo wędrowca z opowieści, którego bohater napotyka w głębokim lesie. Niczym zagadkowy nieznanomy czy tajemniczy gnom Goss się po prostu ukazał. I odmienił bieg życia Michaela.

Wszystko się zaczęło, kiedy Michael był jeszcze w szkole. Chodził do Bryce Academy w stanie Maryland i jako uczeń i lekkoatleta stawiał czoło agresywnym chłopcom, którzy tam uczęszczali. Wszyscy pochodzili ze znanych i szanowanych rodzin i odczuwali bez wyjątku milczącą, lecz potężną presję, by sprostać ich wymaganiom. Rodziło to pewne nieprzyjemne doznania. Człowiek nigdy nie czuł się naprawdę sam. Wciąż miał świadomość misji, którą mu narzucano. Odnosił wrażenie, że się dusi.

Michael odczuwał to w dwójnasób boleśnie. Judd Campbell uchodził za twardego, nieustępliwego człowieka. Znał swoje ideały i ambicje. Synowie uznawali za oczywiste, że nie wolno podawać ich w wątpliwość. Ceną aprobaty ojca było posłuszeństwo. Kiedy Stewart, już później, zdecydował się na bunt przeciwko Juddowi, musiał w imię swego wyboru wyrzec się wszystkiego.

Ale to był Stewart. Z Michałem sprawa wyglądała inaczej. Kochał Judda Campbella i nie mógł znieść myśli, że go zawiedzie. Osiągał najlepsze wyniki we wszystkim, co robił. Nie dlatego, że kierował nim naturalny impuls, ale w pewnym sensie dlatego, że czuł na plecach oddech diabła.

W nauce przychodziło mu to stosunkowo łatwo. Michael był bystry, bystrzejszy od ojca. Przy odrobinie wysiłku zapewniał sobie z wszystkiego najwyższe oceny. W lekkoatletyce było już znacznie trudniej. Michael nie odznaczał się jako dziecko siłą. Miał szczupłe ciało, osobowość łagodną, nieasertywną. Już wówczas uwidaczniał się jego przyszły talent mediatora i dyplomaty. Był wspaniałym mówcą. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to być może Michael zamiast Stewarta zostałby nauczycielem. Lecz na boisku Michael musiał być gwałtowny i agresywny. Wiedział, że ojciec tego pragnie i oczekuje. Niemal się zmuszał do tego, by go nie zawieść.

Kiedys wrócił do domu na weekend z posiniaczonymi nogami, co było rezultatem starcia, do jakiego doszło na szkolnym boisku. Judd Campbell, zamiast współczuć synowi, był wyraźnie zadowolony. „Dali ci coś, dzięki czemu ich zapamiętasz, prawda? – spytał. – No cóż, potraktuj to jak trofeum”.

Michael uśmiechnął się z przymusem; bolały go poobijane mięśnie. Wyczuwając być może jego zniechęcenie, Judd spytał: „Kto cię uderzył?”. „Fred Cooperman”, odparł Michael. „Jest większy od ciebie?”, spytał Judd. „Tak”. W rzeczywistości Fred Cooperman był o piętnaście centymetrów wyższy i dwadzieścia kilogramów cięższy od Michaela. „A on ciebie zapamięta? – spytał Judd. – Zostały mu porządne sińce?”. „Niezupełnie”, odparł Michael, który jako jedyny odniósł w tym starciu obrażenia. „No cóż, nie omieszkaj następnym razem zrobić tego jak należy. Będzie cię wtedy szanował – oświadczył Judd i wrócił do lektury «Wall Street Journal», ale spojrzął jeszcze raz na syna i dodał: – I będziesz szanował samego siebie”.

Judd Campbell traktował tę surową, męską filozofię w kategoriach miłości i troski ojcowskiej. Michael był jego ukochanym synem. Judd pragnął po prostu, by Michael dobrze przygotował się na walkę, jaka czekała go w świecie pełnym rywalizacji.

Rezultat tej reprimendy był jednak całkowicie odmienny. Michael poczuł, że ojcowska miłość ma cenę, że obarczona jest pewnym warunkiem, zawierającym się w możliwie najsurowszej definicji męskości. Żądanie to było niczym toksyna wstrzyknięta w osobowość Michaela. Judd, niezbyt skłonny do refleksji, nie mógł wiedzieć, jaki skutek przyniosą jego ojcowskie nauki.

Pewnego dnia, podczas meczu piłkarskiego z inną prywatną szkołą, Michael dostrzegł jakiegoś mężczyznę, obserwującego grę zza linii bocznej. Drużyna Michaela wygrała, a on sam strzelił bramkę. Mężczyzna podszedł do niego po meczu, żeby mu pogratulować. Przedstawił się jako „przyjaciel taty i mamy”. Powiedział jeszcze, że przyszedł obejrzyć spotkanie przez sentyment, ponieważ sam niegdyś chodził do tej szkoły.



Michael podziękował grzecznie słowami i uśmiechem. Czuł, że nie może potraktować tego mężczyzny nieuprzejmie, ponieważ ten najwidoczniej znał jego rodzinę i był absolwentem szkoły. Kilka tygodni później Michael brał udział w innym meczu i odniósł kontuzję kolana w starciu z przeciwnikiem.

Wychodził z szatni, kiedy na drodze stanął mu nieznajomy. „Wszystko w porządku?”, spytał. „Pewnie”, odparł pospiesznie Michael. Nie chciał przyznać, że go boli. „Chodź, napijemy się kawy – zaproponował mężczyzna. – Porozmawiamy o meczu”.

Michael i tak nie miał nic do roboty, przyjął więc zaproszenie. Nieznajomy zaprowadził go do miejscowej kawiarni, gdzie chłopak zamówił kakao, a mężczyzna kawę.

Nieznajomy był nadzwyczaj łagodny, gdy rozmawiał z Michaelem o meczu. Dla jego gry miał wyłącznie słowa uznania, martwił się też o kontuzję. „Mogę zobaczyć?” – spytał. Michael podciągnął nogawkę spodni i mężczyzna dotknął ostrożnie pokiereszowanego kolana, które robiło się już niebieskie. „Musiało porządnie boleć. Jesteś bardzo dzielny – zauważył, a patrząc, jak Michael opuszcza nogawki, dodał: – Ja nie byłbym taki odważny”.

To było dla Michaela coś nowego, ta delikatna pochwała ze strony drugiego człowieka. Michael był przyzwyczajony do surowego miernika, według którego miał stać się prawdziwym mężczyzną. Człowiek ten przypominał bardziej matkę niż ojca. Był pełen współczucia, zrozumienia i aprobaty.

Rozstali się po krótkiej rozmowie w kawiarni, ale od czasu do czasu mężczyzna pojawiał się na meczach, a Michael przywykł chodzić z nim na kawę albo jakąś przekąskę.

Mężczyzna przedstawił się jako Colin Goss i dodał, że znał przed laty rodziców Michaela. Dopytywał się o jego matkę i słuchał z uwagą drobnych szczegółów na temat Campbellów i ich życia. Michael odniósł wrażenie, że nieznajomy kochał się kiedyś w jego matce, ponieważ mówił o niej z przesadnym szacunkiem i swego rodzaju czcią.

Colin Goss wyjaśnił, że jest wdowcem i że jego żona zmarła dawno temu, wydając na świat martwe dziecko. „Małego chłopca”, powiedział. Wydawało się, że Michael przypomina mu syna, którego tak bardzo pragnął i którego nigdy nie miał. Dziwna czułość w jego zachowaniu podkreślała tylko to wrażenie.

Wypytywał Michaela o jego przyjaciół, o szkołę, o uczucia i opinie. Michael był zafascynowany szacunkiem, z jakim Goss go traktował. Nie musiał niczego udowadniać, spełniać jakichkolwiek oczekiwań. Gossowi podobało się wszystko, co go dotyczyło.

„Może lepiej nie mów o mnie rodzicom – doradził mu Goss. – Twój tata jest wściekły na mnie”. „Dlaczego?”, spytał chłopak. „Och, to stara historia. Nie ma się czym przejmować”.

Michael z ochotą przystał na tę prośbę. Pełna serdeczności kojąca bliskość, jaką odznaczały się kontakty z Gossem, tak bardzo odbiegała od relacji Michaela z ojcem, że wydało mu się czymś naturalnym zachowanie tej nowej przyjaźni w tajemnicy.

Goss zaczął przyjeżdżać na mecze wyjazdowe Michaela i czasem odwoził go z powrotem do szkoły. Dawał mu prezenty, były to niemal zawsze książki. To także kontrastowało ze zwyczajami Judda Campbella, który nie przepadał za literaturą i zawsze dawał synowi w prezencie sprzęt lekkoatletyczny, myśliwski albo wędkarski. Wiersz Jeżeli Rudyarda Kiplinga był jedynym utworem literackim, o jakim Judd kiedykolwiek wspomniał Michaelowi. Goss zapoznał chłopca z dziełami Jacka Londona, Waltera Scotta i Dumasa, a potem Hemingwaya i Thomasa Wolfe’a. Goss rozwijał marzycielską, refleksyjną stronę natury Michaela, podczas gdy Judd pragnął jedynie uczynić ze swego syna człowieka czynu. Co ciekawe, w późniejszych latach literacka wiedza Michaela pomogła mu zyskać poparcie wśród bardziej wyrobionych ludzi, których poznał już jako polityk. Zawdzięczał to w znacznej mierze Colinowi Gossowi. Wydawało się, że ma dwóch ojców, z których każdy zapewnił mu stosowne wykształcenie.

Michael nauczył się od obu mężczyzn, jak torować sobie drogę w świecie, jak odnieść sukces. Od Judda przejął ambicję i pragnienie osiągnięcia zamierzonych rzeczy. Od Gossa

wziął cierpliwość, umiejętność wyczekiwania na właściwy moment, omijania przeszkód zamiast ich taranowania.

Nim Michael zaczął naukę w Choate, osiągnął w życiu punkt, kiedy to myśli o dziewczętach towarzyszą człowiekowi cały dzień i nie pozwalają zasnąć w nocy. Ponieważ uczęszczał do szkoły męskiej, nie miał zbyt wielu okazji, by widywać się z przedstawicielkami płci odmiennej tak często, jakby sobie tego życzył. A o tych nielicznych, które spotykał, fantazjował z zapalem. Kiedy zapadała noc, rozbierał je w swej wyobraźni, wielbił ich miękkie ciała, wsłuchując się w wymaginowane czułości, które szeptały mu do ucha pod wpływem jego pieścizot.

Judd Campbell nie dostrzegł żadnej zmiany w Michaelu i sprawiał wrażenie, że nie ma ochoty rozmawiać na temat dziewcząt. Goss jednak od razu zauważył dojrzałość seksualną chłopaka i poruszył ją w rozmowie ze swym ulubieńcem w bardzo delikatny, niemal poetycki sposób. „Nic na świecie nie dorównuje doskonałości ładnej dziewczynie – oświadczył. – Jej uśmiech jest wart całej symfonii Mozarta. My, mężczyźni, mamy w sobie poezję, synu”. Nazywał już wtedy Michaela synem. I dodał: „Potrzebujemy jednak kobiet, by obudziły w nas tę poezję. Bez nich jesteśmy niczym”.

Niedługo po tej rozmowie Goss pewnego jesiennego popołudnia zabrał Michaela do mieszkania niedaleko szkoły. Kiedy tam weszli, z kanapy podniosła się dziewczyna, która czytała jakiś magazyn. Była niezwykle atrakcyjna, miała kasztanowe włosy, mleczną skórę, szczupłe nogi i piękne piersi, które wyraźnie się rysowały pod materiałem bluzki.

Goss przedstawił ją jako Valerie i wyszedł. Dziewczyna zaprowadziła Michaela do sypialni i kazała mu się położyć na łóżku. Usiadła i rozmawiała z nim przez chwilę, potem poprosiła grzecznie, by pomógł jej zdjąć bluzkę. Pokazała mu, jak rozpiąć stanik, powiedziała nawet, by przećwiczył to sobie kilka razy. „Musisz się tego nauczyć”, oświadczyła.

Wydawało się, że rozumie Michaela lepiej niż on samego siebie. Przez długą chwilę ograniczała się do rzeczy, o których już fantazjował – dotykała go, całowała, pozwalała patrzeć na siebie i pieścić się. Potem zaczęła szkolić go w sztuce intymności, rozsuwając nogi, by mógł odkrywać jej ciało, sama też zaczęła odkrywać jego, pytając: „Jest ci dobrze, kiedy cię tu dotykam?”, aż jego odpowiedzi przeszły w jęk.

Michael dowiedział się tego popołudnia o kobietach tyle, ile w zasadzie mężczyzna powinien wiedzieć. Reszty Valerie nauczyła go w ciągu kolejnych tygodni. Zaczął ją doprowadzać do orgazmu tak subtelnie jak ona jego. Nieporadne eksperymenty, przez jakie zwykle przechodzą młodzi ludzie w szkole średniej i na studiach – zwykle pod wpływem alkoholu – zostały Michaelowi oszczędzone. Stał się adeptem rozkoszy fizycznej i ekspertem w sztuce uwodzenia, mając czternaście lat.

Talent ten miał mu się przydać później, gdyż Colin Goss zaczął go wkrótce zachęcać, by sam wyszukiwał atrakcyjne dziewczęta, a potem przyprowadzał je do niego. „Radzisz sobie z nimi o wiele lepiej niż ja – przyznał Goss samokrytycznie. – Poza tym żadna młoda dziewczyna nie chce starszego mężczyzny”.

Michael z radością przyjął rolę pośrednika. W ten sposób mógł odplacić Gossowi za okazaną serdeczność i zyskać jego wdzięczność i sympatię. Na bardziej subtelnej płaszczyźnie owo dostarczanie młodego kobiecego ciała, które tak bardzo uszczęśliwiała Gossa, przybrało postać jakby miłosnej relacji. Później, kiedy Goss wyznał Michaelowi, że dziewczęta zapewniają mu pewien szczególny rodzaj rozkoszy, której społeczeństwo nie akceptuje i której one same nie chciałyby ofiarować z własnej woli, chłopak się nie sprzeciwiał. Dalej pełnił funkcję pośrednika i zachowywał szczególne środki ostrożności, o co prosił go Goss. Pilnował, by dziewczyny nigdy nie poznały jego prawdziwego nazwiska ani też nazwiska Gossa.

Michael w głębi duszy rozumiał doskonale, że to, co robi, jest niewłaściwe, że dziewczęta są krzywdzone. Ale jednocześnie wmawiał sobie, że to słuszne i usprawiedliwione, gdyż

cementuje jego przyjaźń z człowiekiem, który go lubił i dużo dla niego zrobił (Goss już zaczął czynić mu pewne obietnice i mówić o przyszłości, kiedy to Michael zdobędzie ogromne przywileje i dokona wielkich rzeczy przy pomocy Gossa).

Ta kazuistyka nie była Michaelowi obca. Jego ojciec wbijał mu ją w kółko do głowy. Aby stać się człowiekiem czynu, przekonywał Judd, trzeba czasem robić rzeczy, które wydają się odrażające czy naganne. Jeśli komuś brakowało do tego odwagi i woli, to w sposób nieunikniony ulegał ludziom silniejszym od siebie. „Uprzejmi faceci dobiegają do mety ostatni”, zwykł mawiać. Należy łamać prawa, które mogą stać na drodze do wytyczonego celu. Zwycięstwo nie jest najważniejsze ze wszystkiego, zwycięstwo jest wszystkim. Owa максима Lombardiego stanowiła zawartą w jednym zdaniu biblię Judda.

Michael nie uświadamiał sobie jednej rzeczy – że Goss wybrał go właśnie z myślą o tym charakterystycznym braku moralnego rozeznania. Goss musiał bezustannie wyszukiwać ludzi, którzy mogliby mu się przydać. Jako nieuczciwy przedsiębiorca potrzebował stałego dopływu ludzi o na tyle nieprecyzyjnym kompasie moralnym, że popełnialiby dwuznaczne moralnie czyny, które mogłyby mu przynieść korzyść.

Goss znał Judda Campbella, ich ścieżki często się krzyżowały. Został przez niego pokonany i go nienawidził. Wiedział doskonale, że Judd jest bezwzględny, niezdolny do akceptacji czyjegokolwiek punktu widzenia z wyjątkiem własnego. Goss podejrzewał od dawna, że Judd jako ojciec mógłby wychowywać syna, który ambicję ceniłby sobie wyżej niż innych ludzi. Teraz, kiedy spotka! Michaela i poddał go kilkuletniej próbie, wiedział, że się nie mylił. Michael zrobiłby wszystko, co zaspokoiłoby jego ambicje. Podobnie jak sam Goss.

Goss wiązał duże nadzieje z chłopcem. Michael był człowiekiem bardziej subtelnym niż ojciec, bystrzejszym, a jednocześnie dorównywał mu siłą i determinacją. Wiedział, jak wykorzystywać swój urok, by uzyskać od ludzi to, czego pragnął. Judd Campbell nigdy nie miał tego daru, zawsze otaczało go więcej wrogów niż przyjaciół. W ostatecznym rozrachunku wpłynęło to negatywnie na jego karierę.

Goss nie wątpił, że Michael zajdzie w życiu znacznie dalej niż ojciec. Michael mógł stać się wielkim człowiekiem, który jest zdolny zmienić świat.

I rzeczywiście, Michael osiągał w swym młodym życiu coraz więcej, zaskarbiając sobie podziw i miłość obu ojców. Sukcesy sportowe spotykały się z aprobatą Judda, podczas gdy wyniki w nauce i ponadprzeciętny intelekt cieszyły Gossa. Powodzenie na niwie polityki szkolnej zadowoliło bardziej Gossa niż Judda, podczas gdy odwaga i wytrzymałość fizyczna, jakich wymagały dwie bolesne operacje kręgosłupa, poruszyły obu mężczyzn.

Byli pod wrażeniem, kiedy Michael zdobył medale olimpijskie. Judd siedział na widowni, kiedy Michael wygrywał sztafetę, Goss zaś przed telewizorem. Obaj mężczyźni płakali, kiedy koledzy z drużyny wyciągali Michaela z basenu, sparaliżowanego skurczem mięśni.

Kiedy Michael ożenił się z Susan, Judd wpadł w euforię, choć starannie to ukrywał. Pochodziła z doskonałej rodziny, której nazwisko mogło dopomóc synowi w karierze; z drugiej strony jej gałąź rodzinna była zubożała, a na dzieciństwie kładło się cieniem odejście ojca i śmierć matki.

Jeśli chodzi o Gossa, który nie został przedstawiony Susan, zaaprobował ją jako partnerkę życiową Michaela, obawiał się jednak, by ten nie uzależnił się od niej emocjonalnie. Michael wkrótce udowodnił, że małżeństwo nie zaszkodziło jego ambicjom. Jego kariera polityczna już na samym początku znaczone była triumfami dorównującymi największym osiągnięciom Gossa.

Reszta to historia – oficjalna, czyli kariera Michaela w Senacie, i niepisana, czyli perfidny plan, jaki wraz z upływem lat zaczął rodzić się w umyśle Colina Gossa. Plan, którego centralną postacią miał być sam Michael i który miał stać się rzeczywistością.

Dopóki nie zniknęła Susan Campbell.

## Rozdział 51

### Boston

Karen Embry zobaczyła każdą z pięciu dziewcząt, ofiary tajemniczej serii wypadków odkrytych przez policję bostońską piętnaście lat wcześniej. Nie dowiedziała się niczego, patrząc na nieruchome kobiety. Jak powiedział Doering, ich stan był całkowitą zagadką. Każdy specjalista medyczny podejrzewałby w takiej sytuacji przedawkowanie narkotyków czy jakiś rodzaj celowego działania, na przykład otrucie. Nie znaleziono jednak żadnych dowodów, czy to natury fizycznej czy chemicznej, które by potwierdzały takie przypuszczenie.

Cokolwiek stało się z dziewczętami – albo cokolwiek z nimi zrobiono – nie pozostawiło po sobie nawet śladu. Z wyjątkiem całkowitego zniszczenia ich zdolności do życia.

Karen nie potrafiła dowiedzieć się nic konkretnego od pogrążonych w rozpacz rodziców. Jak przewidywała, mieli poczucie głębokiej krzywdy i byli ogromnie przygnębieni. Wiedzieli, że inne ofiary zmarły, nie istniała więc szansa dla ich pogrążonych w śpiączce córek. A jednak trzymali się kurczowo przekonania, że medycyna odkryje jakiś lek, który je ocali.

Ofiary wciąż były młode, ledwie po trzydziestce. Miałyby całe życie przed sobą. Była to najboleśniejsza strona tej tragicznej sprawy.

Karen nie zdradzała się ze swoimi myślami, gdy rozmawiała z rodzinami i dziękowała Doeringowi za pomoc. W głębi duszy rozważała zaskakujące podobieństwa między chorymi dziewczętami a milionami ofiar syndromu Pinokia.

Obie choroby miały kilka wspólnych cech. Niewydolność fizyczna i psychiczna. Brak wyraźnej, organicznej czy nieorganicznej, przyczyny. Nagły początek zaburzeń, z natychmiastowym zatrzymaniem procesów kognitywnych. Wreszcie śpiączka.

Istniały też oczywiście pewne różnice. Dziewczęta z Bostonu nie doznały okropnych zmian fizycznych, które atakowały ofiary Pinokia tuż przed śmiercią. Niektóre z dziewcząt nadal żyły, choć leżały nieruchomo w łóżkach już wiele lat. Syndrom Pinokia nie oszczędzał ofiar.

Lecz jedno wspólne ogniwo przekonało Susan, że obie choroby są ze sobą związane – było to słowo „osioł”, które wymówiła Jane Christensen. To zrzędzenie losu – zbieg okoliczności, jak powiedziałyby większość ludzi – było zbyt oczywiste, by je ignorować. Karen uważała, że to istotny element i w połączeniu z pozostałymi da pełny obraz, który tak bardzo chciała ujrzeć.

Musiała znaleźć jeszcze inne elementy, zwłaszcza ustalić przy pomocy rodzin szczegółowe daty. Wypadki wydarzyły się czternaście lat wcześniej, w ciągu siedmiu miesięcy, od października do kwietnia. Wszystkie dziewczęta, z wyjątkiem jednej, znaleziono nazajutrz po tym, jak wyszły z domu, by spędzić gdzieś wieczór. Większość wybrała się do kina albo na zabawę. Jedna poszła odwiedzić krewnego, który akurat chorował. Dwie z dziewcząt, nie tak zdyscyplinowane jak pozostałe, nie powiedziały rodzicom, dokąd idą. Po prostu wyszły na miasto.

Karen, rozmawiając z rodzicami, odniosła wrażenie, że wszystkie dziewczęta odznaczały się jakimś drobnym skrzywieniem osobowości, pewną skłonnością do buntu. Sprawiały problemy natury wychowawczej. Trudno było powiedzieć to z całą pewnością, ponieważ rodzice wykazywali naturalną skłonność do ich idealizowania.

Oceniając po fotografiach, były to atrakcyjne dziewczyny o zgrabnych figurach i ładnych twarzach.

Tylko jedna z nich stanowiła chlubny wyjątek, jeśli chodzi o posłuszeństwo. Była utalentowaną matematyczką i uczęszczała do specjalnej szkoły dla uzdolnionej młodzieży w Waltham. Nazywała się Emily Koehler. Zakochana w książkach dziewczyna, nigdy niesprawiająca rodzicom kłopotów, była jedyną ofiarą, która w momencie zniknięcia

załatwiała zwykłe sprawy. Wsiadła do autobusu jadącego do Cambridge i pojechała na seminarium matematyczne dla uczniów szkół średnich, organizowane przez Harvard.

Spytaj go, co wydarzyło się na Harvardzie. Karen czuła, że jest na tropie. Historia z czternastoma dziewczynami wydarzyła się podczas trzeciego roku studiów Michaela Campbella na uniwersytecie.

Dokumentacja dotycząca studentów Harvardu była na szczęście dostępna. Karen uzyskała kopię akt Michaela w biurze dziekana i dokładnie się z nimi zapoznała. W archiwum biblioteki uniwersyteckiej znalazła wykazy zajęć, w jakich uczestniczył jesienią i wiosną. Z planu wykładów, zaliczeń i egzaminów wynikało jasno, że Michael przebywał w Bostonie każdego dnia, gdy ginęły miejscowe dziewczęta.

Należało rozważyć jeszcze jedną rzecz. W lutym, na trzecim roku studiów, stwierdzono u Michaela nawrót skoliozy. Przystąpił do egzaminów we wcześniejszym terminie i przeszedł drugą operację kręgosłupa 22 kwietnia. Resztę wiosny i lato spędził na rehabilitacji i powrocie do zdrowia. Jesienią wrócił na studia. W listopadzie wszedł w skład drużyny pływackiej i trenował do następnej wiosny.

Ostatnią z bostońskich ofiar, niejaką Judy Luzscinski, znaleziono nieprzytomną w parku miejskim 2 kwietnia tamtego roku. Potem epidemia ustała.

Karen odnotowała to sobie w pamięci, a potem usiadła wygodnie, by przemyśleć wszystko, czego się dowiedziała. Nie ulegało wątpliwości, że fakty wskazują na związek między głosem w słuchawce telefonu Susan i studiami Michaela na Harvardzie. A z nim łączyła się choroba. Grimm powiedział Karen: „Już wcześniej doprowadzał ludzi do choroby”.

Karen postanowiła zarzucić większą sieć i zbadać powiązania wszystkich ważniejszych graczy politycznych z wydarzeniami tamtego zapomnianego roku.

Poleciała z powrotem do Waszyngtonu i zasiadła do komputera z zamiarem prowadzenia długich poszukiwań.

Zaczęła od dobrze znanych postaci. Dan Everhardt. Colin Goss. Kirk Stillman. Tom Palleschi. Susan Campbell. Wreszcie, by lista była kompletna, prezydent.

Otworzyła swoje internetowe archiwum, przywołała interesujący ją rok i zaczęła wyszukiwać w indeksie nazwiska, jedno po drugim. Wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem Colina Gossa, byli politykami, pozostawiali więc na swej drodze bezustanny ślad informacji, ważniejszych i mniej istotnych. Poszukiwania okazały się zaskakująco łatwe.

Prezydent, wówczas senator Stanów Zjednoczonych, odwiedził tamtego roku Boston tylko raz, tuż przed Bożym Narodzeniem. Poza tym przebywał w Waszyngtonie albo w swym rodzinnym stanie.

Dan Everhardt, wówczas kongresman z New Jersey, pojechał tam w styczniu na weekend ze swoją żoną, by odwiedzić teściową. Była to jego jedyna wizyta w Bostonie tamtego roku.

Tom Palleschi, który miał krewnych w tym mieście, każdej pierwszej niedzieli miesiąca odwiedzał matkę przebywającą w domu spokojnej starości i tego samego wieczoru leciał z powrotem do Chicago, gdzie wtedy mieszkał.

Kirk Stillman, członek rządu, w ogóle nie był w tamtym roku w Bostonie.

Susan Campbell przebywała w Bostonie cały rok jako studentka na Uniwersytecie Smitha. Nie poznała Michaela Campbella aż do wiosny, tuż przed operacją. Kiedy odwiedziła go po raz pierwszy w szpitalu, była ledwie nową znajomą, o której prawie nic nie wiedział.

Pozostawał Colin Goss. Archiwum Karen zawierało kilka informacji na jego temat. Wówczas, tak jak obecnie, Goss był szefem i głównym udziałowcem The Goss Organization, z siedzibą w Atlancie. Często podróżował, odwiedzając swe przedsiębiorstwa i uczestnicząc w spotkaniach z kierownictwem i akcjonariuszami. Dokładny rozkład tych podróży był nieosiągalny.

Karen poszła do biblioteki Kongresu i zaczęła szukać informacji o Colinie Gossie w głównym spisie i katalogach. Jej poszukiwania niemal natychmiast naprowadziły ją na źródło, które przez cały tydzień bezmyślnie pomijała.

Była to biografia.

Karen widziała ją już wcześniej, ale nie zwróciła na nią specjalnej uwagi, gdyż była to autoryzowana biografia, napisana przez doradcę Gossa do spraw public relations i opublikowana za pieniądze milionera. Był to bez wątpienia list miłosny, rodzaj peanu, jaki powstaje zwykle na polecenie ludzi wysokiego szczebla, którzy płacą swym poddanym, by przedstawiali ich w jak najlepszym świetle.

Karen stwierdziła jednak, że książka zawiera szczegółową chronologię powstania i przejęcia wszystkich firm znajdujących się pod ogromnym parasolem The Goss Organization. Studiowała uważnie wydarzenia dotyczące roku, w którym zachorowały dziewczęta w Bostonie. Poczowała bicie serca.

Colin Goss zakładał w tym samym roku siedzibę swego imperium w Nowej Anglii i uczestniczył w różnych zebraniach, poczynawszy od września. Nowa siedziba została oficjalnie oddana do użytku 25 maja tamtego roku. Mieściła się w śródmiejskim drapaczu chmur, którego trzy niezwykle wieże stały się dominującym elementem bostońskiego krajobrazu.

Goss musiał jeździć do Bostonu na narady przez cały rok. Siedziba firmy nie mogła powstać bez jego osobistego nadzoru.

Goss, pomyślała Karen.

Miała wrażenie, że po długiej przerwie zza chmur wyjrzało słońce. Przeklinała własną ślepotę.

Już wcześniej doprowadzał ludzi do choroby.

Kto inny miał możliwość celowego zarażania ludzi? Kto inny dysponował sprzętem pozwalającym na prowadzenie biochemicznego terroru, jeśli nie Colin Goss?

Już wcześniej doprowadzał ludzi do choroby.

Podążaj tropem chorych.

Karen przed wyjściem z biblioteki zrobiła odbitkę chronologii zawartej w książce. Pierwszym przystankiem na jej trasie powrotnej była księgarnia na M Street, gdzie znalazła wydanie biografii Gossa w miękkiej oprawie, które zabrała ze sobą do domu.

## Rozdział 52

Alexandria, Wirginia  
5 kwietnia

Joe Kraig miał za sobą długi dzień.

Cały ranek spędził przy telefonie, rozmawiając z przedstawicielami służb policyjnych i wywiadowczych. W południe uczestniczył w spotkaniu z Rossem Agnew i dyrektorem CIA, na którym omawiali postępy w śledztwie. O trzeciej wziął udział w konferencji prasowej zorganizowanej przez dyrektora FBI.

Cały dzień był ciężki. Dochodzenie utknęło w martwym punkcie. Choć znaleziono nielicznych świadków, którzy mogli widzieć MG na trasie z Waszyngtonu do Pensylwanii, nikomu nie przyszło do głowy patrzeć, czy jedzie za nim jakiś wóz. Trudno było liczyć, że ktoś taki się znajdzie.

Jako potencjalna ofiara porwania Susan Campbell zrobiła najgorszą z możliwych rzeczy. Wymknęła się z domu niezauważona przez nikogo i zaprowadziła swych porywaczy wprost do odludnego miejsca, gdzie mogli ją uprowadzić bez świadków.

Trudno było się dziwić, że dyrektor FBI miał problemy z dziennikarzami. Ich pytania wyrażały sceptycyzm co do kompetencji odpowiednich służb.

„To nie był dobry rok dla służb wywiadowczych – zauważył sarkastycznie doświadczony korespondent CNN. – Najpierw atak jądrowy, którego sprawców jak dotąd agencje federalne nie ustaliły ani nie ukarały. Potem w podejrzanych okolicznościach zostali wyeliminowani trzej politycy, a rząd nie potrafił wyjaśnić dlaczego. A teraz ginie najbardziej lubiana i popularna żona polityka w kraju, a wy nie potraficie powiedzieć, co się stało. Jesteście zaskoczeni, że zaufanie społeczeństwa do agencji rządowych znajduje się na rekordowo niskim poziomie?”.

Trudno było odpowiedzieć na te zarzuty, tym bardziej że CNN przeprowadziła właśnie sondaż, który potwierdził, że sześćdziesiąt pięć procent społeczeństwa uważa, że administracja nie radzi sobie z kryzysem. Wiadomości bezustannie pokazywały wywiady ze zwykłymi obywatelami, którzy skarżyli się, że porwanie Susan Campbell stanowiło część większego planu i że służbom policyjnym brakuje informacji albo chęci, by dotrzeć do jego sedna. „Oni wszyscy są w to zamieszani – oświadczył jakiś wyborca w średnim wieku, dając wyraz narodowej paranoi. – Nie jestem pewien, kto wydaje rozkazy ani kto na tym skorzysta. Ale to nic nowego. Widzieliśmy już takie szwindle. Od zabójstwa Kennedy’ego...”.

Dzień Kraiga skończył się dopiero po dziesiątej. Marzył o gorącym prysznicu i martini. Skręcił w bramę swego osiedla z westchnieniem ulgi.

Po chwili ujrzał na schodach domu znajomą postać.

– Cholera.

Karen Embry wstała na widok Kraiga wysiadającego z wozu. Miała na sobie dżinsy i skórzaną marynarkę, przy boku podniszczoną teczkę.

– Zjazd starych znajomych – zauważył. – Czemu zawdzięczam zaszczyt?

– Muszę z tobą pogadać.

Dziennikarka sprawiała wrażenie niespokojnej i zdeterminowanej.

– O czym?

Wskazała drzwi jego mieszkania.

– Jest tam bezpiecznie? Mam na myśli pluskwy.

Kraig wzruszył ramionami.

– Trafia się czasem jakiś karaluch czy mrówka. Co do robactwa, jakie masz na myśli, to owszem, jest bezpiecznie. Sam sprawdziłem.

– To dobrze.

Nie spuszczała go z oka, kiedy przekręcał klucz w zamku. Otworzył drzwi i wprowadził ją do salonu, który sprawiał wrażenie zakurzonego i niechlujnego.

– Rozgość się. Drinka?

– Pewnie. Wszystko jedno co.

– Mam martini.

– No, może coś innego. Kręci mi się po nim w głowie.

– Bourbona?

– Dzięki.

Zdjął marynarkę i przewiesił przez oparcie kuchennego krzesła; zmarszczył nos, czując odór własnego potu. Musiał poczekać z prysznicem.

Nalał jej czystego bourbona, a sobie małe martini Beefeatera. Zauważył, że sekretarka przy telefonie mruga, ale nie próbował nawet policzyć ile razy. Zwykle o tej porze było ze dwadzieścia wiadomości.

– O co chodzi? – spytał, wracając do salonu.

– Zakładam, że niewiele posunęliście się do przodu w sprawie Susan Campbell – odparła.

– Jeśli rozmawiamy nieoficjalnie, to masz rację.

Nie ma sensu zaprzeczać rzeczy oczywistej, pomyślał Kraig.

– Posłuchaj. Susan Campbell otrzymywała dziwne telefony od kogoś, kto chciał, żeby się dowiedziała, co jej mąż robił na Harvardzie – zaczęła Karen.

– Skąd wiesz? – spytał gniewnie Kraig.

– A więc i ty wiesz – zauważyła.

– Zadałem ci pytanie. Jak się o tym dowiedziałas?

– Pamiętasz ten wywiad, który z nią przeprowadziłam? – przypomniała Karen. – Mówiłam, że zadzwonił akurat telefon. Poszła do kuchni go odebrać. W salonie był drugi aparat. Podśledzałam rozmowę.

Kraig westchnął z rezygnacją.

– Chryste, ale z ciebie numer.

Karen zapaliła papierosa, by Kraig zdążył ochłonać.

– A jak ty się dowiedziałeś? – spytała, kładąc nacisk na słowo „ty”.

– Susan mi powiedziała.

– Kiedy?

– Jeszcze w grudniu. Zanim to wszystko się wydarzyło.

– Chcesz powiedzieć, że już wcześniej otrzymywała telefony?

– Owszem. Otrzymywała.

– Przed Everhardtem? – dopytywała się Karen.

Kraig potrząsnął głową.

– To było po Everhardcie. Dlatego się martwiła. Uważała, że Michael nie jest bezpieczny. – Wzruszył ramionami. – Jak się sama przekonałaś, powinna bać się o kogoś innego.

Karen dostrzegła niezamierzony humor w tej uwadze. Jeśli Michaelowi nic nie groziło, to Susan z pewnością tak. Wydarzenia to wyraźnie potwierdziły.

– Sprawdziłeś te telefony? – spytała Karen.

– Nie. Powiedziałem jej, żeby mnie poinformowała, jeśli się powtórzą.

– Założyłeś podsłuch na jej aparacie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie poprosiła mnie o to.

– I nie zrobiłeś tego na własną rękę?

Kraig uśmiechnął się do niej ironicznie.

– Będąc na moim miejscu, jakiego byś potrzebowała dowodu, żeby założyć podsłuch na telefonie senatora Stanów Zjednoczonych? A gdyby Michael się dowiedział?

Karen skinęła głową.

– Rozumiem.

– Poza tym każdy, kto się zajmuje polityką, napotyka na swej drodze jakichś wariatów. Ludzie tacy jak Michael mają bezustannie do czynienia ze świrami, którzy pojawiają się ni stąd, ni zowąd, żeby ujawnić ich grzeszki.

Karen przypatrywała mu się uważnie. Kraig zastanawiał się, czy reporterka wyczuwa za jego gładkimi słowami pewną bezradność. W końcu żałował, że nie dysponuje nagraniem głosu, o którym mówiła mu Susan.

– Czy pani Campbell powiedziała mężowi o tych telefonach? – spytała Karen.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. – Co chcesz udowodnić? Że ta wariatka od telefonów ma jakiś związek ze zniknięciem Susan?

Karen wypuściła kłęb dymu z papierosa.

– Pozwolisz, że zacznę od początku – zaproponowała. – Zaciekawiała mnie ta historia z Harvardem. Wiem jeszcze z pewnego źródła, że być może istnieje związek między obecnymi wydarzeniami a przeszłością. Ze szczególnym uwzględnieniem ludzi, którzy zapadali na tajemniczą czy niewyjaśnioną chorobę. Spędziłam trochę czasu w Bostonie, badając tę sprawę. Kraig słuchał w milczeniu.



– Okazuje się, że piętnaście lat temu pewna liczba młodych dziewcząt zapadła na dziwną, niewyjaśnioną chorobę – ciągnęła Karen. – Było ich czternaście. Stały się fizycznie i umysłowo niezdolne do życia, dosłownie w ciągu jednej nocy. Lekarze nie potrafili ustalić przyczyny. Ani znaleźć skutecznego leku.

– Wyzdrowiały? – spytał Kraig.

Potrząsnęła głową.

– Zapadły w śpiączkę. Osiem zmarło do tej pory. Te, które wciąż żyją, to rośliny.

Widziałam wszystkie.

Kraig milczał.

– Nie przypomina ci to czegoś? – zainteresowała się Karen.

– Nie. A powinno?

– Co z syndromem Pinokia? Kraig zastanawiał się przez chwilę.

– Wystąpiły u nich jakieś zmiany fizyczne? Karen potrząsnęła głową.

– Ale inne objawy przypominają to, z czym mamy teraz do czynienia.

– Na przykład?

– Nagłe porażenie. Umysłowa i fizyczna niewydolność. Śpiączka. Całkowity brak jakiegokolwiek śladu wskazującego na znany organiczny czynnik patogenny czy toksyczny. Absolutnie niewytłumaczalna choroba u osoby, która powinna być zdrowa. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Kraig przytaknął.

– W porządku. Co jeszcze masz?

– Zaintrygowała mnie ta wariatka, która powiedziała Susan, żeby sprawdzić, co wydarzyło się na Harvardzie. – Karen łyknęła burbona. – Przejrzałam dokumentację trzeciego roku studiów Michaela Campbella. Właśnie wtedy zachorowały te dziewczęta. Michael Campbell przebywał na uczelni, kiedy rozgrywała się ta tragedia.

– A gdzie miałyby być? – Kraig wzruszył ramionami. – Studiował na Harvardzie.

Karen potrząsnęła głową.

– Posłuchaj. Te dziewczęta zniknęły, kiedy były wieczorem poza domem, w kinie i tak dalej. Wygląda, jakby zostały przez kogoś zabrane. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, znaleziono następnego dnia. A tym wyjątkiem była dziewczyna, która uczęszczała na zajęcia z matematyki na uniwersytet.

– No i co? – spyta! Kraig.

– Michael Campbell był na miejscu, gdy każdej z dziewcząt przydarzyło się nieszczęście.

– Tak jak ja – zauważył Kraig. – Też byłem wtedy na trzecim roku. Całe dwanaście miesięcy mieszkałem w Cambridge. I co z tego wynika?

Karen zignorowała to pytanie.

– Nie chciałam pochopnie wyciągać wniosków, choć podobieństwo między tą niewyjaśnioną chorobą i syndromem Pinokia od razu mnie uderzyło. Sprawdziłam więc, gdzie wówczas przebywali wszyscy związani z obecnymi wydarzeniami, począwszy od prezydenta.

– I co ustaliłaś? – spytał znudzonym, pobłażliwym tonem Kraig.

– Ludzie tacy jak Dan Everhardt, Tom Palleschi i inni byli zajęci swoimi karierami – wyjaśniła. – Spędzili tamtego roku w Bostonie dzień albo dwa, nie więcej. Ale Colin Goss to inna sprawa. Jego firma farmaceutyczna otwierała wówczas nową siedzibę w Bostonie. Goss przebywał w tym mieście co tydzień, od października do maja, kiedy to biuro oficjalnie zaczęło funkcjonować.

Kraig słuchał w milczeniu. Nie był już taki znudzony.

– Goss był w mieście za każdym razem, gdy jedna z tych dziewcząt wychodziła wieczorem z domu, a nazajutrz znajdowano ją bez życia.

Kraig patrzył na nią uważnie.

– Czy policja w Bostonie sprawdziła Gossa? Karen się uśmiechnęła.  
– Żartujesz?

Kraig potrząsnął głową ze znużeniem.

– Karen, znowu gonisz za jakimiś cieniami – zauważył.

– Nie wydaje mi się – powiedziała zdecydowanie. Kraig westchnął.

– Colin Goss to trzykrotny kandydat na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czy naprawdę uważasz, że w ciągu tych lat nie został sprawdzony od podszewki przez FBI, nie wspominając już o innych służbach? Jeśli coś ukrywał, zapewne wiedzielibyśmy o tym.

Karen wstrzymała się od repliki. Przypuszczała, że człowiek o możliwościach i władzy Gossa bez trudu utrzymałby agencje wywiadowcze z dala od swych spraw prywatnych.

Kusiło ją, by powiedzieć Kraigowi o Grimmie, ale przezorność kazała jej zachować to cenne źródło dla siebie.

– Nie robi na tobie wrażenia cała ta zbieżność? – spytała.

– Zamieniasz ją w spisak – zauważył Kraig. – Słyszałem, że słyniesz z tego.

Karen nie odpowiedziała.

– A więc Goss był wtedy w Bostonie – ciągnął. – Ja też siedziałem w Bostonie. Czy to oznacza, że byliśmy ze sobą w zмовie?

– Nikt nie mówi twojej żonie, żeby cię spytała, co wydarzyło się na Harvardzie – odcięła się Karen.

– Nie jestem żonaty – przypomniał Kraig.

Zapadło milczenie.

– Posłuchaj – zwróciła się do niego Karen. – Ta wariatka, która dzwoniła do Susan, powiedziała jej, że kiedy dojdzie do selekcji, prezydent wskaże Michaela Campbella. Wydawało się to wtedy niewiarygodne. Ale pomyśl tylko, co wydarzyło się od tamtej pory. Palleschi zachorował. Stillman został zamordowany. I na dobrą sprawę już wybrano Michaela. Zwróć też uwagę na to, co się stało od momentu jego nominacji: syndrom Pinokia przestał atakować ludzi w Stanach Zjednoczonych. A notowania prezydenta poszły ostro w górę. Colin Goss stracił poparcie w sondażach.

– I co w związku z tym? Chcesz powiedzieć, że Goss porwał Susan Campbell, żeby przystopować Michaela? – Kraig popatrzył na Karen. – Nie mylą ci się przypadkiem konspiratorzy? Jeśli Goss był w zмовie z Michaelem jeszcze na Harvardzie, po co miałby mu szkodzić, porywając Susan?

Karen zagryzła nerwowo wargę.

– Jeszcze do tego nie doszłam. Próbuję poskładać wszystkie elementy.

Poza tym nikt na świecie nie żywi do Michaela takiej nienawiści jak Colin Goss – dodał Kraig. – Słyszałaś, jak rzecznik Gossa mówi o Michaelu? Przedstawia go jak skrzyżowanie Micka Jaggera z Charlesem Mansonem.

Była to prawda. Jak przewidywał Michael, ludzie Gossa oskarżali go o brak doświadczenia, robili z niego ambitnego żółtodzioba, którego wybór dowodził tylko, w jak trudnym położeniu jest prezydent i jego administracja. Po co wysyłać chłopaka, żeby wykonał męską robotę? – tak brzmiał refren telewizyjnych spotów Gossa.

Karen nie miała na to sensownej odpowiedzi.

– Posłuchaj, Karen – zaczął Kraig, nachylając się do przodu. – Ktoś przetrzymuje Susan Campbell. Muszę ją znaleźć. Jeśli masz coś, co pomoże mi ustalić miejsce jej pobytu, to byłoby dobrze, gdybyś się ze mną tym podzieliła. Jeśli dysponujesz tylko jakimiś historiami sprzed piętnastu lat, to zachowaj je dla siebie. Dla nas to strata cennego czasu.

Karen spojrzała na Kraiga. Wiedziała, że jej nie słucha. Należał do oficjalnej grupy, która wierzyła w normalność świata. Bez konkretnego dowodu nigdy nie zdołałaby przekonać go do czegoś tak złowieszczonego jak teoria, która chodziła jej po głowie.

– Okej – rzuciła pojednawczo. – Mam nadzieję, że ją znajdziesz.

– Ja też – odparł Kraig.

Wstała do wyjścia. Jej szczupłe nogi wyglądały blado i niemal widmowo w przyćmionym świetle pokoju. Kraig przyglądał się, jak rozsypuje włosy na ramiona. Musiała je umyć tego dnia albo nawet wieczorem. Wyglądały świeżo i puszyście. Nie mógł już dłużej zaprzeczać, że go pociąga.

Odwrociła się przy drzwiach i spojrzała na niego.

– A więc byłeś tam cały rok – zauważyła. – Byłeś przy tym, jak Susan po raz pierwszy spotkała się z Michaeliem?

– Tak – odparł Kraig. – Przedstawiła ją jedna z jej przyjaciółek, tuż przed drugą operacją. A Michael przedstawił Susan mnie.

– Jak wtedy wyglądała? – spytała Karen.

– Była młoda. Ładna. – Kraig wzruszył ramionami.

– Neurotyczna?

– Nie powiedziałbym. Wrażliwa.

– Podobała ci się?

– Pewnie.

– Spali wtedy ze sobą? – pytała dalej Karen. – To znaczy przed operacją.

Kraig wzruszył ramionami.

– Wątpię. Dopiero jej wizyty podczas rekonwalescencji bardziej ich zbliżyły. Choć to możliwe, że żyli ze sobą jeszcze przed operacją. Skąd mam wiedzieć.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się Karen. – Byłeś jego najbliższym przyjacielem, prawda?

– Jasne. Ale niekoniecznie mówi się najlepszemu przyjacielowi, z kim chodzi się do łóżka.

– Są więc rzeczy, o których nie wie nawet najlepszy przyjaciel – zauważyła Karen. – Zgadza się?

Kraig nie odpowiedział.

Karen obrzuciła go po raz ostatni uważnym spojrzeniem, kiedy otwierał jej drzwi.

## Rozdział 53

Czwartego dnia Susan odbyła pierwszą poważną rozmowę ze swą strażniczką.

Kobieta zjawiała się, by jak zwykle zabrać tacę zjedzeniem. Tym razem jednak pozostała, by pomówić.

– No cóż – powiedziała. – Jesteś gotowa wysłuchać prawdy?

Susan się zaczerwieniła. Nie podobało jej się, że porywaczka traktuje ją z góry.

– Znam już prawdę – oświadczyła.

– Jaką prawdę? – spytała kobieta.

– Mój mąż jest odważnym człowiekiem, który kocha swój kraj – odparła Susan. – Nie znam nikogo, kto miałby tyle fizycznej odwagi co on. Ból, jaki sprawił mu dwie operacje kręgosłupa, zmieniłby każdego normalnego człowieka w kalekę. Nigdy nie pragnął rozgłosu, ale żyje z nim od piętnastu lat, gdyż chce służyć swojemu krajowi.

Kobieta przytaknęła.

– A jaki jest jako mąż?

– Michael to kochający małżonek – zapewniła Susan. – Oddany. Zawsze szanował moje uczucia. Kocha mnie.

– Dlaczego nie macie dzieci? – spytała kobieta. Susan znów się zaczerwieniła.

– To chyba moja wina.

– Zaspokaja cię seksualnie?

– Nie twój interes.

Kobieta przyglądała się Susan z uwagą. Jej spojrzenie było przenikliwe. Kiedy Susan odwracała wzrok, zauważyła, że kobieta ma tego dnia nagie ramiona. Widać było na nich ślady małych oparzeń, być może po papierosach.

– A jako syn? – dopytywała się.

– Ma silnego, czasem dominującego ojca – wyjaśniła Susan. – Ojca, który skomplikował życie pozostałym dzieciom. Ale Michael nie jest słaby. Osobowością dorównuje ojcu. Nawet go przewyższa. Nie pozwolił się zastraszyć Juddowi, zawsze mu się sprzeciwiał. Sądzę, że Judd go za to szanuje. Michael wzbudza szacunek.

– Ale są zgodni co do jego kariery politycznej? – spytała kobieta.

– Nie całkiem – odparła Susan. – Przede wszystkim Judd ma o wiele bardziej konserwatywne poglądy od Michaela. Poza tym Judd zawsze chciał, by Michael był bardziej ambitny, niż jest z natury. Chyba dlatego, że Judd sam był zawsze ambitny. To zwycięzca. I chce, by Michael był zwycięzcą. Michael to rozumie, ale nie zgadza się, by Judd nim rządził. Ma własne zdanie, a Judd nauczył się to szanować. Michael ma mocny kręgosłup.

Ta ostatnia uwaga były żartem rodzinnym Campbellów. Wydawało się ironią losu, że Michael, którego kręgosłup został skrzywiony przez chorobę, jest w rodzinie obdarzony najsilniejszą wolą.

– A jednak Michael został nominowany na wiceprezydenta dość wcześnie – zauważyła kobieta. – Jego przeciwnicy podkreślają ten fakt. Jest zbyt młody. Dlaczego twierdzisz, że sprzeciwia się ojcu?

– Bo się sprzeciwia. Zawsze tak było. To nie Judd wywindował go tak wysoko.

Kobieta uniosła zdziwiona brwi.

– Kto w takim razie?

Susan szukała przez chwilę właściwego słowa.

– Los.

– Ach. – Kobieta się uśmiechnęła. – Rozumiem.

– Nie sądzą. – Susan pokręciła głową. – W przeciwnym razie nie starałabyś się powstrzymać go przed zrobieniem tego, czego wymaga od niego teraz ojczyzna.

Kobieta studiowała przez chwilę twarz Susan.

– Susan, znasz przypowieść o słoniu? – spytała kobieta.

– O słoniu? – odparła Susan. – Chyba nie.

Dwóch ślepców trzyma słonia, jeden za ogon, drugi za trąbę. Muszą ustalić między sobą, co to za zwierzę. Jeden uważa, że jest ono bardzo cienkie. Drugi uważa, że jest ono duże, grube i trąbi. Nie potrafią ustalić między sobą prawdziwego obrazu zwierzęcia. Obaj znają zbyt małą jego część.

– Owszem, słyszałam to – przyznała Susan. – I co?

– Czasem nie potrafimy uchwycić prawdy, ponieważ widzimy tylko jej część. To tak jakbyś miała do czynienia tylko z trąbą, Susan. Nigdy nie widziałaś ogona. Nigdy nie widziałaś całego Michaela Campbella.

Susan potrząsnęła głową.

– Mylisz się – powiedziała. – Znam go lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Zapadło milczenie. Dziwny, wewnętrzny błysk w oczach kobiety złagodniał nieco.

– Mam na imię Justine – powiedziała. – To niesprawiedliwe, że znam twoje imię, a ty mojego nie.

Susan ważyła w myślach dźwięk tego imienia. Była w nim jakaś zagadkowa godność, pasująca do tej kobiety. Przedwcześnie postarzała z powodu tajemniczego cierpienia, być może przekraczającego wyobraźnię Susan, sprawiała wrażenie ocalałej z kataklizmu. Jej zewnętrzne blizny były jakby odległym echem tych niewidzialnych, zbyt strasznych, by można było na nie spokojnie patrzeć.

– Z oczywistych powodów nie chcesz przyjąć do wiadomości faktu, że twój mąż to zły człowiek. Jestem tu po to, by cię o tym przekonać. Dlaczego? Bo gdy nadejdzie czas, ty będziesz musiała wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Co rozumiesz przez „wziąć odpowiedzialność”? – spytała Susan. – Nigdy nie zrobiłabym nic, co mogłoby zranić Michaela. Powinnaś już to wiedzieć.

Justine zastanawiała się nad czymś.

– Matka Michaela popełniła samobójstwo, prawda? – zauważyła.

Susan skinęła głową.

– Do dzisiaj nie wiadomo właściwie dlaczego? – upewniła się Justine.

Susan zastanawiała się przez chwilę.

– Raz słyszałam, jak Judd mówił, że Margery ma problemy z depresją. Powiedział, że nie umiała się starzeć.

– A ty w to uwierzyłaś? Susan zagryzła nerwowo wargę.

– Dlaczego miałabym nie uwierzyć?

Justine wpatrywała się w twarz Susan.

– Kiedy zaczęłaś chodzić z Michaeliem, spędzaliście ze sobą dużo czasu, prawda?

– Tak. Na początku leżał w łóżku. Siedziałam obok i rozmawiałam z nim. Czasem cały wieczór. Potem uczyliśmy się razem. Pomagałam mu trenować do olimpiady. Sądzę, że spędzałam z nim więcej czasu niż ktokolwiek inny.

– Ale co tydzień czy co dziesięć dni Michael zostawiał cię na cały dzień albo nawet dłużej, prawda? – zauważyła Justine.

Susan zaczerwieniła się lekko.

– Tak, to prawda.

– Dokąd jeździł?

– Do Provincetown, spotkać się z ojcem Griffinem – wyjaśniła Susan.

– Kto to jest ojciec Griffin?

– To ulubiony nauczyciel Michaela, jeszcze ze szkoły podstawowej. Musiał przejść na emeryturę, kiedy zachorował na stwardnienie rozsiane. Michael jeździł do niego mniej więcej co dziesięć dni i zostawał u niego na noc. Traktował go jak drugiego ojca i duchowego doradcę. Zawsze mówił, że lubi go najbardziej ze wszystkich dorosłych.

– Czy Judd Campbell był zazdrosny o ten związek z księdzem? – zainteresowała się Justine.

Susan myślała przez chwilę.

– Może trochę. Judd był pod pewnymi względami trudnym ojcem i uznał, że Michael potrzebuje od niego trochę odpoczynku. Uświadomił sobie również, że ojciec Griffin wpaja Michaelowi nieco łagodniejszą filozofię. Judd był taki wymagający... Ale wydaje mi się, że Judd zaakceptował ten związek jako coś, co Michael robił przez wzgląd na matkę. Widzisz, była katoliczką, i właśnie dlatego Michael chodził w dzieciństwie do katolickiej szkoły.

– Poznałaś kiedykolwiek ojca Griffina? – spytała Justine.

– Nie, ale widziałam go na zdjęciach. I widziałam portrety, które malował. Był amatorem, bardzo utalentowanym, dopóki choroba nie uniemożliwiła mu trzymania pędzla w dłoni.

Justine patrzyła na Susan.

– Ale nigdy go nie spotkałaś.

– Nie.

– Nawet jak zaręczyłaś się z Michaeliem, nigdy nie zabrał cię do Provincetown, żebyś mogła poznać jego ulubieńca?

Susan oblała się rumieńcem.

– Nie. Dlaczego miałby to robić?

– Przecież to oczywiste – zdziwiła się Justine. – Skoro uwielbiał tego księdza, to czy nie zechciałby mu przedstawić swojej dziewczyny? Czy nie chciałby poprosić go o błogosławieństwo dla waszego związku, chociażby przez szacunek?

Susan rozmyślała przez chwilę.  
– Ojciec Griffin był kaleką. Nie znosił, by ludzie oglądali go w tym stanie. Za bardzo wstydził się swojej choroby.  
– Michael ci o tym powiedział?  
– Tak.  
Justine posłała Susan spojrzenie pełne litości i zrozumienia.  
– Susan, nigdy nie istniał żaden ojciec Griffin.  
Susan poczuła wzbierający w niej gniew.  
– Co chcesz przez to powiedzieć!?! – krzyknęła. – Oczywiście, że istniał. Raz nawet rozmawiałam z nim przez telefon.  
Justine potrząsnęła głową.  
– Rozmawiałaś z jakimś mężczyzną. To nie był ojciec Griffin. Nie ma ojca Griffina. Nigdy nie było.  
Zamilkły obie. Justine wstała.  
– Mogłabym ci to dziś udowodnić. Ale nie uwierzyłybyś. Nawet gdyby zostało to udokumentowane. Nie jesteś jeszcze gotowa – oświadczyła i dodała z uśmiechem: – Dam ci więcej czasu.  
– Zaczekaj! – zawołała za nią Susan.  
Justine przystanęła w drzwiach. Jej lewa ręka, poznaczona niewielkimi śladami, które w przyćmionym świetle wyglądały jak stygmaty, zwisała wzdłuż boku.  
– Tak?  
Huk startującego w pobliżu samolotu dał Susan czas i pozwolił znaleźć słowa, którymi mogła wyrazić swoje to, co czuje.  
– Nie wierzę ci – oświadczyła, mając nadzieję, że brzmi to jak wyzwanie. Ale w rzeczywistości przypominało prośbę.  
Przytakując ze zrozumieniem, Justine wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

## Rozdział 54

Baltimore  
8 kwietnia

Joe Kraig zaparkował samochód przed wielkim domem przy North Charles Street w Baltimore. Okolica była elegancka, dom dobrze utrzymany. Miał wysokie okna w starym stylu i ozdobne gonty, a podwórze porastały magnolie. Poranny ruch nie był szczególnie duży. Ciepłe powietrze było balsamiczne, mimo że trawniki zbrązowiały, a na ulicach zalegał śnieg.

Kraig usiadł w poczekalni, wpatrując się w stos magazynów na stoliku. Nie miał zamiaru ich przeglądać.

Po kilku minutach drzwi gabinetu otworzyła niewysoka, szarowłosa kobieta i obdarzyła Kraiga wystudiowanym uśmiechem.

– Pan Kraig? Proszę wejść.

Kraig wszedł za nią do stosunkowo dużego pokoju o wysokich oknach, pełnego wiszących roślin. Usiadła za biurkiem i wskazała mu fotel obok małego stolika, na którym leżały chusteczki higieniczne. W kącie stała leżanka z podglówkiem.

– Dziękuję, pani doktor, że zechciała się pani ze mną zobaczyć – zaczął Kraig.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytała kobieta, składając dłonie na blacie. Odnaczała się kontrolowanym spokojem i pewnym spojrzeniem profesjonalistki.

Nie będę marnował pani czasu – przystąpił do rzeczy Kraig. – Susan Campbell była pani pacjentką. Wiemy o tym, nietrudno to zresztą ustalić. Dzwoniła pod ten numer. Waszyngton

leży daleko, więc rozmowy były wyszczególnione na rachunku telefonicznym. Zakładam, że płaciła pani gotówką, ponieważ nie posługiwała się w tym wypadku kartą kredytową. To oczywiście rozumiałe. Kobieta w jej sytuacji nie życzy sobie zazwyczaj, by wiadano, że chodzi do psychiatry. Lekarka nie odzywała się, tylko uważnie patrzyła na Kraiga.

– Nie chcę wnikać w prywatne życie pani Campbell – zapewnił Kraig. – Ale jak pani wie, sytuacja jest poważna. Być może jej życie jest zagrożone. Chcę, by powiedziała mi pani wszystko, co mogłoby pomóc w ustaleniu jej miejsca pobytu.

Lekarka zastanawiała się przez chwilę.

– Panie Kraig...

– Agencie Kraig. Jestem agentem federalnym, pani doktor, wyznaczonym do śledztwa w sprawie zniknięcia pani Campbell.

– Zatem agencie Kraig. – Uśmiechnęła się do niego leciutko. – Nie mogę naruszyć tajemnicy lekarskiej.

Jej głos nosił ślad europejskiego akcentu. Kraig dowiedział się już, że jest psychoanalitykiem i studiowała w Wiedniu. Z życiorysu wynikało, że cieszy się ogromnym uznaniem w swoim zawodzie, ma liczne tytuły i należy do wielu różnych stowarzyszeń naukowych. Wykładała na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i opublikowała kilka książek o psychoterapii. Jej pacjenci wywodzili się z najlepszych rodzin Baltimore i Waszyngtonu. Kraig wiedział, że odznaka agenta federalnego nie robi na niej wrażenia.

– Czy odwiedzała panią pod swoim prawdziwym nazwiskiem? – spytał.

– Obawiam się, że nie mogę omawiać z panem spraw moich pacjentów, agencie Kraig – oświadczyła.

Kraig westchnął.

– Pozwoli pani, że coś wyjaśnię. Susan Campbell opuściła dom z własnej i nieprzymuszonej woli. Pojechała do domku letniskowego w Green Lake w Pensylwanii. Wiemy, że był otwarty. Rozpaliła ogień, chciała zaparzyć herbatę i tak dalej. Potem zniknęła. Mogę pani powiedzieć coś w zaufaniu?

Lekarka spojrzała niepewnie. Potem skinęła głową.

– Wszystko, co mówi się w tym gabinecie, jest poufne.

Dowody znalezione w domku wskazują na porwanie – wyjaśnił Kraig. – Mamy jednak powody przypuszczać, że pani Campbell popełniła samobójstwo albo uciekła, a domek letniskowy był tylko pierwszym etapem podróży. Chcę sprowadzić ją bezpiecznie do domu, pani doktor. Byłoby dobrze, gdyby mi pani w tym pomogła. Spróbujemy ograniczyć możliwości do minimum. Lekarka się zastanawiała.

– Nie mogę zawieść zaufania moich pacjentów, agencie Kraig – powtórzyła.

– Nawet jeśli jest to kwestia życia i śmierci? – spytał Kraig.

Psychoterapeutka spojrzała przez okno na dziedziniec i skierowała wzrok na uroczą altankę oplecioną pnączami glicynii. Posadzono ją tam, by pacjenci mieli na co patrzeć z okien gabinetu. Po latach lekarka zaczęła traktować skręcone łodygi jako metaforę. „Gałązki wykrzywiły się, by poradzić sobie z przeszkodą drewnianej konstrukcji – tłumaczyła pacjentom. – Jeśli usunie się tę konstrukcję, gałęzie zaczną rosnać prosto. Zawsze jednak będą nosić ślad skrzywienia wywołanego zmaganiem się z przeszkodą. Tak działa nasz charakter. Teraz, gdy dziecięce stresy i konflikty są już poza nami, możemy rosnać w kierunku, jaki uznamy za stosowny. Zawsze będziemy nosić ślady tych wczesnych skrzywień i załamania, ale nie muszą determinować naszej przyszłości. Celem terapii jest nauczenie gałęzi, że przeszkoda zniknęła”.

Lekarka odwróciła się w stronę Kraiga. Wyczytała z jego oczu szczerą troskę o Susan Campbell. A nawet coś więcej.

– Zna pan osobiście pana Campbell? – spytała.

– Przyjaźnimy się – wyjaśnił Kraig. – Mieszkałem z jej mężem w jednym pokoju na studiach, a znam go od szkoły podstawowej. Oboje uważam za przyjaciół.

Lekarka zastanawiała się przez chwilę. Susan Campbell była nieszczęśliwą kobietą. Co więcej, należała do tych nieszczęśliwych kobiet, które muszą wierzyć, że są szczęśliwe. Utrudniało to terapię, ponieważ trzeba było pracować nad konfliktami pośrednio, nie zmuszając Susan do tego, by je sobie od razu uświadomiła. Przypominało to pracę dziewiętnastowiecznego lekarza, który musiał zbadać dokładnie pacjentkę, nie zdejmując z niej ani skrawka odzieży.

W ostatnich miesiącach Susan była przerażona atakiem niewyjaśnionej choroby, która dotknęła tak wielu ludzi, w tym ważnych polityków. Otrzymywała dziwne telefony, sugerujące, że jej mąż uczestniczył w spisku czy zмовie zagrażającej krajowi.

Z początku odczuwała ogromny lęk o męża. Lecz wraz z upływem zimy zaczęła wyrażać przypuszczenie, że chodzi o coś więcej.

Głos w telefonie starał się wpoić w nią poczucie odpowiedzialności, jakby ciężar całej sprawy spoczywał na jej barkach.

Podobnie jak tylu innych pacjentów, nie wspominając już o normalnych ludziach, Susan Campbell skrywała ogromne poczucie winy, które zderzało się jakby z zagrożeniem zewnętrznym. Wina ta wynikała z faktu, że jej ojciec porzucił rodzinę, kiedy Susan miała sześć lat, a matka zmarła krótko potem. Susan nigdy się z tym do końca nie uporała.

Jej życie małżeńskie tylko skomplikowało problem, zamiast go rozwiązać. Michael oznaczał dla niej nie tylko poważanie, ale i rodzinę. Campbellowie zaakceptowali Susan i pokochali.

Nie była to jednak normalna rodzina. Margery, matka, popełniła samobójstwo w niewyjaśnionych okolicznościach, a czwórkę pozostałych połączyły, ale i rozdarły istotne konflikty i napięcia. Judd Campbell, dominujący ojciec, stanowił w znacznym stopniu ich źródło. Campbellowie czuli się bardziej związani z Susan niż ona z nimi. Stosunek Judda do synowej miał niewątpliwie podłoże kazirodczne.

Trudna sytuacja rodzinna Campbellów nałożyła się na popularność Susan, którą musiała znosić jako żona sławnego polityka. Bezustanne przebywanie na widoku publicznym potęgowało jej nieśmiałość i zagrażało poczuciu własnej wartości, i tak już kruchemu. Wydarzenia ostatnich miesięcy – nagła choroba i śmierć ważnych postaci ze świata polityki – jeszcze bardziej wytrąciły ją z równowagi.

Przez jakiś czas lekarka podejrzewała, że dziwna rozmówczyni telefoniczna to po prostu zwykła fantazja. Lecz jej przepowiednia, że Michael zostanie w końcu nominowany na wiceprezydenta, została sformułowana na długo przed tym faktem. Czyli rozmówczyni była kimś rzeczywistym.

Kiedy wybór Michaela spełnił się niczym prorocstwo, Susan była wstrząśnięta. Uchwyciła się logicznego na płaszczyźnie emocjonalnej wytłumaczenia, że wszystko to jej wina, że odpowiedzialność za wykorzenienie zła spada na jej barki. Nie mogła porozmawiać z Michałem o swych odczuciach, ani z Juddem Campbellem, który był zachwycony wyborem syna na wiceprezydenta.

Czy Susan miała powód do myślenia o samobójstwie? Ucieczce? Z pewnością. To znaczy, gdyby Susan była inną osobą. Ale Susan umiała walczyć. Trwała na swym posterunku kierowana nie tylko miłością do męża, ale także potrzebą ochrony życia, jakie z nim zbudowała. Nie odrzuciłaby swego głęboko ukrytego pragnienia, którego celem było zbudowanie poczucia własnej wartości i bycie kochaną. Innymi słowy, odznaczała się zbyt zdrową psychiką, by załamać się pod wpływem stresu. Miała zbyt silne ego, by uciec czy zrobić sobie krzywdę.



Lekarka popatrzyła na agenta Kraiga. Podejrzewała, że jego uczucia wobec Susan Campbell wykraczają poza granice przyjaźni czy lojalności. Pod chłodnym pancierzem profesjonalizmu krył się pogrążony w smutku człowiek, zatroskany o kogoś ukochanego.

– Agencie Kraig, nie mam obecnie żadnego pacjenta, w którym dojrzewałaby decyzja o popełnieniu samobójstwa. Ale wielu ludzi ucieka od sytuacji rodzinnej, kiedy stres staje się zbyt wielki. Zazwyczaj wracają.

– Mówi pani, że Susan została prawdopodobnie porwana – domyślił się Kraig.

– Nie mogę pana wyręczać w pańskim zawodzie – uprzedziła go. – Jest pan pod tym względem o wiele lepszym ekspertem ode mnie. Mogę tylko panu przekazywać swoje wrażenia jako psychiatra.

– Kontaktowała się z panią? – spytał Kraig.

– Obawiam się, że nie mogę panu na to odpowiedzieć.

– Czy zna pani jakieś miejsce, do którego mogła się udać z Green Lake?

Lekarka wzruszyła ramionami.

– Jak już mówiłam, nie wolno mi zawieść zaufania moich pacjentów.

– Gdyby kontaktowała się z panią...

– Z pewnością nakłaniałabym ją, by powiadomiła rodzinę, że jest bezpieczna – dokończyła lekarka. – Tak doradziłabym każdemu pacjentowi.

Kraig się uśmiechnął.

– Czyli nic więcej nie może mi już pani powiedzieć – rzekł i wstał z miejsca. – Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

Psychoterapeutka wyszła zza biurka, żeby odprowadzić Kraiga do drzwi. Kiedy dostrzegła jego rozczarowanie, poczuła żal.

– Agencie Kraig, moi pacjenci to bez wyjątku odpowiedzialni, dorośli ludzie. Byłabym zdziwiona na wieść, że jeden z nich zrobił sobie krzywdę albo uciekł. Gdyby któryś zniknął, byłabym skłonna szukać innego wyjaśnienia tego faktu.

Kraig znów się uśmiechnął.

– Dziękuję, pani doktor. Dziękuję za pomoc. Minał poczekalnię i wyszedł na słoneczny blask dnia. Lekarka wróciła za biurko. Jeśli jej teoria co do Susan Campbell była prawidłowa i jeśli Susan rzeczywiście została porwana, to należy przypuszczać, że ta telefoniczna maniaczka nie wygadywała wyłącznie nonsensów. Twierdzenie, że dziwne wydarzenia polityczne tego roku mają związek ze zniknięciem Susan, nie było znów takie absurdalne.

Susan Campbell była zdrowa na umyśle. To świat nie był normalny. W każdym razie nie tego roku.

Lekarka pomyślała, że nie do niej należy ocena tych rzeczy. Tu zaczynała się rola Kraiga i jego kolegów. Miała tylko nadzieję, że dotrą do sedna sprawy i uratują Susan.

Wciąż czuła ciepły, mocny uścisk dłoni Kraiga. Silny człowiek, rozmyślała. Silny człowiek w momencie słabości. Mężczyzna goniący za kobietą, na której za bardzo mu zależy i której odszukanie ma nikłe szanse powodzenia.

Wzdychając, spojrzała przez okno na malowniczy dziedziniec.

Gdzie była Susan? Czy żyła?

Lekarka potrząsnęła głową i przygotowała się na przyjęcie kolejnego pacjenta.

Kiedy Kraig wychodził z gabinetu, Karen Embry rozmawiała przez Internet z Grimmem. Odezwał się, kiedy sprawdzała najnowsze dane Światowej Organizacji Zdrowia na temat syndromu Pinokia.

Dzień dobry, napisał.

Karen z miejsca przerwała robotę.

Miło cię słyszeć, odpowiedziała. Tęskniłam za tobą.

Jestem poruszony, nadeszła odpowiedź. Czego się dowiedziałas?

Chore dziewczęta w Bostonie, odpowiedziała. 15 lat temu. Całkowity niedowład umysłowy, przyczyna nieznaną. Potem zapadły w śpiączkę. 8 nie żyje. Odwiedziłam pozostałe 5. Jedna z ofiar zniknęła.

Dobra robota, pochwalił Grimm. Co ci powiedzieli?

Lekarze wciąż nic nie wiedzą. Karen zastanawiała się przez chwilę. Sprawdziłam ówczesne miejsce pobytu wszystkich ważniejszych uczestników tegorocznej sceny politycznej. Michael Campbell studiował wtedy na Harvardzie. Colin Goss przyjeżdżał tamtego roku do Bostonu, żeby nadzorować otwarcie siedziby swej firmy na terenie Nowej Anglii. Przebywał w mieście za każdym razem, kiedy ginęły dziewczęta.

Nastąpiła krótka przerwa.

To wszystko, czego ci trzeba, napisał Grimm.

Karen kusiło, żeby przekazać Grimmowi rezultaty swej rozmowy z Kraigiem. Nie chciała jednak, by Grimm wiedział, że dzieliła się z kimkolwiek swymi informacjami. Szukała słów, które nakłoniłyby go do pomocy.

Nikt mi nie uwierzy na podstawie tego, czym dysponuję, napisała. Powiedzą, że to zbieg okoliczności. Możesz dać mi coś więcej?

Ekran milczał. Grimm musiał się zastanawiać.

Widziałas dziewczyny i wciąż nie rozumiesz? – napisał.

Karen zaciągnęła się nerwowo papierosem.

Chcę zrozumieć, odpowiedziała. Ktoś sprawił, że dziewczęta zachorowały. Nie wiem tylko dlaczego.

Przeceniłem cię, napisał. Myślałem, że jesteś bystrzejsza. Masz wszystko, czego ci trzeba. Do widzenia.

Zaczekaj! – napisała gorączkowo Karen. Zauważyła z ulgą, że okno e-mailu pozostało otwarte. Grimm słuchał.

Zaczęła stukać w klawiaturę drżącymi palcami.

Nie pisałbyś do mnie, gdybyś nie chciał, bym któregoś dnia opowiedziała tę historię. Czuję, że czas ucieka. Jestem w tyle. Pomóż mi nadrobić dystans.

Masz rację co do czasu, odpisał Grimm. Jest go bardzo niewiele.

Dla kogo? – spytała Karen. Dla Susan? Dla mnie?

Dla mnie. A po chwili: Dla wszystkich.

Ta odpowiedź zmroziła Karen.

Jeszcze jeden trop, poprosiła. Pójdę nim do końca. I opowiem twoją historię, przyrzekam.

Długa pauza.

Zobacz się z Patricia Broderick. Była tam.

Pulpit zamilkł. Karen wpatrywała się w nazwisko, zastanawiając się, kto to jest.

## Rozdział 55

Kiedy Kraig wracał z Baltimore do Waszyngtonu trasą 95, pojawiło się żądanie porywacza, na które władze czekały z niepokojem od jedenastu dni.

Otrzymał je „New York Times”. Przesłano je w formie wiadomości telefonicznej. Zostało wcześniej nagrane na taśmę.

„Tu Susan Campbell”, brzmiał początek.

Zastępczyni redaktora naczelnego, która odebrała telefon, wcisnęła pospiesznie guzik interkomu, żeby szef podniósł słuchawkę. Było za późno. Redaktor rozmawiał przez drugi telefon.

„Jestem bezpieczna i dobrze traktowana”, mówiła Susan. Nagranie było kiepskiej jakości, pochodziło prawdopodobnie ze starego walkmana z wbudowanym wewnętrznym

mikrofonem. „Nikt nie zamierza mi zrobić krzywdy, pod warunkiem że mój mąż spełni następujące żądanie”.

Zastępczyni notowała gorączkowo. Nim zdążyła dokończyć drugie zdanie, w nagraniu odezwał się inny głos. „Michael Campbell musi natychmiast wycofać swą kandydaturę na wiceprezydenta – oświadczyła ta druga osoba. – Kiedy Campbell to zrobi i zostanie wybrany ktoś inny, pani Campbell odzyska wolność. Jeśli nastąpi zwłoka w spełnieniu tego żądania, pani Campbell umrze”.

Wiadomość o telefonie rozeszła się po redakcji niczym burza ogniowa. Umilkł stukot klawiatur, głosy przycichły. Zapanowała śmiertelna cisza. Zastępczyni redaktora klęła, starając się zapisać wiadomość jak najwierniej.

– Może pani to powtórzyć? – powiedziała do słuchawki. – Proszę, próbuję to zanotować...

Powrócił głos Susan Campbell.

„Michael, błagam, spełnij natychmiast to, o co proszą – powiedziała. – Oni nie żartują. Wiedzą, co robią. Kocham cię...”.

Nagranie się urwało.

Wokół boks zastępczyni redaktora zebrał się mały tłum reporterów i sekretarek.

– Zapisłaś wszystko? – spytał ktoś.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Tylko najważniejsze. Chcą, żeby Campbell się wycofał. To wszystko.

– Czyj to był głos? – spytał ktoś inny.

– Były dwa głosy. Susan Campbell i kogoś jeszcze – wyjaśniła zastępczyni. – Cholernie kiepska taśma. Ledwie mogłam zrozumieć.

– To była Susan? – chciał się upewnić jeden z reporterów. Kobieta skinęła głową.

– Rozpoznałam jej głos. To na pewno ona.

– Niech to diabli – powiedział redaktor naczelny. – Powinniśmy mieć to na taśmie.

Jego zastępczyni wzruszyła ramionami. Redakcja nie miała sprzętu do nagrywania rozmów telefonicznych.

Niepotrzebnie się martwili. To samo nagranie przekazano telefonicznie do głównej siedziby CNN w Atlancie jeszcze tego samego dnia, kiedy pracowano nad komunikatem o żądaniu. Technicy zarejestrowali całą wiadomość na taśmie – głos Susan Campbell i porywaczki.

## Rozdział 56

### Waszyngton

Tego wieczoru odbyło się nadzwyczajne zebranie ludzi wywiadu i ochrony porządku publicznego. Przede wszystkim starano się ustalić, czy głos Susan Campbell był autentyczny.

Dyrektor FBI nie krył pewności siebie.

– Dziś wieczorem będę już wiedział. Mamy próbki głosu wszystkich ważniejszych polityków. To dotyczy też tak znanych współmałżonków jak Susan Campbell. Dokonamy porównań.

Tylko nieliczni z obecnych mieli wątpliwości, że głos na taśmie należy do Susan. Zastanawiano się tylko, w jakim stanie się znajdowała, kiedy nagrywano taśmę, i czy wywierano na nią nacisk.

I znów dyrektor FBI wziął na siebie to zadanie.

– Nasi specjaliści od porwań współpracują z psychologami – wyjaśnił. – Istnieją sposoby, by na podstawie analizy nagranych głosu określić, czy doszło do presji.

– To znaczy? – spytał szef Secret Service.

– Czy na przykład czyta z przygotowanego wcześniej dokumentu – wyjaśnił. – Albo czy czyta to po raz dziesiąty. Czy pewne słowa denerwują ją bardziej niż inne. Możemy też

w jakimś stopniu opracować profil porywacza na podstawie dokładnej analizy doboru słów. Ta technika udoskonaliła się znacznie w latach siedemdziesiątych, kiedy porwano Patty Hearst. Nie macie pojęcia, ile można się dowiedzieć z nagrania z żądaniem okupu.

– Tyle że nie żądają okupu – zauważył ktoś od bezpieczeństwa narodowego.

Obecni przytaknęli na tę uwagę.

– Prawda.

– A co z tym drugim głosem? – spytał ktoś. Dyrektor FBI potrząsnął głową.

– Nie mamy w kartotece próbek uwzględniających całą populację. Jeśli jest to ktoś ze znanej grupy terrorystycznej czy jakiejś organizacji bojówkarskiej, to istnieje szansa. Jeśli nie, to nie ma o czym mówić.

Spojrzał na kartkę w aktach, które ze sobą przyniósł.

– Naszym głównym zadaniem jest akustyczna analiza taśmy – powiedział. – W jakim pokoju znajdowały się osoby, kiedy dokonywano nagrania. Możliwa lokalizacja. Tego typu rzeczy. Jeden z moich ludzi wspomniawszy już, że być może słyszał w tle samolot, który startuje albo ląduje. Spróbujemy ustalić, skąd pochodzi ta taśma.

Joe Kraig podniósł dłoń.

– A jeśli nagrali to w jednym miejscu, ale już ich tam nie ma?

Dyrektor przytaknął.

– To niewykluczone. Ale dowiemy się z tego nagrania jak najwięcej i potraktujemy to jako punkt wyjścia.

– A co z samym żądaniem? – pytał dalej Kraig. – Co z tym robimy?

– Najważniejsze to zyskać na czasie. Nic nie robić przed dwa czy trzy dni – odparł dyrektor.

– Rozmawiać ze wszystkimi zainteresowanymi, zaczynając oczywiście od Campbella. Potem, jeśli nam się uda, spróbujemy nakłonić ich do negocjacji. Zmusić do mówienia.

– Nie sprecyzowali, jak się z nimi skontaktować – ktoś zauważył.

– To prawda, ale możemy zaproponować jakąś metodę rozmowy. Oświadczenie dla prasy przekazane przeze mnie, Campbella lub prezydenta.

– A jeśli nie zechcą rozmawiać? – dopytywał się Kraig.

– Coś wymyślimy. Może zaproponujemy jakieś ustępstwa, żeby odzyskać panią Campbell całą i zdrową. Potem zrobimy wszystko, co trzeba.

Wokół stołu odezwały się głosy, obecni wysuwali różne sugestie i zastrzeżenia. Wszyscy mieli pewne doświadczenie w walce z terroryzmem i każdy chciał wtrącić swoje trzy grosze. Kraig wyczuwał u niektórych typowy terytorializm, u innych nadmiar ego. Bez wątpienia wyczuli historyczne znaczenie tego momentu. Nigdy wcześniej nie doszło do uprowadzenia kogoś tak znanego jak Susan Campbell.

Jednak wspólny wysiłek obecnych nie mógł przynieść szczególnie konstruktywnych rezultatów. Była to stara historia. Terrorysta ma inicjatywę. To on ustala zasady, określa wszystkie parametry. Władze mogą tylko w jakiś sposób na to reagować. Podtrzymywać rozmowy, grać na zwłokę, a jednocześnie robić wszystko, co tylko możliwe, by ustalić miejsce jego pobytu i dowiedzieć się, jak jest uzbrojony. Potem zabić go albo unieszkodliwić. Czy też, jeśli okaże się to niemożliwe, przystać na jego żądania – najmniej upragniona sytuacja dla jakiegokolwiek współczesnego rządu.

– Gdyby tylko nie zadzwonili do mediów – narzekał jeden z ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo narodowe. – A teraz wie o tym cały kraj. Skuteczniej byśmy to kontrolowali, gdyby nikt inny nie miał o niczym pojęcia.

– To prawda – przyznał szef Secret Service. – Ale może mieć to swoje dobre strony. Ktoś gdzieś może zna ten głos. Trzeba uruchomić gorącą linię, żeby ludzie mogli dzwonić. Niech się zgłaszają przez e-mail, niech pomagają. Niewykluczone, że coś zyskamy.

Wszyscy się z tym zgodzili, ale dość niechętnie. Ludzie wywiadu nie znosili, gdy o ich działaniach wiedziało społeczeństwo. Na ogół działali w tajemnicy, a jawność była ich przekleństwem.

– Wiecie co? – zabrał ponownie głos Kraig. – Wydaje mi się, że ludzie, którzy porwali panią Campbell tak właśnie to zaplanowali. Chcieli, by opinia publiczna wiedziała, czego się domagają. – Przerwał, spoglądając na swe złożone dłonie. Po chwili dodał: – Zastanawiam się dlaczego.

Nikt nie próbował odpowiedzieć.

– I co z samym żądaniem? – ciągnął. – Komu zależy na tym, by Campbell nie został wiceprezydentem?

Obecni zwrócili głowy w jego stronę. Na ich twarzach malowała się obojętność, a nawet zniecierpliwienie. Wydawało się, że nie przywiązują do tego większej wagi.

– Może być martwa, zanim dotrzemy do sedna sprawy – zauważył ktoś z kontrwywiadu. – Musimy opierać się na tym, co mamy.

– Wydaje mi się, że trzeba się zastanowić, kto na tym zyska – nie ustępował Kraig. – Kto uznałby wycofanie się Cambella za pożądane czy istotne.

– Joe, dowiemy się, ile zdołamy – oświadczył dyrektor FBI. – Ale to może być każdy. Arabowie, Serbowie, maoiści, pomyleni bojówkarze, zwolennicy istnienia UFO. Mike Campbell jest powszechnie znany, tak jak jego żona. To idealny cel dla takich ludzi. Wydaje mi się, że „gdzie” jest o wiele ważniejsze niż „kto”, przynajmniej na razie. I nie zapominajmy, że nasze wyniki, jeśli chodzi o ochronę ważnych ludzi, przedstawiały się ostatnio kiepsko. – Nie spojrzął na szefa Secret Service, który zaczerwienił się na tę uwagę. – Najważniejsze to znaleźć panią Campbell.

Kraig przytaknął bez przekonania. Uważał takie rozumowanie za błędne. Nie mógł zapomnieć opowieści Susan Campbell o głosie w telefonie – głosie, który przepowiedział z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem wybór Michaela na wiceprezydenta. O głosie, który zdradził Susan, że to od niej będzie zależało powstrzymanie męża, kiedy nadejdzie czas. I czas nadszedł. A Susan zniknęła.

Kraig nigdy nie słyszał tego głosu. Susan powiedziała mu, że należał do kobiety. Głos, który przekazał żądanie do redakcji „Timesa”, też był kobiecy.

Kraig nie odzywał się już do końca zebrania. Kiedy dobiegło końca, wrócił do swojego gabinetu. Był w refleksyjnym nastroju. Nie po raz pierwszy w ciągu tego szalonego roku miał wrażenie, że wydarzenia przekraczają możliwości pojmowania najbardziej odpowiedzialnych i inteligentnych ludzi. Historię pisano językiem, którego nikt nie rozumiał.

Kraig pragnął rozpaczliwie zrozumieć go na tyle szybko, by ocalić Susan.

Judd Campbell odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał wiadomość o żądaniu porywacza.

Od chwili wprowadzenia Susan prawie nie spał. Dręczyły go koszmary, w których widział ją martwą w płytkim grobie czy pod taflą wody jakiegoś jeziora. Żądanie ogłoszone publicznie, choć przerażające, przynosiło jednak pewną pociechę. Susan gdzieś przebywała, cała i zdrowa. Ludzie, którzy ją przetrzymywali, wykazywali się logiką i rozsądkiem. Czegoś chcieli. Można było z nimi pertraktować. Dobić targu.

Judd naradzał się z Michaelem, który chyba także odczuwał ogromną ulgę i zaczynał żywić nadzieję, że odzyska Susan.

Mimo to sprawiał wrażenie zadumanego. Kiedy Judd spytał go, o czym myśli, Michael odparł tylko:

– Chciałbym mieć więcej pewności.

– Pewności? – zainteresował się Judd.

– Że nadal żyje. Gdybym tylko mógł sam z nią porozmawiać... Judd ścisnął dłoń Michaela.

Ona żyje, synu. Czuję to przez skórę. Żyje, a myją odzyskamy. Dopiero gdy Judd zostawił Michaela samego i wrócił do domu, zaczął się zastanawiać nad konsekwencjami żądania porywaczy.

Zakładając, że mówili prawdę, Susan mogła wrócić do domu żywa – ale tylko pod warunkiem, że Michael odrzuci największą szansę w swej karierze politycznej.

Judd wiedział, jako człowiek obeznany z walką polityczną, że szansa na Białą Dom trafia się tylko raz. Nie sposób było przewidzieć, jak będzie się przedstawiała sytuacja za dwa lata, za sześć lat. Mogła to być jedyna szansa dla Michaela. Gdyby uległ żądaniu porywaczy, mogłaby przepaść bezpowrotnie.

Judd martwił się, że Michael może skorzystać z nadarzającej się okazji i odrzucić nominację na wiceprezydenta. Zawsze przeciwstawiał się bezwzględnemu naciskowi ojca, który pragnął, by syn był bardziej agresywny, ambitny, by szybciej działał, osiągał więcej w krótszym czasie. Michael zawsze chciał działać wolniej, cieszyć się życiem, zawsze pragnął być kimś zwyczajnym, a nie wybitnym. Żądanie porywaczy mogło stanowić dla niego drogę ucieczki, jakiej w głębi duszy poszukiwał.

Judd obawiał się nawet, że Michael poczuje się tak bardzo zraniony wydarzeniami tego roku, że nigdy więcej nie zechce ubiegać się o wysokie stanowisko. Podobnie jak Edward Kennedy, może poświęcić całe życie wyłącznie Senatowi. Myśl ta była Juddowi nienawistna. Wiedział, że Michaela stać na więcej, o wiele więcej niż głosowanie nad ustawami w Kongresie.

I teraz Juddowi przyszła do głowy po raz pierwszy myśl, że być może został ukarany za zbyt ambitne plany wobec syna. Być może w jakiś niejasny sposób to właśnie jego bezlitosny nacisk na Michaela i niepowstrzymana chęć zaznaczenia swego miejsca w historii naraziły Susan na niebezpieczeństwo. Gdyby pozwolił Michaelowi prowadzić normalne życie, do niczego by nie doszło. Myślą ta była dla niego czymś nowym i tylko przemknęła mu przez głowę niczym kamień, który odpowiednio rzucony, skacze po powierzchni jeziora. Znów kierując się troską o Susan, zadzwonił do szefa agencji detektywistycznej i zażądał, by zrobiono wszystko w celu ustalenia, gdzie jest Susan i czy wciąż żyje.

– Dowiedzcie się, do kogo należy ten głos na taśmie – polecił. – I gdzie dokonano nagrania. Nie chcę słyszeć, że to niemożliwe.

Zrobiwszy wszystko, co było tylko w jego mocy, Judd mógł się teraz zająć pocieszeniem Michaela i wylewaniem łez nad losem Susan w zaciszu swej sypialni.

Doradcy Colina Gossa zauważyli, że wiadomość o Susan Campbell dziwnie go ożywiła.

– Zamierzam złożyć dziś wieczorem oświadczenie – poinformował ich. – Coś w stylu męża stanu. Musimy zapomnieć o różnicach politycznych i dołożyć starań, by ta urocza, młoda kobieta wróciła żywa do domu. Coś w tym rodzaju. Popracujcie nad tym, i to porządnie.

– Załatwione – obiecał autor przemówień Gossa, sporządzając stosowną notatkę.

Goss odesłał ich i odbył zebranie ze swoimi detektywami.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest – oświadczył. – Zanim się dowie FBI. I macie ustalić, kto ją uprowadził.

Szef detektywów wyglądał na zatroskanego.

– Jedyne materiały, jakim dysponujemy, to ta taśma – powiedział. – Nie mamy właściwie żadnych wskazówek co do tożsamości osoby, która za tym stoi...

W jego głosie wyczuwało się pytanie, jakby się zastanawiał, co Goss wie na ten temat.

– Zgadza się – odparł Goss, nalewając nieznacznie drżącą dłonią wody do kryształowego kieliszka. – Ale dowiemy się, i to szybko.

Detektyw uśmiechnął się leciutko.

– Wie pan, nie zaszkodziłoby nam, gdyby Campbell rzeczywiście odpadł – zauważył. – Poparcie dla prezydenta rośnie od czasu, jak się zjawiał na pokładzie. Niech Campbell zniknie, a prezydent jest bezbronny. To może nam przynieść wielkie korzyści.

Colin Goss, zazwyczaj opanowany, nie zdołał zachować tym razem spokoju.

– Michael Campbell zostanie wiceprezydentem – powiedział. – Bez względu na to, co się stanie.

Detektyw popatrzył na Gossa, nic nie rozumiejąc.

– Michael musi przyjąć to stanowisko – dodał z naciskiem Goss.

## Rozdział 57

Seattle, Waszyngton

10 kwietnia

Karen o piątej rano przyleciała do Seattle nocnym samolotem z Waszyngtonu; na wschodnim wybrzeżu była już ósma. Czowała zmęczenie, ale jednocześnie koncentrowała się na swym celu.

Bez trudu zlokalizowała Patricję Broderick, o której wspomniał Grimm, korzystając z internetowego wykazu adresów. Zadzwoiła też w kilka miejsc.

Patricia Broderick nazywała się po mężu Gaynor, ale w sprawach zawodowych posługiwała się nazwiskiem panięńskim. Była agentką nieruchomości i specjalizowała się w sprzedaży domów i apartamentów. Jej mąż pracował jako doradca podatkowy. Mieli dwoje dzieci, jedenastoletniego chłopca i dziewięcioletnią dziewczynkę.

Karen zadzwoniła do niej jeszcze z Waszyngtonu, by umówić się na obejrzenie kilku mieszkań i domów w granicach Seattle. Powiedziała kobiecie, że jest dziennikarką i że się przeprowadza. Agentka zapewniła ją, że Seattle to niezwykle urocze miasto, i obiecała spotkać się z Karen w umówionym czasie.

Karen odsłuchiwała taśmę z żądaniem porywaczy Susan Campbell. Była pewna, że jej głos jest autentyczny. Ten wyjątkowy ton ciepła i troski, tak typowy dla Susan, został wyraźnie uchwycony.

Jeśli chodzi o drugi głos, głos porywaczki – lub też rzeczniczki porywaczy – Karen nie poznała go od razu. Po kilkakrotnym odsłuchaniu nagrania i chwili zastanowienia nabrała jednak przekonania, że to ta sama osoba, która dzwoniła do domu Susan w Georgetown.

Karen nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Żądanie, by Michael Campbell wycofał swą kandydaturę na stanowisko wiceprezydenta, odpowiadało dość niejasnym groźbom ze strony anonimowej rozmówczyni Susan. Ale dlaczego? Po co ktoś chciałby usunąć Michaela z drogi? Kto by na tym zyskał?

Od razu przyszedł jej na myśl Colin Goss. Od chwili wyboru Michaela Campbella na miejsce Dana Everhardta poparcie dla prezydenta rosło, a dla Gossa spadało. Goss nienawidził Michaela Campbella – wszyscy o tym wiedzieli. Nikt inny w Waszyngtonie nie zyskałby więcej na rezygnacji Michaela niż Goss.

Z drugiej strony nie zgadzała się z Kraigiem, który lekcewał jej wywód na temat epizodu bostońskiego. Jeśli Goss był wrogiem Michaela, to dlaczego aluzje Grimma do Bostonu – czternaście chorych dziewcząt – wydawały się wskazywać na winę ich obu.

Karen nie знаła na te pytania odpowiedzi. Ale instynkt jej podpowiadał, by zaufać Grimmowi i pójść tropem, który podsuwał. Musiała się przekonać, co wie Patricia Broderick. Później zamierzała połączyć wszystko w całość.

Karen spotkała się z agentką w jej biurze o dziesiątej rano. Patricia była przystojną, zadbaną kobietą po czterdziestce, która mogła być przed piętnastu czy dwudziestu laty piękna. Miała gęste, kasztanowe włosy, mleczną piegowatą skórę i duże zielone oczy.

Rzecz niezwykła, w Seattle akurat nie padało. Dzień był chłodny, ale bardzo ładny. Na horyzoncie rysowały się majestatyczne góry, a błękitne wody zatoki pokazywały się i znikwały na przemian, kiedy Patricia Broderick wiozła Karen w stronę nowego osiedla.

Karen postanowiła nie tracić dłużej czasu.

– Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, pani Broderick – zaczęła.

– Och, proszę mówić mi Pat! Wszyscy mnie tak nazywają.

– A więc, Pat. Muszę pomówić z tobą sam na sam o pewnej drażliwej sprawie, a nie chciałam niepokoić cię przez telefon. Jestem tu jako dziennikarka.

Na twarzy kobiety pojawił się cień niepewności.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego jakiś dziennikarz miałby ze mną rozmawiać – powiedziała.

Mogę cię zapewnić, że wszystko, co powiesz, będzie poufne – obiecała Karen. – To nie jest oficjalny wywiad. Pracuję nad czymś ważnym, a czas odgrywa tu zasadniczą rolę. Muszę dowiedzieć się jak najwięcej.

– O co chodzi? – spytała Pat.

Karen miała dwa nazwiska na końcu języka. Wybrała drugie.

– O Colina Gossa.

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat – oświadczyła bez ogródek. Jej szczęki się zacisnęły, na twarzy pojawił się grymas niesmaku. W oczach malował się lęk.

– Posłuchaj, Pat – przekonywała Karen. – Nie chcę ci zagrozić. To, nad czym pracuję, nie dotyczy cię bezpośrednio. Ale prasa to prasa. Twoje nazwisko może się tam przedostać. Chcę od ciebie tylko całkowicie nieoficjalnego wywiadu.

Karty zostały wyłożone na stół. Kobieta zagryzała nerwowo wargę, prowadząc w milczeniu samochód.

– Na jaki temat?

Karen musiała ponownie ryzykować.

– Chodzi o grę osła – powiedziała.

W wozie zapadła cisza. Pat Broderick zwalniała coraz bardziej. W końcu skręciła na parking pod centrum handlowym. Nie wyłączając silnika, obróciła się w stronę Karen.

– Nie wiem, o czym mówisz – oświadczyła.

– Mówię o zamierzchłej przeszłości – wyjaśniła Karen. – Jeśli cokolwiek trafi do gazet, nigdy nie zostaniesz zidentyfikowana jako źródło informacji.

– Wciąż nie wiem, o czym mówisz – powtórzyła z uporem Pat Broderick.

– Oglądasz w ogóle wiadomości? – spytała Karen. – Masz pojęcie o tym, co się dzieje?

– Chodzi ci o Susan Campbell? – upewniła się Pat. W jej dużych zielonych oczach malował się ból.

Karen skinęła głową.

– Mam mało czasu, Pat. Współpracuję ściśle ze służbami policyjnymi. Staramy się odzyskać Susan Campbell. Dlatego tu jestem.

Pat Broderick milczała.

– Potrzebuję informacji, które pomogą mi ustalić, kto porwał Susan Campbell i dlaczego. I gdzie można ją znaleźć – przekonywała Karen.

– Nic, co mogłabym powiedzieć, nie pomoże w odnalezieniu pani Campbell – odparła Pat.

– Może pomóc w sposób, który z tobą nie ma nic wspólnego – wyjaśniła Karen. – Pozwól, że sama to ocenię. Powiedz tylko, co wiesz, a pójdę sobie.

Kobieta milczała przez chwilę.

– Niech pani posłucha, panno Embry – odezwała się w końcu. – Martwi mnie coś więcej niż tylko groźba zamieszania w całą tę sprawę. Susan Campbell jest zakładnikiem. Mogę skończyć w kostnicy.

– Dlaczego tak mówisz? – zainteresowała się Karen.



- Colin Goss nie należy do ludzi, którzy bawią się w sentymenty.
- A więc znasz go – zauważyła Karen.
- Wcale nie mówię, że go znam – broniła się Pat Broderick. Była wyraźnie wystraszona.
- Wiem, że go znasz – nie ustępowała Karen. – A jeśli go znasz, to i on zna ciebie.

Zapadło milczenie. Karen przyglądała się z uwagą drugiej kobiecie. Jej pewność siebie, typowa dla pośredniczki handlowej, zniknęła bez śladu. Sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej.

– Posłuchaj – przekonywała Karen. – Jeśli rzeczywiście tak jest, to po prostu pomów ze mną. Tak będzie najbezpieczniej. Nie jestem agentem federalnym, nie wręcę ci wezwania do sądu i nie zawlokę przed wielką ławę przysięgłych. To, co mi powiesz, nigdy nie zostanie ci oficjalnie przypisane. Ludzie z policji nie mogą nikomu zaproponować takiego układu.

Kobieta na wzmiankę o wezwaniu sądowym zrobiła się jeszcze bledsza.

– Proszę – nalegała Karen. – Pomóż mi, a ja pomogę tobie. Pat Broderick siedziała długą chwilę, patrząc przez przednią szybę samochodu i bębniąc nerwowo palcami w koło kierownicy.

- Obiecuje pani, że moje nazwisko nie pojawi się w tej sprawie? – spytała.
- Absolutnie. Masz moje słowo. Nikt nie wie, że tu jestem. Nawet mój agent.
- Ma pani ukryty mikrofon?
- Nie. Możesz mnie obszukać.

Kobieta przesunęła dłonią po plecach Karen i między nogami, poszukując pojemnika na baterię, który zawsze towarzyszył mikrofonowi. Drżała jej ręka.

– Jeśli powie pani o tym komukolwiek, zaprzeczę – ostrzegła. – Chcę, żeby pani to wiedziała. Nigdy nie będę w tej sprawie zeznawać. Nigdy.

– W porządku. Nie będę o to prosić.

Patricia Broderick zastanawiała się jeszcze, jakby ważąc w myślach jakiś straszny wybór.

– No dobrze. – Westchnęła z rezygnacją. – Gra osła? Tak, znam ją. Brałam w niej udział, i to nie raz. Goss i jego zamożni przyjaciele z wielkiego biznesu zbierali kilka dziewcząt i zabawiali się z nimi. Niektóre, takie jak ja, były opłacane i wiedziały z góry, co mają robić. Inne – tak słyszałam – zwabiano z ulicy. Odurzali je przed grą, a potem przekupywali albo zastraszali, albo...

– Albo co?

Zagryzła nerwowo wargę.

– Nie mogę tego potwierdzić osobiście, to były tylko plotki. Niektóre z dziewcząt zniknęły. Słyszałam, że Goss stosował na nich jakieś specjalne narkotyki, żeby nie mogły powiedzieć, co się z nimi stało. Wie pani zapewne, że jego firma prowadzi badania nad serum prawdy, narkotykami wywołującymi hipnozę i tak dalej. W każdym razie słyszałam, że kilka dziewcząt zmieniło się w rośliny, kiedy już je wykorzystał. Nigdy się nie dowiedziałam, czy to prawda. Nie chciałam wiedzieć.

– Jakie dziewczyny? – spytała Karen. – prostytutki? Dziewczyny z barów?

– Nie. – Pat potrząsnęła głową. – Zwyczajne dziewczęta. Studentki. Musiały być niewinne. To podniecało Goss'a. Płacić call-girl takiej jak ja, żeby uczestniczyła w zabawach z wiązaniem albo sadomaso, to coś zupełnie innego. Goss wiedział, że udaje. Inne dziewczyny nie udawały. Były śmiertelnie wystraszone. To go podniecało. – Odetchnęła nerwowo. – Strach to dla niego afrodyzjak.

Karen przytaknęła.

– Opowiedz o grze osła – poprosiła.

Przywiązywali dziewczynę. Nagą. Miała wyeksponowany odbyt. Bawili się w „Przypnij Osła Ogon”. Mężczyzna, na którego przyszła kolej, miał zawiązane oczy. Dawali mu ogon upleciony z końskiego włosia, na jego końcu był jakiś klej. Krążył po pokoju i próbował znaleźć dziewczynę. Zakładali się, komu pierwszemu się uda. W każdym razie, kiedy ją

znalazł, wsadzał jej ogon w odbył. W nagrodę mógł mieć z nią od razu stosunek. Inni go głośno zachęcali. Zwykle był pijany, więc potrzebował dopingu. Patricia wykrzywiła wargi w grymasie obrzydzenia.

– Mężczyzna też był nagi? – spytała Karen.

– Tak. Zawodnik zawsze był nagi. Inni byli ubrani. Siedzieli przy stołach i popijali alkohol. Było jak w nocnym klubie, grała muzyka.

– Brałaś w tym udział? – upewniła się Karen.

– I to nie raz – przytaknęła Pat. – Pewnie. Udawałam, że jestem pijana albo że zemdlałam. Musiałam tylko biernie siedzieć. Niespecjalnie mnie to deprymowało, robiłam już dziwniejsze rzeczy. I dobrze mi płacili, może mi pani wierzyć. Colin Goss ma gest, jeśli chodzi o pieniądze. – Zastanawiała się przez chwilę. – Czułam, że innych mężczyzn bawi pomysł z zakładami i pieprzenie bezbronnej dziewczyny. Po latach doszłam do wniosku, że Gossa szczególnie podnieca widok dziewczyny z ogonem. Z powodu jakiegoś zбочenia. – Popatrzyła na Karen. – To chory facet. Wszyscy o tym wiedzieli. Ludzie oczywiście nie mają o niczym pojęcia. Gdyby wiedzieli, byłby skończony, w każdym razie jako polityk. – Obrzuciła Karen gorzkim spojrzeniem. – Ale ma prasę w kieszeni. Jestem pewna, że wie pani o tym.

– Jest nienormalny także pod innymi względami? – spytała Karen. – Nie chodzi mi tylko o seks ze zniewoleniem?

Pat Broderick zagryzła nerwowo wargę.

– Tak – oparła i wyjrzała przez okno, jakby jej słowa mógł usłyszeć ktoś na zewnątrz. – Lubi zadawać ból. Sprawować nad ludźmi całkowitą kontrolę. Mogło to doprowadzić do różnych rzeczy. Niewykluczone, że potem stał się jeszcze gorszy. Mężczyźni dziwaczejają z wiekiem...

– Co znaczy „gorszy”?

– Nigdy nie liczył się z innymi. Wszystkich traktował jak króliki doświadczalne. Miał w sobie jakiś chłód... Nie potrafię tego opisać. Odnosiło się wrażenie, że nie cofnąłby się przed niczym. Nie obchodziło go, co czują inni. Żył tylko dla siebie. – Pat potrząsnęła głową. – Kiedy myślę o tym teraz, to uważam, że to właśnie było w nim najgorsze. To, że robił, co chciał.

Karen zastanawiała się nad słowami kobiety. To było dla niej coś nowego, choć już wcześniej docierały do niej pogłoski, że Colin Goss miał na sumieniu różne grzechy natury seksualnej.

– Rozumiem, że ta gra osła nie robiła na tobie specjalnego wrażenia – zauważyła. – Nie poniosłaś fizycznej szkody.

– Zgadza się.

– Ale gdybyś była dziewczyną z ulicy, taką, którą tam zwabiono pod jakimś pretekstem, i zmuszono by cię do tego wbrew woli... wyglądałoby to gorzej, prawda?

Patricia Broderick przytaknęła.

– Tak, znacznie gorzej. Zwłaszcza gdybym została odurzona. Jak już mówiłam, krążyły takie pogłoski. Ale nie wątpię, że Goss byłby do tego zdolny. Lubił ból, poniżenie. I młode dziewczęta.

– Ale nigdy nie widziałaś, by kogokolwiek rzeczywiście skrzywdził podczas tych zabaw? – spytała Karen.

– Nigdy. W każdym razie nie fizycznie. – Pat potrząsnęła głową. – Ale proszę nie zapominać, że uczestniczyłam tylko w niewielkiej części jego życia intymnego. Nie mam pojęcia, co robił gdzie indziej, z innymi kobietami. Był zdolny do wszystkiego.

– Jak wyglądały w tamtym czasie związki Michaela Campbella z Gossem? – spytała Karen z udaną obojętnością. – Brał udział w tych zabawach?

Twarz Pat Broderick, która złagodniała nieco w ciągu kilku ostatnich minut, znów przybrała wyraz obcości.

– Nic o tym nie wiem – odparła. – Nie wiem o żadnym związku między nimi. Nie wiem nawet, czy się znali.

Karen przytaknęła, licząc w myślach, ile razy Pat zaprzeczyła. Trzy. A to oznaczało, że kłamała. Zbyt żarliwie zapewniała, że o niczym nie ma pojęcia. Gra łatwa do przejrzenia, zwłaszcza dla doświadczonego reportera.

– Nigdy ich nie widziałas razem? – upewniła się Karen.

– Z pewnością nie. Nigdy.

– Nie słyszałaś, by Goss wspominał o Michaelu Campbellu?

– Nigdy. Dlaczego miałby o nim mówić?

– Jesteś przekonana? – dążyła Karen.

– Absolutnie.

Pat Broderick zaprzeczała zdecydowanie i nieustępliwie, ale jej oczy mówiły, że wie więcej, niż chce powiedzieć.

– Bardzo mi pomogłaś – oświadczyła Karen. – Jak obiecałam, nigdy nie wymienię twojego nazwiska w związku z tą sprawą. A tak na marginesie, znasz jakiegokolwiek inne kobiety, które uczestniczyły w zabawach Gossa? Chciałabym uzyskać stuprocentowe potwierdzenie.

– Nie. – Pat Broderick potrząsnęła głową. – Nie znam.

Wyglądała na przestraszoną.

Potem zawiozła Karen pod swoje biuro. Obie kobiety uściśniły sobie dłonie na parkingu.

– Doceniam twoją szczerość – zapewniła Karen. – I uszanuję prywatność. Nigdy nie ujawnię nikomu twojego nazwiska.

Twarz Pat Broderick zmieniła wyraz.

– Powiem coś dla pani dobra – powiedziała. – Gdyby kiedykolwiek zechciała pani opublikować jakieś fakty związane z tą sprawą, to nie miałyby pani więcej szans niż ja.

Karen przytaknęła.

– Będę o tym pamiętać.

Pat jakby się trochę rozluźniła.

– Sądzi pani, że odzyskają Susan Campbell? – spytała.

– Nie wiem – odparła Karen. – Mam nadzieję. Staram się pomóc. Jeśli uda nam się dostatecznie szybko ustalić właściwe powiązania, być może ją uratujemy.

– I uważa pani, że powiązania te dotyczą między innymi Colina Gossa?

– Niewykluczone. – Karen skinęła głową. – W końcu chce być prezydentem. Susan Campbell jest żoną człowieka, który stoi mu na drodze.

– Powiem coś pani prywatnie – zwróciła się do niej Pat. – Jeśli Colin Goss kiedykolwiek zdobędzie taką władzę, ten kraj jest skończony.

Karen spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Skąd ta pewność?

– To wolny kraj – wyjaśniła Pat. – A Colin Goss nigdy nie wierzył w wolność dla kogokolwiek z wyjątkiem Colina Gossa.

Popatrzyła na piękną panoramę Seattle.

– Ci politycy, którzy zachorowali i umarli... to może być robota Gossa. Nie ma rzeczy, do której nie byłby zdolny – dodała.

– Ale wydaje się, że wszystkie te incydenty działają na korzyść Michaela Campbella, czyż nie? – zauważyła Karen. – Ma zostać wiceprezydentem, prawda?

Patricia Broderick znów obróciła się w stronę Karen.

– Tak. Ma pani słuszność.

– Wystarczy tylko posłuchać tego, co mówi Colin Goss; nienawidzi Michaela Campbella bardziej niż kogokolwiek innego w świecie.

Na twarzy drugiej kobiety pojawiła się niepewność.

– Ma pani rację. W takim razie nie wiem, o co tu chodzi. Słowa te wciąż brzmiały w uszach Karen, kiedy patrzyła w ślad za Patricia Broderick, która oddalała się szybkim krokiem w stronę swojego biura.

## Rozdział 58

Godzinę później Karen leciała z powrotem do Waszyngtonu. Stewardesy roznosiły drinki i po kabynie rozeszła się kusząca woń bourbona, whisky i dżinu. Karen starała się zapomnieć o tym, że przez następne pięć godzin nie będzie mogła zapalić papierosa. Opuściła stoliczek i wykorzystała go jako biurko, kładąc przed sobą kartki pokryte szybkim, starannym pismem.

Jeśli kiedykolwiek zdobędzie taką władzę...

Nie ma rzeczy, do której nie byłby zdolny.

Karen wróciła myślą do wywiadu z Pat Broderick. Wszystko, co mówiła kobieta, nosiło znamiona prawdy. Ujawniła coś, co skrywała przez długie lata. Bała się.

Nabrała tylko wody w usta, kiedy Karen spytała ją o Michaela Campbella. Jej zaprzeczenia na kilometr pachniały oszustwem.

Pat miała jakby nieobecne spojrzenie, kiedy Karen przypomniła jej, że usunięcie Everhardta, Palleschiego i Stillmana przysłużyło się Michaelowi Campbellowi. Było to spojrzenie kogoś, kto coś ukrywa i nie chce, by go przejrano.

Karen napisała na kartce: Colin Goss – Michael Campbell.

Ponownie napotkała sprzeczność wskazaną przez Joego Kraiga. Jeśli Colin Goss nienawidził Michaela Campbella tak bardzo, jak o tym zapewniał, to dlaczego miałby robić za kulisami rzeczy, które w efekcie pomagały Michaelowi?

I jeśli Colin Goss był rzeczywiście w zмовie z Michaeliem Campbellem z powodów nieznanymi opinii publicznej, to dlaczego miałby porwać Susan Campbell i żądać, by jej mąż wycofał swą kandydaturę na wiceprezydenta?

Karen zamknęła oczy i westchnęła. Rozwiązanie zagadki sfinksa było na wyciągnięcie ręki, ale nie mogła go dostrzec. Jeszcze nie teraz.

Otworzyła oczy i zapisała szybko kilka przypadkowych myśli.

Everhardt nie żyje.

Palleschi chory.

Michael wybrany przez prezydenta.

Susan Campbell porwana.

Karen przekreśliła wers dotyczący Susan, ale pozostawiła na swoim miejscu:

Susan Campbell porwana.

Potem napisała:

Syndrom Pinokia przestaje atakować w Stanach Zjednoczonych. Korzyść dla prezydenta.

Nie pomaga Gossowi. Goss traci poparcie.

Gryzła ołówkę, mocząc go wilgotnymi wargami, które pragnęły papierosa bardziej niż drinka. Potem napisała:

Prezydent prawdopodobnie zachowa urząd.

Chyba że Campbell się wycofa.

Rozmyślała przez kolejną minutę.

Goss w zмовie z Campbellem, napisała.

– No dalej – powiedziała głośno. – Połącz elementy.

Nagle przed jej oczami pojawiło się niewidoczne ogniwo.

Goss chce widzieć Michaela jako wiceprezydenta. Dlatego inni są usuwani.

GOSS CHCE PRZEGRAC.

Karen odetchnęła gwałtownie. Jej sąsiad zerknął na nią. Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, by pokazać, że nic jej nie jest.

Drżącą dłonią napisała kolejną hipotezę.

Goss chce, żeby MICHAEL wygrał.

Karen nacisnęła guzik. Kiedy pojawiła się stewardesa, poprosiła o podwójnego jacka danielsa. „Oczywiście”, powiedziała dziewczyna i ruszyła w stronę przedziału kuchennego.

Karen nie ruszała się, dopóki nie przyniesiono jej drinka. Z westchnieniem niewysłowionej ulgi wciągnęła orzechowy aromat alkoholu. Wiedziała, że będzie to jej jedyny drink przed powrotem do domu.

Oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

Spytaj go, co wydarzyło się na Harvardzie. Spytaj go o grę osła.

Kiedy odpowie, obserwuj jego oczy.

Karen starała się nie myśleć. Nie udało jej się. Prawda, jak ktoś kiedyś powiedział, jest zarówno nieunikniona, jak i trudna do określenia. Prześlizguje się między palcami niczym rtęć, przenika pory i przedostaje się do naszego wnętrza jak choroba. Choć staramy się za wszelką cenę być ślepi, nie możemy od niej uciec.

Karen zamknęła oczy. Pomruk silników współgrał z pulsowaniem alkoholu w jej organizmie.

Prawda uderzyła ją jak obuchem. Niemal przewróciła szklanekę, chwytając bloczek kartek.

Porwanie NIE jest częścią planu, napisała.

Teraz zrozumiała słowa, które powiedział głos w telefonie Susan Campbell. Kiedy nadejdzie czas, wszystko będzie zależało od ciebie, Susan.

Osoba, która porwała Susan, nie próbowała wcale powstrzymać Michaela, by dopomóc Gossowi. Michael i Goss grali w jednym zespole.

Dzwoniąca osoba wiedziała coś, czego ani Susan, ani władze jeszcze nie podejrzewały: że wejście Michaela Campbella do Białego Domu to właśnie to, czego chciał Colin Goss.

Colin Goss – Michael Campbell.

Karen znów odetchnęła, tym razem z ulgą. Elementy zostały połączone, łamigłówka rozwiązana. Nawet gdyby nigdy nie zdołała nikogo o tym przekonać.

Syndrom Pinokia – gra osła.

Chciała zamówić jeszcze jednego drinka, by uczcić tę chwilę. Wiedziała jednak, że musi zaczekać. Miała mnóstwo do przemyślenia.

Zamknęła oczy. Hipotezy widniejące na kartkach stały się niewyraźne. Powrócił głos z telefonu Susan Campbell, przyćmiewając wszystko.

Kiedy odpowie, obserwuj jego oczy.

## Rozdział 59

Susan siedziała w małej sypialni, której zakątki zdążyła już doskonale poznać. Pokój był zbyt ciemny i odseparowany, by można było czuć się tu jak u siebie, ale miał w sobie coś dziwnie matczynego i przytulnego. Odniosła wrażenie, że świat pozostał gdzieś daleko.

Justine siedziała w fotelu bujanym naprzeciwko łóżka. Pokazywała Susan taśmę z wiadomościami CNN, podczas których nadano nagranie telefonicznego żądania.

Susan spoglądała w zamyśleniu.

– Dlaczego to rozgłosiłaś? – spytała. – Dlaczego po prostu nie przesłałaś im kasety czy czegoś w tym rodzaju?

– Żądanie musiało być ogłoszone publicznie – wyjaśniła Justine. – Dlatego zadzwoniłam do mediów.

– Dlaczego musiało być ogłoszone publicznie? – spytała Susan.

– Bo teraz wszyscy się dowiedzą, jak ono brzmi – wyjaśniła z uśmiechem Justine. – Gdybym się nie upewniła, że nagrali mój telefon, władze skłamałyby, że zawiera coś innego. Susan zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

– Teraz, kiedy wybrano twojego męża, prezydent niemal na pewno zachowa urząd – wyjaśniła Justine cierpliwie. – Wszystkie siły skupiają się teraz na tym. Nie będą chcieli, by Michael się wycofał, kiedy stawką jest Biały Dom. Skłamałoby w sprawie mojego żądania, gdyby tylko mogli.

Susan przytaknęła niezdecydowana.

– Wciąż nie rozumiem – wyznała.

– Pomyśl, Susan – zwróciła się do niej Justine jak do dziecka. – Odwołaj się do zdrowego rozsądku. Gdyby nic nie przedostało się do wiadomości publicznej, gdyby wszystko zostało zachowane w tajemnicy, cała sprawa skończyłaby się tak samo jak mnóstwo innych tajemnic politycznych. Nawet gdybyś umarła, prawdziwy powód nigdy nie wyszedłby na jaw. Tak działają, Susan. Kiedy zrobią coś po swojemu, zatuszują wszystko, co mogłoby zdradzić, jak to zrobili.

– A teraz chcą, żeby Michael znalazł się w Białym Domu? – spytała Susan.

– Zgadza się. – Justine się uśmiechnęła. – Właśnie w takich chwilach prawda pada ofiarą interesu własnego ludzi. Gotowi są napisać historię, w której Michael Campbell zostaje wiceprezydentem, potem osiąga coraz więcej, podczas gdy drobne tajemnice nigdy nie znajdują wyjaśnienia. Takie jak śmierć Everhardta, Palleschiego i Stillmana – i choroba zwana syndromem Pinokia.

Oczy Susan robiły się coraz większe.

– Nie chcesz chyba powiedzieć...

Justine zbyła jej słowa machnięciem ręki.

– Ale teraz, Susan, twój mąż będzie musiał odpowiedzieć publicznie na moje żądanie. Nie może go ukryć. Jest za późno.

– A jaka będzie jego odpowiedź? – spytała Susan.

Justine wstała i przeszła przez pokój. Popatrzyła na telewizor, nie podłączony do kabla, na którym można było odtwarzać tylko taśmy wideo. Rzuciła okiem na niewielką kolekcję kaset.

– Lubisz stare filmy? – Uśmiechnęła się.

Susan przytaknęła. Twarz miała pozbawioną wyrazu.

– Tęsknisz do prostszych czasów – zauważyła Justine. – Czasów, kiedy łatwo było odróżnić dobro od zła. Mam rację?

Susan nie kryła zaskoczenia.

– Skąd wiesz?

– Do czasów, kiedy łatwiej było kochać i być kochanym – ciągnęła Justine. – Dostrzegasz to, Susan, kiedy widzisz twarz Johna Garfielda, prawda? I Jamesa Stewarta, i Gary Coopera... Dobrze cię zrozumiałam?

– Tak – przyznała trochę smutno Susan.

Justine podeszła do niej i przysiadła na łóżku. Potem ujęła dłoń Susan.

– Jesteś gotowa?

– Na co?

– Na prawdę.

Susan spojrzała w pełne cierpienia oczy, w twarz przedwcześnie postarzałą z bólu. Nie chciała słyszeć prawdy. Pragnęła, by dano jej spokój, pozostawiono samą. Była jednak zmęczona ciągłą ucieczką.

– Tak – odparła. – Jestem gotowa.

– Miałam osiemnaście lat – zaczęła Justine. – Chodziłam do ostatniej klasy szkoły średniej. Byłam ze swoją przyjaciółką Jane. Obie mieszkałyśmy poza Bostonem. W sobotę wieczorem

wsiadłyśmy do pociągu, który jechał do śródmieścia. Powiedziałyśmy rodzicom, że wybieramy się do kina, ale tak naprawdę krążyłyśmy po centrum, szukając chłopaków.

Zamilkła na chwilę. Potem mówiła dalej:

– Robiłyśmy już to wcześniej. Czasem zabierały się z nami inne dziewczyny, czasem szłyśmy tylko my dwie. Byłyśmy trochę narwane. Każda z nas miała problemy z rodzicami, a żadna nie była jeszcze dojrzała emocjonalnie. – Uśmiechnęła się. – Teraz, jak patrzę na tamte czasy, wydaje mi się, że brakowało nam odwagi. Prawdę mówiąc, ani ona, ani ja nie straciłyśmy jeszcze dziewictwa. Nie dopisywało nam szczęście podczas tych wieczornych wypadów do miasta, ale nie traciliśmy nadziei i ciągle tam jeździłyśmy.

– Do Bostonu – powiedziała Susan.

– Tak. Do Bostonu – potwierdziła Justine, spoglądając twardym wzrokiem na Susan. – Pokręciłyśmy się trochę po śródmieściu, chcąc kogoś przyciągnąć, ale bez powodzenia. Wstąpiłyśmy do McDonalda na frytki i colę. Traciłyśmy już nadzieję, zastanawiałyśmy się, czy wracać do domu, kiedy zagadał do nas jakiś młody mężczyzna. Był bardzo przystojny. Spytał, czy jesteśmy studentkami, a my odparłyśmy, że nie. Pamiętam, że chichotałyśmy. Powiedział, że idzie akurat na przyjęcie, będą tam głównie studenci, ale młodszy także. Obiecał, że się dobrze zabawimy. Powiedział jeszcze, że będzie alkohol, wspominał też o trawce. Mieli tam też być samotni chłopcy.

Znowu zamilkła na chwilę.

– Miałam potem mnóstwo czasu, by wracać myślą do tamtej chwili, i zastanawiać się, dlaczego nie powiedziałyśmy „nie”.

Byłyśmy trochę narwane, ale w sumie uchodziłyśmy za dwie niewinne nastolatki, które nigdy nie pójdą z nieznajomym. Ale stało się inaczej z powodu tego mężczyzny. – Wzruszyła ramionami. – Był przystojny, czarujący. Wydawał się taki młody, niemal delikatny. Patrzył ci w oczy tak, jakby chciał na tobie zrobić jak najlepsze wrażenie, zyskać twoją przychylność. Jakby liczyła się wyłącznie twoja opinia. Trudno było się temu oprzeć, kiedy tak się zachowywał młody mężczyzna wobec dwóch naiwnych dziewcząt. Poszłyśmy z nim. Westchnęła.

– Zaprowadził nas do dużego, nowego budynku w śródmieściu. Wjechaliśmy na górę luksusową windą. Wymieniłam z Jane spojrzenia. Byłyśmy pod wrażeniem. Wszyscy razem dotarliśmy na jedno z górnych pięter. Zaprowadził nas korytarzem do jakiejś sali bankietowej. W rzeczywistości była to sala bilardowa. Stały tam dwa piękne stoły z ciemnego drewna i kilka stolików do pokera. A także barek, niewielki, ale dobrze zaopatrzonej. Elegancki, snobistyczny. Zaproponował nam drinka. Jane spytała, czy tu właśnie odbędzie się przyjęcie, a on odparł, że piętro wyżej.

Przerwała na chwilę.

– Pamiętam, że Jane piła koktajl z rumu i soku cytrynowego. Ja byłam onieśmielona, poprosiłam tylko o colę. I być może dlatego ocalałam. Środek, który nam wtedy zaaplikował, mógł wchodzić w reakcję z alkoholem. Sama nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej, po minucie przeprosił nas, zapewniając, że zaraz wróci. Ogarnęła nas wesołość, zaczęłyśmy chichotać. Na początku myślałam, że to z powodu sytuacji, podniecenia, ale potem uświadomiłyśmy sobie, że zaczyna działać jakiś narkotyk. Wymieniłam z Jane spojrzenia, coś w rodzaju „zabierajmy się stąd”. Potem obie osunęłyśmy się na podłogę. Straciłam przytomność.

Wzięła głęboki oddech.

– Później obudziłam się naga w dużym pokoju pełnym dymu. Papierosy, cygara. Grała muzyka. Usłyszałam męskie głosy. Byłam przywiązana do dziwnej leżanki czy wyściełanego stołu. Głowa zwisała mi w dół, pośladki były wypięte. Ręce i nogi miałam związane, mogłam więc ruszać tylko głową. Zobaczyłam Jane. Była unieruchomiona w podobny sposób. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej, ale oczy miała otwarte, patrzyły dziwnie, bez wyrazu.

Próbowałam do niej przemówić, ale byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam ruszyć choćby palcem. Staralam się zobaczyć, jak wygląda ten pokój, ale świeciły na nas reflektory, dlatego nie widziałam reszty pomieszczenia. I wtedy zaczęła się gra.

Susan słuchała ze zgrozą. Justine natomiast mówiła zupełnie spokojnie.

– Rozległy się jakieś fanfary. Muzyka zagrała głośniej. Czułam, że coś się zaraz stanie. Usłyszałam męskie głosy, obecni wołali coś do siebie. Wydawało mi się, że robią zakłady. Wyczułam jakiś ruch w pomieszczeniu. Próbowałam krzyknąć do Jane, ale płuca jakby odmówiły mi posłuszeństwa. Było to przedziwne uczucie – pozostawałam przytomna, ale niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Zobaczyłam jakąś postać, która wyłoniła się z blasku światła. Obecni wykrzykiwali słowa zachęty, śmiali się głośno. Kiedy pojawiła się w polu widzenia, zobaczyłam mężczyznę – typ biznesmena w średnim wieku, otyły, obwisła skóra na twarzy. Miał przewiązane oczy. Był nagi. Trzymał przed sobą wyciągnięte ręce, jakby szukał po omacku drogi. Miał erekcję. Potem zobaczyłam, co ściska w ręku.

Susan otworzyła szerzej oczy. Słuchała w napięciu.

– To był ogon. Taki jak u osła albo konia. Zwarty u góry, rozchodzący się u dołu. Kiedy podszedł bliżej, krzyki się nasiliły. Wołali: „Ciepłej!” i „Zimniej!”. Uświadomiłam sobie, że grają w przypinanie osłu ogona.

Popatrzyła na dłoń Susan, którą wciąż trzymała. Puściła ją odruchowo i wstała. W jej oczach pojawił się zimny błysk, który Susan zdążyła już poznać.

– Próbowałam się oswobodzić, ale jak mówiłam, nie mogłam poruszyć nawet palcem. Mężczyzna zbliżał się coraz bardziej. Pozostali wołali do niego. Myślę, że ci, którzy na niego stawiali, próbowali mu pomóc, inni starali się go zmylić. Może zakładali się o to, do której z nas dotrze najpierw. W każdym razie była to Jane. Wpadł na nią, potem wyciągnął rękę i natrafił na jej udo. Przesuwał dłonią w górę, aż dotarł do jej odbytu. Przyczepił jej ogon, nie wiem nawet jak. Może na końcu był jakiś klej. Rozległ się aplauz. Muzyka zagrała głośniej. Stukały szklanki. Dało się słyszeć głosy wyrażające po pijacku rozczarowanie, chyba z powodu przegranych zakładów.

Milczała przez chwilę, jakby zbierając się na odwagę, by mówić dalej.

– Potem zdjął opaskę z oczu. Popatrzył na Jane. Ukłękął i zaczął ją lizać między nogami. Pozostali krzyczeli i śmiali się. Doznał jeszcze silniejszej erekcji. On... – Spojrzała na Susan. – Wypieprzył ją. Nie poruszyła się ani przez chwilę. Jej oczy były skierowane na mnie, ale twarz nic nie wyrażała. Chyba mnie widziała, tak jak ja widziałam ją, ale nie wiem dokładnie. Zabrało mu to dużo czasu. Kiedy wreszcie skończył, rozległy się głośne wiwaty. Brzęk szklanek, śmiech, muzyka.

Justine wzięła głęboki oddech.

– Wydawało mi się, że umarłam i trafiłam do piekła. Naprawdę tak było. Jakąś częścią umysłu nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Inną uświadamiałam sobie, że to jest właśnie to, o czym słyszałam całe życie, los, jaki spotyka niegrzeczne dziewczynki. Nie mogłam się ruszyć, ale nie mogłam też zamknąć oczu.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Zaczęli grać od nowa. Ktoś zdjął ogon Jane. Znowu rozległa się muzyka i śmiechy. Nowe zakłady. Zobaczyłam, jak zbliża się następny mężczyzna, też miał zawiązane oczy. Był wyższy, ale równie obwisły jak tamten, równie niezgrabny. Najpierw ruszył w stronę Jane, ale potem skierował się ku mnie. Zachęcali go głośnymi okrzykami... – Popatrzyła na Susan. – Mam ci opowiedzieć resztę?

Susan była blada. Potrząsnęła głową.

– Trzymali nas tam do wczesnych godzin rannych – ciągnęła Justine. – Każdą z nas zgwałcili chyba z siedem albo osiem razy. Uświadomiłam sobie, że specjalnie unieruchomili nas w takich pozach, żebyśmy mogły widzieć się nawzajem. Kroiło mi się serce, kiedy widziałam, co z nią robią. I zrozumiałam, że właśnie ten fakt, to, że możemy patrzeć na



siebie, ja i Jane – nasze współczucie, nasze przerażenie – stanowił element tej gry. Kiedy to pojęłam, dotknęłam zła przekraczającego wszystko, co mogłam sobie wyobrazić w tym młodym wieku.

Odetchnęła, potem jeszcze raz.

– Najgorszy z wszystkiego był ten pusty wyraz oczu Jane. Zastanawiałam się, czy jest tak nieprzytomna, że nie wie, co się dzieje, czy też to nieobecne spojrzenie świadczy o tym, że nie jest w stanie znieść tego, co z nią robią.

Spojrzała na Susan, która zrozumiała wreszcie, skąd bierze się dziwny błysk w oczach drugiej kobiety. Błysk widoczny dla postronnego obserwatora, jednak w jakiś sposób skierowany do wewnątrz. Błysk wstydu zrodzonego z roli ofiary, z bezsilnej wściekłości. Susan zerknęła na jej nadgarstki z nacięciami.

– Co się stało potem? – spytała.

– W końcu zemdlałam – odparła Justine. – Działanie narkotyku, wyczerpania, przerażenia, nie wiem.

– A Jane?

– Nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Zapadło milczenie. Susan nie wiedziała, jak dalece opowieść Justine jest prawdziwa.

– Przeżyła? – spytała.

– Tak. Ale nigdy się nie przebudziła. Jest rośliną. Przebywa w domu opieki pod Bostonem.

Susan zacisnęła powieki. Po chwili z wysiłkiem otworzyła oczy. Justine patrzyła na nią spokojnie, nie odwracając wzroku.

– Widziałaś jeszcze kiedyś... któregoś z tych mężczyzn? Justine się uśmiechnęła.

– Oczywiście.

– To znaczy, że cię przetrzymywali? – spytała Susan.

– Nie. Byłam wolna, kiedy się ocknęłam. Nie widziałam nigdy więcej żadnego z nich osobiście. Ale dwóch zobaczyłam w mediach.

– Którzy to byli? – spytała Susan drżącym głosem.

– Mężczyzna, który przewodził grze. Mistrz ceremonii, by się tak wyrazić. Colin Goss.

Susan odwróciła wzrok, kiedy spytała:

– A ten drugi?

– Człowiek, który poderwał nas na ulicy. Ten, który zaprosił nas na przyjęcie.

– Kto to był?

Jane zauważyła, że Susan nie może zapanować nad drżeniem głosu.

– Michael Campbell – odparta.

Susan nie mogła się poruszyć. Chciała coś powiedzieć, ale słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Rozmyślała o opowieści Justine, o tym paraliżu, którego doznała, kiedy toczyła się gra.

O niemożności odwrócenia wzroku, niemożności zamknięcia oczu. Tak właśnie sama czuła się teraz.

Justine usiadła znowu i patrzyła na Susan wzrokiem pełnym litości.

– Teraz koło się zamyka – oświadczyła. – Świat zmienia się w kierunku, jaki zaplanował dla niego twój mąż. Nikt nie zna prawdy. Oczy świata są zamknięte, Susan. Ale dzięki mnie i tobie ludzie zobaczyli jedno – że Michael Campbell musi wybierać między Białym Domem i żoną, którą – jak twierdzi – kocha. Cały świat to usłyszał.

Susan przytaknęła, wpatrując się w przestrzeń.

– Co zdecyduje Michael? – spytała.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? – zdziwiła się Justine.

– Błagam – poprosiła słabym głosem Susan. – Po prostu mi powiedz.

– Odmówi wycofania swej kandydatury – odparła z zimnym uśmiechem Justine. – Pozwoli ci umrzeć.

## KSIĘGA TRZECIA

### Nowe szaty cesarza

Wszyscy dworzanie klęczeli, podziwiając nowy strój władcy. Lud, który stawił się tłumnie, wiwatował głośno na jego cześć. Nigdy nie widziano niczego równie pięknego.

Lecz nagle mała dziewczynka, trzymając w ciżbie matczyną rękę, wskazała na władcę palcem i powiedziała: „Mamusi, przecież on jest nagi! W ogóle nie ma ubrania!”.

Nikt nie wierzył małej dziewczynce. Matka uciszyła ją i zapomniano o niej. Ludzie dalej podziwiali nowe szaty cesarza.

Nowe szaty cesarza Poprawiona wersja Justine opowiedziana Susan.

## Rozdział 60

Boston

11 kwietnia

Z czternastu dziewcząt porwanych w Bostonie odnaleziono wszystkie prócz jednej: tej, która towarzyszyła Jane Christensen w wieczornej wyprawie do kina na Czułe słówka i nigdy nie wróciła.

Nazywała się Justine Lawrence. Według słów jej matki Justine nigdy więcej nie widziano po tamtej nocy, kiedy zniknęła wraz z Jane.

Karen Embry znalazła się na rozdrożu swego śledztwa. Mogła porzucić teraz trop bostoński i skoncentrować się na ustaleniu miejsca pobytu Susan Campbell. Albo mogła dalej badać przeszłość – i być może znaleźć jakąś pośrednią drogę wiodącą do Susan.

Karen zdecydowała się iść za głosem instynktu, który od początku kierował jej karierą dziennikarską. Postanowiła iść na całego, podążać za własnym przeczuciem, mierzyć wysoko i nie zważać na konsekwencje.

Rodzice Justine Lawrence odeszli. Matka dawno temu popełniła samobójstwo. Ojciec, notoryczny alkoholik, zniknął.

Karen poleciała z powrotem do Bostonu i odwiedziła Brook-line, gdzie niegdyś mieszkała Justine Lawrence. Rozmawiała z sąsiadami. Wszyscy pamiętali matkę Justine, przyjazną, choć dość neurotyczną kobietę, i jej ojca, odrażającego pijaka, który głośno awanturował się z żoną. Jedna pani z sąsiedztwa przypomniała sobie, że kobieta po tych kłótniach często miała sińce. „Tak jak i Justine od czasu do czasu – powiedziała. – Nie mogłabym przysiąc, ale czułam, że i ją bije. Dlatego Justine była trochę dzika, jak mi się wydaje. Rodzice nie byli dla niej za dobrzy”.

Niestety, nie istniało żadne rodzeństwo, którego mogłaby poszukać Karen. Justine Lawrence była jedynaczką.

Zdołała jednak zlokalizować siostrę zmarłej matki Justine. Nazywała się Grace Cowlings. Grace, stara panna mieszkająca samotnie w Bostonie, była gorliwą katoliczką, która wciąż odczuwała wstyd na myśl o samobójstwie siostry i nadal żywiła nadzieję, że Justine gdzieś żyje.

Dom Lawrence'ów został już dawno sprzedany z wszystkimi meblami, lecz Grace Cowlings zachowała kilka osobistych rzeczy pozostawionych przez siostrę, między innymi

album ze zdjęciami i pamiątki. Pozwoliła Karen przejrzeć fotografie, na których Justine widniała najpierw jako mała dziewczynka, potem jako cheerleaderka w szkole średniej.

– Justine była dobrą dziewczyną – wspominała Grace. – Zaczęły się z nią problemy, kiedy weszła w wiek dojrzewania, ale chodziło głównie o skłonność do rozrywek. No i oczywiście kłopoty z ojcem. Wtedy już nie panował nad nałogiem, nie kontrolował się i między rodzicami dochodziło do koszmarnych awantur. Justine miała dobre stopnie, znajdowała czas i na kibicowanie, i na naukę, poza tym była bardzo religijna.

– Przypuszczam, że nie zachowały się żadne filmy z Justine czy podobne materiały? – domyśliła się Karen.

– W każdym razie nie z późniejszych lat – odparła panna Cowlings. – Dick zniszczył kamerę i nigdy nie kupił drugiej. Może znajduję jakieś taśmy, ale na nich Justine będzie jeszcze mała.

Poszła na strych, skąd powróciła z dwiema kasetami, na które przekopowano domowe filmy utrwalone na taśmie ośmiomilimetrowej. Widać było na nich Justine jako małą, ładną dziewczynkę z kucykami, potem siedmioklasistkę z lekką nadwagą, śpiewającą w szkolnym przedstawieniu. Było kilka zbliżeń jej twarzy. Głos miała dziecinnie.

– Właśnie tego roku Dick rozbił kamerę – oświadczyła z nieukrywaną pogardą dla szwagra panna Cowlings. – Nic już potem nie nakręcił.

– A co z osobistymi rzeczami Justine? – spytała Karen.

– Tak, mam ich trochę. Zachowałam je na wypadek, gdyby się kiedykolwiek znalazła.

Panna Cowlings znów wyszła z pokoju i nie było jej przez kilka minut. Karen rozglądała się po smutnym, robotniczym domu z jego przesadnym umeblowaniem i portretami rodzinnymi. Przypominał jej dom, w którym sama dorastała. Potrzebowała drinka. I papierosa, ale można się było zorientować po braku popielniczek i zapachu, że nikt nie palił tu od dwudziestu lat.

Pani Cowlings powróciła z tekturowym pudłem pełnym rzeczy należących do Justine. Były tam lalki, pamiętnik, kilka zdjęć przyjaciół, parę świadectw szkolnych. Także trochę książek, w tym podręcznik z biologii, nie wiadomo z jakiego powodu zachowany, wiekowy walkman z lat osiemdziesiątych i nieduża kolekcja kaset z muzyką. Większość stanowiły firmowe nagrania Carly Simon, Blondie, Bruce'a Springsteena. Dwie były puste i nieoznaczone.

Karen zaczęła z zapalem przeglądać pamiętnik, ale okazał się całkowicie nieprzydatny, kończył się w momencie, kiedy Justine miała dziesięć lat i chodziła do szkoły podstawowej. Znalazła też plik listów przewiązanych gumką. One również były bezużyteczne, datowane jeszcze na okres szkoły średniej.

Karen wzięła do ręki dwie nienagrane kasety magnetofonowe.

– Wie pani, co na nich jest? – zwróciła się do pani Cowlings.

– Nie mam pojęcia – odparła kobieta. – Nie słucham muzyki. Karen podniosła walkmana.

– Przypuszczam, że nie ma pani pod ręką baterii.

– Poszukam – powiedziała kobieta, wstając z westchnieniem i idąc do kuchni. Po chwili wróciła z paczką baterii.

Karen uruchomiła mały odtwarzacz i wsunęła do niego pierwszą kasetę. Była na niej muzyka rockowa, najwidoczniej nagrana z magnetofonu koleżanki albo kompaktu.

Druga taśma zawierała domowe nagranie jakiegoś przyjęcia czy innego spotkania. Jakość dźwięku była kiepska, ale głosy słyhać było bez problemu. Wszystkie należały do dziewcząt, które rozmawiały i śmiały się hałaśliwie; w tle grała muzyka.

– Proszę mi powiedzieć, czy słyszy pani głos Justine – poprosiła pannę Cowlings Karen.

Dziewczęta na taśmie opowiadały sobie różne rzeczy i plotkowały. W pewnym momencie muzyka w tle przycichła i ktoś włączył telewizor. Dziewczęta dalej rozmawiały, a w tle słyhać było program telewizyjny.

– Niech pani zaczeka – odezwała się niespodziewanie pani Cowlings.

– Tak? – Karen zatrzymała taśmę.

– Niech pani trochę cofnie.

Karen przewinęła taśmę. Jedna z dziewcząt uciszała pozostałe. „Zamknijcie się, kretynki. Słyszę matkę. Zamknijcie się!”. Pani Cowlings wskazała na mały odtwarzacz.

– To Justine – oświadczyła. – Wszędzie bym ten głos rozpoznała. Biedna dziewczyna... W jej oczach wezbrały łzy.

Karen odtworzyła dalszy fragment taśmy. Hałaśliwa zabawa ciągnęła się przez kilka następnych minut. Potem znów pojawiła się przegrana skądś muzyka. Karen przewinęła do przodu, ale nie znalazła już żadnej rozmowy.

– Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym pożyczyła tę taśmę? – zwróciła się do kobiety. – Chciałabym to puścić znajomemu, który zajmuje się zawodowo nagraniami. Jeśli Justine nadal żyje, może zdołam coś ustalić.

Panna Cowlings nie wyglądała na przekonaną.

– Niech pani spróbuje – powiedziała. – Ale to strasznie stare. Przyjaciel Karen, inżynier dźwięku, który często pracował dla różnych działów prasowych, miał pewne doświadczenie w analizie głosu. Przypuszczała, że uda mu się wzmocnić głos Justine i nagrać go osobno.

– Bardzo mi pani pomogła – zapewniła Karen kobietę. – Zwrócę pani taśmę. Jeśli tylko odnajdę Justine, dam od razu znać.

– Powodzenia – życzyła jej szczęścia kobieta. – Minęło piętnaście lat, a policja nic nie zrobiła. Jest pani pierwszą osobą, która się tą sprawą zainteresowała.

Karen ucisnęła jej dłoń i pożegnała uśmiechem. Wsiadła do wynajętego samochodu i natychmiast zapaliła papierosa.

W wozie był zamontowany odtwarzacz kaset i kompaktów. Karen wsunęła do niego kasetę i zaczęła słuchać głosów dziewcząt.

„Bzdura, ty idiotko...”.

„Zamknijcie się, kretynki! Słyszę matkę. Zamknijcie się!”.

Karen przymknęła powieki i wciągnęła dym z głębokim westchnieniem. Potem przewijała taśmę przez kilka sekund.

„Jane ma chłopaka, Jane ma chłopaka...”.

„Bzdura, ty idiotko...”.

„Zamknijcie się, kretynki! Słyszę matkę. Zamknijcie się!”.

Karen przez całe swe reporterskie życie zajmowała się rozróżnianiem głosów. Zapisywała w pośpiechu oficjalne komentarze podczas konferencji prasowych, starała się wychwytywać fragmenty podsłuchanych rozmów w restauracjach i na korytarzach, nalegała na niechętnych informatorów, by powtórzyli przez telefon swe wymamrotane, wymijające odpowiedzi na jej pytania.

Naprawdę miała zamiar poprosić przyjaciela, by opracował taśmę. Ale rezultaty analizy potwierdziłyby tylko to, co już wiedziała.

Głos rozchichotanej kilkunastoletniej dziewczyny na kasecie był taki sam jak głos rozmówczynie Susan Campbell. Młodszy, bardziej niewinny, słodszy – ale ten sam.

I był identyczny z głosem kobiety, która zażądała, by Michael Campbell odmówił kandydowania na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Susan była teraz z Justine Lawrence.

Jeśli oczywiście nadal żyła.

## Rozdział 61

– Obudziłam się pod wiaduktem autostrady międzystanowej, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Bostonu – powiedziała Justine.

Huk startującego na zewnątrz samolotu wprawił szyby w drżenie, Susan bez trudu jednak słyszała cichy głos kobiety. Nauczyła się już żyć z tym bezustannym hałasem lotniska.

– Nie wiedziałam, kim byłam – opowiadała dalej Justine. – Z początku ledwie wiedziałam, czym byłam. Czułam się jak zwierzę, oddychałam tylko i trzęsłam się z zimna. Ale podniosłam się jakoś i dowlokłam do najbliższej toalety. Zamknęłam się w kabinie i skuliłam w kącie. Nie ruszałam się, tylko siedziałam. Zapadałam w sen i przytomniałam. Ten narkotyk był bardzo silny. Czułam się jak wielki owad, którego spryskano z gigantycznego pojemnika środkiem owadobójczym. Sparaliżowana.

Susan siedziała na łóżku, słuchając. Naciągnęła na ramiona narzutę, gdyż czuła chłód. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od Justine.

– W końcu do drzwi kabiny zapukała dozorczyzna i powiedziała, że muszę wychodzić – ciągnęła Justine. – Dziękowałam Bogu, że to kobieta. Kiedy zobaczyła, w jakim jestem stanie, zabrała mnie do siebie do domu. Chciała zadzwonić na policję, ale jej nie pozwoliłam. Nie powiedziałam, co się stało. Chyba przypuszczała, że padłam ofiarą gwałtu.

Justine odetchnęła głęboko.

– Była bardzo miła. Miała dzieci i dom w małym miasteczku niedaleko od miejsca, gdzie się ocknęłam. Zostałam tam kilka dni. Jej mąż był akurat nieobecny; znajdował się gdzieś w drodze, pracował jako kierowca ciężarówki czy coś w tym rodzaju. Dała mi zupy, pomogła się umyć. Zdawała się rozumieć, że nie mogę mówić, więc robiła to za mnie. Nie miała wykształcenia, ale była bardzo wyrozumiała. Gdyby mnie spytała, kim jestem, to wątpię, czy zdołałabym jej powiedzieć. Byłam otumaniona. Mam wrażenie, jakby ten okres spowijała mgła. W pewnym sensie nigdy nie otrząsnęłam się z działania tego narkotyku. Zmienił mnie. Dlaczego mnie nie zabił, nie wiem. Zabił inne albo je zniszczył. Justine popatrzyła na Susan.

– Cieszyłam się, że mogę tam pozostać, w każdym razie chwilowo. Ale potem usłyszałam, jak rozmawia o mnie z kimś przez telefon. Bałam się, że to policja. Uciekłam tej samej nocy. Ruszyłam autostopem w głąb kraju. Kierowałam się na południe, chciałam dotrzeć w cieplejsze rejony. Wylądowałam w Karolinie Północnej. Wędrowałam poboczem szos, śpiąc na przydrożnych parkingach. To zdumiewające, że nikt mnie wtedy nie zgwałcił. Zabierałam się z kierowcami ciężarówek, obcymi ludźmi... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. – Wzruszyła ramionami. – Chyba opatrność nade mną czuwała. Pewnego dnia szłam wzdłuż drogi, kiedy zatrzymał się obok pikap i kobieta za kierownicą spytała, czy chcę, żeby mnie podwiozła. Wciąż niewiele mówiłam, ale domyśliła się, że miałam jakieś złe przejścia. Pojechaliśmy na jej niewielką farmę, która była niedaleko. Miała dwie córki i syna w wojsku. Jej mąż porzucił rodzinę. Byli bardzo biedni. Zaczęłam dla niej pracować – sprzątanie, praca w polu, gotowanie, wszystko, czego potrzebowała – i w zamian dostałam pokój i wyżywienie. Nie było to złe życie. Kobieta pochodziła z południa, jej rodzina klepała biedę od pokoleń. Zatrudnienie kogoś, kto wędruje i nie ma domu, nie było dla niej niczym nowym. Utrzymywała jakoś rodzinę i była na swój sposób serdeczna. Poznałam bliżej jej córki. Mile dziewczęta.

Justine wstała i wlepiła wzrok w zaciemnione okno.

– Pozostałam tam około roku. Miałam zupełną amnezję, nie wiedziałam, kim jestem, skąd pochodzę, co się ze mną stało. Nawet podobał mi się ten brak pamięci. Czułam, że w żaden sposób nie krępuje mnie własna tożsamość. Żartowałam na ten temat z jej dziećmi. Były mną zafascynowane. Uważały mnie za wolnego ducha, kogoś niezwykłego. Potem wrócił jej mąż i pogodzili się. Nie życzył sobie mojej obecności, musiałam więc odejść. Kobieta podwiozła mnie na dworzec autobusowy i dała sto dolarów. Nie chciałam ich wziąć, ale upierała się. Pieniądze były w drobnych banknotach i monetach, trzymała je pewnie w jakimś słoiku czy pudełku na czarną godzinę. Byłam bardzo wzruszona jej gestem. Nie potrafiłam tego wyrazić. Wzięłam pieniądze i wsiadłam do autobusu. Urwała na chwilę, zamyślona.

– Nie bardzo wiedziałam, co dalej robić. W przebłyskach zaczęła powracać pamięć. Lecz ilekroć uświadamiałam sobie, kim jestem, pojawiała się wspomnienie tego, co stało się ze mną i Jane. No i od razu zapominałam czy też próbowałam to stłumić, możesz to nazwać, jak

chcesz. Mój umysł jakby się włączał i wyłączał, niczym obwód elektryczny przerwany w jakimś miejscu.

Popatrzyła na nadgarstki.

– Wybrałam autobus do Charlestonu. To właśnie na dworcu próbowałam po raz pierwszy popełnić samobójstwo. Siedziałam na jednym z tych plastikowych krzeseł w poczekalni. Dostrzegłam na podłodze metalowy fragment puszki po piwie. Podniosłam go i poszłam do damskiej toalety. Tam podciąłam sobie nim żyły. Nie bardzo mi to wyszło. Znaleźli mnie i zabrali do szpitala. Była tam pewna kobieta z opieki społecznej, terapeutka. Nazywała się Marie Gervasi. Postarała się o przyznanie jej opieki nade mną i zawiozła do przychodni, gdzie pracowała. Leczone tam ofiary przemocy seksualnej i gwałtów. Marie była pierwszą osobą, która naprawdę próbowała porozmawiać ze mną o mnie samej. Wiedziała, że coś okropnego się wydarzyło. Starła się dopomóc mi w odzyskaniu pamięci. Załatwiła mi wizyty u znajomego psychiatry. To była kobieta, doktor Henley. Poświęciła mi mnóstwo czasu, spotykała się ze mną wielokrotnie. Była bardzo miła. W końcu wszystko sobie przypomniałam, ale nie powiedziałam jej prawdy. Wyznałam tylko, że mnie zgwałcono, jeszcze w domu, i że był to gwałt zbiorowy – tylko to się zgadzało. Robiła wszystko, bym się z tym uporała, bym zrozumiała, że nie ponoszę za to winy. Czasem żałuję, że nie powiedziałam jej, co naprawdę się wydarzyło. Była taka serdeczna, opiekuńcza...

Justine popatrzyła na Susan.

– Ale cieszę się, że tak właśnie pozostało. Zachowałam to dla siebie. Jedyne osoby na świecie, które o tym wiedzą, jesteście ty i ja. I chcę, by tak pozostało.

Susan skinęła głową, nie sprzeciwiając się decyzji Justine. Czas, kiedy pragnęła to robić, już minął. Chciała zrozumieć tę kobietę.

– W końcu uzyskałam zaocznie dyplom szkoły średniej i ukończyłam dwuletni college – opowiadała dalej Justine. – Widziałam, jak Marie pomaga młodym dziewczętom, które skrzywdzono, i doszłam do wniosku, że chcę robić to samo.

Popatrzyła na Susan.

– To było mniej więcej wtedy, kiedy zostałam żoną polityka. Słowa te boleśnie ukłuły Susan. Kobieta poznała Michaela w tym samym czasie co ona. Podczas gdy Susan poślubiła bohatera, Justine walczyła o przeżycie. Oto Michael zgotował różny los dwóm kobietom. Justine dostrzegła niepokój w oczach Susan i znów spojrzała na zaciemnione okno.

– Zrobiłam dyplom. Zostałam psychoterapeutką. Pomagałam zajmować się dziewczętami i kobietami, które z różnych powodów nie radziły sobie ze światem. Ta praca mi odpowiadała, dawała satysfakcję. Nie ma lepszego lekarstwa na własny ból niż pomaganie innym.

Justine przyglądała się swoim pociętym nadgarstkom.

– Marie pozostała z nami, dopóki nie wyszła za mąż za człowieka, którego córka leczyła się w naszej przychodni. Odeszli. Ja pozostałam. Potem skończyły się fundusze i musieliśmy zamknąć placówkę. Rozesłałam swoje CV po różnych przychodniach i szpitalach, ale trudno było znaleźć pracę. Mój życiorys zawierał zbyt dużo białych plam. Nie mogłam napisać całej prawdy. To, że sama byłam kiedyś pacjentką i próbowałam popełnić samobójstwo, też nie pomagało.

Znów spojrzała na swoje nadgarstki.

– Nagle powróciła pokusa, i to niezwykle silna, by skończyć z sobą. Ból był tak wielki, wspomnienia... postanowiłam zabić się, tym razem naprawdę. Miałam niewielkie mieszkanie z piecykiem gazowym. Uszczelniłam wszystkie okna i drzwi. Kupiłam butelkę wódki. Zamierzałam upić się na umór, odkręcić gaz i odejść. I wtedy coś się stało.

– Co? – spytała Susan.

Jej ciekawość wywołała uśmiech na twarzy Justine.

– Miałam włączony telewizor, chodziło o to, by sąsiedzi go słyszeli i niczego nie podejrzewali. Nadawali właśnie talk-show, w którym brało udział kilku polityków, rozmawiali o gospodarce. Jednym z nich był twój mąż. Zaczęłam mu się przyglądać, słuchać go. I zrozumiałam, że nie mogę się zabić. Widok twarzy Michaela Campbella, dźwięk jego głosu, to wszystko było jak objawienie. Ujrzałam młodego, ambitnego polityka. Czarującego, wymownego. Cały naród go podziwiał z powodu olimpiady. Miał przed sobą wspaniałą przyszłość. Piękną żonę. Nie opuszczało go powodzenie. A ja, jego ofiara, zamierzałam się właśnie zabić.

Justine popatrzyła na Susan spod zmrużonych powiek.

– Miałam usunąć mu się z drogi, jak każda inna przeszkoda, którą napotykał. Zamierzał osiągać coraz więcej, wszyscy by go kochali i patrzyli nań z podziwem. I nikt nie dowiedziałby się nigdy o istnieniach, które zniszczył.

Potrząsnęła głową.

– Postanowiłam, że nie odejdę po cichu, że mu tego nie daruję. Wódkę wylatam do zlewu. Zdjęłam taśmę uszczelniającą z drzwi i okien. I nie odkręciłam gazu. Miałam teraz po co żyć. Miałam misję do spełnienia. Zawdzięczałam to twojemu mężowi.

Susan milczała. Bez przerwy wpatrywała się w Justine.

– Znalazłam pracę w ośrodku terapeutycznym – podjęła swą opowieść kobieta. – Stałam się bardzo skuteczną terapeutką. Niektóre ofiary gwałtów, dziewczęta i kobiety, wciąż utrzymują ze mną kontakt. Pracowałam w kilku miejscach, zawsze są problemy finansowe. Zależy to od tego, kto akurat siedzi w Białym Domu. Reagan był najgorszy, Clinton – znacznie lepszy.

Spojrzała na Susan.

– I studiowałam z zapalem dzieje twego męża. Tak jak biograf studiuje dzieje słynnej osoby, której początki są niejasne, a życie prywatne stanowi tajemnicę. Dowiedziałam się wszystkiego, czego tylko można się było dowiedzieć – o Juddzie Campbellu, o rodzinie Campbellów. O tobie, twojej matce, ojcu, który was porzucił. O twoim narzeczeństwie i przyjaciółach Michaela.

Jej rysy nagle stężały.

– W końcu dowiedziałam się więcej o jego związkach z Colinem Gossem. Odkryłam, jak daleko sięgają w przeszłość, jak są głębokie. Miałam ułatwione zadanie, gdyż wiedziałam już z własnego doświadczenia, że łączą ich różne rzeczy. Nie miałam kłapek na oczach jak inni ludzie. Nie musiałam przewyciezać własnych wątpliwości. A to, jak wiesz, połowa sukcesu w poszukiwaniu prawdy.

Wstała i popatrzyła z góry na Susan.

– Dowiedziałam się, że w budynku, gdzie zostaliśmy z Jane zgwałcone, mieści się bostońska siedziba firmy Gossa. Zaczęłam grzebać w jego życiorysie. Dowiedziałam się o rzeczach, które zaszokowały nawet mnie. Wydawało mi się, że wiem wszystko o perwersjach seksualnych, przemocy, okrucieństwie. Goss mnie zaskoczył. Napisał książkę o sadyzmie.

Dotknęła delikatnie dłoni Susan, która dostrzegła ślady po oparzeniach na ramieniu Justine.

– A miłość? – spytała odruchowo Susan Miłość? Co przez to rozumiesz?

– Kochałaś kogoś kiedykolwiek? Byłaś zakochana? – zainteresowała się Susan. A po chwili: – Uprawiałaś miłość?

– Nie zaznałam seksu od tamtej nocy, jeśli o to ci chodzi – wyjaśniła Justine. – Byłam wtedy dziewczcą. Tak jak Jane. Byłyśmy bardzo młode. Dzieci we mgle. A jeśli chodzi o miłość... kiedy doznaje się czegoś takiego, zwłaszcza w bardzo młodym wieku, przestaje się wierzyć, że ktokolwiek cię pokocha. To skażenie sięga bardzo głęboko. Nie marzy się nawet o miłości. Te drzwi pozostają na zawsze zamknięte.

Milczały przez długą chwilę. W oczach Susan wezbrały łzy, kiedy uświadomiła sobie głębie ran zadanych Justine. Drobne nacięcia na nadgarstkach, ślady oparzeń na ramionach były

jedynie maleńkimi falami na powierzchni czarnego oceanu, który skrywał otchłań bólu. Susan przypomniała sobie ocalonych z holocaustu, których kiedyś poznała. Wyglądali jak wszyscy inni, rozmawiali normalnie. Ale w głębi byli naznaczeni w sposób, którego zwyczajni ludzie nie mogli sobie nawet wyobrazić. Jakiegokolwiek zrozumienie w tym wypadku było wykluczone, ponieważ cierpienia tych ludzi owo zrozumienie przekraczały.

Justine zdawała się czytać w myślach Susan.

– Jesteś dobrą dziewczyną – rzekła. – Potrafisz odczuwać ból innych. Ludzie cię obchodzą. Susan nie odpowiedziała. Patrzyła na poznaczoną dłoń, która ścisnęła jej rękę.

– Obserwowałam cię przez wszystkie te lata – wyznała Justine. – Widywałam cię z mężem, słuchałam, jak o nim mówisz. Nie jesteś z nim szczęśliwa, prawda? Chodzi mi o seks.

Susan się zawahała. Po chwili westchnęła z rezygnacją.

– Jestem oziębła.

– Od zawsze tak było? – spytała łagodnie Justine.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Byli inni mężczyźni przed Michaelam?

– Tak. Chłopcy, studenci... Ale się nie liczyli. Michael był pierwszy, w tym najważniejszym znaczeniu. – Popatrzyła na Justine i dodała: – Z nim zaznałam wszystkiego.

Justine poklepała ją po ręku.

– Biedna Susan – powiedziała. – Dużo jeszcze przed tobą. Znow wstała.

– Nie mamy za czasu. Musisz zapoznać się z planem.

– Jakim planem? – spytała Susan. W jej głosie pojawiła się lękliwa nuta.

– Kiedy Michael dostanie się do Białego Domu, prezydent zostanie wyeliminowany – wyjaśniła Justine. – Michael zostanie najmłodszym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych.

Susan spoglądała szeroko otwartymi oczami. Nie przyjmowała do wiadomości tego, co słyszy. Nawet po tym wszystkim, co wydarzyło się w tym roku.

– Michael wymieni wszystkich członków gabinetu prezydenta – mówiła dalej Justine. – Wprowadzi do administracji Colina Gossa. Na jakieś pozagabinetowe stanowisko, nie wymagające zgody Senatu. Polityka zagraniczna czy bezpieczeństwo narodowe, coś w tym rodzaju. Wykorzysta w tym wypadku osiągnięcia Gossa w walce z terroryzmem. Obserwatorzy sceny politycznej powiedzą, że Michael stara się zyskać zaufanie wyborców, mianując kogoś, kto w tych trudnych czasach wykazuje twardą postawę wobec terrorystów.

Justine stała, nie spuszczać oka z Susan.

– Pozostała część planu jest zbyt przerażająca, żebym mogła ci ją już dziś zdradzić.

Wystarczy powiedzieć, że ta choroba, syndrom Pinokia, jest jego częścią. Umrze bardzo wielu ludzi, jeśli Michael Campbell zostanie prezydentem. Susan rozmyślała, patrząc gdzieś przed siebie.

– Więc dlatego mnie uprowadziłaś – domyśliła się.

Justine przytaknęła.

– Michael Campbell słynie z tego, że bardzo kocha swoją żonę. Porywacze Susan Campbell poprosili go, by zrobił prostą rzecz i odzyskał żonę – czyli odrzucił prezydencką nominację. Każdy kochający mąż by się zgodził. Prezydent zawsze może znaleźć na to miejsce kogoś innego, to nie jest stanowisko o pierwszorzędym znaczeniu. Ale Michael nie może odmówić. On i Goss są zbyt głęboko w to zaangażowani, by teraz się wycofać. Wszystko opiera się na wiceprezydenturze Michaela. Pamiętaj też o jednym – niewykluczone, że w ciągu dwóch albo sześciu lat zmienią się okoliczności. Może dojść do wojny, kryzysu, czegokolwiek. Nie wiadomo, kto zasiądzie w Białym Domu. Teraz jest odpowiedni moment. Michael musi zostać wiceprezydentem. Dlatego Everhardt, Palleschi i Stillman zostali usunięci. I dlatego Michael nie zgodzi się na wycofanie swej kandydatury.

Susan patrzyła na Justine.



– Czy umrę?  
Justine potrząsnęła głową.  
– Nie. Jeśli zdołam temu zapobiec. Ale kiedy Michael odrzuci moje żądanie, będzie zakładał, że musisz umrzeć – podkreśliła słowo „zakładał”. – To część mojego planu.  
Susan oparła się o poduszki jak ciężko chora pacjentka w szpitalu. Rewelacje Justine przypominały bolesne ciosy.  
– Skąd to wszystko wiesz? – spytała cicho i niepewnie.  
– Wiem, bo mam oczy, które to dostrzegają. – Justine się uśmiechnęła. – Słyszałaś kiedyś historyjkę o nowych szatach cesarza?  
Susan skinęła głową.  
– Tak. Cesarz zostaje namówiony przez oszustów do zakupu szat, rzekomo wyjątkowo pięknych. Ale szaty nie istnieją. Cesarz jest w rzeczywistości nagi.  
I gdy cesarz pokazuje z dumą nowy strój dworzanom i ludowi, wszyscy pochylają głowy w hołdzie dla jego pięknego ubioru – kontynuowała Justine. – Z wyjątkiem małego dziecka, które wskazuje na władcę i woła: „Cesarz jest nagi! Nie ma na sobie w ogóle ubrania!”. Tak brzmi ta opowieść. Susan przytaknęła.  
– Dziecko mówi głośno prawdę, ponieważ jest naiwne, jest niewinne. Wszystkimi wokół rządzi ich własny interes albo lęk, albo jedno i drugie. Dlatego ten krzyk dziecka jest tak demaskatorski.  
Spojrzała na Susan.  
– Ale to tylko bajka, Susan. W rzeczywistym świecie dziecko zostałoby czym prędzej uciszone przez matkę. Nikt z tłumu nie zwróciłby uwagi na cienki głosik. A dworzanie byliby za daleko, by go usłyszeć. Wszyscy dalej podziwialiby nowe szaty cesarza. Tak zakończyłaby się ta historia.  
Susan słuchała z uwagą. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od Justine.  
– Jestem dzieckiem, które świat zignoruje – mówiła Justine. – Kiedy umrę, mój głos zamilknie. Nikt się nie dowie prawdy o Michaelu Campbellu.  
– Umrzesz? – spytała z niedowierzaniem Susan.  
– O tak. – Justine się uśmiechnęła. – Nie wyjdę z tego żywa. Michael na to nie pozwoli. Ani Goss. Wkrótce mnie znajdą. W tym scenariuszu przypada mi rola Lee Harveya Oswalda, Susan. Jack Ruby mnie odszuka i nikt go nie powstrzyma. Będę martwa, mój głos zamilknie.  
– Skąd ta pewność? – zdziwiła się Susan.  
Justine nie odpowiedziała.  
Susan zaczęła z wolna pojmować.  
– A ja? – spytała.  
– Ty będziesz tą, która go powstrzyma – odparła Susan. – Nie zdołają zagłuszyć twego głosu. Dlatego tu jesteś.

## Rozdział 62

Alexandria, Wirginia  
12 kwietnia

Joseph Kraig siedział w swoim poobijanym fotelu w salonie, mając przed sobą raport z tego dnia, oznaczony klauzulą tajności. Poszukiwania Susan Campbell nie były owocne. Eksperci przeanalizowali taśmę z żądaniem porywaczy, lecz niewiele to dało. Hałas kiepskiego magnetofonu zagłuszał dźwięki słyszane w tle. Głos rzeczniczki, kimkolwiek była, został zarejestrowany. Nie istniało jednak archiwum z próbkami głosów, jak kartoteka z odciskami palców, na podstawie których można było zidentyfikować miliony ludzi.

Aresztowano tysiące znanych i domniemych terrorystów w związku ze zniknięciem Susan. Wielu z nich zostało poddanych bezwzględniemu traktowaniu ze strony agentów federalnych i stanowych, pragnących odnaleźć Susan za wszelką cenę. Interpol, we współpracy ze służbami wywiadowczymi krajów zachodnich, też dokonał licznych aresztowań, zwłaszcza w świecie arabskim, i zabrał się do tych wszystkich, co już siedzieli w areszcie, posługując się metodami, których nie śmieli zastosować Amerykanie.

Rezultaty były zerowe. Nie znaleziono nikogo, kto mógłby przy porwaniu Susan kierować się motywami politycznymi. Miejsce jej pobytu pozostało tajemnicą.

Naród czekał na odpowiedź, jakiej Michael Campbell miał udzielić porywaczom. Jak dotąd sprawa Susan nie zaszkodziła prezydentowi w sondażach. Ale gdyby Michael miał się wycofać, poparcie dla prezydenta znów by zapewne spadło, a siły Colina Gossa przypuściłyby nowy atak na Białą Dom.

W mediach roіło się od gadających głów, które debatowały nad zagadnieniem, starając się przewidzieć jego koniec. Postać Michaela albo jego żony widniała na ekranie każdego telewizora w Ameryce. Lecz tylko Joe Kraig wiedział, że Michael ukrywa się w swojej sypialni w domu Judda Campbella nad zatoką Chesapeake, odmawiając przyjęcia środków uspokajających i spoglądając nieprzytomnie przez okno. Kraig odwiedzał go niemal codziennie, ale z przyjacielem praktycznie nie można było się porozumieć. Strata Susan dokonała w jego psychice spustoszeń.

Sam Kraig miał coraz więcej kłopotów ze spaniem. Zżerany niepokojem o Susan, nie mógł zasnąć do wczesnych godzin rannych. W poprzednim tygodniu specjalnie przesiadywał do drugiej czy trzeciej, żeby się zmęczyć. Niewiele pomogło, ale się nie poddawał. Było to lepsze niż pójście do łóżka o północy i leżenie z otwartymi oczami do piątej albo szóstej.

Była pierwsza trzydzieści w nocy, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi wejściowych. Kraig, poirytowany, przemierzył zamaszystym krokiem salon, wszedł do przedpokoju i otworzył energicznym ruchem drzwi. W ciemności stała Karen Embry. Była ubrana w spódniczkę i bawełnianą bluzkę. Nie miała płaszcz.

– Co tu robisz o tej porze? – spytał Kraig.

– Pomyślałam, że nie śpisz. Chcę pomówić. Rzeczowe podejście reporterki nie uległo zmianie.

– Jesteś trzeźwa? – zainteresował się bezlitośnie.

– Tak, ale już za długo – odparła z uśmiechem.

Kraig potrząsnął głową poirytowany. Jedyne, co mu w tych dniach pozostało, to samotność, i to tylko przez kilka godzin nocnych.

– No dalej – powiedziała zniecierpliwiona. – Jest zimno.

– Dlaczego nie nosisz płaszcz?

– No dalej, Kraig, wpuść mnie, na litość boską.

Kraig odsunął się na bok. Z ulgą wsunęła się czym prędzej do mieszkania, jakby obawiając się, że może jej zamknąć drzwi przed nosem.

Weszła pierwsza do salonu, gdzie stał telewizor nastawiony na CNN, ale ściszony.

Karen wspierała ciężar ciała na jednej nodze, na wpeł obrócona w stronę odbiornika. Wyglądała na osobę zadziwiająco witalną, nawet wysportowaną. Przyniosła ze sobą powiew chłodnego nocnego powietrza. Jej uczesanie prezentowało jak zwykle dziwny nieład – bujne i ładne włosy wymagały grzebienia.

– Co pijesz? – spytał Kraig.

– Bourbona, jeśli masz – odparła.

Nalał jej czystego early timesa, dodał lodu i postawił na niskim stoliczku. Wzięła spory łyk, kiedy on popijał guinnessa.

– Pogniewasz się, jak zapalę? – spytała.

– Dlaczego miałbym się gniewać?

Zapaliła papierosa i położyła przed sobą paczkę z małą zapalniczką. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, spowita kłębam dymu.

– Moi rodzice byli pijakami – wyznała. – Mówiłam ci o tym? Kraig potrząsnął głową.

– Pewnie zapomniałaś o tym wspomnieć. Karen uśmiechnęła się, pociągając ze szklanki.

– Matka była w połowie Chinką, w połowie Niemką. Ojciec w połowie Żydem, w połowie Irlandczykiem. Oboje byli alkoholikami. Ojciec zabił się, jadąc samochodem. Matka wyszła potem za jednego Włocha, sprzedawcę samochodów. Także pijaka. Zapił się na śmierć.

– A twoja matka?

– Zmarła na atak serca – wyjaśniła. – Przed pięćdziesiątką.

– Zastanawiałem się nad twoim pochodzeniem – przyznał Kraig. – Masz egzotyczny wygląd.

Karen zerknęła na niego.

– Przypuszczam, że tak. Zawsze myślałam o sobie jako o mieszańcu.

Teraz, kiedy powiedziała mu o swym pochodzeniu, dostrzegł nieznacznie azjatycki kształt jej oczu, oraz delikatny semicki rys podkreślający jasną irlandzką karnację. To, czego się o niej dowiedział, sprawiło, że wydała mu się jeszcze ładniejsza. Bardziej delikatna.

– Dlaczego tyle pijesz? – spytał.

Wszyscy reporterzy piją – oświadczyła. – Z kilkoma wyjątkami, takimi jak narkomani czy ci, którzy biorą speed. To tak jak alkoholizm u pisarzy. My też jesteśmy swego rodzaju pisarzami. – Skrzywiła się. – Sfrustrowanymi pisarzami...

Wypuściła kłęb dymu. Kraigowi przyszło do głowy, że Karen ma w sobie więcej niepokoju niż on, tyle że kontrolowanego, ukrytego pod zewnętrzną powłoką pozornej pewności siebie. Dlatego trudno było to dojrzeć.

– Czytałam kiedyś pewien artykuł w piśmie medycznym – przypomniała sobie. – Autor dowodził, że być może gen odpowiedzialny za pisanie jest w jakiś sposób związany z genem odpowiedzialnym za skłonność do alkoholu. Nie był genetykiem, nie mógł więc tego udowodnić, ale wydało mi się, że ten wywód nie jest pozbawiony sensu.

Zamieszała bourbona w szklance, patrząc, jak kostki lodu stukają o siebie.

– Pisanie potęguje picie – zauważyła.

– A odwrotnie? – spytał Kraig. Wzruszyła ramionami.

– Może.

Kraig przyglądał jej się w milczeniu, trzymając w dłoni swoją butelkę guinnessa.

– A ty, Kraig? – zwróciła się do niego. – Flirtowałeś kiedykolwiek z wodą?

– Niezupełnie. Był czas, kiedy z jednego martini przed obiadem zrobiły się trzy. Niedługo przed rozwodem. Awantury z żoną zaczęły wymykać się spod kontroli, więc skończyłem z tym.

Karen się uśmiechnęła.

– Jesteś amatorem. Mogę się założyć, że nigdy nie prowadziłeś wozu w stanie wskazującym na spożycie.

Teraz on się uśmiechnął.

– Masz rację.

Dziennikarka się zamyśliła.

– Małe lęki – powiedziała. – Każdy pijak je ma. Zarysowujesz karoserię w samochodzie, zostawiasz włączony piecyk w kuchni na całą noc, zapominasz o zapalonym papierosie w popielniczce... wiem, jak omijać swoje rafy. Jestem bardzo ostrożna. Nigdy się nie zalewam, dopóki nie siedzę bezpiecznie w domu i nie mam na głowie żadnych spraw. Potem przygotowanie do snu. Wchodzę do wanny i wypijam kilka drinków. Wreszcie idę spać. Nie domyślasz się nawet, jak wielu ludzi nie ma o niczym pojęcia. Koledzy, wydawcy gazet...

Myślą, że wypijam jeden kieliszek wina do obiadu i to wszystko. – Skrzywiła się. – Co wiemy o swoich bliźnich?

Kraig przytaknął. Jej słowa uderzyły go swą niepokojącą treścią. Dziennikarka jakby to dostrzegła.

– Te dziewczyny z Bostonu, o których ci opowiadałam – przypomniała. – Wydaje się, że jedna z nich była zamieszana w tę historię i zdołała uciec. Nie wiem dlaczego. Odwiedziłam jej ciotkę – rodzice już nie żyją. Pokazała mi kilka pamiątek po dziewczynie. Pamiątki, zdjęcia, podobne rzeczy.

– Pomogło? – spytał Kraig.

– Niewiele.

Karen zaciągnęła się papierosem, celowo nie wspominając o taśmie, którą skopiowała. Nie bardzo wiedziała, czy powinna powiedzieć o niej Kraigowi.

– A więc? – spytał.

– A więc wydaje mi się, że gdzieś sobie żyje. Chciałabym ją znaleźć. Była tamtej nocy z drugą dziewczyną, Jane Christensen, kiedy Jane dostała narkotyk czy coś innego. Ta dziewczyna, Justine, mogła być świadkiem tego, co się stało.

Kraig przyglądał jej się z uwagą.

– Jeśli cokolwiek się stało.

Karen potrząsnęła głową, uśmiechając się z rezygnacją.

– Myślisz, że jestem stuknięta, co?

Kraig rozsiadł się wygodnie.

– Nie sędzę, że jesteś stuknięta. Sędzę, że jesteś reporterem, który goni za sensacyjną historią. Podświadomie widzisz się w roli laureatki nagrody Pulitzera. Dostrzegasz w tym temat. – Wzruszył ramionami. – Jestem agentem federalnym, który próbuje sprowadzić do domu żonę znanego polityka. To coś zupełnie innego. Inny zakres.

– Prawda to prawda, czyż nie? – zauważyła.

Kraig uniósł butelkę do ust, ale się nie napił.

– Zaczynam się nad tym zastanawiać – wyznał. – Może prawda zależy od tego, kto jej szuka. Albo od tego, dlaczego mu na niej zależy. I komu chce pomóc.

Karen zgasła papierosa. Jego relatywizm ją irytował. Odczuwała pokusę, żeby puścić mu taśmę z młodzieńczym głosem Justine Lawrence i zwrócić jego uwagę. Ale powstrzymała się.

Kraig ją obserwował. Myślał o zapachu nikotyny, o tym, jak musiały przesiąknąć nim jej włosy. Zastanawiał się, jak go usuwa. I czy w ogóle próbuje to zrobić.

– Coś kiedyś się wydarzyło – nie ustępowała. – Rozmówczyni Susan powiedziała to wyraźnie. Gdyby nie ten głos, nie szukałabym ognia.

– Twoje prawo – oświadczył Kraig. – Może być z tego niezła historia.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie, Kraig.

W jej zielonych oczach błysnął gniew. Kraig pomyślał o domieszce irlandzkiej krwi w żyłach Karen.

– Przepraszam – powiedział. – Nie jestem sobą.

– W każdym razie to więcej, niż ty masz w tej chwili – oświadczyła, zapalając następnego papierosa. Popatrzyła na niego. – Prawda?

– Może i tak.

– A co masz?

– Nie wolno mi o tym mówić. Roześmiała się cicho.

– Niech ci będzie.

Dopiła bourbona i odstawiła szklanę.

– Lepiej już pójdę.

Domyślał się, że chce jeszcze jednego drinka, ale ma dość jego towarzystwa. Nie mogli się dogadać. Była przebojową, agresywną kobietą, która zrobiłaby wszystko, byle dostać to,

czego chciała. Jej energia męczyła go, przyprawiała o przygnębienie. Ale jednocześnie coś go w niej pociągało.

Wstał i podszedł do niej. Sięgnął po szklankę, jakby chciał jej nalać. Podała mu naczynie, odstawił na stolik, ujął jej dłonie i przyciągnął Karen. Pocałował ją, obejmując i wyczuwając pod cienkim bawełnianym materiałem szczupłość pleców. Wydawała się o wiele mniejsza i delikatniejsza, niż się spodziewał. Smakowały mu jej usta. Woń tytoniu w jej oddechu mieszała się z czymś słodkim. Oplatała go dłońmi w pasie, ale nie przyciągała do siebie.

Nagle poczuł twardość w spodniach. Było za późno, by ukryć to przed nią. Oddech mu przyspieszył.

– Spokojnie – mruknęła, klepiąc go po ramieniu. Było w jej zachowaniu coś delikatnego i niemal współczującego. Kraig dał się temu unieść.

Przyciągnęła jego głowę i pocałowała go, wsuwając mu język w usta. Kraig nie potrafił dłużej zapanować nad sobą. Wziął ją na ręce jak lalkę i zaniósł do sypialni. Ściągnął jej przez głowę bawełnianą bluzeczkę i zdjął spódniczkę. Włosy Karen rozsypały się na jasne ramiona. Pomogła mu, kiedy rozpinał jej stanik, i po chwili zobaczył jej małe piersi, blade, ze słodką aureolą wokół sutków. Pocałował je.

Położyła się na plecach i patrzyła, jak ściąga z niej majteczki. Wyglądała w swej nagości młodzieńczo. Zdjął ubranie, manipulując przy pasku i zamku błyskawicznym, i położył się obok.

Przytulił ją do piersi. Wsparła na nim głowę. Jej udo ocierało się o jego biodro. Znow ją pocałował. Był już wilgotny – kiedy się zorientował, jej dłoń zdążyła to odkryć.

Przebiegł go dreszcz i wszedł w nią, tracąc panowanie nad sobą i poruszając szaleńczo biodrami. Oplotła go nogami i zatopiła mu palce we włosach. Doszedł za szybko, ale wydawało się, że nie ma to dla niej znaczenia.

Kochali się trzykrotnie. Za każdym razem próbował ją wypuścić z objęć, ale nie mógł. Wciąż ją przyciągał, tulił jej głowę do swej piersi, obejmował, ścisnął szczupłe ramiona spragnionymi dłońmi. Nie mógł się nią nasycić.

Doszła za drugim razem, jej zadowolenie wyraziło się cichym i przeciągłym westchnieniem. Za trzecim oboje długo smakowali tę chwilę. Jej palce pieściły go delikatnie, pełne ciekawości, a on pozostał w niej długo, wchodząc w jej ciało wolno i głęboko, aż oboje ogarnął jednocześnie spazm.

Kraig nie czuł takiego zadowolenia od lat. Wchłaniał jej smutek, zapach nikotyny, smak alkoholu na ustach. Był podniecony jej samotnością i jakąś miękką, niewinną nutą, która się za nią kryła. Po raz pierwszy naprawdę mu się podobała.

Spali objęci. Kraig zbudził się z kacem, choć wypił niewiele. Powłókł się nago do łazienki i wpadł na Karen, kiedy wychodziła owinięta ręcznikiem.

– Aspiryna – powiedział tylko.

– W szafce – przypomniała z uśmiechem.

Wziął trzy tabletki i poczłapał z powrotem do łóżka. Położył się z głową na jej piersi. Pachniała teraz świeżością i słodyczą. Musiała wziąć prysznic i umyć włosy, kiedy spał. Przytuliła go do siebie, masując miękkimi palcami pulsujące skronie.

Pozwolił sobie na ten komfort i nie patrzył na zegar. Wiedział, że jest wcześnie. Zapowiadał się długi dzień, a on czuł, że będzie zmęczony. Ale warto było poświęcić tę noc. Karen Embry była na swój sposób piękną kobietą. Mężczyzna mógł się mocno przywiązać do tego delikatnego, subtelnego ciała. Oparł dłoń na jej udzie.

Po chwili wyswobodziła się z jego objęć i poszła zaparzyć kawę. Leżał z zamkniętymi oczami i czekał. Wróciła z sokiem pomarańczowym w małych szklankach i kawą na tacy.

– Z mlekiem? – spytała. Przytaknął, mrużąc cicho. Oczywiście miał wciąż zamknięte.

Zamieszała mu kawę, którą wypił łapczywie, niemal parząc usta. Potem włączyła odruchowo przenośny telewizor, ale zapomniała o dźwięku. Na CNN pokazywano twarz

Susan Campbell, był to ten sam archiwalny materiał, który Kraig widział w ciągu ostatnich kilku dni już setki razy. Światło padające z ekranu raziło go w oczy. Przesunął głowę, by szczupłe ciało Karen go zasłoniło.

Dokończył kawę i oparł się o poduszki. Karen patrzyła na niego. Uśmiechała się, ale wspomnienie nocy już zniknęło z jej oczu.

– Jesteś w niej zakochany, prawda? – spytała. Kraig zmrużył oczy.

– W kim?

– W Susan Campbell.

Opuścił powieki. To nie był czas na takie szczegółowe pytania.

– Co każe ci tak przypuszczać? – spytał.

– Wszystko.

– Ostatnia noc? – upewnił się.

– Ostatnia noc także. Ale w ogóle wszystko.

Westchnął. Kobiety. Ich wewnętrzny radar przewyższał wszystko, czym w swym arsenale kiedykolwiek dysponował mężczyzna. Miała rację. Ale nie zamierzał tego przyznawać.

– To przyjaciółka – powiedział.

– Hm – mruknęła Karen. Położyła się obok niego i delikatnie zamknęła mu powieki dłonią, jakby chcąc go osłonić zarówno przed nieprzyjemnymi prawdami, jak i własną dociekliwością.

Leżał w milczeniu, wciąż trzymając dłoń na jej nodze. Choć czuł się teraz osłabiony, jej dotyk budził w nim podniecenie.

Nagle dostrzegł w niej napięcie.

– Chwilę – powiedziała, dostrzegając coś na ekranie telewizora i szukając pilota. Zerwała się z łóżka, niczym nagi Piotruś Pan pozbawiony swego cienia, i włączyła głos.

Na tle twarzy Michaela Cambella pokazał się napis „Wydanie specjalne”. Spiker mówił: „Rzecznik rodziny złożył przed piętnastoma minutami oświadczenie. Senator Campbell wypowie się w publicznym wystąpieniu o dziewiątej rano. Niemal od czterech dni opinia publiczna i polityczni towarzysze Cambella oczekują jego odpowiedzi na żądanie porywaczy Susan Campbell. Był to nerwowy czas...”.

Karen wkładała ubranie.

– Muszę lecieć.

Kraig wyskoczył z łóżka, znów czując pulsowanie w głowie.

– Chryste – powiedział. – Dlaczego do mnie nie zadzwonili?

– Pewnie ogłosili to dopiero teraz – uspokoiła go. – Nie martw się, zdążysz.

Ich czułość zniknęła. Zwracała się do niego jak kolega po fachu. Zdażyła już wciągnąć bluzkę przez głowę. Wzrok miała twardy, poruszała się szybko. Kraig usiadł, przyglądając się, jak pospiesznie czesze włosy.

– Jezu, ale wyglądam – rzuciła.

Kraig się uśmiechnął. Była wciąż na bosaka, ładne łydki, które pieścił tej nocy, zniknęły pod spódniczką. Miała niezwykłą zdolność przekształcania się ze zwykłej dziewczyny w twardą i bezwzględną reporterkę.

– Zaczekaj – powiedział Kraig. Wstał i objął ją, wdychając woń mokrych włosów. Przez mgnienie oka czuł, jak jej dłonie go pieszczą, niemal tak samo jak minionej nocy, ale nie do końca.

Po chwili ruszyła do wyjścia.

– Weź prysznic! – zawołała przez ramię. – Poczujesz się lepiej. Dzięki za łóżko.

Chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką. Już jej nie było.

W samochodzie Karen zapaliła papierosa i włączyła radio. Historia z Campbellem była wszędzie wiadomością numer jeden. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że od chwili gdy wysunięto żądanie, żyła w stanie napięcia, zastanawiając się, jaka będzie odpowiedź

Campbella. W ostatnich tygodniach doszła do wniosku, że nikt go naprawdę nie zna, że jego osobowość to tajemnica, na której opiera się cała sytuacja polityczna. Wiedziała, że jest odważnym człowiekiem. Wiedział to każdy, kto oglądał zdjęcia z olimpiady. Ale czy był dobrym człowiekiem? Mało prawdopodobne. Spotkanie z Susan Campbell dowiodło bez wątpienia jej wrodzonej dobroci, ale nie przekonało Karen co do jej męża. Głos rozmówczyni w telefonie Susan tylko wzmógł podejrzenia Karen. Podróż do Bostonu nie rozwiązała ich w najmniejszym stopniu.

Jako reporterka Karen już dawno stłumiła instynkt, który kazał jej ufać ludziom. Wiara w najgorsze z ich strony rzadko oznaczała błąd. Była to rozsądna postawa.

Tego ranka, przed prysznicem, przyglądała się śpiącemu Joemu Kraigowi. Podobało jej się, jak się z nią kochał. Namiętny mężczyzna, zmęczony bezustannym panowaniem nad sobą, pragnący dawać, pragnący ufać. Mając go w sobie, czuła się mniej samotna. To skruszyło jej mur obronny.

Niewiele brakowało, by powiedziała mu o taśmie z dziewczęcego przyjęcia u Justine Lawrence. Gdyby jej wysłuchał, zrozumiałby od razu, że głos w telefonie Susan Campbell stanowił ogniwo łączące terażniejszość z przeszłością, którą próbował zignorować. Zrozumiałby również, że ten sam głos przekazał żądanie, by Michael Campbell odrzucił nominację prezydencką. Nie mógłby już dłużej lekceważyć zasadności argumentów Karen.

Potem pojawiła się informacja o rychłym wystąpieniu Campbella. Karen od razu odsunęła się od Kraiga, chcąc się przekonać, jaka będzie odpowiedź Campbella, nim sama podzieli się z Kraigiem swoją wiedzą. Było to tylko przeczucie – być może irracjonalna obawa – ale postrzegala Kraiga jako część większego kręgu, obejmującego Campbella, prezydenta, Colina Gossa i tych wszystkich, którzy żyli z zabiegania o przychylną opinię publiczną, a nie mówili jej całej prawdy. Tych wszystkich, którzy walczyli o władzę i wykorzystywali ją, posługując się tylko prawdami dla siebie wygodnymi.

Po raz pierwszy przyszło Karen do głowy, że jeśli to Justine Lawrence przetrzymuje Susan Campbell i jeśli władze się o tym dowiedzą, rezultaty mogą być katastrofalne. Dla Justine bez wątpienia. Być może dla Susan. Dla kraju...

Karen wiedziała, że są w historii momenty, kiedy ci, którzy wiedzą za dużo, nie żyją dostatecznie długo, by podzielić się z kimkolwiek swą wiedzą. Kiedy prawda zostaje pogrzebana pod pięścią władzy i często nie wychodzi na jaw.

Z tą myślą odjechała spod domu Kraiga, człowieka, który uczynił ją minionej nocy szczęśliwą.

To nie był czas na zaufanie.

## Rozdział 63

Waszyngton

13 kwietnia

Michael Campbell złożył oświadczenie w bezpośredniej transmisji ze swego biura senackiego. Wszystkie stacje przerwały aktualny program, by nadać jego przemówienie w ramach wiadomości specjalnych. Ludzie w całym kraju porzucali swoje zajęcia i skupiali się przy odbiornikach samochodowych, telewizorach, radiach. Wystąpienie nadawano przez głośniki w sklepach, salonach elektronicznych, a nawet pasażach centrów handlowych.

Michael Campbell miał ściągniętą twarz, wyraźnie stracił na wadze. Ale jego wzrok był przenikliwy, a głos mocny.

Po krótkim wstępie, w którym nawiązał do porwania żony i żądania przedstawionego przez porywaczy, zaczął opisywać rolę, jaką Susan odgrywała w jego życiu.

– Poznałem Susan Bellinger, przygotowując się do drugiej operacji kręgosłupa – mówił. – Byłem na trzecim roku w Harvardzie, Susan dopiero zaczynała studia na Uniwersytecie Smitha. Przedstawiła mi ją przyjaciółka mojego współlokatora. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Dzisiaj, po trzynastu latach małżeństwa, nadal jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

Wzruszenie kazało mu przerwać.

– Już dawno zrezygnowałem z wyrażania słowami tego, co czuję do Susan – powiedział po chwili. – Kiedy kocha się kogoś, ten ktoś staje się częścią nas samych. Nie można cofnąć się i spojrzeć na niego z boku, jak na kogoś z zewnątrz. Wiem tylko, że Susan jest najśłodszą, najmiłą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Jest również ekscentryczna, zaskakująca, zabawna i niezwykle wrażliwa.

Przez trzynaście lat niczego nie pragnąłem goręcej, niż zestarzeć się przy niej i mieć z nią dzieci. Chcę żyć tylko z nią. Wziął głęboki oddech.

– Doświadczyliśmy ostatnimi laty w tym kraju więcej terroru, niż jakikolwiek naród mógłby znieść – mówił dalej. – Widzieliśmy, jak zagrożone są nadzieje nasze i naszych dziećmi. Patrzyliśmy, jak zaatakowane zostają podstawowe instytucje życia społecznego. Widzieliśmy, jak przeprowadza się zamach na świat, który nasze społeczeństwo tworzyło przez dwieście lat. A teraz, za sprawą sytuacji, w jakiej znalazłem się ja i Susan, widzimy, jak zakładnikiem stał się sam styl naszego życia.

W oczach Michaela wezbrały łzy. Zapanował nad nimi z widocznym wysiłkiem.

– Przez cztery ostatnie dni pytałem rodzinę, przyjaciół, kolegów, a ponad wszystko mego Boga, co powinienem uczynić w tych okolicznościach. Niewątpliwie jest to najtrudniejsza decyzja, przed jaką stoję w życiu. Z radością poświęciłbym samego siebie, by zwrócić Susan jej rodzinie. Jest rzeczą oczywistą, że już dziś zakończyłbym karierę polityczną i spędził resztę życia jako zwyczajny obywatel, gdybym tylko mógł ją odzyskać. Lecz decyzja, przed którą stoję, nie jest osobista. Zależy od niej dobro narodu. Nie mogę dokonać wyboru, który wydaje mi się naturalny, jeśli naraża na niebezpieczeństwo mój kraj. A w dzisiejszym świecie, pełnym przemocy i nieobliczalnym, mój kraj z pewnością jest zagrożony. Uważam za niezwykle ważne, by każdy Amerykanin zrobił wszystko, co w jego mocy, i stanął na straży wielkiego eksperymentu wolności, który zapoczątkowali Ojcowie Założyciele i który wszyscy razem staramy się kontynuować.

Michael przerwał i przełknął ślinę. Zdawało się, że nie poradzi sobie z dławieniem w gardle. Nie oderwał jednak wzroku od obiektywu kamery.

– Jeśli nauczyliśmy się czegoś dzięki wydarzeniom politycznym w ciągu ostatnich czterdziestu lat, to tego, że nie wolno negocjować z terrorystami – ciągnął. – Terroryzm jest zdolny zniszczyć każdą drogą naszym sercom swobodę, jeśli pozwolimy mu na to. Nasze wolne społeczeństwo jest tylko tak silne, jak silna jest wola każdego Amerykanina, która mu nakazuje go bronić. Co za tym idzie, podjąłem trudną, ale konieczną decyzję. Nie ulegnę żądaniu porwaczy mojej żony i nie wycofam swej kandydatury na stanowisko wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeśli Senat zatwierdzi moją nominację, z radością przyłączę się do prezydenta w wysiłkach, by nasz naród nadal rozwijał się i prosperował jako symbol wolności i sprawiedliwości w tym nowym wieku.

Transmisja trwała jeszcze przez trzy minuty, ale gości zostały rzucone. Reporterzy ruszyli tłumnie, by jak najszybciej przekazać wiadomość do wczesnego wydania gazet. Komentatorzy stacji publicznych i kablowych wdali się w dyskusję na temat przemówienia Michaela i jej reperkusji, nie tylko dla niego samego i jego żony, ale dla przyszłości Ameryki i jej sojuszników.

Justine Lawrence zgasiła mały telewizor w pokoju Susan i wyjęła z gniazdka antenę, którą przyniosła, żeby podłączyć na czas transmisji odbiornik do kabla. Susan przyglądała jej się w milczeniu, siedząc na łóżku.



Justine przed wyjściem odwróciła się do Susan.  
– Tak jak ci mówiłam – przypomniawszy.  
Susan milczała, wpatrując się w ciemny ekran.  
– Nagrałam to – dorzuciła Justine. – Kasetę jest wciąż w magnetowidzie. Obejrzyj sobie jeszcze raz, jeśli chcesz. – A po chwili zastanowienia dodała: – Obserwuj jego oczy.  
Susan nadal siedziała bez słowa.  
– Przykro mi – wyznała Justine.  
Potem wyszła z pokoju.  
Susan odprowadziła ją wzrokiem. Na jej twarzy malowała się rozpaczliwa tęsknota, jakby Justine była jedyną przyjaciółką, jaka jej pozostała w mrocznym i obojętnym świecie. Ale milczała.  
Minęła długa chwila, nim zdecydowała się przewinąć taśmę i jeszcze raz obejrzeć wystąpienie Michaela.  
Przez cały ten czas rozmyślała.

## Rozdział 64

Waszyngton  
15 kwietnia

Śmierć albo życie.

Istnieją tylko dwie możliwości, doszła do wniosku Karen. Prawda ta stosuje się do każdego człowieka, który doświadczył czegoś straszliwego. Wybiera się albo życie, albo śmierć.

Justine Lawrence żyła. Dowodem na to był głos w telefonie Susan Campbell i na przesłanej mediom taśmie z żądaniem, by Michael Campbell wycofał swą kandydaturę na wiceprezydenta.

Zajmujący się analizą akustyczną technik amator, z którym Karen się skonsultowała, bez trudu znalazł mnóstwo punktów stycznych na oscyloskopie cyfrowym. Głos Justine zmienił się w dużym stopniu przez te wszystkie lata, ale jego zasadniczy profil pozostał ten sam.

Justine nie umarła. Żyła. Ale gdzie i w jaki sposób?

Istniał jeden trop. Justine była młodą dziewczyną, naznaczoną głębokim urazem, bez wątplenia fizycznie i psychicznie zniszczoną, kiedy zaczęła swą podróż w przyszłość. Jeśli przetrwała, to musiało to być naznaczone tym wszystkim, czego doświadczyła. Uraz wyznaczył jej kierunek.

Karen rozmyślała o tym. Jakie życie wybrałaby ofiara gwałtu? Jak poradziłaby sobie z przeszłością?

Opierając się na tym, co wiedziała o Justine, Karen postrzegła ją jako zdolną, odpowiedzialną dziewczynę. Prawda, problemy małżeńskie rodziców nie pozostawały bez wpływu na jej zachowanie we wczesnych latach młodości. Musiała to przeżywać. Ale była typem zwycięzcy, osobą poważną. W normalnej sytuacji ukończyłaby studia i zaczęła karierę zawodową, taką czy inną. Zostałaby prawniczką, nauczycielką, bizneswoman.

Ale los pokrzyżował to wszystko. Justine została ofiarą. Jej życie legło w gruzach. Najlepszym na to dowodem był fakt, że nigdy już nie odwiedziła swoich rodziców. Uraz okazał się zbyt wielki, by mogła wrócić do domu.

Dokąd poszła?

Karen zakładała, że Justine musiała mieć poważne problemy psychiczne, wynikające z jej przeżyć. Bardzo możliwe, że próbowała popełnić samobójstwo, niewykluczone, że wielokrotnie. Bez powodzenia jednak. Żyła obecnie jako jeden z porywaczy Susan Campbell.

Karen uważała, że Justine musiała pozostawić po sobie ślad w jakiejś przychodni zdrowia psychicznego, szpitalu stanowym czy poradni. Jako pacjentka, której się polepszyło, albo jako stała bywalczyni.

Włączyła Internet i zaczęła wyszukiwać przychodnie i szpitale psychiatryczne w Bostonie i na obszarze Nowej Anglii. Potem porzysłała do tych ośrodków faksy i e-maile, dzwoniła też osobiście, przedstawiając się jako dziennikarka, która pracuje nad reportażem o młodocianych uciekinierkach z domu i ich wcześniejszych losach.

Od razu ujawnił się słaby punkt tej metody. Ośrodki zdrowia psychicznego odmówiły ujawnienia danych jakiegokolwiek pacjenta, dawnego czy obecnego. Poufność stanowiła w końcu jedną z zasad ich funkcjonowania.

Karen przemyślała sprawę. Uznała, że próba zdobycia informacji od specjalistów, którzy nie chcieli ich ujawniać, jest stratą czasu i nie przyniesie żadnych rezultatów. Nawet policja natrafiłaby w tym wypadku na mur milczenia.

Ale istniała jeszcze możliwość, że Justine prowadziła niezależne życie dorosłej osoby. Zapewne nie do końca normalne. Życie, w którym musiała stawić czoło surowej rzeczywistości. Aż w końcu porwała Susan Campbell.

Co z tymi brakującymi latami? Dokąd Justine poszła i co robiła?

Połącz elementy, pomyślała Karen.

Należało z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że Justine, przynajmniej przez jakiś czas, działała w placówkach zdrowia psychicznego, jako pracownik opieki społecznej, technik, psycholog albo psychiatra. W końcu najlepszym remedium dla osoby trwale naznaczonej jest niesienie pomocy innym, którzy cierpią. Jeśli Karen nie myliła się co do charakteru i osobowości Justine, znaczyło to, że mogła pozostawić jakiś ślad w ośrodkach zdrowia psychicznego jako terapeutka.

Karen zaryzykowała. Zaczęła pytać w przychodniach i szpitalach nie o byłą pacjentkę, lecz byłą pracownicę. Zatrudnioną w opiece społecznej, wolontariuszkę, technika, nawet salową. Przedstawiała się jako członek rodziny, który pragnie przekazać Justine Lawrence smutną wiadomość o śmierci jej matki. Będąc jedynym dzieckiem, Justine musiała podpisać pewne dokumenty, by umożliwić pochówek, mówiła Karen.

Z początku jej poszukiwania nie przynosiły rezultatu. Potem przyszło jej do głowy, że popełniła błąd, ograniczając się wyłącznie do obszaru Nowej Anglii. Ponieważ Justine odniosła uraz w Bostonie, prawdopodobnie chciałaby uciec od tego miasta możliwie daleko. Późniejsza rehabilitacja po urazie psychicznym przebiegałaby gdzie indziej.

Karen rozszerzyła swe poszukiwania na cały kraj i Kanadę. Pracy było tak dużo, że nie dałaby rady sama, zadzwoniła więc do pewnej firmy, z której usług korzystał już jej wydawca, i poprosiła, by ją wyręczyli.

Przez dwa dni nic się nie działo. Karen skoncentrowała się na innych sprawach. Gdzieś w jej głowie kołatała myśl, że trop, którym podąża, prowadzi donikąd.

Okazało się jednak, że rozumowała prawidłowo.

Firma otrzymała e-mail z pewnej przychodni w Savannah w Georgii. Wiadomość była podpisana przez jej dyrektorkę, psychologa klinicznego Marie Saylor, której się wydawało, że zetknęła się z Justine Lawrence. Karen zadzwoniła do niej w godzinę po nadejściu e-mailu.

– Chyba znam kobietę, której pani szuka – oświadczyła doktor Saylor. – Posługiwała się innym nazwiskiem, ale wiek się zgadzał. Byłam wówczas pracownikiem opieki społecznej w przychodni w Charlestonie.

– Jak się wtedy nazywała?

– Theresa Manuel. Poznałam ją, kiedy miała około osiemnastu lat. Nigdy nie skojarzyłam jej z osobą, której pani szuka, gdyby nie przesłane zdjęcie. Pochodzi co prawda z wcześniejszych lat, ale to na pewno Theresa.

– Znała ją pani jako terapeutkę? – spytała Karen.

– To bardziej skomplikowane. Była pacjentką. Przyszła do nas po próbie samobójczej, na dworcu autobusowym podcięła sobie żyły na nadgarstkach. Poznałam ją w szpitalu. Była ofiarą gwałtu, chyba zbiorowego. Kiedy ją zwolniono, zjawiała się w naszej przychodni. Była straszliwie załamana, miała myśli samobójcze, ale zdołaliśmy podtrzymać ją na duchu, aż jej się polepszyło. Odbyłam z nią mnóstwo sesji, podobnie jak doktor Henley, nasza szefowa.

– Gdzie mogę znaleźć doktor Henley? – spytała Karen.

– Niestety, umarła kilka lat temu. Karen stłumiła westchnienie.

– Co jeszcze może mi pani powiedzieć?

– Theresa – chciałam powiedzieć Justine – była bardzo silną dziewczyną. Przychodziła do siebie stopniowo i powiedziała mi, że chce pracować jako terapeutka. Uzupełniła średnie wykształcenie, kiedy z nami była, i później zrobiła magisterium z psychologii klinicznej. Szło jej doskonale. Inteligentna, oddana powołaniu, wyrozumiała i pełna współczucia dla naszych młodych pacjentek. Byłam z niej dumna. Kiedy wyszłam za mąż i opuściłam przychodnię, żałowałam, że się rozstałyśmy.

– Opuściła pani przychodnię? – spytała Karen.

– Tak. Przenieśliśmy się do Atlanty, potem do Savannah. Mąż jest prawnikiem specjalizującym się w sprawach podatkowych. Zrobiłam potem doktorat z psychologii i pracowałam w innych ośrodkach, dopóki nie przyjąłam obecnego stanowiska.

– Utrzymywała pani kontakt z Justine? – spytała Karen.

Owszem, ale dość luźny. Dzwoniłam do niej kilka razy, żeby się dowiedzieć, co u niej słychać. Potem zamknęli przychodnię z braku funduszy i straciłam kontakt z Theresa, to znaczy Justine. Raz jednak dostałam od niej wiadomość, kilka lat później. W „Newsweeku” ukazał się artykuł o specjalistach z zakresu psychiatrii, zacytowali tam fragment jednej z moich prac i podali, że mieszkam w Savannah. Dostałam jakiś czas potem kartkę od Theresy. Pisała, że czytała artykuł i życzy mi wszystkiego dobrego.

– Skąd przyszła ta kartka? – spytała Susan.

– Nie było adresu zwrotnego. W przeciwnym razie napisałabym do niej. Jak mówiłam, była dla mnie kimś szczególnym.

– I nigdy potem już się z panią nie kontaktowała?

– Nie, nigdy.

– Próbowwała pani kiedykolwiek znaleźć jej adres w wykazie specjalistów od psychiatrii?

– Tak, ale bez powodzenia.

– Kiedy dostała pani od niej tę kartkę?

– Jakies sześć lat temu.

Karen zastanawiała się przez chwilę.

– Nie martwiła się pani, że może podjąć jeszcze jedną próbę samobójczą? – spytała.

– Szczerze mówiąc, to tak. – Kobieta nie kryła troski. – Była dziewczicą w chwili gwałtu, jak mi wyznała. Miała ogromny uraz na punkcie seksu. Przypuszczam, że już nigdy nie nawiązała kontaktów intymnych. Przynajmniej nie wtedy, kiedy ją znałam. Było w niej dużo bezradności, pomimo faktu, że wykazywała ogromną skuteczność jako terapeutka. Tak, to prawda, zawsze martwiłam się o Terry.

– Bardzo chciałabym ją poznać – oświadczyła Karen.

– Wie pani, wydaje mi się, że zachowałam tę kartkę od niej. Mam kilka pudełek po butach, gdzie trzymam stare pocztówki i listy. Nie są uporządkowane, wrzucam tam po prostu wszystko, co ma dla mnie jakieś osobiste znaczenie czy wartość. Może pogrzebię w tych szpargałach dziś wieczorem. Gdy tylko znajdę kartkę, zadzwonię do pani.

– Byłabym ogromnie wdzięczna. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

Karen odłożyła słuchawkę bez większej nadziei, że Marie Saylor jeszcze się do niej odezwie. Ale tego samego wieczoru zadzwoniła.

- Znalazłam kartkę – oznajmiła pani psycholog. – Pamiętam, że zwróciłam wtedy uwagę na pieczętkę, bo martwiłam się o Theresę i zastanawiałam się, dokąd mogła pojechać i co robi.
- I co było na pieczętce? – spytała Karen.
- St. Louis. Pamiętam dokładnie, bo na znaczku widniał ten słynny Łuk w St. Louis.

## Rozdział 65

Arlington, Wirginia  
15 kwietnia

Leslie była w siłowni, gdzie kończyła właśnie wyczerpujący, ponad półgodzinny trening na stairmasterze.

Urządzenie stało w jednym szeregu z dziewięcioma innymi – wszystkie były zajęte przez spocone, zdyszane kobiety, które doprowadzały się niemal do granic wytrzymałości. Leslie była bez wątpienia najatrakcyjniejsza z tej dziesiątki i wiedziała o tym. Długie włosy związała z tyłu w koński ogon. Miała na sobie obcisłe spodenki do jazdy rowerowej, nałożone na trykoty i białe adidasy. Widziała w lustrze umieszczonym na przeciwległej ścianie pożądlive spojrzenia ćwiczących. Jak zwykle, kobiety pożerały ją wzrokiem jeszcze bardziej niż mężczyźni. Była to zazdrość, jak doskonale wiedziała, nie seksualne pożądanie. Przychodziły tu kierowane frustrującym pragnieniem kształtowania swych ciał zgodnie z fantastycznymi wyobrażeniami, a Leslie stanowiła ucieleśnienie tej fantazji.

Bez tchu, złana potem, zeszła z maszyny. Wytarła urządzenie ręcznikiem i ruszyła leniwym krokiem wzdłuż bieżni, ignorując biegaczy, którzy mijali ją w pędzie. Potem poszła do szatni, rozebrała się, owinęła ręcznikiem i wkroczyła do żeńskiej sauny.

Zamierzała jak zwykle zważyć się następnego dnia rano. Gdyby przekroczyła pięćdziesiąt siedem kilogramów, nie wzięłaby do ust niczego prócz sałatki jarzynowej i wróciła do siłowni na kolejny morderczy trening.

Telewizor w saunie nastawiony był na CNN. Wiadomością dnia była informacja, że zmarł sekretarz spraw wewnętrznych, Tom Palleschi. Choć rzecznik rządu zaprzeczał gorąco, by Palleschi padł ofiarą syndromu Pinokia, sondaże wykazały, że niespełna dwadzieścia pięć procent Amerykanów wierzyło w te zapewnienia.

Śmierć Palleschiego rzuciła nowe światło na odmowę Michaela Campbella poddania się żądaniu porywaczy jego żony. Wraz z odejściem Palleschiego Michael stanowił klucz do ustabilizowania administracji – w każdym razie tego, co z niej jeszcze pozostało. Mimo to na nominację Michaela padał cień tragicznych okoliczności. Gdyby został wiceprezydentem, mogłoby to stać się kosztem życia jego żony.

CNN nadawała ten sam fragment archiwalnego nagrania, który pokazywano od samego początku: rozbawiona Susan w programie Oprah Winfrey, która śmieje się głośno z czegoś, co powiedział jej gość. Michaela pokazywano siedzącego za biurkiem senackim, skąd przekazał terrorystom brzemiennej w skutki odpowiedź.

Leslie nie spotkała się przez cały ten czas z Michaelem, nie miała też od niego żadnych wiadomości. Nie czuła się urażona; rozumiała, że jest w okropnej sytuacji, otoczony bez wątpienia ludźmi z różnych służb i wywiadu. Nie mógł zadzwonić, gdyż pewnie ciągle był w jakiś sposób obserwowany.

Leslie żałowała, że nie może go pocieszyć. Nauczyła się w ciągu tych wszystkich lat, że jej ciało przynosi Michaelowi pociechę, ulgę. Często leżała przez długie minuty z jego głową na swoich piersiach, głaszcząc mu w milczeniu włosy. Był jak dziecko, które straciło matkę, a ona ją zastępowała.

W noc poprzedzającą zniknięcie Susan Leslie dzieliła z Michaelem łóżko w hotelu w San Diego. Wcześniej poszła wysłuchać jego wystąpienia na temat ochrony środowiska.

Przyłapała się na tym, że szuka wzrokiem w tłumie podejrzenie wyglądających ludzi. Michael stojący na podwyższeniu sprawiał wrażenie bezbronny. Jak kaczka do odstrzału.

Jednak Leslie, jak wszyscy pozostali, kierowała swój niepokój w niewłaściwą stronę. Okazało się, że to Susan Campbell, nie Michael, jest w niebezpieczeństwie.

Leslie była zaskoczona, kiedy odrzucił żądanie porywaczy. Wiedziała, jak bardzo kocha Susan, jak bardzo ją ceni. Oczekiwała, że wycofa się z wyścigu i ustąpi miejsca innemu frajerowi. Że nie poświęci żony na ołtarzu polityki.

Michael był bardzo oddany Susan. Prawda, wyczuwało się coś odrobinę oficjalnego czy formalnego w tym jego uwielbieniu. Jak gdyby pełnił funkcję wiernego protektora, a nie był kimś, naprawdę jej bliskim. Kiedy o niej mówił, nigdy nie traktował słabostek czy dziwactw żony z typowo męzowską, dobrotliwą ironią. Nigdy jej nie krytykował. Niektórzy uznaliby taką postawę za dowód braku prawdziwego uczucia.

Leslie przypisywała to seksualnemu niedosytowi, jaki Michael odczuwał w związku z Susan. Jego intensywne, erotyczne pragnienie ciała Leslie nie pozostawiało wątpliwości, że nie osiąga zadowolenia w małżeńskim łóżku. Nie było to nic niezwykłego, jeśli chodzi o przeciętnego mężczyznę z Waszyngtonu – czy jakiegokolwiek innego. Ale u Michaela ten brak satysfakcji wydawał się głębszy, boleśniejszy.

Czasem, kiedy zjawiał się u niej, miał w oczach tak niezaspokojony głód, że robiło jej się go żal i od razu szli do łóżka. Kochał się z szaloną energią i czasem dochodził zbyt szybko. Nie przejmowała się tym. Lubiła być pożądana, cieszyła się, że jest tą, która daje mu szczęście i zadowolenie.

Innym razem, kiedy nie był tak wygłodzony, uwzględniał z ogromną uwagą potrzeby Leslie. Dotykał wszystkich sekretnych miejsc, poznając po rytmie westchnień, jak bardzo się podnieca. Wchodził w nią łagodnie i poruszał się wolno, aż jej łono dosłownie stawało w płomieniach. Przy takich okazjach nierzadko miewała trzy albo cztery orgazmy.

Był pod każdym względem wspaniałym kochankiem. Czułym, uważnym, cierpliwym. Nie jak większość mężczyzn, których znała, a którzy zaspokajali się tak apodyktycznie, jakby jedli albo oddawali mocz. Michael nigdy nie zapominał o tym, że jest z kobietą, która też ma potrzeby.

Jedynym dziwnym i niezwykłym epizodem w ich erotycznym związku była historia z przepaską na oczy.

Spotykali się już od dwóch miesięcy, kiedy po raz pierwszy to zaproponował. Nie miała oporów przed eksperymentami. Sama robiła w swoim czasie dziwne rzeczy. Była nawet zaskoczona, że to, co zaproponował, okazało się dość niewinne. Chciał po prostu, by zawiązała mu oczy i schowała się gdzieś naga, podczas gdy on będzie jej szukał.

„Jak wyda ci się to za głupie, damy sobie spokój”, powiedział. Wyjaśnił przy tym, że ma to związek z pewnym zdarzeniem z czasów dzieciństwa. Bawił się w to z kilkoma znajomymi dziewczynkami z sąsiedztwa, kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat, i pozostawiło to na nim niezatarty ślad.

Leslie się zgodziła. Zawiązała mu opaskę na oczach i schowała się w narożniku pokoju, obserwując, jak obchodzi wolno pomieszczenie, starając się ją znaleźć. Zawsze była naga; on z początku nie zdejmował ubrania, ale z czasem zaczął przystępować do gry tak samo nagi jak ona. Stwierdziła, że podnieca ją jego widok, gdy posuwał się wolno w jej stronę z naprężonym członkiem, szukając jej po omacku w absolutnej ciszy wyciągniętymi przed siebie rękoma. Zdarzało się nieraz, że nim zdążył jej naprawdę dotknąć, była już tak pobudzona i tak rozgrzana, że chciała jak najszybciej znaleźć się z nim w łóżku.

W końcu ta gra stała się ich ulubionym preludium, zwłaszcza gdy nie musieli się spieszyć. Michael jako kochanek był zdecydowanie bardziej namiętny, kiedy się w to bawili. Leslie nie miała do niego pretensji o to małe, niewinne dziwactwo.

Teraz tęskniła za nim. Jej ciało go potrzebowało. Nie kochała się od ostatniego razu. Na swój własny sposób ona także czekała w napięciu.

Leslie wiedziała, że jego decyzja, by nie wyrzekać się stanowiska wiceprezydenta w zamian za powrót żony, kosztowała go naprawdę dużo. Szczerze mówiąc, nie sądziła, by był do tego zdolny. Czy prezydent wpłynął na niego? Może ojciec? Czy też podjął decyzję wyłącznie na podstawie własnych przekonań?

Wzruszyła ramionami, ściślej owijając piersi wilgotnym ręcznikiem. Michael musiał mieć powód.

Michael nigdy nie robił niczego bez powodu.

## Rozdział 66

Justine Lawrence porzuciła przybrane miano Theresy Manuel, kiedy pracowała jako terapeutka w przychodni psychiatrycznej w St. Louis. Występowała jako Susan Laurents.

Spędziła tam trzy lata, dała się poznać jako profesjonalistka i zapisała się w pamięci pacjentek i kolegów jako ktoś z głębokim urazem, smutny, z pewnością wybitnie inteligentny. Ci, którzy ją znali, twierdzili teraz, że była przedwcześnie postarzałą młodą kobietą, wyglądającą na dziesięć lat więcej, niż faktycznie miała. Jej twarz była poznaczona zmarszczkami, skóra ziemista. Blizny na przegubach dłoni dowodziły klęski życia emocjonalnego. Miała jednak w sobie jakąś melancholijną siłę, robiącą ogromne wrażenie na tych wszystkich, którzy spotykali ją na swej drodze.

Podobnie było w Meriden w Connecticut, gdzie spędziła dwa lata w ośrodku terapeutycznym. Jej pacjenci wyrażali się o niej w superlatywach. Koledzy po fachu mieli trudności z bliższym poznaniem, ale bez wątpienia uważali ją za eksperta, oddanego swej pracy. Gdyby nie ten smutek rzucający się w oczy na każdym kroku, byłaby bez wątpienia kandydatem na stanowisko dyrektora ośrodka. Instynktownie rozumiała mechanizmy rządzące poradnią zdrowia psychicznego, znała się nawet na finansach.

Podawała, że się nazywa Susan Lawrence.

Karen zdążyła już zobaczyć kilka podpisów Justine na dokumentach pacjentów. Był on szczególnie, słowa bieżyły stromo w dół, podczas gdy litery wyginały się do tyłu, jakby opierając się temu kierunkowi. Choć nazwisko było fałszywe, podpis miał w sobie mnóstwo prawdy.

Karen dostrzegła znaczenie, jakie Justine przywiązywała do wyboru imienia – Susan. Już wtedy, w tamtych latach, przyświecała jej sekretna misja.

Nikt, w żadnej przychodni, gdzie pracowała, nigdy nie nawiązał z nią kontaktów na płaszczyźnie prywatnej. Nikt nie widział jej na randce z mężczyzną. Kilku z jej współpracowników sugerowało, że może mieć skłonności lesbijskie. Inni byli przekonani, że żyje w celibacie. „Jakakolwiek szansa na szczęśliwy związek została pogrzebana dawno temu – powiedział jeden z nich. – Nie sądzę, by miała życie intymne. Była na to zbyt nieszczęśliwa. A jednak, w jakiś dziwny sposób, właśnie dzięki temu zajmowała się pacjentami o wiele lepiej niż my wszyscy. Uwielbiali ją”.

Dyrektor przychodni w Meriden miał zdjęcie Justine wykonane polaroidem, do jej identyfikatora. Wyglądała na nim jak kobieta około czterdziestki, o prostych kasztanowych włosach i przedwcześnie pomarszczonej skórze. Spojrzenie jej było głębokie, nieodgadnione, pełne udręki jak u każdego pacjenta z zaburzeniami psychicznymi. Karen potrząsnęła z niedowierzaniem głową, uświadamiając sobie, że zdjęcie to zostało zrobione, kiedy Justine miała niespełna dwadzieścia pięć lat.

Przed pięciu laty, po dwuletnim pobycie w Meriden, Justine zwolniła się i zniknęła. Karen nie mogła znaleźć jakiegokolwiek późniejszego śladu kobiety.

Przez dwa dni nie wiedziała, co robić. Trop, którym podążała, był gorący. Nagle się urwał. Wszystko wskazywało na to, że Justine Lawrence porzuciła psychiatrię. Dlaczego? Dokąd odeszła?

Czy zmęczyła się biurokracją w opiece zdrowotnej i firmami ubezpieczeniowymi z ich odwieczną alergią na pacjentów z zaburzeniami umysłowymi? Czy po prostu doszła do wniosku, że praca terapeuty to nie dla niej? Czy też stało się coś innego, co zmieniło bieg jej życia?

Karen miotła się, odczuwając brak pomysłów. Siedziała w swoim mieszkaniu, oglądała wiadomości, dzwoniła do różnych informatorów, ale nie liczyła na wiele.

Wtedy przypomniała sobie, że jej arsenał faktów nie jest taki pusty, jak się wydaje.

Nawet jeśli nie znała wszystkich etapów podróży Justine Lawrence, to jednak wiedziała, jaki był jej koniec. Justine dzwoniła do Susan Campbell w Waszyngtonie, być może wiele razy. Potem sama Justine – albo ludzie, z którymi współdziałała – porwali Susan. To oznaczało, że ostatnim przystankiem na jej trasie był właśnie Waszyngton.

Niestety, wysiłki Karen i zatrudnionej przez nią firmy nie ujawniły najmniejszych śladów Justine czy kogokolwiek do niej podobnego, kto pracowałby w ośrodkach psychiatrycznych na obszarze Baltimore-Waszyngton.

Karen przyszło do głowy coś jeszcze. Cała historia Justine Lawrence i jej odyseja zaczęły się od Michaela Campbella. A u zarania tej podróży, jeśli wierzyć Pat Broderick, obecny był Colin Goss.

Połącz elementy.

Główna siedziba The Goss Organization mieściła się w Atlancie. Jeśli Justine przerwała swą karierę zawodową, to być może po to, by przenieść się właśnie tam. Bez wątplenia przychodziły jej do głowy różne pomysły dotyczące Colina Gossa, pomysły, które miały nabrać konkretnego kształtu. Fakty, które chciała sprawdzić. Dowody, które musiała mieć w rękach, nim nadszedł kolejny etap w jej życiu, prowadzący do porwania Susan Campbell.

Karen zaczęła od rzeczy oczywistej. Udając jakiegoś przezornego pracodawcę, przesłała do firmy Gossa rutynowy kwestionariusz dotyczący osoby Justine Lawrence, ewentualnie Susan Lawrence. Dołączyła odbitkę zdjęcia z Meriden. Potem zadzwoniła do Atlanty z prośbą o przyspieszenie procedury. Uczynny dyrektor personalny poinformował ją, że nikt o tym nazwisku i wyglądzie nigdy nie pracował w firmie.

Karen wróciła do punktu wyjścia.

Ale czy rzeczywiście?

Niewykluczone, że Justine faktycznie nie pracowała dla The Goss Organization, ale wniknęła do firmy w jakiś inny sposób.

Może zaprzyjaźniła się z kimś, kto był tam zatrudniony. Uwiodła jakiegoś pracownika albo kogoś z najbliższego otoczenia Gossa. Albo skontaktowała się z którymś z korporacyjnych wrogów Gossa i zawarła z nim jakiś układ.

Możliwości były niezliczone. Karen potrzebowała człowieka, który przebywałby na tyle blisko Gossa, by orientować się w tych sprawach, czy też na tyle blisko, by wiedzieć, kogo spytać.

Leżąc w wannie z papierosem, który dopalał się w popielniczce, Karen uświadomiła sobie, że zna już takiego człowieka.

Zgasiła niedopałek, wyskoczyła z wanny i ruszyła na poszukiwanie numeru telefonicznego Pat Broderick.

## Rozdział 67

Atlanta

Doktor Richard Easter, niegdyś absolwent Harvardu i Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, posiadacz specjalizacji z interny i doktoratu z farmakologii z wynikiem summa cum laude uniwersytetu w Berkeley, sunął jakby podwodnym tunelem – tak mu się przynajmniej zdawało – ku zamkniętym drzwiom.

Wiedział, że nie będą zamknięte. Ochrona w głównej siedzibie firmy była tak ścisła, że wydawało się nie do pomyślenia, by jakiś intruz dotarł do tego apartamentu. On sam mógł tu przebywać ze względu na przysługujące mu uprawnienia. Strażnicy siedzący przy monitorach nawet nie zwróciliby na niego uwagi, tak często przechodził tędy o każdej porze.

Wszedł do środka i stanął, oceniając ciemność, która tu panowała. Czuł pod skórą pulsujące fale słabości i niepewności. Musiał bezustannie powtarzać sobie: jestem tutaj. To dzieje się teraz. To ja. Tak bardzo stał się uzależniony od leków, że właściwa percepcja nie była dla niego już czymś naturalnym. Rzeczy, które działy się teraz, mogły równie dobrze rozgrywać się dawno temu. W końcu czy nie wyrzekł się wtedy własnej duszy? I czy tamten kompromis nie wywołał całej lawiny kompromisów? Bezustanne, niekończące się przekleństwo...

Ale teraz zamierzał z tym skończyć. Ten wieczór stanowił pierwszy etap. Drugim była ta reporterka.

Nie włączył światła, choć nie musiał się niczego obawiać. Nie zainstalowano tu żadnej kamery, ponieważ był to pokój, w którym Goss uprawiał swoje gry z dziewczętami i kobietami.

Doktor Easter włożył specjalnie zaprojektowaną maskę i lateksowe rękawiczki. Jego ruchy były powolne, przesadnie ostrożne, jak u pijaka, który pragnie uchodzić za trzeźwego. Oddychał szybko przez nos, co stało się jego nawykiem dopiero niedawno.

Ruszył przez ciemność w stronę niskiej komody. Wyjął małą latarkę.

Otworzył ostrożnie komodę. Zawiasy nie wydały żadnego dźwięku. Wewnątrz, w równych rzędach, stały butelki; na małych zakrętkach widniała uśmiechnięta twarz wiejskiej dziewczyny z Toskanii. Obrazek był toporny, ale w tym obliczu było coś świeżego i młodzieńczego, coś z niewinności i odrodzenia.

Wziął do ręki butelkę z trzeciego rzędu, wyjął ją ostrożnie i postawił na blacie komody. Wtedy uświadomił sobie, że nie uda mu się zachować odpowiedniej równowagi w tej pozycji. Usiadł plecami do ściany na podłodze i umieścił butelkę między nogami.

Wziął głęboki oddech i wstrzymał go.

Zdjął plastikową osłonę ze strzykawki i szybko, przypominając sobie czasy, gdy był internistą i dawał pospieszne zastrzyki przestraszonym dzieciom, wepchnął igłę przez kapsel butelki. Metal był miękki; igła weszła gładko.

Wepchnął ją głębiej, obserwując, jak wir przezroczystego płynu znika w wodzie. Wyjął igłę, założył osłonę, odstawił butelkę na miejsce i odetchnął głęboko. Długi, nierówny oddech, chrapliwy oddech starego człowieka.

Zamknął komodę i wstał, prostując się z absurdalną godnością, jakby miał za chwilę poprowadzić młodych lekarzy na obchód. Ruszył uważnym krokiem do drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Na korytarzu odetchnął kilka razy głęboko, żeby się uspokoić. Był słaby, niemal za słaby, by dotrzeć z powrotem do swego gabinetu, ale zalewała go bezbrzeżna fala ulgi.

– A ostatni będą pierwszymi – powiedział głośno.

## Rozdział 68

Seattle, Waszyngton

16 kwietnia



Pat Broderick siedziała akurat w domu przeznaczonym na sprzedaż w modnej podmiejskiej dzielnicy Bellevue, kiedy weszła elegancko ubrana kobieta po trzydziestce.

– To piękny dom – powiedziała. – Ale wiem, że mojemu mężowi nie spodoba się cena. Jest kierownikiem handlowym u Boeinga.

– O, to wspaniale – odparła Pat, zawsze gotowa przypochlebić się klientowi, gdy wyczuła woń szeleszczących banknotów.

– No cóż, nie powiedział tego głośno, ale martwi się o pieniądze – wyznała kobieta. – Jeden z jego znajomych stracił pracę w wyniku redukcji. Wie pani, jestem w ciąży, dlatego potrzebujemy nowego domu...

– Gratulacje – wtrąciła Pat. – Ile macie państwo dzieci?

– Dwoje, chłopca i dziewczynkę, osiem i dziesięć lat. To będzie ostatnie. Jak się pani domyśla, potrzebujemy czterech sypialni. – Rozejrzała się wokół. – Ten by pasował, ale cena jest zdecydowanie za wysoka.

– To kwestia lokalizacji – wyjaśniła Pat. – Jestem pewna, że coś dla państwa znajdę. Mam jeszcze kilka adresów w tej okolicy, cena będzie prawie o połowę niższa. Myślę, że jeden z tych domów będzie dla państwa idealny. Jest tam sporo szkół, w sąsiedztwie będzie mnóstwo dzieci.

– Gdzie to dokładnie jest? – spytała kobieta.

Pat pokazała jej na mapie, z którą się nie rozstawała. Dom był skromny, miał cztery sypialnie i przyzwoity trawnik. W sam raz dla powiększającej się rodziny.

– Jaka jest cena?

– Właściciele musieli się przenieść, dlatego cena jest do negocjacji – wyjaśniła Pat. – Żądają czterystu dwudziestu pięciu tysięcy, ale zaciągnęli pożyczkę na nową hipotekę, więc podejrzewam, że trochę spuszczą.

Nie ujawniła, że dom należał do człowieka z kierownictwa Boeinga, który padł właśnie ofiarą redukcji.

– Hm, wygląda obiecująco – przyznała kobieta.

– Mogę go państwu pokazać dziś po południu – zaproponowała Pat. – Odpowiada pani trzecia?

– Doskonale.

– Przepraszam, jak brzmi pani nazwisko?

– Debbie. Deborah. Deborah Harding – przedstawiła się kobieta, wyciągając dłoń.

– Pat Broderick. Bardzo się cieszę, że panią poznałam.

Pat zjadła lunch przy biurku i odsłuchiwała wiadomości z automatycznej sekretarki. Jedna z nich była od Karen Embry, tej reporterki, która odwiedziła ją w zeszłym tygodniu. Pat zignorowała ją, skupiając się na klientach. Nie miała ochoty ponownie spotykać się z dziennikarką. Wciąż nawiedzały ją wspomnienia, które przywołała Karen.

Pat wyszła z biura o wpół do trzeciej i pojechała do domu wystawionego na sprzedaż. Weszła do środka. Małżeństwo się spóźniło, przyjeżdżając piętnaście po czwartej. Mężczyzna był przystojny i sądząc po siwiźnie na skroni miał około czterdziestki. Ubrany był w drogi garnitur.

– Pat, to jest Tom – przedstawiła męża pani Harding.

– Słyszałem, że zamierzasz mi sprzedać ten dom za trzysta dwadzieścia pięć tysięcy – zażartował mężczyzna.

– To byłaby prawdziwa okazja. – Pat uśmiechnęła się, podziwiając jego refleks. – Nie wiem, czy uda nam się zejść tak nisko, ale spróbuję.

– Zacznę od piwnicy – wyjaśnił mężczyzna. – Może pójdziesz z Debbie obejrzeć kuchnię i sypialnię, a ja za chwilę do was dołączę.

Chce sprawdzić piec, pomyślała Pat.

– Oczywiście. Proszę zawołać, jak będziesz miał jakieś pytania.

Wydawało się, że Deborah Harding od razu polubiła ten dom. Spędziła w kuchni zaledwie chwilę i skierowała się ku schodom.

– Mówisz, że jest tu dużo dzieci? – spytała.

– Och, całe mnóstwo – zapewniła Pat, idąc za kobietą po schodach.

– Pytam, bo chłopak, Robbie, jest trochę nieśmiały – wyjaśniła Deborah. – Spędza za dużo czasu przy grach komputerowych. Potrzebuje towarzystwa innych dzieci.

– Nie powinno być z tym problemu – uspokoiła ją Pat i wskazała przez okna. Na pobliskim trawniku kilkoro dzieci grało w piłkę, przypuszczalnie w dwa ognie. Ich krzyki niesły się echem w wilgotnym powietrzu.

– To dobrze. – Deborah skinęła głową. – Mam nadzieję, że nie ma tu problemu z psami, które ujadają w nocy. Tom ma lekki sen.

– Działa tu bardzo prężny zarząd sąsiedzki – poinformowała Pat, wyglądając przez okno. – Radzą sobie z takimi problemami. Wszyscy nawzajem przestrzegają prywatności. Nie słyszałam ani jednej...

Dotarł do niej dźwięk zamykanych drzwi. Odwróciła się od okna i zobaczyła, że Deborah Harding trzyma klamkę i patrzy na nią twardym wzrokiem.

– O co chodzi? – spytała Pat, czując dreszcz na plecach.

– Co jej powiedziałaś? – spytała kobieta.

– Komu powiedziałam? Nie rozumiem...

– Tej reporterce.

Pat poczuła, jak fala chłodu przepływa jej przez żołądek i dociera do nóg. Jej palce, które zaciskała na folderze, drżały.

– Reporterce? Jakiej reporterce? – dopytywała się.

– To bardzo trudny okres – wyjaśniła kobieta. – Jestem pewna, że rozumiesz. Pan Goss musi być szczególnie ostrożny.

– Jaki pan? – zdziwiła się Pat, przywołując swe doświadczenie agenta nieruchomości i byłej call-girl, by kłamać jak najbardziej przekonująco. Lecz nie umiała ukryć lęku.

Drzwi sypialni otworzyły się cicho. Wszedł mężczyzna. Kobieta skinęła mu szybko głową. Ruszył w stronę Pat, która cofnęła się pod okno.

– Naprawdę nie rozumiem – powiedziała.

– Odsuń się od okna – nakazał mężczyzna, biorąc ją za ramię i pociągając w stronę przeciwległego narożnika, podczas gdy kobieta pilnowała drzwi.

– Co jej powiedziałaś? – spytał.

– W porządku – poddała się Pat. – W porządku. Była tu. Nic jej nie powiedziałam. Myślicie, że jestem nienormalna? Pan Goss wie, że można na mnie polegać. Zawsze to wiedział.

Mężczyzna przyglądał jej się badawczo. Po chwili zwrócił się do kobiety:

– Zejdź na dół i pilnuj drzwi wejściowych. Kobieta wymknęła się bezgłośnie.

– Proszę – powiedziała błagalnie Pat. Mężczyzna się uśmiechnął.

– Powiedzieli, żeby to wyglądało na gwałt – wyjaśnił.

– Nie! – krzyknęła Pat. – Nic jej nie powiedziałam. Nie wiem, skąd wzięła moje nazwisko. Prosiłam tylko, żeby data mi spokój...

Ramię mężczyzny objęło jej szyję, tłumiąc słowa. Pociągnął kobietę na podłogę.

– Nie martw się – pocieszył ją. – Nic nie poczujesz. Ścisnął mocniej. Kiedy podwijał jej spódnicę, usłyszała dzieci nawołujące się na podmiejskich podwórkach za oknem. Ich krzyki utonęły w czerwonej fali, która zalała jej oczy.

## Waszyngton

Siedemnastego kwietnia, cztery dni po oświadczeniu Michaela, w którym odmówił wycofania swej kandydatury, FBI otrzymało paczkę zaadresowaną do dyrektora Biura, ale przeznaczoną dla Michaela.

Nie było adresu zwrotnego. Na przesyłce widniał stempel pocztowy Waszyngtonu. Otworzyli ją pirotechnicy FBI. W środku znaleźli torbę, którą Susan zabrała ze sobą w dniu, kiedy wyjechała do Green Lake. Zawierała wszystkie rzeczy, jakie Susan tego dnia miała na sobie – obcisłe dzinsy, koszulę, skórzaną kurtkę i buty.

Do ubrań dołączono perukę, którą Susan wtedy włożyła, a także bieliznę – majteczki bikini i stanik, wykonany na zamówienie przez projektanta z Nowego Jorku.

W kieszeni zwiniętych dzinsów agenci znaleźli obrączkę Susan, a także wisiorek z kości słoniowej, który Michael dał jej na dziesiątą rocznicę ślubu. Traktowała go jak talizman i nigdy się z nim nie rozstawała. Zawartość jej torebki, w tym wszelkie dokumenty i karty kredytowe, znajdowała się w zapinanej na zamek błyskawiczny szaszetce.

Nadejście przesyłki pozbawiło złudzeń tych wszystkich, którzy wierzyli w powrót Susan. Oznaczało, że nie będzie już potrzebowała tych rzeczy. Była już martwa albo miała nigdy nie powrócić do swego dawnego życia.

Spośród tych, którzy widzieli zawartość przesyłki, najbardziej poruszony i zaniepokojony był Joseph Kraig. Choć mógł tylko obejrzeć rzeczy, nie dotykając ich (technicy kryminalistyczni mieli pracować nad nimi całą noc po wstępnym badaniu), wyczuwał w nich ten złożony, osobliwy urok Susan. Widział jej obrączkę pierwszego dnia, gdy ją założyła, piętnaście lat temu. Znał wisiorek doskonale. Był to z niezwykłym mistrzostwem wyrzeźbiony paw w kolistym obramowaniu, zawsze przywodził Kraigowi na myśl wschód słońca.

Widok małego stanika i majtek ścisnął mu serce. Nie chciał nawet myśleć, co zrobiono z kobietą, do której te rzeczy należały.

Agentów ogarnął gniew i chęć odwetu. Większość sądziła, że Susan już nie żyje. Wszyscy pragnęli za wszelką cenę znaleźć ludzi odpowiedzialnych za to i ich zniszczyć.

Susan, jak się okazało, była równie popularna wśród agentów federalnych, jak zwykłych ludzi.

Kraig był zaniepokojony tym wybuchem wściekłości. Pragnął żywić przekonanie, że Susan wciąż żyje i że on, Kraig, wciąż ma szansę ją ocalić. Nadzieja ta wydawała się teraz bardziej płonna niż kiedykolwiek.

Kraig nie rozumiał, jak Michael mógł odmówić wycofania kandydatury na stanowisko wiceprezydenta. Przecież był zawsze taki opiekuńczy wobec Susan. Uwielbiał Susan, czcił ją. Jej utrata by go zniszczyła.

Dlaczego Michael postanowił nie rezygnować z kandydatury? Czy prezydent albo koledzy partyjni wpłynęli na niego w sposób, którego Kraig był nieświadomy? Czy ktoś inny przekonał go, że nie należy iść w tym wypadku za głosem instynktu?

Było w tym wszystkim coś, czego Kraig nie rozumiał. Wydarzenia przebiegały zgodnie ze schematem czy planem, który przeczył logice. Od chwili gdy zachorował Dan Everhardt, Kraig próbował wmówić sobie, że klucz do zagadki prędzej czy później się znajdzie, ale nic takiego się nie stało.

Po powrocie do domu wykręcił numer domowy Karen Embry. Połączył się z jej pocztą głosową: „Proszę pozostawić wiadomość dla Karen Embry po usłyszeniu sygnału”.

Kraig czekał na sygnał. Potem powiedział: „Karen, tu mówi Kraig. Przemyślałem parę spraw i chciałbym porozmawiać z tobą o twoich spostrzeżeniach dotyczących Bostonu.

Proszę, oddzwoń jak najszybciej. Będę tu do piątej rano, potem w biurze. Poproś, żeby dali mi znać na pager, jeśli nie będziesz mogła mnie złapać”. Podał dwa numery i odłożył słuchawkę.

Potem wziął długi prysznic i wykonał kilka ćwiczeń jogi, które miały go odprężyć, ale niewiele mu pomogły. Kusiło go, żeby pojechać do mieszkania Karen i poczekać, aż wróci do domu. Wiedział jednak, że może być poza miastem albo nawet poza granicami kraju. Mógł tylko czekać.

Nastawił sonatę Mozarta na fortepian, otworzył butelkę bourbona i nalał sobie drinka. Dopiero gdy poczuł na wargach orzechowy smak, uświadomił sobie, że nie pije bourbona, tylko scotcha.

Bez trudu to wyjaśnił. Działanie podświadomości – pragnął, by Karen z nim tu była. Wtedy to ona piła by bourbona.

Wylał zawartość szklanki do zlewu i położył się do łóżka. Potem leżał, wpatrując się w sufit.

Wyczuwał na poduszce leciutki zapach ciała Karen. Tej nocy, kiedy z nim spała, pragnęła mu coś powiedzieć. Wyczuwał to, ale nie próbował nic z niej wyciągnąć. W końcu mu nie powiedziała. Pewnie była zniechęcona jego sceptycznym nastawieniem do jej teorii.

Żałował, że teraz jej tu nie ma. Trzymałby ją w ramionach, rozkoszując się delikatnym dotykiem szczupłego ciała. Lecz tym razem, zamiast czuć na ustach pocałunki, słuchałby sekretów, które nosiła w sobie. „Powiedz, co wiesz”, poprosiłby. A jej odpowiedź działałaby silniej niż jakiegokolwiek pieszczoty.

Przy tej ostatniej myśli, ku własnemu zaskoczeniu, Kraig zapadł w ciężki, wolny od marzeń sen. Mozart grał dalej, a takty fortepianu, których już nikt nie słyszał, były niczym zwiastuny zła w ciemności.

Judd Campbell odwiedził Michaela w jego domu w Georgetown po dostarczeniu przez porywaczy paczki z rzeczami Susan.

Michaela otaczał tłum agentów rządowych. Mówił niewiele, ale patrzył na Judda z wyrazem oczu, którego nie można było zapomnieć. Uważał bez wątpienia, że Susan nie żyje i że to on spowodował jej śmierć.

– Nie załamuj się – pocieszył Judd, ściskając Michaela. – Za wcześnie, by się poddawać.

Widząc spojrzenie syna, Judd zastanawiał się, gdzie Michael znalazł odwagę, by odmówić żądaniu porywaczy. Na dobrą sprawę jego decyzja zdziwiła Judda. Wydawała się zaskakująca. Judd bał się, że syn wykorzysta sytuację i odrzuci nominację prezydencką, może nawet całkowicie wycofa się z polityki. Stało się coś przeciwnego. Michael nadal był kandydatem, a porywacze Susan mieli wolną rękę i mogli ją zabić, jeśli tylko chcieli. Może nawet już to zrobili.

Judd doskonale rozumiał wszystko, co Michael powiedział w swoim publicznym oświadczeniu. Rozumiał to w kontekście politycznym, w kontekście historycznym. Michael miał rację. Należało zająć twarde stanowisko wobec terroryzmu. To był nowy wiek. Cywilizowane rządy nie mogły przystać na to, by terroryści trzymali świat w charakterze zakładnika przez następne sto lat. Nadeszła pora, by udzielić im zdecydowanej odpowiedzi.

Decyzja miała logiczne podstawy i sens. Prawdę powiedziawszy, takiej właśnie życzył sobie Judd, jeśli wziąć pod uwagę ambicje, jakie wiązał z synem. Nie chciał, by cokolwiek powstrzymało Michaela przed objęciem funkcji wiceprezydenta jeszcze tego roku.

Ale mimo to decyzja ta wydawała się dziwna. Nie pasowała do Michaela. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Judd doznał dziwnego uczucia, że nie zna do końca swego syna.

I teraz przypomniał sobie, kiedy widział już ten wyraz pustki i bezradności na twarzy Michaela. Wtedy, gdy umarła Margery.

Michael przyleciał akurat na ten weekend do domu, a Judd spóźnił się z podróży w interesach. Margery odebrała syna z lotniska i zrobiła mu kolację w piątkowy wieczór. Ingrid wyszła z jakichś powodów, a Stewart przebywał na uczelni. Ingrid obiecała wrócić najpóźniej w sobotę wieczorem, kiedy już Judd będzie w domu. Rodzina miała zjeść razem obiad.

W sobotę po południu Margery popełniła samobójstwo. Wiadomość od policji dotarła do Judda, kiedy przebywał na pokładzie swego prywatnego odrzutowca, w połowie drogi między Chicago i domem. Był na wysokości siedmiu tysięcy metrów, kiedy dowiedział się, że jego świat legł w gruzach. Michael, jak mu powiedzieli, znalazł Margery zwisającą z belki sufitowej w sypialni domu nad zatoką.

Judd zjawił się w domu tuż po zmroku. Policja zdążyła już usunąć ciało jego żony. Choć sam w szoku, Judd pomógł Ingrid położyć Michaela do łóżka. Lekarz rodzinny chciał dać mu zastrzyk uspokajający, ale Michael odmówił. Na jego twarzy malował się wyraz pustego uporu, jakby chłopak trzymał się czegoś, czego inni nie mogli dostrzec. Przez kilka tygodni po śmierci Margery Judd i Ingrid nie spuszczała Michaela z oczu. Psycholog policyjny podejrzewał, że istnieje poważne ryzyko samobójstwa.

Właśnie teraz na twarzy Michela widniał ten wyraz uporczywej pustki, wyrażający brak jakiegokolwiek nadziei.

Judd zwiesił głowę. Jeśli Susan spotkał taki sam los jak Margery, to oznaczało to koniec jego świata.

Colin Goss siedział za biurkiem naprzeciwko człowieka, który nadzorował śledztwo w sprawie Susan Campbell. Obok niego zajął miejsce agent odpowiedzialny za informacje dotyczące oficjalnego dochodzenia.

– Czy ubranie zdradzało jakiegokolwiek ślady użycia przemocy? – spytał Colin Goss. – Krew? Nasienie?

– Nic – odparł agent. – Wiem to z samej góry. Ani śladu przemocy.

– W porządku – powiedział Goss. – Postępujemy dalej tak, jakby żyła. Czym dysponują służby wywiadowcze?

– Nie mają nic konkretnego prócz nagrania, co pozwoli jedynie udowodnić, że to rzeczywiście głos Susan Campbell. Koncentrują się na komputerowej obróbce taśmy i analizie tła dźwiękowego, by stwierdzić, gdzie dokonano nagrania.

– Nic więcej? – zdziwił się Goss. – Kogo podejrzewają?

– Pana, między innymi – odparł agent. – Uważają, że jako jedyny skorzystałby pan na tym, gdyby Campbell się wycofał. Wyznaczyli ludzi do inwigilacji pańskiej firmy, ale nic im to nie da. Sprawdzają też wszystkie większe grupy terrorystyczne i ważniejszych polityków, zwłaszcza prawicowych.

– I co ustalili?

– Nic.

– Dobra robota – pochwalił Goss. – Może pan odejść. Zadzwoń dziś wieczorem.

– Tak, proszę pana.

Młodszy mężczyzna wyszedł. Goss skupił wzrok na starszym.

– W porządku – oświadczył. – Jak wygląda sytuacja?

Agent, siwowłosy mężczyzna po pięćdziesiątce, który przypominał bardziej bankiera niż detektywa, nie otworzył teczki, którą ze sobą przyniósł.

– Nieciekawie – odparł. – Nie możemy znaleźć nikogo, kto dokonałby porwania z motywów politycznych. Ani też nikogo, kto żywiłby osobisty uraz do Campbella. Muszę wobec tego wziąć pod uwagę pański związek z Campbellem.

Goss przytaknął. Ten człowiek pracował dla niego od trzydziestu lat i wiedział o jego relacjach z Michaeliem. Musiał wiedzieć, gdyż był odpowiedzialny za tuszowanie pewnych wydarzeń łączących się z tym związkiem.

– Co pan ma konkretnie na myśli? – spytał Goss.

– Jeśli założymy, że ludzie, którzy porwali panią Campbell, są świadomi pańskich planów, to musimy też przyjąć, że wiedzą coś o przeszłości – wyjaśnił mężczyzna. – Nigdy nie zawadzi podejrzewać najgorszego. Powiedzmy, że wiedzą o dawnych czasach. O Bostonie, na przykład, czy Atlancie, czy nawet Connecticut. Ich rzeczywistym celem może być pańska osoba.

– To znaczy? – sondował Goss.

– Niewykluczone, że nie dopuszczając Campbella do Białego Domu, zamierzają powstrzymać pana – odparł detektyw. – I teraz, gdy Campbell nie zgodził się wycofać kandydatury...

– Do czego pan zmierza? – spytał poirytowany Goss.

– Założmy najgorsze... Przypuśćmy, że nie porwali Susan Campbell w charakterze zakładniczki. Przypuśćmy, że przekazali jej to i owo o mężu.

Colin Goss uniósł brwi. Takie rozwiązanie nie przyszło mu do głowy. Przytaknął z rozmysłem. Nie bez powodu płacił temu człowiekowi trzysta tysięcy dolarów rocznie.

– Rozumiem – powiedział. – W takim razie...

W takim razie w tym momencie jest dla nas bardziej niebezpieczna na wolności niż sami porywacze – dokończył mężczyzna. – Wycofanie się Campbella to jedno. Ale gdyby pani Campbell wróciła do domu, dysponując pewną wiedzą... to zupełnie inna sprawa.

Goss skinął głową.

– Rozumiem. Słuszna uwaga. Porozmawiam z Michaeliem osobiście. Czym pan jeszcze dysponuje?

– Nie znamy nazwiska – odparł detektyw. – Ale jak pan wie, istniały rodziny... dawnych obiektów. Eksperymentalnych obiektów. Także przyjaciele, sympatie... Jest tu mnóstwo możliwości. Ktoś, kto żywi urazę albo w jakiś sposób domyślił się, na czym polega główny plan, i dostrzegł w nim rolę Campbella. Ktoś, kto znalazł sposób, by pokrzyżować pańskie zamierzenia.

Zastanawiał się przez chwilę, marszcząc czoło.

– Niektóre obiekty przeżyły – dodał. – To pewien problem.

– Rozumiem – powiedział Goss. – Owszem, teren jest rozległy, ale będzie pan musiał go zbadać.

– Pracujemy tak szybko, jak to tylko możliwe – zapewnił detektyw i odchrząknął. – Dostał pan mój raport na temat sytuacji w Seattle.

– Tak. Dziękuję.

– Nie znaleźliśmy żadnych dowodów, że Broderick cokolwiek powiedziała. Pozostaje jednak faktem, że ta dziennikarka próbowała się czegoś dowiedzieć. A to już jedna ścieżka prowadząca do przeszłości.

– Niech pan się pozbędzie tej reporterki – polecił Goss.

– To będzie trudne – uprzedził detektyw. – Ma na karku CIA. Najwidoczniej ten artykuł, który opublikowała, wzbudził ich zainteresowanie. Jej mieszkanie jest na podsłuchu, chodzą za nią agenci. Moglibyśmy spróbować, ale niewykluczone, że zająłby się nami wywiad. To zbyt niebezpieczne.

Goss zastanawiał się przez chwilę.

– W porządku, wstrzymajcie się z tym chwilowo. Ale jeśli pani Campbell wciąż żyje, to chcę wiedzieć, gdzie przebywa. I jeśli dotrzemy tam pierwsi...

– Oczywiście. Całkowita skuteczność.

– Nie chcę żadnych błędów – ostrzegł Goss. – Żadnych potknięć. Bez względu na to, co się wydarzy, główny plan pozostaje niezmienny.

– Absolutnie.

– W porządku. Dziękuję za pańskie uwagi. Porozmawiamy wieczorem.

– Tak, proszę pana.

Mężczyzna wstał i wyszedł z gabinetu.

Colin Goss siedział za biurkiem i rozmyślał. Nie miał oczywiście żadnych wątpliwości co do Michaela. Zawierzyłby mu życie. Ale żona to była zupełnie inna sprawa. Zawsze stanowiła problem. Była niestała, neurotyczna. Nikt nie wiedział, jak się zachowa.

Należało wykluczyć na tym etapie element niepewności.

Dlatego Colin Goss podpisał już wyrok śmierci na Susan Campbell.

## Rozdział 70

Justine weszła do pokoju i zobaczyła, że Susan siedzi przy lampie i czyta.

– Dobrze dziś wyglądasz – zauważyła. – Chyba lepiej sypiasz. Susan zamknęła książkę, wydanie w miękkiej okładce jednej ze starszych powieści Ann Tyler. Uśmiechnęła się.

– Tak, dobrze spałam.

Justine rozejrzała się po pokoju. Wciąż było to więzienie z zewnętrznym zamkiem na drzwiach, ale teraz wydawało się bardziej swojskie. Gdzieś leżały książki, a Susan spędzała teraz więcej czasu w fotelu niż w łóżku. Korzystała też z roweru treningowego.

Dbła bardziej o wygląd, malowała się i troszczyła o włosy. Jej zachowanie zaczęło odznaczać się pewną celowością, a nawet optymizmem. Wzięła się w garść, nie chcąc się poddać okolicznościom. Tego właśnie pragnęła Justine. Wiedziała, że pod zewnętrzną warstwą neurotyzmu kryje się silna osobowość. Od samego początku uwzględniała ten fakt w swych planach.

– Jest coraz mniej czasu – uprzedziła. – Niedługo nas znajdą. Muszę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć.

– Liczyć na mnie? – spytała zaskoczona Susan. Justine usiadła na brzegu łóżka.

– Muszę poznać twoje myśli. Przekonać się, w co wierzysz. Susan odwróciła wzrok.

Wydawała się głęboko zadumana.

Kiedy znów spojrzała na Justine, w jej oczach malował się smutek.

– Wierzę, że jesteś szczerą osobą. Dobrą osobą. Wierzę, że to, co mi powiedziałaś, jest po części prawdą – powiedziała i westchnęła głęboko. – Ale nie wierzę w to, co powiedziałaś o Michaelu. Nie mogę uwierzyć. Popatrzyła na Justine, która przytakiwała ze zrozumieniem.

– Jestem jego żoną – mówiła dalej. – Ślubowałam go kochać. I kocham go. Nie mogę po prostu zaakceptować tego, co mi powiedziałaś. To nie Michael.

Justine wstała.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie prosiłabym, byś złamała śluby, gdybym nie miała dowodu.

Susan poczuła dreszcz. Popatrzyła z lękiem na porywaczkę.

– Dowodu? – spytała niepewnym głosem.

– Usiądź na łóżku – poleciła Justine i odsunęła się.

Susan usiadła posłusznie. Wyglądała teraz dziecinnie, dłonie miała złożone na kolanach.

Justine wsunęła kasetę do magnetowidu i włączyła telewizor. Ekran wypełnił obraz twarzy jakiejś dziewczyny. Jej głowa była przyciśnięta do poduszki. Oczy miała puste, niemal pozbawione życia.

Kamera cofnęła się, pokazując, że dziewczyna jest przywiązana do pokrytego skórą urządzenia, takiego, jaki opisała Justine. Była naga. Leżała w takiej pozycji, że jej pośladki były wypięte, a głowa znajdowała się na dole.

Zbliżał się do niej nagi mężczyzna, odwrócony do kamery plecami. Miał opaskę na oczach. Wyciągał przed siebie ręce, jakby szukał po omacku drogi. Ścieżka dźwiękowa była zniekształcona, ale dało się słyszeć śmiech i muzykę, także brzęk szkła. Męskie głosy wykrzykiwały słowa zachęty, podpowiadały, w którą stronę ma się obrócić: „Ciepło!”, „zimno!”.

Susan nie mogła głębiej odetchnąć. Dłonie miała zaciśnięte do bólu.

Rozpoznała go.

Był młody. Miał atrakcyjne ciało o prostych ramionach, mocnych mięśniach pleców, zwartych pośladkach, szczupłej talii i długich, kształtnych nogach, nogach lekkoatlety.

W wyciągniętej ręce trzymał ogon, który zwisał ku podłodze.

Pośrodku pleców, wyginając się lekko z prawej do lewej, biegła blizna.

– Ta blizna określa czas nagrania – wyjaśniła Justine. – Przeszedł pierwszą operację, kiedy był w Choate. Został po niej ślad, który właśnie widzisz. Sięga od drugiego do dwunastego kręgu piersiowego. Drugą operację przeprowadzono wiosną, kiedy był na trzecim roku Harvardu. Musieli tym razem wejść głębiej w kręgosłup lędźwiowy, ponieważ poprzednio metoda Harringtona zawiodła i trzeba było umieścić jeszcze jeden pręt metalowy.

Susan siedziała w milczeniu, wpatrzona w ekran, na którym Michael przemierzał pomieszczenie. Obserwowała jego wspaniałe nogi w ruchu, podczas gdy ogon zwisał mu z dłoni.

Jakość kasety nie była najlepsza, ale bliznę widać było wyraźnie – znamię bólu, inwazji chirurgicznej, sławy. To właśnie ona, wydłużona po drugim zabiegu, uczyniła z Michaela Campbella sławę narodową.

Susan знаła tę bliznę doskonale. Widziała ją, czekając z Michaelem w szpitalu na drugą operację. Nie chciał jej pokazać, ale nalegała, przekonując, że chce odczuwać jego ból, poznawać go w chwili bezbronności i słabości.

Jej miłość do Michaela zakiełkowała, kiedy leżał na szpitalnym łóżku; przerażony młody człowiek, który się zastanawiał, czy wada kręgosłupa uczyni z niego na całe życie inwalidę. Ta miłość narastała i rozkwitała, kiedy Susan towarzyszyła mu w cierpieniu i patrzyła, jak przezwycięża słabość, wreszcie nabrała ostatecznego kształtu, kiedy wygrał na olimpiadzie, a koledzy z zespołu pomagali mu wyjść z basenu. Wówczas ta miłość stanowiła tak nieodłączną część jej, jak blizna stanowiła część jego. Była niezmienna. Trwała niczym opoka.

A on uczynił to tym bezbronnym dziewczętom, torturował je, niszczył. Działo się to także wówczas, kiedy Susan już go знаła.

Zasłoniła oczy. Po policzkach spływały jej łzy.

– Dostyc – poprosiła. – Błagam, Justine.

Usłyszała śmiech utrwalaony na taśmie. Coś kazało jej otworzyć oczy i patrzeć.

Michael odszukał drogę do bezradnej dziewczyny i właśnie przyczepiał ogon do jej wyprężonych pośladków. Widać było, jaki jest podniecony. Uśmiechał się. Rozległy się głośne okrzyki pełne aprobaty. Zdjął opaskę, osuwając się na kolana.

Susan znowu zakryła oczy.

– Mój Boże – powiedziała. – Jak mogłeś...?

Justine nie zatrzymała taśmy. Spoglądała w ekran z wyrazem jakiegoś zimnego zainteresowania w oczach.

Susan, nie patrząc w telewizor, usłyszała pijackie głosy wołające: „Mike, Mike!”.

Kiedy taśma dobiegła końca, Justine zatrzymała ją i wyłączyła odbiornik. Susan leżała zwinięta w kłębek. Sprawiała wrażenie niemal tak bezradnej jak ta młoda kobieta na filmie wideo.

Justine podeszła do niej i poklepała ją po ramieniu.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliła. – Jestem z ciebie dumna.



Susan nie podniosła wzroku.

– Rozumiem twój ból – przyznała Justine. Twardość w jej głosie zmagająca się ze współczuciem. – To straszliwy ciężar. Jego matka popełniła samobójstwo, kiedy się dowiedziała, co robił.

Susan nie zaprotestowała, słysząc te słowa. Łkała tylko cicho.

– Dzielną dziewczyną – powtórzyła Justine, pochylając się nad swym więźniem. – Dużo od ciebie żądałam. Wytrzymałaś.

Z głośnym szlochem rozpaczy Susan objęła Justine i wyplakała się na jej piersi.

## Rozdział 71

18 kwietnia

18.30

Karen znajdowała się na lotnisku w Waszyngtonie.

Samolot z Atlanty przyleciał o czasie. Wsiadła do autobusu, który zawiózł ją na parking.

Wyprawa do Atlanty zakończyła się niepowodzeniem. Znalazła dwie osoby, stosunkowo bliskie firmie Gossa, które mogły wiedzieć, czy Justine Lawrence albo osoba o jej wyglądzie pracowała kiedykolwiek dla korporacji bądź też była związana, chociażby przelotnie, z bardziej znaczącymi ludźmi.

Żadne z tych źródeł nie dostarczyło potrzebnych informacji. Nie było dowodów na poparcie tezy Karen, że Justine przebywała w Atlancie, by infiltrować firmę Gossa. Nie było też czasu, by dalej podążać tym tropem.

Jej telefon do Pat Broderick w Seattle pozostał bez odpowiedzi. Wciąż żywiła nadzieję, że Pat, jako dawna znajoma Gossa, być może skieruje ją do właściwych ludzi w Atlancie czy gdziekolwiek indziej. Postanowiła jeszcze raz spróbować szczęścia, może nazajutrz.

Karen wyjeżdżała z Atlanty w podłym nastroju. Jednak już w samolocie przypomniała sobie, że nawet jeśli nie zdoła odtworzyć całej odysei Justine Lawrence po gwałcie zadanym jej przez Colina Gossa, to i tak zna ostatni etap tej wędrówki. Prowadziła ona do Waszyngtonu, gdzie Justine uczestniczyła w porwaniu Susan Campbell.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Justine mieszkała w tym mieście podczas ostatniej fazy swego planu. Jeśli nie w samym Waszyngtonie, to w Marylandzie albo Wirginii. Bez wątplenia pod przybranym nazwiskiem.

Pozostawiła jednak ślady, które Karen mogła odszukać.

Susan Campbell zaginęła trzy tygodnie temu. Zakładając, że nadal żyje, była przetrzymywana w jakiejś kryjówce, którą przypuszczalnie Justine Lawrence pomogła przygotować. Karen czuła, że ma szansę ją zlokalizować.

Miała przewagę nad władzami. Agenci wiedzieli, że porywaczem Susan, albo przynajmniej jednym z porywaczy, jest kobieta. Dysponowali nagraniem jej głosu. Ale poruszali się po omacku. Wiedzieli tylko, co się wydarzyło. Karen wiedziała, dlaczego się to wydarzyło.

I jeśli tamci dysponowali nagraniem głosu jako jedynym materiałem w śledztwie, to Karen miała coś więcej – głos i twarz, do której należał. I zdjęcie tej twarzy.

Autokar lotniskowy zatrzymał się na stanowisku C-3, gdzie Karen wsiadła do niego przed trzema dniami. Jej honda stała w połowie rzędu samochodów. Na dworze było już ciemno, robiło się coraz chłodniej. Karen drżała, otwierając bagażnik i wrzucając do niego torbę podróżną. Brak snu sprawiał, że było jej jeszcze zimniej. Postanowiła wziąć długą kąpiel po powrocie do domu.

Otworzyła drzwi wozu, wśliznęła się na fotel i włożyła kluczyk do stacyjki.

– No dalej, zapal.

Karen podskoczyła, wystraszona głosem z tylnego siedzenia.

– Przekręć kluczyk, ale nie odjeżdżaj jeszcze.

Drżały jej dłonie. Zbladła. Setki razy w ciągu tych lat podchodziła do samochodu i bała się, że ktoś może siedzieć w środku i czekać, chcąc ją obrabować albo zrobić krzywdę. A teraz, zbyt zaabsorbowana myślami, by pamiętać o swych lękach, weszła prosto w pułapkę. Pomyślała o małym pojemniku z gazem, który leżał zakopany pod niezliczonymi drobiazgami gdzieś na dnie jej torebki.

– Czego chcesz? – spytała.

– Ciebie – powiedział głos.

Atlanta Colin Goss siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Kotary były zaciągnięte, a światła zgaszone, z wyjątkiem lampki na biurku. Sekretarki otrzymały polecenie, by nie łączyć żadnych rozmów. Chciał mieć spokój potrzebny do koncentracji.

Obok stała butelka wody mineralnej. Nalał sobie do szklanki i pił długą chwilę. Koła mu nerwy. Uświadomił sobie, że wiara w zdrowotne walory wód mineralnych to dość dziwne jak na specjalistę od technologii farmaceutycznej. Nie mógł jednak zwalczyć tej drobnej słabości, która w zasadzie była przesadą. Czuł się lepiej, kiedy się napił.

Trzymał w dłoniach niewielką kartkę. Widniały na niej cyfry.

Był to numer nowej linii, którą zainstalowano w domu Judda Cambella, drugi zastrzeżony numer, przeznaczony tylko dla rodziny. Nie założono podsłuchu.

Goss wykręcił ten numer. Po kilku sygnałach odezwał się Michael Campbell.

– Tak?

– Michael? To ty?

– Tak – odparł Michael, a w jego głosie pojawiła się ulga, gdy rozpoznał swego rozmówcę.

– Możemy rozmawiać?

– Tak.

Michael wiedział, że Judda nie ma w domu; był na spotkaniu z detektywami. Ingrid poszła na zakupy. Wyjechała o szóstej, odwożąc gosposię do domu.

– Tak, możemy – powtórzył.

– Mam złe wieści, synu.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Tak? – spytał wreszcie Michael. – O co chodzi?

– Dowody, jakimi dysponujemy, wskazują niedwuznacznie, że ludzie przetrzymujący Susan mają związek z przeszłością – wyjaśni! Goss. – Wiedzą o tobie i o mnie, synu. O Harvardzie, o dziewczętach. O tych wszystkich sprawach. Nie kierują się motywami politycznymi. Są przeciwko tobie z powodu tego, co wydarzyło się kiedyś. Dlatego chcą, byś się wycofał.

Michael zastanawiał się przez chwilę.

– Jesteś tego pewien? – spytał w końcu.

– Nie w stu procentach – przyznał Goss. – Ale w sytuacji, gdy stawka jest tak wysoka, a cały plan zagrożony, uważam, że powinniśmy dmuchać na zimne i przewidywać najgorsze.

– Myślisz, że powiedzieli Susan? – W głosie Michaela pobrzmiwała nuta lęku.

– Podejrzewam, że tak – przyznał Goss. – Jeśli wiedzą o przeszłości, to mówiąc jej, zyskają tyle samo, co grożąc nam jej śmiercią. Jeśli powiedzieli Susan o dziewczętach z Nowej Anglii, to być może obróciła się przeciwko tobie. Gdyby została uwolniona, to niewykluczone, że powiedziałyby wszystko, co wie. To byłby koniec, sam rozumiesz. Nawet gdybyśmy chcieli wszystkiemu zaprzeczyć, nie wolno nam zapominać, że oskarżenia wysuwałaby Susan. Ludzie jej wierzą. Nie dalibyśmy rady zmyć z siebie takiej warstwy błota, synu.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Gdyby chodziło tylko o seks, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej – ciągnął. – Ale mówimy tu umyślnym spowodowaniu śmierci, synu. W gruncie rzeczy o masowej zbrodni. Trudno się z tego wyplątać.

Michael rozmyślał. Przypomniawszy sobie tamtą noc, kiedy Susan spytała go z dziwnym wyrazem twarzy: „Czy coś się wydarzyło na Harvardzie?”. Zaprzeczył z przekonaniem, ale nie podobało mu się to spojrzenie.

Potem historia z Kraigiem, który spytał go o te podejrzane telefony, gdzie ktoś wspominał o Harvardzie. Michael ponownie zaprzeczył.

Powinien był powiedzieć Gossowi o tych dwóch zdarzeniach. Nie zrobił tego. Chciał, by przeszłość została głęboko pogrzebana.

Goss odchrząknął nerwowo.

– I jeszcze jedno, synu. Nie chciałem ci o tym mówić, ale podejrzewam, że zachowało się nagranie wideo z tego, co się kiedyś działo. Jeśli to mają i jeśli Susan to widziała... no cóż, możesz sobie wyobrazić skutki.

Goss przeklinał w tej chwili ów impuls, który kazał mu nagrać te epizody. Ale wtedy wydawało się to dobrym pomysłem. Wiedział, że taśmy będą stanowić doskonałe zabezpieczenie przed tymi, którzy brali udział w grze. A teraz powróciło to do niego niczym bumerang.

Po drugiej stronie panowało milczenie; Michael zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał.

– Zawsze ufałem twemu osądowi – powiedział w końcu.

– Wiem, synu. Nigdy w to nie wątpiłem.

– Nie chcę zrujnować planu, nad którym tak ciężko pracowałeś – wyznał Michael.

– Oczywiście, synu. Nie pozwolimy, by cokolwiek stanęło na drodze jego realizacji.

Zapadła bolesna cisza.

– Co teraz będzie? – spytał w końcu Michael.

– Nikt nie wyjdzie z tego żywy – odparł Goss. – Ani porywacze, ani Susan. Tak musi być. Michael milczał.

– Synu, chcę, żebyś dostrzegł zarówno jasne, jak i ciemne strony całej sprawy – przekonywał Goss. – Jako męczennica i ofiara terroryzmu Susan będzie dla ciebie jeszcze cenniejsza niż jako piękna Pierwsza Dama. Będziesz uchodził za człowieka, który dokonał najwyższego poświęcenia. Będziesz niepokonany. Straciłeś żonę na froncie walki z terroryzmem. Zostaniesz drugim Lindberghem. Królem świata.

Po krótkiej chwili Michael przyznał:

– Tak, rozumiem.

– To bolesne, wiem – powiedział Goss.

– Kocham ją – odrzekł tonem zamyślenia Michael.

– Synu, pomyśl o niej jak o żołnierzu, który oddał swe życie na wojnie, który umarł za wielką sprawę. Kiedy to rozważysz głębiej, zrozumiesz, że tak rzeczywiście jest. Wielka sprawa. Wiem, że sam jesteś gotów oddać za nią życie. Spójrz na to z tej strony.

– Tak – przytaknął Michael. – Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Ożenisz się ponownie, synu. Przetrawasz. I razem wygramy tę wojnę.

– Tak. W porządku. W porządku.

– Dzięki, że byłeś tak dzielny, synu. Kocham cię. Wiesz o tym.

– Jesteś pewien, że możesz...? – zawahał się Michael.

– Dopilnować tego? Tak, oczywiście. Nie martw się o to, synu.

Goss się rozłączył.

Michael stał przez długą chwilę ze słuchawką w ręku. Nowa linia została zainstalowana na górze, w narożnej bibliotece sąsiadującej z sypialnią. Spoglądał przez okno na zatokę.

Myślał o Susan. O ich pierwszych wspólnych chwilach, kiedy był jeszcze studentem. O jej szczególnym uroku, żywym humorze, cudownie złożonej osobowości. Jej lojalności wobec niego, kiedy przygotowywał się do drugiej operacji. Jej poświęceniu przez te wszystkie lata. Kochał ją gorąco. Fakt, ich związek nigdy nie odznaczał się taką bliskością, jakiej by sobie życzył. Miała w sobie zakamarki, których nigdy nie dotknął, nigdy nie pojął. I, oczywiście, nigdy nie dała mu dziecka. Była to jeszcze jedna rzecz, którą warto by rozważyć, na wypadek gdyby Susan nie przeżyła. Potrzebowałby nowej żony, potrzebowałby dzieci.

Nadal jednak tęskniłby za Susan. Była taka piękna... Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, miał w oczach łzy. Odwrócił się, żeby pójść do swojego pokoju, gdzie znajdowały się oprawione zdjęcia Susan z wczesnych lat; stały na komodzie i wisiły na ścianach. Chciał popatrzeć na jej wizerunki, pomyśleć, ile dla niego znaczyła.

Kiedy wyszedł na korytarz, ujrzał Ingrid. Stała tam, zagrządzając mu drogę do pokoju.

– Co, nie wybrałaś się na zakupy? – spytał z uśmiechem.

Bolała mnie głowa. Od razu wróciłam do domu – wyjaśniła. Spojrzenie jej oczu nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że wiedziała. Ingrid nie należała do kobiet, które skrywają swe uczucia. Po policzkach spływały jej łzy, w oczach malował się nieklamany wyrzut.

– Michael, jak mogłeś? – spytała.

## Rozdział 72

– Nie bój się – powiedział mężczyzna na tylnym siedzeniu. – To ja. Grimm.

– Kto? – nie zrozumiała w pierwszej chwili Karen.

– Twój niewidzialny korespondent. Karen odetchnęła z ulgą.

– Chryste. Wystraszyłeś mnie na śmierć.

– Jedź do miasta.

Karen uruchomiła silnik. Znalazła żeton parkingowy w małej wnęce na tablicy rozdzielczej, tam gdzie go pozostawiła.

– Czy zobaczę twoją twarz? – spytała.

– Nie.

Wyjechała z parkingu i zapłaciła przy budce obsługi. Kiedy dotarła do zjazdu na autostradę, na tylnym siedzeniu pojawił się mężczyzna. Miał na głowie bejsbolówkę naciągniętą nisko na oczy, które kryły się za ciemnymi okularami.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała.

– Mniejsza z tym – odparł. – Po prostu słuchaj.

– W porządku – zgodziła się Karen. Mężczyzna wzięł głęboki oddech.

– Mniej więcej trzydzieści lat temu, kiedy Colin Goss opatentował swe pierwsze farmaceutyki, przeprowadził przy okazji rozległe badania nad rakiem i mechanizmem starzenia się. Goss panicznie bał się raka, ponieważ jego matka i dwaj bracia zmarli na nowotwór. Bał się też starzenia, utraty zdrowia i potencji. Pragnął znaleźć sposób, który zapobiegłby przerzutom komórek rakowych i degradacji tych zdrowych w procesie starzenia. Oczywiście wiedział, że lek na raka, tak jak i lek na starość, uczyniłby z niego króla świata medycznego i farmaceutycznego. Żeby się za bardzo nie rozwodzić, powiem tyle, że próbując zapobiec zmianom w pewnych komórkach, Goss odkrył przypadkiem sposób pozwalający dokonywać zmian na poziomie komórkowym. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Większość tych zmian dokonuje się na poziomie submolekularnym. Dotyczy pewnej dysymetrii, która czyni komórkę podatną na adaptację czy zmianę. W przeciwieństwie do genetyków, którzy widzą w komórkach automaty przenoszące pewien wzór wyrażony w chromosomach, Goss zrozumiał, że komórki to żywe jednostki. Jednostki, które mogą dokonywać rzeczy nieoczekiwanych. Bardziej podciągnął ciemne okulary na nosie.

– Goss napisał pracę na ten temat. Przyniosłaby mu bez wątpienia Nobla, gdyby tylko ją opublikował. Ale chciał swą koncepcję zachować w sekrecie, nigdy więc nie ogłosił jej drukiem. – Grimm się uśmiechnął. – Pozwolił mi jednak ją przeczytać. Kazał mi ją przeczytać, mówiąc ściśle, kiedy wkroczyłem na pokład jego łodzi.

Karen milczała. To, co mówił, było dla niej chińszczyzną pomimo jej biochemicznego wykształcenia.

– Goss dowiedział się, że może interweniować na tym poziomie i oszukać komórkę, która znacznie sądzić, że jej przeżycie zależy od pewnego chemicznego zachowania, nieleżącego w jej naturze – wyjaśnił Grimm. – Rodzaj wymuszonej mutacji, jeśli wolisz. Jak ewolucja, tyle że oparta na fałszywych przesłankach i nadzwyczaj przyspieszona. Nadażasz za mną?

– Staram się – odparła Karen i sięgnęła po paczkę papierosów do torebki. – Masz coś przeciwko temu, żebym zapaliła?

– Tak, mam. Nie pal, tylko słuchaj.

– W porządku.

Przez chwilę panowała cisza. Karen wrzuciła kierunkowskaz.

– Gdzie jesteśmy? – spytał głos z tyłu.

– Wjeżdżamy na 595.

– Jedź na 395 i skręć w stronę Mail.

Karen w milczeniu przyspieszyła.

– Zmiany w jednej komórce rozgałęziają się na sąsiednie komórki i ich całe grupy – wyjaśniał dalej Grimm. – Kontrolowanie tej większej zmiany stanowiło niezwykle wyzwanie dla inżynierii chemicznej. Przez te lata przeprowadzono w firmie Gossa tysiące eksperymentów. Owocem niektórych były pewne farmakologiczne innowacje, takie jak na przykład nowa metoda leczenia nadciśnienia tętniczego, która przyniosła Gossowi sławę. Inne dały nieco mniej pożądane rezultaty, które chciał oczywiście zachować w tajemnicy. Karen nie odzywała się, jedynie słuchała z uwagą.

– Najważniejszym z tych rezultatów był paraliż funkcji kierujących wolą czy podejmowaniem decyzji. Goss stwierdził, że może ingerować chemicznie w budowę ludzkiej istoty w taki sposób, by dany osobnik nie mógł działać, opierając się na percepcji czy procesach myślowych. Z początku efekt ten wydawał się beзуżyteczny, a nawet niepożądany. Co można było zyskać dzięki paraliżowi czyjejs możliwości działania? Taka osoba stałaby się beзуżyteczna. Z czasem jednak Goss znalazł zastosowanie dla swego odkrycia.

– Jakie zastosowanie? – spytała Karen.

– Pomyśl przez chwilę o wrogach społeczeństwa – odparł Grimm. – Mordercach, gwałcicielach, podpalaczach. Sprawcach gwałtów zbiorowych. Dlaczego ci ludzie robią to, co robią? Ponieważ tak zdecydowali. Ponieważ są zdolni działać na podstawie podjętej decyzji. Co by się stało, gdyby usunąć ową zdolność? Staliby się nieszkodliwi. Bez względu na to, jak złe byłyby ich motyw, nie skrzywdziliby nawet muchy.

– Uhm – mruknęła Karen. – Okej...

– Spójrz na to jak na chemiczną odmianę leukotomii przedczołowej – mówił dalej Grimm. – Jak na zaprojektowaną chorobę, radykalną i nieodwracalną. To właśnie odkrył Goss.

Milczał przez chwilę, potem spytał:

– Gdzie jesteśmy?

– Jakies pięć minut drogi od 395 – wyjaśniła Karen.

– Występowały też inne objawy – ciągnął Grimm. – Nic w biologii nie jest proste, sama o tym wiesz. Ponieważ ingerencja była tak głęboka, metaboliczna, większość osobników zapadła w śpiączkę i zmarła.

– Ludzkich osobników? – spytała Karen.

– Z początku były to gatunki spokrewnione, zwłaszcza szympanse i goryle. Ale potem ludzie, owszem. – Grimm milczał przez chwilę. – Nie ochotnicy. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Karen przypomniała sobie dziewczyny w Bostonie. Nie chciała jednak przerywać Grimmowi.

– Proces zachodził stopniowo, jak to bywa w każdej nauce stosowanej – mówił Grimm. – Goss potrzebował przewidywalnych rezultatów. Przez następne dziesięć lat opracowywał jedną substancję, jako najbardziej skuteczną i najłatwiejszą do zastosowania. Wywołała zaburzenie, które znamy jako syndrom Pinokia.

Karen uwiązł oddech w gardle. Powinam była się domyślić. Przez całą zimę i wiosnę czuła, jak ta prawda dojrzewa. Rozprzestrzenianie się choroby bez widocznego powodu, przypadki zachorowań u znanych polityków, Michael Cambell, Colin Goss... Niezliczone ofiary, nagle sparaliżowane, niemogące się ruszyć ani mówić.

– Posłuchaj, Colin Goss nienawidzi terrorystów – ciągnął Grimm. – To nie jest u niego jakaś polityczna poza. Uważa, że stanowią większe zagrożenie dla cywilizowanego świata niż przestępcy.

– Dlaczego? – spytała Karen.

– Seryjny morderca może zabić w ciągu życia tylko czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi – wyjaśnił Grimm. – Terrorysta może zabić tysiąc, podkładając w odpowiednio dużym budynku bombę. Albo trzy tysiące, wykorzystując samolot, który wbija się w wieżowiec. Cały kraj pełen okrutnych przestępców może funkcjonować całkiem nieźle. Ale terroryści potrafią zredukować obywateli do ogarniętej paniką tłuszczy i sparaliżować instytucje, jeśli tylko zechcą. Wpływ małej grupki terrorystów na politykę międzynarodową może być ogromny. Co więcej, w drugiej połowie dwudziestego wieku terroryści zdobyli środki i wiedzę pozwalające zabijać na wielką skalę. Broń biologiczna, zaawansowane technicznie materiały wybuchowe i tak dalej.

Karen przytaknęła.

– Okej, rozumiem.

– Kiedy usuwasz terrorystów z krajobrazu politycznego, wszystko wraca do normy – wyjaśnił Grimm. – Rząd może funkcjonować, przemysł też. To, co było chaosem, znów staje się zwykłym biznesem. A wszystko za sprawą tego prostego kroku.

– I taki był cel syndromu Pinokia? – upewniła się Karen.

Fundamentalny cel został osiągnięty, kiedy została sparaliżowana wola danego obiektu – powiedział Grimm. – Bez możliwości działania na podstawie osobistych motywów, bez możliwości decydowania – nie ma terrorysty. Inne objawy choroby – ewidentny upór, zmiany w wyglądzie dłoni i stóp, śpiączka na pewnym określonym etapie – wynikały ze zmian w strukturze komórkowej, do których z trudem doprowadziliśmy, a które Goss następnie powielił.

– Rzeczywiście – przyznała Karen.

– Goss ma w sobie coś z poety. Podobał mu się symboliczny aspekt zmian fizycznych. Wiedział też, że wywoła to powszechne przerażenie. I tak się stało. Syndrom Pinokia nigdy nie podziałałby z taką siłą na prymitywną wyobraźnię, gdyby nie wygląd dłoni i stóp. – Grimm się uśmiechnął. – Szkoda, że nie widziałas go w laboratorium albo przy mikroskopie. Jakbyś patrzyła na Rembrandta i ostatnie pociągnięcia pędzlem na mistrzowskim płótnie. Subtelność, to spojrzenie... Tyle że artysta stara się stworzyć piękno, a Goss – zło. Taka jest różnica.

Karen zastanawiała się przez chwilę.

– Powiedziałaś, że łatwo było to zastosować – zauważyła.

– Bardzo łatwo. Przez powietrze albo wodę. Można to nawet zrobić na odległość albo z opóźnieniem. Po prostu umieszczasz moduł ze środkiem chemicznym w danym miejscu, a potem otwierasz go za pomocą pilota.

Teraz Karen rozumiała, dlaczego chorzy na białaczkę w swych sterylnych namiotach uniknęli syndromu, podczas gdy wszyscy inni na skażonym terenie zapadali na chorobę. Ci pacjenci nie byli narażeni na kontakt ze świeżą wodą czy powietrzem.

– Chcesz powiedzieć, że za każdy wybuch epidemii odpowiadają jacyś ludzie, którzy doprowadzili do skażenia powietrza i wody? – spytała.

– Tak, specjaliści – potwierdził Grimm. – Działający w zespołach z zachowaniem ścisłych środków bezpieczeństwa. Zakamuflowani, oczywiście. Niektórzy w przebraniu pracowników gazowni albo przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjnego.

Ziewnął nieznacznie, potem mówił dalej:

– To było założenie planu od samego początku. Wywołanie choroby powinno przebiegać szybko i łatwo. Okres połowicznego rozpadu środka chemicznego musiał być nadzwyczaj krótki, by nie pozostał żaden ślad w tkankach danego osobnika. I, jak sama wiesz, objawy są tak dziwaczne, że specjaliści są skłonni dopatrywać się tutaj przyczyny wewnętrznej, na przykład defektu porodowego czy anomalii genetycznej. Od razu na myśl przychodzą choroby takie jak akromegalia czy choroba Recklinghausena.

Karen skinęła głową. Słyszała, jak tę teorię wyrażali wszyscy eksperci medyczni, z którymi rozmawiała.

– Twierdzisz więc, że cała epidemia syndromu Pinokia jest atakiem terrorystycznym na wielką skalę? – spytała.

– Może raczej aktem czujności obywatelskiej – sprostował Grimm. – Dzięki syndromowi Goss eliminuje terrorystów. W zasadzie ich likwiduje.

– Ponieważ choroba jest zawsze śmiertelna – zauważyła Susan.

– Zgadza się.

Karen zastanawiała się przez chwilę.

– Dlaczego Goss po prostu nie zamordował ludzi, których chciał się pozbyć? – spytała.

– To proste – odparł Grimm. – Morderstwo zwraca uwagę. Ludobójstwo przyciąga jeszcze większą uwagę. Ale nikt nie pyta o straszną chorobę. Jest ona postrzegana jako niefortunny element życia. Jak rak czy AIDS.

– Rozumiem – powiedziała cicho Karen.

– Choroba może zabić tylu ludzi, ilu tylko chcesz – wyjaśnił Grimm. – I nikt nic nie wywęszy.

– Michael, jak mogłeś?

Ingrid patrzyła na brata szeroko otwartymi oczami, w których malowało się przerażenie.

– Co mogłem? – spytał Michael, by zyskać na czasie. – O czym ty mówisz?

– Słyszałam. Ten głos w telefonie. Ty i Goss... – wyznała. Na jej policzkach, niczym paciorki gniewu, lśniły oskarżycielsko łzy. – Chcesz pozwolić, by zamordował twoją żonę. Jak mogłeś?

Michael ruszył w jej stronę z wyciągniętymi rękami, jakby chciał ja objąć i błagać o przebaczenie.

– Ingrid...

– Jesteś potworem – powiedziała. – Ty i ten szaleniec. Co zrobiliście, Michael? O jakich dziewczynach on mówił? Co one wiedzą o tobie?

– Ingrid, opacznie wszystko zrozumiałaś. Jeśli się uspokoisz i pozwolisz mi wyjaśnić...

Nie zamierzała ustępować.

– Jakie dziewczęta? Co ty zrobiłeś? Och, Michael, to straszne. Zawsze miałam co do ciebie wątpliwości. Samobójstwo mamy... ale nigdy w to nie wierzyłam. Ufałam ci. Wierzyłam w ciebie. Jak mogłeś?

Oskarżała go, ale miłość do niego czyniła ją bezbronną. Zdawało się, że opuściły ją siły, kiedy podszedł bliżej. Gdy objął ją na progu swego pokoju, drżała bezradnie w jego ramionach. Nienawidziła go teraz, ale pragnęła, by ją ukoił.

– Ingrid, to wszystko nieporozumienie – zapewnił.

– O Boże, wszystkich nas oszukałeś – powiedziała. – Michael, przewijałam cię. Widziałam, jak dorastasz. Dałam ci wszystko. Jak mogłeś...?

– Ingrid, nie rozumiesz. – Poklepał ją po ramieniu.

– Zaczekaj, aż się tata dowie – uprzedziła. – To mu złamie serce.

Ujął jej ramię, jakby chcąc skierować siostrę w stronę swojego pokoju. Potem objął ją za szyję i złapał lewy nadgarstek prawą dłonią, zamykając obręcz na jej karku.

– Michael... Michael...!

Szarpała się, łapała ustami powietrze i wymachiwała masywnymi kończynami. Ale przytrzymał ją mocno i zawlókł do swojego pokoju. Miał przewagę wzrostu i siły.

## Rozdział 73

W samochodzie panowała cisza. Karen była wciąż oszołomiona po długiej podróży, nie jadła poza tym od kilkunastu godzin. Starła się za wszelką cenę ogarnąć tę straszliwą prawdę, którą wyjawiał jej Grimm.

– Mam pytanie – odezwała się po chwili.

– Słucham.

– Jeśli próbujesz sparaliżować jakąś część populacji, która może przeprowadzić atak terrorystyczny, to jak uniknąć ofiar wśród przypadkowych ludzi? Jak wybierasz konkretne jednostki?

Z tylnego siedzenia dobiegł cichy śmiech.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda?

Dłonie Karen znieruchomiały na kole kierownicy.

– Nie wybierasz konkretnych jednostek – sama sobie odpowiedziała. – Likwidujesz całą populację, prawda?

– Mądra dziewczyna.

Zjechała z trasy 395 i zwolniła przed światłami.

– Skręć w Canal Street i jedź do Independence – polecił Grimm.

Zrobiła, jak powiedział. Ruch był nieduży, zapadł już wieczór.

Zobaczyła radiowóz, policjanci obserwowali, jak skręca w lewo. Jechała powoli.

– Rozumiem, że epidemie z zeszłorocznej jesieni i zimy miały celowo ograniczony zasięg.

– Zgadza się – przytaknął Grimm. – Nie pomyliłaś się w swoim artykule. To, że choroba się nie rozprzestrzeniła, dowodziło, że była wywołana czynnikiem toksycznym.

– Jak wybierano poszczególne miejsca? – spytała Karen.

– Z reguły na chybił trafił. W biurze Colina Gossa w Atlancie wisi mapa świata.

Zaznaczone są na niej różne obszary. Eksperymentował z techniką, z procedurą stosowania.

– Ale od lutego główne skupisko choroby występowało w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w południowej Azji – zauważyła Karen.

– To część większego planu.

Karen zastanawiała się nad tym. Centrum światowego terroryzmu znajdowało się na Bliskim Wschodzie, a jego macki rozchodziły się stamtąd ku południowej Azji i północnej Afryce.

– A Everhardt i Palleschi? – spytała.



– Zaaplikowano im syndrom, żeby usunąć ich z drogi Michaela Campbella. To była pierwsza faza planu.

– Dlaczego zrobiono to jawnie? – nie mogła zrozumieć Karen. – Dlaczego nie usunięto ich po cichu?

– Goss podrzucił Everhardta i Palleschiego władzom medycznym celowo, na próbę. Chciał, by bezpośrednio zapoznały się z syndromem. Wiedział, że zrobią wszystko, by go zrozumieć i rozwiązać zagadkę, którą kryje, ponieważ ofiary były znane. Wątpił, by im się to udało, ale chciał mieć pewność.

Karen rozmyślała przez chwilę.

– A narażenie ich na syndrom...

– Nic prostszego – dokończył Grimm. – Ochrona wiceprezydenta nie jest szczególnie ścisła. Jeśli chodzi o Palleschiego, nie było jej na dobrą sprawę w ogóle. Everhardt dostał to w swoim gabinecie. Szklanka wody, która, jak sądził, pochodziła z automatu. Palleschi zamówił sobie kieliszek valpolicelli w winiarni.

– A więc dlatego były tylko dwie ofiary w Waszyngtonie, podczas gdy w innych miejscach setki, a nawet tysiące – zauważyła Karen.

Grimm się uśmiechnął.

– Słusznie. Goss zamierzał zmylić administrację, chciał, by miała się nad czym zastanawiać. Udało się, jak sama wiesz.

Karen potrząsnęła głową. W najczarniejszych koszmarach nie spodziewała się takich rzeczy. Grimm wyliczał je, jakby czytał komunikat meteorologiczny.

– Dlaczego epidemia w Ameryce skończyła się wraz ze styczniem? – spytała.

– Goss chciał stworzyć poparcie dla Campbella i prezydenta. Jego własna kandydatura opierała się na lęku przed syndromem Pinokia. Wraz ze zniknięciem lęku przyszedł też blask Gossa. Jak się przekonałaś, zadziałało.

Samochód zbliżał się do pomnika Waszyngtona od strony południowo-wschodniej. Potężna iglica wbijała się w nocne niebo.

– Stań tuż za rogiem Piętnastej – nakazał Grimm. – Jest tam bezpłatny parking.

Karen zrobiła, jak jej powiedział. Spojrzała na odbicie Grimma w lusterku wstecznym.

– Mówiłeś o większym planie.

Grimm przytaknął.

– Nawet człowiek dysponujący taką władzą jak Goss nic by nie zdziałał w pojedynkę. Wykryliby go prędzej czy później. Technologia potrzebna do realizacji planu to jedno. Możliwość jego zatuszowania to drugie. Bez tego nie mogło być mowy o powodzeniu.

– Zatuszowanie?

– Tak. I przekonanie opinii publicznej, by to zaakceptowała. Taka koncepcja to nic nowego. Żeby zmusić ludzi do akceptacji zabójstwa Kennedy'ego, trzeba mieć komisję Warrena. Żeby opinia publiczna zaakceptowała wojnę wietnamską, potrzeba rezolucji w sprawie incydentu w Zatoce Tonkińskiej. Żeby zaakceptowała aferę Iran-Contras, trzeba było przesłuchać przed komisją kongresu i Olivera Northa. Tylko rząd może oszukiwać ludzi, i to bezustannie.

Karen skinęła głową. Często przychodziło jej to głowy, gdy myślała o sprawach, które nie zostały wyjaśnione. Z powodów jasnych tylko dla filozofa albo specjalisty od psychologii zbiorowej z rządem zawsze wiązały się kłamstwa. Można było nawet zakładać, że ludzie powoływali rządy, by te chroniły ich przed niewygodnymi prawdami. Rząd jest jak rodzic, który musi podkładać prezenty pod choinkę, ale jednocześnie ukrywać przed dziećmi fakt, że święty Mikołaj nie istnieje.

– Rozumiem – powiedziała. – Ale dlaczego podjął kroki, które zaszkodziły jego poparciu w sondażach?

– Nie domyślasz się?

– Chciał, żeby Campbell został wiceprezydentem – domyśliła się.

– Punkt dla ciebie. A dlaczego tego chciał? Karen potrząsnęła głową.  
– Nie jestem pewna.  
– Kandydatura Gossa byłaby zbyt kontrowersyjna – wyjaśnił Grimm. – Ma wielu wrogów. Gdyby udało mu się doprowadzić do wyborów nadzwyczajnych, zawsze istniałoby ryzyko przegranej. Znacznie bezpieczniej byłoby umieścić bohatera w Białym Domu, człowieka, w którego zalety nikt nie wątpi. Campbell pasował idealnie.  
Karen przytaknęła.  
– Jesteś gotowa wysłuchać reszty? – spytał Grimm. – Liczę na ciebie. Tylko ty jedna będziesz znać prawdę.  
– Jestem gotowa – zapewniła Karen.  
– Prezydent zostanie wyeliminowany niedługo po przejściu przez Campbella stanowiska jego zastępcy. Michael Campbell zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.  
– Ach – pojęła Karen. Była zdumiona rozmiarami oszustwa, jakie Goss zamierzał wprowadzić w czyn, i okrutną przewrotnością jego planu. – A potem co?  
– Campbell wybierze jakiś bezbarwny rząd, złożony z typowych waszyngtońskich partyjniaków – mówił dalej Grimm. – Ale w wyniku zaskakującej decyzji powoła Gossa na jakieś pozarządowe stanowisko, które nie wymaga zgody Senatu, na przykład doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jak zrobił Nixon z Kissingerem. Posłuży się przy tym wymówką, że potrzebuje w tych niebezpiecznych czasach silnego wroga terroryzmu.  
– Rozumiem – przytaknęła Karen.  
– Potem syndrom rozprzestrzeni się po całym świecie muzułmańskim. Zetrze z powierzchni ziemi każdą grupę, z której wywodzą się terroryści od chwili powstania Izraela, każde państwo terrorystyczne. Ze względów praktycznych świat arabski przestanie istnieć.

– Ingrid, posłuchaj. Po prostu posłuchaj.  
Michael ścisnął mocno. Usłyszał jęk; Ingrid walczyła o oddech.  
– Ingrid, nie wiesz, co mówisz. Musisz mnie wysłuchać.  
Ścisnął z całej siły i wykręcając mocno, pociągnął ją ku podłodze, jak kowboj cielaka na rodeo. Broniła się. Jej dłonie szarpały go rozpaczliwie za ramię.  
Upadł obok niej. Myślał o Juddzie, o jego rychłym powrocie do domu, o tym, co musi w związku z tym zrobić. Ale jednocześnie myślał: To moja siostra. Moja jedyna siostra. Ścisnął mocniej. Chciał tylko, by to się już skończyło.  
Na ścianach wisiły zdjęcia rodzinne Campbellów. Michael jako dziecko na kolanach matki i Ingrid. Michael i Stewart w malej zagłównie. Michael i jego ojciec na brzegu, w tle wody zatoki. Matka i Ingrid, matka i Stewart. A potem, po śmierci Margery, Susan.  
Susan z Michaeliem w szpitalu. Susan na rowerze, obok Michaela, kiedy trenował do olimpiady. Susan i Ingrid roześmiane w kuchni, obie w identycznych fartuchach z napisem: „Och, jak bardzo cierpię”. Susan i Judd na ganku, usadowieni na bujanej kanapie, zupełnie jak córka i ojciec.  
Błagam, Boże. Michael poczuł dreszcz konwulsji, jakie wstrząsnęły jego siostrą. Błagam. Wiedział, że jest o krok od czegoś strasznego, czegoś nie do zniesienia. Ingrid, oprócz Susan, była kobietą, którą kochał najbardziej w świecie.  
By dodać sobie siłę, powędrował myślami do wczesnych lat. Przypomniał sobie skupioną i roześmianą twarz siostry w dniu, kiedy uczyła go jeździć na dwukołowym rowerze. Tata był akurat w pracy, a Stewart w szkole. Ingrid zaprowadziła Michaela w dół ulicy, gdzie wzdłuż plaży ciągnął się równy i płaski chodnik, posadziła go na siodełku. Biegła obok niego, dysząc z wysiłku i zachęcając: „Szybciej, Mike, szybciej!”. A on w końcu osiągnął tę tajemniczą granicę, gdzie prędkość roweru połączyła się z naturalnym zmysłem równowagi jego ciała, co umożliwiło jazdę.

„Szybciej, Mike! Szybciej! Prawie ci się udało!” To dawne podniecenie wróciło teraz do niego, ten powiew wiatru na policzkach, kiedy jechał coraz prędej. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że twarz Ingrid niknie w dali. Machała do niego i klaskała z radości. „Dobry chłopiec! Złapałeś to, Mike! Dobry chłopiec!”

Miał wrażenie, że tamten świeży i czysty powiew omiata mu twarz, tłumiąc odór defekacji i śmierci. Z wdzięcznością pozegłował w otchłań wiatru, który suszył mu łzy na policzkach.

I tak dawne wspomnienie przyniosło Michaelowi ulgę, kiedy siostra umierała mu w ramionach.

– Ingrid, Ingrid...

Leżał obok niej długą chwilę, nasłuchując własnego rozpalonego oddechu, który uspokajał się z wolna. Przyłgął do siostry, jak w latach dziecińczych, kiedy sypiał czasem w jej łóżku.

Potem uświadomił sobie, że musi działać szybko. Judd miał wrócić za czterdzieści pięć minut, może nawet wcześniej. Nie mógł tak pozostawić Ingrid.

Samobójstwo, pomyślał. Zaduszenie się. Powieszenie. Samobójstwo.

Podniósł ją i ruszył w stronę pozostałych sypialni. Matka popełniła samobójstwo, wieszając się. Ingrid zrobiła to samo...

Zataczał się pod jej ciężarem, osłabiony walką, jaką właśnie stoczył.

Depresja wywołana porwaniem Susan, pomyślał. Załamanie nerwowe. Nigdy nie była silna...

Rozmyślając gorączkowo, niósł Ingrid w stronę jej sypialni.

Czym się posłużyła? Paskiem. Matka posłużyła się paskiem...

Był już w drzwiach pokoju siostry. Przypominał sobie samobójstwo matki. Powiesiła się na belce sufitowej sypialni. Podobna belka znajdowała się w pokoju Ingrid.

Wzięła przykład z matki, pomyślał, stękając z wysiłku, kiedy niósł ciało siostry w stronę okna, nad którym widniała belka.

Położył ciało na ziemi, odwrócił się w stronę garderoby i stanął, zastanawiając się.

Potrzebował paska. Osobiste rzeczy Ingrid na niewiele mogły się tu przydać. Była zbyt tęga, by nosić sukienki z paskiem. Może płaszcz...

Michael nagle wpadł na pomysł. Ingrid poświęciła swe życie Juddowi. Jak wiele starych panien, wykazywała skrzywienie emocjonalne na punkcie ojca. Jeśli popełniła samobójstwo, to mogła wykorzystać w tym celu jeden z pasków ojca...

Michael popędził korytarzem do pokoju Judda i otworzył gwałtownie drzwi garderoby. Kolekcja skórzanych pasków wisiała na wieszaku obok krawatów. Michael dokonał szybkiej inspekcji, nim wybrał grubszy, z masywną klamrą.

Posłużyła się paskiem ojca, pomyślał. Straciła kontrolę nad sobą, działała instynktownie...

Pobiegł z powrotem do sypialni Ingrid i ukląkł obok niej. Założył jej pasek na szyję i zaczął podnosić ciało. Była bardzo ciężka. Jego siła niemal go zawiodła. Ale lata treningu, jakiemu poddawał swoje ciało, pomogły mu teraz.

Z oczu płynęły mu łzy. Zastanawiał się, czy rzeczywiście zdoła sobie z tym poradzić.

Lecz usłyszał głos Gossa: „Synu, pomyśl o niej jak o żołnierzu, który oddał życie na wojnie, który umarł dla wielkiej sprawy”.

Uniósł Ingrid ze stęknięciem.

Wielka sprawa, pomyślał.

## Rozdział 74

– Kiedy już Arabowie zostaną zneutralizowani, zasobami ropy naftowej zaczną zarządzać potęgą zachodnie – powiedział Grimm. – Zyski będą dzielone sprawiedliwie. Wspaniały prezent dla gospodarki każdego zaangażowanego kraju, zwłaszcza Europy Zachodniej. Cena

ropy dławi ten kontynent od trzech pokoleń. Jak się zapewne domyślasz, jego mieszkańcy nie będą zbyt gorąco sprzeciwiać się śmierci kilkuset milionów Arabów.

– Ludzie nie nabiorą podejrzeń, kiedy epidemia się nie rozprzestrzeni?

– A czy nabrali podejrzeń, kiedy epidemia AIDS skupiła się w Afryce? – odparł Grimm.

Karen skinęła głową.

– Wiem, co masz na myśli.

– Oczywiście, niektórzy będą coś podejrzewać – przyznał Grimm. – Ale nie dowiedzą się prawdy. Po pierwsze, materiał naukowy kryjący się za syndromem jest zbyt ulotny. Goss wyprzedził swych kolegów o lata świetlne, kiedy odkrył zasadę leżącą u jego podstaw. Ale nawet gdy ktoś się zorientuje, o co chodzi, władze to zatuszują.

– Skąd ta pewność?

– Prawda o Kennedym nigdy nie wyszła na jaw, co? Karen potrząsnęła w zamyśleniu głową.

– Fakt. Nie wyszła.

Zapadło milczenie. Karen widziała w lusterku wstecznym, że Grimm ma na sobie kurtkę sportową. Jego głowa, w kamuflażu czapki bejsbolowej i ciemnych okularów, wyglądała szczególnie złowieszczo.

Karen wreszcie zadała pytanie, które kołatało się jej w myślach od dwóch lat:

– Obecny klimat polityczny jest w znacznej mierze rezultatem ataku na World Trade Center i Crescent Queen – powiedziała. – I oczywiście kryzysu paliwowego, no i recesji. Czy Goss jest dostatecznie potężny, by wywołać coś takiego jak kryzys paliwowy?

– Oczywiście – zapewnił Grimm bez wahania.

– I Crescent Queen – dodała. – Nigdy nie odkryli, kto za tym stał. Czy Goss mógł mieć z tym coś wspólnego?

– Nie pytaj, czy mógł. Spytaj, czy miał. Karen poczuła, jak lodowacieją jej dłonie.

– Miał? Grimm milczał.

Karen rozmyślała dłuższą chwilę. To wszystko, co usłyszała, było zbyt potworne, by dać temu wiarę. A jednak zgadzało się z faktami. Tragedia Crescent Queen stworzyła klimat niepewności, który przygotował grunt dla znacznie bardziej przerażającego syndromu Pinokia. Obie te rzeczy pasowały do siebie jak dwa elementy układanki.

Przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

– Ten plan z epidemią... Czy na tym się skończy? Na zniszczeniu świata terrorystów?

Znów rozległ się z tyłu cichy śmiech.

– A jak sądzisz?

Karen powróciła myślą do wielkich eksperymentów ludobójczych przeszłości. Hitler, Stalin, Idi Amin, Kurdowie w Iraku, Milosevic w Kosowie. Ludobójstwo stanowiło nałóg, który trudno było zwalczyć. Rzadko zniszczenie ograniczało się do jednej określonej grupy.

– Muzułmanie i ich terroryści to główne zagrożenie dla cywilizowanego świata – wyjaśnił Grimm. – Ale są też inne odłamy, które można uznać za niepożądane. Komuniści. Przestępcy. Żydzi. Homoseksualiści. – Roześmiał się. – Niektórzy intelektualiści. Ludzie o niekonwencjonalnych poglądach. Nawet pewni dziennikarze, jak przypuszczam. Mam wyliczać dalej?

– Na czym Goss opiera przekonanie, że ludzie to zaakceptują?

– Wielokrotnie to wyjaśnia! – odparł Grimm. – Siedzieliśmy razem do późna w nocy i dyskutowaliśmy nad tym. Jest bardzo elokwentny. Według niego są dwie fazy. Podczas pierwszej wszystko ma postać epidemii. Tak jak AIDS. A jeśli z czasem do powszechnej świadomości przeniknie ziarenko prawdy, to i tak „przywykną do tej koncepcji”. To jego słowa.

– Kto do niej przywyknie?

– Wszyscy. W zamian za spokojny, pełen dobrobytu świat ludzie obetrą łzy wylane nad miliardem ofiar czy podobną liczbą. Zwłaszcza gdy ci, którzy zmarli, byli za życia niewygodni. Ekonomicznie bezproduktywni, politycznie kłopotliwi.

– Jezu Chryste. – Karen westchnęła.

– Zapanuje powszechne przekonanie, że syndrom Pinokia wybiera swe ofiary w tajemniczy sposób – oświadczył Grimm. – Ludzie to zaakceptują. A z czasem, z upływem dziesięcioleci, ich ciekawość i wrażliwość stepieje. Syndrom stanie się częścią życia. Okaże się nieuleczalny jak rak. Będzie się eliminować niepożądane grupy, te pożądane też czasem dotknie epidemia, żeby stworzyć pozory normalności. Kontrola zaludnienia stanie się o wiele mniejszym problemem, ponieważ syndrom będzie atakował obszary o znacznym wzroście populacji. Życie w ostatecznym rozrachunku okaże się lepsze. Ludzie nie będą narzekać.

– Dominacja nad światem – zauważyła cicho Karen.

– Właśnie. Dominacja nad światem ze strony narodów bardziej cywilizowanych. Usunięcie mniej cywilizowanych, najmniej potrzebnych.

Karen się obróciła.

– Nie rób tego – przestrzegł Grimm, naciągając na oczy daszek czapki.

– Przepraszam – powiedziała Karen. – Nie myślałam przez chwilę. Chciałam cię tylko zapytać, jak można to powstrzymać.

– To będzie twój problem – uprzedził Grimm. – Goss doskonale się zabezpieczył. Ma też pewne wpływy w rządzie i służbach wywiadowczych. Ale uważa przede wszystkim, że nikt nie uwierzy w taką historię, jeśli ktokolwiek zechce ją opowiedzieć. Jest po prostu zbyt niewiarygodna. Zbyt fantastyczna.

– Rozumiem.

Karen też miała opory, by zaakceptować bez zastrzeżeń rozmiary tego horroru, o którym mówił Grimm. Zbliżał się koniec wolnego świata. Rodzajowi ludzkiemu zagrażała dyktatura stokrotnie gorsza od hitlerowskiej.

Grimm zdawał się czytać w jej myślach.

– Zawsze istnieje szansa. Nikt nie wierzył w opowieści o Hitlerze i obozach śmierci, kiedy pojawiły się po raz pierwszy w prasie. Nikt nie wierzył w Stalina i jego czystki – na początku. Ale z czasem ludzie nauczyli się wierzyć. To możliwe. Nikt nie uwierzył w sprawę Iran-Contras. Ale uwierzono w dokumenty Pentagonu ujawnione przez Ellsberga. Uwierzono w aferę Watergate.

– Rozumiem – przytaknęła Karen.

– Prawda jest bardzo krucha – tłumaczył Grimm. – Najczęściej nie może współzawodniczyć z kłamstwem. Albo z urojeniami, mitami czy plotkami. Ale czasem prawda trwa na przekór wszystkiemu. Niekiedy nawet zwycięża. – Roześmiał się. – Wszystko zależy od dziennikarza i, oczywiście, świadka. Co prawda dała oskarżycielom Simpsona? Co dała komisji od Iran-Contras? Prawda o Kennedym była znana w 1964, ale nigdy nie mogła konkurować z przykrywkami i mitami.

Karen słuchała w milczeniu. Miał rację. Sama wielokrotnie widziała, jak kłamstwo zwycięża prawdę. Ale czasem z jakichś niejasnych powodów prawda docierała do ludzkich uszu.

– Decydujący czynnik może wydawać się nieistotny – ciągnął Grimm. – Taśma magnetofonowa, ślad krwi czy pieniędzy. Głos w telefonie. Twarz na zdjęciu.

– Co masz na myśli? – spytała Karen.

– Ktokolwiek porwał Susan Campbell, zrobił jedyną rzecz, która mogła podkopać cały plan – wyjaśnił Grimm. – Nie wiem, kto to był. Goss też nie wie. Jak się przekonałaś, Campbell nie mógł zbroczyć z wyznaczonego szlaku. Odmówił spełnienia żądania. Nie miał wyboru. Jeśli chcesz mieć swoją szansę i powstrzymać to wszystko, znajdź Susan Campbell i ludzi, którzy ją przetrzymują. I znajdź ją, zanim zrobi to Goss...

Karen spoglądała przez szybę samochodu na pomnik Waszyngtona, który nagle wydał jej się okrutny, kiedy tak godził iglicą w niebo. Lśniący, okrutny i pusty, falliczny symbol żarłocznej ambicji człowieka.

– Spróbuję – obiecała. – Możesz mi pomóc? Grimm potrząsnął głową.

– Wiesz wszystko to, co ja. Resztę musisz poznać sama. Tylne drzwi nagle się otworzyły. Grimm wysiadał.

– Zaczekaj! – krzyknęła Karen.

Drzwi trzasnęły. Ku zaskoczeniu Karen Grimm nie uciekł. Obszedł spokojnie samochód i stanął w świetle reflektorów. Obrócił czapkę daszkiem do tyłu. Karen ujrzała wysokie czoło, ziemistą i pomarszczoną skórę, wąskie wargi.

Na moment uniósł okulary. Miał niebieskie oczy. Sprawiały wrażenie dziwnie rozbieganych, jakby pod wpływem narkotyku czy wiedzy, która była nie do zniesienia.

Uśmiechnął się. Zamrugał. Potem opuścił okulary. Uniósł prawą dłoń. Trzymał w niej pistolet. Karen drgnęła odruchowo, wciskając się w fotel.

Ale broń nie była skierowana w jej stronę. Tkwiła w jego ustach. Wypaliła z hukiem, który odbił się echem od ścian budynków rządowych, skupionych w mroku, by strzec ładu i porządku państwa.

Grimm runął jak kamień, a potem leżał bezwładnie w kałuży własnej krwi.

Karen bezgłośnie krzyknęła. Poczula lzy spływające po twarzy. Dysząc spazmatycznie, wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła wóz. Zdążyła uchwycić obraz krwi spływającej do rynsztoka, kiedy szarpnęła gwałtownie kierownicą i odjechała.

## Rozdział 75

Hamilton, Wirginia

21 kwietnia

Pogrzeb Ingrid Campbell odbył się w kościele prezbiteriańskim, w niewielkim mieście niedaleko domu Judda Campbella nad zatoką. W związku z porwaniem Susan nie zaproszono nikogo spoza najbliższej rodziny. Większość mieszkańców znała jednak Ingrid i ci, którzy pragnęli uczestniczyć w uroczystości, mogli wejść do kościoła.

Pastor mówił o niezmienniej lojalności Ingrid wobec rodziny i jej miłości do ludzi. Ingrid poświęcała mnóstwo czasu działaniom charytatywnym. Jako zamożna kobieta – Judd założył jej przed laty fundusz powierniczy – nie potrzebowała pieniędzy w życiu prywatnym i rozdała niemal wszystko, co miała. Co najmniej tuzin rodzin z miasteczka skorzystało z jej hojności. Udostępniono im mównicę po kazaniu pastora i kilkoro mieszkańców mówiło ciepło o dobroci Ingrid i jej trosce o innych.

Nabożeństwo na cmentarzu odłożono na kilka tygodni. Zdecydował tak Judd Campbell, nie podając nikomu powodów. W rzeczywistości wciąż miał nadzieję, że Susan wróci do domu. Traktowała zawsze Ingrid jak ukochaną starszą siostrę. Na pewno chciałaby uczestniczyć w uroczystości przy jej grobie.

Po pogrzebie Judd siedział w domu, odbierając telefony z kondolencjami od przyjaciół i krewnych, podczas gdy Stewart, który przyjechał z Baltimore, dotrzymywał towarzystwa Michaelowi. Żona Stewarta, June, przywiozła produkty na skromną kolację i szykowała posiłek dla mężczyzn. Zauważyła, że Judd szuka jej towarzystwa. Czuła na sobie jego wzrok, kiedy krzątała się w kuchni. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu rodzinnym Campbellów zabrakło kobiety. Judd był człowiekiem, który potrzebował opieki i uwagi kobiet. Dlatego tak bardzo był uzależniony od Ingrid po śmierci Margery, podobnie jak od Susan po jej ślubie z Michaeliem. Teraz czuł się zupełnie zagubiony.

Stewart zdjął okulary, kiedy przyszła pora na kolację. June dostrzegła jego podobieństwo do Judda, które w miarę upływu lat stawało się coraz bardziej wyraźne. Szkocko-irlandzkie rysy, intensywnie niebieskie oczy, wysokie czoło... Było to dziwne, że Stewart, który z całego rodzeństwa najmniej lubił Judda, najbardziej go przypominał. Ingrid była podobna do matki, a ciemne włosy i oczy Michaela zdawały się pochodzić od jakiejś dawno zapomnianej gałęzi rodzinnej Margery.

June wyjechała po kolacji, ale Stewart został. Dostrzegł rozpacz na twarzy ojca i brata. Choć nie czuł się dobrze w tym domu i nie oczekiwał, że śmierć Ingrid zbliży go z Juddem, był świadomy jakiegoś nieznośnego napięcia między sobą a ojcem. Jakby obaj przekroczyli granicę żalu i mieli lada chwila wybuchnąć.

– Co mówi policja? – spytał ojca.

– Nic – odparł Judd z typową dla siebie pogardą dla oficjalnej władzy. Ale wyczuwało się w jego głosie ogromny smutek. Stewart uświadomił sobie, że odezwał się nie w porę. Był to najgorszy możliwy moment, by przypominać Juddowi o Susan.

Trzej mężczyźni spędzili wieczór przed telewizorem w salonie, wymieniając czasem uwagi na temat Ingrid. Wieczór okazał się kłęską. Nie potrafili pocieszyć się nawzajem. Stewart czuł się jak piąte koło u wozu. Porzucił dom rodzinny dawno temu i niezmiennie opierał się wysiłkom Ingrid i Susan, które pragnęły przyciągnąć go z powrotem. Wdał się pod tym względem w ojca, gdyż nie było bardziej upartego człowieka niż Judd Campbell. Wydawało się już za późno, by cokolwiek naprawić. Kiedy Stewart mówił ze współczuciem o Ingrid, ojciec patrzył na syna, jakby go nie widział.

Po chwili Stewart skierował uwagę na Michaela, ale brat wydawał się nieobecny. Trudno się było dziwić. Jego siostra nie żyła, żona prawdopodobnie też.

Za oknami fale łomotały o brzeg głośniej niż zwykle. Mewy krzyczały niczym z bólu. Wszystko się rozpada, pomyślał Stewart. Odeszło życie, które jego ojciec i brat prowadzili i uznawali za coś niezmiennego przez te wszystkie lata. Jak zamierzali je odbudować? Zwłaszcza w sytuacji, gdyby nie powróciła Susan...

Stewart został z nimi do północy, ale potem poszedł na górę do sypialni, którą zajmował w latach chłopięcych. Wyczuwał, że między Juddem i Michałem jest coś, z czego był wykluczony. Głębia smutku, być może, albo jakaś nić wspomnienia czy miłości, która stanowiłaby ogniwo łączące ich z Ingrid.

Przywiózł ze sobą zbiór esejów historycznych o wojnie secesyjnej i próbował czytać w łóżku. Nie mógł się jednak skoncentrować i wkrótce zgasił światło. Jeśli na dole toczyła się jakaś rozmowa, to i tak jej nie słyszał. Zagłuszały ją fale uderzające o niedaleki brzeg. Leżał w ciszy długą chwilę, rozmyślając o Ingrid. Potem zapadł w mroczny, męczący sen.

Stewart myślał się co do Judda i Michaela. Nie łączyła ich żadna więź, kiedy siedzieli w salonie, a na ich twarze padał migotliwy blask telewizora. Michael patrzył gdzieś w przestrzeń zamglonym wzrokiem, ale po twarzy nie spływały mu łzy. Szczęki miał dziwnie zaciśnięte w niemym uporze.

Judd obserwował go kątem oka. Cały czas czekał, aż Stewart pójdzie spać, by móc skupić uwagę wyłącznie na młodszym synu.

Znał ten wyraz jego twarzy. Był taki sam jak po śmierci Margery. I jak po odrzuceniu żądania porywaczy, którzy przetrzymywali Susan.

Tego wieczoru Judd znów dostrzegł to w obliczu Michaela.

Lecz tej nocy, po raz pierwszy, Judd patrzył na tę kamienną, umęczoną twarz inaczej. Nie była to twarz syna, którego kochał i rozumiał, ale twarz obcego człowieka.

## Rozdział 76

Waszyngton

27 kwietnia

Biuro agencji nieruchomości było przyzwoite, ale niespecjalnie eleganckie.

Znajdowało się na terenie kompleksu handlowego w Congress Heights, niedaleko szpitala. Jego właściciel zarabiał trochę na sprzedaży domów i apartamentowców, ale główne dochody firmy pochodziły z wynajmu i dzierżawy budynków o niskim standardzie, zlokalizowanych w śródmieściu.

Nazywał się Tyrone Cocker. Miał na sobie białą koszulę od garnituru z wytartym kołnierzykiem i zapinany na zaczep krawat, który pamiętał lepsze czasy. W skórzanym pasku wybito dodatkową dziurkę, co miało zatuszować sterczący brzuch. Na rękę nosił wielki zegarek cyfrowy i kilka sygnetów. Nieliczne pasemka włosów przylegały starannie do łysej, piegowatej głowy. Pachniał wodą kolońską i papierosami.

Zarabiał znacznie mniej niż w czasach, gdy pracował dla White & Abercombe, sprzedając rezydencje w Georgetown i na przedmieściach, warte miliony dolarów. Kosztowny rozwód, kłopoty z prawem wywołane niejasnymi kontraktami i krótkotrwały nałóg narkotykowy zaszkodziły jego karierze.

Siedział za biurkiem, patrząc na Karen Embry. Była ubrana w białą bawełnianą sukienkę z delikatnymi ramiączkami i dużym dekoltem. Miała dużą torebkę, a na nogach buty na niskim obcasie. Wyglądała elegancko i nieco sztywno, ale strój nie mógł ukryć kuszących linii jej ciała.

Powiedziała mu, że szuka starszej siostry.

– Pokłóciła się z matką – wyjaśniła. – Nigdy właściwie się nie pogodziły. Staralam się panować nad sytuacją, ale w końcu wymknęła się spod kontroli. Doszło do wielkiej awantury i Judy wyniosła się, nie zabierając nawet swoich rzeczy.

Karen starała się sprawiać wrażenie osoby, której uczucia zraniono.

– Judy jest w gorącej wodzie kąpana – wyznała. – Zabawne, ale pod tym względem jest podobna do mamy.

Agent obserwował jej twarz. Najwyraźniej sprawiała na nim wrażenie atrakcyjność Karen. Wydawał się pełen zrozumienia.

– Dlaczego pani uważa, że wynajęła dom? – zainteresował się.

– Nie znosi mieszkań. Hałas kanalizacji u sąsiadów bardzo ją denerwuje. Od czasu studiów jej noga nie powstała w żadnym mieszkaniu. Nawet jeśli uderza ją to po kieszeni, zawsze wynajmuje dom.

Karen nie mówiła oczywiście, o co jej rzeczywiście chodzi. Zakładając, że Justine Lawrence przeniosła się do Waszyngtonu, ostatniego przystanku na trasie swej odysei, Susan Campbell musiała być przetrzymywana gdzieś w mieście. Tak przypuszczała Karen. Znacznie łatwiej więzić kogoś w domu niż w mieszkaniu. Domy w przeciwieństwie do mieszkań miały piwnice, strychy, pomieszczenia bez okien.

Należało więc zakładać, że porywacze Susan unikaliby raczej modnej okolicy, gdzie roi się od hałaśliwych sąsiadów, ogrodników i dozorców. Wybraliby raczej niewielki, niedrogi dom w obrębie miasta, gdzie każdy pilnuje własnych spraw. Hałas samolotów sugerował jakąś dzielnicę w pobliżu większych lotnisk.

Tyrone Crocker był siódmym z kolei agentem nieruchomości, którego Karen odwiedziła. Stopniowo doskonaliła opowiadanie o sobie jako młodszej siostrze Justine, by nie wzbudzać podejrzeń tych, których pytała. Nie mogła powiedzieć im nic, co choć odrobinę przypominałoby prawdę.

– Hm – mruknął agent, skrywając pod przyjacielskim wyrazem twarzy powątpiewanie. – No cóż, nikt o tym nazwisku niczego u mnie nie wynajął.



Mogła posłużyć się przybranym nazwiskiem – zauważyła Karen. – Nie dlatego, by miała jakieś kłopoty z prawem czy coś w tym rodzaju. Nie chce po prostu, by znaleźli ją rodzice. Jest bardzo urażona.

Słyszac to, agent nie mógł ukryć podejrzliwości. Zawsze żądał jakiegoś dokumentu od swoich klientów. Było to podstawowe zabezpieczenie. Tak wielu uciekło, nie płacąc czynszu, że stało się to koszmarem jego życia. Musiał brać odpowiedzialność za swoich lokatorów wobec właścicieli lokali.

– Oczywiście, z czynszem nigdy nie będzie problemów – zapewniła go Karen. – Zawsze płaci w terminie. Jest bardzo sumienna w takich sprawach. Umie oszczędzać.

Tyrone skinął głową.

– Słusznie.

– Pokazać panu jej zdjęcie? – spytała Karen, grzebiąc w torebce. – Może pan sobie przypomni, jeśli wynajmowała u pana.

– Oczywiście. Czemu nie?

Tyrone założył okulary do czytania, kiedy Karen podała mu powiększenie wykonane z polaroidu Justine Lawrence.

– Nie jest najnowsze – uprzedziła. – Rzadko przebywała ostatnio z rodziną, nie mamy więc innych zdjęć.

Tyrone oglądał zamyślony fotografię.

– Niech mnie diabli – powiedział. – To ona.

– Naprawdę? – spytała z ożywieniem Karen.

– Tak. Mam dobrą pamięć do twarzy – pochwalił się, ale po chwili zmrużył oczy. – Ale tu wygląda trochę inaczej.

– Naprawdę? Pod jakim względem?

Tyrone przyglądał się fotografii.

– Tu ma ciemniejsze włosy. Kiedy pokazywałem jej dom, wyglądała bardziej na blondynkę. Wydawało się jednak, że chodzi mu o coś innego.

– Wiem, że zawód wymaga od pana spostrzegawczości – starała mu się przypochlebić. – Jestem pewna, że dostrzeże pan rzeczy, których normalni ludzie nie widzą.

Obrzucił Karen taksującym spojrzeniem. Zastanawiał się, ile jest dla niej warta informacja, której potrzebowała.

– Proszę się nie wahać i powiedzieć szczerze, co panu leży na sercu – zachęcała go. – Judy miała od lat pewne problemy. Natury umysłowej, chcę powiedzieć...

Skinął głową.

– No dobrze. Nie chciałem początkowo nic pani mówić. Rzeczywiście, wydawała się dziwna. Jej oczy... patrzyła w taki szczególny sposób, rozumie pani, o co mi chodzi? Stykam się czasem z takimi ludźmi. Mam w ofercie miejsca w ośrodkach rehabilitacyjnych dla byłych pacjentów szpitali psychiatrycznych, których zwolniono do domu. – Popatrzył na zdjęcie. – Pani siostra miała takie spojrzenie. I jeszcze...

– Jest pan niezwykle wyrozumiały – ciągnęła go za język Karen. – Doceniam to. Zauważył pan coś jeszcze?

– Jej lewy nadgarstek, kiedy podpisywała umowę – odparł Tyrone. – Były na nim nacięcia. Blizny.

– Tak, to ona. – Karen się uśmiechnęła. – To wspaniała wiadomość. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ją zobaczę. Bardzo mi pan pomógł, panie Crocker.

Otworzyła torebkę i wyjęła pióro.

– Jaki to adres?

Pośrednik znów nabrał podejrzliwości.

– Nie będę miał z tego powodu żadnych kłopotów, prawda?

Karen z przekonaniem potrząsnęła głową.

– Absolutnie żadnych. Obiecuję. Chcę ją tylko zobaczyć. Upewnić się, że wszystko u niej w porządku. Ucieszy się, jak mnie ujrzy. Zawsze się świetnie dogadujemy. Tylko matki nie może znieść. Będę panu dozgonnie wdzięczna. I obiecuję, że nigdy nie będzie pan miał żadnych problemów z czynszem. Mogę to panu zagwarantować, jeśli pan sobie życzy.

– Bierze jakieś leki? – spytał.

– Och, na Boga, nie – zapewniła z uśmiechem Karen. – Brała bardzo dawno temu, teraz już nie potrzebuje. Zauważył pan pewnie, że jest bardzo odpowiedzialna i zrównowazona.

Przytaknął niechętnie.

– Owszem, wydawała się całkiem normalna. Z wyjątkiem tego spojrzenia.

– To pewnie ze zdenerwowania, że podpisuje umowę – wyjaśniła Karen. – Jest naprawdę bardzo zrównowazona.

– Hm – mruknął agent i sięgnął do pliku karteczek na biurku. – Zapiszę pani adres. To jedna przecznica za supermarketem 7-11. Trudno nie trafić. Na rogu jest stacja metra.

Podał kartkę Karen, która wyszła od niego, dziękując wylewnie.

Od razu wsiadła do hondy, rozgrzanej od wiosennego słońca. Pomyślała, że to zapowiedź gorącego lata. Uruchomiła klimatyzację i opuściła szybę.

Radio, nastawione na całodobowe wiadomości, było jak zwykle włączone.

„Senator Campbell był niedostępny i nie udzielił żadnego komentarza – mówił reporter. – Trudno mu się dziwić w tej sytuacji. Samobójstwo jego jedynej siostry, podczas gdy żona wciąż przebywa w rękach porywaczy, jest niezwykle bolesnym ciosem, tym bardziej że wielu przedstawicieli władz i służb policyjnych wątpi, czy Susan Campbell jeszcze żyje”.

Karen sięgnęła do torebki i wyjęła telefon komórkowy. Odszukała numer biurowy Joego Kraiga i zadzwoniła.

– Agenci federalni, w czym mogę pomóc?

– Chciałabym rozmawiać z agentem Joem Kraigem.

– Przepraszam, a kto mówi?

– Karen Embry.

– Chwileczkę.

Karen zapaliła papierosa i czekała, obserwując ruch uliczny. Prędkiej, poganiała w myślach. Podniecenie wywołane świadomością, że jest już u celu, przyprawiało ją o drżenie rąk. Nie chciała sama pozostawać z tą informacją. Potrzebowała przyjaciela, któremu mogłaby zaufać.

Ingrid Campbell, pomyślała. Przedwczesna śmierć, która przywołała wspomnienia. Żona Howarda Hunta, katastrofa samolotowa 1972. Jack Ruby, martwy w swojej celi. Lee Oswald, zastrzelony na posterunku policji. Wszystkich uciszono.

Karen nauczyła się nie ufać nikomu, spodziewać się wszystkiego. Śmierć Ingrid Campbell kryła tajemnicę.

– Agenta Kraiga nie ma teraz w biurze. Może pani podać jakiś numer telefonu?

– Zna mój numer. Przekáže mu pan, że to pilne, dobrze?

– Oczywiście, powiem.

– Dziękuję.

Karen się rozłączyła. Myślała przez chwilę, czy poczekać na telefon Kraiga. Potem, potrząsając głową, zasunęła szyby i odjechała. Nie było czasu do stracenia.

## Rozdział 77

### Waszyngton

Joseph Kraig siedział w podziemiach głównej siedziby FBI, słuchając nagrania z żądaniem porywaczy Susan Campbell.

W pomieszczeniu przebywało jeszcze dwóch starszych agentów FBI, technik nadzorujący analizę taśmy i po jednym przedstawicielu kontrwywiadu, CIA i biura Kraiga.

Głos porywaczki Susan Campbell rozbrzmiewał w głośnikach. „Michael Campbell musi niezwłocznie wycofać swą kandydaturę na stanowisko wiceprezydenta. Kiedy to zrobi, a na jego miejsce zostanie wybrana inna osoba, pani Campbell odzyska wolność. Jeśli nastąpi zwłoka w spełnieniu tego żądania, pani Campbell umrze”.

Technik zatrzymał taśmę.

– Bywała w wielu miejscach – poinformował. – Z pewnością gdzieś na głębokim południu. Także w którymś z tamtejszych miast, może w Atlancie. I gdzieś na północy wschodniego wybrzeża, niewykluczone, że w Connecticut. Ale pochodzi z Massachusetts. Świadczy o tym wymowa samogłosek.

Przewinął taśmę do tyłu i puścił od początku. Joe Kraig siedział, słuchając uważnie. Myślni był przy Karen Embry i jej bostońskiej hipotezie. Popełnił błąd, nie doceniając reporterki.

– Nie ściągnąłeś nas tutaj tylko po to, żeby nam to powiedzieć? – spytał człowiek z kontrwywiadu. – Nasi ludzie pracują od dwóch tygodni nad tym głosem. To ślepa uliczka.

Akustyk potrząsnął głową.

– Nie, nie po to. Posłuchajcie, co jest w tle.

Przewinął taśmę i odtworzył dwukrotnie.

– Słychać samoloty – powiedział, a pozostali przytaknęli. Huk startujących dużych maszyn nakładał się na brzmienie głosu.

Zwiększył moc dźwięku silników samolotowych, potem odtworzył taśmę jeszcze raz od początku, razem z głosem Susan i porywaczki.

– To samoloty wojskowe – wyjaśnił. – Transportowce w bazie w Boiling. Pomyłka jest wykluczona, tego dźwięku nie wydaje żaden cywilny odrzutowiec.

Ponownie puścił taśmę. Agenci słuchali w skupieniu.

– A teraz porównajcie dźwięk silników na tle głosu pani Campbell z dźwiękiem na tle głosu porywaczki – nakazał.

Puścił taśmę od początku. Kraig zauważył nieznaczną różnicę w obu nagraniach, ale nie był jej do końca pewien.

– Ten głos był nagrany w innym momencie – wyjaśnił technik. – Rozmawiałem z kontrolerami lotów w Boiling. Przestrzegają tam bardzo ściśle rozkładu lotów. Nagranie porywaczki zostało dokonane późnym popołudniem.

Człowiek z CIA wzruszył ramionami.

– Co nam to daje?

– Samo w sobie niewiele – odparł akustyk. – Ale posłuchajcie końcowego fragmentu taśmy, gdzie znów mówi pani Campbell.

Głos Susan popłynął przez wielkie głośniki, przyprowadzając Kraiga o dreszcz. „Michael, błagam, spełnij natychmiast, o co proszą – mówiła. – Rozmawiałam z nimi. Nie żartują. Wiedzą, co robią. Michael, kocham cię...”.

Teraz, kiedy Kraig wiedział, że Michael nie zgodził się usłuchać błagania żony, w jej głosie pojawiła się nowa nuta – nuta samotności, a nawet tragizmu.

Rozległ się głośny huk, tuż po słowie „żartują” i przed końcowym zdaniem „wiedzą, co robią”. Technik przewinął taśmę.

– Okej, słyszeliście ten grzmot – powiedział.

– Przekraczanie bariery dźwięku? – domyślił się agent CIA.

– Wykluczone. – Technik potrząsnął głową. – Władze nie zezwalają na loty ponaddzwiękowe nad obszarem miasta w normalnych godzinach pracy. Zresztą ten dźwięk jest zupełnie inny. Posłuchajcie jeszcze raz. Uważnie.

Puścił od początku taśmę. Kraig usłyszał ostry, zgrzytliwy hałas, ale nawet specjalnie nagłośniony nic mu nie mówił.

– To wypadek samochodowy, do którego doszło akurat w czasie nagrania – wyjaśnił technik. – Posłuchajcie tego po obróbce.

Wyjął starą taśmę i włożył do odtwarzacza nową. Teraz Kraig wyraźnie usłyszał krótki pisk hamulców.

– Rzeczywiście – przyznał. – Czyli gdzieś w pobliżu kryjówki doszło do wypadku. Technik przytaknął.

– Od samego rana jestem w kontakcie z waszyngtońskim zarządem ruchu i policją. Wiedzą o każdym wypadku, jaki się wydarzył w okresie, kiedy dokonano tego nagrania. Możemy to uściślić dzięki analizie materiału z Boiling, a dzięki obróbce cyfrowej dźwięków jeszcze bardziej ograniczę krąg pod kątem kierunku i odległości. Za pomocą komputera da się wytyczyć całe pole akustyczne wokół tego odgłosu. Ta technika została opracowana przy okazji zabójstwa Kennedy’ego, kiedy analizowano nagranie z radia jednego z policjantów na motocyklach.

Obecni przytaknęli. Dwaj agenci federalni wymienili spojrzenia.

Starszy pracownik FBI wywołał na monitorze mapę południowo-wschodniego Waszyngtonu i zrobił powiększenie ulic w promieniu kilometra od bazy sił powietrznych.

– W okresie, o którym mówimy, doszło na tym obszarze do siedmiu wypadków – poinformował. – Trzy to zwykłe stłuczki z wygięciem zderzaka, które nie spowodowałyby takiego hałasu, jaki słychać na taśmie. Dwa to duże karambole, musiały bez wątpienia skończyć się wielokrotnym hukiem. Pozostaje więc jeden. Zderzenie czołowe między sedanem i furgonetką dostawczą na rogu Drugiej i Galvestone.

Posługując się tarczą na konsoli, najechał na skrzyżowanie w obskurnej dzielnicy na wschód od bazy.

– Są najwyżej dwa kwartały ulic, w których obrębie odgłos wypadku byłby tak głośny, jeśli porównać go z hałasem, jaki robią samoloty w bazie – oświadczył. – To stara dzielnica, szeregowce i kamienice z pralnią na parterze.

Agenci nie potrzebowali więcej informacji. Był to pierwszy znaczący trop od chwili zniknięcia Susan Campbell.

– Odgradzimy teren kordonem – powiedział Kraig. – Potem go przeszukamy w czteroosobowych zespołach.

– Policja z Waszyngtonu zajmie się kordonem – wtrącił agent FBI. – Do poszukiwań użyjemy własnych ludzi. Nieoznakowanych wozów. Pamiętajcie, w tej sprawie obowiązują nas rozkazy z góry.

– Ruszajmy – nakazał człowiek z CIA.

Kraig pierwszy wyszedł z biura. W ciągu kilku minut był już w zespole uderzeniowym, włożył kamizelkę kuloodporną i sprawdził swoje radio.

Nie otrzymał informacji o pilnym telefonie Karen Embry. Miał się o nim dowiedzieć już po wszystkim.

## Rozdział 78

Colin Goss siedział w dźwiękoszczelnym gabinecie swego waszyngtońskiego centrum wyborczego. Przyleciał tu, by w tym tak ważnym momencie znaleźć się blisko wydarzeń. Rozmawiał właśnie przez telefon.

– Kiedy się o tym dowiedzieli? – spytał.

– Dziś rano – wyjaśnił jego rozmówca, człowiek dysponujący bezpośrednim kontaktem ze służbami wywiadowczymi.

– I są już w drodze?

– Odgradzają teren. Zaraz zaczną chodzić od drzwi do drzwi. Ściągnęli brygadę antyterrorystyczną.

– Mają dokładny adres? – spytał Goss.

– Nie. Wiedzą, że to jest gdzieś w obrębie dwóch czy trzech kwartałów ulic.

– Możecie tam dotrzeć przed nimi?

– Próbujemy. Mam kilka przecznic dalej ludzi z odpowiednim sprzętem. Nie wiem, czy uda nam się ich wyprzedzić. Będzie ciężko.

– A jeśli się wam nie uda? – spytał Goss.

– Mamy swojego człowieka na pierwszej linii. Wie co robić. Goss westchnął. Praca dwudziestu lat zależała od tego, co się wydarzy w ciągu kilku następnych godzin. Nawet jego niewyczerpane zasoby finansowe nie mogły zagwarantować pożądanego wyniku.

– W porządku – powiedział w końcu. – Dopilnujcie tylko, by nikt nie wyszedł stamtąd żywy. Potem zajmę się waszym człowiekiem.

– Tak jest – odparł tamten. – Zrobimy, co w naszej mocy.

– Nie mów mi, że zrobicie, co w waszej mocy! – wrzasnął Goss. – Po prostu zróbcie to! Odłożył z trzaskiem słuchawkę.

## 2.23

Karen nie знаła zbyt dobrze tej części miasta. Musiała dwukrotnie się zatrzymać i sprawdzać na planie. Zajechała na stację benzynową, zatankowała i spytała kasjera o drogę.

Odpałała jednego papierosa od drugiego, prowadząc wóz. Dłonie zaciskała na kierownicy. Czuła ściskanie w dołku – rezultat zmęczenia, niedożywienia i podniecenia.

Nagle zza stojących wzdłuż krawężnika samochodów wypadł na ulicę mały pies. Karen wdepnęła gwałtownie hamulec. Honda zatrzymała się z piskiem opon dokładnie w chwili, gdy za zwierzęciem wybiegł bezmyślnie na jezdnię mały chłopiec. Spojrzał ze zdziwieniem na Karen. Potem schylił się po szczeniaka, który wyrwał mu się radośnie i pobiegł z powrotem na chodnik.

– Jezu! – jęknęła cicho. Chłopca, całkowicie obojętnego na niebezpieczeństwo, dzieliła sekunda od gwałtownej śmierci.

Odwracając się w ślad za psem, odruchowo pokazał Karen środkowy palec w wulgarnym geście.

Honda zgąsła. Karen przekręciła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik. Postanowiła jechać ostrożniej. Ulegała podnieceniu. Poszukiwania, które podjęła niemal miesiąc wcześniej, zbliżały się do końca. Była wreszcie w drodze do Justine. I do Susan Campbell.

I w przeciwieństwie do ludzi zaangażowanych w sprawę znała odpowiedzi. Znała przyczynę tych wszystkich wydarzeń. Tym bardziej pragnęła dotrzeć do celu.

Miała tylko nadzieję, że wciąż znajdują się w tym małym domu, do którego teraz zmierzała. Mogły stamtąd odejść, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach. Justine musiała zdawać sobie sprawę, że jej kryjówka zostanie kiedyś odkryta. Posyłając władzom taśmę, zostawiła ślad. Nie byli głupi; wiedziała, że w końcu ją znajdą.

Karen poczuła na tę myśl ukłucie niepokoju. A jeśli nie ona jedna wiedziała, dlaczego to wszystko się działo? W końcu byli też inni zainteresowani, którzy mogli zyskać albo stracić na tym, co się miało wydarzyć. Ci, których przyszłość była bezpośrednio powiązana z całą tą sytuacją.

Uświadomiła sobie, że była bardzo naiwna. Wydawało jej się, że ona jedna ma oczy i dostrzega prawdę, ponieważ na tym polegał jej zawód – na ujawnianiu prawdy. Być może istnieli inni, jeszcze bardziej uczuleni na tę prawdę, ponieważ do nich należało jej pogrzebanie.

Wcisnęła mocniej pedał gazu.

Samochód, który prowadził Joseph Kraig, był nieoznakowany. Podobnie jak pozostałe, które zjechały się w okolicę kryjówki Susan Campbell.

Kraiga przesładowały te same wątpliwości co Karen Embry. Od chwili gdy porywacze przedstawili żądanie, upłynęło sporo czasu. Gdyby byli tak inteligentni, jak się wydawało, wiedzieliby, że przesłana przez nich taśma zawiera dostatecznie dużo śladów akustycznych, by naprowadzić władze na ich trop.

A jednak to nie pustej kryjówki Kraig się obawiał. Porwanie Susan Campbell było ostatnim z serii wydarzeń wykraczających poza racjonalne oczekiwanie, wydarzeń umykających zarówno zrozumieniu, jak i kontroli. Wydarzeń, których źródłem był jakiś koszmar i które wypełzły na światło dnia niczym potwory.

A w centrum tego wszystkiego, bezradna i niewinna, tkwiła Susan Campbell, oczekująca swego losu. Kraig miał jakieś złowieszcze przeczucie, że Susan dopiero teraz grozi największe niebezpieczeństwo.

Usłyszał gdzieś z przodu pisk opon. Z radia dobiegały skrzekliwe głosy. Nacisnął hamulec. W stronę jego samochodu biegli agenci.

Już czas.

Susan siedziała na brzegu łóżka. Ubrana była w spódnicę i bluzkę, pożyczone od Justine. Rzeczy leżały na niej zaskakująco dobrze. Nawet para tanich butów z przeceny, które dała jej Justine z przeproszającym uśmiechem, była całkiem wygodna.

Obie kobiety milczały, jak krewni na lotnisku tuż przed rozstaniem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Susan siedziała sztywno ze skrzyżowanymi stopami. Justine przyszło do głowy, że wygląda w tej chwili jak mała dziewczynka. Smutna, dzielna, samotna.

– Wiesz, co robić? – spytała Justine.

– Tak – odparła Susan. – Wiem.

– Zostaniesz odizolowana – uprzedziła Justine. – Pozwolą ci na jedno publiczne oświadczenie i być może jeden wywiad w obecności męża. Ale nikomu nie będzie wolno spotkać się z tobą sam na sam.

Susan przytaknęła.

– Nie będzie za dużo czasu – dodała Justine. – Tydzień, może dwa. I nie będziesz potem bezpieczna.

Susan ponownie skinęła głową.

– Rozumiem.

Przez chwilę przyglądała się badawczo twarzy Justine.

– Skąd ta pewność, że... – Nie dokończyła.

– Pewność co do czego? Że nie zdołałabym tego dokonać? Susan przytaknęła, nie podnosząc wzroku.

– Pamiętasz, co mówiłyśmy o nowych szatach cesarza? – przypomniała Justine. – O matce uciszającej dziecko?

– I jak potem wszyscy podziwiali nowy strój władcy – dodała Susan. – Pamiętam.

– To jest właśnie prawdziwy świat, Susan. Prawda nie jest silna. Czasem potrzebuje pomocy. Większej, niż mogę sama zaoferować.

Oczy Susan zaszczyły mgłą.

– Nie chcę myśleć o tobie jak o kimś...

– Martwym? Oby to była najmniejsza z twoich trosk, Susan. Dla mnie to wybawienie – odparła z uśmiechem. Potem wyprostowała się na krześle i westchnęła. Błysnęły szramy na jej nadgarstkach, kiedy wyciągnęła ręce. – Zamknąć oczy, spać, niczego nie śniąc...

Spojrzała na Susan. Usta wykrzywił jej smutny uśmiech.

– Odnalazłam w końcu do ciebie drogę – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak bardzo dzięki temu mi ulżyło. Teraz nie jestem już samotna.

W jej oczach pojawił się cień powagi.

– Tak ciężko pracowałam, Susan, byśmy doszły do tej chwili. To było całe moje życie. Muszę mieć pewność... Nie zawiedziesz mnie, prawda?

Susan zdecydowanie przytaknęła.

– Nie jestem nikim szczególnym, ale możesz na mnie liczyć. Nie zawiodę cię.

Zapadła cisza. Obie zaczęły mówić coś jednocześnie, ale zamilkły. Znow skupiły się na czuwaniu. Nad głowami buczały samoloty. Susan miała wrażenie, że przebywa w jakimś miejscu rozstań, miejscu łez i nowego życia.

Prezydent znajdował się w Gabinetcie Ovalnym.

Polecił sekretarce nie łączyć żadnych rozmów. Linia z FBI czekała, gotowa do użytku. Najważniejszy był rezultat akcji.

Prezydent patrzył długo przez okno na Pennsylvania Avenue. Był piękny dzień. Turyści czekali w długiej kolejce, by zwiedzić Biały Dom, matki trzymały dzieci za ręce. Wszyscy oni chcieli zobaczyć siedzibę rządu, ujrzeć na własne oczy miejsce, gdzie podejmuje się decyzje strzegące ich wolności.

Odwrócił się i spojrzał na ściany gabinetu. Obraz Lincolna pędzla Harknessa wisiał tam, gdzie kazał go umieścić, kiedy zjawił się tu po raz pierwszy. Zdjęcia byłych prezydentów, którzy mieli wpływ na jego życie; na niektórych ściskali mu dłonie, na innych byli sami. Trzymał je tutaj dla wsparcia moralnego. Zajmowali ten gabinet i znosili napięcie, które wywoływał. Jeśli oni dali radę, powtarzał sobie często, to i ja dam.

„Tu się podejmuje decyzje”, brzmiała stara maksyma Trumana, którą trzymał na swoim biurku. Zastanawiał się teraz nad tą prawdą. Być może trafniej byłoby powiedzieć: „Tu zaczyna się koniec”. Dotyczyło to przynajmniej niektórych prezydentów, a także pewnych momentów historii. Do rzadkości należeli ci, którzy przebrnęli przez osiem lat i ani razu nie znaleźli się w sytuacji, gdy wydarzenia wymknęły się spod kontroli. On sam znajdował się w stanie ciągłego ataku niemal od dnia inauguracji rządów.

Zadzwoił telefon. Usłyszał głos sekretarki. Powiedziała, że na linii jest dyrektor FBI.

– Połącz – nakazał prezydent.

– Witam, panie prezydencie – odezwał dyrektor. – Chciałem panu powiedzieć, że przystępują do ataku. Niedługo będziemy wszystko wiedzieli.

– Niech pan powie swoim ludziom, żeby zachowali ostrożność – przypomniał prezydent. – Jeśli jest tam żywa Susan Campbell, to nie chcę, by odniosła jakiegokolwiek obrażenia.

Sytuację da się jeszcze uratować, pomyślał. Jeśli nie wydarzy się już nic pechowego, być może Michael Campbell odzyska żonę, a kraj znow będzie miał wiceprezydenta.

Chciał odruchowo zadzwonić do Michaela. Wiedział, przez co przechodzi. Przyjacielski głos, w tym końcowym momencie...

Odrzucił jednak ten pomysł. Było za późno na takie rzeczy. Za późno na wiele rzeczy.

Co będzie, to będzie.

Prezydent usiadł i czekał.

## Rozdział 79

### 2.30

Karen wdepnęła hamulec przed skrzyżowaniem. Blokowały je policyjne radiowozy z włączonymi światłami alarmowymi. Umundurowany funkcjonariusz policji waszyngtońskiej kierował ruchem, wskazując kierowcom objazd.

Za blokadą widać było mnóstwo nieoznakowanych samochodów. Gdzieś tam stali agenci.

Klnąc po cichu, Karen zawróciła i skręciła w pierwszą napotkaną ulicę w lewo. Coś się działo, wiedziała to. Nie było mowy o zbiegu okoliczności.

Jak dotarli tam przed nią? Próbowwała wcześniej skontaktować się z Kraigiem i jej się nie udało. Nie mógł znać prawdy.

Karen podjechała do krawężnika i zatrzymała się. Myślała przez chwilę. Byli ludzie, którzy skupiali swą uwagę na Justine Lawrence i na Susan, jeśli wciąż żyła. Ludzie o wiele potężniejsi niż ona. Ludzie, których motywów nie mogła znać.

– Pieprzyć to – powiedziała głośno. – Pieprzyć ich.

Wysiadła z wozu i pobiegła w stronę alejki między domami.

Agenci przeprowadzali rekonesans w pierwszym kwartale ulic – skupisku tanich bungalów, kamienic i niewielkich firm. Jakaś starsza kobieta stojąca w oknie na piętrze zauważyła głośno, że w całym swoim życiu nie widziała naraz tyłu walkie-talkie.

Czterooosobowe oddziały ruszyły wzdłuż ulicy. Snajperzy już usadowili się na dachach, przygotowani na potencjalny atak grożący agentom. Pirotechnicy czekali w napięciu w swoich furgonetkach, obserwując ostrożne ruchy funkcjonariuszy federalnych. Wszyscy byli ubrani w grube kamizelki kuloodporne i hełmy oddziałów antyterrorystycznych.

Kraigowi towarzyszyło dwóch ludzi z FBI i jeszcze jeden agent Secret Service, człowiek, którego Joe dobrze znał. Od lat wykonywali wspólnie wiele zadań.

– Bez pośpiechu – nakazał Kraig. – Nie wiemy, jak są uzbrojeni. Po chwili zwrócił się przez radio do pozostałych agentów:

– Dwie minuty. Nie strzelać.

Wyższego agenta FBI Kraig nie znał. Poinformowano go, że to specjalista z oddziałów antyterrorystycznych, który szybko sięga po broń, ale wie, co robi. Kraig zerknął na niego. Tamten skinął mu głową.

– Trzydzieści sekund – przekazał przez radio Kraig. Niezauważony przez nikogo, wysoki agent odbezpieczył swój pistolet automatyczny i oparł kciuk na kolbie.

Karen przemykała między budynkami jak partyzant podczas misji dywersyjnej. Syreny wyły jak dusze potępionych. Spomiędzy domów docierał głośny warkot silników samochodowych.

Przebiegała wzrokiem domy w alejce zastawionej kontenerami na śmieci. Gdzieś tam zauważyła maleńkie ogródki za płotkami. Stwierdziła z zaskoczeniem, że agenci nie ustawili tu jeszcze ludzi. Pomyślała ironicznie o skuteczności służb specjalnych. Muszę ich wyprzedzić o jedną przecznicę, przyszło jej do głowy. Kryli cały teren, ale ona znała dokładny adres. Dali jej czas na działanie. Niedużo co prawda.

Popatrzyła na karteczkę z adresem. Policzyła domy wzdłuż alejki. Dokonując szybko kalkulacji, pobiegła w stronę trzeciego budynku od końca. Nie różnił się niczym od pozostałych z wyjątkiem małej flagi amerykańskiej, wetkniętej w jedną z doniczek geranium na ganku.

Usłyszała huk i spojrzała w górę na przelatujący nisko wojskowy transportowiec. Okna we wszystkich budynkach zadrżały. Przyszło jej do głowy, że nie chciałaby tu mieszkać.

Trzy betonowe stopnie, które dawno już zatraciły linię prostą, prowadziły do tylnych drzwi domu. Karen wbiegła po schodach i zapukała cicho. Nie było odpowiedzi. Kakofonia syren musiała przyciągnąć mieszkańców do okien frontowych. Nie miała odwagi zajrzeć od strony ulicy, gdzie mogli ją zauważyć agenci. Zapukała mocniej.

– Susan! – zawołała.

Usłyszała męskie krzyki i znów wycie silników samochodowych.



– Jezu Chryste – mruknęła do siebie i zawołała jeszcze głośniej: – Susan! Justine!  
Klnąc na czym świat stoi, zaczęła walić z całych sił w drzwi.  
– Susan! Tu Karen Embry! Otwórz!  
Wydało jej się, że słyszy jakiś ruch wewnątrz. Była tam pewnie kuchnia. Kuchnie w tych starych, małych domach zawsze wychodziły na alejki.  
– Susan! Justine!  
Usłyszała grzebanie przy zamku. Drzwi, wypaczone po latach otwierania i zamykania, uchyliły się powoli. Karen zobaczyła kobiecą twarz. Sprawiała wrażenie przedwcześnie postarzałej, oczy były podkrążone. Mały pistolet mierzył w intruza.  
– Justine – powiedziała Karen.  
Kobieta nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż z drugiej strony domu dobiegło łomotanie do drzwi i krzyki. Karen dostrzegła błysk zrozumienia w oczach tamtej.  
– Za późno – rzuciła tylko Justine i zatrzasnęła drzwi.  
Jej kroki rozbrzmiewały cicho, oddalając się stopniowo. Karen zaczęła walić do drzwi.  
– Susan! – krzyknęła. – Susan!  
Usłyszała głośny trzask, kiedy wyważono drzwi frontowe. Potem odgłos strzałów.  
Przysiadła na betonowych schodach, patrząc na amerykańską flagę, która kołysała się anemicznie tuż przed jej twarzą.  
Za późno, pomyślała.

## Rozdział 80

– Agenci federalni! Otwierać!  
Justine po raz ostatni spojrzała na Susan. W tej chwili jej oczy były łagodne. Potem, kiedy do środka wtargnął Joseph Kraig, odwróciła się do niego.  
– Nie! – krzyknęła Susan.  
Kiedy Justine zrobiła w jego stronę pierwszy krok, Kraig uniósł broń. Wydawało się, że się zawahał, podobnie jak ona. Wtedy dostrzegł pistolet w jej dłoni. Strzelił do niej trzy razy. Upadła u stóp Susan, z jej piersi tryskała krew.  
– Nie! Joe!  
Susan przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała zatrzymać w sobie krew. Do sypialni wpadali mężczyźni, wszyscy głośno krzyczeli. W tym momencie Kraig zrobił coś, co zaskoczyło Susan. Stał szybko między nią a pozostałymi agentami, jakby chcąc ją osłonić.  
– Wstrzymać ogień! – nakazał. Ich twarze, pozbawione indywidualnych cech, wyrażały milczące zrozumienie.  
Potem Kraig objął Susan, która łkała niepowstrzymanie.  
– W porządku – uspokajał ją. – Już w porządku.  
Jeden z agentów nadepnął na nadgarstek Justine. Broń leżała na dywanie obok jej dłoni.  
– To miejsce przestępstwa – zwrócił się do kogoś jeden z agentów. – Konfiskujemy wszystko. Nic nie może opuścić tego domu.  
Agenci rozeszli się po pokojach. W swoich garniturach, wypolerowanych butach i z walkietalkie w rękach wyglądali jak roboty.  
Jeden z nich klęczał przy kolekcji kaset wideo obok telewizora. Przeglądał grzbiety pudełek, notując tytuły.  
Kraig tulił twarz Susan do swojej piersi. Nie mogła oderwać wzroku od Justine, której pocięty nadgarstek leżał bezwładnie na dywanie pod butem agenta.  
– Możesz mówić? – spytał Kraig. Przytaknęła słabo.  
– Gdzie pozostali? – spytał. Potrząsnęła głową.  
– Nikogo nie widziałam.  
Kraig skierował spojrzenie na Justine.

– Potem to ustalimy – oświadczył. – Najważniejsze, że nic ci nie grozi. Poczekaj, aż Mike się dowie. Nie uwierz.

Susan patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jak dziecko.

## Rozdział 81

28 kwietnia

Ameryka świętuje

Łzy ulgi towarzyszyły dziś radosnym uśmiechom, kiedy Susan Campbell, żona nominowanego z ramienia partii demokratycznej kandydata na wiceprezydenta, Michaela Campbella (Maryland), spędziła pierwszy dzień w domu po pełnych udręki czterech tygodniach odosobnienia.

Michael Campbell płakał, dziękując przedstawicielom służb policyjnych i ludzi obecnym na konferencji prasowej w Waszyngtonie. „Bez heroicznej determinacji FBI, federalnych służb wywiadowczych i policyjnych w całym kraju Susan nie byłoby dziś z nami – oświadczył Campbell. – Szczególnie jestem zobowiązany agentowi Joemu Kraigowi, który osobiście ocalił Susan po długich poszukiwaniach kryjówki, gdzie była przetrzymywana. Znam Joego od czasów szkolnych. Jest naszym przyjacielem od dnia mego ślubu z Susan. Teraz jest dla mnie też bohaterem. Pozostanie nim na zawsze.

Susan Campbell przebywa w rodzinnym domu Campbellów nad zatoką Chesapeake i nie złoży żadnego oświadczenia, dopóki lekarze nie ocenią, że najgorszy stres związany z porwaniem już minął.

Rzecznik FBI określił porywaczkę pani Campbell jako byłą pacjentkę szpitala psychiatrycznego, niepowiązaną z żadną grupą polityczną. Tożsamość kobiety nie zostanie chwilowo ujawniona ze względów rodzinnych. Władze odmówiły odpowiedzi na pytanie, czy miała jakichś współników.

Porywaczka żądała, by senator Campbell wycofał swą kandydaturę na stanowisko wiceprezydenta. Campbell odmówił, twierdząc, że nie mógłby z czystym sumieniem negocjować z terrorystą pomimo niebezpieczeństwa grożącego żonie.

Campbell udał się wprost z konferencji do domu rodzinnego, gdzie jego ojciec Judd Campbell i inni członkowie rodziny nie odstępują pani Campbell.

Trzeba wspomnieć ze smutkiem, że szczęśliwy powrót Susan Campbell nastąpił zaledwie w kilka dni po samobójstwie Ingrid, jedynej siostry senatora. Rzecznicy służb policyjnych i przyjaciele rodziny przypuszczają, że przyczyną takiego kroku ze strony Ingrid Campbell mogło być załamanie wywołane uprowadzeniem Susan”.

– Całe moje życie było kłamstwem...

Michael usłyszał nagle słowa rozmowy, kiedy pielęgniarka otworzyła drzwi sypialni.

To był głos ojca. Zobaczył go siedzącego na brzegu łóżka i trzymającego Susan za rękę. Mógłby przysiąc, że to Susan pocieszała Judda, nie zaś odwrotnie.

Kiedy usłyszeli kroki Michaela, oboje podnieśli wzrok. Judd wydawał się zakłopotany, twarz Susan nic nie mówiła. Po chwili Judd poklepał Michaela po ramieniu, przechodząc obok niego, a Susan uśmiechnęła się jak zwykle swoim niepewnym, pełnym ciepła uśmiechem. Lecz Michael dosłyszał wcześniej, jak szepnęła jego ojcu: „Wszystko będzie dobrze, tato”, kiedy pod czujnym okiem pielęgniarki odsunęli się od siebie.

Michael usiadł na miejscu Judda i popatrzył na Susan.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Dochodzę do siebie. – Uśmiechnęła się. – Powolutku.

– Federalni bardzo cię wymęczyli?

– Są okropni – przyznała Susan. – Wałkują to samo tysiąc razy, choć powiedziałam im wszystko, co wiem. Wydaje się, że są rozczarowani. Chyba mają pretensję, że nie wiem więcej.

Susan została poddana taktownemu, ale wyczerpującemu przesłuchaniu przez kilku agentów federalnych. Nie rozwodziła się, mówiąc, że jej porywaczką była psychicznie chora kobieta, kierowana jakąś obsesją na punkcie Michaela i jego kariery, ktoś pokroju Johna Hinkleya czy Sirhana Sirhana. „Traktowała mnie dobrze – powiedziała Susan agentom. – Widziałam jednak, że była niezrównoważona psychicznie. Obawiam się, że gdyby nie powstrzymano jej, mogłaby próbować zabić Michaela”.

Agenci, jak się zdaje, traktowali jej zeznania sceptycznie, nalegali, by podała więcej szczegółów dotyczących motywów porywaczki i jej potencjalnych współników. Susan obstawała przy swoim. Powiedziała, że zamieniła z kobietą zaledwie kilka słów. Przebywała praktycznie cały czas sama, z wyjątkiem chwil, kiedy dostawała posiłki. Nie robiła nic podczas uwięzienia, czytała tylko książki i oglądała filmy na wideo.

Te kłamstwa kosztowały ją dużo wysiłku. Agenci jednak nie mieli wyjścia, musieli zaakceptować jej wersję.

Michael wziął ją za rękę. Susan starała się zapanować nad drżeniem palców, kiedy je ujął.

– O co chodzi? – spytał, wyczuwając jej niepewność.

– O nic – zapewniła. – Obawiam się, że z moim nerwami nie jest jeszcze wszystko w porządku.

– No cóż, to naturalne po tym, przez co przeszłaś – zauważył. – To może trochę potrwać, jak sama wiesz. Lekarz twierdzi, że możesz mieć nawroty wspomnień. Niewykluczone, że będziesz to bardzo przeżywać.

Susan przez myśl przemknął obraz pociętych nadgarstków Justine. Umęczona, poznaczona bliznami ręka chorej kobiety, która trzymała dłoń Susan tak serdecznie jak matczyzna. Potem trzymała broń, która sprowokowała Joego Kraiga do oddania śmiertelnego strzału. Justine nie pozostawiła Kraigowi żadnego wyboru. Tak bardzo chciała umrzeć, lecz nawet w tym spełnionym pragnieniu śmierci dała Susan jeszcze jedną szansę na nowe życie.

Mały telewizor był nastawiony na CNN. „Poparcie dla prezydenta jest najwyższe od dwóch lat – donosił reporter. – Naciski w Kongresie w sprawie wyborów nadzwyczajnych znacznie osłabły. Poparcie obywateli dla Colina Gossa jako kandydata niezależnego także zmalało. Większość obserwatorów sceny politycznej przepowiada jeszcze większy wzrost poparcia dla administracji po wyborze Michaela Campbella na wiceprezydenta”.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Michael puścił dłoń Susan i usiadł na bujanym fotelu, który należał do jego matki.

– Powiesz mi coś, kochanie? – zwrócił się do żony.

– Jeśli tylko będę mogła – odparła Susan.

– Ta kobieta. Porywaczka... – urwał, wyraźnie zaniepokojony. – Dużo mówiła?

– Niezbyt dużo – skłamała Susan. – Słowo czy dwa, kiedy przynosiła mi posiłki. Pytała mnie zwykle, czy chcę coś jeszcze do czytania albo więcej kaset wideo.

– Nigdy ci nie powiedziała, dlaczego to zrobiła? – dopytywał się Michael.

– Nie – odparła bezbarwnym głosem. – Po prostu... uważała chyba, że nie jestem na tyle ważna, by ze mną rozmawiać.

Poczuła, jak coś skręca się w niej boleśnie. Justine Lawrence była pierwszą osobą w życiu Susan, która naprawdę uważała, że Susan zasługuje na to, by powierzyć jej prawdę.

– No cóż, chyba się nigdy nie dowiemy – powiedział zrezygnowany Michael.

– Tak – przyznała Susan. – Chyba nigdy.

– Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że to przeze mnie – wyznał Michael. – Całe życie nie dawała mi spokoju myśl, że moja kariera ci szkodzi. A teraz jeszcze to porwanie... – Potrząsnął głową. – Gdybyś nie wróciła bezpiecznie, nie wiem, co bym zrobił.

Zostałbyś wiceprezydentem. Susan nie wypowiedziała głośno tych słów.

- Przeżyłbyś – powiedziała.
- Ale nigdy już nie byłoby tak samo.
- Nie – przyznała. – Tak jak z twoim ojcem. Dla niego nigdy nie było tak samo...

Zmrużył oczy.

- Chodzi ci o to, że od czasu, jak moja matka...?

Susan skinęła głową. Margery Campbell zabiła się w tym pokoju. Poczwała w swoim spojrzeniu coś twardego. Starła się to ukryć. Przesunęła odruchowo dłoń po kocu. Oczy Michaela wyrażały troskę.

- Tak – powiedział. – Rozumiem, co masz na myśli.
- Tak okropnie się czuję z powodu śmierci Ingrid – wyznała. – Musiałeś to strasznie przeżyć.
- Strasznie. Tak. Ingrid była dla mnie taką samą matką jak... Nie dokończył. Sprawiał wrażenie zamyślnego, ale wciąż można było dostrzec na jego twarzy cień niepokoju.
- Będzie mi jej brakowało – wyznała Susan, obserwując go uważnie.

Głos od strony drzwi wystraszył oboje.

- Już chyba czas, żeby pacjentka wypoczęła – powiedziała pielęgniarka.

Susan odetchnęła z ulgą.

- Obawiam się, że ma pani rację – odparła. – Jestem zmordowana.

Michael podszedł do łóżka i pocałował Susan w usta. Odsuwając się, dostrzegł, że wciąż ma oczy otwarte i patrzy na niego.

Pielęgniarka wyprowadziła delikatnie Michaela z pokoju. Zerknął przez ramię, rozbawiony bezceremonialnością kobiety.

Tym razem, pomimo wszelkich starań, Susan nie zdołała ukryć swojego spojrzenia. Mówiło Michaelowi, że ona wie. Że wie wszystko.

I w tym ostatnim ułamku sekundy, kiedy zniknął za progiem, dostrzegła w jego wzroku, że on wie, że ona wie.

Chwilę później powróciła pielęgniarka z pytaniem, czy Susan chce jeszcze jedną tabletkę na sen.

- Nie, dziękuję – zapewniła Susan. – Oczy mi się kleją. Zdrzemnę się.
- Dobra dziewczyna – pochwaliła pielęgniarka. – Proszę wypoczywać.

Wyszła i zamknęła bezgłośnie drzwi. Susan leżała wpatrzona w sufit. Przez chwilę wydawało się, że to sufit jej sypialni w New Hampshire, gdzie jako dziewczyna marzyła o księciu z bajki, który zjawi się pewnego dnia i zabierze ją ze sobą.

Potem latarnia magiczna zgasła i Susan powróciła do rzeczywistości. Wiedziała, że nie zaśnie tego dnia.

Będzie czas na odpoczynek, kiedy to wszystko się skończy, pomyślała.

## Rozdział 82

Waszyngton  
30 kwietnia

Joe Kraig nie widział Susan od momentu, kiedy ją uratował. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego w geście niebywalej arogancji przejęła śledztwo z rąk innych służb. Powołując się na sam Biały Dom, agencja zażądała przekazania wszelkich dokumentów na ten temat. Do Susan nie dopuszczano nikogo do chwili „odtajnienia” i żaden z agentów, którzy z takim wysiłkiem pracowali nad jej uwolnieniem, nie był informowany o rezultatach dochodzenia.

Kraig irytowała własna ignorancja w sprawie kulis porwania Susan. Nie widział też powodów, dlaczego nie miałby jej odwiedzić. Ostatecznie to on ją uratował. To jego Michael nazwał „bohaterem”.

Rozmawiał z nim kilkakrotnie przez telefon. Michael utrzymywał, że Susan nie jest sobą, ale że powoli jej się polepsza. Nie zgodził się, by Kraig z nią porozmawiał, przekonywał, że żona potrzebuje więcej czasu, by dojść do siebie.

Tego dnia sekretarka Rossa Agnew pomogła Kraigowi przeprowadzić inwentaryzację wszystkiego, co znaleziono w domu, w którym przetrzymywano Susan. Nie było tego dużo. Szczoteczka do zębów, trochę mydła i szamponu, których używała porywaczka, Justine Lawrence. Kosmetyki, olejki do ciała, mydło i szampon używane przez Susan. Resztki najbardziej podstawowych produktów spożywczych. Przyprawy pozostawione w lodówce.

W sypialni, gdzie przebywała Susan, znaleziono magazyny, w tym „New Yorker” i „Vanity Fair”. Także książki jej ulubionych autorów i filmy na kasetach wideo.

W magnetowidzie podłączonym do telewizora znajdowała się kaseeta ze starym filmem Harrisona Forda, Świadek. Agenci żartowali, jak młody był niegdyś aktor.

Na wszelki wypadek przejeździ wszystkie taśmy, by się upewnić, że niczego nie nagrano na oryginalnych filmach. Przewertowali również książki i gazety, jedną po drugiej, szukając notatek wetkniętych między strony, podkreślonych fragmentów i tak dalej. Niczego nie znaleźli.

Ani śladu, który mógłby wskazywać na to, co działo się w umyśle Lawrence w czasie uprowadzenia, czy powiedzieć cokolwiek o wzajemnych relacjach między obiema kobietami.

Kraig nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego Justine Lawrence, która tak skutecznie dokonała porwania, a potem przetrzymywała Susan, nie utrudniła władzom lokalizacji swej kryjówki. Dlaczego przesłała żądanie na taśmie magnetofonowej, dając policji możliwość przeanalizowania jej głosu i tła dźwiękowego? Dlaczego nie wyniosła się z tamtego domu, kiedy miała okazję? Odnosiło się wrażenie, że niemal chciała być schwytna.

Kraig wiedział, że nigdy nie zapomni jej podniesionej dłoni, w której trzymała broń, kiedy wpadł do mieszkania. Ani spojrzenia oczu. Jej oczy miały świadomy, niemal współczujący wyraz.

Jakby Justine Lawrence wiedziała o czymś, czego Kraig nie mógł wiedzieć, czego nie wolno mu było wiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że to spojrzenie będzie go prześladować do końca życia.

Po upływie dwudziestu czterech godzin od akcji Kraig dowiedział się, że Karen Embry miała dla niego jakąś pilną wiadomość. Był bardzo zajęty, musiała minąć jeszcze jedna doba, by mógł oddzwonić. Połączył się z jej automatyczną sekretarką. Zostawił jej kilka razy informację, ale nie skontaktowała się z nim.

Postanowił, że z nią porozmawia, kiedy wszystko się uspokoi. Musiała wiedzieć coś, co mogłoby się przydać.

Nie było to oczywiście nic pilnego. Najgorsze minęło.

## Rozdział 83

5 maja

Karen Embry siedziała jak mysz pod miotłą od dnia, kiedy uratowano Susan Campbell.

Musiała improwizować, kiedy w alejce za domem Justine Lawrence zaroilo się od agentów federalnych. Powiedziała im, że jest reporterką; dowiedziała się wcześniej, że coś ważnego ma się wydarzyć w tej okolicy, coś związanego z Susan Campbell. Agenci odprowadzili ją do jej wozu i odpędzili jak namolnego owada, nie podejrzewając nawet, jak dużo wie.

Od tej pory Karen siedziała w domu i obserwowała bieg wydarzeń. Ignorowała sygnały od Joego Kraiga. Starła się przekazać mu prawdę o Justine Lawrence, ale bez powodzenia. Teraz kobieta nie żyła. Doniesienia mediów na temat porwania i tożsamości Justine były z pewnością podjętą na gorąco próbą tuszowania prawdy. Karen czuła, że najlepiej będzie śledzić ten proces z bezpiecznej odległości.

W środę, gdy od akcji upłynął ponad tydzień, Karen usłyszała pukanie do drzwi. Ujrzała przez wizjer listonosza.

- Tak? – spytała przez domofon.
- Przesyłka polecona, proszę pani.
- Chwileczkę.

Karen wyszła właśnie spod prysznicy i nie miała na sobie nic prócz ręcznika. Włożyła szybko szlafrok frotte i otworzyła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

– Proszę podpisać pokwitowanie – powiedział mężczyzna, podając jej bloczek. Wpisała nazwisko i wzięła od niego przesyłkę, która okazała się grubą kopertą.

Dopiero gdy stanęła z paczką w kuchni, zorientowała się, że na pieczętce jest data sprzed dziesięciu dni. „Typowe”, mruknęła.

Otworzyła kopertę. W środku znalazła kasetę wideo w tekturowym opakowaniu, bez naklejki. Kiedy ją wyjęła, na stół wypadła karteczka z odręcznym pismem. Marszcząc brwi, podniosła ją z zaciekawioną.

Droga Karen Oto ostatni element zagadki, którą tak bardzo starałaś się rozwikłać. Przesyłam ci go teraz, ponieważ razem z Justine omówiliśmy całą sprawę i podejrzewamy, że żadna z nas nie zdoła skontaktować się z tobą bezpośrednio, kiedy zostaniemy już odnalezione.

Ta blizna jest pozostałością po pierwszej operacji. Określa to czas nagrania.

Jeśli nadal żyję, kiedy czytasz te słowa, to tylko my znamy prawdę. Nie mogę ujawnić jej światu. Chcę, byś ty to zrobiła.

Proszę, nie zawieź mnie.

Susan PS Tego dnia, kiedy przeprowadzałaś ze mną wywiad, zadzwoniła Justine. Wiedziałam, że podsłuchujesz, ale coś mi podszeptało, że tak będzie lepiej. Nie powiedziałam nikomu innemu – nawet Joemu. Mówię ci to teraz, żebyś wiedziała, że piszę to z własnej, nieprzymuszonej woli.

Wiem, że zrobisz to, co należy.

Karen przeczytała tekst kilkakrotnie. Podpis należał do Susan. Ten zgrabny, pełen niepewności charakter pisma nie mógł być niczym innym.

Stała w kuchni, rozmyślając. Zbierała w całość wszystkie informacje, łączyła poszczególne elementy spraw, o których wiedziała, i tego, co musiała wiedzieć Justine.

Spojrzała na zegar. Trzecia godzina, środowe popołudnie.

– W porządku, Susan – powiedziała głośno.

Włączyła telewizor w salonie i wsunęła kasetę do magnetowidu. Wciąż ubrana tylko w szlafrok, usiadła przed ekranem.

## Rozdział 84

„The New York Times”

8 maja

Goss i Campbell zamieszani w skandal obyczajowy.

Porywaczka Susan Campbell była ofiarą.

Za sprawą niezwyklej wydarzeń, jakie nastąpiły tuż po uwolnieniu Susan Campbell przez agentów federalnych, okazało się, że jej mąż, senator stanu Maryland Michael Campbell, był zamieszany za czasów studenckich w skandal obyczajowy. Wydaje się ironią losu, że zajadły wróg polityczny Campbella, Colin Goss, jest wymieniany jako lider grupy dokonującej przestępstw natury seksualnej; po Waszyngtonie krążą pogłoski, że obaj ci ludzie od lat byli związani tajnym porozumieniem.

Przypuszcza się, że przed piętnastu laty w Bostonie Goss wykorzystywał nielegalne środki, produkowane przez jego przedsiębiorstwo farmaceutyczne, w celu zmuszania dziewcząt do udziału w groteskowych orgiach.

Michael Campbell, wówczas student Harvardu, zwabiał dziewczęta do hotelu w śródmieściu, gdzie po zaaplikowaniu im środków oszałamiających odgrywały rolę premii w perwersyjnej „grze osła”. Wiele dziewcząt zmarło albo doznało trwałego upośledzenia funkcji życiowych w efekcie zażycia tych środków.

„Times” otrzymał kompromitującą kasetę wideo, na której utrwalono Campbella, nagiego i z przewiązanymi oczami, jako uczestnika gry. Widać wyraźnie, jak zbliża się do bezbronnej ofiary z oślim ogonem w dłoni.

Jeszcze bardziej sensacyjne jest to, że jak twierdzi „Times”, powołując się na wiarygodne źródła, kobieta odpowiedzialna za porwanie żony senatora Campbella sama była jedną z ofiar bostońskich orgii. Jeśli się to potwierdzi, prawdopodobnie zostanie wyjaśniony początkowy brak motywu porwania.

Rzecznicy Campbella oraz Gossa zdecydowanie zaprzeczyli oskarżeniom. Władze federalne odmówiły komentarza, ale jak dowiedzieli się nasi reporterzy, Senat wstrzyma zgodę na objęcie przez Campbella funkcji wiceprezydenta do czasu rozpatrzenia oskarżeń wysuniętych przeciwko niemu.

Judd Campbell siedział na plaży.

Przyglądał się falom w ich bezustannej wędrówce ku brzegowi. Przyszło mu do głowy, że ich siła nie zna granic. Rzeźbiony majestat spienionych szczytów wydawał się przez mgnienie oka wieczny. A jednak zawsze spotykał je ten sam kres – upadek, runięcie, śmierć.

To tutaj, w tym właśnie miejscu, wzniosła się dziwna i niesamowita fala, by porwać ze sobą Michaela, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Niewiele brakowało, by się jej udało. Lecz Judd, uzbrojony w miłość, jaką żywił do syna, poświęcił resztki swych sił i energii, żeby pokonać ocean; Michael przeżył. Judd po tym dniu już nigdy nie był tym samym człowiekiem, gdyż ta straszliwa walka pozostawiła bliznę w jego sercu, która ostatecznie zmusiła go do zejścia w tym życiu z pierwszej linii i przekazania steru utalentowanemu synowi.

Judd jednak wszystko to pojął opacznie. Los tamtego dawno minionego dnia nie chciał go skrzywdzić. Los chciał go ocalić.

Przypomniawszy sobie słowa skierowane do Susan: „Całe moje życie było kłamstwem”. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bezlitośnie prawdziwie zabrzmiało to wyznanie. Zastanawiał się, dlaczego musiało minąć tyle lat od śmierci Margery, by to zrozumiał.

Stracił Margery, stracił Ingrid i w pewnym sensie stracił Stewarta. Wszyscy oni byli ofiarami tego samego przekleństwa.

Judd rozumiał wszystko z wyjątkiem własnej ślepoty. Dlaczego dążył tak bezwzględnie, walczył tak uparcie, poświęcał się tak całkowicie?

To właśnie on sam, Judd, podsycał powolne dojrzewanie tego raka w jego życiu, karmił go miłością, radą, mądrością i doświadczeniem – wszystkim, co mógł z siebie dać – aż w końcu ów rak stał się na tyle silny, na tyle zły, by zagrozić całemu narodowi, a nawet całemu światu.

Rozwagał tę myśl, kiedy przywołał go nagle do rzeczywistości odgłos kroków na ciepłym piachu.

– Tato?

Judd odwrócił się i ujrzał obok siebie Michaela. Jego syn płakał.

– Tato. Co mam robić?

Osunął się na kolana przed swym ojcem.

– Tato. Ocal mnie.

Położył się na piasku i zwinął w kłębek z głową na ojcowskich kolanach. Judd zobaczył gęste, bujne włosy swego najukochańszego dziecka, dotknął skóry na jego policzku. Temu dziecku oddał wszystko, związał z nim wszystkie nadzieje.

– W porządku – powiedział. – Chcesz, bym użył swej mocy. Czy tak?

Michael skinął głową.

– Powiedz mi coś – poprosił Judd. – Kochasz mnie?

– Tak, tato.

Głos Michaela był stłumiony z żalu.

– Ja też cię kocham, synu.

Głaskał go po włosach.

– Ocalę cię – powiedział po chwili. – Ale musisz powiedzieć mi całą prawdę. Jeśli skłamię, nie dam rady ci pomóc. Rozumiesz?

Michael przytaknął. Owinął palce wokół dłoni ojca i ścisnął mocno.

– Zabiłeś Ingrid? – spytał Judd.

Chwila wahania. Potem Michael potwierdził skinieniem głowy.

– Byłeś w zмовie z Gossem?

I znów, po krótkim wahaniu, Michael przytaknął.

– A ona się dowiedziała?

– Tak.

Judd zastanawiał się długą chwilę, nie odrywając oczu od fal.

– Wyszukiwałeś te dziewczyny dla Gossa – powiedział. – Te, z którymi się zabawiał.

– Tylko dlatego, że chciałem, bym to robił – odparł zduszonym głosem. – Przypisywał temu takie znaczenie...

– Dlaczego, Michael? Dlaczego Goss? Co cię opętało, żeby związać się z takim człowiekiem?

Milczenie.

Michael usiadł i spojrzał na ojca.

– Zawsze mówiłeś, że najważniejsza jest wygrana – zauważył. Judd westchnął.

– To prawda. Mówiłem.

A więc znalazł już klucz do zagadki Sfinksa. Była to jego własna ambicja. Sam spowodował to wszystko, zachęcając Michaela do obrania drogi, która prowadziła ku możliwie największej klęsce.

– Ale się myliłem – przyznał Judd.

Michael spojrzał na niego. W jego wzroku malowało się niezrozumienie. Rozczarowanie.

– Pojmujesz to? – spytał Judd.

Michael potrząsnął głową. Jak mógł pojmować po tych wszystkich latach, że czarne to w rzeczywistości białe, a białe to czarne?

– Kiedy to się zaczęło? – drażył Judd.

– W Bryce. Przyszedł na mecz piłki nożnej. Powiedział, że zna ciebie i matkę.

Judd westchnął. Tak, on i Margery znali Gossa. Pokonał go, poniżył. A Goss mu odpłacił, deprawując syna, którego Judd tak bardzo kochał. Dostrzegł poezję w tej zemście swego wroga.

– Dlaczego z nim trzymałeś? – nie mógł zrozumieć Judd. – Dlaczego popełniałeś takie straszne czyny?

Michael zastanawiał się przez chwilę.



– Wydawało mi się, że może dużo dla mnie zrobić – odparł. – Startował w polityce. Zawsze mówiłeś, że prawdziwa władza kryje się właśnie tam.

Judd uśmiechnął się ironicznie, dostrzegając, jak jego własny oportunizm obrócił się przeciwko niemu. Tak, Michael zrobił to, co on sam by uczynił w jego wieku. Poszedłby po linii najmniejszego oporu, przyjął pomoc od najsilniejszej dłoni, jaka wyciągnęłaby się w jego stronę. Do diabła z konsekwencjami. Do diabła z tym, co słuszne, a co nie. Iść do przodu, postępować bezwzględnie, nie oglądać się na nic.

– Rozumiem – powiedział.

– Nie czujesz do mnie nienawiści? – upewnił się Michael.

– Nie, synu, nie czuję – zapewnił Judd i dodał po chwili: – Jest mi po prostu przykro.

Niebo zachmurzyło się nagle, jak zwykle o tej porze roku. Fale sięgały daleko poza linię brzegu. Nadchodził przypływ. Judd popatrzył na Michaela, który ocierał łzy.

– Everhardt, Palleschi i Stillman – wyliczył. – Zostali usunięci, bo stali ci na drodze.

Michael przytaknął.

– I prezydent – ciągnął Judd. – W końcu też zostałby usunięty, tak?

– Tak – przyznał Michael.

– I sam byś zostałbyś prezydentem? – upewnił się Judd.

Michael skinął głową.

Judd był zdumiony i przerażony, kiedy uświadomił sobie, że to marzenie, które żywił przez te wszystkie lata – Michael jako prezydent Stanów Zjednoczonych – mogło stać się rzeczywistością. I że byłaby to największa klęska w dziejach narodu.

Dzięki Bogu, pomyślał. Dzięki Bogu, że go powstrzymali na czas.

– Zawsze tego pragnąłeś, tato – przypomniał Michael z nadzieją w głosie.

– Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że to niewłaściwe? – spytał Judd.

Michael spojrzał zakłopotany.

– Chodzi ci o Danny’ego i pozostałych?

Judd przytaknął. Miał wrażenie, że rozmawia z dzieckiem.

– Tak, myślałem o tym. Ale nie było innego wyjścia – wyjaśnił Michael. – Pamiętasz, co mi mówiłeś o innych ludziach?

Judd skinął głową. Traktuj ludzi z szacunkiem i serdecznością, chyba że stoją ci na drodze. Jeśli tak jest, depcz ich. Spojrzał na syna.

– Co w tej chwili sądzisz o Colinie Gossie? – spytał.

– Sądzę, że chce jak najlepiej dla kraju – odparł Michael. – Nikt nie panuje nad sytuacją. Ludzie i rządy stały się zakładnikami terroryzmu. Nie wolno na to pozwalać. On chce, by świat stał się bezpiecznym miejscem.

– Nawet za cenę niewinnych istnień? – dopytywał się Judd.

Puste spojrzenie oczu Michaela było jedyną odpowiedzią.

Bogowie doprowadzili swą grę do końca, uświadomił sobie Judd. On sam uformował to dziecko – moralnie. Nauczył go nie tego, by być człowiekiem, lecz zwycięzcą. Bez końca powtarzał tę pustą mądrość, dostarczając chłopakowi dylematów moralnych i nakazując mu ignorować to, co słuszne, myśleć tylko o zwycięstwie. Michael był tworem Judda.

– Twoja matka umarła, ponieważ dowiedziała się o tobie, czy tak, synu? – spytał.

Tym razem wahanie ze strony Michaela trwało długo, tak długo, że przez chwilę Judd ośmielił się mieć nadzieję, że to nieprawda. Ale wreszcie Michael przytaknął.

– Była pewna dziewczyna. Wyszukałem ją dla Gossa. Popełniła samobójstwo. Jej matka dowiedziała się o mnie. Powiedziała wszystko mamie.

– Rozumiem.

Juddowi ścisnęło się serce, kiedy uświadomił sobie, że ostatnim czynem Margery na tej ziemi było ukrycie przed mężem straszliwej prawdy o ich synu. Nie chciała łamać mu serca, ponieważ wiedziała, jak bardzo kocha Michaela. Sama więc wolała się usunąć.

Gdyby tylko zabiła Michela zamiast siebie!

– Jak się wtedy czułeś? – spytał syna Judd.

– Okropnie. Nigdy nie czułem się tak strasznie – przyznał Michael. – Żałowałem, że nie jestem martwy.

– A kiedy umarła Ingrid?

– To samo – odparł Michael. – Może nawet gorzej. To było jak koniec świata.

– A Susan, synu – ciągnął Judd. – Susan byłaby następna, prawda? Bo wiedziała za dużo. Michael rozmyślał przez chwilę. Potem przytaknął. Jego oczy znów napełniły się łzami. Judd milczał. Nie wątpił w szczerłość Michaela. I to było właśnie najgorsze. To, że Michael mimo wszystko miał jakieś uczucia, że naprawdę opłakiwał matkę, którą sam zniszczył, siostrę, którą zabił własnymi rękami. Tak, to było najgorsze, pomyślał Judd – łzy Michaela.

Michael patrzył na fale. Wyznanie grzechów ulżyło jego sumieniu, miał znów młodzieńczą i świeżą twarz.

– Widzisz te fale, synu? – spytał go Judd. – To te same, które próbowały cię utopić, kiedy byłeś mały.

– Ale uratowałeś mnie, tato.

Głos Michaela zmienił się teraz, brzmiał niemal dziecinnie.

– Tak, uratowałem cię.

Judd oparł dłoń na ramieniu syna. Znał to ciało. I wydawało mu się kiedyś, że zna człowieka, który się w nim kryje.

– Colin Goss jest skończony – oznajmił. – Nie może ci już pomóc. Michael przytaknął.

– Ale ja mogę ci pomóc, synu – zapewnił Judd. Michael ujął dłoń ojca.

– Wyciągnę cię z tego – obiecał Judd. – Ale musisz zrobić dokładnie to, co powiem. Rozumiesz?

Michael skinął głową.

– Tak, tato. Zrobię wszystko, co każesz.

Judd wysunął dłoń z uścisku syna i pomógł mu usiąść.

– Nie patrz na mnie, synu. Patrz na fale. Licz je po kolei, jak nadpływają do brzegu. Ten stary żart zabrzmiał teraz pusto. Lecz głos Judda przepełniała miłość.

– Raz – zaczął Michael. – Dwa, trzy, cztery...

Judd wyjął z kieszeni kurtki rewolwer i wymierzył w głowę syna. Po chwili jakby się rozmyślił.

– Ile, synu?

– Pięć, sześć, siedem...

– Rób to z zamkniętymi oczami. Pokaż mi, do ilu potrafisz doliczyć.

– Osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście...

Judd przesunął broń i strzelił Michaelowi w skroń. Kiedy Michael upadł, od strony morza zerwał się krzyk. Mewy wzbily się ku szaremu niebu z przeraźliwym wołaniem. Zaczął padać drobny deszcz.

Judd poczuł, jak krew syna zalewa mu dłoń. Słuchał ptasich krzyków. Fale narastały, potężniejąc z każdą chwilą. Nadchodził przypływ.

Judd odczekał jeszcze chwilę. Potem wsunął broń w lewą dłoń Michaela i wstał. Odszedł kilka kroków, odwrócił się i popatrzył na swoje dzieło.

– Wybacz mi – powiedział głośno i ruszył w stronę domu.

Na progu przystanął po raz ostatni, by spojrzeć w stronę plaży. Deszcz się nasilał. Fale rzucały się na piasek, jakby chcąc czym prędzej zmyć ślady tego, co się tu wydarzyło. Odciski stóp już zniknęły. Jedna z fal zakryła ciało Michaela, potem wypuściła je z objęć. Michael spłynął ku jej bardziej zawziętym towarzyszkom, wymachując bezwładnie ramionami.

Ciężkie krople deszczu mieszały się z łzami spływającymi Juddowi po policzkach. Otarł je, potem odwrócił się i wszedł do domu.

## Rozdział 85

Hamilton, Wirginia

10 maja

Michael Campbell został pochowany na lokalnym cmentarzu, półtora kilometra od rodzinnego domu. Pogrzeb był uroczystością prywatną; nie zaproszono żadnego ze znajomych polityków. Ceremonii towarzyszyła garstka dziennikarzy, w większości zagranicznych. Prasa amerykańska pozostała na uboczu.

W dzień po samobójstwie Michaela Colin Goss wycofał się z kampanii mającej na celu wybory nadzwyczajne i poświęcił się walce sądowej, która niebawem go czekała. Prezydent nie dokonał jeszcze czwartego i zarazem ostatniego wyboru kandydata na stanowisko wiceprezydenta, ale jego poparcie w sondażach nadal utrzymywało się na wysokim poziomie, a sytuacja administracji z wolna wracała do normy.

Wraz z nadejściem lata Światowa Organizacja Zdrowia odnotowała zaskakujący spadek zachorowań wywołanych przez syndrom Pinokia. Nie zauważono związku między tym szczęśliwym obrotem sprawy a burzliwymi wydarzeniami politycznymi minionego miesiąca.

W wietrzne sobotnie popołudnie Judd Campbell siedział na werandzie swego domu nad zatoką i spoglądał na ocean, który tak kochał.

Mewy zataczały koła w porywach bryzy. Morze pokrywały spienione fale pod burzowym niebem, choć jasno świeciło słońce. Wrażenie było niezwykle. Ocean wyglądał na rozgniewany, niezadowolony, a jednak pełen wibrującej energii, jakby oczekiwał na jakieś doniosłe wydarzenie.

Judd usłyszał, jak otwierają się siatkowe drzwi prowadzące na werandę. Odwrócił się i zobaczył Stewarta ze szklanką ciemnego piwa w ręku.

– Co ty na to?

– Dzięki, synu.

Stewart podał ojcu szklanekę i stanął obok jego krzesła, patrząc na zatokę. Choć Judd milczał, między obydwojma mężczyznami wyczuwało się pewną zażyłość. Stewart był teraz jedynym synem, jaki Juddowi pozostał. Zmieniło to dotychczasową relację między nimi. Stewart odczuwał potrzebę niesienia ojcu pociechy, gdyż tylko on wiedział, ile Judd stracił. Co zaś się tyczy Judda, ostatnie przeżycia starły w końcu dawny uraz żywiony wobec starszego syna, który kiedyś mu się sprzeciwił. Szanował go teraz za niezależność.

Nie był to może najłatwiejszy pakt, lecz Stewart tęsknił za ojcem przez te wszystkie lata. Cieszył się z szansy, która pozwoliła im zakopać topór wojenny.

– Sprawdzę, jak June radzi sobie z tą sałatką ziemniaczaną – powiedział.

Żona Stewarta niełatwo dała się przekonać do nowej sytuacji. Przez wiele lat umacniała w sobie niechęć do ojca, który tak bardzo zranił Stewarta. Nigdy nie nawiązałyby tak serdecznych stosunków z Juddem jak Susan, ale ustąpiła ze względu na męża, który jak się zdawało, zyskał coś bardzo ważnego na tym pojednaniu.

– W porządku, synu.

Drzwi zatrzasnęły się za Stewartem, który zniknął w głębi domu.

Judd podniósł lornetkę i spojrzął w stronę plaży. W dali, niedaleko cypla, dostrzegł dwie małe sylwetki idące ramię w ramię. Judd rozpoznał mocne, barczyste ciało Kraiga. Lekki krok Susan – rytmiczny, odrobinę niepewny, zawsze kobiecy – był dla niej charakterystyczny. Judd się uśmiechnął.

Kraig zawsze kochał Susan. Judd uświadomił to sobie za pierwszym razem, gdy ich zobaczył razem. Michael leżał wtedy w szpitalu po drugiej operacji kręgosłupa. Kraig nie mógł znieść patrzenia na Susan. Odwracał ze smutkiem wzrok, ilekroć pojawiała się w jego polu widzenia.

W późniejszych latach, już po rozwodzie, Kraig rzadko się pojawiał, zazwyczaj odrzucał zaproszenia ze strony Campbellów.

Juddowi brakowało go przez cały ten czas. Kraig odznaczał się jakąś cichą, pełną uporu prawością, która bez wątpienia utrudniała mu życie, ale w gruncie rzeczy stanowiła ogromną zaletę. To właśnie ta prawość nie pozwalała mu wyznać Susan, co do niej czuje.

Patrząc przez lornetkę, Judd pomyślał, że tworzą piękną parę. Czy było z jego strony rzeczą zbyt fantastyczną snuć nadzieję, że Kraig może pewnego dnia poślubi Susan i stanie się synem, którego Judd nigdy nie miał? Kraig rzeczywiście stanowiłby uzupełnienie pewnego braku, który przez te wszystkie lata prześladował rodzinę Judda, element, którego nieobecności Judd nigdy do końca nie dostrzegał, przynajmniej świadomie, ponieważ pochłaniała go bez reszty miłość do Michaela.

I gdyby, co mało prawdopodobne, tych dwoje postanowiło być ze sobą, to czy urodziłoby się dziecko, którego Michael nigdy nie mógł zapewnić Susan? Judd miał nadzieję, że tak. Bezdzielnosć Susan raniła go jeszcze bardziej niż Michaela. Gdyby w końcu ta kobieta mogła wydać na świat owoc...

Mniejsza z tym. Po co ten pośpiech, myślał sobie Judd. Jest mnóstwo czasu.

Daleko, na plaży, Susan odwróciła się z uśmiechem do Kraiga. Jej włosy, porwane wiatrem, opłotły policzek, a nagły powiew zasnuł jej oczy mgłą.

– Ocean jest dziś dziwny – zauważyła z uśmiechem. – Wygląda... trudno mi znaleźć odpowiednie słowo.

– Jakby był niecierpliwy – odpowiedział Joe. – Trochę wkurzony.

– Właśnie.

Uśmiechnęła się do niego. Pod maską małomówności krył się wrażliwy mężczyzna. Wiedziała o tym już dawno temu, jeszcze przed ślubem z Michaeliem. Teraz jednak uświadomiła sobie, że Kraig jest o wiele bardziej skomplikowany. Miał niezwykle oryginalny umysł i nieco zwariowane poczucie humoru. Wiedział, co mówić, by całkowicie ją zaskoczyć i rozśmieszyć.

Ta zaleta bardzo przydała się w tych pierwszych tygodniach po śmierci Michaela. Kraig rozmawiał z nią codziennie przez telefon i przyjeżdżał, kiedy o to prosiła. Susan wiedziała, że sam dźwiga na barkach ciężar – rola, jaką był zmuszony odegrać podczas poszukiwań, nie była szczególnie wdzięczna – ale zachowywał się, jakby to ona, Susan, była pacjentką, a on pielęgniarzem.

Interesujący człowiek, pomyślała. I bardzo dobry.

Zawrócili, kiedy pojawił się przed nimi cypel, i znów zobaczyli dom. Ogromny, przestronny, wysuwał swe postarzałe oblicze ku zatoce niczym nieustraszony przeciwnik, dumny ze swej wytrzymałości i skłonności do gniewu – zupełnie jak jego właściciel.

– A więc odchodzisz z pracy – powiedziała Susan.

– Tak – odparł zdecydowanie.

– Co będziesz robił? Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno, że nie będzie to nic wielkiego. Mam już dość mieszania się w sprawy, które mnie przerastają. Losy świata, ludzkości i tak dalej. – Parsknął śmiechem. – Tęsknię za czymś małym. Niewielkie biuro. Może w niewielkim mieście.

Problemy, z którymi może poradzić sobie jeden człowiek.

– Nie jesteś małym człowiekiem, Joe.

Uśmiechnął się na te słowa, nie zamierzając ich komentować.

- A ty? – spytał. – Co będziesz teraz robić? Susan odruchowo machnęła ręką.
- Zacznę od nowa – odparła.
- To zawsze się sprawdza – zauważył. – Masz już na oku jakieś konkretne miejsce?
- Sam początek.

Kraig potrząsnął głową z uśmiechem.

- Chodziło mi o miejsce geograficzne.
- Och. – Susan się roześmiała. – Chyba nie sięgam tak daleko myślą.

Spojrzała na fale, które rzucały się ku brzegowi i wciągały do morza wszystko, co leżało na piasku.

– Nie wiem, Joe – mówiła dalej. – Ktoś kiedyś powiedział, że można przemierzyć świat, ale liczy się naprawdę tylko wewnętrzny krajobraz. Mój będzie musiał się zmienić. Czy we właściwym kierunku, nie mam pojęcia.

Spojrzała na niego, odsuwając z policzka jeszcze jeden porwany wiatrem kosmyk włosów.

- W każdym razie muszę uciec z blasku reflektorów – dodała. – Jestem to sobie winna.
- Zasłużyłaś na to.

Nagle podniosła się fala, trzy metry wyższa od innych, i runęła z gniewnym grzmotem na piasek pod ich stopami. Susan odskoczyła ze śmiechem od spienionej wody. Kraig wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, a ona odzyskała równowagę. Ruszyli dalej. Ocean jakby uspokoił się za ich plecami, ukołyszany do snu niczym dziecko. Susan dostrzegła na ganku Judda i pomachała do niego.

Kraig przystanął nagle i odwrócił się do Susan.

– Susan...

Zatrzymała się, opierając dłonie na biodrach, i spojrzała na niego.

– Tak, Joe?

Była zachwycająco piękna. Dostatecznie piękna, by wymazać mnóstwo wspomnień, a nawet sprawić, by przyszłość malowała się tak jasno jak ten słoneczny dzień.

Był czas, kiedy zaprzedałby duszę diabłu, by pocałować te usta.

– Nic – odparł.

## Rozdział 86

### Atlanta

Colin Goss nie poddawał się.

Rezygnując z ubiegania się o stanowisko prezydenta, oświadczył, że odrzuca oszczercze zarzuty, jakie krążą o nim w prasie. Wyraził głęboki smutek w związku z losem Michaela Campbella, oddanego i obiecującego polityka, ale utrzymywał, że nie ma nic wspólnego z gangiem, z którym w czasach młodości związany był Michael.

W kwaterze głównej Gossa w Atlancie panował nastrój wyczekiwania. Starano się oszacować straty. Gdyby udowodniono związek Gossa z Michaelem Campbellem, ten pierwszy byłby sądzony za współudział w zabójstwie i okaleczeniu czternastu młodych dziewcząt. Groziło mu więzienie, a nawet wyrok śmierci. Jednocześnie sprawy z powództwa cywilnego o odszkodowania opiewałyby na setki milionów dolarów.

Nie istniał jednak zapis wideo samego Gossa uczestniczącego w „grze osła”, postarał się o to swojego czasu. Tak więc miał wszelkie powody przypuszczać, że w razie przedstawienia mu zarzutów ocaliłaby go agresywna obrona w wykonaniu najlepszych prawników kraju.

Fakt, żyło jeszcze wielu ludzi, którzy wciąż pamiętali „grę osła” i inne rzeczy. Ale nie oznaczało to wyroku skazującego w sądzie.

Colin Goss przetrwał niejeden sztorm w swym życiu. Armia prawników w siedzibie jego firmy pracowała bezustannie, analizując ustawy o przedawnieniu i materiał dowodowy. Byli gotowi walczyć do upadłego, by oczyścić go od wszelkich zarzutów.

Gossa zaskoczył fakt przesłania prasie tej nieszczęsnej kasety z Michaeliem. Michael uczestniczył w grze tylko raz. Niepozbawiony instynktu politycznego nawet w latach młodości wiedział doskonale, że musi postępować ostrożnie. Zawsze odmawiał uczestniczenia w grze, choć obserwował ją wielokrotnie i bez wątpienia podniecał się wówczas.

Tamtego roku w Bostonie, w pewien wieczór, Michael nawąchał się kokainy (wyprodukowanej w laboratoriach Gossa i dziesięciokrotnie silniejszej od narkotyku sprzedawanego na ulicy) i wpadł w euforyczny nastrój podniecenia seksualnego. Goss poradził mu: „Idź na całego, ten jeden raz, nikomu nie zaszkodzi”. I tak się stało, że tej jednej nocy Michael się rozebrał, nałożył opaskę na oczy i wziął udział w grze.

Goss umieścił kasetę w bezpiecznym miejscu. Nie sądził, by kiedykolwiek miał ją wykorzystać, ponieważ Michael był wobec niego lojalny. Ale polityka to brudny interes, a zdrada stanowi jej nieodłączny element. Nigdy nie można być niczego pewnym.

Jakim cudem wrogowie Michaela zdołali położyć łapy na tej taśmie? Infiltracja firmy musiała jednak sięgać głęboko.

Mniejsza z tym, pomyślał Goss. Mają Michaela, ale nie mnie.

Jako polityk był prawdopodobnie skończony. Nie dało się temu zaprzeczyć. I oczywiście jego mistrzowski plan stworzenia cywilizowanego świata – o którym opinia publiczna niczego jeszcze nie wiedziała – nie urzeczywistniłby się szybko. Takiego planu nie dałoby się wprowadzić w życie bez osłony i możliwości wielkiego rządu.

Nawet tutaj Goss nie zamierzał się poddawać. Najważniejszą sprawą było przetrwać obecny sztorm i przeżyć, by stanąć do walki następnego dnia. Michael Campbell był martwy. Kolejnym politycznym sponsorem mógł być jakiś początkujący kongresman, młody pracownik Białego Domu czy nawet osoba prywatna. Jeśli czegoś się Colin Goss w ciągu tych długich lat nauczył, to jednego: „Nigdy nie mów nigdy”. Dzisiejsza klęska może stać się jutrzejszą szansą. Wystarczy jeden obrót koła fortuny.

Dzięki Gossowi i jego naukowcom stworzono maszynę, która miała zrewolucjonizować krajobraz polityczny i przynieść pokój cywilizowanemu światu. Maszyna ta miała trwać na swoim miejscu, milcząca, apokaliptyczna, aż nadszedłby właściwy moment. Colin Goss zamierzał dożyć tej chwili.

W ten gorący czerwcowy wieczór Goss oglądał w telewizji wystąpienie prezydenta podczas uroczystości wręczania dyplomów na uniwersytecie w Georgetown. Była to dobrze napisana mowa. Prezydent namawiał młodych ludzi, by angażowali się w proces polityczny. Nawijając do walki, jaką jego administracja toczyła od czasu tragedii Crescent Queen, zapewnił swoich słuchaczy, że Ameryka jest dostatecznie silna, by przetrwać najbardziej nawet bezwzględne ataki na własne instytucje.

„Wkrótce dobiegnie końca czas mój oraz moich współpracowników – mówił. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, dla tego kraju i gdy spojrzymy na własną słabość, przypomnimy sobie, że ludzie mogą być słabi, ale wolność jest silna. Kiedy patrzę na was dzisiaj, gdy stoicie u progu dorosłego życia i kariery, nie pragnę niczego więcej niż tylko tego, byście – tak jak ja – mogli spojrzeć któregoś dnia na swe życie i stwierdzić, że pomimo wszelkich potknięć i porażek daliście z siebie wszystko czemuś wielkiemu – Stanom Zjednoczonym Ameryki”.

Colin Goss wyjął z komody butelkę wody mineralnej i odkręcił kapsel. Nalał do wysokiej szklanki płynu z bąbelkami i pociągnął spory łyk. Znajomy aromat siarki i ziół odświeżył go.

Spojrzał na prezydenta, który uśmiechnął się, kiedy młodzieńcze audytorium wybuchnęło głośnym aplauzem.

– Szczęściarz z ciebie – zauważył Goss, podnosząc do ust szklanę z wodą. – Pozostaniesz przy życiu.

Osiem godzin później szef zespołu prawniczego Gossa wszedł do jego gabinetu. Miał niepokojące wieści do zakomunikowania. Jedna z dziewcząt w Bostonie została poddana specjalnym lekom opracowanym przez Roche Corporation i mogła wyjść ze śpiączki. Gdyby tak się stało, byłaby żywym świadkiem uczestnictwa Gossa w „grze osła”.

Goss nie siedział już przed telewizorem. Tkwił w obrotowym fotelu za biurkiem, a jego dłonie spoczywały na blacie. Miał dziwnie oficjalną minę i spoglądał wprost przed siebie.

– Panie Goss? – zwrócił się do niego adwokat. – Przyszedłem nie w porę? Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

Goss nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślnego, kiedy tak wbijał wzrok w biurko.

– Wszystko w porządku?

Adwokat spojrział na biurko. Stała na nim butelka włoskiej wody mineralnej i kryształowy kielich. Dłoń Gossa wciąż była zaciśnięta na szkle. W drugiej trzymał pióro. Na blacie leżał też bloczek kartek.

– Wszystko w porządku?

Goss nie odpowiedział. Jego twarz miała tępy, pusty wyraz. Adwokat zaczął się niepokoić, że Goss dostał wylewu.

– Proszę pana, proszę coś powiedzieć. Mam wezwać lekarza?

Goss milczał. Surowy, nieruchomy wyraz jego twarzy mógłby w innej sytuacji uchodzić za objaw uporu.

– Wzywam lekarza.

Adwokat nachylił się nad Gossem, żeby sięgnąć po słuchawkę telefonu, i w tym momencie dostrzegł słowo nabazgrane na karteczce krzywymi literami, jakby pochłonęło ono resztki energii Gossa.

Widniało tam nazwisko. Easter.

## EPILOG

11 lipca

Karen Embry szykowała się do wypicia kolacji.

Waszyngtońskie lato osiągało powoli swe crescendo, które nie miało być ostatnim. Karen musiała niemal bezustannie otwierać lufcik. Nie znosiła wycia wiatru, ale nie miała pieniędzy na przeprowadzkę do mieszkania z normalną klimatyzacją.

Sto lat wcześniej to miasto pustoszało w lecie. W tamtych dniach każdy prezydent wyjeżdżał dokądś o tej porze. Teraz wszyscy musieli tu siedzieć, a przyczyną, pomimo palącego słońca, była jak zwykle polityka.

Karen czuła się pusta w środku. Wiadomości o Michaelu Campbelle i Colinie Gossie nie uszczęśliwiły jej ani nie dały poczucia zwycięstwa. Przypominały bardziej dopisek na końcu długiej tragedii. Jej ofiarą padło około czternastu milionów ludzi. Trudno było się radować, że dobiegł kresu horror, który nigdy nie powinien się wydarzyć.

Karen wiedziała, że nigdy nie opublikuje książki o historii syndromu Pinokia i jego politycznych wątkach. Ta sprawa była zbyt przerażająca, by ujrzeć kiedykolwiek światło dzienne. Teraz, kiedy epidemia się skończyła, cała ta budząca grozę sprawa miała zniknąć gdzieś w mrokach przeszłości, czy nawet głębiej. Tam było jej miejsce.

Specjalny oddział agentów FBI i CIA aresztował sześciu libańskich terrorystów, którzy zostali oskarżeni o udział w ataku na Crescent Queen. Według niepotwierdzonych informacji broń jądrową dostarczył Irak. Teraz, gdy Saddam Husajn padł ofiarą syndromu Pinokia, przywódcy iraccy z ochotą udostępnili laboratoria atomowe inspektorom ONZ. Opinię publiczną zapewniono, że tajemnica tragedii Crescent Queen została rozwiązana i że nie należy się obawiać jakichkolwiek dalszych ataków.

Wielki terror początku dwudziestego pierwszego wieku dobiegł końca. Nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, jaką rolę w całej sprawie rolę odegrała Karen. I była z tego powodu zadowolona. Chciała żyć spokojnie dalej, tak jak robiła to Susan Campbell. Tak jak wszyscy inni, nie wyłączała tych, którym choroba zabrała kogoś bliskiego.

Jako obywatelka z radością przyjęła fakt, że Ameryka przetrwała Colina Gossa, Michaela Campbella i syndrom Pinokia. Niełatwo było zniszczyć ten kraj. Stare powiedzenie „Nie można oszukiwać wszystkich ludzi przez cały czas” doskonale pasowało do psychiki Amerykanów. Byli ambitni, kochali sukces. I czasem nie zastanawiali się specjalnie, jak udało im się go osiągnąć. Ale także kochali wolność i prawdę. W ciągu swej liczącej dwieście dwadzieścia pięć lat historii potrafili poświęcić bardzo dużo dla prawdy.

Justine Lawrence poświęciła dla niej wszystko. Podobnie jak Grimm, który przekazał ją Karen za tak wysoką cenę. I Susan Campbell, która straciła męża.

I sama Karen, której poświęcenie polegało na wsparciu prawdy w nierównej walce z kłamstwami. A teraz historia syndromu Pinokia dobiegła końca, a prawda w swej przeważającej części miała pozostać nieznaną. Karen czuła pustkę.

Miała jak zwykle wyciszony telewizor, podczas gdy z głośników wieży płynęły takty Mozarta. Na ekranie pojawiały się sceny walki politycznej z całego świata, którym towarzyszyły wiadomości o kolejnej masakrze, tym razem dokonanej przez oszalałego wychowawcę na obozie letnim dla dziewcząt w Adirondacks. Znowu apelowano, by wprowadzić ściślejszą kontrolę sprzedaży broni, ale Krajowy Związek Myślistwa Sportowego miał jak zwykle wiele do powiedzenia i nie zamierzał poprzeć jakiegokolwiek nowej ustawy.

Karen czuła pustkę w żołądku; nic prawie tego dnia nie zjadła. Trudno było mieć apetyt przy takim nastroju. O wiele łatwiej nalać sobie drinka.

Pokazano w telewizji jedną z izb Kongresu, gdzie jakiś reprezentant wygrażał swoim kolegom pięścią; chodziło prawdopodobnie o ustawę dotyczącą kontroli handlu bronią. Karen westchnęła. Otworzyła nową butelkę early timesa i zdjęła z suszarki czystą szklankę. Miała nadzieję, że czysty bourbon uwolni ją odrobinię od pustki, jaką odczuwała.

Zadzwoił telefon. Ze szklanką w dłoni poczępała do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Karen Embry – powiedziała.

– Tu Kraig.

Drgnęła. Nie odezwał się od dnia, kiedy Campbell popełnił samobójstwo. Przypuszczała, że już go nie usłyszy.

– Jak się masz? – spytała.

– Nie inaczej niż zwykle. – Roześmiał się. – No, jakoś tam. Wszystko płynie.

– Chyba tak.

– Jadłaś? – zainteresował się.

– Nie – odparła. – Jeszcze nie.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. W dzinsach z obciętymi nogawkami i cienkiej bluzeczce wyglądała dość nieatrakcyjnie. Włosy, niemyte od soboty, były związane w niechlujny węzeł z tyłu głowy.

– Mógłbym przywieźć pizzę – zaproponował Kraig.

Karen nie wiedziała przez chwilę, co powiedzieć.

– Tęskniłem za tobą – wyznał ze spokojem, niemal radośnie.



Karen wciąż szukała odpowiednich słów. Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś za nią tęsknił. Ludzie zwykle jej unikali. Ale nigdy nie tęsknili.

Kraig jakby rozumiał jej milczenie.

– To Mozart? – spytał.

– Tak.

Zapadła cisza. Karen zobaczyła, że przez ekran telewizora przemknęła twarz Susan Campbell. Jakiś urywek starego wywiadu. Bujne blond włosy, przyjazny uśmiech, zatroskane oczy. Twarz pojawiła się bez żadnego kontekstu, zupełnie nie na miejscu w tym serwisie. Od śmierci Michaela Campbella Susan wypadła z medialnego obiegu, gdyż odmawiała wszelkich wywiadów.

Och, mniejsza z tym, pomyślała – to oblicze pozostanie na zawsze w amerykańskiej pamięci, nawet gdyby Susan miała nie odezwać się już nigdy więcej do żadnego dziennikarza.

– No to co, z czym ma być ta pizza? – dopytywał się Kraig. – Z pepperoni? Z grzybami?

– Z wszystkim – odparła Karen.

– Nie przepadam za anchois – wyznał Kraig. W jego głosie wyczuwało się zadowolenie.

Karen zastanawiała się przez chwilę.

– Powiedz im, żeby położyli je na połówkę ciasta – podsunęła.

– Zawsze uważałem, że kompromis to dobra rzecz – oświadczył. – W porządku. Zabierze mi to pół godziny. Wytrzymasz tak długo na trzeźwo?

Karen się uśmiechnęła.

– Chyba dam radę.

– Dobra dziewczyna. Do zobaczenia za pół godziny.

Kraig odłożył słuchawkę. Karen wsłuchiwała się w ciszę po drugiej stronie, gdzie jeszcze przed chwilą rozbrzmiewał jego głos. Potem wzięła butelkę bourbona i zakręciła. Jeszcze raz spojrzała w lustro. Z łagodnym uśmiechem zdjęła bluzeczkę i ruszyła do łazienki.

Przed jego przyjściem zdążyła tylko umyć włosy.